

Druga strona
recepty



WBlisko

Zofia Sokołowska

Zofia Sokołowska

Druga strona recepty

Ledwo zdążyłam na pociąg. Wtasczyłam ciężką walizkę na półkę. Szósta rano. Wagon puściuteńki. Rozsiadłam się w przedziale, zdjęłam buty i nieelegancko, ale za to wygodnie, położyłam nogi na sąsiednim fotelu. Przede mną czterogodzinna podróż do Wrocławia.

Kiedy miesiąc temu dawna przyjaciółka Grażyna zawiadomiła mnie, że organizuje spotkanie koleżeńskie, bardzo się ucieszyłam.

- To będzie kameralna impreza, jakieś dwanaście osób. Przygotuj się na wieczór w lokalu i ewentualną wycieczkę w góry drugiego dnia - poinformowała mnie. - Ale pamiętaj, pełny luz!

Łatwo jej powiedzieć: „pełny luz”. Dla mnie, byłej mieszkanki Wrocławia, a obecnie prowincjuszki, nie było żadnego luzu. Miałam swoje kompleksy, do tego zżerała mnie zazdrość i wstyd, zwłaszcza że wiele osób, pamiętających mnie jako Agatę Pilską, na pewno miało zupełnie inne wyobrażenie na temat mojego życia. „Cóż, córka takiego ojca na pewno jest dobrze urządzona, jakże mogło być inaczej, miała takie warunki”.

Mogę sobie pogratulować. Dobrze się kamuflowałam. Nikt oprócz Doroty nie znał prawdy o mojej sytuacji rodzinnej.

Przestań, bo zwariujesz. Grunt to pozytywne nastawienie, skarciłam się w myślach. Ale nic to nie dało. Nigdy nic nie dawało.

Dłonie automatycznie zacisnęły się w pięści. Natrętne myśli i obrazy nie dawały spokoju:

Koniec roku szkolnego, chyba szósta klasa. Położyłam matce na biurku piątkowe świadectwo. Wzruszyła ramionami.

- I co w tym nadzwyczajnego? - zapytała sucho. Spojrzała na mnie bez cienia sympatii.

- Gdzie ty się wybierasz? Popatrz w lustro. Jak ty się ubrałaś? Czy ty nie masz za grosz gustu?

Chwyciła mnie za ramię i poprowadziła do dużego lustra w przedpokoju.

- Zielona sukienka i niebieskie podkolanówki. Jak ty śmiesznie wyglądasz - roześmiała się szyderczo.

Z płaczem zamknęłam się w pokoju. I nie poszłam na spotkanie z okazji końca roku szkolnego, które co roku urządziła Dorota w swoim ogródku.

Zamknęłam oczy. Czy ja muszę się tak maltretować? To bez sensu. Ale pamięć nie chce dać za wygraną.

Wyjęłam książkę. Próbowałam czytać. Nic z tego. Nie mogłam się skupić. To, co

chciałam od siebie odsunąć, uparcie powracało.

Nie służą mi wyjazdy do Wrocławia.

*

Przez te lata kilka razy spotkałam się z Grażyną, ale innych znajomych unikałam.

Kiedyś wpadłam na Dorotę w ogrodzie botanicznym. Była moją przyjaciółką jeszcze ze szkoły. Ponad dziesięć lat w jednej ławce. A potem... Potem cała przyjaźń się rozpadła. W jednej chwili.

Przed maturą Dorota poznała chłopaka. To był taki „hipis”, filozof od siedmiu boleści. Wiadomo. Długie włosy, obcisłe spodnie. Typ „besserwissera”. Wszystko wiedział lepiej. Nie znosiliśmy się, rzecz jasna. Niestety, Dorota wybrała jego. Zostałam na lodzie, bo była moją jedyną przyjaciółką. Szkoda. Miałyśmy takie ambitne plany: skończyć medycynę, wyjechać gdzieś w Bieszczady, pracować w skrajnych warunkach, pomagać ludziom... Słowem - dwie doktor Ewy na froncie walki o zdrowie i życie ludu polskiego.

Tymczasem Dorota padła na pierwszym roku. Potem poszła na biologię. Zresztą też jej nie skończyła. Wkrótce wyszła za mąż i zaczęła rodzić dzieci.

Właśnie z dziećmi spotkałam ją w tym nieszczęsnym ogrodzie. Była z trójką. Najmłodsze w wózku miało nie więcej niż pół roku. Wiedziałam, że ma jeszcze dwójkę starszych. W sumie pięcioro. Na litość boską, przecież ma prawie czterdziestkę! - myślałam. I do tego jest gruba, bardzo gruba - poczułam niezdrową satysfakcję. Ja byłam szczupła i ładnie wyglądałam.

- Witaj, kopę lat! To wszystkie twoje? - Zajrzałam do wózka. - Jak ty dajesz sobie radę? Mam nadzieję, że zdrowe. Późne macierzyństwo... rozumiesz... niesie ryzyko (że mnie piorun nie trafił za te słowa!). Pracujesz?

- Skądże, jestem na wychowawczym. - Była wyraźnie zmieszana.

Kompletnie nie wiedziała, jak zareagować na moje słowa. A może miała wyrzuty sumienia, że mnie olewała tyle lat? Może też chodziło jej o to, że nie udało jej się uniknąć spotkania, na które zupełnie nie miała ochoty?

Co do ochoty - to właśnie miałam wielką ochotę jej dokuczyć.

- A twój mąż? - spytałam, wiedząc, że Dorota wyszła za tego swojego „hipisa”.

- Ma firmę.

- To chyba dobrze. Mam nadzieję, że firma funkcjonuje w zgodzie z naturą. Ale chyba zdradził swoje ideały. Rodzina, mała stabilizacja. Jeśli dobrze pamiętam, chciał czegoś innego, na przykład małej rewolucyjki - drwiłam. - No cóż, większość ideowców kończy jako przykładowa głowa rodziny. Proza życia. - Staralam się mówić składnie i płynnie, mimo że

byłam potwornie zdenerwowana.

Patrząc na nią, w istocie czułam złość. Zdradziła mnie. Z dnia na dzień zostawiła samą. Ona jedna wiedziała, jaką miałam sytuację w domu. Była moim oparciem przez długie lata i zostawiła mnie z powodu chłopaka, do tego - takiego chłopaka! Wściekłość ogarniała mnie coraz bardziej. Cieszyłam się, że źle wygląda; że jest gruba, zmęczona; że ma parodontozę.

Jestem wredna, pomyślałam wreszcie.

- A co u Krzysztofa? - niewinnie zapytała Dorota.

Aha, teraz ona wysiła się na złośliwość. Na pewno wiedziała, że moje małżeństwo trwało tylko trzy lata i od dawna jestem po rozwodzie. Nie znała Krzyśka, widziała go może raz w życiu. Nie należał do mojego tutejszego życia.

Poznałam go w Belsku. Biedny chłopak. Spokojny, zrównoważony. Chciał mieć rodzinę. Po prostu. Dom, dzieci. Spokój. Nie poradził sobie z kobietą, która żyła przeszłością i nic innego się dla niej nie liczyło. Ja rzeczywiście mówiłam, myślałam tylko o niej, analizowałam swoje dzieciństwo bez przerwy. Na pewno trudno było to wytrzymać.

Krzyśiek robił radiologię, ja pediatrię. Narzekał: „Będziesz miała dyżury, będziesz przyjmować setki dzieci. Wykończysz się. I nie znajdziesz wcale czasu dla mnie”.

Miał rację, ale ja się uparłam. Pediatria miała być wszystkim na złość. To był mój pomysł. Głupi pomysł, o czym szybko się przekonałam. Później nie potrafiłam już tego zmienić - marna praca, marna płaca, wielka odpowiedzialność...

Krzyś związał się z asystentką z radiologii, zrobił jej dziecko i opuścił mnie. Poczulałam się upokorzona, ale nie umierałam z rozpaczy.

Tak z perspektywy czasu - myślałam - to małżeństwo tak jakoś wyszło trochę z przypadku. Poznaliśmy się, potem kilka randek, wycieczek w góry. Miałam już dwadzieścia osiem lat i zdecydowałam zbyt pochopnie. W łóżku też było nijako. Rozwiedliśmy się i miałam spokój. Widywałam czasem mojego eks, zawsze uprzejmie się kłaniał i szybko znikał.

Wzruszyłam ramionami.

- Śmieszne pytanie. Przecież dawno jesteśmy po rozwodzie. Doskonale o tym wiesz. A co u niego? Nie mam pojęcia. I, prawdę powiedziawszy, niewiele mnie to obchodzi.

Usiadłyśmy z Dorotą na ławce. Jej pociechy hałasowały, ciągle o coś prosiły. Denerwowały mnie. Lata pracy z dziećmi zrobiły swoje. Brakuje mi cierpliwości. Jeszcze mocniej uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę z nią gadać. Bo właściwie o czym? O moich pretensjach? O jej bachorach? Co było, minęło. Wymyśliłam więc jakiś pretekst i uciekłam.

Dowiedziałam się później od Grażyny, że Dorota została katechetką, co niezmiernie mnie rozśmieszyło.

*

Z Grażyną zaprzyjaźniłam się na studiach. Właściwie to chodziłyśmy do jednej klasy, ale nasza znajomość nie przekroczyła rytualnego „cześć”. Na uczelni zbliżyłyśmy się. I tak już zostało. Mam jednak wrażenie, że to ja zabiegam o naszą znajomość, telefonuję, przyjeżdżam, a ona... Cóż, ona ma własne życie i pewnie nie zauważyłaby, gdyby mnie w nim zabrakło.

Grażyna została we Wrocławiu. Skończyła dermatologię, otworzyła prywatny gabinet i świetnie sobie radzi. Jest rozwódką jak ja i ma dorosłą, zamężną córkę. Otacza ją liczne grono wielbicieli.

Po telefonie Grażyny zaczęłam się przygotowywać: poszłam do fryzjera, podciąłam i ufarbowałam włosy. Kupiłam też komplet na wieczór: niebieską spódnicę wyciętą u dołu w trójkąt i górę w tym samym kolorze ozdobioną drobnymi kwiatkami.

Czy to nie będzie zbyt infantylne? - zastanawiałam się. - W moim wieku... Może wydam się śmieszna? Ale dlaczego w sklepie mi się podobała? Pamiętam, jak ekspedientka usilnie przekonywała mnie, że świetnie wyglądam! Dlaczego dałam się na to nabrać?

Tupnęłam nogą ze złości. A jeszcze kilka dni temu nie miałam wątpliwości. Wręcz widziałam w marzeniach, jak wkraczam do restauracji w tej sukni, wszyscy na mnie patrzą i zazdroszczą.

*

Pociąg zahamował. Stanęliśmy gdzieś w szczerym polu.

Spóźni się - spojrzałam na zegarek.

Wyjrzałam przez okno. Pola zieleniły się świeżą, wiosenną zielenią. Słońce grzało coraz mocniej. Niebo mieniło się błękitem. Zanosilo się na piękny dzień. Wstałam, popatrzyłam w lustro.

Hm, włosy wyszły zbyt rude, a twarz... Za szerokie kości policzkowe, duże brązowe oczy, osadzone zbyt blisko. Brwi nie-wyregulowane. Prawie nie miałam zmarszczek, ale cera pozostawiała wiele do życzenia. Tak to jest, jak się oszczędza na kosmetykach. Jedynym atutem była niezła figura. No, może piersi mogłyby być trochę większe.

Palcami zwichrzyłam włosy.

„W makijażu będzie lepiej” - westchnęłam. Naprawdę zależało mi na tym, żeby zrobić wrażenie. Zaczęłam się denerwować. To spotkanie miało być wydarzeniem w moim nieciekawym życiu. Chciałam, żeby się udało, żeby było miło, żebym się nie zdołowała, jak

zwykle po podróży do Wrocławia. Serce biło coraz mocniej. Poczułam znajomy ucisk w gardle. Spojrzałam na torebkę. Nie, nie powinnam. Po kilku sekundach nie wytrzymałam.

Sięgnęłam do bocznej kieszonki. Wyjęłam tabletki. Zażyłam jedną.

To był mój sekret - tabletki na uspokojenie.

Brałam je od dawna. Pierwszy raz lata temu. Miałam kolokwium „z czaszki”, pierwsze kolokwium, potwornie się zdenerwowałam. Ojciec podał mi małą, żółtą pigułkę i wszystko stało się proste. Potem brałam od czasu do czasu. Lepiej spałam, byłam ogólnie spokojniejsza. Uważałam, że nie ma problemu, że mogę w każdej chwili przestać.

Typowe.

Biorę nadal, nawet nie szukam pretekstów. Po prostu muszę. Ale nigdy nie przekraczam dawki, którą sobie sama narzuciłam.

Spojrzałam przez okno. Dojeżdżałam. Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam. Grażyna obiecała odebrać mnie z dworca.

- Dojeżdżam - oświadczyłam.

- Pospiesz się. Stoję na zakazie koło CPN-u! - krzyczała do telefonu.

Wyskoczyłam z pociągu. Biegłam szybko przez dworzec. Kółka walizki stukotały nieprzyjemnie o bruk.

Grażyna wysiadła, żeby otworzyć bagażnik swojej toyoty. Wyglądała świetnie. Mocno opalona, uśmiechnięta. Miała na sobie lniany kostium ze spodniami, do tego białą bluzkę i dużo grubej, ciężkiej biżuterii: srebro i bursztyn. Okulary przeciwsłoneczne przytrzymały włosy do ramion, proste, farbowane henną. Wsiadłam do wozu. Rozżalona, zastanawiałam się, co jest ze mną nie tak. Szary kostium, który miałam w podróży, wydał mi się pospolity. Tylko perły były dobre. Machinalnie dotknęłam naszyjnika. Kupiłam go sobie pod choinkę.

Perły zawsze mają klasę i do wszystkiego pasują.

Grażyna ostro ruszyła i zręcznie manewrowała autem. Ruch był ogromny, miasto rozkopane, wszędzie objazdy. Nowe budynki o wymyślnej architekturze wyrastały wokół. Reklamy krzyczały z billboardów.

- Odwiozę cię do domu i muszę wracać do gabinetu. Mam jeszcze kilku pacjentów.

- Nie ma sprawy. A w ogóle dzięki za wszystko. Nie miałabym gdzie nocować, gdyby nie ty.

Po śmierci matki sprzedawałam mieszkanie, choć namawiano mnie na wynajęcie. Pomysł był dobry, zawsze te parę złotych by było, ale mieszkanie wymagało kapitalnego remontu, a na to nie było mnie stać. Próbowałam się przeprowadzić. Dałam ogłoszenie w

gazecie. Nie było żadnych propozycji. Może powinnam była bardziej się zaangażować? Niestety. Taką już miałam naturę. Bierną.

Sprzedalam więc mieszkanie, pieniądze umieściłam na koncie i od czasu do czasu z nich korzystałam, zwykle w czasie wakacji.

- Jakie są plany? - zapytałam.

- Dziś mamy czas na ploty. Jutro wieczorem kolacja w „Renesansie”, pojutrze pojedziemy do Górki. Adam ma tam mały domek letniskowy. Pospacerujemy, zrobimy ognisko.

- A kto będzie?

- Jola, Asia i Ewa. Oczywiście Adam, Tomek, Misiek i być może Stefan, ale to nie jest pewne - wyliczała Grażyna.

Weszliśmy do mieszkania. Grażyna zakręciła się jak fryga. Potem szybko wybiegła. Zdążyła tylko krzyknąć przez drzwi:

- Pa, Agatko. Buźka! Będę około trzeciej. I nie zwracaj uwagi na bałagan. U mnie tak zawsze.

Rozejrzałam się po mieszkaniu. Byłam już tu co prawda kilka razy, ale zawsze mogło być coś nowego. I było. Na ścianie. Duża, oprawiona fotografia.

Akt!

Na nim Grażyna, spowita w przezroczystą szatę, stojąca na skraju urwiska. Całość w szaro-białej tonacji. Grażyna miała odchyloną do tyłu głowę, lekko przymknięte oczy i zamglony wzrok. W sumie fajna ta fotografia, w stylu retro.

A poza tym nic się nie zmieniło. Zdumiewający, metrowej wysokości kielich z fioletowego szkła był na swoim miejscu tak jak i pomarańczowo-złoty wazon pełen suszonych traw i zbóż. No i te świecidełka wiszące pod sufitem: szklane sople, serduszka i gwiazdki, delikatnie dźwięczące przy najlżejszym dotknięciu. Odpustowa dekoracja.

Na regale Grażyna zrobiła wystawę swoich pamiątek z podróży: były muszle, fragmenty rafy koralowej, wysuszone rozgwiazdy i jeżowce, przeróżne kamienie. To chyba kawałek lawy wulkanicznej - zastanawiałam się, trzymając w ręku czarny, porowaty kamyk.

Na kanapie leżały rozrzucone ciuchy. Wzięłam do ręki sukienkę - prześliczna, z miękkiej tkaniny zadrukowanej złoto-brązowymi wzorami, fantastycznie uszyta: góra bez ramion, spódnica leżąca, do ziemi. Wspaniały strój wyjściowy. Gdzie ona kupuje takie rzeczy?

Zrobiłam kawę. Przy okazji zajrzałam do szafek kuchennych, nie było nic do jedzenia ani nawet cukru do kawy. Z podróży zostało mi tylko kilka herbatników. Za mało, żeby

zaspokoić głód.

Pewnie pójdziemy coś zjeść na miasto, skoro lodówka pusta - domyślałam się.

Przygotowałam sobie strój na popołudnie: brązowa spódnica i beżowa bluzka z angielskiego haftu, sznurowana na plecach. Powinno być w porządku.

Zmęczenie dawało się we znaki, zamarzyłam o drzemce. Już miałam się położyć, gdy zadzwonił telefon. Odebrać czy nie? Na szczęście włączyła się automatyczna sekretarka: „Grażynko, tu Robert. Odbierz lub oddzwoń. To ważne. Kocham”.

Jak widać, romans trwa w najlepsze.

O Robercie niewiele wiedziałam. Biznesmen z Krakowa. Chyba sama Grażyna nie wiedziała tak do końca, czym się zajmuje. Na pewno miał kasę. To jemu zawdzięczała niejedne wakacje: Egipt, Meksyk, Bali. Czasem organizował weekendy w Paryżu czy Rzymie, niekiedy w Polsce. Oczywiście w lux hotelach. Ostatnio, w majowy weekend, byli w Kliczkowie w zamku: konie, baseny, spa. Takie tam bajery. Zawsze kwiaty, eleganckie kolacje. Raz nawet wynajął cały lokal. Byli tylko we dwoje. Orkiestra grała, oni tańczyli. Romantyczna kolacja, jak w bajce.

Był jednak problem. Facet miał żonę i nic nie wskazywało na to, aby chciał się rozwieść. Grażyna cierpiała i czekała. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś pocieszyciel, ale na krótko. Potem wszystko wracało do normy.

Grażyna zjawiała się jakiś kwadrans po trzeciej.

- Robert ci się nagrał - powitałam ją.

Poszła do sypialni. Dobiegły mnie strzępki rozmowy:

- Nie mogę... Koleżanka... Spotkanie... Na pewno...

Hm, coś jednak zakłóciłam.

Ale Grażyna była wesolutka jak skowronek.

- To co, idziemy coś zjeść? A potem... zobaczymy. Może ogród? Najlepiej to chodźmy do tej restauracji koło ogrodu. Usiądziemy na tarasie. Bardzo lubię to miejsce.

Wyjęła kolejne spodnie, tym razem zielone, lniane. Do nich dopasowała bluzkę koszulową wiążaną w pasie. Na rękę włożyła grubą, kutą ze srebra bransoletę ze sporym turkusem w kształcie skarabeusza.

- Czy ty w ogóle nosisz spódnice? - zapytałam.

- Prawie nigdy. Spodnie są wygodniejsze, a poza tym...

Spójrz. - Uniosła nogawkę i zobaczyłam niewielkie, ale jednak... żyłaki.

- Ojej - wyjąkałam.

Tym razem to ja mogłam się pochwalić szczupłymi nogami bez śladu naczynek czy

żyłaków (cellulit się nie liczy).

- Idziemy czy jedziemy?

- Idziemy. To niedaleko. Poza tym będę mogła coś wypić - podjęła decyzję.

Restauracja była elegancka. Zajęliśmy stół na tarasie. Większość gości stanowili turyści. Obok nas siedzieli Niemcy, a dalej chyba Włosi. Przed oczyma rozpościerał się widok ogrodu - kwitły bzy, irysy, tulipany. Pachniały akacje. Iglaste krzewy przystrzyżone w różne figury geometryczne mieniły się jasną i ciemną zielenią.

Podszedł kelner. Młody, przystojny chłopak. Podał menu.

- Ja poproszę piwo Żywiec, duże - zaznaczyła Grażyna. - A ty?

- Ja poproszę mojito.

- Proszę bardzo. - Kelner był ujmująco grzeczny.

- Resztę zamówimy później. Chcemy się zastanowić.

- Oczywiście. - I odszedł.

Kartkowałyśmy menu.

- To czysta rozpusta, spójrz na te ceny - wyszeptalam.

- Pamiętaj, raz się żyje. To co bierzemy?

- Muszę pamiętać o diecie. Chyba wezmę warzywa na parze i filet z kurczaka z grilla.

- Zamknęłam kartę.

- A ja - Grażyna jeszcze zerknęła w menu - francuską zupę cebulową i polędwiczki z gruszkami.

Kelner przyniósł napoje i odebrał zamówienia.

- Mojito? Co to za drink? - spytała Grażyna.

- Kubański. Rok temu chciałam pojechać na Kubę. Ale po pierwsze była za droga, po drugie straszliwie długi lot. Wiesz, był tam znajomy znajomej. Wrócił zachwycony. Też chciałam pojechać, ale nie wyszło. Niemniej czytałam sporo o Kubie, między innymi o drinkach. Jak mam okazję, to zamawiam właśnie mojito. To w końcu kultowy drink. Podobno uwielbiał go Hemingway.

- I ty to nazywasz dietą. - Pokręciła głową.

- Raz się żyje, prawda? - Spojrzałam na nią z góry.

Na taras padał już cień, ale ciągle czuło się przyjemne ciepło. Fotele były bardzo wygodne. Gdy zjadłyśmy, nie chciało nam się nigdzie ruszać. Za to zamówiłyśmy deser. Sernik. Przepyszny.

- Pójdziemy do ogrodu? - Wstałam, odsuwając fotel.

- Za późno. Jest po szóstej, nie wpuszczają nas. - Grażyna spojrzała na zegarek.

- Szkoda. - Byłam rozczarowana.

- Ale pójdziemy przez Ostrów, potem nad Odrę w stronę rynku. Zobaczymy, co tam się dzieje. Może będzie orkiestra z opery?

Nagle Grażyna znieruchomiała. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Sztywno skinęła głową w ukłonie. Obejrzałam się, kilka stolików dalej siedziało kilku mężczyzn. Jeden z nich patrzył na Grażynę... Facet w średnim wieku o dość przyjemnym wyglądzie.

- Kto to? - szeptem zapytałam.

- To Henryk.

- Ten Henryk? Ten? - dopytywałam się.

- Tak, ten - zdenerwowała się. - No, chodźmy już.

Henryk, wielka miłość i wielkie rozczarowanie. Przed laty doprowadził małżeństwo Grażyny do upadku. Poznała go na jakimś medycznym zebraniu. Od razu zaczął z nią flirtować. Miał opinię kobieciarza. Do tego był żonaty i miał dzieci. Grażyna, wówczas mężatka z kilkuletnią córką, zakochała się na śmierć. Co też ona wyprawiała! Nachodziła go w szpitalu, w pogotowiu, wydzwaniała do domu. Żadne argumenty do niej nie trafiały. W końcu Henio dał się poderwać na coś więcej niż jednorazowy seks. Zawiązał się romans. Były weekendy w górach, romantyczne spacery i kąpiele w pianie z szampanem. I tak to trwało parę lat. W końcu mąż Grażyny zorientował się w sytuacji i postawił ultimatum - on albo ja. Grażyna dokonała wyboru. Liczyła na to, że Henryk zdecyduje się na rozwód. Ale się przeliczyła. Kiedyś przypadkowo poznała jego żonę, ta o wszystkim wiedziała i nawet dała jej do zrozumienia, że nie była ani pierwszą, ani ostatnią i że ona, żona, to przetrwa. W końcu bomba wybuchła. Henio zrobił dziecko swojej pielęgniarce. Tego nie wytrzymała już ani żona (po prostu go wyrzuciła), ani Grażyna (zerwała z nim).

Henio ożenił się z pielęgniarką, były kolejne dzieci, mieszkali u teściów i nie było mu lekko. Jeszcze jakiś czas nachodził Grażynę. To zostawiał jej wiadomości za wycieraczką samochodu, to kwiaty pod drzwiami. Na szczęście nie dała się na nic nabrać, niemniej została rozwódką z małą córką.

- Jakie to miasto jest małe - ironicznie zauważyła Grażyna.

- Lepiej powiedz, co u twojej wspaniałej córki. - Chciałam zmienić temat rozmowy, aby zatrzeć w pamięci niemiłe spotkanie.

Córka Grażyny była naprawdę wspaniała: ładna, grzeczna, zaradna. Nigdy nie sprawiała żadnych problemów. Czasem żartowałam, że gdybym naprawdę chciała mieć dziecko, to chyba porwałabym jej Danusię.

Grażyna rozjaśniła się.

- Wszystko dobrze, pracuje, nieźle zarabia. A wiesz, jest w piątym miesiącu ciąży.

- O, to świetnie!

- Tylko ten jej mąż - skrzywiła się.

Byłam zaskoczona. O mężu Danusi Grażyna zawsze mówiła w superlatywach: zaradny chłopak, przystojny i dobry.

- Jak wiesz, jest alpinistą i ciągle gdzieś wyjeżdża, do tego to jest niebezpieczne. Teraz, kiedy Danka jest w ciąży, chciałaby, żeby zrezygnował, ale on nie chce o tym słyszeć.

- To będzie trudne. Przecież uprawiał wspinaczkę, zanim się związali. Zresztą, o ile pamiętam, to właśnie na skałkach się poznali, prawda? I twoja córka jeździła z nim czasem na wyprawę?

- Tak, ale wszystko się zmieniło, dziecko w drodze i Danusia nie chce martwić się o niego, nie chce zostać sama. Przecież już raz była taka sytuacja, że przez kilka dni nie wiadomo było, co się z nim dzieje. Mówiono, że zaginął, że nie żyje, a po prostu nawaliła łączność, ale co ona wtedy przeżyła!

- Trudna sytuacja - powtórzyłam, bo właściwie nie wiedziałam, co powiedzieć. Pewne jest, że facet nie rezygnuje z pasji, a dla Danusi dziecko będzie zawsze najważniejsze. Muszą pójść na kompromis. Ale jaki? Marnie to widzę. A właściwie dlaczego? Przecież przed laty był ktoś, kto zrezygnował ze swojej pasji dla kobiety. Dla mnie! Mój były mąż, Krzysztof, uprawiał lotniarstwo. Pamiętam, postawiłam ultimatum - ja albo lotnie. Wybrał mnie i nigdy nie dał odczuć, że coś stracił. Naprawdę musiał mnie kochać. To był fatalny okres w moim życiu, jak teraz wspominam. Żaden kompromis nie wchodził w rachubę. Trwałam w permanentnej depresji. On stanowił wówczas jedyny łącznik z rzeczywistością. Uczepiłam się go jak tonący brzytwy. I nie odpłaciłam uczuciem. Zbyt byłam zajęta sobą. To tylko lęk przed kolejną możliwą stratą sprawił, że zażądałam, by zrezygnował z ulubionego sportu. Czy mi się to opłaciło? Trudno powiedzieć. Małżeństwo nie przetrwało, choć zupełnie z innego powodu. Ciekawe, czy wrócił do lotniarstwa po rozwodzie?

A co do Danusi? Może się jakoś dogadają? Ale to nie moja sprawa.

Szłyśmy wzdłuż Odry. Z przystani odpływał stateczek wycieczkowy. Mijały nas grupy studentów, pary trzymające się za ręce, turyści. Towarzyszyła nam specyficzna atmosfera, charakterystyczna dla dużego miasta. Miało się wrażenie, że jest się w centrum czegoś ważnego. Może świata? Nie wiem. Ale czułam się dobrze.

Wędrowaliśmy wąskimi uliczkami Starego Miasta, pośród wiekowych kamieniczek. Liczne knajpki były zajęte do ostatniego miejsca. Z ogródków dobiegały dźwięki muzyki, a także gwar rozmów i śmiech. Odetchnęłam głęboko.

- Ja jednak strasznie tęsknię za Wrocławiem - szepnęłam.

- To czemu nie wrócisz? - zapytała Grażyna.

- Po pierwsze, to nierealne. A po drugie, nie ma powrotów po dwudziestu latach. To jakby na nowo zacząć. Przyznaj sama, czy byłoby miejsce dla mnie w twoim życiu? A inni? Dawno już o mnie zapomnieli.

- Ależ Agatko, oczywiście, że byłoby. Zawsze - zapewniała Grażyna.

Ty cholerna krowo, pyskowałam w myślach, przecież ty nigdy do mnie nawet nie zadzwoniłaś, tak po prostu, bez powodu. Zawsze tylko ja... Nawet nie pomyślałaś, jak ja się czuję, tak ciągle się napraszając, zabiegając...

Ale milczałam, bo co by mi przyszło teraz ze sporu? Swoje i tak wiedziałam!

- Co z Robertem? Słyszałam, że znowu dzwonił. - Chciałam zmienić temat.

- Właściwie to dobrze, ale ostatnio jest jakby inny. Zaczęło się tak jakoś po powrocie z Kliczkowa - ciągnęła.

- Co, problemy w rajku? W interesach? - przerwałam jej.

- Nie, chyba nie. Mam wrażenie, że coś ze zdrowiem. - Sprawiała wrażenie przybitej.

- Nie powiedziałby ci? Przecież jesteś lekarzem - zdziwiłam się.

- No właśnie, ale mówi ostatnio takie rzeczy: że ze mną przeżył najlepsze chwile, że nasza miłość przetrwa nawet śmierć i takie tam... I wydaje mi się, że jest jakiś blady, bez życia, że schudł...

- A pytałaś?

- Tak, ale mnie zbywa. Jak ostatni raz był u mnie, to nawet się nie kochaliśmy - ściszyła głos. - A ty? - Tym razem to Grażyna zmieniła temat. - Poznałaś kogoś? Coś się zmieniło?

- Nie, nic. Ale ja nie jestem osobą rodzinną. Robię, co chcę i kiedy chcę, nie muszę przejmować się czyimiś humorami i nie muszę walczyć o pilota. - Zaśmiałam się. - Czasem zastanawiam się, co będzie później, ale tyle moich znajomych tkwi w nieudanych małżeństwach... nie... tak jak jest, jest dobrze. Mam kilka koleżanek, czasem spotykamy się, jedziemy gdzieś, na wakacje też mam z kim pojechać.

- Ej, Agata, Agata, tak się tylko mówi. - Grażyna nie była przekonana, ja chyba zresztą też.

- Masz już jakieś plany wakacyjne? - zainteresowała się Grażyna.

- Tak, wybieram się z koleżanką na Kretę.

- Nie byłam nigdy na Krecie. Podobno jest piękna. Ja myślę o Portugalii, lubię zwiedzać, nie wytrzymałabym dwóch tygodni na plaży.

- Ja też nie. Będziemy jeździć na wycieczki, chociaż Ala, ta koleżanka, z którą jadę, to leń, mogłaby leżeć na plaży całe wczasy.

- Ale, ale! W zeszłym roku był taki okropny wypadek na Krecie. Na jakiejś ekstremalnej trasie w górach auto spadło w przepaść, wszyscy zginęli. To była rodzina Hanki, pamiętasz Hankę z grupy B?

- Hankę?

- No Hankę, tę damę... Zawsze buty na obcasach, spódnice, włosy rozpuszczone do pasa - denerwowała się Grażyna.

Już wiedziałam, o kogo chodziło. Jasne spódnice, kolorowe bluzki i to w czasach, gdy reszta chodziła jak umundurowana: czarne spodnie i golfy. No i te włosy. Nie przypominałam sobie, żeby kiedykolwiek miała je upięte czy związane.

- Pamiętam, pamiętam. Ale to co mówisz, jest straszne. - Wzdrygnęłam się. - My nie wypożyczymy auta, bo żadna z nas nie prowadzi, choć właściwie to szkoda, bo ciekawe miejsca są poza zasięgiem. Ach - rozmarzyłam się - już bym chciała tam być.

Zrobiło się ciemno. Rynek pięknie oświetlony, zwłaszcza ratusz. Kilka konnych dorożek krążyło z turystami. Nikt się nie spieszył. Orkiestry, niestety, nie było, tylko mała grupka Cyganów krążyła, przygrywając po knajpkach. Powiał chłodniejszy wiaterek.

- Wracajmy do domu, późno już - zatrzęsłam się.

- Dobrze, tylko musimy zajść do sklepu. Kupię jakieś wino, albo wódkę i sok do drinków. - Spojrzała pytająco.

- OK. I kup coś do jedzenia, bo lodówkę masz pustą.

- Agata! To ty wymyśl i kup coś do żarcia, ja idę po alkohol! - zdecydowała Grażyna.

Buszowałam po półkach w markecie. Co tu kupić? Przecież nie będziemy robić wystawnej kolacji. Wzięłam w końcu kawałek sera żółtego, oliwki, marynowane grzybki, kawałek łososia i duże pudełko krakersów. Zrobię koreczki, pokroję łososia w cieniutkie plastry, do tego krakersy i wystarczy. Od strony monopolowego nadchodziła Grażyna z butelką wódki i dużym kartonem soku pomarańczowego.

Hura! Będziemy robić drinki!

- Wyjmuj album - zażądałam.

Grażyna miała fantastyczny album ze zdjęciami z lat szkolnych i ze studiów. Były tam fotografie, oczywiście czarno-białe, z imprez, wycieczek, prywatek. Słowem: kronika wydarzeń.

- Czekaj, czekaj. Muszę zrobić drinki - znęcała się nade mną.

Usiadłyśmy wygodnie na kanapie. Grażyna przysunęła jedną ze swoich fikuśnych

lamp i zaczęłyśmy wspominki.

- Patrz, to przecież Lilka! Wygląda jak dziecko z tym warkoczem. To chyba była impreza u Artura w trzeciej klasie?

- Tak, to jego ogród. - Zmrużyłam oczy. - Nie do wiary, jak my wyglądałyśmy w porównaniu z dzisiejszymi nastolatkami. Istne dziewczyneczki skromne i niewinne.

- No, z tą niewinnością to było różnie - śmiała się Grażyna.

Z fotografii uśmiechała się Lileczka. Stała z innymi koleżankami, pozując do zdjęcia. Miała na sobie białą sukienkę w grochy i białą kokardę we włosach.

Nie mogłam oprzeć się nostalgii.

Oj, Lilka, Lilka, gdzie ty się teraz podziewasz? To dzięki tobie chodziłam do filharmonii, do teatru, czytałam ambitną literaturę. Dziewczyno - gdybyś ty nie chciała poprawiać świata!

Lilka związała się z grupą młodych ludzi o nieco hipisowskich zwyczajach, chciała być bliżej natury, została wegetarianką, ubierała się w stylu country, zawzięcie dyskutowała o ekologii, która wtedy nas nie interesowała. I gdzieś tam po drodze się zagubiła. Zmieniała kierunki studiów, nie mogła znaleźć sobie miejsca, a w końcu rzuciła wszystko i zamieszkała z nawiedzonym socjologiem-ekologiem-poetą. Mówiono, że mieszka w Poznaniu albo wyjechała za granicę. Od matury jej nie widziałam. Zrobiło mi się smutno.

- Nalewaj - powiedziałam do Grażyny. - I przysuń koreczki.

- A to zdjęcia z wagarów. Pamiętasz, jak uciekliśmy całą klasą i pojechaliśmy do... - Zawiesiłam głos. - Zaraz, zaraz. Gdzie my to jechałyśmy wtedy?

- „Wsiąść do pociągu byle jakiego” - zanuciła Grażyna.

- To był numer! - Patrzyłam na zdjęcia naszej klasy, wędrującej beztrósko po jakichś łąkach. - Pamiętasz, jak wojsko nas tam zwinęło i straszło, że każą nam czyścić latryny, jeśli się szybko nie wyniesiemy? A ja spytałam, co to są te „latryny”. Wojacy myśleli, że sobie kpię, a ja naprawdę nie wiedziałam.

- A pamiętasz, jak wylałyśmy chłopakom wino do zlewu? Omal nas nie pobili - chichotała Grażyna.

- A pamiętasz, jak powiedziałam, że umiem grać w brydża i zaprosili mnie na partyjkę, a ja miałam osiemnaście punktów i spasowałam? Cała szkoła o tym gadała, a Marek się do mnie nie odzywał przez rok, a patrzył, jakby chciał mnie zabić. - Ze śmiechu tarzałam się po kanapie.

Na zdjęciu Marta w dresie, rzuca piłkę do kosza.

Poczułam ucisk w gardle. Marta. Nie ma jej już na świecie, zmarła wiele lat temu. Rak

piersi. Miała tylko trzydzieści lat! Operacja, chemia, naświetlania. Wydawało się, że sytuacja jest opanowana. Ale ona uparła się na rekonstrukcję piersi. Wszyscy jej to odradzali. Bez skutku. Wystąpiła wznowa i po roku walki o życie Marta zmarła.

Chwila milczenia.

Jakie to niesprawiedliwe, pomyślałam. Była taka młoda.

Grażyna, jakby czytając w moich myślach, szepnęła:

- Patrz, wszystko jest takie kruche na tym świecie. Dziś jesteś, jutro cię nie ma. I nic się nie zmienia. Świat toczy się dalej już bez ciebie. Czy to ma sens? - roztrząsała. - Zabijamy się o pieniądze, walczymy o facetów, usiłujemy przedłużyć młodość... - ciągnęła.

- Mnie nie pytaj. Nie wiem. Może ważne jest tylko to, co tu i teraz? Żyć chwilą i za wiele nie myśleć.

- I ty tak żyjesz? - Pokiwała ironicznie głową.

Zamilkłam.

Pewnie, że nie. Ja w ogóle nie żyję. Ja wegetuję. Ale inaczej nie potrafię. Walka o faceta, o związek, o miłość - to nie dla mnie. Zabieganie o utrzymanie kruchych przyjaźni, znajomości raczej - i owszem. Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby rodzice... - rozżaliłam się nad sobą, a procenty też swoje zrobiły.

I w tym momencie poczułam (czyżby omamy alkoholowe?) leciutki, ledwie uchwytny zapach lawendy. Pomyślałam o matce. To ona używała mydła lawendowego. Było drogie i trudne do zdobycia. Nie wolno mi było go ruszać.

- Wiesz, Agata, niedawno spotkałam Artura. Pytał o ciebie - Grażyna zmieniła temat.

- O mnie? Artur? - Miałam kłopoty z koncentracją. Poza tym Artur budził we mnie mieszane uczucia.

- Twierdzi, że się w tobie kochał w szkole.

- Kochał? We mnie? Coś mu się pokręciło. On się kochał w Dorocie. Koło niej się kręcił. Nawet jak rzuciła studia, to jeszcze mnie o nią wypytywał. To niemożliwe!

- A jednak. Mówił coś o tej wielkiej prywatce z trzeciej klasy - upierała się Grażyna.

- Ano właśnie! To ja się w nim podkochałam, ale on wolał Dorotę, więc na tej prywatce trochę obściskałam się z jego kuzynem. To było głupie, a najgorsze to, że jego kuzyn był palantem - wybuchnęłam.

Na samo wspomnienie paliłam się ze wstydu. Facet był od nas starszy, siedziałam mu na kolanach, a on wsadził mi rękę pod bluzkę i ścisnął piersi, nie pieścił, tylko właśnie ścisnął, mocno, do bólu. A ja nic, tylko zerkałam, czy Artur widzi. Widział. Zrobiłam z siebie idiotkę. Potem unikałam Artura przez lata.

- Został szefem kliniki.

- Wiem, widziałam go w telewizji, w którymś z tych programów, hm, zaangażowanych społecznie. Gdzieś nie chcieli przyjąć pacjenta. Media szukały winnych.

Talerze były puste, alkohol wypity. Oczy się nam zamykały. Ocknęłam się nad ranem, w ubraniu, na kanapie, z Grażyną na waleta. Próbowałam ją obudzić.

- Idź do łóżka. - Usiłowałam zrzucić ją z kanapy.

Coś burknęła nieprzytomnie.

Wstałam, poszłam do sypialni, rozłożyłam się wygodnie, ale nie mogłam już zasnąć, bolała mnie głowa, było mi niedobrze. Może wziąć tabletkę? Nie, będę za bardzo osłabiona. Liczenie imion żeńskich na A lub E dawało rezultaty.

Kiedy się obudziłam, promienie słoneczne uderzały w okna. Była jedenasta rano. Głowa nadal rwała, w ustach sucho. Kac.

- Grażyna - jęknęłam. - Śpisz?

Cisza. Zwlokłam się z łóżka. Grażyny nie było. Tylko kartka. „Muszę iść do gabinetu, będę około trzeciej”. Boże, po takiej popijawie? Ona ma zdrowie! Zrobiłam kawę, wzięłam prysznic i znowu się położyłam...

- Wstawaj. Przyniosłam obiad - zawołała wesoło Grażyna, świeżutka jak poranek.

*

Jechałyśmy taksówką. Zamyśliłam się. Dlaczego zawsze tak jest, że gdy patrzę w lustro, zamiast baby po czterdziestce widzę dwudziestolatkę, szczupłą, o dobrej cerze. Nie widzę cieni pod oczami ani zmarszczek. Dlaczego kupuję takie rzeczy? Suknia jest za jasna na wieczór, wszystkie na pewno będą na czarno - medytowałam. Ja w czerni wyglądam fatalnie i dlatego nigdy jej nie noszę. Ale mogłam kupić coś w zieleni czy brązie, czy nawet czerwieni, a mnie zachciało się błękitów. Z zazdrością zerknęłam na strój Grażyny - czarne jedwabne spodnie i top na ramiączkach, wyszywany cekinami. Ona zawsze wiedziała, jak należy się ubrać!

Restauracja była niedaleko Rynku.

Szłam ostrożnie, jak na szrudłach, w nowych pantoflach na wysokich obcasach, wpatrzona w trotuar i modliłam się, aby cało dojść do celu.

- Mamy zarezerwowany stół, chyba na dole. - Grażyna rozglądała się po holu restauracji. Kelner dyskretnie wskazał drogę.

- Wszyscy już są! - zawołała.

- Czyli mamy entrée - roześmiałam się.

Schodziłyśmy po schodach. Widziałam twarze Ewy, Asi, Joli i chłopaków, Adama i

Tomka. Dwa puste krzesła czekały.

Zbliżając się, doznałam zawodu: ci faceci w średnim wieku to moi koledzy? Niemożliwe! Dziewczyny prezentowały się znacznie lepiej. No, ale miały za sobą cały przemysł kosmetyczny! Przyjrzałam się lepiej.

Adam trzymał się w formie. Nie utył, a jego kręcone włosy, obecnie krótko przystrzyżone, zachowały swój dawny kolor. Zresztą był typem sportowca: pływał, grał w piłkę, jeździł na nartach. Miał wielkie powodzenie u dziewczyn, ale zawsze kręcił się koło Grażyny. Wszyscy sądzili, że to będzie para, bo byli ze sobą naprawdę blisko. Ale on się ożenił, ona wyszła za męża. Adam skończył architekturę i wyjechał do Gdańska. Od Grażyny wiedziałam, że utrzymują ze sobą stały kontakt telefoniczny i że żona Adama alergicznie reaguje na samo imię Grażyny, utrudniając im kontakty.

Z Adamem przed laty miałam dziwny incydent - to chyba dobre określenie - ciekawe, czy go pamięta?

Obok Adama siedział Tomek. Kiedyś był szczupły, wysoki, nieśmiały. Dziś czarne włosy się przerzedziły, wyblakły. Oczy nie były już tak niebieskie i nie przykrywały ich długie rzęsy, będące przedmiotem zazdrości koleżanek. Tomek sporo przytył, zgarbił się, szyja wpadła gdzieś między ramiona. Marynarka garnituru z trudem opinała jego sylwetkę. W szkole Tomek startował do Doroty, ale był zbyt nieśmiały, aby coś z tego wyszło. A byłiby ładną parą - ona wtedy szczupła, naturalna blondynka, on niebieskooki brunet.

Tomek skończył medycynę jakiś rok po mnie. Był wziętym ginekologiem. Osiągnął sukces i było to po nim widać. Pewność siebie biła od niego na kilometr.

Sąsiednie krzesło zajmowała Asia.

Asia skończyła prawo w czasach, kiedy ten kierunek był całkowicie niemodny. Potem założyła butik i prowadziła go w okresie trudnym dla prywatnej inicjatywy: ciągłe braki w zaopatrzeniu, konieczność kombinowania, załatwiania. Ale dała sobie radę... Wyszła za męża za faceta starszego o dwadzieścia lat, który miał układy. Potem został opozycjonistą. Wreszcie wylądował w ławach poselskich. Wybudowali duży dom na obrzeżach miasta i Asia stała się panią domu. Urządzała przyjęcia, jeździła po świecie i zajmowała się ogrodem. Trafiała z nim do żurnali - opisany i obfotografowany, znalazł się w ekskluzywnym piśmie. Asia ubrana była w czarną, prostą sukienkę. Założyła się, że metka była z Paryża.

Obok siedziała Ewa - Ewcia, mała Ewunia, ulubienica wszystkich, serdeczna i uczynna. Miała figurkę dziesięcioletniej dziewczynki, filigranowa, o delikatnych rysach, reprezentowała nauki ścisłe - chemię. Pracowała na uniwersytecie, habilitowała się parę lat temu i spodziewano się, że wkrótce zostanie profesorem. Ewunia miała męża i trzech synów,

co mnie dziwiło, gdyż uważałam, że nigdy nie wyjdzie za mąż - wydawała się taka aseksualna. Była w czarnej niemodnej garsonce.

Jola paliła papierosa i patrzyła dokoła nieobecny wzrokiem. Przed kilkoma laty przeżyła tragedię. Syn-jedynak, siedemnastolatek, zaćpał się na śmierć. Wtedy też rozpadło się jej małżeństwo. Jola ukończyła ASP. Była malarką. Ciekawe, że po tej tragedii jej kariera nabrała tempa. Wystawiała teraz w Polsce i Europie.

O, Boże, ten łysak to Stefan? Przed oczami miałam jego bujną czuprynę z czasów szkolnych. Nosił włosy do ramion, a teraz łysa pała! Stefan studiował ze mną i Grażyną. Ale jakieś dwa lata przed końcem zniknął. Podobno miał kłopoty finansowe, zmarł mu ojciec. Potem wrócił, skończył studia. Zaraz po stażu wyjechał do Szwecji i tam został.

No i Misiek. Jak on właściwie ma na imię? Coś jak Julian? Nie znosił tego imienia, dlatego został Miśkiem. W szkole był niskim, chudym chłopakiem, a teraz był niskim grubym mężczyzną. Nie lubiłam go. Nieco ordynarny, skłonny do rubasznych dowcipów. Nie był interesujący. Właściwie nie wiem, co robił. Z trudem zdał maturę, kilkakrotnie zaczynał studia, nic nie skończył. W sumie nie musiał, po rodzicach miał sklep czy sklepy, które na niego zarabiał.

To są moi znajomi z dawnych lat?

Powitania, podawanie rąk, klepięcia, buziaczki. Gesty bez znaczenia.

- Miło cię widzieć!

- Kopę lat!

- Agatko, świetnie wyglądasz. (To Adam).

- Co u ciebie?

Boże, co ja tu robię? Przecież to nie są moi koledzy. Nie mam z nimi nic wspólnego! Nie miałam przed laty, a tym bardziej teraz. Może tylko Ewa i Adam wzbudzali jakieś emocje. A reszta? O czym będziemy rozmawiać? Wolałabym spędzić ten wieczór tylko z Grażyną, pójść nad Odrę czy do teatru.

Usiadłam. Na stole był obowiązkowy w ostatnich latach zestaw przekąsek: smalec, chleb razowy i ogórki kiszzone.

Ktoś napełnił kieliszki.

- No to zdrowie. Za spotkanie!

Po jednej stronie miałam Grażynę, po drugiej Stefana.

- Jak ci się wiedzie w tej Szwecji?

- Normalnie. Zimno. - Wzruszył ramionami.

Och, jacy jesteśmy dowcipni. A ja chciałam być uprzejma.

- Podobno masz tam klinikę. Jakiej specjalności?

- Chirurgia miękka, raczej drobne zabiegi. A klinikę mam na spółkę z dwoma innymi lekarzami z Polski.

- Czyli powiodło ci się.

- Owszem.

Nie, ta rozmowa nie ma sensu. Odwróciłam się do Grażyny, która prowadziła ożywioną dyskusję z Ewą i Asią. Adam też się dosiadł.

Kolejna wódka. I dzięki Bogu! Po diabła było mi to spotkanie. Moich koleżanek tu nie ma.

Nina miała depresję i popełniła samobójstwo dawno temu. Biedna Nina miała zawsze tyle planów, jak była w formie. Lilka po maturze dosłownie zapadła się pod ziemię. A Dorota? Z Dorotą nie utrzymuję żadnych kontaktów.

- Podobno wyjechałaś do Belska - to była Jola - dlaczego?

- To długa historia, może kiedyś... - Chciałam ją spławić.

- To ojciec nie mógł ci załatwić pracy, mieszkania we Wrocławiu? - nalegała.

Mógł, ale nie chciał.

- Nie bardzo chcę o tym rozmawiać. Tak wyszło...

- To co właściwie robisz? - Jola była uparta.

Alkohol szumiał mi w głowie. Powiedziałam głośno i wyraźnie, tak aby wszyscy słyszeli:

- Jestem pediatrą, rejonowym pediatrą w marnej przychodni w Belsku. Zarabiam tysiąc pięćset złotych. Wszyscy słyszeli, zadowoleni? Nie mam domu ani niczego. Nie chciałam tam jechać, ale mnie zmuszono - wyrzuciłam z siebie.

Zapadła cisza.

Czułam, jak palą mnie policzki.

Wtedy Misiek zachichotał.

- Ty pediatrą? Przecież nie zносиłaś dzieci. Powinnaś sobie znaleźć bogatego faceta. Rozwiązałybyś przynajmniej sprawy finansowe. - Rechotał oblesnie.

- A co to znaczy „zmuszono”? - drażyła Jola. - Nie rozumiem. Przecież mogłaś się nie zgodzić. - Wzruszyła ramionami.

Gównno, gównno. Nic nie rozumiesz. Ciesz się, że ciebie nikt do niczego nie zmuszał.

- Właśnie... - Głos mi się załamał.

Grażyna chwyciła mnie za rękę, jakby chciała coś powiedzieć.

- Przepraszam, muszę wyjść.

Wzięłam torebkę i pobiegłam do toalety. Muszę się uspokoić, ochłonąć. Byłam wściekła na siebie, że tak mnie poniosło. Sięgnęłam do bocznej kieszonki torebki. Były. Wzięłam jedną. Odetchnęłam głęboko. Za kwadrans będzie dobrze. Umyłam ręce, przypudrowałam twarz, usta pociągnęłam błyszcznikiem.

Przy stole atmosfera była już rozluźniona. Alkohol zrobił swoje: śmiali się, opowiadali dowcipy. Kelner roznosił sałatkę, która w założeniu miała być grecką.

- To nie jest grecka sałatka. Wiem, bo byłem w Grecji. - Misiak nieco bełkotał. - Tam nie dają sałaty do sałatki.

Gra słów rozśmieszyła wszystkich. Ja też czułam się lepiej. Wtedy podeszła Ewunia.

- Nie martw się, Agatko, będzie dobrze. - Poglaskała mnie po rękę.

Nie, nie będzie. Przełknęłam łzy. Chciałam, żeby się odczepiła.

- Dajmy już temu spokój - uśmiechnęłam się. - Podobno niedługo będziesz profesorem? To duży sukces.

- Owszem, ale żebyś wiedziała, ile to pracy. A przecież jeszcze jest dom, dzieci. Sama nie wiem, jak daję radę. Wyobraź sobie, że ja właściwie nie miałam nawet urlopów macierzyńskich. Zawsze wracałam po kilku tygodniach. - Późno wyszłam za męża - ciągnęła Ewunia - moi synowie są stosunkowo mali. Więc piorę, gotuję, sprzątam, a po nocach pracuję.

Stała przede mną drobna, w niemodnej garsonce. Wykonywała pracę Herkulesa. Ale po co? Nie sprawiała wrażenia osoby opętanej ambicją, więc dlaczego?

- Ewa, po co ci to? Zamęczysz się - zaryzykowałam.

- Taka jest tradycja w mojej rodzinie. Nas też było troje, a oboje rodzice byli profesorami. Jeśli moja matka dała radę, to ja też dam - uśmiechnęła się - nie jest tak źle, mam długie wakacje. Mamy mały domek nad jeziorem. Staś, mój mąż, łowi ryby, a ja odpoczywam. Wiesz, nie obraź się, że poruszam ten temat, ale zawsze myślałam, że masz dobrą rodzinę. Nie miałam pojęcia, że miałaś problemy, musiało być ci ciężko - łagodnie powiedziała Ewa.

- Dziewczyny, czemu nie pijecie? - Misiak dolewał wina do kieliszków.

- Dobra, nalewaj.

Główne danie to było jakieś mięso, pieczone ziemniaki, surówka i dip na jednym talerzu. Nie znosiłam dipów. Zaczęłam skrupulatnie czyścić potrawę ze zniechęconego sosu. W efekcie niewiele zjadłam.

Za to alkohol - owszem. Wymieszałam dokładnie wino, wódkę, drinki.

- Agata, chciałbym z tobą pogadać - zaskoczył mnie Adam.

- Teraz? Koniecznie?

- Może jutro. To dla mnie ważne.

Kontakt z Adamem zawsze wywoływał u mnie niepokój, nawet przyjemny. Pamiętam andrzejki u Lilki, jeszcze w szkole. Była Dorota, Nina, ja, Adam i kilku kolegów Lilki z kółka dramatycznego. Tańczyliśmy przy przyciemnionym świetle, do muzyki z adapteru. Adam mocno mnie przyciskał. Nogę wepchnął między moje uda, a rękę włożył pod bluzkę, tak że dotykał moich piersi. Nikt nic nie zauważył. Byłam spłoszona, ale go nie odepchnęłam. Podobał mi się, ja mu chyba też. A jednak nigdy nie próbował się ze mną umówić ani nie telefonował. A potem ta propozycja...

Czego on może chcieć?

Na deser podano strudel jabłkowy na ciepło z lodami.

Jola paliła jednego papierosa za drugim. Dużo piła, nic nie jadła.

- Zaszkożę ci - martwiła się Ewa.

Przyjrzałam się Joli. Była bardzo chuda. Ubrana w przedziwną obszerną szatę, z szerokimi rękawami, którą chyba sama wymalowała i uszyła - wyglądało to coś jak afrykański batik. Na głowie miała turban z tego samego materiału. Dłonie miała chude, palce kościste - ręce starej kobiety. Rysy twarzy wyostrome, oczy smutne. Od czasu do czasu nienaturalnie się ożywiała. Tak jak teraz.

- Wiesz, ostro imprezowaliśmy. Zawsze była jakaś trawa, alkohol. On miał dopiero piętnaście lat i pętał się między nami. Te imprezy trwały całymi nocami, a on chodził, a właściwie powinien był chodzić do szkoły. Nikt tego nie pilnował, ani ja, ani mąż - mówiła z namysłem. - Nie wiem, kiedy zaczął, nigdy tego nie powiedział. Dopiero jak szkoła zawiadomiła nas, że nie chodzi od dwóch miesięcy, okazało się, że ćpa. Ale było już za późno, brał na dobre. Heroinę. Załatwiliśmy ośrodek u księdza, a potem w Monarze. Ale uciekał, wracał do domu. Wynosił rzeczy, kradł, żądał pieniędzy. To było piekło. A potem - pamiętam ten bardzo mroźny lutowy dzień. Kiedy nie wrócił na noc - wiedziałam. Rano przyjechała policja. Znaleźli go na ulicy. Właściwie to zamarzł. Naćpał się, upadł i po prostu zamarzł. Najgorsze było to, że poczułam ulgę, a przecież byłam temu winna.

Milczałam. Było mi jej żal... Ale co mogłam jej powiedzieć? Była winna, winna jak cholera! Pochyliłam się nad Grażyną:

- Powiedz, jak skompletowałaś taki zestaw. Czuję się, jakbym brała udział w jakiejś maskaradzie.

- Właściwie to nie wiem, tak jakoś wyszło. - Grażyna była zła. Mimo morza alkoholu impreza się nie kleiła. Przerwy w rozmowach były coraz dłuższe i częstsze. - Jest pierwsza w

nocy, może to zakończyć? A co z jutrem, aktualny ten wyjazd?

Grażyna wstała.

- My z Agatą przepraszamy, ale będziemy już iść. A jutro... - Spojrzała pytająco.

- Do Górki jest trzydzieści kilometrów, pół godziny jazdy. Myślę, że zbiórka o dwunastej. - Adam czekał na akceptację.

- Zgoda przez aklamację - powiedział Misiek.

Niemal równocześnie wyciągnięto komórki, aby sprowadzić taksówki.

- Wiesz, nie będę płakać, jeśli Tomek i Stefan jutro nie przyjadą - szepnęłam do Grażyny.

Staliśmy na rynku. Patrzyłam na fontannę.

Podoba mi się - pomyślałam. Nie wiem czemu ma tylu przeciwników.

Mimo późnej pory spacerowali ludzie, działały jeszcze knajpki i ogródki. Wszystko błyszczało w świetle nocnej iluminacji.

*

Rano pękała mi głowa, światło raziło. Była prawie dziesiąta. Szybki prysznic. Przygotowałam kawę. Grażyna jeszcze spała. Zbudziłam ją, niosąc filiżankę z gorącym napojem.

- Obudź się, wstawaj! Nie czujesz tego wspaniałego aromatu? - naśladowałam reklamę. - Czy jest coś do jedzenia?

- O Boże, nie zrobiłam zakupów. Ja na nic nie mam czasu - skarżyła się.

- Nie marudź, widziałam kiosk naprzeciwko. Wskoczę i coś kupię. A ty się szykuj, nie ma zbyt wiele czasu.

Kiosk, a właściwie zieleniak, nie dawał wielkiego wyboru. Kupiłam jajka, szczypior (zrobię jajecznicę), masło, ale musimy się obejść bez pieczywa. To musi wystarczyć.

Kończyłyśmy śniadanie. W co się ubrać, zastanawiałam się. Jest ciepło i ładnie.

Na oparciu krzesła wisiały już białe, lniane spodnie i biała fikuśna bluzka - chyba widziałam ją w reklamie Żary.

- Tam ma być ognisko, a ty przygotowałaś białe ciuchy - zauważyłam.

Grażyna machnęła ręką.

- Nie wiadomo, czy będzie, ale postaram się uważać.

- Znasz to miejsce? - zapytałam.

- Tak. To mały, drewniany domek i dość duża działka w pobliżu lasu. Przypuszczam, że będzie jego żona.

- Przeszkadza ci?

- Bo ja wiem, niezręcznie się przy niej czuję. Zawsze patrzy na mnie tak, jakbym była kochanką Adama. Wprawdzie zawsze się lubiliśmy, ale nigdy nie było nic więcej.

- Czy powinniśmy wziąć coś cieplejszego? - wołam. - Wieczory są jeszcze takie sobie.

Wkładam dzinsy, T-shirt, adidas: w końcu to mają być góry!

Jedziemy. Na granicy miasta dołączają dwa samochody. Wokół zielenią się i żółcą pola - to rzepak kwitnie. Ruch na drodze nieduży. W pół godziny dojechaliśmy do Górki. To mała miejscowość, zaledwie kilka budynków. Na końcu wioski, pod lasem, domek i działka Adama. Wsiadłam. Dołączają inni. Okazuje się, że Jola i Stefan nie przyjechali.

Po wczorajszym pijaństwie nikomu nie chce się nic robić. Grażyna położyła się na leżaku. Tomek i Misiak usiedli w altanie, popijając piwo. Żona Adama przyniosła tacę pełną kanapek. Ewcia i Asia stanęły koło furtki i zapraszają na spacer.

Odwrociłam się.

- Grażyna, idziesz?

- Może później.

- Ja idę. - Podbiegłam do dziewczyn.

Poszliśmy w stronę lasu. Jest zielono, lekki wiaterek przynosi wiosenne zapachy.

Zanosi się na ploty. Zgadłam.

- Nie rozumiem - powiedziała Asia - jak Grażyna mogła związać się z tym Robertem? Mój mąż go zna. To nieciekawy typ.

- Wiesz, to trwa już kilka lat. Grażyna jest zakochana. A dlaczego mówisz, że to nieciekawy typ? - broniłam Grażyny.

- Jest żonaty. Poza tym obraca się w nieciekawym towarzystwie. Interesy, rozumiesz.

Nic nie rozumiałam. Faceta znałam tylko z opowiadań i fotografii. Przeciętny typ.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że jest w mafii - roześmiałam się.

- Nie, skąd. Ale chyba działa na pograniczu. - Asia zdjęła okulary przeciwsłoneczne. - Wiesz, różnie teraz bywa, niech Grażyna uważa.

Ewunia była wyraźnie zde gustowana naszą rozmową.

- Dziewczyny, czy wy musicie poruszać takie tematy?

- Ewcia, takie jest życie, a tyle naszego, co poplotkujemy. - Asia była okrutna.

Spojrzałam na nią, fajnie wyglądała bez makijażu, w dzinsach i zwykłej bawełnianej bluzeczce.

- Świetnie wyglądasz, tak młodo i zdrowo - powiedziałam.

- Prawdę mówiąc, nie przemęczam się. Nie pracuję, wysypiam się, mam czas na

gimnastykę, fryzjera, kosmetyczkę. Od czasu do czasu jadę na turnus odnowy biologicznej. Jedyne co robię, to pielęgnuję ogród, lubię to.

- A co z domem? - zainteresowała się Ewa.

- Mam gosposię. Gotowanie, sprzątanie to jej działka - pochwaliła się Asia.

Byłyśmy już w lesie. Śpiewały ptaki, zieleniły się drzewa i krzewy, kwitły fiołki, zawilce, konwalie wypuszczały liście. Przez chwilę kontemplowaliśmy uroki wiosny.

- Ile lat mają twoi synowie? - zapytałam Ewci.

Jej twarz się rozjaśniła.

- Miłoszek dziesięć, Piotruś siedem, a Konradek dwa latka. Przyjrzałam się Ewie. Była w krótkich spodniach i tenisówkach. Ona musi chyba kupować w dziecięcych sklepach, nosi takie małe rozmiary. Gdyby nie twarz, można by ją wziąć za uczennicę. Mogłaby też pomyśleć o szklach kontaktowych zamiast tych paskudnych, grubych okularów.

- Agatko, a ty... jak ci się wiedzie? - Ewa była skrępowana, ale ciekawość zwyciężyła.

- Jestem rozwódką, jeśli o to ci chodzi, nie mam dzieci, nie chciałam. Byłabym złą matką.

- Co ty mówisz, na pewno nie - zaoponowała.

- Ja to wiem - powiedziałam ostro. - Zbyt często powieła się wzorce wyniesione z domu, nawet nieświadomie. Pochodzę z nienormalnej rodziny, więc sama jestem... Nie podjęłam w życiu ani jednej dobrej decyzji. Nie cofnę czasu i nie chcę o tym mówić.

*

Na działce Adam rozpałał ognisko. W misce leżała kiełbasa, obok stały przygotowane wyostrzone patyki. Jego żona postawiła na stole sałatkę i jednorazowe talerze.

Grażyna opalała się na leżaku.

- Chyba powinniśmy pomóc. - Zwróciła się do nas.

- E, daj spokój, już wszystko przygotowane, nie widzisz? - Adam podał nam kiełbaski na patykach. - Możemy zaczynać.

Karnie stanęliśmy nad ogniskiem, aby je upiec. Ognisko paliło się niemrawo.

- Może drewno było wilgotne? - Tomek chuchał i dmuchał razem z Adamem.

- Może dodać rozpałkę albo podlać naftą - rzucano pomysłami.

- Agata, Grażyna, a pamiętacie naszą wycieczkę rowerową? Byliśmy tak strasznie głodni. Rozpaliliśmy ognisko, żeby upiec ziemniaki (nawiasem mówiąc, zwędzone z sąsiedniego pola), i wtedy lunął deszcz - śmiał się Adam.

Pamiętacie, pamiętacie - przedrzeźniałam go w myślach. Nie pamiętam i ty chyba też. Bo ja na żadnej wycieczce rowerowej nie byłam. Nigdy. Wszyscy byli, ale nie ja. Rodzice nie

pozwolili!

A zresztą nie miałam roweru!

Z tyłu podeszła do mnie żona Adama.

- My się chyba nie znamy. Teresa. - Podała mi rękę.

- Agata, miło mi.

Przyjrzałam się jej. Wyglądała na przyjemną osobę. Miała miły uśmiech i głos.

- Miły domek i okolica, cicho i spokojnie. Ale z Gdańska daleko - zauważyłam.

- Właśnie, rzadko tu jesteśmy i jak widzisz, ogrodu właściwie nie ma, trochę iglaków i trawa. Niczego nie posadzę, bo nie miałby się kto tym zajmować. Adam myślał, że tu wróci, dlatego to kupił, potem miało być dla syna.

Powroty do Wrocławia. To chyba epidemia! Spojrzałam na nią pytająco.

- Tak, mamy dorosłego syna. Studiował tutaj, a teraz przeniósł się i studiuje w Anglii. Chyba nie wróci. Twierdzi, że w Polsce nie ma przyszłości. Ty się przyjaźnisz z Grażyną. - Ściszyła głos.

Przerwałam jej:

- Przyjaźń to obecnie za wielkie słowo. Kiedyś się przyjaźniłyśmy. Teraz widzimy się raz w roku. I to wszystko.

- Mój mąż się z nią przyjaźni, zawsze się przyjaźnił, a może nawet więcej.

O Boże, zazdrosna żona, tego mi brakowało.

- Nie wiesz, jak to jest - ciągnęła - słyszeć stale: „Grażyna to”, „Grażyna tamto”, „Grażyna świetnie jeździ na nartach”, „Grażyna zawsze świetnie wygląda”, „najlepszą szarlotkę jadłem u Grażyny” - przedrzeźniała Adama.

Mogłam jej tylko współczuć, ale poradzić? Co?

Skończyliśmy jeść. Nie lubię kielbasy z ogniska, właściwie w ogóle nie lubię kielbasy. Miałam brudne, tłuste ręce i byłam niezadowolona z rozmowy z żoną Adama.

- Macie łazienkę? - spytałam.

- Zaraz za drzwiami, na prawo.

Wnętrze domku było w stylu góralskim. Wszystko w drewnie, stoły i ławy pokryte baraniami futrami i haftowanymi poduszkami. U sufitu wisiały warkocze cebuli i czosnku, suszone grzyby i wiązki zbóż. Był też nieduży kominek i lada barowa.

Weszłam do łazienki, umyłam twarz i ręce. W lustrze zauważyłam, że majowe słońce lekko mnie chwyciło i nie byłam już taka blada jak zawsze. Wyszłam. W pokoju był Adam.

- Poczekaj, chciałem porozmawiać, pamiętasz? - Patrzyłam wyczekująco. - Trochę mi głupio, to już tyle lat, ale muszę. Czy ty w ogóle pamiętasz? Byliśmy przed maturą. - Adam

się jękał.

- Czy ja cię wtedy, to znaczy... czy poczułaś się urażona?

Wiedziałałam, co chce powiedzieć. Wtedy złożył mi propozycję, trochę dziwną, zważywszy, że nie byliśmy ani parą, ani przyjaciółmi... Po prostu bez ubierania w słowa zaproponował mi seks - na zimno, bez randek i flirtu czy nawet pozorów zainteresowania. Wiedział, że byłam dziewicą (chyba miałam to wypisane na twarzy, ale ten objaw chorobowy był wówczas raczej powszechny), i stwierdził, że „najlepiej ten pierwszy raz mieć z kimś doświadczonym”. Innymi słowy, on chętnie podjąłby się wówczas tego zadania. A najdziwniejsze było to, że nie poczułam się ani zdziwiona, ani zgorziona. Czytałam mnóstwo książek i o seksie teoretycznie wiedziałam dużo. Gorzej było u mnie z praktyką. Podeszłam do tej propozycji poważnie i nawet się zastanawiałam, czy z niej nie skorzystać. W końcu był przystojny i bardzo popularny w szkole.

- Nie, nie obraziłeś mnie. I nawet brałam twoją propozycję pod uwagę. - Nie wiem czemu to powiedziałam.

Złapał mnie za rękę i chciał przyciągnąć. Co mu odbija? Przestraszyłam się.

- To może teraz...

W ułamku sekundy wyobraziłam sobie siebie i jego w miłosnym uścisku. No nie, nigdy!!!

- Pogięło cię! - wrzasnęłam. - Odbiło ci?

Nie panowałam nad sobą. Chciałam go pobić, pogryźć i najlepiej zabić.

- Nienawidzę facetów, nie chcę żadnych romansów, żadnego seksu. Chcę mieć święty spokój! - krzyczałam. - Teraz to mnie obraziłeś.

Wybiegłam z domku. Rozejrzałam się. Chyba nic nie słyszeli.

- Grażyna, błagam, jedźmy, źle się czuję, jestem chora.

Z trudem udało mi się namówić ją do wyjazdu. Adam na szczęście gdzieś zniknął. Pożegnaliśmy się. Były uśmiechy i zapewnienia, że jeszcze kiedyś... Koniecznie... Należy powtórzyć...

W drodze opowiedziałam jej wszystko. Ryczała ze śmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne, on mnie obraził, naprawdę. Wiesz, gdyby nie ten głupawy uśmieszek, to pomyślałabym, że mnie podpuszcza. I powiem ci, że to nie była jedyna taka propozycja w moim życiu. Byłam na stażu - ciągnęłam - przyczepił się do mnie lekarz, taki mikrus, sięgał mi do połowy głowy. Zagadywał, ocierał się, dotykał włosów i ramion. Kiedyś na dyżurze wszedł do mojej dyżurki i złożył propozycję. Odmówiłam. Trochę obiecywał, trochę straszył, w końcu wyszedł.

- I co? I co? - dopytywała się Grażyna.

- I nic. Odeszłam ze szpitala, bo nie chciałam go oglądać, a w sumie wtedy było mi wszystko jedno. Zabawne, bo on mnie straszył, że może mi przeszkodzić w specjalizacji. Nie miał pojęcia, co ja myślę o specjalizacjach, szpitalach i całej tej medycynie w Belsku.

- To było molestowanie.

- Wiem, teraz inaczej bym to załatwiła - powiedziałam. - Ale, wracając do Adama, liczę na dyskrecję. Wiem, że będziecie się kontaktować, i nie chcę, żebyś cokolwiek na ten temat mówiła.

- To oczywiste.

Wieczorem zamówiliśmy pizzę i oglądałyśmy telewizję. Nazajutrz czekała mnie wizyta na cmentarzu i powrót do domu.

*

Jechałam tramwajem na cmentarz. Po diabła mi to. Taka wiwisekcja. Masochizm za trzy grosze, myślałam ponuro.

Zapaliłam znicze. Oboje - ojciec i matka - leżeli w jednym grobie. Usiadłam na małej ławeczce tuż obok. Było tak samo jak zawsze, gardło miałam ściśnięte, do oczu napływały łzy. W głowie kotłowały się myśli. Chciałam tyle powiedzieć...

Dlaczego zmarnowaliście mi życie?! Dlaczego mnie nie kochaliście?!!

Kto wam dał prawo decydować o moim losie beze mnie? Jakim prawem uważaliście się za bogów?

Byłam waszym jedynym dzieckiem, powinnam być „słoneczkiem”, „skarbem”, „księżniczką”. A wy wyrzuciliście mnie z domu! W obce, nieprzyjazne strony, bez znajomych, rodziny. Dlaczego??? Dlaczego zerwaliście wszelki kontakt?

Dlaczego? Czy nigdy się nie dowiem? Co nie pozwoliło wam mnie kochać?

Niekochana. Wyrzucona z domu przez rodziców. To piętno. To coś, z czym się nie da normalnie żyć.

Zamknęłam oczy. Zobaczyłam sylwetkę ojca, potężnego mężczyzny o niesympatycznej twarzy, i matkę - kobietę zimną i pedantyczną, intelektualistkę.

A ja tak się starałam - piątkowe świadectwa, wygrane olimpiady i nic, żadnej pochwały, nagrody, tylko nakazy i wymagania. To prawda - nikt mnie nie bił ani nie krzyczał, ale też i nie przytulił.

Inne dzieci chodziły na angielski, na basen czy lodowisko, a w niedzielę na wspólne spacer. Ja nie, nigdy! Po co? Przecież miałam dach nad głową, jedzenie, ubranie, kształciłam się.

Tak, tato! Pamiętam ten dzień, tuż przed dyplomem, wszedłeś do mojego pokoju i powiedziałeś, że załatwiłeś mi staż i pracę w Belsku. I że zaczynam za tydzień.

Oniemiałam. Jaki Belsk? Jaka praca? Ja miałam pracować w instytucie, jechać na stypendium zagraniczne, robić karierę.

Wyjąkałam tylko:

- Ja nie chcę nigdzie jechać, chcę zostać we Wrocławiu

Nie było odpowiedzi. Nawet na mnie nie spojrzaleś, zresztą jak zawsze. Nigdy na mnie nie patrzyłeś. (Przecież ja nawet nie wiem, jaki miałeś kolor oczu!) Nigdy ze mną nie rozmawiałeś. Ty mnie tylko informowałeś. Wtedy też.

- Myślę, że powinnaś już zacząć przygotowania - powiedziałeś sucho i po prostu wyszedłeś.

Chciałam bić rękami w ściany, gryźć, drapać i wyć. Tylko po co? Byłam bezradna. Nie potrafiłam powiedzieć „nie”. Czasem zastanawiam się, co byś zrobił, gdybym odważyła się przeciwstawić. Wystawiłbyś walizki na korytarz? Możliwe.

Nie poszłam po dyplom, odebrałam go później w dziekanacie. Wstydziałam się, bałam się pytać, tej giełdy, co, kto i gdzie załatwił. Przecież byłam córką pana Pilskiego. Mogłam mieć wszystko, co zechcę.

Nie rozumiem, jak osiągnęliście to, że nigdy nie protestowałam, nie skarżyłam się. Nienawidzę siebie za to. To przez was nigdy nie chciałam mieć dziecka, bo bałam się, że będę taka jak wy!

Właściwie bałam się was. Nie przemocy fizycznej, tylko tej subtelniejszej, psychicznej - złego spojrzenia, słowa, które upokorzy, i wyrzutu, że nic nie jestem warta...

Tak... Na trzecim roku oblałam biochemię. To był jedyny egzamin oblany przeze mnie. Powiedziałeś wtedy:

- Wcale mnie to nie dziwi. Powinnaś była iść do szkoły zawodowej, wyjść za męż. Tylko do tego się nadajesz.

Tylko dlaczego nigdy nie daliście sygnału, jakiegoś znaku ostrzegawczego: nie chcemy ciebie, na nic nie licz i tak wystarczająco już się poświęciliśmy.

Nic nie rozumiem, niczego nie wiem, zostały mi tylko tabletki!

Wiatr zdmuchnął płomień w zniczu. Wyjęłam zapalki. Zapaliłam jedną. Trzymałam ją wysoko. Ogień powoli ślizgał się po małym kawałku drewna, aż dotarł do moich palców. Oparzenie zabolalo.

Dlaczego to zrobiłam? Czy chciałam sprawić sobie ból fizyczny, aby ten psychiczny osłabł?

Po tygodniu byłam już w szpitalu w Belsku. Apatyczna, obojętna z rozpaczą, zrobiłam, co mi kazano. Po roku wiedziałam, że nienawidzę tej pracy i tego miasta. Z wielką biedą zdałam „jedynekę” z pediatrii, nie chciało mi się uczyć, pacjenci też mnie nie interesowali. Robiłam co trzeba, ale bez serca. Mijały lata, a ja ciągle nie mogłam pogodzić się ze swoim losem. Byłam u psychologa. Podjęłam terapię. Niestety. Nikt i nic nie potrafił sprawić, abym odcięła się od przeszłości i zaczęła żyć na nowo. Terapia tylko mnie dodatkowo nakręcała.

W tym czasie wyszłam za męża. Zaprosiłam rodziców na ślub i modliłam się, żeby nie przyszło im do głowy przyjechać. Nie przyszło! Otrzymałam elegancki telegram z życzeniami i to było wszystko.

Małżeństwo szybko się rozpadło i nic dziwnego, przecież życie ze mną musiało być koszmarem. Krzysztof był porządnym człowiekiem i wymarzoną kandydatem na męża w innych okolicznościach. Nie miałam do niego pretensji. Po rozwodzie zostawił mi mieszkanie. Nie domagał się podziału, choć miał do tego prawo. O śmierci ojca i pogrzebie dowiedziałam się z telewizji. Nie pojechałam. Matka zmarła kilka lat później. Ktoś mnie zawiadomił. Pojechałam na pogrzeb. Po jej odejściu musiałam załatwić we Wrocławiu sprawy spadkowe. Zostało mi mieszkanie i niewielka suma pieniędzy, która ratowała mnie w potrzebie. Moje sprawy zawodowe leżały. W hierarchii służby zdrowia byłam chyba na najniższym szczeblu. Pracując na półtora etatu, z trudem wiązałam koniec z końcem.

Patrząc w przeszłość, uświadomiłam sobie, że rodzice nie mieli żadnych przyjaciół ani rodziny. A przynajmniej ja sobie nie przypomiinałam nikogo. Nie było przyjęć imieninowych, wyjazdów do rodziny. Wszystkiego, co się zdarzało w normalnych domach.

Wstałam z ławki i zamierzałam odejść. Było późno, a ja miałam pociąg. Zauważyłam kobietę po sześćdziesiątce, elegancką, spoglądającą w moją stronę już od jakiegoś czasu.

Podeszła do mnie.

- Przepraszam, że zaczepiam, ale od lat tylko ja przychodzę na ten grób. Czy jest pani może kimś z rodziny?

Serce zaczęło mi szybciej bić. Co powiedzieć?

- Tak, moja matka była kuzynką pani Piłskiej. Ale mieszkamy daleko i właściwie nigdy... a też jestem przejazdem - kłamałam jak z nut. - A pani? Pani ich znała?

Boże, pomóż, może czegoś się dowiem.

- Tak, Anna (to imię mojej matki!) była moją przyjaciółką, razem studiowałyśmy aż do tej strasznej historii.

Serce waliło mi jak młotem. Pomocy. Jak ją skłonić, żeby powiedziała mi coś więcej?

Podejrzewałam, że była jakaś dramatyczna historia. Czy mnie dotyczyła?

- Matka wspominała mi o jakiejś tragedii w rodzinie, ale chyba sama niewiele wiedziała - mówiłam ostrożnie. - Jakiś wypadek?

Kobieta była wyraźnie niezdecydowana.

- Właściwie to ja sama niewiele wiem, a poza tym chyba nie powinnam z panią o tym rozmawiać...

- Rozumiem. To jednak smutne, pani mówi, że tu nikt nie przychodzi. Przecież mieli dziecko. To moja kuzynka, a nigdy jej nie widziałam.

- Tak, to wszystko było dziwne. Anna nagle zniknęła ze studiów, nie chciała się ze mną kontaktować. Jej mąż nie dopuszczał nikogo do niej. Coś się stało. Wyjechali z miasta. Po roku wrócili z dzieckiem, dziewczynką. Ponownie nawiązałyśmy kontakt, ale Anna na studia nie wróciła. Odwiedzałam ich czasem. To byli zupełnie inni ludzie: nieszczęśliwi, zamknięci. Anna wyraźnie nie miała serca do dziecka, a on w ogóle się do niego nie zbliżał. Kiedyś Anna mi powiedziała, że nie chce żyć. Dużo płakała, miała lęki, były dni, że w ogóle nie chciała wychodzić z domu.

- Czy miała wypadek?

- Nie wiem. Ale wyraźnie bała się ludzi. Słyszałam różne plotki, ale nie będę powtarzać.

Jak ją skłonić, żeby powiedziała coś więcej?

- Proszę, jeśli pani cokolwiek wie... - Patrzyłam błagalnie.

- Mówiono - kobieta zawahała się - że to było coś gorszego... No i to dziecko.

Widziałam je parę razy. Było takie... samotne.

Mój Boże - straszliwe podejrzenie przeszło mi wyobraźnię - to był gwałt, tak, teraz wszystko pasuje.

Spojrzałam na kobietę. Nie, nie zapytam jej, bo nawet jeśli wie, i tak nie powie.

Byłam prawie pewna. Przypomniałam sobie, że matka nie oglądała nigdy filmów, w których była przemoc, ani kronik kryminalnych, nie wychodziła wieczorami. W jej stosunkach z ojcem też wyczuwałam jakieś napięcie. Ojciec był dla niej oschły.

W ogóle mało ze sobą rozmawiali. Nigdy się nie śmiali. Dom był cichy i zimny.

- Pani z nią studiowała, prawda?

- Tak.

- Jaka była przed tym wszystkim?

- Normalna, wesoła dziewczyna. Poznali się na studiach i pobrali na drugim roku. Byli tacy szczęśliwi. Aż do tego straszego dnia... Ale mnie pani wypytuje, kim pani jest

właściwie?

- Ja, ja jestem córką państwa Pilskich. I wreszcie chyba wiem, co się musiało stać. -
Usiadłam z powrotem. Powoli docierało do mnie, co odkryłam. To było jedyne logiczne
wy tłumaczenie. Byłam zdruzgotana. Robiło mi się słabo.

Gwałt, myślałam. Dlaczego nie usunęła ciąży? Może nie wiedziała, czyje to dziecko,
albo była przeciwniczką aborcji w ogóle? Ale, jeśli się zdecydowała utrzymać ciążę, to
powinna była próbować mnie pokochać albo oddać, inaczej to nie miało sensu. A ojciec? On
mnie nie chciał, to wiem. Czułam to każdego dnia... Nie tylko nie chciał. On nie mógł mnie
znieść. Może nawet nienawidził? Pewne jest, że starał się unikać wszelkich kontaktów ze
mną. Nawet w czasie rzadkich a koniecznych rozmów jego wzrok błędził gdzieś, starannie
omijając moją postać.

Przez całe nasze wspólne życie zamienił ze mną może dziesięć zdań. Potrafił też
sprawić mi ból fizyczny, ale zawsze wyglądało to na przypadek. Pamiętam doskonale. Miał
przepiękny skórzany pokrowiec na strzelbę, puściło w nim kilka szwów. Postanowił go sam
naprawić. Musiałam pomagać. Gruba skóra, gruba igła. I tak jakoś dziwnie trafił tą igłą w
moje palce. Próbowałam je chować. Nic z tego. Był bezbłędny. Całe palce miałam pokłute do
krwi. Przypadek?

No i to najczęstsze: „Nic nie umiesz... Do niczego się nie nadajesz... Nic nie robisz”.
Gdy zdobyłam drugie miejsce w wojewódzkiej olimpiadzie geograficznej, skwitował:

- Nie stać cię było na więcej? Ktoś zajął pierwsze miejsce.

A matka? Nigdy nie stanęła w mojej obronie. Czasem wydawało mi się, że widzę w
jej oczach żal i ból. Ale może tylko mi się tak wydawało.

Kobieta na cmentarzu patrzyła na mnie surowo. Nie miała pojęcia, jakie myśli kłębią
się w mojej głowie.

- Nic pani nie wie, ja też nie. Oboje nie żyją. Proszę dać sobie spokój. Minęło tyle lat -
powiedziała.

Już ja swoje wiem. Próbowałam wstać z ławki, ale się zatoczyłam. Dziecko z gwałtu!

Miałam mętlik w głowie, sucho w ustach, dławilo mnie w gardle.

- Czy pani słabo?

- Nie, to chyba zmęczenie, przepraszam, spóźnię się na pociąg...

Nie pamiętam, jak dotarłam do mieszkania Grażyny i na dworzec. Byłam
półprzytomna, miałam mdłości, zawroty głowy. Powtarzałam jak mantrę: „dziecko z gwałtu”.
No to masz tę swoją prawdę, której tak szukałaś przez tyle lat. „Prawda cię wyzwoli”. I co?
Czujesz się wolna? Co za bzdura - płakałam. Przeczuwałam, prawie byłam pewna, że musiało

coś być, jakiś dramat, bo przecież nie dało się wytłumaczyć postępowania rodziców w żaden racjonalny sposób.

Mamo! Trzeba było usunąć tę ciążę! Ja bym tak zrobiła!

Człowiek, który nie żyje, nie istnieje - nie cierpi, nie czuje bólu, nie ma świadomości. A tak, wy byliście nieszczęśliwi całe życie, ja jestem nieszczęśliwa.

Może trzeba było mnie oddać do domu dziecka czy do adopcji. Czy tak byłoby lepiej? Nie wiem. Trzeba było mi wszystko powiedzieć. Czy tak byłoby lepiej? Nie wiem. Może...

Czy wolałabym nie być? Kiedyś powiedziałabym: „Tak!”. Ale teraz... Nie wiem, chyba nie. Przecież mimo wszystko wycisnęłam coś niecoś z tego życia, były dobre i przyjemne chwile, choć nie z wami.

Koła pociągu stukotały monotonnie, z każdym kilometrem przybliżając mnie do domu. Byłam sama w przedziale, patrzyłam przed siebie. Co teraz będzie, jak mam z tym żyć? Ogarniała mnie wściekłość i bezradność, że nic z tym nie mogę zrobić: ani zapomnieć, ani zagłaskać, ani zmienić biegu historii. Jeśli taka miała być prawda, to wolałabym jej nie znać. Przez tyle lat żyłam, hołubiąc swoje pretensje, mogło być tak dalej. Nie myślałam o matce, o tym, co ona czuła. Może powinnam być wdzięczna? Nie jestem! Po diabła lazałam na ten cmentarz, po co mi to było?

*

W domu dopadłam telefonu.

- Bożena, błagam, potrzebuję kilku dni zwolnienia. Nie mogę iść do pracy, nie dam rady.

- Co się stało?

- Stało się, stało. Coś złego. Nie mogę powiedzieć, nigdy!

Wzięłam cztery tabletki naraz, żeby spać. Sen był przerywany. Budziłam się spocona, przerażona, po czym zasypiałam znowu. Męczyły mnie koszmary: ktoś trzymał mnie za gardło, nie mogłam oddychać, wykrzywione twarze ojca i matki krzyczały: „Jesteś do niczego, jesteś winna, winna”. Coś ścigało mnie w otchłań. Przecież nie jestem winna, nie jestem!

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Z trudem zwlokłam się z łóżka. Bożena. Weszła energicznie.

- Tu śmierdzi, otwórz okna. Co ty z siebie robisz?

Siedziałam na łóżku, rozczochrana, przepecona. Bożena rozsunęła zasłony, pootwierala okna, napuściła wody do wanny.

- Idź do łazienki, wykąp się, a ja zrobię coś do jedzenia!

Chcąc, nie chcąc, zrobiłam, co kazała. Kiedy wyszłam z łazienki, łóżko było pościelone, a na stole stały kanapki, kawa i sok pomarańczowy.

Zaczęłam płakać.

- Co tam się stało w tym twoim ukochanym Wrocławiu? - zapytała sarkastycznie.

- Nie mogę ci powiedzieć, to dotyczy mojej przeszłości, a właściwie całego życia - wykrztusiłam. Moi znajomi z Belska wiedzieli tylko, że miałam kłopoty w domu i że zmuszono mnie do wyjazdu.

- Słuchaj - powiedziała Bożena z namysłem. - Nie jesteś nastolatką. Musisz wszystko rozpatrywać racjonalnie. Cokolwiek się stało, należy do przeszłości i niczego nie zmieni w twoim obecnym życiu. Może byłoby dobrze komuś się zwierzyć? - Spojrzała pytająco.

- Nie, tego na pewno nie opowiem... O Boże, ja tego nie przeżyję! - szlochałam.

- Weź się w garść, idź do psychologa albo psychiatry.

- Oni tylko wypisują tabletki, a ja chcę nowego życia...

- Zastanów się, co ty bredzisz. Zajmij się życiem, które masz. Pamiętaj, że zawsze chętnie porozmawiam.

Wiem, ale to nie wchodzi w grę. Rodzice utrzymali tajemnicę przez lata, ja też utrzymam, i na mnie się to zakończy. Tak będzie lepiej.

- Masz. - Podała mi druczek.

- Tylko trzy dni - marudziłam.

- Masz trzy dni na doprowadzenie się do stanu używalności. Może gdzieś pojedź, zrób cokolwiek i przestań się zamartwiać sprawami, na które nie masz wpływu. A w sobotę o czwartej u mnie. Odmowy nie przyjmuję.

Bożena wyszła.

Przez dwa dni szwendałam się po mieszkaniu bez celu. Nie sprzątałam, nie jadłam, nic mi się nie chciało. Użalałam się nad sobą do znudzenia. Jednak ze zdumieniem zauważyłam, że wszystkie sprawy związane z Wrocławiem powoli traciły na ostrości, jakby pochodziły z innego świata.

Przemyślałam sobie parę spraw. To było wygodne chodzić w skórze osoby odrzuconej, niekochanej a stworzonej do wyższych celów. Usprawiedliwiało moje lenistwo. Tak! Niechęć do jakiegokolwiek działania. I teraz mam za swoje. Pracuję w dwóch przychodniach i ledwie wyciągam dwa tysiące, a do tego cztery razy w tygodniu pracuję po dziesięć godzin. A trzeba było się trochę postarać, zrobić dodatkową specjalizację. Wyszłabym na swoje - pacjenci na dni i godziny, limity. A tak... Co mam? Biegam po cudzych domach, przyjmuję, jak leci. Nie ma zmiłuj!

Sama jestem sobie winna.

Miałam niełatwe życie, ale inni też mają różne problemy. Zawsze myślałam tylko o sobie i to pewnie się nie zmieni. Ale mam czterdzieści pięć lat i mogłabym już dać spokój. Skończyć z tym rozdrapywaniem przeszłości. Właściwie żal mi rodziców, że nie zdobyli się na jakąś formę pogodzenia z życiem i ze mną.

*

W sobotę o czwartej po południu leżę na leżaku pod drzewkiem w ogrodzie Bożeny, która w krótkich spodniach krząta się po ogrodzie. Jej mąż przygotowuje grilla. Słychać śpiew ptaków i brzęczenie pszczół. Szary kot ociera mi się o nogi. Odpoczywam. Jestem nieco słaba po przejściach ostatnich dni i nadużyciu tabletek. Czuję spokój i błogość.

Bożena jest stąd. Prawdziwa góralka: czarne, lekko falujące włosy ma krótko obcięte, do tego oczy jak węgielki, no i solidna budowa. Wyobrażam ją sobie w ludowym stroju i koniecznie z warkoczami.

- Bożena, czy ty należałaś kiedyś do zespołu ludowego? No wiesz, tańce, śpiewy, stroje...

- Żebyś wiedziała. Należałam: tańczyłam, śpiewałam. Do dziś przechowuję strój. I mam prawdziwe korale! Ha!

- Co zrobiłaś z warkoczami?

- Obciąłam, jeszcze w szkole. Nie były modne.

Poznałyśmy się na ginekologii podczas stażu. Obijałyśmy się na nim niemiłosiernie. Nikt nas do niczego nie dopuszczał, ale dzięki temu kwitło życie towarzyskie. Nasza znajomość przetrwała, mimo że Bożena miała mnóstwo rodziny i przyjaciół, a ja jej nie byłam do niczego potrzebna. Teraz jest okulistką, ma się świetnie, pracuje na kontrakcie i nie narzeka.

Bożena przyniosła ciasto, domowy sernik. Pycha.

- Może chcesz drinka albo piwo?

- Nie, lepiej sok lub woda.

Irek, jej mąż, układał na grillu skrzydełka, kaszankę i kiełbaski. Tak, grill to zdecydowanie męskie zajęcie.

Ich dom był typowym sześcianem ery gierkowskiej. Wybudowali go jej rodzice. Mąż Bożeny pochodził spod Warszawy. Inżynier specjalista od czegoś tam... Przystojny i sympatyczny wielbiciel gór. Był społecznym ratownikiem GOPR-u. Wiele lat temu brał udział w akcji poszukiwania uczestników szkolnej wycieczki, która zabłądziła zimą na Pilsku. Nigdy nie chciał o tym mówić. Koszmarna historia, bo były ofiary śmiertelne...

Piękna pogoda, spokój, a ja znowu myślę o katastrofach i wypadkach.

- Bożena, dolej mi wódki do soku, troszeczkę - zawołałam. Podeszła.

- Dzieje ci się coś?

- Wiesz, skoki nastrojów, czarne dziury... A właściwie to nic.

- Co ja mam z tobą! - Westchnęła.

- A co z tym spotkaniem klasowym? - Irek zwrócił się do mnie.

- Byłam. Do dupy. Dochodzę do wniosku, że takie spotkania nie mają sensu. Może jak ktoś stale utrzymuje kontakt? - snułam. - A dla mnie to obcy ludzie, z którymi nic mnie nie łączy. Nawet nie mamy o czym mówić. Wyobraź sobie, przy stole na kolacji siedziałam obok kolegi, który od lat przebywa w Szwecji. Odezwałam się do niego, a on po prostu mnie zignorował. Więcej nie pojedę, bo się tylko dołuję. A poza tym miałam złe ciuchy - wyjaśniłam treściwie.

- A wy, baby, tylko o ciuchach - roześmiał się Irek. - Przecież to śmieszne.

- Bynajmniej. Jak się przyjeżdża z prowincji, to się chce, aby to nie było widoczne, a szczególnie jeśli nic się nie osiągnęło, to pragnie się przynajmniej dobrze wyglądać.

- Agata, czy nie mogłabyś pozbyć się tych kompleksów? Masz za niską samoocenę. - Irek nic nie rozumiał.

- Skończcie tę dyskusję - odezwała się Bożena. - Czy mięso jest gotowe?

- Za chwilę. - Irek przewracał mięso na grillu.

Bożena przyniosła sałatkę, chleb, talerze i postawiła na stole.

- O, zrobiłaś sałatkę wiosenną. Moją ulubioną - ucieszyłam się. - Uważam, że należą mi się prawa autorskie do tej sałatki. Ja ją tak nazwałam - trajkotałam trochę bez sensu.

- Ciekawe. Myślisz, że ty pierwsza taki przepis wymyśliłaś?

- Chciała mi dokuczyć. - Na pewno nie. Wielka filozofia utrzcąć rzodkiewkę i ogórka, posiekać szczypior i dodać majonez.

Fakt, niewielka. Tę sałatkę zrobiłam kiedyś w sytuacji awaryjnej, ze składników od sąsiadki, ja miałam tylko szczypior i majonez, ona rzodkiewkę i ogórka.

- Musisz mi odbierać przyjemność?

- Można brać żarcie! - krzyknął Irek.

Wzięłam skrzydełko i kaszankę. Kaszanka była pyszna.

- Gdzie ją kupujesz?

- To ze wsi, prywatny dostawca. Prawda, że dobra?

Wtedy pojawiła się córka Bożeny, Lena, siedemnastolatka.

Obcisłe dzinsy ledwo trzymały się na wzgórkach łonowych, top odsłaniał cały brzuch. W

pępku kolczyk, nie malutki, zgrabny, tylko wielki, wiszący kolczyk z koralikami. Włosy krótkie, czarne, nażelowane sterczały pionowo, oczy przypominały misia pandę.

- Nie myślałaś, żeby zrobić irokeza? - odezwałam się żartobliwie.

Spojrzała na mnie z góry, nic nie odpowiedziała.

- Wychodzę na imprezę, będę rano - poinformowała rodziców.

- Ale gdzie? Do kogo? Kto tam będzie? - denerwowała się Bożena.

- Nie jestem dzieckiem, nie muszę się opowiadać - arogancko odpowiedziała Lena.

- Pełnoletnia też nie jesteś - zareagował Irek.

- U Kaśki - ustąpiła. - Będą ludzie z klasy.

- Córciu, bądź rozsądna.

Lena wzniosła oczy ku niebu, odwróciła się i wyszła.

- Ja już nie mam siły. Co w nią wstąpiło? Odkąd poszła do liceum, jest nie do zniesienia. Z Markiem nie było takich problemów.

- A jak się uczy, ma chłopaka? - zainteresowałam się.

- Z nauką na szczęście nie najgorzej, a chłopcy... Cóż, pojawiają się różni...

- To może dobrze.

- Boję się prochów na takich imprezach. Rozmawiałam z nią o tym wiele razy, niby wszystko wie, ale czy rozumie?

Pomyślałam o Joli.

- Nie dziwię się. Mam koleżankę, której syn był narkomanem i przedawkował. Ale to była jej wina. Można powiedzieć, że sama mu te narkotyki pod nos podstawiła.

Bożena popatrzyła z niedowierzaniem.

- No tak, to była taka cyganeria artystyczna. Rodzice palili trawę, a syn skończył na heroinie - wytłumaczyłam.

Współczuję Bożenie, będzie miała z Leną jeszcze niejedną problem. W takich chwilach cieszę się, że nie mam dzieci.

Powoli zapadał zmrok, pojawiły się komary. Trzeba się zbierać. A może mogłabym się przespać na leżaczku pod drzewkiem? Nie chciało mi się iść do domu.

Irek chciał mnie odwieźć.

- O nie, mój drogi. Nie ma mowy. Ty piłeś, a ja mam niedaleko. Nie boję się sama wracać! A jeśli ktoś stanie mi na drodze... Niech się strzeże - dokończyłam zadziornie. - Mam w torebce pilnik do paznokci.

*

Dziś pierwszy czerwca. Dzień Dziecka.

Robi się upalnie. Zapowiada się gorące lato. Mój gabinet jest mały i ciemny, widzę zaledwie kawałeczek nieba. Nigdy nie dociera tu słońce.

Dusžno. Zdjęłam fartuch i powiesiłam na oparciu fotela. Będę przyjmować w letniej sukience. A poza tym i tak można zapomnieć o pacjentach. Dzieci mają dziś różne atrakcje - kino, dzień sportu, wycieczki.

Od rana mam zły dzień, jestem wściekła. Snuję się po przychodni i szukam dziury w całym.

- Pani Małgosiu, czy wpisała pani wczorajszy patronaż?

- Jeszcze nie, pani doktor, zaraz...

- Przecież prosiłam, żeby książkę noworodków prowadzić na bieżąco. A co z panią Truś, nie zgłasza się, dziecko nie jest szczepione? Miała pani to sprawdzić.

- Pójdę jutro. - Małgosia rzuca mi spojrzenie pod tytułem „zołza”.

- Jutro jest sobota, nigdzie pani nie pójdzie - odpowiadam i wycofuję się.

Są pacjenci - źle, nie ma - też źle. Nudzę się.

Stałam przy oknie i obserwuję parking. Jakie auta, jakie fury! Skąd ci biedni Polacy je mają, z roku na rok coraz lepsze?

Ja nie mam. W ogóle nie prowadzę. To znaczy, kiedyś trochę jeździłam, ale od dawna już nie. Moje prawo jazdy jest nieważne. Ale nie o to chodzi.

Mieliśmy z Krzysztofem małego fiacika, który miał swoje lata i często się psuł. Więc mój mąż raczej niechętnie pozwalał mi prowadzić. Zresztą, ja się do tego nie paliłam.

Przypomniałam sobie przygody (ładnie powiedziane) związane z prowadzeniem. Raz zgasł mi silnik na skrzyżowaniu, wpadłam w panikę, zamknęłam oczy i niech się dzieje, co chce. Krzysiek wyskoczył, wywłókł mnie zza kierownicy, zapalił i zjechał. Wokół pędziły auta, a ja płakałam. Innym razem o mało co nie przejechałam rowerzysty. Kiedy auto już dotykało tylnego koła roweru, zdecydowałam się nacisnąć hamulec. Nie wiem, kto był bardziej przestraszony: rowerzysta czy ja. Innym razem wpadłam do rowu i trzeba było mnie wyciągać. To było na wsi, sprowadzono więc konia, który wyciągnął auto. Kompromitacja na całej linii.

A teraz stoję i patrzę, jak kobiety młode i stare, chude i grube bez problemu siadają za kierownicą i po prostu jadą. W dzisiejszych czasach brak samochodu i prawa jazdy to kalectwo, niepełnosprawność społeczna. I ja taka jestem. Zazdroszczę im.

Piękny dzień, a ja robię się coraz bardziej ponura.

- Pani doktor, pacjent - zawiadomiła mnie Małgosia.

Idę do gabinetu.

Dziesięcioletek upadł tydzień temu i uszkodził sobie nadgarstek.

Oglądam, naciskam, dziecko się krzywi. Obrzęk co prawda jest niewielki, ale to ewidentne złamanie. Kieruję do chirurga.

- Dlaczego pani tyle zwlekała? - pytam matkę.

- Tak zeszło.

Co mnie to właściwie obchodzi, to jej dziecko.

Oparłam się czołem o szybę. Co ja właściwie chcę od tej baby? Czy moja matka była lepsza? Przecież zostawiła mnie chorą, samą na cały dzień z termosem herbaty i aspiryną na stoliku. Miałam nie więcej niż osiem lat. Wysoka gorączka spowodowała majaki - kolorowe kwiaty na zasłonach przemieniły się w wielkie małpy i potwory, które chciały mnie zaatakować. Krzyczałam ze strachu. I chyba straciłam przytomność. Ocknęłam się w szpitalu, z podłączoną kroplówką. Miałam zapalenie płuc. Widziałam ojca, przychodził, robił ważne miny, lekarze skakali wokół niego, ale do mnie nie przyszedł. Matka przynosiła pomarańcze, mówiła „musisz dużo spać” i wychodziła...

Uderzyłam dłonią w szybę. Taka piękna pogoda, a ja znowu zaczynam. Jestem w Belsku. Jestem w pracy. Tamto to odległa przeszłość!

*

Kierownik zrobił zebranie. Powiedział, że:

- firma zakupiła trzy wiatraczki, dwa do gabinetów, a jeden do poczekalni dla pacjentów (ciekawe, jak długo przetrwa; ostatnio wyniesiono umywalkę tak, że nikt nic nie zauważył), - należy oszczędzać papier i materiały piśmienne, bo są braki (no pewnie, gdyby nie firmy farmaceutyczne już dawno nie miałabym czym i na czym pisać), - zlecamy za dużo badań (stara śpiewka), - nie zgłaszamy chorób zakaźnych zgodnie z procedurami (musiałabym upaść na głowę, tyle pisania), - za wysokie rachunki telefoniczne (co on bredzi, odłączyli nam komórki i zamiejscowe, już od dawna korzystam z mojej prywatnej komórki nawet w sprawach służbowych), - wygasła nam umowa z pracownią USG - nie wiadomo co dalej; firma się zastanawia (świetnie, będę prześwieślać oczami), - jest źle, nie ma pieniędzy (tego też się domyślam).

Po zebraniu powlokłam się z powrotem na dół. Jest dopiero trzynasta, jeszcze dwie godziny.

Dzwoni komórka. To Alina.

Alina jest pediatrą jak ja, ale pracuje na pół etatu. Może sobie na to pozwolić, bo jej mąż dobrze zarabia.

- Cześć, wpadłabyś do mnie? - marudzi.

- Co, chora jesteś?

- Ja się zawsze źle czuję.

- Nie wydziwiał, przecież mamy jechać na Kretę, chyba nie chcesz się wycofać - przestraszyłam się.

- Nie, tylko pogadać. A pamiętasz, że musimy zapłacić do końca czerwca?

- Pamiętam, jeszcze tysiąc czterysta.

Umawiamy się na jutro. Alina obiecała ugotować obiad.

Wychodzę o trzeciej i jadę prosto na coroczną wizytę kontrolną u onkologa. W kolejce jest kilka kobiet. Brakuje mi tupetu, aby tak wejść bez kolejki. Ale szybko to idzie.

- Nie zgłosiła się pani w październiku na umówioną wizytę. - Wiem, ale...

- Nie interesował pani wynik mammografii?

- Obejrzałam go w rejestracji - mówię. - Panie doktorze, co roku w styczniu zapisuję się na wizytę, którą mam zwykle w marcu. Wtedy pan mi daje skierowanie na mammografię, której termin mam na czerwiec. Potem czekam dwa tygodnie na wynik, po czym mogę go skonsultować w październiku. Dlatego proszę w rejestracji, żeby pozwolono mi na niego zerknąć. Ja nie mam czasu, nie mogę sobie pozwolić, aby cycki zajmowały mi cały rok.

- Sama pani wie, taki system. - Podał mi skierowanie na kolejną mammografię.

Machnęłam ręką. W rejestracji zapisano mnie na dziesiątego września.

Była już piąta po południu. Wstąpiłam do baru pierożkowe-go na naleśniki. Małe zakupy i do domu.

W domu potwornie gorąco. Wszystkie okna wychodzą na zachód. Włączyłam telewizor i wiatraczek. Jak dobrze, że to piątek.

W telewizji na wszystkich kanałach leciały seriale - polskie. Oglądam z przyzwyczajenia, choć dobijają mnie swoim brakiem realizmu.

Wyłączam telewizor i włączam komputer. Kupiłam go dwa lata temu od syna pielęgniarce, który zmieniał sprzęt na nowszy. Nauczyłam się korzystać z Internetu i zajmuje mi to sporo czasu.

*

Do Aliny pojechałam autobusem. Pół godziny przez całe miasto. Dzień był ładny, ani jednej chmurki. Szkoda przesiedzieć go w domu.

Alina mieszkała na superosiedlu w superdomu. Mały, ogrodzony, dwupiętrowy blok, z garażami i ochroną, w willowej części miasta.

Jej mąż wiecznie nieobecny, inspektor czegoś tam... Stale w delegacji.

Alina podobnie jak ja była kopnięta przez los. Pochodziła z Kielc. Do Belska ściągnął

ją męż. Długi czas mieszkała z teściami, a w tym czasie mężulek hasał po Polsce. Delegacje!

Była tu kompletnie sama. Zdolna, inteligentna, ale nie zrobiła kariery. Miała tylko „jedynekę” z pediatrii, chciała czegoś więcej, ale nie zdołała się przeciwstawić mężowi, który uważał, że w ogóle nie musi pracować. Oczekiwał od niej prowadzenia domu i ładnego wyglądu, słowem - chciał reprezentacyjnej żony.

Tak więc nie miała warunków do rozwoju. Odeszła ze szpitala do przychodni i w końcu zaczęła pracować na pół etatu. Kiedyś mi powiedziała:

- Przegrałam swoje życie. Nie powinnam była się zgodzić na to wszystko, tylko odejść. On zrobił karierę moim kosztem. Powinnam była tupnąć nogą i powiedzieć - dość. Nie zrobiłam tego, a teraz... Stale jestem chora, źle się czuję, nie nadaję się do niczego.

Istotnie, Alina ciągle niedomagala: serce, tarczyca, alergia; miewala duszności, zawroty głowy, cierpiała na bezsenność.

Sugerowałam, że jej problemy leżą w psychice, że depresja ma różne oblicza, ale niechętnie do tego podchodziła. Cóż, była lekarzem i sama powinna zauważyć, że ucieka w chorobę, bo nie chce stawić czoła rzeczywistości.

Ale to Alina była jedyną koleżanką, która jeździła ze mną na wakacje i weekendy. Miała czas i pieniądze. Choć, prawdę mówiąc, musiałam ją wyciągać na siłę z domu. Bywała jeszcze bardziej apatyczna niż ja.

Od przystanku miałam jeszcze dobre pół kilometra. Szłam powoli, rozkoszując się słońcem. Miałam na sobie świetną sukienkę (udało mi się ją kupić okazji): bawelnianą, przewiewną, białą w czerwono-czarne wzory, a do tego fajnie uszytą: spory dekolt, dół asymetryczny i małe falbanki zamiast rękawów.

Przy bramie stał ochroniarz i wpuścił mnie dopiero po potwierdzeniu przez Alinę. Gruba przesada.

Alina, niewysoka, szczupła blondynka, nie wyglądała na swoje czterdzieści lat. Powitała mnie radośnie.

Ma dziś dobry dzień, nie będzie truła - ucieszyłam się.

- Proszę - podałam jej pudełko. - Będzie na deser. Lody śmietankowo-czekoladowe i polewa czekoladowa. Włóż do lodówki.

Alina gotowała w kuchni, która była duża i świetnie wyposażona. Można w niej było swobodnie jadać.

- Ugotowałam zupę pomidorową, ale ryż mi się trochę rozgotował. A na drugie kotlety z kurczaka.

- Świetnie.

- Tu będziemy jeść. - Już nakrywała do stołu. Zjadłyśmy szybko.

- Na deser chodźmy do salonu. Chcesz herbatę czy kawę?

- Wiesz przecież, że jestem herbaciara.

Wzięłyśmy pucharki z lodami, kawę, herbatę na tacy i prze-szłyśmy do salonu.

Salon był duży i pusty, tylko komplet wypoczynkowy, stolik ze szklanym blatem, serwantka i kino domowe. No i mnóstwo roślin: juki, draceny, wielkie paprocie i inne, których nazw nie znałam.

Usiadłyśmy w dużych, wygodnych fotelach. Podciągnęłam nogi, wygładziłam sukienkę.

- Jest twój mąż? - zapytałam.

- Coś ty! Fruwa gdzieś w przestrzeni. Nie widziałam go ze dwa tygodnie.

- Dzwoni?

- Owszem, przysyła SMS-y.

- Nie ma pretensji, że jedziesz na tę Kretę?

- Nie, chyba nie. Nic nie mówił, a może w ogóle to go nie obchodzi. - Wzruszyła ramionami.

- Wiesz co?! Chodźmy na spacer, to grzech siedzieć w domu w taki dzień - stwierdziłam.

- Ale gdzie?

- Po prostu w stronę gór, przez pola.

- Ty masz gołe nogi! Chcesz biegać po tych chaszcach?

- Nic mi nie będzie. A ty nie rób z siebie księżniczki. Włóżysz spodnie i po problemie.

No już. Idziemy!

Alina była niezbyt zadowolona, ale w końcu ubrała się i wy-szłyśmy.

- Musimy pogadać o tej Krecie. Dowóz na lotnisko organizuje biuro, więc jeden problem odpada. Niestety, wylot jest w nocy.

- To lepiej, nie lubię latać w dzień - wtrąciła.

- Po hotelu nie spodziewaj się cudów. Wybrałam go przez internet, miał dobre opinie, ale i tak to są tylko trzy gwiazdki. Mnie nie stać na więcej. Jest basen, klimatyzacja, łazienka i czysto, a to najważniejsze.

- Będzie dobrze - powiedziała Alina, ale miałam wrażenie, że myśli o czymś innym.

- Czy coś się dzieje? - zapytałam.

- Nie wiem - posmutniała. - Moje zdrowie, praca, mąż... Wszystko mnie dołuje. Nie wytrzymuję tego. Czy takie ma być moje życie do końca?

- Wszyscy żyją podobnie. A może coś z mężem, chory?

- On chory? Też coś! - obruszyła się.

- Może ma kogoś, nie myślałaś o tym? - Nie wytrzymałam.

- Nawet gdyby miał, to mam to w dupie... Byleby dawał pieniądze. Reszta mnie nie obchodzi.

- Dobrze, dobrze, nie było rozmowy...

Minęłyśmy ogródki działkowe i doszłyśmy do drogi, za którą zaczynała się górka. Wzdłuż drogi ciągnął się rów wypełniony wodą. Alina trochę marudziła, ale przeskoczyła. A ja za nią.

- Będziemy zwiedzać? - zaczęłam.

Alina skrzywiła się.

- No nie, nie myślisz chyba, że dwa tygodnie przesiedzimy na plaży. W hotelu nie będzie rozrywek, a miejscowość jest mała. Poza tym warto coś zobaczyć. I będziemy zwiedzać, choćbym cię miała kopniakami zapędzić do autobusu - zapowiedziałam.

Wspinałyśmy się po zboczu niewielkiej górki. Kwitły krzewy tarniny, małe białe płatki unosiły się w powietrzu.

- Ty, popatrz! - Alina chwyciła mnie za ramię.

- Gdzie?

- Tam, na drugiej ścieżce. Ta para to doktor Kuder z jakąś małolatą. Nie z żoną, bo ją znam, i nie z córką, bo tak się z córką nie chodzi.

Para się obejmowała.

- Słyszałam - Alina mówiła podniecona - że ma romans z pielęgniarką.

- Druga młodość. Jakie te chłopcy są głupie! On chce się odmłodzić, a ona liczy, że zaprowadzi go do ołtarza. Starszy facet, na stanowisku, zamożny i młoda dupa. Normalka! - Byłam cyniczna.

Wielu naszych kolegów zaliczało kolejne żony, a każda była młodsza od poprzedniej. Faceci to specyficzny gatunek, koło pięćdziesiątki zaczynają się zachowywać, jakby mieli dwadzieścia lat; ciuchy, głośna muzyka, siłownia. Łykają viagrę i myślą, że oszukają czas.

- Kiedyś byłam z mężem na bankiecie z urzędu. Był tam doktor Zbych. On już nie żyje. Wtedy jego żoną była pielęgniarka z oddziału, w którym pracował. To była VIP-owska impreza... Wiesz, jak ona była ubrana? Zgroza. Wszyscy się śmiali. Białe kozaki do kolan, białe skórzane spodnie, bluzka w cętki, świecąca, bez pleców i biała skórzana kurtka ze złoceniami. Do tego ostry makijaż. A tu suknie wieczorowe - pełny szyk!

- Może była dobra w łóżku? Słyszałam, że chłop ma rozum nie w głowie, lecz w

główce. - Śmiałyśmy się głośno.

- Zmęczyłam się, wracajmy. - Alina dostała zadyszki.

- Dobrze, ale tobie brakuje kondycji. Powinnaś ćwiczyć, choćby marszobiegi. Idzie lato, trzeba by coś robić. Szkoda, że nie mamy samochodu. Za dwa tygodnie długi weekend - Boże Ciało. Może pojedziemy do Zakopanego albo...

- Tam będzie tłum ludzi - zaprotestowała.

- Ale tam są busiki, wszędzie dojedziesz.

- Nie, mam lepszy pomysł. Byłaś kiedyś w Kielcach? Zapraszam cię do mojego rodzinnego domu.

- Naprawdę? - Byłam wzruszona. - A twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko?

- Na pewno nie. Będzie mój brat, a on ma samochód. Zadzwoń i wszystko ustalę. -

Alina poweselała.

- Dobrze, pod warunkiem że gdyby były jakieś trudności, powiesz mi bez ogródek.

Pożegnałyśmy się, poszłam do autobusu. Szkoda, że u Aliny nigdy nie ma alkoholu (szkodzi jej), przydałby mi się mały kieliszeczek.

W przychodni źle się dzieje. Chodzą plotki, że firma chce zlikwidować placówkę. Robi się nerwowo, wszyscy na siebie warczą.

W dziecięcej - pełnia lata: karty kolonijne, zaświadczenia do szkół, z rzadka jakaś angina czy zatrucie.

Ale zdarzają się też takie numery: pielęgniarka zawołała mnie do telefonu.

- Syn od wczoraj ma gorączkę, boli go gardło i ma czopy - krzyczy do telefonu kobieta.

Telefon źle działa, przerywa, nic nie słyszę.

- Musi pani zgłosić się z dzieckiem, muszę go zbadać - też krzyczę.

- Ale ja dzwonię z Grecji!

Zbaraniałam.

- Przecież, jeśli jest pani z wycieczką, to ma pani ubezpieczenie. Trzeba skontaktować się z rezydentem - krzyczę (jestem obeznaną globtroterką).

- Ale ja jestem prywatnie.

- O Boże! A co pani ma, jakie leki, może antybiotyk?

- Mam amoksacylinę.

Ustalamy dawkę. Pani się wyłącza. Zabawna sytuacja.

Ostatnio coraz częściej udzielam porad związanych z podróżami: kremy, filtry, leki na różne schorzenia, a nawet na malarię. Z tą malarią to miałam dopiero problem. Przez kilka dni

studiowałam o niej w internecie.

Pielęgniarka Małgosia chodzi smutna. Jej córka zdawała maturę i chyba niezbyt dobrze jej poszło. Wyniki pod koniec czerwca.

Usiadłam w gabinecie. W szufladzie trzymam podręcznik do angielskiego. Wyjęłam. Podciągnę słówka. Przydadzą się na Krecie.

Dzwoni Basia - moja koleżanka ginekolog.

Basia pochodzi stąd. Jej rodzice byli lekarzami, a dziadkowie rolnikami. Typowy przykład powojennego awansu społecznego. Rodzice Basi zostali zamordowani, gdy ona była na studiach. Historia ich śmierci jest straszna. Mieli w domu sporo gotówki za sprzedaną ziemię na działki budowlane i ktoś o tym wiedział. Sprawców nigdy nie wykryto.

- Moje dziewczyny jadą do Anglii, do pracy. Jakie leki powinnam im dać?

- Podstawowe, no i trzeba uwzględnić, co będą robić, jeśli jakieś pola, szklarnie, to mogą być urazy, zakażenia, uczulenia...

- Wiesz, wpadnę do ciebie koło ósmej, to wszystko omówimy.

- Będę czekać. Dziś mam drugą pracę, wracam przed siódmą.

Basia - dawno jej nie widziałam. Też będzie po pracy, głodna i wykończona. Muszę coś przygotować, choć jest tak gorąco, że nie chce się jeść.

Kiedy wreszcie się ochłodzi?!

Południe. W przychodni poruszenie, wszyscy szukają pacjenta z zawałem. Zniknął, choć miał siedzieć i czekać na zamówioną karetkę.

- U nas go nie było - mówi Małgosia przerażonej internistce. Zatrzymuję ją:

- Jak to zniknął? Dobrze się czuł?

- Właśnie, to niewielki zawał, a dolegliwości nietypowe. Miał siedzieć i czekać - płacze.

- Niech pani nie płacze. Przecież to dorosły człowiek. Wiedział, czym to grozi. Nie mogła go pani związać.

O trzeciej wychodzę do drugiej pracy przez ogólną.

- Co z tym pacjentem z zawałem? - pytam.

- Po godzinie wrócił. Powiedział, że musiał odstawić auto do garażu, bo się bał, że je ukradną. - Rejestratorka machnęła ręką.

Przypomniałam sobie:

- A wiatraczek w poczekalni jest?

- A skąd, po dwóch dniach zniknął.

Samo życie!

Kupiłam sałatę, truskawki, ogórki, oszypka i śmietanę w sprayu.

Zrobię sałatkę (jadłam taką w knajpie) - sałata, ogórek, cebula, jajko i starty oszyppek, no i oczywiście przyprawy, sos winegret. Do niej grzanki, opieczone i natarte czosnkiem. A na deser - truskawki ze śmietaną.

Wszystko już przygotowane. Może przyjeżdżać. Czekam. Wiatrak idzie na fuli.

Basia nie miała szczęścia w życiu. Najpierw ta historia z rodzicami, a potem mąż...

Dwa lata temu umarł na czerniaka. A wszystko zaczęło się jakieś pięć lat wcześniej, po powrocie z wakacji we Włoszech. Jedno ze znamion powiększyło się, ściemniało, zaczęło swędzieć. Zabieg. Diagnoza - czerniak złośliwy, faza wczesna, leczenie zakończone. Nie spodobało mi się to. Dawno temu moja koleżanka zachorowała na czerniaka. Wycięto jej węzły i miała chemię przez dwa lata. I żyje, zdrowa.

Pojechali jeszcze na dodatkowe konsultacje, ale i tam lekarze stwierdzili, że nie trzeba nic więcej robić. Po trzech latach mąż Basi zaczął mieć kłopoty z mówieniem, zaburzenia równowagi, bóle głowy. To były przerzuty do mózgu. Próbowano jeszcze chemii. Za późno. Po dwóch tygodniach zapadł w śpiączkę i po kilku dniach umarł. Basia została sama. Pomimo takich przeżyć nie była zgorzkniała jak ja. Była pogodną, lubianą kobietą. Niewysoka, o ciemnych krótkich włosach, miała kilka kilo nadwagi, czym się zupełnie nie przejmowała.

Jej córki, bliźniaczki to świetne dziewczyny. Pomagają matce, jak mogą - udzielają korepetycji, roznoszą ulotki, pracują na promocjach w marketach. Studiują w Krakowie, a to kosztuje. Dużo kosztuje. Ale teraz jadą do Anglii.

Dzwonek do drzwi - Basia.

Skonana pada na kanapę. Jest spocona, ma zaczerwienioną twarz, a krótkie ciemne włosy są posklejane. Ubrana jest w pognieciony, jasny komplet typu safari.

- Sok czy woda?

- Woda. Tylko zimna!

Podaję jej mineralną z lodówki. Opiekam grzanki, doprawiam sałatę i stawiam na stole.

- Jedz.

- Chwileczkę. Daj odetchnąć. Nie mam siły. Przysuwam bliżej wiatrak.

- Jestem po dyżurze, potem były dwa zabiegi, no i gabinet. Padam. Ostatnio skacze mi ciśnienie i ta pogoda mnie wykończy. A przed dyżurem jeszcze zaprawiłam dwadzieścia słoików truskawek.

- Oszalałaś! Po co?! - wyskoczyłam. - I faktycznie. Nie wyglądasz najlepiej. Robiłaś badania?

- Wszystko w porządku. Jestem tylko zmęczona.

- Kiedy idziesz na urlop?

- Wiesz od śmierci... Biorę urlop zawsze jesienią. Nienawidzę słońca.

- Ha, to jeszcze daleko! Basia zaczęła jeść.

- Dobrze - powiedziała.

- Kiedy twoje dziewczyny wyjeżdżają?

- Pod koniec czerwca. Autobusem do Londynu, a stamtąd w okolice Brighton - to miejscowość wypoczynkowa.

- A mają pracę?

- Tak, wszystko załatwione. Mają już mieszkanie. Będą pracować w hotelu, przecież świetnie znają angielski.

Szybko ustaliśmy listę leków.

Przynoszę truskawki ze śmietaną, posypane wiórkami czekoladowymi. Basia je, nawet nie patrzy co. Jestem trochę rozzalona. Mogłaby choć słowo powiedzieć.

- Wiesz, właściwie to chciałam ci powiedzieć... No, słowem, spotykam się z kimś. To co prawda dopiero kilka razy, ale chyba zaiskrzyło... - Basia patrzy mi prosto w oczy.

Jestem całkowicie zaskoczona.

- Kto to? Znam go?

- Chyba nie. To lekarz z oddziału. Janusz Czech.

- Rzeczywiście, nie znam...

Poczułam zazdrość. Basia jest sama dwa lata i już kogoś ma, a ja tyle czasu... No, ale ja miałam inne problemy na głowie i właściwie zawsze czułam do mężczyzn nieufność (zapewne wyniosłam ją z domu).

Basia poszła.

Położyłam się do łóżka. Przez te wszystkie lata tak płakałam nad swoim rajem utraconym, że nie zwracałam uwagi, co się wokół mnie dzieje.

Było kilka znajomości, miały wspólną cechę - były bardzo krótkie.

Zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie Zbyszka, to było jakiś rok po rozwodzie. Poznałam go w przychodni.

Nie był pacjentem, przychodził ze swoim bratem, zwykle pod koniec przyjęć i zawsze proponował, że mnie odwiezie do domu. Zgodziłam się raz czy dwa, ale niechętnie. Czułam, że prowadzi jakąś grę. Raz spotkałam go w mieście, poprosił o pomoc przy kupowaniu koszuli (standard podrywacza), po czym zaprosił mnie na kawę. Odmówiłam. Kolejne spotkanie (oczywiście przypadkowe) w kinie i ponowne zaproszenie. Powiedziałam sobie:

dlaczego nie, nie ubędzie mnie przecież. Chłopak był przystojny i w moim wieku. Poszliśmy na kawę i ciastko do lokalu. Rozmowa się nie kleiła, ale mimo to zgodziłam się na wycieczkę w góry. I wtedy okazało się, że mamy wspólne zainteresowania: geografia, podróże, odkrycia. Wychowaliśmy się na książkach Fiedlera i Szklarskiego. Było trochę spotkań, wypadów turystycznych, aż w końcu przyszedł czas na nieuchronne (przecież nie byliśmy nastolatkami) łóżko. Już wcześniej całowaliśmy się, ale nic nie iskrzyło, nie czułam żadnego podniecenia. Zła wróżba, we mnie jest jakiś brak - myślałam - to przecież nie pierwszy raz. Postanowiłam pójść na całość. Zaprosiłam go do siebie. Zrobiłam kolację przy świecach, wino.

I to była całkowita katastrofa.

Leżeliśmy w łóżku, całował mnie i pieścił, a ja nadal nic nie czułam. Jego gesty zaczęły mnie drażnić. Nie wycofałam się, chciałam doprowadzić rzecz do końca... Po to, żeby wiedzieć.

Po wszystkim zsunął się ze mnie, ubrał i wyszedł. Płakałam całą noc. Do cholery, co jest ze mną? Powinam może udawać, ale nie jestem w tym dobra. A przecież wiedziałam, czego oczekuję - w tym przypadku natura przychodzi z pomocą.

Po kilku dniach otrzymałam od niego list. W obelżywy i nieprzyjemny sposób oskarżał, że go wykorzystałam (niby jak?), że jestem zimna, a w ogóle, że pewno jestem lesbijką (no, tu już przesadził!).

Na pewno coś nie grało. W czasie małżeństwa satysfakcję osiągnęłam zaledwie kilka razy, a kontakty z innymi mężczyznami też były nieudane.

Długo myślałam, że to вина tego „pierwszego razu”.

Ten „pierwszy raz” był na obozie naukowym, na drugim roku. Do wieczora pracowaliśmy, badając, mierząc, opisując przypadki. A potem - balowaliśmy.

Podobał mi się jeden z kolegów. Namówiłam więc koleżankę, z którą mieszkałam, żeby się wyniosła, a sama zwabiłam go do pokoju. Byłam młoda i ładna. Chłopak szybko się podniecił. I zrobił swoje. Był wściekły, bo go nie uprzedziłam, że jestem dziewicą. Ja zapamiętałam z tego tylko ból i zdziwienie, że seks jest tak przereklamowany, a książki i filmy kłamią.

Fakt - nie byłam zakochana, ale to nie jest warunek konieczny, aby mieć jakąś przyjemność.

Teraz wiem, że na moje życie erotyczne kolosalny wpływ miało dzieciństwo i relacje z rodzicami, a te były nienormalne. Teraz wszystko zwała się na dzieciństwo.

Wiem też, że to nie ten „pierwszy raz”, tylko niewiedza i złe podejście psychiczne. Wiele zależy od faceta. Można o tym poczytać w każdym babskim pisemku.

Może powinnam kupić wibrator???

*

Nareszcie długi weekend. Oczywiście ochłodziło się i trochę pada.

Jestem w pracy. O trzeciej przyjedzie po mnie Alina z bratem. Wczoraj się pakowałam - nie wiedziałam, co wziąć: szlafrok, bo przecież u obcych nie będę biegać w koszuli, szary kostium, który miałam we Wrocławiu (na wypadek gdyby wypadało pójść do kościoła), krótkie spodnie i T-shirty, na wypadek gdyby się ociepliło.

Jestem trochę zakłopotana. Alina powiedziała, że mają duży dom, ale ja przecież nie jestem koleżanką - studentką. Mówiła też, że brata ma fajnego, jest po rozwodzie i mieszka teraz w domu rodzinnym.

O, matko, chyba nie chce mnie swatać!

O trzeciej już stoją pod przychodnią. Autko fajne. Renówka. Alina przedstawia mi brata - Witek. Niewysoki, szczupły, włosy szpakowate, krótko ścięte. Podobno ma jakąś hurtownię. Ubrany w dżinsy i flanelową koszulę w kratkę. Alina też na sportowo. Siadam z tyłu. Jedziemy. Przed nami ze trzysta kilometrów. Oni rozmawiają. Nie przeszkadzam. Długo się nie widzieli.

Patrę przez - okno, mijamy wsie i miasteczka. W ogóle nie znam tych stron. Cieszę się, że zobaczę Góry Świętokrzyskie. Przejeżdżamy przez Jędrzejów.

- Niedługo Chęciny. Zatrzymujemy się? - pyta Witek.

- Jeśli o mnie chodzi, bardzo chętnie.

Alina nie jest zainteresowana. Była tu ze sto razy. Jest już pod wieczór, ale aut stoi sporo. Obchodzę ruiny. Znałam je wcześniej z widokówek, ale na żywo to co innego.

*

Dojechaliśmy do Kielc. Dom rodzinny Aliny jest rzeczywiście duży, stary, położony w rozległym, nieco zaniedbanym ogrodzie. Rodzice, mili starsi państwo, emerytowani nauczyciele. Zjedliśmy kolację i Witek zabrał mnie na przejażdżkę po mieście. Alina odmówiła - bo co to dla niej za atrakcja?

Po raz drugi pomyślałam, że chce mnie swatać. Jeśli tak, to - daję słowo - zabiję!

Witek pokazał mi rynek, Pałac Biskupi, zabytkowy kościół i przedziwne rezerваты w samym mieście. Objaśniał fachowo niczym przewodnik. I wcale nie próbował flirtować. Kamień spadł mi z serca.

Na noc umieszczono Alinę i mnie w dużym pokoju na piętrze. Stały w nim dwa tapczany z lat sześćdziesiątych, duży stół, staroświeckie kredensy, komoda i piec kaflowy.

Księżyc w pełni. Jego światło wdzierało się poprzez delikatne firanki do pokoju. Było

jasno jak w dzień.

Alina wyraźnie wykazywała nastrój do rozmowy.

- I co, Witek pokazał ci miasto?

- Trochę. Jutro jest święto, czy nie wypadałoby...

- Nie, nie musimy. - Alina uprzedziła moje słowa. - Ja chodzę sporadycznie, a Witek od rozwodu w ogóle. Rodzice się nie wtrącają, przecież jesteście dorośli. Jutro pojedziemy na wycieczkę, może jaskinia Raj, a może wejdziemy na Łysicę.

- Nie chcesz powiedzieć, że pójdziesz w góry. Przecież wysiłek ci szkodzi - pozwoliłam sobie na złośliwość.

- Mnie szkodzi moje życie w Belsku - odcięła się.

Westchnęłam.

- Też nie lubisz tego miasta?

- Lubię, nie lubię. Ale chciałabym tu wrócić, tu się dobrze czuję. Poza tobą to ja tam właściwie nikogo nie mam. Basia, Bożena... to twoje koleżanki. Ja jestem trochę na doczepkę.

- Przesadzasz. - Chciałam przerwać.

- Bynajmniej. Wiesz to doskonale... Jest trochę znajomych męża, ale to taka sama sytuacja. A moje małżeństwo - machnęła ręką - nie istnieje od dobrych paru lat. Nie mamy dzieci, mąż uważa, że to moja wina. Robiłam badania. Wszystko w porządku. Nigdy ci nie mówiłam, ale on ma syna sprzed małżeństwa... więc uważa, że wszystko jasne.

- Ma syna? Ile ma lat? Utrzymuje z nim kontakt? - Zaciekawiałam się.

- Tak, ja go też znam. Ma czternaście lat. Parę razy był u nas na weekend.

- To czekaj, miał dziecko, jak się z tobą żenił? Wiedziałaś o tym? Dlaczego nie ożenił się z matką dziecka? - zarzuciłam ją pytaniami.

- Wiedziałam, wiedziałam. Podobno ona nie chciała ślubu, miała kogoś... czy coś... Zresztą nie wiem, czy to miałoby jakiegokolwiek znaczenie.

- Byłaś zakochana?

- No pewnie, i to jeszcze jak. On był taki... - Szukała słów przez chwilę. - Taki, jakby świat do niego należał. Czułam się taka bezpieczna. O wszystkim decydował. Wtedy to mi się podobało. A jaki miał gest! Pojechaliśmy do Zakopanego, zimą. Wynajął sanie i jechaliśmy z pochodniami do Doliny Kościeliskiej, a za nami drugie sanie z zespołem góralskim. To robiło wrażenie. Wiesz, kwiaty, prezenty, romantyczne wyjazdy - na rękach mnie nosił. A ja świata poza nim nie widziałam. Jak w bajce. A po ślubie - proza życia. On robił karierę, a ja byłam sama. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać, a potem być. Jak myślisz, dlaczego ja jeżdżę z tobą na wakacje? Jemu nie zależy. Nawet jest zadowolony, że ma mnie z głowy.

- Ale przynajmniej masz wspomnienia - westchnęłam.

- A ty nigdy nie byłaś zakochana? A twój mąż?

- Nie wiem. Wtedy chyba myślałam, że tak... Ale jakichś wybuchów namiętności nie przeżywałam. Wiesz - podniosłam się na ręce - jak byłam na studiach, zdarzyło się coś, co jeszcze dziś powoduje szybsze bicie serca i taki dziwny, ale przyjemny niepokój... Byłam na obozie zimowym, na pierwszym roku. Mieszkaliśmy w chacie góralskiej, byłam sama, reszta poszła na wycieczkę. I wtedy ON stanął na progu. Pamiętam, że miał wojskową kurtkę. Przedstawił się, tak jakby to coś znaczyło. Nie dla mnie. Potem okazało się, że jest jakimś delegatem uczelni kontrolującym zimowiska. Zrobiłam herbatę i rozmawialiśmy. Wtedy wróciła reszta. Żebyś widziała, jak skakali koło niego, był taki popularny. Spędził u nas tylko trzy dni, stale koło mnie. Właściwie nic szczególnego nie mówił ani nie robił, tylko patrzył, trzymał za rękę, czasem pogłaskał po twarzy. A ja straciłam głowę. Poszliśmy na spacer, pod skałki. Do dziś czuję, jak opieram się o skałę i on mnie całuje. Serce waliło jak oszalałe, nogi jak z waty. Czulałam, że zrobiłabym wszystko, czego by zażądał. Byłam taka bezwolna. Nigdy przedtem ani potem tak się nie czulałam. Wtedy powiedział: „Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej”. Nie rozumiałam, co ma na myśli. Jakoś w marcu spotkałam go na ulicy, u jego boku była dziewczyna w ciąży - jakiś ósmy miesiąc. Patrzyliśmy na siebie bez słowa i to było wszystko. Nigdy więcej go nie spotkałam. Jeśli to miała być miłość, to skończyła się, zanim zaczęła. A najlepsze przyszło, jak wróciłam po feriach. Na uczelni szumiało, różni ludzie gratulowali mi, że poderwałam najfajniejszego faceta na całej akademii. Byłam taka zdezorientowana. I widzisz, to moja największa historia romantyczna w życiu - zaśmiałam się nieszczerze.

Przez chwilę milczałyśmy.

- Spijmy, bo jutro nie wstaniemy - powiedziała w końcu Alina.

*

Rano obudził nas Witek. Popatrzyłam przez okno, szare chmury przesuwały się po niebie. Kropiło.

- Jak na złość - piekliłam się. - Tyle czasu było gorąco i ładnie, a teraz taki pasztet!

- Normalna sprawa. Zawsze, jak zaplanuję jakiś wyjazd, pogoda się psuje - stwierdziła Alina, stojąc obok mnie przy oknie. - Kiedyś pojechaliśmy nad morze i wyobraź sobie, cały czas lało. Bite dwa tygodnie. Na kwaterze woda ciurkała z sufitu. Wtedy przysięgłam sobie, że nigdy więcej. Potem jeździliśmy do Włoch i Chorwacji.

- No właśnie, a teraz pojedziemy... Polecimy na Kretę. Po słońce i ciepłe morze. Ha!

Na stole czekało śniadanie: jajeczka na miękko, wędlina, ser i ciasto drożdżowe z

rodzynekami. Alina przyniosła kawę.

- Czy ktoś oglądał prognozę pogody? - zapytała.

- Nie będzie tak źle. - Witek rozłożył mapę. - Chodźcie i spójrzcie, może pojedziemy najpierw do Opatowa, a potem wrócimy do Nowej Słupi i wejdziemy na Łysą Górę? A potem zobaczymy? Co? Nie widzę głosów sprzeciwu. No to w drogę!

Jechaliśmy szosą, wokół pola i łąki, lasy. Przed nami wznosił się masyw górski.

- To Łysica. - Alina odwróciła się do mnie. - Nie jedź tak szybko, w głowie mi się kręci - krzyknęła na brata.

Zadzwoiła komórka Witka.

- Tak, kochanie, teraz nie mogę rozmawiać, jadę. Przyjdę dziś wieczorem, jak obiecałem. Pa. - To Marysia, moja córka, często się z nią widuję. Moja była nie ma nic przeciwko temu.

- Mogłeś ją zabrać na wycieczkę, przewietrzyłaby się dziewczyna. Ja ją lubię, twoją była zresztą też. W ogóle nie rozumiem, dlaczego się rozwiedliście - powiedziała Alina.

- Też coś. Piętnastolatkę chcesz po górach ganiać? Ona by pojechała, ale na dyskotekę. Co do mojej eks, to wiesz, że chodziło o niezgodność charakterów - oświadczył Witek.

- Akurat! Nie wierzę! Któreś z was coś zbroiło i sędzę, że to nie była ona.

- Agato, a ty skąd się wzięłaś w Belsku? Alina mówiła, że pochodzisz z Wrocławia. - Witek chciał zmienić temat.

O nie! Co to, to nie! Nie zamierzam o tym opowiadać ani się zwierzać. Alina nie powiedziała ci, że to śliski temat?

- Tak potoczyło się życie - powiedziała tonem zamykającym wszelką dyskusję.

Przy spóźnionym obiedzie prawie wcale nie zamykały mi się usta. A obiad był świąteczny - rosół z domowym makaronem, kurczak pieczony z mizerią i na deser biszkopt z galaretką.

- Wycieczka była wspaniała. Kolegiata w Opatowie robi wrażenie. No i te podziemia! A w Nowej Słupi w sierpniu jest fantastyczna impreza: pokaz wytapiania żelaza - trajkotałam podekscytowana. - Podobał mi się Święty Krzyż: widok z tarasu precudny. Klasztor też. Co prawda w puszczy jodłowej jest więcej buków niż jodeł... Ja kocham przyrodę, to jedyna rzecz coś warta na tym świecie - ucichłam.

- Nie lubi pani ludzi. - Matka Aliny spojrzała mi prosto w oczy.

Skrzywiłam się.

- Niespecjalnie.

- To niebył dobra cecha u lekarza - ciągnęła. - Nie sądzi pani?

- Miałam być naukowcem. Zawsze miałam lepszą rękę do książek niż do ludzi. -
Zrobiło mi się trochę głupio.

- To dlaczego...

- Może po koniaczku? - zaproponował ojciec Aliny.

- Chętnie.

Czułam, że patrzę na mnie krzywo. Za dużo powiedziałam. To w końcu obcy ludzie.
Atmosfera wyraźnie się usztywniła.

Wkurzyłam się. A dlaczego, do kurwy nędzy, miałabym lubić ludzi? Co mnie dobrego spotkało? Kochana rodzinka: tatuś - nie tatuś. Mamuśka. Religijna! Codziennie biegła do kościoła. A jak mnie traktowała? I nie widziała w tym żadnej sprzeczności. Moje koleżaneczki! Dorota - zdradziła mnie; Lilka - od matury nie dała znaku życia; Grażyna - ciągle muszę przypominać jej o swoim istnieniu. Stale na przyczepkę. W pracy też różnie bywało. Szefowie, pacjenci... Nazbierało się tego...

- My idziemy na procesję. - Starsi państwo wstali od stołu.

- Idźcie, posprzątamy - zapewniła Alina.

Wieczór upłynął przy telewizji. Po dzienniku wstałam.

- Przepraszam, dziś tyle wrażeń, jestem zmęczona, pójdę odpocząć. Dziękuję za wszystko.

Alina chciała wstać.

- Nie, ty zostań, na pewno chcesz posiedzieć z rodzicami.

Leżałam w łóżku, kiedy wróciła.

Zaczęłam śledztwo:

- Dlaczego uważasz, że twój brat niepotrzebnie się rozwiódł?

- Właściwie to nie wiem - wzruszyła ramionami. - Niby wszystko było w porządku, a tu - rozwód. Najpierw sądziłam, że braciszek miał skok w bok, potem, że ona. Ale teraz myślę, że poszło o kasę.

- O kasę są zwykle zaciekle kłótnie, a oni się przyjaźnią.

- I tego nie rozumiem. Ona była rozrzutna, lubiła się ubrać, podróże, imprezy. A pracę miała marną i marnie zarabiała. Wittek miał pretensje, że tyle wydaje, zwłaszcza że on na to pracował. Chciał inwestować, rozbudować firmę, ona chciała korzystać z życia. Stąd ten rozwód. Ale myślę, że Witkowi nadal na niej zależy.

- A wiesz, podejrzewałam, że chcesz mnie swatać.

- Też coś. Z tobą? Nigdy! Za bardzo kocham brata - śmiała się złośliwie.

Rzuciłam w nią poduszką.

Następne dni były równie atrakcyjne. Pogoda się poprawiła, było trochę słońca. Witek nadal robił za kierowcę - nie protestował. Obejrzałam klasztor w Świętej Katarzynie, weszłam na Łysicę, zwiedziłam ruiny w Bodzentynie. Kupiłam wisiołek z krzemienia pasiastego.

W sobotę wieczorem Witek zrobił grilla w ogrodzie. Przyszła jego córka, Marysia, drobna, szczuplutka dziewczuszka, miła i spokojna, a przynajmniej na taką wyglądała.

W niedzielę szykowaaliśmy się do wyjazdu.

- Bardzo dziękuję za wszystko. Było naprawdę miło. Poznałam kawałek Polski i jestem ogromnie wdzięczna - rozpływałam się.

Po południu Witek odwiózł Alinę i mnie do domu.

*

Zaczęłam się denerwować. Do tej pory nie przyszły pieniądze z kasy pożyczkowej. A termin dopłaty do wczasów tuż-tuż. Zadzwoiłam. Pani z kasy zapewniła mnie, że jestem na liście i do końca tygodnia pieniądze na pewno znajdą się na koncie.

*

Małgosia płacze. Jej córka nie zdała matury. Nie ma pomysłu, co dalej.

- Przecież jest tyle szkół policealnych, niewymagających matury. A nie może zdawać poprawki?

- Te szkoły są płatne, nie stać mnie.

- To może niech idzie do pracy i uczy się zaocznie - usiłuję pomóc.

- Ale dlaczego, pani doktor, dlaczego? Tyle się uczyła, brała korepetycje. To jest niesprawiedliwe.

Chciałam jej powiedzieć: „Życie w ogóle jest niesprawiedliwe, nie zauważyła pani?”.

*

Przychodzi pielęgniarka z ogólnej. Zbiera składki na prezent ślubny dla naszej położnej. Uroczystość w sobotę o piętnastej.

Może powinnam pójść. Czerwiec to dobry miesiąc na ślub - ma „r”. Ja brałam ślub w kwietniu i dlatego tak się skończyło.

*

Dzwonię do Aliny. Jest w domu.

- Mam dość pracy. Chcę na rentę - mówię płaczliwie.

- Ha, ha, na rentę. Trzeba być ślepym, głuchym, bez rąk i nóg. Wtedy są na nią szanse.

- Wyśmiewa mnie.

- Wczoraj czytałam, że gdzieś pacjent pobił lekarza orzecznika ZUS. I wiesz, od razu

pomyślałam, że zasłużył - chichoczę.

- Ale, ale! U nas przyjęli lekarkę na godziny, właśnie z ZUS-u. Podobno musiała odejść - Alina mówi znacząco. - Żebyś ty ją widziała... Baba koło sześćdziesiątki, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, supermini, kabaretki na nogach i wysokie obcasy. Ubaw po pachy!

- Rzeczywiście ubaw! - skwitowałam. - Przepraszam, muszę kończyć, mam szczepienia.

*

Pojechałam na ten ślub, mimo że zanosilo się na burzę.

Stoimy daleko od ołtarza, obok mnie Urszulka - internistka.

Panna młoda ma ładną prostą suknię, włosy upięte, przybrane perełkami i krótki welonik. Wygląda milutko. Pan młody na czarno.

Trzymam pojedyncze anturium - bardzo praktyczne, nie zajmuje dużo miejsca. Urszulka ma róże.

W ławkach siedzą krewni i znajomi. Sporo ich.

Nie słucham pieśni ani modlitw. Zamyśliłam się.

Krewni. Ja nie mam nikogo. Przecież to niemożliwe. Musi ktoś być. Jakieś ciotki, wujkowie, kuzyni. Przecież rodzice nie spadli z księżycy! Odsunęli się od wszystkich - to fakt. Ale może mieli rodzeństwo? Nigdy ich nie szukałam ani mnie nie szukano.

Trzeba zacząć?! Tylko jak? Książka telefoniczna z Wrocławia, ogłoszenie w gazecie? Ktoś mnie przecież zawiadomił o śmierci matki. Żadnego punktu zaczepienia.

Dać sobie spokój? Tyle lat minęło i jakoś się obchodziłam bez rodziny. Ale prawda jest smutna - jestem sama i samotna. Nie zaszkodziłaby chociaż jakaś kuzynka.

Ceremonia się zakończyła. Urszulka szepce do mnie: - Ładna para, prawda?

Przyznaję jej rację. Składam parze młodej życzenia i właściwie mogę już iść, ale Urszulka proponuje mi kawę. Jest ładnie, po burzy się odświeżyło. Znajdująca się niedaleko kawiarenka jest w parku. Siadamy w ogródku. Zamawiam deser lodowy.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Właściwie prawie się nie znamy. Zaskoczyło mnie jej zaproszenie. Patrzę na nią. Jest co najmniej dziesięć lat młodsza ode mnie. Ładnie wygląda w jasnej garsonce: wysoka, szczupła. Na serdecznym palcu obrączka.

- Chciałam z panią porozmawiać. Przerywam jej.

- Przejdźmy na „ty”, przecież razem pracujemy - proponuję.

- Pracuję tu już dwa lata i muszę przyznać, że jest ciężko. Bardzo nieciekawe stosunki w pracy, pacjenci też nieprzyjemni, roszczeniowi - skarży się.

- Tak, to specyficzne środowisko. Ja mam do czynienia z dziećmi, więc odczuwam to

mniej.

- Tam gdzie pracowałam przedtem, było zupełnie inaczej.

- A dlaczego pani... Przepraszam... Ty się przeniosłaś. Skąd jesteś? - zaciekałam się.

- Z daleka, aż z Lublina, a przyjechałam za mężem - uśmiechnęła się.

- Jest lekarzem?

- Na szczęście nie. Pracuje w banku. Mam czteroletniego syna i myślę o drugim dziecku. Ale do tego czasu chciałabym zrobić specjalizację. Tyle że firma się nie zgadza.

Po co ona mi to wszystko mówi? Patrzę na nią badawczo. Ale widzę tylko szczere, zasmucone spojrzenie.

- Pewnie, oni potrzebują tylko jeleni do roboty. Radzę ci, rozglądaj się za czymś, wam, internistom, łatwiej.

- A ty dlaczego tu siedzisz?

- Ja... ja jestem stracona. Jest mi to obojętne. Wypaliłam się. Nie mam ochoty na żadne zmiany. Dzieci nie jest dużo, nie przepracowuję się - tłumaczę mętnie.

- Ja właściwie to chciałam zapytać... - Urszulka zaczyna się jąkać. - Chodzi mi o tę starszą lekarzkę, panią Doroń. Jest taka nerwowa, czasem wydaje mi się, że czuję od niej alkohol.

Masz babo placek.

- Powiem ci wprost. W nic się nie pakuj. Jeśli tak jest, niech pacjenci reagują - nie ty. Inaczej środowisko cię zje. A i firma też nie podziękuje. Jesteś młoda, naiwna i pełna dobrych chęci. To ci przejdzie z czasem. Codziennosc wbija nas w ziemię. W tym kraju każdy zawód jest lepszy od naszego. Po latach wszyscy trochę wariujemy, stąd problemy, alkohol, leki. Ja marzę o emeryturze. Od dawna nie mam już natury samarytanki. Oczywiście, robię, co należy, ale nie z dobroci serca, tylko dlatego, że chcę mieć święty spokój.

- Jesteś pesymistką.

- Tak bym tego nie nazwała, jestem realistką z odrobiną cynizmu. Kiedyś było inaczej. Miałam inne plany. Szybko pozbawiono mnie złudzeń.

W milczeniu kończyłyśmy lody. Raczej przyjaciółkami nie zostaniemy.

- Może cię podwieźć, jestem samochodem? - Urszulka wstała.

- Dziękuję, nie trzeba. Przejdę się.

*

Pieniądze już przyszły. Umówiłam się z Aliną pod biurem turystycznym o dwunastą, żeby wszystko załatwić do końca. Wzięłam pół dnia urlopu. Kierownik był niezadowolony, bo zastępstwo jest zamówione dopiero na sierpień. Z trudem ubłagałam internistkę Urszulkę,

aby w razie czego przyjęła dziecko.

- Masz wątpliwości, boisz się, kierujesz do szpitala. Z dziećmi nigdy za dużo ostrożności, zwłaszcza z niemowlętami - pouczam ją.

A z kierownikiem miałam starcie.

- To nie może tak być, że ja nie mogę się ruszyć. Zwolnień nie biorę, urlop w dwóch ratach... Reszta personelu może robić, co chce - mówiłam podniesionym głosem.

- Pani doktor, nie ma przymusu pracy. - Rozłożył ręce.

- Niech mnie pan nie rozśmiesza. Tu nikt nie przyjdzie. Przychodnia jest na czarnej liście. Trzeba by frajera albo straceńca. A dopóki ja tu jestem, a przychodnia istnieje, mam takie same prawa jak inni!

Odwrociłam się i wyszłam.

Stoję pod biurem. Podjeżdża samochód. Wysiada Alina. A to niespodzianka! Mąż-widmo ją podwiózł.

- Widzę, że dzisiaj jesteś zmotoryzowana - dokuczam jej.

- A tak, przyjechał na kilka dni. Ale znowu wyjeżdża. Zresztą, krzyżyk na drogę.

W biurze załatwiamy wszystko - dopłaty, ubezpieczenia, dowóz na lotnisko. Dostajemy gratis mapkę Krety.

Idziemy do galerii handlowej pooglądać, a może nawet coś kupić.

- Muszę się czegoś napić - mówię. - Chodźmy na sok do kafeterii. Co właściwie chcesz kupić? - pytam Alinę.

- Potrzebuję bluzeczki z bawełny, jeszcze nie wiem jakiej, ale musi być niebieska, i może letniej sukienki - zastanawia się.

- Potrzebuję kłapek... Poza tym mam wszystko.

Jakieś dwa lata temu skompletowałam zestaw wakacyjny: krótkie spodnie, topy na ramiączkach, powiewne spódnice i mini - nie pokazałabym się w nich na ulicy w moim mieście.

Muszę dbać o opinię. Belsk to dziura. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przyjść do pracy lub wyjść do miasta w ślicznej, różowej bluzeczce z dekoltem na całe plecy, do której nie wkładam stanika. Albo w letniej, prawie przezroczystej sukience supermini, ledwie zakrywającej pupę i odsłaniającej całe (opalone) uda. Nie jestem nastolatką. Ośmieszylabym się. Tam, na Południu, wszystko jest dozwolone. Nikt nie zwraca uwagi na mój strój. Obowiązuje zasada: im mniej, tym lepiej.

Wędrujemy po butikach. Nie ma wielkiego wyboru. W końcu Alina znajduje ładną bawełnianą sukienkę mini, bez pleców, jasną w małe kwiatki. Kupuje ją i jeszcze białą

cieniutką bluzeczkę wyszywaną drobnymi cekinami.

W sklepie obuwniczym pełno kłapek, ale nie takich, jak chcę - wszystkie na obcasach, z cieniutkich pasków. Rezygnuję z poszukiwań.

Przy stoisku z bielizną Alina zastanawia się nad dodatkowym kostiumem kąpielowym.

Za ladą stoi szczupła, niewysoka kobieta. Jest po czterdziestce, ale wygląda na góra trzydzieści pięć. Czarne włosy, świetna cera. O ladę opiera się młody, dobrze zbudowany mężczyzna.

Ona mówi:

- Wychowałam dzieci, zniosłam małżeństwo, teraz muszę pomyśleć o sobie.

On patrzy na nią z uwielbieniem.

- Słyszałaś? - pytam Alinę.

- Tak - szepce.

Spoglądam na kobietę z podziwem i nawet nie zauważam, kiedy kupuję satynową koszulkę na ramiączkach. Po co mi ona?

- Będzie w sam raz na Kretę - pociesza mnie Alina.

- Akurat. Nie pamiętasz, że spałyśmy w T-shirtach, bo było zimno.

- No bo ty robisz lodówkę. Kto nastawiał klimatyzację na osiemnaście stopni?

- Tu będzie centralna. Módl się, żeby w ogóle działała.

Mijamy drogerię.

- Może kupimy już krem, bo potem może nie być. Często są kłopoty z wysokim filtrem - mówi Alina.

Znowu siadamy w kafeterii. Zamawiamy kawę.

- Zaczyna się weekend. Co robisz? - pytam.

- Nie wiem, może pojedę z mężem nad jezioro.

Czuję zazdrość. Też chętnie pojechałabym nad jezioro: opalać się, popływać. Ale ona nie może mnie zaprosić. Jej mąż mnie nie lubi. A w ogóle to uważa nas za dwie stare baby - malkontentki. Może to nie jest takie dalekie od prawdy? Niemniej pozostaje problem - co robić z weekendem?

Bożena pojechała z całą rodziną na wczasy. Basia ma faceta. Za ciepło na wycieczkę w góry.

Ja chcę nad wodę! Taki upał. Nie chcę piec się w bloku jak na patelni. Gdybym miała autko, choćby malutkie...

Życie samotnej kobiety jest beznadziejne. Zero rozrywek.

*

Sobota rano. Świeci słońce. Ciepło. Oglądam w telewizji jakieś seriale dla dzieci.

Co jakiś czas patrzę na telefon, jakbym chciała go zahipnotyzować. Nie pomaga, nie dzwoni.

Mysł pozytywnie - usiłuję ustawić się do pionu - za miesiąc jedziesz na Krete.

Niestety, wpadam w czarną dziurę. Życie nie ma sensu, po co się tak męczyć? Z bocznej kieszonki torebki wyjmuję tabletki i połykam dwie.

Wracam myślami do wizyty we Wrocławiu. Cmentarz.

Mam zmarnowane życie i do tego jakiś psychol jest moim ojcem. Nie zrobiłam kariery, jestem sama, nie mam z kim spędzić weekendu - rozklejam się. Czy za dużo oczekiwałam? Chciałam tylko, żeby ojciec załatwił mi pracę w Instytucie Naukowym.

Byłam pracowita, sumienna i pilna. Należało mi się. Rodzice zawsze powinni wspierać swoje dzieci. Tak funkcjonuje cały świat!

Jestem niekonsekwentna. Jeśli byłam dzieckiem z gwałtu, to jak mogłam oczekiwać czegokolwiek. Ale przecież przez lata o niczym nie wiedziałam.

Tabletki zaczynają działać. Powoli wracam do równowagi.

Trzeba posprzątać. W mieszkaniu jest chlew, bo nigdy nie mam czasu. Zabieram się do mycia okien. Muszę uważać, bo kręci mi się w głowie. Dwa okna i balkon zabierają mi prawie dwie godziny. Jestem wykończona. Zasłonki i firanki wrzucam do pralki. Wycieram kurze z mebli, myję lampy, wreszcie odkurzam.

Jest czwarta, słońce świeci prosto w okna.

Wieszam zasłonki, mimo że są wilgotne. Zmieniam serwetę na ławie. No, trochę przejaśniało. - Zadowolona oglądam efekty pracy.

Ale mam dość. Bolą mnie plecy i głowa. Łazienka i kuchnia będą musiały poczekać. Akwarium też.

Biorę kąpiel z pianą. Leżę sobie w wannie i odpoczywam. Na twarz położyłam maseczkę regenerującą. Z pokoju dochodzą dźwięki muzyki.

*

W niedzielę pojechałam na błonia. Miała być duża impreza plenerowa. Widziałam plakaty reklamujące koncert i jakieś występy. Generalnie nie lubię tego typu zabaw ani żadnego bratania się z tłumem, ale byłam już tak znudzona i zdesperowana, że gotowa niemal na wszystko.

Usiadłam pod parasolem na drewnianej ławie i zamówiłam piwo. Tłumy ludzi przewalały się obok mnie. Całe rodziny z dziećmi i psami. Niemiłosierny hałas dobiegał z estrady, dodatkowo wzmocniony przez głośniki. Do tego trąbki, gwizdki, piszczące baloniki i

nawet petardy. Prawdziwy rodzinny festyn. W środku tego wszystkiego tkwiłam ja. W jednej sekundzie poczułam się obca, zupełnie nie na swoim miejscu. Chciałam wstać i wrócić do domu. Nagle usłyszałam:

- Czy to miejsce jest wolne? Pozwoli pani?

Zerknęłam. Mężczyzna w średnim wieku.

Koło mnie wszystkie miejsca są wolne.

- Proszę - odparłam automatycznie. Spojrzałam na niego. Wyglądał całkiem, całkiem. Szczupły, wysoki, ubrany na sportowo. Miał przyjemny uśmiech.

- Podoba się pani muzyka? - zagał po chwili.

- Nieszczególnie - potrząsnęłam głową.

Mój Boże, czy aż tak jestem spragniona towarzystwa, że wdaję się w rozmowę z nieznanym facetem? Czy on próbuje mnie poderwać?

- Wyjątkowo ładny lipiec - ciągnął. - W zeszłym roku cały czas lało. Pamięta pani?

- I owszem - zgodziłam się.

- Wydaje mi się, że już kiedyś się spotkaliśmy. Wiem! - Krzyknął triumfalnie. - U Zyty Kalinowskiej.

- Przykro mi. Nie znam pani Kalinowskiej. Myli mnie pan z kimś innym. - Uśmiechnęłam się pobłaźliwie.

- Och, to nieprawdopodobne. Mam taką dobrą pamięć do twarzy. A pani nie sposób nie pamiętać. - Błysnął komplementem.

Nic nie powiedziałam. A on zamilkł. Czyżby czekał na oklaski?

- Pod estradą tańczą. Może zatańczylibyśmy? - zaproponował.

- Dziękuję, ale czekam tu na kogoś. Co prawda spóźnia się... - Znacząco zerknęłam na zegarek.

- Niech pani nie da się prosić. Jeśli spóźnia się, to jego strata. Zresztą jak pani nie chce, możemy pospacerować, porozmawiać...

Ewidentnie podrywał. Właściwie to miło, że zwrócił na mnie uwagę. Sporo tu samotnych kobiet i mężczyzn. - Rozejrzałam się dookoła.

- No to co? Pospacerujemy? - Przysunął się bliżej.

- Nie, dziękuję. Muszę już iść. - Wstałam.

- Szkoda - powiedział.

Kątem oka zauważyłam, że jego wzrok poszybował ku innej pani, która samotnie siedziała pod sąsiednim parasolem.

Podrywacz. Szuka okazji. Pewnie chodzi o niezobowiązujący numerek na jedną noc.

To nie dla mnie. Ale jednak ktoś mnie zauważył. Dobrze i to. A Alina byczy się nad wodą - pomyślałam z zazdrością.

*

Połowa lipca, wakacje, ale dzieci zawsze chorują. Do gabinetu wchodzi rodzice z rocznym dzieckiem. Gorączkuje do trzydziestu dziewięciu stopni. Jest w dobrej formie, uśmiecha się.

Badam. Nic nie znajduję. Wygląda zdrowo, tylko skąd gorączka?

- Nie ma żadnych odchyień w badaniu. Może to będzie trzy-dniówka. Zupełnie nie wiem, dlaczego gorączkuje - zwracam się do matki.

- Gdybym zapłacił, od razu by pani wiedziała - atakuje mnie ojciec.

Robi mi się gorąco. Cham! Ale nie będzie mnie obrażał.

- Jeżeli pan tak to widzi, to chyba najlepszym wyjściem jest zmienić lekarza. Pańskie prawo - mówię.

Wyskakuję do poczekalni.

- Pani Małgosiu, ci państwo wycofują dziecko z naszej przychodni. - Podaję jej kartę dziecka.

Matka usiłuje łagodzić sytuację:

- Ale to nie tak, mąż jest zdenerwowany...

Chowam się w socjalnym. On jest zdenerwowany, ja nie mogę! On może zachować się po chamsku, a ja mam to znosić?

Wychodzę z przychodni. Mam gdzieś, że nie wolno. Muszę się przewietrzyć, bo zrobię komuś coś złego.

Idę aleją kasztanową aż do kościoła. Wchodzę... Jaki spokój. Nie myślę o niczym.

Niestety, nie mogę tu zostać, choć bardzo bym chciała.

Wracam do pracy, na swoje miejsce w szeregu. Widzę, jak Małgosia oddycha z ulgą.

A to niespodzianka!

Przyszła pani Truś z dzieckiem. Ucieszyłam się.

- Będziemy się szczepić?

- Pani doktor, ja nie chcę, nie zgadzam się. Koleżanki mi mówiły, że po szczepieniu dziecko może mieć autyzm. Czytałam też w internecie...

- Proszę pani, w internecie piszą różni ludzie różne rzeczy, które nie są prawdziwe. Pracuję dwadzieścia lat i nie znam żadnego takiego przypadku - tłumaczę cierpliwie.

- Ale po szczepieniach dzieci więcej chorują - upiera się.

- Skąd taki pomysł? Szczepienia podnoszą odporność dziecka. Za parę miesięcy

dziecko zacznie chodzić, bawić się na dworze. Nie obawia się pani tężca?

Na twarzy matki maluje się bezwzględny upór.

- Jak pani chce. Nikt gwałtem dziecka nie zaszczepi. Ale zdaje sobie pani sprawę z zagrożeń? Tak? Musi pani napisać oświadczenie, że nie zgadza się na szczepienia.

Kobieta podpisuje. Ma takie prawo. Może jeszcze zmieni zdanie.

Wchodzi ojciec z czteroletnimi bliźniakami. Dzieci demolują mi gabinet, zrzucają pudełko ze szpatułkami i kalendarz, biją się. Ojciec nie reaguje. Muszę mieć oczy naokoło głowy, bo też oberwę. Dłonie same zaciskają mi się w pięści, chowam je do kieszeni.

Nie wytrzymam, wybuchnę. Należy mi się urlop, teraz, natychmiast!

Badam bardziej niż pobieżnie. Dzieci szaleją, a ojciec wcale nie pomaga.

- Tylko bez patyczka. - Ożywia się, gdy próbuję zajrzeć do gardła. - Oni sami pokażą!

Gówna pokażą! Pic na wodę, fotomontaż - przeklinam w myślach.

Oczywiście nic nie widzę. Jestem bezradna, jeśli rodzice nie współpracują. Dzieci gorączkują, jest lato - pewno angina. Trudno, daję tylko paracetamol. Wrócą, jak zdecydują się na porządne badanie. Najlepiej z matką, bo ojcowie są do niczego.

*

Następną pacjentką jest Julka, uroczą sześciolatka. Badanie kontrolne po zapaleniu płuc. Podaje mi koszyczek truskawek z ogrodu.

- Dzssiękuję - sepleni.

Biorę, ale na plecach czuję oddech służb specjalnych. Jestem skorumpowana.

*

Pielęgniarka wprowadza kolejne dziecko, trzyletnią dziewczynkę z tatusem.

- Co jej dolega? - pytam.

Tatusz rozkłada ręce:

- Pani doktor, ja nie wiem. Wróciłem z nocki i żona kazała mi iść z nią do lekarza.

- No przecież musi pan coś wiedzieć, żona nic nie mówiła? Może kaszle? Ma gorączkę? Wymiotuje? - podpytuję.

- Chyba kaszle. - Patrzy bezradnie.

Zaraz szlag mnie trafi. Kolejny tatuś.

- Ma pan komórkę? Niech pan dzwoni do żony.

Po telefonicznej konsultacji okazuje się, że dziecko ma biegunkę. Wypisuję receptę.

Błogosławione komórki. Jak ja żyłam, kiedy ich nie było? Krótka przerwa na kawę.

*

Och, jaką mamy dowcipną młodzież. Na dodatek wakacje i głupie pomysły.

Dziś przyszedł osiemnastolatek. Wszedł do gabinetu, dwóch kolegów chichotało pod drzwiami.

Bez śladu zażenowania zapytał:

- Czy dziewczica może zajść w ciążę?

Zatkało mnie. Do pediatry z takim pytaniem? On uśmiecha się niewinnie. Patrzę spod oka.

O nie, nie ze mną te numery, Brunner.

- Mój drogi... - zaczynam wykład. - Na pewno uczyłeś się na biologii o budowie i fizjologii człowieka. Zatem wiesz, że kobieta ma w pochwie niewielką błonę, zwaną dziewiczą, która to błona ulega uszkodzeniu podczas pierwszego stosunku. Błona ta nie jest zamknięta, aby krew miesięczkowa mogła się swobodnie wydostawać. Stąd wniosek, że teoretycznie dziewczica może zajść w ciążę, w czasie tzw. stosunku przedsionkowego...

Chłopak wyraźnie ma dość. Nie wiem, czego chciał. Może zgorszyć, sprowokować, żebym go wyrzuciła, albo plątała się w odpowiedzi? Za drzwiami cisza. On chce wstać i wyjść.

- Bardzo dziękuję - jąka się.

Nic z tego. Sam chciałeś, myślę złośliwie.

- Siadaj i słuchaj. Nie skończyłam.

Za drzwiami jęk i chichot.

- W okresie romantyzmu, gdy dziewictwo otoczono kultem, stosunki przedsionkowe, to jest takie, w których nie dochodzi do pełnej penetracji, aby nie uszkodzić błony dziewiczej, były dość powszechne. I, owszem, zdarzały się ciążę. Ale prawdopodobieństwo jest niewielkie. Czy chcesz jeszcze o coś zapytać? - Uśmiecham się niewinnie.

*

Jadę do drugiej pracy. W autobusie spotykam learkę, z którą pracowałam dawno temu. To starsza pani około siedemdziesiątki.

- Dzień dobry. Co słychać? - pytam.

- Wracam z pracy. Pracuję w przychodni zakładowej.

- Pani?

- Cóż, przy mojej emeryturze muszę dorobić. Dobrze, że jest gdzie. - Uśmiecha się smutno.

Boże, a co ze mną będzie w przyszłości?

- A zagląda pani jeszcze na stare śmieci?

- Nie, już nie. Oni się tam dobrze urządzili i chyba nie życzą sobie.

No tak, to możliwe, ona zawsze miała dużo pacjentów, może boją się konkurencji?

- O, już mój przystanek. Do widzenia. Wszystkiego dobrego - żegnam się.

Jestem głodna jak wilk. Wstępuję do baru pierożkowego, na ruskie.

*

W przychodni czeka na mnie jakiś mężczyzna. Prosi o wizytę domową. Jest uprzejmy. Wie, że jest późno i że ja nie praktykuję wizyt domowych, ale to wyjątkowa sytuacja. Znajoma lekarka jest na urlopie. Przyjedzie po mnie i odwiezie mnie z powrotem. Zgadzam się.

O Boże, jaka chałupa. Ogrodzona murem rozległa działka i olbrzymi dom. Ogród zaprojektowany zapewne przez architekta zieleni, nieco kiczowaty - mostki, strumyki, skałki. Ale dom... Ściana wychodząca na góry jest ze szkła do wysokości pierwszego piętra. Można ją rozsunąć na taras. Dwie duże palmy w rogach salonu i nawet drzewko cytrynowe w donicy. Są też inne rośliny, których nie znam - prawdziwa oranżeria!

A jakie meble, obrazy, lampy... Patrzę na właściciela podejrzliwie: szara strefa, mafia, a może polityk, bo przecież nie lekarz!

Elegancka, młoda kobieta sprowadza dziecko do salonu. Banalna angina. Wypisuję lekarstwa. Mężczyzna odwozi mnie do domu.

*

Wieczór. W bloku panuje straszliwy hałas. Ktoś wymienia okna. Mnie też by się przydało, ale szkoda mi pieniędzy. Musiałabym wybierać - okna albo wakacje. A wakacje są święte!

Dzwonię do Bożeny. Wróciła już z urlopu we Włoszech. Mam do niej kłopotliwą sprawę - finansową.

Umawiamy się w pubie, jutro po pracy.

*

Pub w centrum miasta. Bożena już siedzi przy stoliku. Mocno opalona, wygląda na wypoczętą.

- Witaj po urlopie. - Całuję ją w policzek.

- A witaj, witaj. - Bożena odwzajemnia serdeczność jakoś bez entuzjazmu.

- A cóż to, nie udał się pobyt? Wyglądasz świetnie, taka opalona...

- Nie, było w porządku, pogoda, plaża, morze. Pozwiedzaliśmy trochę. Ale mieliśmy koszmarną przygodę. Wieczorem wracaliśmy z San Marino. Nagle otoczyły nas samochody, wyskoczyły zamaskowane typy z karabinami i do nas... Irek gwałtownie zahamował i siedzimy. Omal nie umarłam ze strachu.

Kazali nam wysiąść i położyć się na ziemi. Myślałam, że napad, mafia czy coś takiego. Okazało się, że to oddziały antynarkotykowe. Wzięli nas za Albańczyków... Dostali jakiś cynk. Dobrze, że znamy angielski i niemiecki, bo nie wiem, jak by się to skończyło. Lena była przerażona.

- No to nie zazdroścę, taka przygoda mogła zepsuć urlop. A przeprosili chociaż?

- Tak, ale co z tego. Stało się.

Pijemy drinki. Pogryzamy orzeszki. Zastanawiam się, jak nawiązać do mojej sprawy.

- Z Leną też były problemy. Nie wracała na noc, kiedyś zobaczyłam, jak się obściskowała z jakimś Włochem nad basenem. Nawet nie mówiłam Irkowi, żeby się nie wściekał.

- Tak, to są uboczne skutki znajomości języków obcych. Kiedyś było trudniej.

- No, mowa ciała zawsze była znana - ironizuje.

- A hotel, jedzenie?

- Hotel był super, all inclusive, dwa baseny, dyskoteki, występy, choć ja właściwie wolę spokój. W sumie było w porządku.

Chwilę milczymy. Bożena spogląda na zegarek.

- Za godzinę muszę być w gabinecie. Mówiłaś, że masz do mnie sprawę.

- Tak, choć trochę mi głupio.

- Wal.

- Chciałam... czy możesz pożyczyć mi trochę pieniędzy? Muszę dokupić euro.

- Euro? Zostało nam trochę. Ile potrzebujesz?

- Ze dwieście.

- Wpadnij jutro, to ci dam.

- Dzięki. Oddam we wrześniu. OK?

Dlaczego pieniędzy zawsze brakuje? Całe życie „od pierwszego do pierwszego”. A nie musiało tak być, prawda, tatuśku?! To co zostało po was, topnieje z każdym rokiem. Odłożyłam trochę na czarną godzinę, gdybym na przykład utraciła pracę. A wakacje to jedyna ekstrawagancja, na którą sobie pozwalam. Bez nich mogę od razu kłaść się do trumny.

*

Wakacje. Nareszcie.

W nocy przyleciałyśmy na Kretę. Dziś dzień aklimatyzacyjny. Po południu spotkanie z rezydentką.

Leżymy na leżaczkach nad basenem. Ciepło, właściwie gorąco. Szafirowe niebo bez jednej chmurki. Spokój. Żadnej pracy, żadnych pacjentów.

Jesteśmy w raju.

Rozglądam się. Wokoło góry, skąpo porośnięte piniami i drzewkami oliwnymi. Przed nami morze, błękitne po horyzont.

- Spieczemy się. - Alina przesuwa swój leżak do cienia pod drzewka figowe. Idę w jej ślady.

Na drzewkach mnóstwo dojrzałych fig. Nie wiemy, czy można, ale podskubujemy.

- Najlepsze są te żółtawe - mówię. - Alina, musimy coś zdecydować w sprawie wycieczek. - Patrzę do katalogu.

Ona leniwie przeciąga się na leżaku.

- A musimy? Tak mi tu dobrze...

- Przede wszystkim Santorini. To jedyna okazja. Nie odpuszczę.

- Mam chorobę morską, a to kilka godzin statkiem.

- I jeszcze wieczór kreteński. A na chorobę morską dam ci lekarstwo.

Wygrzewamy się na słońcu i pływamy do południa, lekceważąc wszelkie rozsądne opinie na temat opalania. Basen jest dość duży, woda ciepła i kryształowo czysta. Otwarli już bar. Zamawiamy kawę frappe.

Podoba mi się tutaj. Hotel skromny, ale czysty i dobrze utrzymany. Pokój wystarczający. Jest lodówka i telewizor. Mamy ocieniony winoroślą balkon. Są stoliki i krzesła. Będzie można tu siedzieć wieczorami.

Pod wieczór idziemy nad morze. Jesteśmy po obiedzie (chińska zupka) i spotkaniu z rezydentem.

Na spotkaniu po raz kolejny potwierdziło się, że Polacy zawsze są niezadowoleni: „jedzenie greckie”, „za mały pokój”, „za małą łazienkę”, „za głośno”, „za cicho” itp.

Kupiłyśmy wycieczkę na Santorini, ale tylko statek i jedzenie. Na miejscu same sobie poradzimy. Wyjazd o wpół do piątej ra - no. Alina nie jest zachwycona.

Siedzimy na piasku. Plaża jest pustawa. W kilku miejscach leżaki i parasole. Słysząc język grecki i polski.

- Dobre miejsce wybrałam - mówię.

To zatoka, w oddali widać port. Morze spokojne, fale niewielkie. Lekki wiaterek chłodzi powietrze. Słońce powoli chowa się za górami.

Idziemy do tawerny, którą zauważyłyśmy już wcześniej. Nieduża, zaledwie kilka stolików, przykrytych papierowymi obrusami. Menu po grecku i angielsku. Zamawiamy sałatkę grecką (obowiązkowo), jedną na nas dwie (bo porcje są ogromne), i małe rybki smażone na oliwie. Do tego dzbanek białego zimnego wina (Alina przestała narzekać, że jej

szkodzi). Pycha. Przy rachunku dostajemy kawałki mrożonego arbuza i po kieliszku raki.

Alkohol zrobił swoje. Jesteśmy w doskonałych humorach. Zupełnie nie chce nam się spać. Siadamy na balkonie. Obok mieszka małżeństwo w naszym wieku. Nawijamy rozmowę. Są tu już tydzień, bardzo zadowoleni. Mają wypożyczone auto. Pan opowiada, co zwiedzili. Słucham z zazdrością. Niestety, mają kłopot. Chcieli jutro pojechać do Prevelli, ale pani od rana źle się czuje - ma ból głowy, gorączkę, wymioty. Ujawniamy się jako lekarki (normalnie unikamy tego jak ognia) i wkraczamy do akcji. Pani jest trochę odwodniona, wygląda to na lekki udar słoneczny. Poimy ją wodą z saltorałem, dajemy paracetamol. Pan przygotowuje lód na okłady.

Rano pani jest zdrowa i wdzięczna. Proponuje wspólną wycieczkę. Alina nie chce, a ja owszem. Jedziemy do Prevelli! Hura! Zobaczą klasztor i plażę z palmami.

*

Alina siedzi smętnie na łóżku. Biedna. Zawsze taka sama. Najpierw nie chce, a potem marudzi.

- Trzeba było jechać, a nie żałować po fakcie.

- Opowiadaj, Agata. Nie denerwuj mnie.

- Przejechaliśmy całą Kretę na południe: góry, doliny, wioski. Wszędzie drzewka oliwne - podobno jest ich trzydzieści pięć milionów. Wyobrażasz sobie? W dolinach zielono - gaje, platany, eukaliptusy. Przy drodze sprzedawali świeży sok pomarańczowy. I mijaliśmy mnóstwo małych, białych kościółków. Tu też są, popatrz w góry. Na końcu jechaliśmy wąwozem - głębokim na jakieś trzysta metrów. A sam klasztor jest położony na skale, w dole morze: błękitne, które daleko gdzieś zlewało się z błękitem nieba. Wyobraź sobie, że przy wejściu rozdawali spódnice kobietom, które uznali za nieodpowiednio ubrane. Zabawne. Ja nie dostałam, czyli moje krótkie spodnie sięgające kolan były wystarczająco moralne. W samym klasztorze zwiedziłam muzeum. Nie wolno było fotografować. Kupiłam widokówki, dla ciebie też. Wrzuciłam też pieniążek pod starożytną pinię, również w twoim imieniu. No i na końcu plaża. Widok z góry niesamowity. Trzysta metrów w dół, przy ujściu rzeki do morza, prawdziwy gaj palmowy i piaszczysta plaża.

Trzeba było zejść wąską ścieżką, pomiędzy kolczastymi krzaczkami i tłumem turystów. Posiedzieliśmy godzinkę na plaży, popływaliśmy. Aha, w tym gaju palmowym istne śmietnisko. Szkoda! A potem z powrotem do góry, w tym słońcu było ciężko.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na obiad w górach w małej knajpce - kurczak w pomidorach z frytkami tylko cztery euro! Było cudownie. Ale jestem wykończona - powiedziała, rzucając się na łóżko.

*

Małżeństwo z sąsiedztwa odleciało do kraju. Mamy nadzieję, że nowi sąsiedzi nie będą z dziećmi.

Mamy fart: są bez dzieci.

Młode małżeństwo z Gliwic. Są bardzo zajęci, przyjechali na tydzień. On cały czas przyklejony do komórki. Zamawia, załatwia, reklamuje. Ona czyta. Cały tydzień mają dokładnie rozplanowany, codziennie inna wycieczka.

*

Byłyśmy na spacerze. Najpierw port (prawie cztery kilometry). Podziwiałymy jachty i statki wycieczkowe. Potem wracałyśmy brzegiem morza. Niewielkie fale biły cicho o brzeg. Było prawie pusto. Ludzie siedzieli w tawernach i kafejkach. Powolutku się ściemniało. Morze zachęcało do kąpieli.

- Popływajmy - powiedziałam nagle.

- Nie mam kostiumu.

- Ja też nie. Możemy popływać nago...

- Agata, oszalałaś!

- Nikogo nie ma, jest prawie ciemno. Zróbmy raz coś spontanicznie.

- Ty jesteś nieprzewidywalna. Ale majtek nie ściagam.

- Ja też nie.

Woda ciepłutka, płynęłam przed siebie. Czułam się wolna. Najchętniej płynęłabym tak i płynęła...

- Agata, wracaj - usłyszałam głos Aliny.

Wróciłam do brzegu.

- Czy ty oszalałaś? Mogłaś się utopić.

- Ja? Bredzisz. Pływanie to jedyna rzecz, którą naprawdę dobrze umiem.

- Patrz, inni też - szepnęła Alina. Amatorów nocnej kąpieli było więcej.

- O Boże, przecież nie mamy ręczników.

- I co z tego. - Włożyłam spodnie i T-shirt na mokre ciało. - Wrócimy do hotelu i przebierzemy się. Potem pójdziemy coś zjeść. Te chińskie zupki bokiem mi wychodzą.

Jedzonko w naszej tawernie było pyszne jak zawsze: nadziewane pomidory i smażone kalmary. Zamówiłam wino do kolacji.

Wraz z rachunkiem kelner przyniósł ciasto orzechowe polane miodem. Pycha.

*

Piękny wieczór - innych zresztą tu nie ma. Siedzimy na balkonie. Na pobliskim

drzewie wydziera się cykada. Na kolanach trzymam małego rudego kotka, w pobliżu wylegają się jeszcze dwa. Może powinnam kupić jutro mleko?

Pogryzamy melona i nektarynki. Tutaj zupełnie inaczej smakują niż w kraju. Trzeba więc korzystać.

U naszych sąsiadów ciemno. Śpią. Gonią z wycieczki na wycieczkę i są zmęczeni.

Świeci księżyc.

Wzięło mnie na wspomnienia:

- Przypominam sobie moją pierwszą podróż, jeszcze z Krzyśkiem, do Jugosławii. To było tuż przed wojną na Bałkanach. Jechaliśmy maluchem. Na dachu wieźliśmy namiot i butlę gazową. W bagażniku słoiki zjedzeniem, które szykowałam przez tydzień. Na granicy z Czechosłowacją staliśmy sześć godzin. Nocowaliśmy na parkingu za Wiedniem. Następny nocleg był w szczerym polu w Jugosławii pod Plitwicami. Już wtedy było niebezpiecznie z powodu sytuacji politycznej. Umierałam ze strachu. Nasz maluch ledwo zipał. Po trzech dniach dotarliśmy nad morze. Kemping był międzynarodowy. Wstydziłam się. Mieliśmy tak nędzne wyposażenie turystyczne i tak mało pieniędzy. W sklepiku zostawiali dla Polaków tańszy towar: wczorajszy chleb, gorsze pomidory. A wiesz - ożywiłam się - wtedy po raz pierwszy jadłam nektaryny. Ech... Na chwilę zamyśliłam się. Po czym ciągnęłam dalej: - I do tego trzeba było coś sprzedać, żeby choć trochę zmniejszyć koszty. Nie miałam do tego smykałki, ale niektórzy świetnie sobie radzili. Pozbyłam się w ten sposób kompletu pościeli i chińskiego termosu. Właściwie to ten termos wyrwali mi prawie siłą. Czułam się upokorzona. I wiesz, pamiętam, że wtedy się zastanawiałam, czy ja kiedyś pojedę tak normalnie do hotelu, gdzie będzie basen i jedzenie, i nie będę musiała handlować. Tam były hotele na plaży, z basenami. Przechodziłam koło nich i widziałam ludzi na leżakach, kobiety w świetnych kostiumach kąpielowych, kelnerów roznoszących napoje. Patrz - i stało się - jestem.

- Ale cię wzięło. - Alina nie była poruszona. - Ja jeździłam.

- Ale znacznie później i stać cię było. Twój mąż dobrze zarabiał - dodałam z zazdrością. - A ja byłam jeszcze tylko raz, w Chorwacji, autokarem, na prywatnej kwaterze, za to z wyżywieniem. I był tylko jeden problem - biuro dało mi współlokatorkę, która nie dość, że paliła, to jeszcze chrapała. A potem zaczęliśmy jeździć razem.

*

Stoimy na dziobie statku. Wieje silny wiatr i wydaje się, że jest chłodno. Wypatrujemy delfinów. Niestety.

Statek jest olbrzymi i międzynarodowy. Są tu Czesi, Rosjanie, Francuzi i my, Polacy. Płyniemy już kilka godzin. Przed nami Santorini - wyspa wulkan. Wszyscy są podnieceni,

zaczynają fotografować. Czy Santorini to fragment zaginionej Atlantydy? Nie wiem, ale wszystko mi jedno.

Wyspa wznosi się wysoko ponad morze. Szara skała wulkaniczna, na górze biała, jakby pokryta śniegiem. Dopiero z bliska widać, że są to białe domy. Mijamy czynny (podobno) krater wulkanu, cały zanurzony w morzu.

- Patrz, to jest niesamowite. - W głosie Aliny słyszę wzruszenie.

- Widzisz, a nie chciałaś jechać - mówię z satysfakcją.

Dopływamy do portu w Firze. Kolejka górską wiezie nas do miasta. Tłok straszny, tłumy turystów. Z trudem przedzieramy się przez wąskie uliczki. Widoki zapierają dech w piersiach. Fotografujemy jak oszalałe: białe domki wtulone w szarą wulkaniczną skałę, niebieskie kopuły kościołów, różowe bugenwille oplatające budynki.

Mamy mało czasu. Pędzimy na przystanek autobusowy. Chcemy pojechać do Ii.

W drodze do bodaj najpopularniejszego miejsca w Grecji - upał i tłok. Siedzimy koło japońskich turystów. Alina rozmawia z nimi po angielsku.

Autobus jedzie drogą, która może przyprawić o zawrót głowy, nad przepaścią - dobre kilkaset metrów w dół.

- Lepiej nie patrz, bo dostaniesz zawału - ostrzegam. Ja nie patrzę. Mam lęk przestrzeni.

- Nie przesadzaj. Chcę popatrzeć - upiera się.

Wyspa jest mała, widać jej drugie wybrzeże. Jest zupełnie inne - jakieś plantacje, plaże i hotele. Plaże wydają się ciemne.

- To pewnie czarny wulkaniczny piasek - domyślam się. Dojeżdżamy do Ii.

- Są, są! Dokładnie tak jak w przewodniku - zachwycamy się.

Stojąc na wysokim klifie, widzimy białe domki przytulone do zbocza. Podziwiamy też błękitne kopuły kościołów, tak charakterystyczne dla Ii.

- Podobno jest tu najwspanialszy zachód słońca, na który przyjeżdżają tłumy turystów.

- Tego raczej nie zobaczymy. - Alina patrzy na zegarek. - Jest późno.

- Możemy nie zdążyć na statek - przestraszyłam się. - Mamy tylko godzinę.

Nie mamy wyboru. Wsiadamy do zdezelowanej taksówki. Za jedyne dwadzieścia euro dojeżdżamy na czas do portu. Odpływamy, rzucając tęskne spojrzenia na wyspę. Alina mówi:

- Czas tak szybko leci, wszystko się kończy. Wakacje też...

- Nie wprowadzaj takiego sentymentalnego nastroju - mówię nieco szorstko. -

Pamiętaj, zawsze są zdjęcia.

*

To już koniec wakacji. Wyjeżdżamy jutro bladym świtem. Dziś dzień bez oszczędzania. Żegnajcie, chińskie zupki.

Pod wieczór idziemy do tawerny na promenadę. Symboliczne pożegnanie. Jesteśmy wystrojone - Alina ma letnią sukienkę na ramiączkach, z białego kreponu z długą szeroką spódnicą. Dekolt na plecach sięga pośladków. Ja włożyłam spódnicę, którą kupiłam w Turcji - długą, powiewną, we wschodnie wzory. Do tego mam blad różową bluzkę bez ramion.

Tawerna jest położona tuż nad samym morzem, na niewielkiej skale. Fale z szumem rozbryzgują się o kamienie. Wieje wiatr. Siadamy przy stoliku, kelner przynosi obrus. Zamawiamy obowiązkowo sałatkę grecką, do tego smażone pierożki ze szpinakiem, ośmiornicę i krewetki z grilla. Jest też wino. I bakława na deser.

Nalewam wino do kieliszków:

- To już ostatni dzień. Za nasze wakacje, za Kretę i Grecję. - Wznoszę toast.

Ściemnia się. Tawerna jest pełna gości. Greckie piosenki dobiegają z głośników.

Jutro o tej porze będziemy w kraju. Niestety!

Wracamy brzegiem morza. W oddali światła portu... Z hoteli dobiega muzyka.

- Trzeba się spakować.

- Trzeba.

Alina siedzi apatycznie na łóżku.

- No, co jest?

- Trochę się boję powrotu. Nie wiem, co zastanę. Może mąż sobie poszedł do innej. - Śmieje się nerwowo.

Siedzimy na balkonie. To też ostatni raz. Patrzę na księżyc, niedługo pełnia. Słyszę pożegnalny śpiew cykad.

- No nie, to jest nienormalne! - wybucham. - W roku są pięćdziesiąt dwa tygodnie. Przez pięćdziesiąt tygodni żyję dla tych dwóch wymarzonych. Tak się nie da żyć. Przez pięćdziesiąt tygodni pracuję, męczę się, umieram, znoszę zimę. Ty wiesz, że o zimie myślę już od nocy świętojańskiej? Oszczędzam, żeby na jedną dwudziestą szóstą roku gdzieś wyjechać, najlepiej daleko, i nie myśleć o swoim życiu!

Dałam upust swoim frustracjom, ale Alina milczy.

- Co się dzieje, przecież widzę. To jesteś apatyczna, to nakręcona, właściwie cały czas. Mogłabym pomyśleć, że jesteś pod wpływem... Nie jesteś zadowolona, nie podobało ci się?

- Nie, bardzo mi się podobało. Kreta jest piękna. To nie o to chodzi. Ja właściwie... - szuka słów - nie wiem, czego chcę. - Rozplakała się. - Na razie wiem, że na pewno nie chcę

wracać. A może brakuje mi dziecka?

- Dziecka, dziecka! Też coś! Macierzyństwo jest przereklamowane. Nie zauważyłaś? Te mamuśki ciućkające nad niemowlakiem, po piętnastu latach płaczą nad nastolatkiem, który ma wszystko gdzieś - wagaruje, pije, bije i ćpa. Przecież mamy to na co dzień! Mam dzieci na antydepresantach. Niedawno czternastolatka prosiła mnie o postinor. Patrz, ilu chodzi do gimnazjów dla dorosłych, ilu jest w ośrodkach wychowawczych! I wcale nie są z rodzin patologicznych! I ty chcesz dziecka? Po co? Żeby cierpieć? To trzeba było adoptować!

Alina się obrusza.

Milczymy, patrzymy w niebo. Cykady grają. To naprawdę nasz ostatni wieczór na Krecie. Nie powinien kończyć się bezsensownym sporem.

- Czasem tak sobie myślę - zaczyna Alina - że jesteśmy taką „lost generation”. Gdybyśmy urodziły się dwadzieścia lat wcześniej, żyłybyśmy sobie spokojnie w PRL-u - praca, mieszkanie, wczasy w FWP i talon na auto, albo dwadzieścia lat później - inne wychowanie, inne nastawienie, oczekiwania.

- Muszę cię zmartwić, ale nie jesteśmy żadną „lost generation”, tylko nieudacznikami. Popatrz na większość naszych kolegów, doskonale dają sobie radę w nowych warunkach. Owszem, miałyśmy różne problemy, ale nie chciało nam się walczyć o siebie.

- Bo ja się do tego nie nadaję.

- Ja też nie. I takie są tego konsekwencje. Nie wyszło nam i tyle.

*

Czułam się zdołowana: rozmowa z Aliną, powrót. W samolocie były silne turbulencje. Przerażona Alina złapała mnie za rękę.

- Spadniemy!

- No to spadniemy. Grunt, że po wczasach, a nie przed. - Gdyby spojrzenie mogło zabić, leżałabym już martwa. - Pomyśl, o co się martwisz? Wracasz do pracy, miejsca i męża, którego nie znosisz, a ja do pustych czterech ścian. Czy nasze życie jest tak wiele warte, nawet dla nas, żeby się tak przejmować? Znowu będę wstawać o szóstej do pracy, wracać, oglądać telewizję i tak co dzień od nowa. Rzygam tym. Nie obchodzi mnie, czy spadniemy!

*

Koniec sierpnia. Jadę autobusem do pracy przez willową część miasta. To mnie trochę odpręża - oglądam domy, ogrody. Drzewa uginają się od jabłek, śliwek, gruszek. Kwitną astry i mieczyki. Jest jeszcze całkiem zielono. Dziś pierwszy dzień pracy po urlopie. Dłonie mam zaciśnięte w pięści, mięśnie napięte, a oczy wilgotne.

Nie chcę, nie chcę!

Powinam iść na rentę, nie nadaję się do pracy. Już rano musiałam się podeprzeć tableteczką. Ciekawe, że na Krecie zużyłam ich zaledwie kilka.

Od progu łapie mnie Urszulka:

- Wyobraź sobie, że doktor Doroń odeszła, a właściwie musiała odejść. To była żenująca sytuacja.

- Co się stało?

- Pacjent poczuł alkohol. Wezwał policję i kogoś z Izby. Badanie wykazało siedem dziesiątych promila. Zwolnili ją dyscyplinarnie. - Urszulka jest wyraźnie zadowolona.

- A ty z czego się cieszysz? - rzucam.

- No bo tak będzie bezpieczniej dla pacjentów - odpowiada zdziwiona.

- Z pewnością. Ale mnie jest jej żal.

- Żal? Mogła się leczyć.

- Może tak, może nie. Ja wiem, że to niczego nie tłumaczy, ale pomyśl - miała prawie siedemdziesiąt lat. Powinna była cieszyć się z życia, które jej jeszcze zostało, a pracowała. Dlaczego?

Ano dlatego, że miała syna obiboka, który skończył ekonomię, ale nie chciało mu się pracować. Od czasu do czasu łapał jakieś zlecenie i tyle. Ona go utrzymywała i jeszcze płaciła alimenty na jego dzieci. I wyobraź sobie, że ten typ jeszcze miał pretensje, że daje mu za mało pieniędzy. Może dlatego piła? Ja ją pamiętam jako miłą, kompetentną lekarkę lubianą przez pacjentów. I wiesz, żal mnie ściska, że takie rzeczy się dzieją! Widziałam lekarzy, którzy szli na dno z powodu alkoholu czy narkotyków. Pamiętam lekarkę, którą mąż zostawił z dzieckiem. Nie poradziła sobie, zaczęła pić. Wyrzucili ją ze szpitala, potem z przychodni, a w końcu z pogotowia. Nawet nie wiem, czy żyje. Moja koleżanka na dyżurze strzeliła sobie w żyłę - umarła. A dlaczego? Bo nie mogła mieć dzieci i mąż odszedł. Połączenie pracy z kłopotami osobistymi daje mieszankę wybuchową. I dlatego ci mówię: więcej pokory, bo nie wiesz, co cię czeka w przyszłości. - Zabrzmiało to złowrogo.

Zdenerwowana Urszulka czmychnęła na dół.

Tak, dla niej wszystko jest czarne lub białe. Ciekawe, co powiedziałyby na to, że ja też się podpieram farmakologią.

- Przyjęli kogoś nowego?

- Podobno od września.

- Znamy go?

- Raczej nie, jest z Opola.

- A co u pani?

Małgosia markotnieje.

- Córka poszła do pracy w sklepie. Przepracowała tydzień i oświadczyła, że za takie pieniądze nie myśli pracować.

- I co robi?

- Leży w łóżku, gapi się w telewizję i objada się - płacze Małgosia.

- No a jakaś szkoła?

Wzrusza ramionami ze smutkiem.

*

Dzwoni Basia, jej dziewczyny dalej są w Anglii. Mają wrócić w połowie września.

Ale Basi coś nie gra:

- Tak dziwnie ze mną rozmawiają, zwłaszcza Ola. Czuję, że coś jest nie tak.

- Jakież konkrety? - pytam.

- Nic, właśnie nic. Ola jest niby wesoła, ale tajemnicza, a Jul-kę coś gryzie. Czasem wydaje mi się, że chce powiedzieć, ale się wycofuje.

- Może jesteś przewrażliwiona?

- Nie sądzę, matka wyczuwa problemy. - Basia jest tego pewna.

- Może chcą tam zostać i boją się tobie powiedzieć?

- Zostać? I co, pracować jako pokojówki do końca życia? A co ze studiami? - wybucha.

- Mogą tam studiować i nawet dostać stypendium.

- I zostawiłyby mnie tu samą?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Trudne wybory. Cieszę się, że mnie takie problemy nie grożą.

- A ten przyjaciel? - ostrożnie pytam.

- Spotykamy się czasem. Ale ja mam mało czasu, on też. Zresztą to dopiero trzy miesiące. Nie wiem, czy coś z tego będzie.

Czy w takiej sytuacji jest w ogóle sens wiązać się z kimś? On nie ma czasu, ona nie ma czasu. Co to za związek, jeśli tylko mijaliby się w drzwiach. Jak to mówią, „lepsza samotność w pojedynkę niż we dwoje”.

*

Początek roku szkolnego to dla pediatry szczególny czas. Wydaję zaświadczenia: do szkoły, na gimnastykę korekcyjną, na basen, kung-fu, breakdance itp. Po prostu tonę w papierkach.

- Pani doktor, widziała pani tego nowego lekarza? - pyta Małgosia.

- Nie, jeszcze mi się nie udało.

*

Dzwoni Basia. Jest roztrzęsiona.

- Wpadnę do ciebie wieczorem. Muszę pogadać.

- Co się stało?

- To nie na telefon. Wpadnę na pewno.

*

Basia siedzi na kanapie i płacze. Podaje mi list.

- Od Oli.

„Kochana Mamusiu. Wybacz, jeśli potrafisz. Poznałam tu chłopaka. Wspaniały. Ma na imię James. Pracujemy razem. On jest z Londynu, studiuje. Jest całym moim życiem. Kocham go. Zostanę w Londynie. Myślę, że mam prawo o sobie decydować. Nie martw się. Będę tu studiować... Piszę ten list, bo nie miałam odwagi powiedzieć Ci o tym przez telefon. Kocham Cię. Wybacz. Ola”.

- Ale to nie wszystko - szlocha Basia. - Zadzwoiłam: odebrała Julka. Okazuje się, że Ola już mieszka z tym chłopakiem, i że... jest w ciąży.

Siedzę oniemiała - w ciąży!

- Basia, przecież ona go dopiero poznała i już w ciąży? To niemożliwe!

- Nie wiem. Julka wróci w sobotę, to powie więcej. Boże, jak ona sobie poradzi, kto ją utrzyma, czy ten chłopak wie o ciąży, co ze studiami??? - zawodzi Basia.

Milczę. Sprząłabym dziewczynę na kwaśne jabłko. W ciąży! Ma dwadzieścia lat i taka głupia. Studia diabli wezmą. I co ona zrobi z dzieckiem w tej Anglii?

- Czekaj, może ta ciąża to jeszcze nic pewnego. Krótko się znali, może to fałszywy alarm? Skąd Julka o tym wie? Przecież w liście Ola nic nie wspomina o ciąży - powątpiewam.

- Może się wstydzi albo boi. Czy ja wiem?

- Głupio mi o tym mówić, ale przecież jesteś ginekologiem, czy ty z nimi w ogóle rozmawiałaś o antykoncepcji? Czy one potrafią się zabezpieczyć?

- No właśnie, niewiele, myślałam, że to ich jeszcze nie dotyczy - płacze Basia.

Głupia baba. Naiwna czy zakłamana? - myślę, ale nie komentuję tego głośno.

- Podobno ten James jest do rzeczy chłopakiem. Nie wypiera się dziecka. Jego rodzice też nie są zdegrustowani faktem, że syn związał się z Polką. To zwyczajna rodzina - referuje Basia. - Julka wszystko mi opowiedziała.

- A co ze studiami? Niech ona jak najszybciej wystąpi o urlop dziekański - radzę.

- Na razie będzie pracować, pewnie dopóki ciąża nie będzie widoczna - westchnęła

Basia.

- A co z ubezpieczeniem?

- Podobno jest ubezpieczona, bo pracuje legalnie. Ale nie wiem, jak to wygląda w wypadku ciąży czy porodu. Zawsze zresztą może tu wrócić.

- I co, pojedziesz do Londynu?

- Tak, w październiku, mam już zabukowany samolot.

- Pojedziesz z Januszem?

- Tak. Wiesz, nie tego chciałam dla moich córek. Jest mi tak ciężko i czuję się taka bezradna. Po co my się tak wysilamy: języki, tańce, sport, studia. Zjawia się jakiś typek i wszystko bierze w łeb - powiedziała Basia ze smutkiem.

- Zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży - mówię bez przekonania.

- Jakoś, tylko jakoś...

Właśnie: czy warto tak się wysilać? Na pewno nie. Dzieci i tak tego nie docenią!

*

- Pani doktor, czy pani poznała już nowego lekarza? - dopytuje się Małgosia.

- Nie, jeszcze nie. A co, jest jakiś szczególny?

- Jest po czterdziestce, przystojny i baaardzo szarmancki. Dziewczynom odbiło. Zachowują się, jakby motorki w tyłkach miały. Z jedna kartoteką biegają na piętro - śmieje się Małgosia.

- Coś takiego - parsknęłam śmiechem. - To widzę, że powinnam go sobie obejrzeć. Tym bardziej że jeśli ma trochę oleju w głowie, to długo tu miejsca nie zagrzeje.

- Najpierw powinna pani pójść do fryzjera. - Małgosia spojrzała na mnie krytycznie.

Wkurzyłam się. Jakim prawem pielęgniarka komentuje mój wygląd? To skandal. Zerknęłam w lustro. Ojej, jak ja wyglądam! Włosy za długie o co najmniej trzy centymetry, sterczą w różnych kierunkach. Na czubku głowy nie ma śladu po farbie. Fatalnie. Trzeba coś z tym zrobić!

*

Ha! Dokonano wiekopomnego odkrycia. Najnowsza metoda zwalczania robaków u dzieci. Przepis jest prosty: przygotowujemy ciasto jak na naleśniki, smarujemy nim dziecko. Czekamy, aż ciasto wyschnie, i następnie usuwamy je z ciała dziecka, najlepiej szorstką rękawicą.

Tatuś, który mi to opisał, przyniósł owe robaki w pudełeczku po zapałkach. Fakt, leżało w nim kilka nieapetycznych farfocli. Na ciele dziecka zidentyfikowałam podobne.

- To są te robaki? - zapytałam.

- Tak, właśnie.

- Wie pan, nie całkiem rozumiem. To znaczy, pan uważa, że robaki z przewodu pokarmowego, przechodzą przez ścianę jelita, przez jamę otrzewną, może nawet przez wątrobę, robią dziury w naczyniach krwionośnych, żeby się dostać do tego ciasta na skórze, czy tak? - upewniłam się.

Lekko się zawahał, ale twardo trzyma się swego:

- Tak, właśnie tak. I, pani doktor, to jest metoda uznana na całym świecie, nawet w Stanach.

Mam się śmiać czy płakać?

- Wie pan, może ja jestem za głupia, może nie potrafię docenić nowoczesnej medycyny, ale to mnie absolutnie nie przekonuje. Proponuję poszukać innego lekarza o wyższych kwalifikacjach - mówię spokojnie.

Pan domaga się przebadania naleśnikowych farfocli w laboratorium. Odmawiam.

- Ja jeszcze pani pokażę - odgraża się na odchodnym. - Pójdę do laboratorium, niech to zbadają. Ja zapłacę, prywatnie.

- Doskonały pomysł. Z niecierpliwością będę oczekiwać na wyniki.

Oddycham szybko. Ale numer. Gdyby ktoś mi to opowiedział, nie uwierzyłabym. Zdaje się, że powszechne szkolnictwo to pieniądze wyrzucone w błoto.

Ale, ale. On był doskonale ubrany i dzieciak też. Gadał coś o pobycie w Stanach. Może być głupkiem, ale daje sobie radę w świecie. W przeciwieństwie do mnie mieszka w fajnym domu - rzucam okiem na adres na kartotece. Na pewno ma porządny samochód. A ja co?

*

Małgosia płacze po kątach. Córunia nic nie robi już trzeci miesiąc. Ignoruje wszelkie starania i propozycje rodziców.

Wczoraj podsłuchałam jej rozmowę z pielęgniarką z dołu - Haliną.

- I wiesz, najgorsze jest to, że mąż mnie wini, bo to ja ją tak wychowałam - płakała Małgosia. - Była duża awantura z tego powodu. Zawsze tak było - chlupała. - Jeśli coś działo się dobrze, to córeczka tatusia, jak kłopoty - to ty ją tak wychowałaś. On na mnie wrzeszczał, ja na niego. „A gdzie ty byłaś, tatuśku, na rybach?”, krzyczałam. Oczywiście następowała obraza i święte oburzenie. Ja już dłużej nie wytrzymam...

A Halina, pielęgniarka z dołu, powiedziała:

- Co ty chcesz? To tylko facet!

Często pada u nas to stwierdzenie: „to tylko facet”.

Te wieloletnie żony odreagowują tak swój zawód mężczyzną, którego kiedyś kochały, a który okazał się małym, niezaradnym, nudnym, brzydkim i wymagającym samczykiem. Ile pogardy mieści się w tym określeniu: „to tylko facet”. Ona nie powie mu w oczy, ale koleżankom się poskarży. W domu cicha, bo święty spokój jest najważniejszy, w pracy wyrzuca to z siebie.

„To tylko facet” - poprawia nastrój, podnosi ego.

Mam taki ulubiony fragment w „Graniczy”. O ile dobrze pamiętam, Nałkowska wyraźnie tam pisze, że kobieta jest człowiekiem, z którym można się normalnie dogadać, któremu można zaufać. A mężczyzna to niższy, wrogi gatunek, do którego trzeba mieć podejście, bo inaczej się nie da. Trzeba więc kłamać, kluczyć, tresować, aby go ujarzmić i utrzymać przy sobie. A i tak nie ma żadnej pewności, że któregoś dnia nie umknie z jakąś młodszą lalunią. Ponura perspektywa.

*

Był u mnie kierownik. Jego syn z żoną jadą na objazd Ameryki Południowej: Wenezuela, Brazylia, Peru, Boliwia. Potrwa to dwa miesiące. To ma być przygoda - tramping. Jadą tylko z plecakami. Wykupili przeloty. Na miejscu będą korzystać z miejscowej komunikacji, kwater i jedzenia. Prosi mnie o informacje dotyczące szczepień i chorób tropikalnych. Wie, że podróże to moje hobby. I znam się na tym (niestety, w dużej mierze teoretycznie).

- Ale tam nie jest zbyt bezpiecznie. Napady rabunkowe, rozruchy - zwracam uwagę.

- Są dorośli i chcą jechać.

- Doskonale to rozumiem. Sama bym chciała. I tego właśnie zazdroszczę młodym, tych możliwości. Ach, zobacz Machu Picchu, Cuzco, jezioro Titicaca i Foz do Iguaçu... - rozmarzyłam się.

- Przygotuje mi pani te informacje? Bardzo proszę.

- Oczywiście. A na kiedy pan to potrzebuje? Aha. I potrzebowałabym przynajmniej orientacyjnego planu podróży.

- Jest dużo czasu. Jadą w listopadzie. I dziękuję.

Ble, ble. Lepiej byś mi załatwił podwyżkę.

*

Wracałam z pracy. Na ławeczce pod moim blokiem siedziała Alina. Miała obłęd w oczach i paliła papierosa.

- Przecież ty nie palisz! - krzyknęłam. Weszła za mną do mieszkania.

- Umarło mi dziecko, umarło - powtarzała.

- Rany boskie, jak?

- Sepsa...

- O Boże!

- Miało osiem miesięcy. Byłam tam na wizycie domowej. Miało tylko gorączkę i żadnych innych objawów, wymiotów, wysypki. Nic. Było niespokojne. Myślałam, że uszy albo drogi moczowe. Byłam tam w południe. Dwie godziny później straciło przytomność. Pogotowie zabrało je do szpitala. O szóstej było po wszystkim.

- A wybroczyny?

- Rodzice nie zauważyli, w szpitalu już były.

- Alina, jeśli wszystko stało się w sześć godzin, to nawet jeśli byś skierowała je do szpitala tylko z gorączką, nic by to nie zmieniło.

- Ja wiem, ale nie miałoby do mnie pretensji, tylko do innych - rozpląkała się.

- Przy piorunującej sepsie nikt nie ma szans - mruknęłam.

Tak, ja to wiem i ona. I co z tego? Dwa lata temu też miałam sepsę. Tyle że ją rozpoznałam, a właściwie wyczułam. No i trwało to więcej niż sześć godzin. Dziecko zostało uratowane. Potem ciągle słyszałam: „miałaś szczęście, miałaś szczęście”. Nikt nie powiedział, że dziecko miało szczęście, bo przeżyło. To ja miałam szczęście, bo nikt nie będzie mnie ciągał po sądach. Matka też jest wdzięczna szpitalowi, nawet nie przyjdzie jej do głowy, że tyle zależało ode mnie; że mogłam też pomyśleć, że uszy albo drogi moczowe. Miało tylko gorączkę. A ja od pierwszego wejrzenia pomyślałam o sepsie.

Przypadek? Intuicja?

Moje szczęście.

- Boję się, boję się. Agata, będą mnie ciągać.

- Nie jesteś winna. Nie jesteśmy jasnowidzami, choć wszyscy chcą, żebyśmy byli. Nasz zawód to taniec na linie - powiedziałam z goryczą. - Czasy teraz takie, że nawet jak umrze nieuleczalnie chory, to zjawia się prokurator i media. Zupełnie jakby śmierć była czymś nienaturalnym, wręcz nieprzyzwoitym, czymś, czego można uniknąć. To staje się chore. Ale przestań płakać, nic nie zmienisz. Wszystko się ułoży. Wiesz, chodźmy gdzieś, może do galerii, posiedzimy w kafeterii, pogapimy się na ludzi, wypijemy soczek.

Alina nadal siedziała zdołowana na kanapie.

- No rusz się, rusz! Jadłaś obiad?

- Nie, nie chce mi się gotować dla siebie, a poza tym nie jestem głodna.

- Chodź, pokażę ci mój ulubiony bar pierożkowy. Mają świetne pierogi i naleśniki.

*

Jesień w pełni. Dni coraz krótsze, a liście na drzewach żółkną na potęgę.

Nie mam w co się ubrać. Chodzę w skórzanej kurtce, którą kupiłam jeszcze przed wymianą pieniędzy, za miliony. Potrzebny mi jesienny kostium, albo może kurtka? A może kostium ze spodniami? Poszłam do mojego ulubionego sklepu. Mają ładne rzeczy w rozsądnych cenach. Na wystawie widzę fajny brązowy kostium. Jest z ciepłego, miękkiego materiału. Spódnica rozszerzana do kolan, przesywana czarną taśmą i krótki żakiet, dopasowany, czarną taśmą obszyty rękaw i kołnierzyk. Podoba mi się. Mierzę, jest dobry. Żakiet będzie pasował do brązowej spódnicy z grubej bawełny i czarnych spodni. Kupuję.

No, skoro się tak rozhulałam, to idę też do fryzjera podciąć włosy, bo wyglądam niechlujnie.

*

Zrobiłam to wreszcie. Zdecydowałam się. Zamieściłam ogłoszenie w gazecie:

„Agata Pilska poszukuje krewnych ze strony ojca Jana Pilskiego i matki Anny Pilskiej z domu Zawada. Kontakt w redakcji”.

Tak zakończyłam, bo nie życzę sobie jakichś głupich telefonów czy listów.

*

Postanowiłam urządzić babski wieczór w najbliższą sobotę. Trzeba się trochę odprężyć i poplotkować. Basia i Alina są w kiepskiej formie. Ja też mam wzloty i upadki, czarne dziury, w które wpadam, gdy pomyślę o...

Muszę opracować menu. Nie jest takie ważne, ale jednak... Oddałam dług Bożenie, kupiłam kostium i teraz należy zacisnąć pasa.

Wiem! Zrobię barszcz i do niego zapiekane tosty z pasztetem, ogórkiem kiszonym, pomidorem i żółtym serem. I kurczaka w galarecie. Alina zrobi sałatkę jarzynową, Basia przyniesie wino, a Bożena upiecze ciasto.

W sobotę pucowałam mieszkanie, zrobiłam ostatnie zakupy. Przygotowałam tosty. Rozstawiłam miseczki z orzeszkami solonymi. Przygotowałam kieliszki, talerze i sztuce. Poprawiłam kwiaty wazonie. Mogą już przychodzić.

Pierwsza przyszła Basia z dwiema butelkami półwytrawnej soppii, potem Bożena ze swoim słynnym sernikiem. Alina się spóźniła, ale przyniosła sałatkę, jak obiecała.

Dziewczyny rozsiadły się na kanapie i fotelach. Bożena jak zwykle komplementowała akwarium:

- Piękne jest... Też sobie takie założę.
- Stale tak mówisz i nic z tego nie wynika.
- Bo to tyle pracy. Nie mam czasu. A może wezmę twoje, nie znudziło ci się?

- Jeszcze czego. Zmarnowałabyś je na amen.

Uśmiechnęłam się do siebie. Tak, akwarium to moja duma.

Duże, 80-litrowe, z profesjonalnym oprzyrządowaniem.

Bożena nadal gapiała się na akwarium - rybki wesoło pływały, roślinki były zdrowe i dobrze wyrosnięte, filtr cichutko pracował.

- Co to za rybka? - Bożena wskazała mieczyka. - Czy to złota rybka?

- Można tak powiedzieć, to jest mieczyk, a ty pewnie myślisz o welonkach.

- Jak zwał, tak zwał. Spełnia ci życzenia?

- Nie chce. Już ja jej kiedyś pokażę! Popamięta mnie - odgrażałam się.

Na kanapie siedziała Basia z Aliną. Basia ocierała oczy chusteczką.

Wszystkie wiedziałyśmy o Oli.

- Patrz - szepnęła Bożena. - Możesz stawać na głowie, dawać dzieciom najlepsze warunki i co z tego... Nigdy nie posłuchają rad, nawet jeśli wynikają one z naszych własnych doświadczeń. Z moją Leną też nigdy nie wiadomo, co wymyśli i do czego jest zdolna. Z synami o tyle łatwiej, że nie zachodzą w ciążę. Basia, i co postanowiłaś? - spytała głośno.

- Pojadę do Londynu. Jeśli chce wyjść za mąż, niech wychodzi. Może tam będzie się jej lepiej żyło. A co do studiów... Nie każdy musi je mieć. Szkoda tylko wysiłku, jaki się włożyło w te dwa lata w Krakowie. I ona, i ja. Nie musiałam tak tyrać. Jeśli będzie żałowała, to trudno. Nie jest dzieckiem. W końcu „jak sobie pościelisz”... - głos Basi się lekko załamał - „tak się wyśpisz”.

Zapadło milczenie.

- Tak się tylko mówi. Niech tylko piśnie, że jej źle, zaraz pobiegiesz na ratunek. Nie czarujmy się. Macierzyństwo to niewola na całe życie. Nie da się od tego uciec - wygłosiła swoją opinię Bożena.

Piliśmy wino, jadłyśmy sałatkę i kurczaka w galarecie. Nie minęła godzina, a wszystkie byłyśmy na lekkim rauszu. Basia strąciła łokciem kieliszek, spadł na podłogę i stłukł się.

- Siedem lat szczęścia czy nieszczęścia, bo nie pamiętam? - zapytałam.

- Nieistotne. Ważne, że się wino wylało. - Basia na klęczkach próbowała pozbierać szkło.

- Chyba nie zamierzasz zlizywać wina z podłogi? - roześmiała się Bożena.

- O, przepraszam. Podłoga jest czysta, wczoraj ją myłam, spokojnie można z niej jeść!

Śmiałyśmy się głupawo.

Alina siedziała na kanapie ze smutną miną.

- No, uśmiechnij się. Jutro będzie lepiej. - Szturchnęłam ją.

- Podobno złożyli skargę do Izby...

- Chrzań to! - Basia była już wstawiona. - Na mnie kiedyś też baba złożyła skargę. Poroniła i twierdziła, że to przeze mnie, bo nie chciałam dać jej L4. A to ona nie chciała L4, bo się bała, że straci pracę. Na szczęście zaznaczyłam to sobie w dokumentacji. Na przesłuchaniu powiedziałam, żeby się odczepili... - Basia się nakręcała. - A najbardziej to nie cierpię bab, które chcą aborcji. Dziś chcą, a jutro pędzą do prokuratora, bo mają wyrzuty sumienia. I zawsze bidulki są niewinne. To ten wredny lekarz zmusił albo chłopak. - Złościła się.

- Rany boskie, Basia, ty chyba...

- Coś ty, nie oszalałam jeszcze, mam dzieci. Po co mi takie ryzyko? Zakładam spirale, wypalam nadżerki, prowadzę ciążę. To też są pieniądze.

- Najlepiej ma Bożena. Mierzy okularki, wypisuje kropelki. Nikomu nie szkodzi.

Bożena rozłożyła komicznie ręce: - Też trzeba było...

- We Wrocławiu mam koleżankę. Jest dermatologiem. To jest dopiero rajskie życie! A znacie ten dowcip? Koszmarny sen... - zaczęłam.

- Znamy, znamy, stary jak świat.

Wypiłyśmy już sporo wina. Ogarnął mnie alkoholowo-filozoficzny nastrój.

- Po co nam to było, ta cholerna... medycyna. No powiedzcie, po co? Dlaczego ty poszłaś? - napadłam Bożenę.

- Właściwie... Hm. Rodzina sobie tego życzyła. Poza tym medycyna mnie interesowała. Byłam najlepszą uczennicą... - wyliczała Bożena.

- A ty, Alinko?

- Podobnie.

- A ja jestem z rodziny lekarskiej - uprzedziła mnie Basia.

- Przynajmniej jedna. U mnie podobnie. Też byłam najlepszą uczennicą. A trzeba było mieć praktyczny zawód. Poza medycyną nie było właściwie nic... Zamierzałam co prawda pracować naukowo, a nie w rejonowej przychodni. Poza tym była to jedyna profesja, w której kobieta mogła konkurować z mężczyzną. Prawie równouprawnienie - podsumowałam.

- „Prawie - robi wielką różnicę” - odezwała się Bożena.

- Trzeba było iść na stomatologię. Jest sprywatyzowana i nikomu to nie przeszkadza. Albo zostać nauczycielem.

- Nigdy w życiu! - przerwałam Basi. - W dzisiejszych czasach? Narkotyki, przemoc. Popatrz na młodzież. Ostatnio przyszła dziewczyna, czternaście lat, wyglądała, jakby

wyskoczyła na kwadransik z agencji towarzyskiej.

- Ale miałybyś tyle wolnego: wakacje, ferie, konferencje, rekolekcje. I kasa podobna - powiedziała Alina.

- Fakt. Ale nie ma róży bez kolców.

- Ciekawe, że żadna z nas nie powiedziała nic o misji, o pracy dla dobra... - zaczęłam.

- Bo to jest zakłamanie. Może na początku, ale życie szybko weryfikuje poglądy. Dlaczego aktor, dziennikarz, bankowiec czy nawet cykliniarz nie daje sobie wcisnąć kitu o pracy dla czyjegoś dobra, tylko żąda kasy - opowiadała Bożena. - Wiecie, przed laty mój mąż dał auto do naprawy i mechanik zdarł z niego skórę. Mąż zaprotestował, a ten na to, że jest fachowcem. No to mąż mówi, że jego żona też jest fachowcem, a nie zarabia nawet połowy tego. A pan-fachowiec: „To widocznie żona nie jest fachowcem”! - Nóż się w kieszeni otwiera.

- To wszystko to polityka. Zawsze taka sama. I mają rezultaty. W końcu ktoś naprawdę się na tym przejedzie. Młode pokolenie nie jest już takie uległe - zauważyłam.

- Przestańcie ciągle o pracy. Zmieńmy temat - zażądała Basia. - Patrzcie, jakie świetne buty kupiłam. - Podniosła stopę, abyśmy mogły się przyjrzeć. - I jakie wygodne!

Rzeczywiście, miała na sobie eleganckie, brązowe pantofle z miękkiej skórki, sznurowane i na płaskiej podeszwie. Wyglądały na drogie.

- A ja kupiłam kostium. - Wyciągnęłam strój z szafy, żeby się pochwalić.

- Świetny. Ja też muszę coś kupić, ale myślałam o płaszczu lub kurtce, a może ponczo? - zastanawiała się Bożena, oglądając mój kostium ze wszystkich stron.

- Agata! Prawie zapomniałam. Miałam cię spytać, czy wiesz, że twój eks się rozwiódł?

- No nie mów! Nic nie wiem. A ty gdzie o tym słyszałaś, Basiu?

- Przecież pracujemy w jednym szpitalu.

- Wiesz coś więcej? Dlaczego? W ogóle jestem zaskoczona. Krzysztof był taki... miękki, niezdolny do rozwodu - powiedziałam.

- Przecież rozwiódł się z tobą - zdziwiła się Alina.

- To było co innego. Poza tym nie mieliśmy dzieci. Basia, spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej - poprosiłam.

Poszłam do kuchni. Wstawiłam tosty do piekarnika, zapaliłam gaz pod barszczem. Będą za dziesięć minut.

Patrzyłam na nie. Plotły o strojach, butach, kosmetykach i romansach.

I nagle poczułam się podobnie jak na spotkaniu koleżeńskim - obco.

Zarówno Basia, jak i Bożena były stąd. Chodziły tu do szkoły. Miały swoje rodziny i znajomych.

Z Aliną łączyło mnie więcej. Tak samo niezadowolona, samotna i pozbawiona korzeni jak ja. Ale ona miała męża, z którego był jakiś pożytek od czasu do czasu, no i zarabiał. Raz w miesiącu Alina urządzała eleganckie przyjęcie dla ważnych osób na polecenie męża. Wynajmowała wtedy kucharkę. Nigdy nie zostałam zaproszona. Nie byłam nikim ważnym. Alinie było przykro, ale nie chciała użerać się z mężem. Mówiła, że to nieciekawi ludzie, nowobogacy. A ich kobiety to blond Barbie z mózgiem wielkości orzecha włoskiego. Nie ma o czym z nimi rozmawiać. Myślę, że przesadzała. Wiem, że bywali tam znani w Belsku lekarze.

Tak, tatusiu, ty też byłeś VIP-em. A na co przyszło twojej córce? Boże, gdzie jest moje miejsce na Ziemi?

Ustawiłam filiżanki z barszczem na tacy, tosty ułożyłam na półmisku i z uśmiechem weszłam do pokoju.

Dziewczyny były zajęte Basią i jej domniemanym romanssem.

- Basia, a co z twoim przyjacielem, do przodu? - dopytywała się Bożena.

- Nie wiem, nie wiem - krygowała się Basia. - Nieczęsto się spotykamy.

- Daj spokój, przecież jedzicie razem do Londynu. Podaj jakieś pikantne szczegóły - zażądała Bożena.

- Nie ma żadnych pikantnych szczegółów.

- Ee, nie chcesz chyba powiedzieć, że wasz związek jest czysto platoniczny?

- Jesteście wścibskie. - Basia zasznurowała usta.

- Nie jest platoniczny, nie jest. - Chichotała Bożena. - Ma to wypisane na twarzy.

- Przecież jesteśmy dorośli. Dajcie spokój. Wam tylko głupoty w głowie - opędzała się Basia. - A ja mam problemy.

Podałam barszcz i tosty.

Alina siedziała przygaszona na fotelu w kąciaku. Przyniosłam jej filiżankę i talerz.

- Co ci jest? Stale myślisz o tym dziecku?

- Nie, to tak ogólnie. Myślę, ale nie mów nikomu, że mój mąż ma kogoś.

- Ale sama mówiłaś, że cię to nie obchodzi, byle dawał pieniądze.

- No właśnie, zrobił się oszczędny. Twierdzi, że zainwestował i stracił. Nie wierzę. Myślę, że to jakaś baba albo i więcej. Ciągłe jeździ do Szczecina, mam dziwne telefony. Niby głuche, ale w tle słyszę dziecko...

- Ktoś się zabawia. Nie możesz się tym przejmować, to może być zwykła pomyłka.

Wypij. - Dolałam jej wina.

- A słyszałyście, że nasz kolega Piotruś romansuje z pielęgniarką z oddziału? - zaczęła Basia. - Biorą wspólne dyżury, a ostatnio coś się działo z pacjentem i nie można było ich znaleźć. Po tej hecy któreś musi odejść. Pewnie ona.

- Tak, zawsze płaci baba. To niesprawiedliwe - protestowała Bożena.

- Wiesz, z jednej strony masz rację, ale z drugiej łatwiej o nową pielęgniarkę niż o ortopedę. A Piotruś to gnojek, przecież jest żonaty - podsumowała Basia.

- Wokoło romanse, a nasza Agatka sama - wyskoczyła Bożena. - Trzeba jej znaleźć faceta.

- Zejdź ze mnie. To wcale nie jest zabawne. Ja naprawdę nie szukam romansu ani związku. Czy to tak trudno zrozumieć? - zdenerwowałam się.

- Dajcie jej spokój - poparła mnie Alina.

- Przecież przyjęli u was kogoś nowego - nie rezygnowała Bożena.

- Oj, to facet w średnim wieku, pewnie żonaty. Odczepisz się w końcu?

- Bożenko, Bożenko! Ptaszki ćwierkają, że niedługo zostaniesz babcią - wyskoczyła nagle Basia.

Oj, widać było, że Bożena jest zła. Nas замуrowało.

- A ty skąd wiesz?

- Ma się te źródła - cieszyła się Basia.

- No tak, jedyny szpital w mieście. To się nazywa tajemnica lekarska - złościła się.

- O... zaraz tajemnica? Marek, twój własny syn, mi powiedział. Spotkałam go na patologii ciąży. Był z żoną.

- Coś się złego dzieje, ciąża zagrożona? - obudziła się Alina.

- Nie, wszystko w porządku. Była na badaniach.

- Który to miesiąc? - dopytywała się Alina.

- Czwarty.

Siedziałyśmy w milczeniu, przeżuając nowinę.

Tosty poszły do ostatniej okruszynki. Zostało pół butelki wina.

- A teraz czas na deser.

Sernik Bożeny był jak zawsze pyszny.

- Kto chce kawę? Kto herbatę? - Zbierałam zamówienia.

Dzwonek do drzwi. Prawie północ. To Irek.

- Przyjechałeś po Bożenę? Siadaj, dam ci herbaty. Ale z jedzenia został tylko sernik twojej żony.

- Tu, koło ciebie, na skrzyżowaniu był wypadek. Karetka zderzyła się z ciężarówką. Zginął sanitariusz i kierowca. Lekarz i pacjent są w bardzo ciężkim stanie.

- Boże, czy to ktoś znajomy? Takie nieszczęście. - Alina była zdruzgotana.

- Chyba nie.

- Dlatego nigdy nie zgodziłam się dyżurować w pogotowiu. Zawsze powtarzałam, że to jazda na wariata.

*

Początek października był mokry i chłodny. Coraz więcej dzieci chorowało i byłam coraz bardziej zmęczona pracą. Nadchodząca zima budziła we mnie przerażenie. Weekendy spędzałam głównie w domu przy komputerze, czasem szłam z Aliną do kina albo do galerii. Wieczorem godzinami gapiłam się na akwarium. Monotonny szum filtra, widok kolorowych rybek beztrudnie pływających uspokajały mnie.

Basia poleciała do Londynu.

Wszystko mnie wkurzało, a najbardziej praca. Same katarki, kaszelki, temperaturki. I pomyśleć, że dwa miesiące temu byłam na Krecie. Pół roku do wiosny - nie przeżyję!

*

- Pani doktor, kierownik zwołał zebranie na dwunastą - powiedziała Małgosia.

Powlokłam się niechętnie. Usiadłam jak zwykle z tyłu w kąci.

- Miało miejsce skandaliczne zdarzenie... - zaczął kierownik. Nadstawiłam ucha. Nic nie wiem, coś ciekawego mnie ominęło? To niesprawiedliwe. Dlaczego „na dzieci” nic nie dociera?

- Pani doktor, ja domagam się wyjaśnienia na piśmie - zwrócił się do doktor Górskiej, naszej okulistki.

- Nie będę niczego wyjaśniała, to nieporozumienie i plotki. Nie złożono żadnej skargi.

- Okulistka była czerwona na twarzy.

Trąciłam Urszulkę w ramię.

- O co chodzi? Nie rozumiem.

Urszulka schyliła się i zaczęła mówić szeptem:

- W zeszłym tygodniu doktor Górka pobiła się z pacjentką.

Zmieniłam się w znak zapytania.

- Jak to „pobiła”?

- Normalnie, doktor Górka chciała wcześniej wyjść, ale miała jeszcze dwóch pacjentów. Powiedziała, że ich nie przyjmie. Na to pacjentka, że ona zapisała się na wizytę tydzień temu i domaga się przyjęcia. Ta, że nie przyjmie. I wtedy pacjentka wepchnęła ją do

gabinetu. Wieść niesie, że było słycać odgłosy szarpaniny i klaśnięcia. Po czym nieco potargana pacjentka wypadła z gabinetu, a za nią też potargana pani doktor...

- Czy ja paniom nie przeszkadzam? - wtrącił się kierownik.

Ale numer. Ta buda to prawdziwy kabaret.

Przedemną siedział lekarz o krótkich, szpakowatych włosach. To pewnie ten nowy - pomyślałam. Podniósł rękę i odezwał się:

- Panie kierowniku...

Jego głos mnie zelektryzował. To głos Jurka, mojego kolegi z roku. Ale Jurek był chudzielcem i miał długie kręcone włosy. Gapiłam się jak sroka w gnat w jego plecy.

- Jak on się nazywa? - Trąciłam Urszulkę.

- Doktor Jerzy Adamski.

Oniemiałam. To Jurek, mój kolega z grupy B. Razem jeździliśmy na rajdy, obozy, imprezowaliśmy! Był duszą towarzystwa i zawsze z Marzeną u boku. Czy w Belsku też jest z nią? O Boże, czy on mnie pamięta, czy pozna? Jak dobrze, że byłam u fryzjera i ufarbowałam włosy.

Po zebraniu podeszłam do niego. Zobaczyłam jego twarz - zmienił się przez te dwadzieścia lat, loki gdzieś zniknęły, twarz się wypełniła. Właściwie wyglądał... lepiej.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- To ty, Agato?

Tkwiliśmy w uścisku. Reszta patrzyła ze zdumieniem.

- Skąd się tu wzięłaś?

- A ty?

- Mieszkam tu od dwudziestu lat.

- Mój Boże, nie wiedziałem. Sądziłem, że jesteś we Wrocławiu albo za granicą.

- Niestety - posmutniałam. - Jestem tu, mam tylko „jedynekę” z pediatrii. A ty?

Pochwal się!

- Mam „dwójkę” z interny i doktorat. Pracowałem na kardiologii kilka lat. Chciałem zrobić tę kardiologię, ale szef nie wyraził zgody. Rozumiesz...

- Wszędzie są dołki i dołeczki. Ale co ty tu robisz?! Przecież jesteś z Opola? I do tego w tej budzie.

- Przyjechałem miesiąc temu. To była pierwsza oferta, na którą się natknąłem. Oczywiście nie zamierzam tu zostać. Będę szukał. Słuchaj, musimy się koniecznie spotkać po pracy i pogadać.

- Mogę tylko w weekendy.

- To zapraszam cię w piątek po pracy na obiad. Wybierz miejsce, boja się jeszcze tu nie orientuję.

Cudownie. Wreszcie będę miała z kim pogadać o starych, dobrych czasach. Ale co z Marzeną, jego żoną? Czy też tu jest? Pewnie tak. Nie jest głupia, nie puściłaby go samego. Jurek należy do mężczyzn, których należy pilnować. Zawsze oglądał się na boki. Wiem coś o tym.

Bodaj na trzecim roku pojechaliśmy na rajd w Góry Sowie. Marzeny nie było, nie pamiętam dlaczego. A już oficjalnie chodzili ze sobą. Nocowaliśmy w jakiejś koszmarnej chacie-stodole. Jedna, długa prycza, na której spaliśmy koedukacyjnie. Leżałam koło Jurka. Było ciepło, więc nie zapięłam śpiwora do końca. W nocy obudziły mnie czyjeś dłonie, błądzące po moim udzie. To był Jurek. Szepnęłam tylko:

- Powiem Marzenie.

Wystarczyło. Rano zachowywał się, jakby nic nie pamiętał. Nie unikał mnie. W sumie mógł mieć alkoholowo-senną amnezję, bo wieczorem wypiliśmy trochę „jabola” i niektórzy przesadzili.

Zresztą teraz to wszystko nie ma znaczenia. Cieszę się, że jesteśmy umówieni na spotkanie.

*

W piątek włożyłam do pracy nowy kostium i jasną bluzkę koszulową. Trochę się podmalowałam. Wzięłam też naszyjnik z pereł.

- Oby nie było za dużo pacjentów, bo będę zmęczona - pomyślałam.

O trzeciej pojechaliśmy do restauracji za miasto. Znałam ją, wiedziałam, że nigdy nie ma tam dużo ludzi, a jedzenie jest dobre. Rzeczywiście, sala była pustawa, światło przyziemne, stoliki rozstawione niekrępująco. Usiedliśmy pod palmą. Kelner zjawił się błyskawicznie. Zamówiliśmy jedzenie. Jurek wziął piwo, ja białe wino.

- No, to czas na spowiedź życia - powiedziałam. - Zaczynaj!

- Kobiety mają pierwszeństwo - odparł.

- Jest równouprawnienie, ale niech będzie, moja historia jest krótka. Po studiach tu przyjechałam. Zrobiłam pediatrię. Wysłałam za męża. Rozwiodłam się. I tyle. W tej budzie gniję już sześć lat.

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego wyjechałaś z Wrocławia?

- Nie ty jeden - mruknęłam.

- Miałaś takie możliwości...

- Teoretycznie. To były pozory. W rzeczywistości nie miałam nic do powiedzenia.

Ktoś zdecydował za mnie.

- Zmieniłaś się. Sprawiasz wrażenie kobiety po przejściach.

Nic nie odpowiedziałam.

- A na studiach byłaś taka wesoła.

- Bo studia były świetne. Doskonale się bawiłam. A do tego myśl o świetlanej przyszłości... - Próbowałam autoironii. - Teraz ty, Jureczku.

- Po studiach pobraliśmy się z Marzeną. Ona zrobiła anestezjologię, ja internę. Mamy dwoje dzieci - syna i córkę. Potem zrobiłem „dwójkę” i doktorat w Opolu. Lata pracowałem w szpitalu i przychodni kardiologicznej. Chciałem zrobić kardiologię, aby mieć ten papierek, ale, jak już mówiłem, szef się nie zgodził.

- Pewnie bał się konkurencji - stwierdziłam.

- Być może. Marzena też zrobiła „dwójkę”. Czasy się zmieniły

Parę lat temu namówiła mnie na wyjazd do Danii. Wszystko załatwiła. Pojechaliśmy.

Najpierw nauka języka przez kilka miesięcy, potem nauka i praca. I powiem ci, że Marzena świetnie sobie poradziła, dostała doskonałą pracę. Ja miałem problem, przede wszystkim z językiem, nie szło mi, nigdy nie miałem ku temu specjalnych talentów. A jako internista... musiałem. Trochę pracowałem w ośrodku geriatrycznym. Potem jako lekarz rodzinny. Warunki pracy bardzo dobre. Lekarz rodzinny pracuje „od do”, żadnych dyżurów, telefonów poza godzinami. Od tego są inne służby. Płace - kosmiczne. Ale, no właśnie... Po pierwsze, język, po drugie, te ich standardy. Poza tym chciałem pracować jako kardiolog, a na to nie było szans. Nie wytrzymałem. Wróciłem.

- A co na to żona? - spytałam.

- Ustaliliśmy z Marzeną, że ona zostanie trzy lata. Dzieci chodziły tam do szkoły. I nadal chodzą... Starszy zaczął w tym roku studia i wcale nie chce wracać. A czas leci. Trwa to już piąty rok i nie chce słyszeć o powrocie.

- Czyli jesteś słomianym wdowcem. Ale dlaczego Belsk? Nie mogłeś wrócić do szpitala w Opolu?

- Mogłem i wróciłem. Ale rozumiesz, ploteczki: pojechał do Danii, wrócił po roku i do tego bez żony. Miałem dość. Chciałem coś zmienić w życiu. Odziedziczyłem dom po matce w Szczyrku i muszę go zagospodarować.

- Masz chałupę w Szczyrku i dopiero teraz to mówisz? - Zdumiałam się.

- To zwyczajny dom, żaden tam pensjonat. Wybudował go dziadek. Jest zaniedbany, wymaga kompleksowego remontu. Mieszkanie w Opolu wynająłem. I przyjechałem tutaj.

- Ale ta przychodnia... Ona jest na czarnej liście!

- O Boże, nie jestem naiwny. Tu się tylko zaczepiłem na trzy miesiące. Będę szukać dalej. Myślę o szpitalu kardiologicznym. A ty co zamierzasz?

- Ja pasuję. Nie chce mi się po prostu. Kiedyś podcięto mi skrzydła i nie zagoiły się - powiedziałam melodramatycznie. - Znasz tutejsze okolice?

- Właściwie to nie, rzadko tu bywałem.

- To dziwne. Przecież Szczyrk to nie jest pierwsze lepsze miejsce. Jeździsz na nartach?

- Tak, ale wolę Dolomity.

- No tak, światowiec! Ale jak będziesz tu mieszkał, to na pewno skorzystasz z tutejszych tras.

- Z pewnością. A ty jeździsz?

- Niestety, nie. Lęk przed prędkością.

Zjedliśmy zupę. Zamówiłam kolejny kieliszek wina. Jeśli mojej wątrobie to przeszkadza, to jej problem. Kelner przyniósł danie główne.

- A jak się tu przystosowałaś?

- Wcale się nie przystosowałam. Zawsze mówię - ja nietutejsza. Na początku miałam straszne problemy, nawet z językiem polskim. Pracowałam na granicy miasta, można powiedzieć, że na wsi. Pierwszego dnia weszła matka z dzieckiem, pytam, co mu dolega. Na to ona mówi: „krzypi”. Ja nie rozumiem. Pytam: „to znaczy chrypi, ma chrypkę?”. Kobieta swoje: „przecież mówię, że krzypi”. Ona się denerwuje, ja też. Pędzę po pielęgniarkę, może przetłumaczy. No i okazało się, że „krzypi” to znaczy „kaszle”! Było więcej takich kwiatków. A w ogóle - powiedziałam gorzko - obiecywali mi nie wiadomo co, a potem oszukiwali, jak mogli. Mówię o pracodawcach. Najpierw były „ochy” i „achy”, a już w pierwszym tygodniu pracy wywieźli mnie karetką na jakąś górę, do przychodni na zastępstwo. Poczekalnia czarna od ludzi, ja zupełnie zielona. Przyjmowałam do wieczora. Wszyscy dawno poszli do domu. Nie wiedziałam nawet, jak wrócić do miasta. Był styczeń, deszcz ze śniegiem, mgła. Szłam na oślep. Samochody ochlapwały mnie błotem. W drodze płakałam. Powinna była wtedy - ciągnęłam - powiedzieć, że się nie zgadzam, że mają przestrzegać umowy albo adieu. Nie kiwnęłam palcem. A inni lekarze odchodzili. Przeżyłam wiele ciężkich chwil, aż się dziwię, że to wytrzymałam.

- Większość z nas miała trudne początki. Byliśmy wykorzystywani głównie do papierkowej roboty i dyżurów.

- No tak, ale nie tylko o to mi chodzi.

Nigdy nie zrozumiesz, człowieku, zaczęłam od debetu i nigdy się z niego nie

wydobyłam. Jestem wściekła i nieszczęśliwa z powodów, o których na pewno ci nie powiem, pomyślałam.

- No to o co właściwie? - zapytał.

- Tak chciałabym być we Wrocławiu - powiedziała wymijająco.

- Myślisz, że tam jest eldorado? Zapomnij. Intrygi, kłótnie, podgryzania.

- A tu niby nie? - zaperzyła się.

Tak, Wrocław to dla mnie Ziemia Obiecana, do której nigdy nie dotrę.

- Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma - skonkludował.

- Och, Jurek, czas studiów to był najlepszy okres w moim życiu - zmieniłam temat.

- Tak, byliśmy dorośli, ale traktowano nas ulgowo. No i świetnie się bawiliśmy.

- Słyszałam, że teraz życie studenckie zamiera. Nie mają czasu. Pracują. Zależy im tylko na pieniądzach - powiedziała.

- Nie wiedzą, co tracą. Jeszcze zdążą wziąć udział w tym wyścigu szczurów.

- A pamiętasz, jak wracaliśmy z rajdu i nikt już nie miał forsy? A tu upał, chciało się pić. Z trudem uzbieraliśmy na dwie oranżady, a było nas sześć osób. To były piękne dni - rozmarzyłam się.

- Pamiętam. To wtedy też jechaliśmy pospiesznym na osobowych biletach i całą drogę chowaliśmy się przed kontrolerem.

- On wiedział, nie ścigał nas. Studenci mieli fory.

- Cudowne czasy. A nasze zebrania brydżowe? Tak świetnie grałaś.

- Świetnie. No, tylko wtedy, gdy byliście po kilku browarach - zachichotałam.

Podszedł kelner.

- Bierzemy deser? - spytał Jurek.

- Tu mają doskonały tort orzechowy, taki prawdziwy.

- To dwa torciki orzechowe.

- I jeszcze kieliszek wina.

- Sporo pijesz - zauważył Jurek.

- Robię różne rzeczy, których nie powinnam - powiedziała.

*

Córka Małgosi nareszcie zmądrzała. Poszła do szkoły dla wizażystek. Małgosia już snuje plany - po szkole założy firmę i będzie wykonywać profesjonalny makijaż w domach klientek. Mam nadzieję, że jej się powiedzie.

*

Kontaktowałam się z redakcją. Na razie nic, żadnego odzewu. Jestem rozczarowana.

Nie trzeba było tego zaczynać. To już tyle lat minęło, a ja będę się ludzi. Może nie chcą kontaktu. Dziwią się, że nagle po tylu latach...

A może po prostu nie czytają ogłoszeń?

*

W przychodni szumi. Chodzą plotki, że ja i ten nowy...

Niech sobie gadają. Mam to gdzieś! Po raz pierwszy od dawna mam kogoś, z kim mogę porozmawiać, wrócić choć we wspomnieniach do czasów, które uważałam za szczęśliwe.

Fakt, że kiedy mam wolną chwilę, uganiam się za nim po przychodni. On też nie stroni od mojego towarzystwa.

W ostatni weekend namówiłam go na wycieczkę. Pojechaliśmy daleko, w samo serce gór. Było pięknie, jak tylko potrafi być w październiku. Słońce świeciło. Niebo było szafirowe jak na Południu. Góry przybrały już jesienne, żółto-czerwone barwy od liści buków i brzoź. Wędrowaliśmy moim ulubionym szlakiem. W schronisku zjedliśmy obiad. Widoki z hali były cudne: na Tatry i słowacką Fatrę. Po drodze trafiło się kilka grzybów. Wróciliśmy wieczorem. Zrobiłam kolację - jajecznicę z grzybami. Potem pojechał do domu.

Złapałam się na tym, że on jest dla mnie jak koleżanka, mimo że to facet. W moim i jego zachowaniu nie było cienia kokieterii. Patrząc na niego, widziałam stare budynki Akademii Medycznej, imprezy w akademiku, rajdy i obozy. Był kolegą - obiektem aseksualnym i do tego mężem mojej koleżanki. A kim byłam ja dla niego?

Na następny weekend zaprosił mnie do swojego domu.

*

Basia wróciła z Londynu. Spotkałyśmy się w galerii na kawie.

- No, i czego się dowiedziałas? - zapytałam.

Basia była w dobrym nastroju.

- Wiesz, chyba nie jest źle. Chcą wziąć ślub cywilny, a on jest protestantem. Twierdzi, że kocha Olę. Ona zapatrzona w niego jak w obraz. Jego rodzina jest miła i zwyczajna. Mieszkają na peryferiach w takich szeregowych domkach. Ten cały James studiuje marketing...

- A co ze studiami Oli? - Nie wytrzymałam.

- Na razie chyba nic. Będzie pracować, a potem zajmie się dzieckiem.

- Z czego będą żyć? Gdzie mieszkać? Co z ubezpieczeniem? - Tysiąc pytań cisnęło mi się na usta.

- Wiesz, w Londynie przedstawili mi wszystko w różowych kolorach. Mam się nie

martwić, jest „spoko”. Poradzą sobie. Ale teraz mam tyle wątpliwości.

- Przestań! To się nie martw! James jest Anglikiem i to jego zmartwienie: ubezpieczenie, utrzymanie. A jak będzie coś nie tak, przecież może wrócić. Poza tym na pewno są różne stypendia i pomoc socjalna dla młodych rodzin. Nie przejmuj się, z głodu nie umrą. Kiedy ślub?

- Nie tak szybko. Muszę załatwić kilka papierków i wysłać. Może za dwa miesiące.

- Pojedziesz?

- Wątpię. Podejrzewam, że wezmą cichy ślub, żeby nikogo nie obciążać. Tak się zastanawiam, czy nie powinnam posyłać jakichś pieniędzy?

- Ani się waż! Chyba że cię poprosi. Mało się natyrałaś? Ale gdyby tak, to lepiej niech wraca. Zresztą, ile ty jej możesz posłać? I masz drugą córkę, pamiętaj!

- A właśnie, wiesz, co mi powiedziała Julka? Że głupota Oli wyleczyła ją z facetów do końca życia.

- Na pewno nie do końca. Ale jakiś czas będziesz miała spokój.

- Oby jak najdłużej. - Spojrzała na zegarek. - Muszę lecieć do gabinetu.

- Pa!

*

Jestem totalnie zaskoczona! Zadzwoiła do mnie Ewa. No właśnie, Ewa z Wrocławia. Na spotkaniu koleżeńskim wymieniliśmy się telefonami, ale tak pro forma. Tymczasem proszę bardzo.

Ewa przyjeżdża do Szczyrku na jakieś sympozjum naukowe. I prosi mnie o nocleg z piątku na sobotę. Inaczej musiałaby wyjechać świtem z domu. Oczywiście zgodziłam się. To już za dwa dni.

Dziś wieczorem wpadnie do mnie Jurek z albumem ze studiów. Ja, niestety, swojego nie mam. Spaliłam po przyjeździe do Belska. To było dziecinne zagranie.

Nie mam zbyt wiele czasu, a muszę przygotować kolację, bo na pewno będzie głodny. Zrobię spaghetti po bolońsku. Podsmażyłam mięso, dodałam przyprawy i dwie puszki pomidorów bez skórki. Niech się duszą.

Zapowiada się miły wieczór wspomnień.

I faktycznie. Oglądaliśmy zdjęcia z obozów, rajdów i z życia akademika.

- To było w Karpaczu. - Patrzyłam na zdjęcie. Jurek obejmował Marzenę, w tle ośnieżony las.

- Tak, pamiętam, to był żeński obóz. Ja i kilku chłopaków byliśmy tam na waleta - roześmiał się Jurek. - Wieczorem wchodziliśmy przez okno, a wy wynosiłyście jedzenie ze

stołówki.

- Pewnie, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć? Przecież mieszkałam z Grażyną, u niej był chłopak i nie zachowywali się cicho - prychnęłam.

- O, nasz wieczorek brydżowy. Ciekawe, kto cyknął to zdjęcie? Nie wyglądamy najlepiej, zupełnie naprani. Ale ty całkiem, całkiem... - kokietował.

Podaliśmy kolację.

Siedzieliśmy na kanapie i powoli przeglądaliśmy album. Rozmowa stawała się coraz cichsza. Miałam wrażenie, że coś się zmieniło. Choćby to, że przyszedł z dużą czerwoną różą, że jakoś inaczej na mnie patrzył. Siedzieliśmy, dotykając się ramionami. Czułam, jak mi się napinają mięśnie, serce zaczyna niespokojnie bić, a w dole kręgosłupa pojawiły się przyjemne mrowienia. Nasze palce stykały się na kartkach albumu. Delikatne muśnięcia nie były przypadkowe. To była gra. Podjęłam ją, ciekawa, co będzie dalej... Czułam jego napięcie. Mięsień ramienia drżał lekko. Nie patrzyliśmy na siebie. Trwaliśmy tak kilka chwil. W myślach przebiegłam wszystkie dotychczasowe kontakty z mężczyznami. Nie było tego wiele. Więc czemu nie. Lata w końcu lecą. Nie jestem młoda. Okazji coraz mniej...

„Jest żonaty” - szeptało coś do ucha.

Przecież nie zamierzam się wiązać.

Nie chcę żadnych romansów.

Poza tym po co mi to.

Tysiące zastrzeżeń.

Jedno jest pewne - platoniczna przyjaźń skończyła się bezpowrotnie.

Nagle odsunął się i nie patrząc na mnie, powiedział:

- Dzięki za kolację.

I wyszedł.

Siedziałam bez ruchu. Przecież nic się nie zdarzyło. Może to moja wyobraźnia? Jednak intuicja podpowiadała coś innego. Co mam zrobić? Jechać do niego w sobotę czy nie? A może propozycja jest już nieaktualna? Nie spałam całą noc. Nie pomogły nawet tabletki. Byłam zdezorientowana i podniecona, i wiedziałam, że to erotyczne napięcie. Od tak dawna nic takiego nie czułam. Nie do mnie należy następny ruch - zdecydowałam i poczułam ulgę. Niech się samo rozwiąże.

*

Byłam wykończona, kiedy rano szłam do pracy. Pod blokiem stał samochód Jurka.

- Agata, podwiozę cię! - zawołał.

Niepewnie wsiadłam. Odwróciłam się w jego stronę. Położył mi dłonie na twarzy i

powoli przybliżył swoją twarz do mojej. Wstrzymałam oddech... Pocałunek był mocny, poczułam znajome mrowienie i odepchnęłam go.

- Daj spokój. Przecież idziemy do pracy. Muszę być skoncentrowana.

Zapalił silnik, podjechaliśmy w milczeniu pod przychodnię.

- Ale pamiętaj, w sobotę przyjadę po ciebie o jedenastej i pojedziemy do mnie - powiedział gwałtownie.

Wysiadłam z auta. Nogi miałam jak z waty. Weszłam do przychodni i poszłam prosto do gabinetu, mijając zdumioną Małgosię.

- Czy pani źle się czuje, pani doktor? - odezwała się.

Źle - nie, skąd, doskonale. Może będę miała mały romans? Muszę teraz zdecydować. Mogę się jeszcze wycofać, ale czy chcę? Tak długo nie byłam z nikim. A jeśli to znowu będzie katastrofa? Tego bym nie zniosła. Ale nie będę wiedzieć, jeśli nie spróbuję. Podobno orgazm rodzi się w psychice - myślałam. Wątpliwości moralne - jest żonaty - odrzuciłam jak plewy. Skoro pięć lat są osobno, to widocznie im nie zależy.

Pracowało mi się okropnie. Zupełnie nie mogłam się skupić. Po kilka razy zadawałam te same pytania. Niektórzy patrzyli na mnie ze zdziwieniem - zwłaszcza ci przyzwyczajeni do mojego uporządkowania. Mam tylko nadzieję, że jakichś większych bzdur nie nagadałam.

Kilka recept z błędami wróciło z apteki. Cały czas siedziałam w gabinecie. Bałam się wyjść, aby się nie natknąć na niego.

Niestety, o trzeciej niemal zderzyliśmy się w drzwiach wyjściowych.

- Jutro i pojutrze będę na sympozjum w Warszawie. Zobaczymy się w sobotę - powiedział.

Dzięki Bogu! Mam dwa dni na przemyślenia.

Wieczorem siedziałam, gapiąc się na akwarium, jakby stamtąd mogła wypłynąć jakaś mądrość. Wspominałam pocałunki i te miłe odczucia, jakie im towarzyszyły.

Poderwałam się z fotela.

Nie ma co się zastanawiać, niech się coś dzieje w moim monotonnym życiu. Gdzieś przeczytałam: „lepiej grzeszyć i potem żałować, niż żałować, że się nie grzeszyło”.

A poza tym, czy to grzech?!

*

Dziś wieczorem przyjedzie Ewa. Wobec ostatnich wydarzeń nie jestem z tego zadowolona. Ale cóż?

W pracy wkurzył mnie przedstawiciel medyczny. Był bezczelny, zachowywał się agresywnie, przepytywał. Tak, „przepytywał” to właściwe słowo. A właściwie usiłował

przepytować mnie z wiadomości medycznych. Pokazałam mu drzwi i lepiej niech się więcej u mnie nie pokazuje. Z takim podejściem kariery nie zrobi. Powinien się lepiej przygotować z socjotechniki!

W ogóle jestem podenerwowana. Objechałam pielęgniarkę.

- Pani Małgosiu, co to jest? - Machałam jej kartą przed oczami. - To niemożliwe! Z pani pomiaru wynika, że główka dziecka nie rośnie.

Zanim zdążyła zareagować, wzięłam centymetr i sama zmierzyłam.

- Przyrosła o półtora centymetra - powiedziałam.

- Dziecko się ruszało i pewnie centymetr się obsunął - usiłowała wyjaśnić.

Zmierzyłam ją wzrokiem.

Dzisiaj nie rozśmieszył mnie też stary pacjent, witający się od lat niezmiennym: „Witam moją piękną panią doktor”. Nie wiem dlaczego, ale chciało mi się płakać.

Wreszcie w domu.

Rzuciłam się do pośpiesznego sprzątanía. Poskładałam rzeczy i upchałam w szafie. Przetarłam kurze. Odkurzyłam fotele, kanapę i dywan. Umyłam łazienkę. Przyszykowałam pościel.

Byłam wykończona.

Przyjechała Ewa. Zajechała zgrabnie swoim autkiem pod mój blok.

- Witaj. Cieszę się, że cię widzę - powiedziałam.

- Agatko, jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna, inaczej musiałabym chyba o trzeciej rano wyjechać.

- Siadaj. Chcesz herbatę czy kawę?

- Herbatę. - Ewa weszła za mną do kuchni. - Jaki masz ładny widok! Wprost na góry.

- Oglądam go od prawie dwudziestu lat. Widoki to nie jest najważniejsza rzecz w życiu.

- Och, jechałam i patrzyłam. Cała okolica jest taka... wakacyjna - zauważyła.

- Wakacyjna? Ewa, kto jeździ do miasta na wakacje? - wkurzyłam się.

Cały czas odczuwałam niepokój w okolicy serca. To już jutro. Boże, czuję się jak przed pierwszą randką! Nerwy mi puszczają. Jestem bez powodu nieprzyjemna dla Ewy.

- Przepraszam cię. Niepotrzebnie się denerwuję. Ale te widoki i okolica to tylko miły dodatek do tego, co się robi i z kim. Nie po to studiowałam medycynę, żeby siedzieć teraz za małe pieniądze w rejonowej przychodni w Belsku. Nie jesteś lekarzem, więc nie wiesz, kim jestem w hierarchii. A jestem nikim. Zerem - zarówno dla pacjentów, jak i kolegów specjalistów. A miało być inaczej. Tak sądzili wszyscy, nie tylko ja, prawda? - podkreśliłam. -

Ty też uważałaś, że mając takiego ojca, pojedę za granicę albo będę pracować w jakiejś renomowanej klinice? Może nie? Przecież tak się zwykle dzieje. Nikt nie rozumie, dlaczego stało się inaczej - powiedziałam z goryczą. - Zresztą dajmy temu spokój.

Ewa patrzyła na mnie w milczeniu.

- A nie próbowałaś sama coś sobie załatwić? Miałaś wyniki... No i nazwisko - powiedziała wolno.

- Nie, nigdy. Ja wiem, że to trudno pojąć, ale byłam, chyba tak, uzależniona i zdeprymowana. Wydawało mi się, że sama niczego nie potrafię. Kiedy się nieco ocknęłam, było za późno. Zresztą kariera w Belsku mnie nie interesowała.

- Nigdy nie jest za późno. Rzeczywiście nie bardzo to rozumiem - sucho stwierdziła.

Machnęłam ręką.

- Zrobię kolację - skwitowałam i poszłam do kuchni.

- Masz piękne akwarium - zawołała Ewa z pokoju.

- Wiem.

Wzięłam brytfankę do pokoju i postawiłam na deseczce.

- To tutejsza potrawa, nazywa się „duszonki”. Oczywiście nieco zmodyfikowana, żeby nie była taka tłusta. Chcesz piwo, wódkę czy coś innego? - zapytałam.

- Może być piwo - zaskoczyła mnie Ewa. Myślałam, że nie używa alkoholu. Wzięłam butelkę żywca i nalałam do szklanek.

- A co u ciebie, jak dzieci?

- Dzieci zdrowe, dziękuję. Jestem zapracowana. To sympozjum to taka chwila oddechu. Tym bardziej że Staś jest w Niemczech - ma wykłady na uniwersytecie w Kolonii. A ja po Nowym Roku jadę na trzy miesiące do Wiednia, mam kontrakt na wykłady - mówiła Ewa.

Stanęło mi serce, coś złapało mnie za gardło. Zaraz zwymiotuję!

- Och! Przepraszam...

Pognałam do łazienki. Umyłam palącą twarz i wzięłam tabletkę.

Zazdrość zżerała mnie do kości. Ta Ewa, która nie umiała złapać piłki, która zacinała się przy odpowiedziach, jest znanym naukowcem, jeździ sobie z wykładami po Europie i sama prowadzi auto.

Ale to ja byłam najlepszą uczennicą, do diabła! I co z tego? - krzyczałam w myślach.

Napiłam się kilka łyków wody, wzięłam głęboki oddech. Spokój i jeszcze raz spokój. Wyszłam z łazienki.

- Źle się czujesz? Przepraszam. Może nie powinnam była o tym mówić? Wiem, jak

zależało ci na karierze - odezwała się Ewa. - I jak czujesz się skrzywdzona...

Zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju.

- Powiem, bo się uduszę. Ja nie mogę słuchać o twoich... - zawiesiłam głos. - O waszych osiągnięciach, bo po prostu umieram z zazdrości. To wszystko mnie się należało! To ja miałam robić karierę, a nie gnić tutaj! Przeszłość mnie zabija, teraźniejszość także, a przyszłości nie ma. Chce mi się wyć, a do tego... Teraz... - Pomyślałam o Jurku i rozplakałam się.

Ewa patrzyła ze współczuciem.

- Próbowалаś jakiejś terapii?

- Tak, nieraz. - Machnęłam ręką. - I powiem ci, odniosłam wrażenie, że psycholog uważał, że „szukam dziury w całym”. Ale on był stąd. I może dlatego.

Powoli się uspokajałam.

Ewa patrzyła bezradnie. Może ona też tak sądzi - pomyślałam i ogarnęła mnie wściekłość. Chciałam zetrzeć z jej twarzy ten współczujący wyraz. Nie życzę sobie żadnej litości.

- Wiesz, wyobraź sobie, że ojciec nie był moim ojcem, a matka została zgwałcona i ja jestem tego owocem, dlatego mnie nienawidzili. - Wyrzuciłam z siebie i wtedy opadło ze mnie całe napięcie. Poczułam się jak przekłuty balon, a nade wszystko było mi wstyd... - Wybacz, nie powinnam tego mówić, to ciebie nie dotyczy. I błagam, to jest tajemnica.

- Nie wiem, co powiedzieć - wydusiła po chwili.

- Nic nie mów. Jesteś gościem, a ja tak się zachowuję... Jestem niezrównowazona, powinnam bardziej panować nad sobą. Jeszcze raz przepraszam. Takie historie dobre są w kinie czy w książkach, ale nie w życiu.

- Umyję naczynia - powiedziała w końcu Ewa.

- Ależ skąd. Może włączyć ci telewizję?

- Nie oglądam telewizji, nie mam czasu. Posiedzę z tobą w kuchni.

Myłam naczynia, a Ewa paplała o dzieciach, niańkach i chorobach. Lecząca z kranu woda zagłuszała jej słowa, dzięki temu nie musiałam jej słuchać ani odpowiadać.

Kipiałam ze wściekłości. Jak mogłam wygadać swoją największą tajemnicę? Tak się odsłonić? Na szczęście byłam pewna, że zachowa dyskrecję. Dobre i to.

Położyłyśmy się spać.

Dobrze, że jedzie jutro rano. Rozmowa z nią mnie rozstroiła. Nie mogłam zasnąć. Kolejna tableteczka nie pomogła. Wspomnienie mojego wybuchu paliło wstydem. Jak mogłam? Próbowалам myśleć o Jurku, przywołać te sympatyczne odczucia z nim związane,

ale nic to nie dawało.

Ewa wyjechała po śniadaniu. Po jej odejściu pewne sprawy związane z Wrocławiem i moją przeszłością przeniosły się jakby do innej rzeczywistości. Odetchnęłam. Mam trochę czasu do przyjazdu Jurka, muszę się pozytywnie nastawić!

*

Było po jedenastej, kiedy wpadł jak burza.

- Gotowa? - spojrzał na mnie krytycznie. Był ubrany na sportowo, a ja miałam na sobie kostium.

- Musisz się przebrać. Gdzie masz jakąś torbę? - Nie czekając na odpowiedź, otworzył szafę i zaczął pakować moje rzeczy. Patrzyłam zdumiona.

- Nie, czekaj, ja sama - zareagowałam w końcu. Nie chcę, żeby grzebał w moich rzeczach. Nie musi wiedzieć, że moje ciuchy dzielą się na lepsze i gorsze.

- Będzie zimno. Dom jest w remoncie. Przebierz się - powtórzył.

No, ładnie się zaczyna. On traktuje mnie jak niesforną młodszą siostrę, którą starszy brat musi dopilnować, żeby sobie tyłka nie odmroziła. Gdzie romantyzm, ja się pytam, gdzie?

Wzięłam torbę, wrzuciłam bieliznę z zestawu wakacyjnego, szlafrok, gruby sweter, kosmetyczkę i... czy coś jeszcze? Rozglądałam się bezradnie po pokoju. Czy będziemy siedzieć w domu, czy gdzieś pójdziemy, czy powinnam wziąć coś eleganckiego? Jakoś nie miałam odwagi zapytać.

Kiepsko się zaczyna - pomyślałam. Nawet mnie nie pocałował.

Włożyłam dzinsy, niebieski wełniany golf. Pod spodem miałam biały koronkowy stanik na fiszbinach, białe koronkowe majtki, też z zestawu wakacyjnego, i maleńki, śmieszny podkoszulek na ramiączkach, za który zapłaciłam majątek w zeszłym roku. Co jeszcze?

Miotalam się bezradnie. Może czerwono-popielata kurtka z polaru? Jest październik, dni nawet dosyć ciepłe, ale noce zimne, z przymrozkami. Złapałam jeszcze swoje tabletki (nigdzie się bez nich nie ruszam) i wyszłam z sypialni.

Prawie na mnie nie spojrzał, tylko złapał torbę i poleciał do windy.

Może mu powiedzieć, żeby sływał?

W samochodzie odważyłam się:

- Czy coś się stało, że nic nie mówisz?

- No tak, przepraszam cię, od rana użerałem się z robotnikami. Wyobraź sobie, powiedzieli, że kominka dzisiaj nie podłączą, bo nie. Teraz też chcę ich jeszcze złapać i dopilnować, żeby kominek działał, bo inaczej zamarzniemy. Psiakrew! Specjaliści z bożej łaski!

Jeśli to tylko to... Hm... Za facetem nie nadążysz!

*

Dom w Szczyrku leżał przy bocznej drodze, nieopodal lasu. Rzeczywiście był wiekowy, ale murowany, z dużą, drewnianą werandą. Ogród całkiem zaniedbany, wyraźnie od dawna nikt się nim nie zajmował. Jurek zaparkował przed budynkiem. Weszliśmy do środka przez werandę. Pokój był wysprzątny, w środku znajdowało się niewiele mebli - duży stół, krzesła, kredens, pod ścianą wersalka. Drewniana podłoga okropnie skrzypiała. No i kominek: nowy energooszczędny i działał. Hura!

Przed kominkiem leżały dwie spore skóry baranie. Na drewnianej ścianie wisiały kilimy. Całość sprawiała bardzo przyjemne wrażenie.

Zimno. Usiadłam na podłodze, koło kominka. Było ciepłej.

- Trochę potrwa, zanim się ociepli - powiedział Jurek, dorzucając drewna. - Chodźmy się przejść. W pobliżu jest karczma, możemy tam pójść na obiad.

Moja torba nadal stała na środku pokoju.

- Gdzie ją postawić? - Byłam spięta i nieco zdezorientowana jego zachowaniem.

- Wstaw do sypialni, tamte drzwi - wskazał.

Sypialnia była mała, stało w niej duże, nowoczesne łóżko, szafa i biurko z komputerem. Postawiłam torbę.

Wyszliśmy z domu. Do knajpy było blisko. Szliśmy za rączkę, jak para. Może to gra wstępna? Stopniowanie napięcia?

Zjedliśmy po pstrągu, połaziliśmy po mieście, patrząc na góry, potoki i eleganckie hotele. Zatrzymaliśmy się przy sklepikach z pamiątkami. Słońce zaszło, robiło się ciemno.

W domu było już ciepło. W ciemności kominek świecił palącym się drewnem. Jurek wyjął butelkę wina, kieliszki, usiadł na baranich skórkach.

- Usiądź koło mnie - powiedział miękko.

Serce zaczęło mi bić szybciej, poczułam zawrót w głowie. Uklęknęłam obok niego na podłodze. Podał mi kieliszek. Wino było czerwone, wytrawne. Piłam małymi łykami, nie spuszczać oczu z Jurka. Światło z kominka padało nam na twarze, rozświetlając je. Oczy wydawały się większe. Odstawił kieliszek i przysunął się bliżej. Zaczęliśmy się całować. Wszystkie mięśnie miałam napięte do ostateczności. Zdjęłam sweter, koszulkę i dzinsy. Zostałam w samej bieliźnie. Całe ciało drżało w oczekiwaniu spełnienia. To było normalne seksualne pożądanie. On też był już rozebrany. Moje oczy zarejestrowały silną męską budowę, napiętą skórę, no i solidną erekcję. Powoli uwolnił mnie od biustonosza i majteczek. Nie myślałam o tym, jak wyglądam. Chciałam... I on miał mi to dać... Leżałam na skórkach na

podłódze, a on mnie pieścił i całował. Roztapiałam się, zapadałam się w jakąś rozkoszną nierzeczywistość.

Leżeliśmy w milczeniu przytuleni. Chciało mi się płakać, po tylu latach miałam w końcu ten swój orgazm. Jakieś blade wspomnienia z pierwszych lat małżeństwa wydawały się takie nierealne. Czy wtedy było tak samo?

Wróciłam do rzeczywistości. Włożyłam szlafrok i poszłam do kuchni.

- Zrobię herbatę - zawołałam.

On dalej leżał pod kominkiem.

- Masz ładne ciało - powiedział.

To było zbędne. Wiem, jak wyglądam i ile mam lat.

- Dzięki. Ty też jesteś niczego sobie. To zrobić ci tej herbaty?

- Chętnie. Proszę.

Przyniosłam kubek z herbatą.

- Nie ma nic do jedzenia. Ja nie jestem głodna, ale co z tobą?

Usiadłam koło niego. Wsunął dłoń pod brzeg szlafroka i sunął nią w górę uda aż po... Zadrzałam. Odsunęłam się.

- To co z kolacją?

Westchnął.

- Możemy pójść, w hotelu jest miły lokalik.

Miałam na szczęście czarne spodnie i srebrny, cieniutki golf z second handu. Ale polaru na to nie włożę. W szafie znalazłam szary, gruby szal z wełny. Nie bardzo pasował, ale przynajmniej był ciepły.

Lokal był przytulny, orkiestra grała stare przeboje. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. No tak, przecież w Szczyrku sezon trwa cały rok.

Jurek zamówił szampana. Prawił komplementy, trzymał za rękę, głaskał po włosach.

Nadmiar szampana szumiał mi w głowie. Kiedy zagrali „Most na rzece wspomnień”, do oczu napłynęły mi łzy.

Siedzieliśmy tam do północy.

W domu wylądowaliśmy w łóżku. Nie sądziłam, że będę miała ochotę na kolejny raz. Ale trzeba przyznać, że Jurek był świetnym kochankiem, wiedział, jak należy traktować kobiece ciało. Kiedy o tym myślę, zaczyna mi się kręcić w głowie.

Rano obudził mnie telefon. Jurek cicho rozmawiał.

- Tak, kochanie, wszystko dobrze... Remont postępuje... Tak, uczę się... Pozdrów dzieci...

Nieładnie jest podsłuchiwać. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, mimo że nie wiązałam żadnych planów z Jurkiem. Przecież wiedziałam, że jest żonaty, a jednak... Może chciałam, żeby o mnie zabiegał? Może nie chciałam, żeby to był taki czysty, sportowy seks?

Wstałam, ubrałam się. Weszłam do kuchni. Na stole stało śniadanie.

- Proszę, proszę, kiedy to zrobiłeś?

- Rano. Nie chciałem cię budzić. Kupiłem bułki, masło i oszczyпка. Lubisz?

- Tak, bardzo.

- Tu są pomidory. Proszę. Chcesz kawę czy herbatę?

- Najpierw herbatę, potem kawę.

Popatrzyłam za okno. Ładny dzień, mimo że za tydzień Wszystkich Świętych.

- Wiesz, chciałabym pojechać do Wisłki, rzadko mam okazję, a stąd nie jest daleko.

Wydawał się lekko rozczarowany. Może myślał, że dzień spędzimy w łóżku, ale udawałam, że tego nie widzę. Miałam wielką ochotę na tę wycieczkę.

Spędziliśmy miły dzień. Byliśmy nad zaporą, a potem objechaliśmy okolicę.

Po południu odwiózł mnie do domu.

- Nie zapraszam cię, bo muszę przygotować referat na zebranie pediatrów - skłamałam.

Pocałował mnie i odjechał.

*

Siedziałam na kanapie, gapiąc się na akwarium.

Jurek jest miłym facetem i świetnym kochankiem. Na samo wspomnienie poczułam wibracje w okolicy krzyża. Ale co dalej? Tak starannie unikaliśmy rozmów na temat przyszłości - nawet tej bliskiej, jak choćby święta, aby - broń Boże - nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie jestem zakochana, ale jaką mam gwarancję, że to nie nastąpi? Dla faceta seks jest bez znaczenia. A dla mnie? Do tej pory sądziłam, że należy skorzystać z okazji, żeby przeżyć coś przyjemnego, i wystarczy. A jak wymknie się to spod kontroli? Czułam się skrzywdzona przez życie i nie byłam gotowa na więcej. Może bezpieczniej byłoby uciąć to w zarodku? Przydałoby się z kimś pogadać. Ale z kim? Alina i Bożena będą miały za złe, że romansuję z żonatym facetem. Może Basia? Najlepsza byłaby Grażyna, ma duże doświadczenie. Ale ona jest we Wrocławiu, a ja nie potrafiłabym mówić o tym przez telefon.

*

Podobno kobieta usatysfakcjonowana seksualnie lepiej wygląda. Jest ładniejsza, weselsza, słowem ma coś w sobie. Mnie to nie dotyczy. W pracy nikt nic nie zauważył.

Stoję przed lustrem w gabinecie. Moja twarz powinna promienieć, a wygląda jakoś smętnie, bez blasku. To przez te skłonności do analizowania wszystkiego, zamiast poddania się nastrojowi, życia chwilą, bo tak należy. „Carpe diem”. Wiedzieli o tym już starożytni.

*

Jestem zdumiona. Urszulka powiedziała mi, że została wolontariuszką w hospicjum.

- Ale dlaczego ty? Masz tyle pracy, rodzinę?

- Ktoś musi. Trzeba coś więcej z siebie dawać - odparła.

- Podziwiam cię. To nie dla mnie. Nie mam natury Matki Teresy. Jesteś porządnym człowiekiem i dobrym lekarzem. Mam nadzieję, że cię docenią.

- Nie oczekuję nagrody, tu, na ziemi.

Zaniemówiłam. Zatem to nie jest potrzeba serca. Ona zarabia na bilet do nieba! Jednak będzie robić dobrą robotę. Czy więc pobudki są takie istotne?

Przyszła pacjentka. Zażądała skierowania do alergologa dla dziecka.

- A co się dzieje? - pytam.

- Właściwie to nic. Ale ja jestem alergikiem i mój alergolog stwierdził, że warto by było sprawdzić dziecko.

Przeglądam historię choroby.

- Tu nic nie ma, co by wskazywało na alergię. Żadnych wysypek, przewlekłych katarów, kaszlu. Ma pani zdrowe dziecko.

- Ale mój alergolog...

- Proszę pani, pani alergolog dostaje pieniądze od każdego pacjenta, więc to mu się opłaca. A ja wskazań nie widzę. Co mam napisać na skierowaniu, no co?

- Ale ja nalegam. Mam już termin...

Proszę, jaka przewidująca! Widzę, że baba nie wyjdzie bez skierowania. Pies ją drapał. Chcę mieć święty spokój. Wypisuję. Niech NFZ się martwi, niech zmieni przepisy tak, aby moje słowo się liczyło. A nie, to niech płaci za niepotrzebne usługi.

Jestem rozgoryczona. Taka „Kundzia” od bicia pieczętek! Po prostu sekretarka medyczna kolegów - lekarzy specjalistów. A potem ludzie się dziwią, że na wszystko brakuje pieniędzy! Może powinno być jak w Irlandii? Tam się płaci za wizytę u lekarza ogólnego. Dzięki temu jest więcej pieniędzy na drogie procedury.

Wchodzi Małgosia.

- Doktor Adamski prosi panią na konsultację. Podejrzewa chorobę zakaźną u pacjenta.

Dość często są takie konsultacje, więc nie jestem zaskoczona. Idę na górę, wchodzę do gabinetu. Jurek się uśmiecha.

- Gdzie pacjent?

- Nie ma żadnego pacjenta - śmieje się.

- Nie wygłupiaj się. - chcę wyjść.

Zastawia sobą drzwi, zamyka je na klucz. Spogląda na mnie wzrokiem niegrzecznego chłopca.

- Agatko, Agatko, trzeba sobie umilać życie - mówi i bierze mnie w objęcia.

Nie protestuję. Całujemy się. Rozpina mi fartuch i przez bluzkę sięga moich piersi. Powinnam go odepchnąć, ale jestem bezwolna, skoncentrowana na tym, co czuję. Przywiera mocno swoim ciałem do mojego, czuję na brzuchu twardą wypukłość. Wkłada mi rękę pod spódnicę i odsuwa majtki. Serce podchodzi do gardła, robi mi się słabo. Zaraz zemdleję.

Boże, przecież może tu ktoś wejść!

Ale akurat to ryzyko zdaje się go podniecać. Ostatkiem woli odpycham go.

- Oszalałeś?! Przecież to miejsce pracy.

- No to co? Podobało ci się. - Nie wydaje się zawstydzony.

Trzymam głowę wysoko i dumnie.

- Nie będziemy prowadzić takiej dyskusji - oświadczam.

Jeszcze głośniejsze się śmieje.

- Podobało, podobało. Powiedz, czy kiedykolwiek robiłaś coś takiego w publicznym miejscu? Pewnie nigdy. Zawsze wzorowa uczennica i studentka.

Milczę, bo co mam powiedzieć? Obawiam się, że zyskuje władzę nade mną.

- No idź już, idź, bo na dole się zapłaczą bez ciebie - po prostu mnie bezczelnie wyrzuca.

Telefon. Jak na zawołanie.

To Małgosia, prosi mnie o zejście na dół. Nazbierało się pacjentów i niektórzy się denerwują.

Doprowadzam się do porządku. Poprawiam włosy, zapinam bluzkę.

Schodzę na dół.

- No i co z tym pacjentem? - pyta Małgosia.

W pierwszej chwili nie rozumiem.

- A nie, to była tylko alergia - odpowiadam.

Tym razem mój wygląd budzi zaniepokojenie Małgosi. Do końca pracy nie opuszczam gabinetu. Wychodzę tylnym wyjściem i jadę do drugiej przychodni. Po drodze dzwonię do Basi. Umawiamy się, że wpadnę do niej około ósmej.

*

Basia mieszkała na granicy miasta, na kompletnym zadupiu. Dom był stary, z lat trzydziestych dwudziestego wieku, albo nawet starszy. Duży, ze spadzistym dachem i małymi oknami. Taki prawdziwy, gospodarski dom z ciemną sienią, kuchnią dla zwierząt i wielką spiżarnią. Wokół budynku rosły potężne drzewa.

Podjechałam taksówką, bo do autobusu było z piętnaście minut marszu. Latem jeszcze bym przeszła, ale zimą bałam się iść tam sama.

Zrobiło się kompletnie ciemno, hulał wiatr, zacinał deszcz, a do tego drzewa pochylały się tak głęboko, że czułam się jak w horrorze.

Jak ta Basia nie boi się tu sama mieszkać?

Otwarłam furtkę. Szczęście, że posesja jest ogrodzona. Wokół świstało, gwizdało, trzeszczało. Prawie biegiem dotarłam do drzwi. Ledwie zauważyłam, że pod domem oprócz opelka Basi stoi jeszcze drugi samochód.

- Jaka wstrętna pogoda - powiedziałam, wchodząc do sieni.

- Jak ty się nie boisz być tu sama? Podziwiam! Dobrze, że gabinet masz w mieście, bo kto by tu przyjechał? Jest ktoś u ciebie? - ściszyłam głos.

- Tak. Janusz. Siedzi przy komputerze i zapomniał o bożym świecie. Nie będzie przeszkadzał.

- Mieszkacie razem?

- I tak, i nie - powiedziała zagadkowo. - Można powiedzieć, że on pomieszkuje.

Przyjrzałam się jej. Nie wyglądała najlepiej. Była wyraźnie przemęczona.

- Chcesz herbaty, a może obiad? - mówiła w drodze do kuchni.

- Obiad? Kobieto, kiedy ty gotujesz? W nocy? Zrób herbatę i wystarczy.

Chodziłam nerwowo po pokoju. Pokój był urządony nowocześnie - komplet wypoczynkowy, kino domowe, ława ze szklanym blatem, ale też stara serwantka i komoda zapewne po dziadkach. Kilka starych zdjęć w oprawach i obrazów na ścianie.

Basia przyniosła herbatę w filiżankach, na tacy i postawiła na ławie.

- Jaki ładny serwis! Stary, prawda?

- Ma prawie sto lat - powiedziała z dumą Basia.

- Nie szkoda go używać? Nie boisz się, że coś się stłucze?

- A... - Machnęła ręką. - Słuchaj, podgrzeję lazanię. Zjesz, nie kryguj się. A w ogóle to opowiadaj, co się stało.

- Chyba mam romans.

- Co to znaczy „chyba”?

Wzruszyłam ramionami i zdałam jej relację z tego, co zaszło między mną a Jurkiem.

Ona się zadumała na chwilę, po czym spytała trzeźwo:

- Czy on cię nie wykorzystuje?

- Nie czuję się wykorzystywana. Seks z nim jest świetny, a sama wiesz, że długo nie...

- Zawiesiłam głos. - No rozumiesz.

- No właśnie. Czy on tego nie wykorzystuje?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Co będzie, jak się zakochasz? Sama mówisz, że on tu jest na chwilę. Uważam, że cię wykorzystuje - powtórzyła.

Milczałam chwilę.

- Wiesz, jeśli nawet masz rację, to i tak coś zyskałam. Będę miała wspomnienia. Lepsze to niż nic.

- Niewielkie masz wymagania - z wyraźną ironią powiedziała Basia.

Wzruszyłam ramionami po raz kolejny.

- Życie mnie tego nauczyło. Staram się unikać rozczarowań. Basia poszła do kuchni po lazanie.

Popatrzyłam w okno. W ciemnościach nie było widać najmniejszego światełka. Wiatr hulał i pisał gdzieś w kominie. Jak na bezludnej wyspie. Było strasznie.

Basia przyniosła dwie duże porcje na talerzach. Nie przepadam za lazanią, bo zawsze podejrzewam, że ktoś mógł niepostrzeżenie nalać do niej mleka. Już sama myśl wywołuje u mnie mdłości. Podskubywałam więc ją delikatnie.

- Nie gniewaj się - zwróciłam się do niej - ale naprawdę kiepsko wyglądasz. Jesteś chora?

- Trochę skacze mi ciśnienie. Ale przede wszystkim jestem zmęczona.

- To odpocznij. Weź urlop i pojedź gdzieś. Widziałam taką reklamę: tygodniowy relaks i odnowa biologiczna za tysiąc złotych. I to blisko. A może Egipt? Jest najlepszy o tej porze. Boże, przecież nie powiesz, że Janusz cię wykańcza. A właściwie, jakie są relacje między wami?

- Kuchnia, pralnia, łóżko - powiedziała sucho Basia.

- To znaczy, że ty gotujesz, pierzesz jego rzeczy, prasujesz... - Basia skinęła głową. - To on dopiero cię wykorzystuje! Wyjdź za mąż, ogranicz pracę, choćby gabinet. Niech on ci daje pieniądze albo niech spada. Nie jesteś służącą, do diabła! Czy wy w ogóle gdzieś wychodzicie? No nie wiem, do kina, na kolację czy koncert?

- Prawie nie. Albo on ma dyżur, albo ja. Oboje mamy gabinety. Nie ma kiedy...

- Ale zdążył przywieźć swoje pranie i zjeść obiadek - zauważyłam.

- Nie bądź taka sarkastyczna - obruszyła się Basia.

- Nie jestem. Musisz coś z tym zrobić. Pamiętaj: samotność w pojedynkę jest zła, ale we dwoje jeszcze gorsza.

- Agata, a co z tobą i tym twoim facetem? A w ogóle, skąd ty bierzesz te swoje mądrości?

Teraz ja się obraziłam.

- Nie wiem. Czytam, podsłuchuję, oglądam seriale.

Wiatr zawirował w sieni. Zadrżałam. U Basi było zimno.

- Nie myślałaś, żeby sprzedać ten dom? Przecież to musi być worek bez dna i to ogrzewanie...

- Myślałam, ale dopóki nie będę pewna, że ani Ola, ani Julka tu nie wrócą, nie zrobię tego - odpowiedziała stanowczo.

- Będę już jechać. W następną sobotę zapraszam ciebie i Janusza na imieniny.

- Dzięki. Przyjdziemy.

Zamówiłam taksówkę.

Kiedy siedziałam już w ciepłym wnętrzu samochodu, pomyślałam, że Janusz to palant, nawet nie przyszedł się przywitać.

Jechałam przez ciemne, deszczowe miasto. Dręczyły mnie niewesołe myśli. Jak to jest? Nie ma faceta - źle, jest facet - też źle. Jesteśmy kobietami pracującymi, wykształconymi, mamy jakieś tam poczucie własnej wartości. Od swoich mężczyzn oczekujemy zrozumienia, docenienia i poszanowania tego, co robimy, no i rozsądnego podziału zadań. A co zyskujemy? Najczęściej nic! Jakie jest wyjście - znieść to z pokorą, pracować w pracy i w domu bez słowa skargi, czy walczyć o swoje i skończyć rozwodem, a może zostać singlem z wyboru? Czy nasze babki nie miały racji, kiedy siedziały w domu, wychowywały dzieci, a mąż zarabiał?

- Dwadzieścia złotych - odezwał się taksówkarz.

*

Za dwa dni Wszystkich Świętych. Jurek pojechał do Opola na groby. Nie zaproponował mi, żebym się z nim zabrała. Spotka się tam z rodziną. Dla kochanki nie ma miejsca. Jestem pewna, że obawiał się plotek. A Marzena nie jest osobą, która dałaby sobie w kaszę dmuchać. No, chyba że jej już na nim nie zależy.

Jeśli będzie pogoda, to wybiorę się na najbliższy cmentarz, kupię znicze i zapalę tam, gdzie będzie pusto. Co roku tak robię. O wyjeździe do Wrocławia nie ma mowy. W głębi serca nie czuję takiej potrzeby.

Za tydzień moje imieniny. Muszę zrobić przyjęcie jak co roku. Tym razem będzie nas więcej, bo doszli Janusz i Jurek. Alina pewnie przyjdzie bez męża, choć zawsze go zapraszam. Na piątek wezmę urlop, bo inaczej się nie wyrobię.

Chciałabym jeszcze kupić coś interesującego do ubrania. Nie, nie wydam kilkuset złotych na kieckę, bo nie mam takiej kasy. Najlepiej coś fikuśnego do czarnych spodni, a to oznacza wizytę w second handach.

Na zakupy przeznaczyłam sobotę.

Oj, Jurek był wyraźnie niezadowolony.

- Tyle hałasu o jedno przyjęcie.

- Nie znasz się - powiedziałam z wyższością.

Uszczypnął mnie w pośladek, aż podskoczyłam.

Spojrzałam groźnie.

- To rób, jak chcesz. Ale jutro przyjadę do ciebie po pracy. Kolacja ze śniadaniem, pamiętaj. - Miał zabawną minę.

Roześmiałam się.

- Dobrze.

Ale sobie nie myśl, że będę gotować. Zamówię pizzę i tyle. Przypomniałam sobie umordowaną Basię.

- Powiedz, czy ty naprawdę musisz tyle pracować? - Zaskoczył mnie. Czyżby się martwił o moje zdrowie?

- Muszę, bo tu zarabiam grosze. A nawet z tamtą pracą ledwie wyciągam dwa tysiące - odparłam.

Wracając z pracy, zrobiłam zakupy. Jak to dobrze, że sklepy są czynne do dziewiątej. Kupiłam twarożek, szczypiorek, korniszony i trochę wędlin. To będzie na śniadanie.

*

Dostałam e-maila od Grażyny, w którym zawiadomiła mnie, że Iza, jej córka, urodziła szczęśliwie tydzień temu dziewczynkę ważącą trzy kilogramy.

Cóż. Gratulacje. Jesteś babcią - pomyślałam.

Dalsza część poświęcona była sprawie najważniejszej, czyli samej Grażynie. Jest potwornie zapracowana, w weekendy jeździ na sympozja. Jej związek z Robertem się wali, a ona nie wie dlaczego. Podejrzewa, że jest poważnie chory i nie chce jej martwić. Nie widziała się z nim od września i dosłownie wychodzi z siebie. To tyle.

Nie mogę jej nic poradzić. Zresztą, czy ona tego oczekuje ode mnie, czy chce tylko się wyzalić?

Przypomniałam sobie słowa Asi, że Robert prowadzi nieczyste interesy. Więc może nie choroba, ale odpowiednie służby?

*

Jurek przyjechał zaraz po pracy, koło siódmej. Znowu przyniósł różę, tym razem herbacianą. I od razu pobiegł do kuchni. Słyszałam, jak przegląda garnki.

- Nic nie ugotowałaś?

- Dopiero wróciłam z pracy. Nie miałam czasu. Zamówimy pizzę - powiedziałam surowo.

- Nawet zupki? - marudził.

Zrobiło mi się go żal. Mogłam chociaż ugotować żurek. Przygotowanie nie trwa długo.

Biedni ci mężczyźni, nie radzą sobie w kuchni i są zdani na naszą łaskę. Jedzenie barowe ich wykańcza. Ostatnio na jednym z telewizyjnych kanałów naukowych powiedziano, że chromosom Y jest coraz słabszy i powoli zanika. Czy więc mężczyźni znikną ze świata przyrody? Poglaskałam go po głowie.

- Obiecuję ci dobry obiad w niedzielę.

Czemu to powiedziałam? Oszalałam chyba.

Jurek był niepokieszony. Wzięłam telefon i zamówiłam pizzę.

- Jaką chcesz?

- Wszystko jedno.

- Jedną dużą, hawajską i skrzydełka, dwie porcje.

Zrobiłam herbatę i przyniosłam talerz z przekąskami - ruloniki z szynki z chrzanem, jajka faszerowane i koreczki z sera z oliwkami.

- Jednak coś zrobiłaś. - Ucieszył się jak dziecko.

- O Boże, co ja mam z tobą! - Wzniosłam oczy ku niebu.

Złapał mnie w pasie i posadził na kolanach. Zaczęliśmy się całować, a jego dłonie błądziły po moim ciele. Chciałam się do niego tak zwyczajnie przytulić, ale coś mnie powstrzymywało. Przecież to tylko układ, seks bez zobowiązań.

Przyjazd pizzy przerwał nasze migdalenie. Z barku wyjęłam resztkę czerwonego wina. Okazało się, że Jurek przyniósł kasetę z filmem rysunkowym o pingwinach. Spędziliśmy miły wieczór, film był zabawny, piliśmy wino i jedliśmy pizzę.

No a noc...

Po śniadaniu pojechaliśmy do przychodni, razem. Wiem, że plotkują. A niech tam! Wisi mi to. Ale to, że się do niego przywiązuję, już mi nie wisi.

*

Sobota. Biegam po sklepach jak oszalała. Nigdzie nic nie ma. Ledwo po Wszystkich Świętych, a już choinki, świecidełka. To naprawdę przesada. Ale są też suknie na sylwestra - ładne i drogie. Przecież nie kupię na imieniny takiej sukienki, a na sylwestra pewnie nie pójde.

Przyznaję, chciałabym kupić coś takiego, żeby naprawdę dobrze wyglądać. I prowokująco! Ale bez przesady! Chyba się ostatnio zmieniłam.

Siedzę w kafeterii zupełnie zniechęcona. Piję soczek i nagle wpadam na pomysł. Wyciągam komórkę i dzwonię do Aliny.

- Ratuj! Muszę kupić coś na imieniny i nie mogę wybrać. Pomocy! Przyjedziesz?

Alina obiecuje być w ciągu kwadransa. Jest.

- Nie chcę ci wypominać, ale rok temu przyjmowałaś gości w džinsach i T-shircie.

Oblewam się rumieńcem, Alina oczywiście zauważa.

- Co ty? Dzieje się coś, o czym nie wiem?

Schylam się, podnoszę z podłogi coś nieistniejącego. Co powiedzieć? Decyduję się.

- Tak. Jurek, to jest ten nowy lekarz. Razem byliśmy na roku. Trochę się spotykaliśmy ostatnio i w końcu... - Zawiesiłam na chwilę głos. - Wiesz, chyba mam romans.

- Ty, kochająca święty spokój? I taka, hm, niedostępna? Niemożliwe!

- A jednak możliwe.

- Zakochałaś się! - Do Aliny wreszcie dotarło.

- To nie tak. To związek bez zobowiązań, bez przyszłości. - Zrobiło mi się smutno.

- Dlaczego zatem?

- Chciałam coś jeszcze przeżyć. Nie wiedziałam, że seks może być tak ekscytujący.

- Seks? - Skrzywiła się Alina. - Zawsze był dla mnie złem koniecznym.

Czułam, że czerwień oblewa mi twarz i szyję. Żebym ja, stara baba, rozmawiała o tak intymnych sprawach? Przecież może ktoś podsłuchać! Jakiś pacjent na przykład. Rozejrzałam się ostrożnie.

Alina uśmiechnęła się szeroko.

- Podoba ci się seks. Może uchyliś rąbka tajemnicy. Co takiego robicie? Jakieś kajdanki, Kamasutra, bita śmietana? - zażartowała.

Dostosowałam się.

- Ciepło, ciepło... A skąd ty taka zorientowana? Oglądasz filmy dla dorosłych? Alina zmieszała się.

- Nigdy o tym nie rozmawiałam, ale kiedy ty... No wiesz, mój mąż był moim

pierwszym. Nie rozmawialiśmy na takie tematy - to było tabu. Nie układało nam się. Któregoś dnia chciał porozmawiać, wspomniał też o seksuologu. Wściekłam się. Zwymyślałam go od zbrojeńców. Odsunął się ode mnie. Wyjeżdżał. Prawie wcale nie... - zawahała się - teraz mi już nie zależy na nim. Wiem, że ma różne panie, pewnie korzysta też z agencji. Ja popełniłam błąd, ale on też, bo nie umiał tego rozegrać, a w końcu był sporo starszy ode mnie.

- Moja rodzina też była pruderyjna. Miałam jedenaście lat, gdy przeczytałam „Żywoty cesarów”. Przy tej lekturze wszystko inne może się schować.

Chwilę milczałyśmy.

- Chodźmy, bo nam sklepy zamkną.

- Tu niedaleko, w bocznej uliczce, jest mój ulubiony sklep - powiedziała Alina.

- Chcę go kupić - powiedziałam stanowczo, kiedy na wystawie zobaczyłam gorset.

To nie był taki prawdziwy gorset, raczej bluzka. Miała króciutkie rękawki, ale też głęboki dekolt i sznurówkę. Były w różnych kolorach - złote, srebrne, wiśniowe. Wzięłam wszystkie do mierzenia. Alina siedziała w fotelu i oceniała:

- Złoty wygląda jakoś tandetnie, a wiśniowy nie pasuje. Zostaje srebrny.

- Ale srebrny to zimny kolor. Nie lubię zimnych kolorów! - protestowałam.

- Nie masz racji. Dobrze wyglądasz. Podnosi ci biust do góry i wyszczupla w pasie.

Musisz mieć tylko odpowiedni makijaż.

Sprzedawczyni w milczeniu obserwowała nasze poczynania.

- Dobrze, niech będzie srebrny - ustąpiłam.

- Sto osiemdziesiąt złotych - powiedziała sprzedawczyni.

Jęknęłam, nie zamierzałam tyle wydać.

*

Ciągle nie mam menu na przyjęcie imieninowe. Bożena obiecała pożyczyć duży garnek, w którym ugotuję... No właśnie - żebym to ja wiedziała co.

Dziś mam po niego jechać. Było już zupełnie ciemno, kiedy zajechałam do Bożeny. Drzwi otworzyła mi nieznajoma młoda dziewczyna.

- Przepraszam, chyba pomyliłam domy - odezwałam się niepewnie.

- Nie, nie pomyliłaś, ciociu. - Oślupiałam. - Mama zaraz zejdzie - powiedziała dziewczyna głosem Leny.

Niebotycznie zdumiona, patrzyłam na Lenę w dzinsach i adidasach. Pakowała jakieś rzeczy do torby. Włosy miała związane w koński ogon.

Gdzie podziała się czarno ubrana i umalowana przedstawicielka młodzieżowej

subkultury?

Bożena schodziła po schodach. Spojrzałam na nią. Położyła palec na ustach. Lena wyszła.

- Jak to wyjaśnisz? Ktoś ją zaczarował?

- Ciepło, ciepło. Nie uwierzysz. - Bożena roześmiała się. - Kilka tygodni temu Irek zabrał ją na festiwal filmów górskich do Łądku. Nie chciała jechać, ale obiecał jej, że będzie mogła poprowadzić samochód. I poznała tam chłopaka, początkującego taternika, zobaczyła inne środowisko - ludzi z pasją. Wyobraź sobie: wróciła odmieniona, już zapisała się do klubu wysokogórskiego. Na razie trenuje na ściankach, właśnie poszła, ale ma już w planie wyprawę do Jury, do Podlesie. Irek jest zachwycony.

- A ten chłopak? Poznaliście go?

- Jeszcze nie. Na razie telefonują, e-mailują. Coś wspominała o sylwestrze. Poczekamy, zobaczymy...

- Nie boisz się? To niebezpieczny sport.

- Wszystko jest niebezpieczne. Życie też. Możesz iść ulicą i dachówka spadnie na...

- Dobrze, dobrze. Daj ten garnek i lecę.

Jadę autobusem i myślę o tym nieszczęsnym żarciu. Nigdy się tak nie przejmowałam, ale podświadomie chcę się popisać przed Jurkiem i innymi. Chcę, żeby pomyślał, że lepiej gotuję niż Marzena, żeby pozazdrościł. Zwariowałam!!!

No to tak - układam w myślach menu. Zrobię pasztet z oliwkami, schab w galarecie, sałatki, wędliny, sery, może jeszcze ruloniki z łososia z cytryną, no i koniecznie sos tatarski. Na ciepło - bogracz. Tort już zamówiłam. Alkohol - poproszę Jurka, żeby kupił co należy.

Matko Święta, wydaj majątek! Oszalałam!!!

Wieczorem znowu mierzę gorsecik. Wygląda świetnie, zwłaszcza z czarnymi spodniami z jedwabnej żorżety dopasowanymi u góry i z szerokimi dołem. Fryzjer też już umówiony.

Jurek wściekał się, bo zabroniłam mu przychodzić od środy.

- Zwariowałaś, chcesz przyjmować królową angielską?

- A co, moi goście są gorsi od królowej? A ty nie narzekaj, też często jesteś zajęty, a ja nic nie mówię - obruszyłam się.

- Przecież wiesz, że szukam pracy. Prowadzę już negocjacje w szpitalu i przychodni.

- W Belsku?

- Nie, tu nie ma miejsca.

- Nawet na kardiologii inwazyjnej? Sądziłam, że wszyscy są już w Irlandii.

Nawet nie zauważył mojego ironicznego tonu. Cóż, najbliższy szpital kardiologiczny jest kilkadziesiąt kilometrów stąd. Jeśli go przyjmą, to co będzie z nami?

*

Dzisiaj to cholerne przyjęcie. Goście mają przyjść na dziewiętnastą. Od czwartku pucowałam, prałam, gotowałam. Wszystko już gotowe, a ja wykończona.

Wczoraj Jurek przywiózł alkohol, żeby się zdążył schłodzić. Chciał zostać na noc, ale się nie zgodziłam.

Stół nakryty. Kieliszki aż się świecą, serwetki, kwiaty - wszystko gotowe. Tylko plecy mnie bolą i głowa tak, że żyć się nie chce.

Mam trochę czasu na relaks. Napuszczam wody do wanny, wsypuję soli leczniczej. Leżę i odpoczywam.

Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z letargu. Przecież jeszcze za wcześnie. Spojrzałam na zegarek. Szósta. Otworzyłam drzwi ubrana jedynie w szlafrok. To Jurek!

- Przyszedłem wcześniej, bo...

- Później się będziesz tłumaczył - przerwałam mu. - Usiądź w pokoju i weź sobie coś do picia.

Szybko włożyłam bieliznę. Ojej, ciuchy są w pokoju. Narzuciłam szlafrok. Nie będę paradować przed nim w samej bieliźnie. W sypialni włożyłam spodnie i pantofle pożyczone w ostatniej chwili od sąsiadki. Mordowałam się z gorsetem. Jurek stał w drzwiach, przyglądał się.

- Pomogę ci - powiedział.

Ścisnął mnie sznurówką mocno, aż zaboląło.

- Boli. Co robisz? - Złościłam się.

- Powinno boleć - odparł.

Co jest, do cholery! Mógłby być uprzejmiejszy. Przecież to moje imieniny. Odbija mi? Spojrzałam na niego spod oka. Wyglądał zwyczajnie.

Upudrowałam dekolt, umalowałam twarz i założyłam swoje perły. Obejrzałam się w lustrze z góry na dół. Wyglądałam naprawdę dobrze. Coś się we mnie zmieniło, nabrałam pewności siebie i to było widoczne.

Jurek siedział na kanapie i sącył drinka.

- No, pokaż się. Proszę, proszę, naprawdę świetnie wyglądasz... Przyjechałem wcześniej, bo chciałem ci dać prezent bez świadków.

Chciałam powiedzieć coś ostrego, bo oczywiście pomyślałam...

Tymczasem on podał mi pudełeczko od jubilera (czy ja zawsze będę mieć kosmate

myśli?). W środku leżała srebrna bransoletka w stylu art deco z przezroczystymi kamykami - pewnie cyrkonie.

- Dziękuję, bardzo ładna. - Pocałowałam go w policzek.

- To białe złoto.

- Wow. Nie powiesz, że te kamienie to brylanty?

- Nie, kamienie to cyrkonie. Aż taki bogaty nie jestem - roześmiał się.

- Ja chyba nie mogę tego przyjąć. - Oddałam pudełeczko.

- Nie mów głupstw. - Wyjął bransoletkę i założył mi na rękę. Mam nadzieję, że to nie jest zapłata.

- I powiem ci, że naprawdę ślicznie wyglądasz. Nie do wiary, że jesteś tyle lat sama. - Objął mnie i pocałował w szyję.

Schodzili się goście. Przyszła Basia z Januszem. Basia uśmiechała się radośnie. Boże, jaka metamorfoza! - popatrzyłam zdziwiona.

- Miałaś świetny pomysł. W ostatni weekend byliśmy w tej willi. Rzeczywiście blisko. Basen, masaże relaksujące, maseczki, spacer, jedzonko pod nos... Bajka. Wróciliśmy jak nowo narodzeni.

- No, to rozumiem. Odnawialiście się biologicznie.

Janusz - widzę go po raz pierwszy (poprzednio nie raczył się pokazać) - przeciętny facet w średnim wieku, podał mi wiązankę róż. Dostałam od nich moje ulubione perfumy.

Życzenia. Goście patrzą znacząco w stronę Jurka, on wytrzymuje ten wzrok i dzięki Bogu, gdyby się odwrócił, zapadłabym się pod ziemię ze wstydu.

Usiedli na kanapie. Janusz obejmował Basię ramieniem. Sprawiali wrażenie zakochanych. Pewnie robią razem zakupy - pomyślałam z zazdrością.

Podaliśmy im drinki.

- Co u dziewcząt? - zapytałam.

- Ola twierdzi, że wszystko w porządku. Na razie pracuje. Jakoś sobie radzą - westchnęła.

- Przyjedzie na święta?

- Nie - zmarkotniała.

- Ależ kochanie - wtrącił Janusz. - To może lepiej. Jest w ciąży, a zima nie jest najlepszym czasem na podróż. Łatwo się przeziębć.

- Niby masz rację. Ale to będą pierwsze święta bez Oli - powiedziała smutno Basia.

Dzwonek do drzwi. Przyjechała Bożena z Irkiem i przywieźli Alinę, oczywiście bez męża.

- To Janusz, przyjaciel Basi - przedstawiłam.

- My się znamy - powiedziała Bożena.

Na twarzy Janusza pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie - powiedział niepewnie.

- Owszem, jakieś sześć lat temu. Chciałam wynająć... Zresztą nieważne - przerwała rozmowę Bożena, ale widziałam, że jest spięta.

Ojej, robi się niesympatycznie. Ale oni zwrócili się już do mnie.

- Wszystkiego najlepszego, zdrowia, pieniędzy i wiesz jeszcze czego... - Bożena szepnęła mi do ucha, podając prezent: elegancką skórzaną torebkę.

Dałaby spokój. To mnie krępuje. Jurek patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Pewnie myśli, że opowiadam niestworzone historie o wspólnej przyszłości.

Od Aliny dostałam bardzo ekskluzywny i bardzo niepraktyczny komplet do herbaty na cztery osoby. Wyszepiała dokładnie te same życzenia, co Bożena.

Czy zawsze to musi być taki standard?

- Skoro są już wszyscy - odezwał się Jurek - to otwieram szampana.

Strzelił korek. Jurek nalewał szampana do kieliszków. Tradycyjnie trochę się wylało.

- Twoje zdrowie!

- Pięknie dziękuję wszystkim.

Staliśmy z kieliszkami w rękach i wtedy to zauważyłam: Basia miała na sobie prostą sukienkę z czarnej koronki z obniżonym stanem, taką w stylu lat trzydziestych. Bożena była w czarnym kostiumie ze srebrną nitką, a Alina w czarnej obcisłej sukience z dzianiny, w której jej zgrabna figura wyglądała doskonale. Popatrzyłyśmy na siebie i ryknęłyśmy śmiechem.

- Czy na świecie jest tylko jeden kolor - czarny? - zaśmiewała się Basia. - Gdzie czerwienie, brązy, błękity?

- Nic nie mów, pojechałam do Wrocławia w błękitnej sukience i musiałam pożyczyć ciuchy, bo wyglądałam śmiesznie.

- Czarny jest uniwersalny, a mała czarna nieśmiertelna. Zdrowie Chanel! - Alina podniosła kieliszek szampana do góry.

Wypiliśmy.

- Tak, czarny tuszuje niedoskonałości i podkreśla zalety. Zawsze dobrze wygląda - podsumowała Bożena.

- Dostyc na dziś o kolorach. Teraz zapraszam. Tym razem bufet, będzie swobodniej. Zbieram zamówienia: kto kawę, kto herbatę? - Koniecznie chciałam być doskonałą

gospodynią.

Przygotowywałam napoje, kiedy w drzwiach kuchni pojawił się Irek.

- Pięknie wyglądasz, jakby ci lat ubyło. Dawno cię takiej nie widziałem.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Ale co ty robisz w kuchni? Zmykaj!

- Agato, a o czym rozmawiają lekarze na imprezach? O medycynie, o pracy. Właśnie!

A co ja mam robić? - poskarżył się.

- Fakt. Jesteś trochę biedny.

Z pokoju dobiegał gwar i śmiech. Głos Janusza się wybijał.

- Pacjentka na fotelu do zabiegu. Widać, że jest skrępowana jak diabli, są asystenci, pielęgniarki. I naraz oczom wszystkich ukazuje się tatuaż na wzniesieniu łonowym „tylko dla męża”. Nawet nie zdążyliśmy odetchnąć, a już ordynator spojrzał na nas morderczym wzrokiem. Nikt nie odważył się nawet chrząknąć... - dobiegły mnie słowa, a potem radosny rechot.

- Uważaj na siebie. - Irek ścisnął mnie za ramię i wyszedł.

Ustawiłam na tacy: dwie cappuccino, trzy kawy parzone, jedną rozpuszczalną i dwie herbaty.

No tak, on też myśli, że mi odbiło. Cóż, nie każdy ma szczęście takie jak Bożena. Przecież to jedyny mąż, o którym nigdy nic złego nie słyszałam.

- Pyszny ten pasztet. Sama robiłaś? - zapytała Bożena.

- Tak. Zawsze wszystko robię sama - odparłam, spoglądając na Jurka.

Ale on tego nie usłyszał, zajęty rozmową z Januszem i Basią o Danii.

- Może ci w czymś pomóc? - ofiarowała się Alina.

- Nie trzeba. Panuję nad sytuacją. Może pogadaj z Irkiem. Jest trochę osamotniony - poprosiłam.

Zawahała się.

- No, rusz się. - Włożyłam jej w rękę szklankę soku pomarańczowego z wódką i lekko ją popchnęłam. - Pogadaj z nim... na przykład o Krecie.

Bożena stała koło odtwarzacza i przeglądała kompakty.

- Co wam puścić?

- Cokolwiek, byle było łatwe, lekkie i przyjemne. Nie jesteśmy koneserami - powiedziała Basia.

Podaliśmy dziewczynom drinki. Jurek zajął się męską częścią gości, preferujących czystą.

Przykręciłam światło, zapaliłam świece, muzyka cicho grała. Zrobiło się przytulnie.

Rozmowa kręciła się nadal wokół spraw zawodowych.

- Wiesz, gdybym miała dziesięć lat mniej, wyjechałabym. Nie zastanawiałabym się ani chwili - rzekła Basia.

- Moja droga, decydują się nawet starsi od nas. Ten anestezjolog z OIOM-u, który wyjechał miesiąc temu, miał po pięćdziesiątce - odrzekł Janusz.

- Bo są specjalności i specjalności. Anestezjolodzy i radiolodzy mają wzięcie. Z innymi bywa różnie - stwierdziła Bożena.

- Może zmienimy temat na zabawniejszy. Czy słyszeliście dowcip o?

I poszło...

Stare, odgrzewane dowcipy o babie, co przychodzi do lekarza, i nowsze o drobiu wszelkiego gatunku i niebezpiecznych zarazach - nawet filipińskich.

Jurek dolewał wódki, ja robiłam drinki. Przyjęcie się rozkręcało.

Przyszedł czas na ploty o ciuchach, romansach i dzieciach. Panowie zajęli się swoją ulubioną dziedziną - motoryzacją.

Co chwilę ktoś podjadał coś z bufetu. Patrząc na to, rosłam w pychę. Jedzenie się udało.

Napracowałam się, ale warto było.

- Nie nadymaj się tak, bo pękiesz - szepnął Jurek, przechodząc koło mnie z kawą dla Aliny.

Chciałam odpowiedzieć coś ostro i zarazem dowcipnie, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Zmiataj - syknęłam.

Oj, chyba nie o to chodziło.

Bożena zaciągnęła mnie do sypialni.

- Wiesz co? Ten Janusz Baški ma kamienicę. To cholerny kamienicznik! Nawet mnie nie pamięta. Kiedyś chciałam wynająć u niego lokal na gabinet, ale zaśpiewał taką cenę... - mówiła Bożena.

- Kamienica na własność? Żartujesz? Nigdy nie znałam kogoś takiego. To po cholere on pracuje? Nie da się z tego wyżyć?

- Da i to jeszcze jak. To jest ta kamienica koło liceum na rogu.

- Ta, w której jest szkółka angielskiego, notariusz?

- Tak, ta.

- Zazdroszczę. We Wrocławiu nie było kamienic na własność.

- Czyś ty głupia? Może kiedyś nie było, teraz na pewno są - stwierdziła autorytatywnie

Bożena.

- Bredzę, oczywiście. Jeśli można mieć na własność taką Galerię, to co dopiero małą kamienicę.

Milczałyśmy.

- No to Basia ma fart. Jeśli on się z nią ożeni, to nie będzie musiała tak harować - powiedziałam.

- Jeśli! On ma byłą żonę i syna. I wiesz, co ten syn zrobił? Rzucił szkołę przed maturą i poszedł na budowę do pracy. Podobno stwierdził, że chce być bliżej ludzi, zacząć od podstaw. Odbiło mu!

Zachichotałam.

- Trochę za późno się urodził. Teraz króluje mieszczańska stabilizacja. Podejrzewam, że młodym marzą się fundusze powiernicze.

- Jaka stabilizacja? - obruszyła się Bożena. - Wyścig szczurów...

- Racja. Ale ten syn może robić, co mu przyjdzie do głowy, bo w końcu i tak odziedziczy kamienicę.

Do sypialni zajrzały Basia i Alina.

- Co wy tu robicie? Gospodyni się zmyła. Pięknie! - dowcipkowała Basia.

- Wracam, wracam. Czas podgrzać bogracz.

Poszłam do kuchni. Postawiłam garnek na gazie. Pozbierałam brudne naczynia. Zaczęłam zmywać. Weszła Alina.

- Pomogę - zaoferowała.

- Wycieraj. - Rzuciłam jej ścierkę.

- Mój mąż chce, żebym wzięła cały etat. Rzeczywiście stracił pieniądze. Wygląda na to, że grał na giełdzie i stracił. Nie miałam pojęcia, że to robił. Już sprzedał auto i kupił starego opla - westchnęła.

- I co ty na to?

- Nie lubię swojej pracy. W ogóle nie lubię tu niczego. Małżeństwo właściwie nie istnieje. Nie kocham go...

- Ale tkwisz przy nim.

- Tkwię, bo nie potrafię inaczej. Zawsze byłam bierna. Robiłam, co mi kazano. Agata, ja po prostu taka jestem. Ale wiesz co... - Jej głos stwardniał. - Poważnie zastanawiam się, czy nie wrócić do Kielc. Tam poszukać jakiejś pracy. W końcu tam jest moja rodzina.

- A co z mężem? Pamiętasz? „Na dobre i złe”.

- Nie podpuszczaj mnie. Ja mu nie kazałam spekulować. Dla mnie mężczyzna bez

pieniędzy... - Wzruszyła ramionami. - Pieniądze są ważne. Już twoja ukochana Scarlett o tym wiedziała - dokończyła.

- I trochę się na tym przejechała - mruknęłam. - Nie uważasz, że jesteś cyniczna?

- Może trochę. Ale każde małżeństwo to handel wymienny: coś za coś...

- To brzmi jak... prostytutka.

- Nie przesadzaj! Jest tyle rozwodów. To mówi samo za siebie. A młode babki wcale nie chcą się wiązać. Wiedzą, że to same obowiązki. Ja już nie chcę obsługiwać żadnego faceta, nie chcę mieć dziecka.

- Przecież chciałaś.

- Tak, ale mam już czterdziestkę i jest za późno. Jestem przeciwna późnemu macierzyństwu. A poza tym na horyzoncie nie widać chętnego tatusia - kontynuowała.

Patrzyłam na nią. Nie wyglądała na czterdzieści lat. Szczupła, świetnie zbudowana blondyneczka o świeżej cerze. Włosy upięte w luźny kok, czarna obcisła sukienka. Dałabym jej najwyżej trzydziestkę. Ale naturę miała, hm...

Ciekawe, czy wyszłaby za starego faceta, byle miał pieniądze? - zastanawiałam się.

Mieszałam bogrącz, żeby się nie przypalił.

- Czy podjęłaś już jakieś kroki?

- Nie, jeszcze nie.

No to pewno na święty nigdy - jak zwykle.

- Podaj mi te miseczki. - Pokazałam stary komplet z Włocławka.

- O, fajnie, zjem coś na ciepło.

Postawiłam tacę na stole. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Goście siedzieli gdzie bądź i wtedy pomyślałam, że jeden stół byłby lepszy. Sprzyjałby wspólnej rozmowie.

- Pyszny - powiedziała Bożena. - Zawsze ci się udaje, wszystkiego w sam raz.

Uśmiechałam się promiennie.

- Dzięki, dzięki. - Zrobiłam głęboki ukłon.

- No to po wódeczce. - Jurek napełniał kieliszki.

- Słyszeliście, że od Nowego Roku wchodzi przepis o ograniczeniu godzin pracy lekarzy? - zaczął Janusz.

- Właśnie... - chciała coś powiedzieć Basia.

- O nie, tylko nie to. Błagam. Nie chcę słyszeć o strajkach, płacach, funduszu, bo mi się nóż w kieszeni otwiera - poprosiłam.

Irek z Bożeną stali koło akwarium i szeptali coś do siebie.

- Oj, nieładnie, też chcemy posłuchać!

- To nic ważnego. Nie zakładamy akwarium. Chcemy kupić psa - roześmieli się.

- Ojej! - ucieszyła się Basia. - Jakiego?

- Golden retrievera. Mamy znajomego hodowcę.

- Są takie słodkie - powiedziałam.

Kilka kolejek później.

Siedzieliśmy na kanapie i fotelach. Ach, te lekarskie przyjęcia. Wszyscy są zmęczeni, niewyspani. Rzadko dociągamy do północy. Basia bez skrepowania oparła się o Janusza, przymknęła oczy. Pewnie drzemała. Januszowi też zamykały się powieki. Cóż, lekarze ze szpitala. Reszta była w lepszym stanie.

Podaliśmy tort. Ale nikt nie myślał już o jedzeniu. Irek z Bożeną też wyraźnie przysypiali. Jurek stał oparty o framugę drzwi i lekko się uśmiechał.

- Oni właściwie śpią... Powinni iść do domu.

- Przecież ich nie wyrzucę - szepnęłam. - To tylko dowód na to, że praca wysysa z nas wszystkie siły.

- O, przepraszam, my z Aliną jesteśmy zwarci i gotowi - zażartował.

- My nie dyżurujemy.

Alina podeszła do śpiących i delikatnie zaczęła budzić.

- Jest późno, jedźmy do domu. Przecież wy śpicie.

Basia skoczyła na równe nogi.

- O Boże, Agata, przepraszam, jestem po dyżurze.

- Daj spokój, rozumiem. Jest po północy.

Pojechali.

- Posprzątam jutro, tylko włożę jedzenie do lodówki i pozbię naczynia. Idź do łazienki - powiedziałam.

Jurek położył się.

- Tylko się pośpiesz, czekam...

Jestem padnięta. Nie mam ochoty na miłość. Nalałam gorącej wody do wanny. Położyłam się. Było mi zimno, mokro, ktoś szarpał mnie za ramię.

- Agata, obudź się. Co ty tu robisz?

Głupie pytanie. Przecież leżę w wannie. Tylko czemu jest mi tak zimno?

Ocknęłam się. Woda lodowata. Trzęsłam się.

- Zasnąłaś. - Jurek patrzył zaniepokojony.

- Która godzina?

- Czwarta.

- To ja tu spałam co najmniej dwie godziny, a ty nie reagujesz? Mogłam się utopić.

- Zasnąłem, nie zauważyłem. Przepraszam.

Cała się trzęsłam. Otulił mnie szlafrokiem i zaniósł do łóżka. Przywarł do mnie całym ciałem.

- To najlepszy sposób, aby się zagrzać - powiedział.

Leżeliśmy tak, aż powolutku, powolutku poczułam, jak ciepło wlewa się w moje ciało, po czym zasnąłam.

*

Nazajutrz obudził mnie zapach kawy. Zwlokłam się apatycznie z łóżka. Jurek już urzędował w kuchni. Siedział przy stole i zajadał się pozostałościami z przyjęcia: pasztetem i rulonikami z łososia. Usiadłam na krześle. Przysunął mi kubek gorącej kawy.

- Tort prawie nieruszony. Tyle jedzenia zostało - westchnęłam. - Dać ci kawałek?

- Dawaj. I nie martw się. Zje się wszystko. Może coś zamroziysz?

- Coś ty? Sałatki? Schab w galarecie? - odpowiedziałam pytaniem. - Nie znasz się.

Poskubałam łososia. Potem wzięłam wielki kawałek tortu.

- Słodczyce mają na mnie korzystny wpływ. Polewa jest z czekolady. Serotonina, rozumiesz - tłumaczyłam, bo patrzył na mnie krytycznie.

Czułam się nieszczególnie. Czy to kac, czy raczej przeziębienie? Potężne kichnięcie można było odebrać jako odpowiedź.

- Lepiej się połóż, ja pozmywam.

- Kochany jesteś. I podaj mi aspirynę - poprosiłam.

Uniosłam powieki, słysząc podniesiony głos Jurka.

- Co to jest?

Trzymał w ręce moje tabletki. Zatkąło mnie.

- A co? Grzebiesz w mojej torebce, jakim prawem? - zaatakowałam.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Przecież wiesz, co to jest. Czasem biorę na sen.

- Akurat. Masz trzy listki. Po co ci tyle?

- Po pierwsze, pogwałciłeś moją prywatność. Może jeszcze przejrzysz komórkę i komputer?! - zapytałam jadowicie.

- Torebka była otwarta, szukałem długopisu. A to nie są żarty. - Pokręcił głową.

- Nawet otwarta torebka nie upoważnia cię do zaglądania do niej. To skandal. Po drugie, to nie są narkotyki, a krzyczysz, jakbym co najmniej była narkomanką. Każdy coś tam bierze od czasu do czasu. Na melisie daleko nie zajedziesz.

- Doskonale wiesz, że jeśli to wyjdzie, możesz mieć problem.

- Wiem. - Rozplakałam się. - Co ty możesz wiedzieć? Czy na studiach pomyślałbyś, że będę rejonowym pediatrą w tym zapowietrzonym mieście? Nienawidzę go, nienawidzę pracy. Ludzie tu są obłudni, wścibscy, skąpi. Ja nie chciałam tu być, a nic nie mogłam na to poradzić. - Ryczałam w głos.

Przytulił mnie.

- To opowiedz, co właściwie się stało.

- Po co, przecież wcale nie chcesz wiedzieć. A ja nie chcę o tym mówić.

Powiało chłodem.

Poczułam się głupio. Nie chciałam awantury. Na razie jest miło i niech tak zostanie.

- Przepraszam, ale to bolesne sprawy i nic już się nie zmieni. A tych tabletek naprawdę staram się nie używać - kłamałam w żywe oczy.

Na obiad zjedliśmy resztę bograczu i Jurek pojechał do domu. O tabletkach nie było już mowy.

Katar męczył mnie coraz bardziej. Przeleżałam w łóżku do wieczora, co chwilę coś podjadając. Kurowałam się miodem, rutinoscorbinem i cudownym lekiem na katar, który dostałam od repa - katar miał przejść po jednej tabletkce. Nie przeszedł.

*

Połowa listopada. Szaro, buro, wilgotno. Liście z drzew opadły całkowicie. Dopadła mnie jesienna chandra, tym bardziej że poprzedni tydzień miałam kiepski, męczyło mnie przeziębienie, a nie mogłam pozwolić sobie na zwolnienie.

Nic mi się nie chce. Wzrosło zużycie tabletek i alkoholu. Ale nic mi nie pomaga, nawet gorące noce z Jurkiem. Jestem nienormalna.

Wydaje mi się, że w mojej świadomości głęboko tkwi poczucie tymczasowości tego związku. Nie chcę się do tego przyznać, ale wiem, że to nie potrwa, że on nic do mnie nie czuje, że jestem tylko odskocznią od codzienności, spełnieniem jego potrzeb biologicznych. To nie są krzepiące myśli.

*

Jadę do pracy moim ulubionym autobusikiem. Jest malutki. Zabiera tylko kilkanaście osób. Codziennie spotykam tych samych ludzi. Mówimy sobie „dzień dobry”, jak w windzie.

W przychodni nastroje coraz gorsze. Koniec roku blisko, nasilają się plotki o likwidacji placówki.

Wczoraj rozmawiałam z szefową w mojej drugiej pracy, czy możliwe byłoby zwiększenie ilości godzin albo wręcz zatrudnienie choćby na pół etatu. To nie była przyjemna

rozmowa. A efekt? Żaden.

„Pani rozumie, koleżanko... Mamy mało dzieci... Musimy kierować się względami ekonomicznymi... Inni koledzy nie byłiby zadowoleni... Mogłoby to obniżyć ich płace...”.

Słowem: spławiła mnie.

Nerwowość udziela się wszystkim. Pacjenci też nabzdyczeni, niegrzeczni - bo komputer za wolno chodzi, bo lekarz na zwolnieniu, bo wyniki nie doszły... Samo życie.

Ja chcę na emeryturę!

Okolo jedenastej przychodzi tatuś z dzieckiem do szczepienia. Nawet nie mówi „dzień dobry”.

- To czwarte szczepienie, prawda? - zagajam.

- To chyba pani powinna wiedzieć, nie ja? - ostro reaguje tatuś. Aż mnie zatkało.

- Ja doskonale wiem, jakie to szczepienie - mówię powoli i wyraźnie. - Spytałam tylko po to, aby się odezwać. Ale nie muszę nic mówić. Chciałam być uprzejma, po prostu.

W milczeniu badam dziecko i bez słowa przekazuję pielęgniarce. Tatuś w ogóle nie zareagował na moją przemowę. Chyba mu to wisiało. Ale ja już byłam wściekła i wszystko skupiło się na następnym pacjencie, matce, która nie zgłosiła się w terminie. Usłyszała parę słów o odpowiedzialnym macierzyństwie, o zagrożeniu zdrowia dziecka, karach sanepidowskich itp. Prawie się popłakała. I wtedy zrobiło mi się głupio. Taki popaprany dzień. A wszystko przez jednego chamskiego faceta!

Za to w drugiej pracy same przyjemności. Dostałam tort (może mnie CBA zamknąć) - pyszny. Z bitą śmietaną i czekoladą. To podziękowanie za leczenie zapalenia płuc u niemowlaka. Powinnam była skierować dziecko do szpitala, ale matka tak płakała, że zmiękłam i zgodziłam się leczyć w domu. Trwało to ponad dwa tygodnie. Chodziłam do niego codziennie przez pierwsze dni, potem rzadziej. Ale i tak było to duże obciążenie psychiczne. I odpowiedzialność.

Jestem za miękka. Kiedyś narobię sobie kłopotów.

Siedziałam w pokoju socjalnym z resztą personelu, delektując się tortem, kiedy zadzwonił telefon. To Alina.

- Czy już słyszałaś? - Była zapłakana.

- Co się stało?

- Nasza koleżanka, Lidka, została napadnięta podczas wizyty domowej, pobita, obrabowana. Leży w szpitalu, ma wstrząs mózgu i jest potłuczona. - Alinie łamał się głos.

- O Boże, jak to się stało? Kto to zrobił? Zamówili wizytę i pobili ją? - Nie mogłam zrozumieć.

- To się stało na klatce schodowej, szukała mieszkania. Pewnie jakieś bandziory. Wiesz, kto tam mieszka.

Lidka pracowała w tak zwanym trójkącie bermudzkim: meliny, narkomani - po prostu slumsy.

- Kiedy to się stało?

- Dzisiaj, po południu. Podobno była w ciąży - płakała Alina.

Tak, chodzimy po blokach, kamienicach, błądzimy po starych, brudnych oficynach. Nie chroni nas nikt, nawet prawo, jak policjanta czy urzędnika państwowego. Za te pieniądze lepiej sprzątać...

- Mam dość. - Zatopiona w myślach dopiero po chwili usłyszałam głos Aliny. - Ryzykujemy zdrowie i życie. Mam dość tego zawodu, tej pracy, dość rozdartych bachorów i wrednych rodziców - mówiła dalej. - Muszę coś zrobić.

Akurat. Czekał tatka latka. Żadna z nas nic nie robi. Tak się tylko mówi. Przecież jakiś czas temu też przeżyłam napad w „trójkącie”. Tyle że udało mi się uciec. A jedynym efektem było to, że nigdy już nie zgodziłam się na zastępstwo w tej okolicy.

W domu, wieczorem, siedziałam na fotelu naprzeciwko akwarium, usiłując się odprężyć. Nic z tego. Nie dożyję do wiosny.

*

To nie mogło się zdarzyć. To niemożliwe. Nie mnie.

Kłęczałam nad ubikacją i wymiotowałam. Serce waliło jak oszalałe, mroczki przed oczami, myśli gonily jak zwariowane. Nie rozpoznałam krztuśca. Takie są fakty. Trzymiesięczne niemowlę leży na OIOM-ie. Stan poważny.

Boże, przecież ja nigdy nie widziałam krztuśca! Zresztą nie tylko tej choroby. Na przykład odry. Widziałam ze dwa przypadki na początku kariery. Są szczepienia, więc dzieci nie chorują.

A tego niemowlaka badałam dwa razy, nie gorączkował, uśmiechał się, wyglądał kwitnąco. Matka zgłaszała, że kaszle i nic więcej. Żadnych typowych objawów. Nic! Żeby choć raz dostał napadu przy mnie, może wtedy... Ale co tu gdybać. Stało się i teraz trzeba czekać.

Jurek stara się mnie uspokajać, pocieszać. Przytula, całuje. Ale nie jest w stanie zmienić faktu, że dwa kilometry stąd leży niemowlak podłączony do respiratora, chory na krztusiec, chorobę z przeszłości. Przeze mnie!

*

Czy to jakieś przekleństwo? Czy nikt nie choruje na banalne grypki czy anginy?

Badalam dziś szesnastoletniego chłopca. Bolał go dół brzucha. Musiałam obejrzeć genitalia, co się nie podobało ani jemu, ani matce. Jedno jądro było duże, twarde, nierówne. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent rak! Chłopiec przyznał się, że tak już jest co najmniej dwa miesiące, tylko wstydził się powiedzieć. Dałam skierowanie prosto na oddział onkologiczny. Spanikowana matka pytała, co z nim będzie. Nie wiem, ale nie wyglądało to dobrze.

*

Przyszła nauczycielka ze swoją pięcioletnią córeczką. Trzeba przyznać, że mała często choruje. Pani miała jak zwykle dokładnie napisane, co dziecko robiło, jadło, jaką miało temperaturę, jakie leki dostało przez ostatnie dwa tygodnie. Dowiedziałam się zatem, że trzy dni temu o godzinie siódmej miało 36,9 stopnia, a o siódmej i dziesięć minut miało 36,8. I tak ma opisane całe dni. Pomiary temperatury są niezwykle dokładnie robione w odstępach dziesięciominutowych. Przez te wszystkie lata nie udało mi się jej wytłumaczyć, że to nie ma sensu, że dwa pomiary na dobę wystarczą. Jestem chora, jak przychodzi.

*

Dzwoniłam do szpitala. Stan dziecka się poprawia. Jutro odłączą je od respiratora.

*

Zadzwoiła Alina. Z Lidką już lepiej. Przenieśli ją na patologię ciąży, żeby jeszcze poobserwować. Powiedziała, że do porodu nie wróci do pracy. Mowy nie ma!

*

Małgosia zwierzyła mi się, że dostała propozycję pracy w „normalnej przychodni” znacznie lepiej płatnej. Ciekawe, ile tam zarabiają lekarze? Wolę nie wiedzieć. U nas Małgosia zarabiała niewiele mniej ode mnie. Zdaje się, że personel powoli będzie się wykruszał. Muszę coś zrobić ze sobą! Koniecznie!

*

Wieczorem siedziałam w internecie. Przeglądałam propozycje biur podróży. Wcześniej, w tym roku już są oferty na przyszłe lato - first minute. Poczytałam na forum turystycznym.

Zastanawiałam się nad przyszłymi wakacjami. Mam nadzieję, że Alina zechce pojechać, nawet gdyby wróciła do Kielc. A swoją drogą, nawet nie pomyślałam o wakacjach z Jurkiem. Instynkt?

Zerknęłam na Naszą Klasę. Niestety, żadnych nowych wiadomości.

*

Jurek pojechał do Warszawy na jakieś sympozjum. Ma wrócić w piątek, wieczorem.

W niedzielę ja mam zebranie naukowe w Szczyrku. Obiecał, że mnie zawiezie. W zasadzie nie chodzę na takie zebrania. Ich poziom często pozostawia wiele do życzenia. Ale mam zbierać punkty właśnie na takich zebraniach. Nie wiem po co, ale mam to gdzieś. Nie czytuję żadnych wiadomości medycznych od lat. Ponieważ jestem obrażona na cały świat z medycyną włącznie, regularnie otrzymywaną „Gazetę Lekarską” wyrzucam prosto ze skrzynki pocztowej do śmieci.

Mają być trzy godziny wykładów za trzy punkty. Te punkty wymyślono chyba po to, żeby różni utytułowani mogli sobie dorobić.

*

Jestem wzruszona. Dziś otrzymałam list z redakcji. Informują mnie, że były trzy zgłoszenia, z których jedno spełnia warunki podane przeze mnie. Zgadzą się daty, adresy i inne dane. Przesyłają mi list - kontakt z panią, która jest prawdopodobnie moją krewną. Z drżącym sercem otwieram niedużą kopertę. W pierwszej chwili wypada z niej zdjęcie. Na zdjęciu kobieta około czterdziestki, uśmiechnięta, obejmuje chłopaka - zapewne syna. W tle mnóstwo roślin i staw. Oni stoją na drewnianym mostku w ogrodzie.

I list:

„Szanowna Pani.

Pani Anna Pilska była moją ciotką, rodzoną siostrą mojej matki Barbary. Jesteśmy zatem kuzynkami. Moja matka nie żyje. Przypominam sobie Wasze mieszkanie przy Ogrodowej, ale Pani nie pamiętam, chyba nigdy się nie spotkałyśmy. Niestety, pani matka zerwała wszelkie kontakty z rodziną, nad czym moja matka bardzo bolała. Wiem, że stało się w jej życiu coś bolesnego.

Chętnie nawiążę z Panią kontakt, Ilona”.

I tyle.

A pod spodem: numery telefonów, e-mail.

Odpisuję od razu, korzystając z poczty elektronicznej. Opowiadam historię mego życia, pomijając najboleśniejsze fakty. Dołączam swoje zdjęcie.

Wieczorem otrzymuję e-mail od mojej kuzynki Ilony. I już wiem, że jest księgową, że ma szesnastoletniego syna, że jej mąż pracuje w Anglii jako kierowca autobusu. Ma co prawda wyższe wykształcenie, ale w Polsce pracował w dziadowskiej firmie za dziadowskie pieniądze.

Ona zaprasza mnie do siebie, ja zapraszam ją. Wszystko pięknie się zaczyna.

A może za pięknie? Znowu męczą mnie wątpliwości. Po co jej nowa kuzynka. Na pewno ma znajomych i rodzinę. Psycholog pewnie powiedziałby, że moja niepewność wynika

z braku wiary we własne działania, niskiej samooceny i wielkiej potrzeby akceptacji.

Możliwe.

Postanawiam odrzucić wszelkie dręczące mnie wątpliwości i cieszyć się.

Na razie nikomu o tym nie powiem. Nawet Alinie i Jurkowi.

*

W piątek koło południa dostałam SMS-a od Jurka, że przyjedzie z Warszawy koło dwudziestej, do mnie. A to oznacza, że muszę zrobić porządną kolację. Prawdę mówiąc, nie byłam zachwycona.

Mój Boże, przecież to trochę ponad miesiąc, a mnie się już nudzi??? Z jednej strony to dobrze, bo oznacza, że nie jestem zakochana, ale z drugiej... Nie nadaję się do związków? Tyle lat byłam sama i nie chce mi się regularnie gotować, sprzątać, ładnie wyglądać. Pilnować ciuchów i makijażu.

Dobrze, niech przyjedzie w ten cholerny piątek. W sobotę posiedzimy w domu, a w niedzielę zawiezie mnie na zebranie w Szczyrku.

*

Jurek przyjechał wieczorem.

- Jestem skonany - powiedział i rzucił się na kanapę.

- Idź do łazienki - powiedziałam groźnie. - Weź prysznic albo poleż w wannie.

Przygotuję kolację.

- A co zrobiłaś?

- Pierożki leniwe.

- Świetnie. Dawno nie jadłem - ucieszył się.

Usłyszałam, jak leje wodę do wanny. Postawiłam garnek na kuchence.

Nakryłam do stołu.

Boże, chłop w domu to tyle zachodu.

- Agata, przyjdź umyć mi plecy - zawołał.

- Chyba mówi się „proszę” - odparłam.

- No chodź, chodź, proszę.

Weszłam do łazienki i stanęłam jak wryta. Na obudowie wanny i na półeczkach stały zapalone świece. Pachniało różami. Jurek siedział w wannie pełnej piany, trzymając w ręce kieliszek szampana. Podał mi go. Wzięłam odruchowo. Nie mogłam wykrztusić słowa. Spojrzał i powiedział głębokim, seksownym głosem:

- Zapraszam...

Popatrzyłam na siebie. Ręce uwalane mąką, kuchenny fartuch.

- Muszę się umyć i przebrać - powiedziałam, usiłując rozpaczliwie przypomnieć sobie, jaką mam bieliznę. Na szczęście była w porządku.

- Przecież umyjesz się w wannie. Chodź, bo woda stygnie.

- Oszalałeś.

- Możliwe, a co to szkodzi?

Poczułam podniecenie. Wypiłam szampana jednym haustem, zdjęłam fartuch i sukienkę. Kiedy byłam już tylko w bieliźnie, Jurek wciągnął mnie do wody. Po szampanie kręciło mi się w głowie.

- Jesteś niemożliwy - śmiałam się.

W wannie było ciasno, ale w niczym to nie przeszkodziło.

Później siedzieliśmy przy stole i jedliśmy kolację.

- Został szampan... - Spojrzał pytająco.

- To dawaj. Szampan do leniwych w sam raz. Powiedz, co w Warszawie? Spotkałeś kogoś?

- Właśnie. Kilka osób. Pamiętasz Roberta? Był w twojej grupie. Został neurologiem. Wyobraź sobie, że kilka lat temu rzucił wszystko, kupił ziemię na Pomorzu i hoduje szparagi. Podobno świetnie na tym wychodzi, wszystko eksportuje. Rozmawiałem z jego byłą. Powiedział, że ma dość pracy, ciągłej walki o pieniądze, stosunków w klinice, niepewnej przyszłości, strajków, słowem - wszystkiego.

- Wcale mu się nie dziwię. Ale że się nie bał?

- A czego?

- No, że mu się nie uda.

- I to właśnie nasz błąd. Spadek po PRL-u. Jedna praca przez całe życie. A trzeba się zmieniać, a choćby i zawód, jeśli nas nie satysfakcjonuje. Zawsze można nauczyć się czegoś nowego.

- To się tak łatwo mówi. Nie przekonasz mnie - powiedziałam.

Ja się niczego już nie nauczę, prochy to załatwiły. Ale nie musisz o tym wiedzieć.

- A jakieś ploteczki? Nic?

- Czekaj, czekaj, coś mam. Pamiętasz Zosię, taką kręłą dziewczynę o męskim głosie? Została lekarzem okrętowym.

- To do niej pasowało. Na pewno prowadzi ciekawe życie.

- A Maćka pamiętasz?

Maciek. Wysoki, spokojny, o nienagannych manierach. Oczywiście, że pamiętam. To od niego dostałam bardzo sympatyczny list z zaproszeniem na randkę. Podszedł do mnie w

sali wykładowej, podał list i powiedział, że oczekuje odpowiedzi po wykładzie. Stałam z koleżankami i wszystkie nas zamurowało. Takie rzeczy nie zdarzały się co dzień.

Umówiliśmy się. Maciek przez cały czas gadał o nauce. Myślałam, że mnie krew zaleje. Nie poszliśmy nawet na kawę czy soczek. Na następną randkę się nie zgodziłam. Był zbyt nudny nawet jak dla mnie...

- Maciek pracuje w Stanach w instytucie genetycznym. Zrobił karierę. Jest profesorem
- powiedział Jurek.

No to pokpiłam sprawę. Trzeba było nie patrzeć na drobiazgi. Skoro nie dane mi było zostać profesorem, może byłabym panią profesorową w Ameryce, w wielkim domu, z basenem, kilkoma samochodami, służbą i wakacjami na Karaibach???

*

Po śniadaniu przypomniałam Jurkowi, że mam zebranie w Szczyrku i że obiecał mnie zawieźć.

- Tak, oczywiście, pamiętam - odpowiedział, ale miałam wrażenie, że myśli o czymś innym.

- To jedźmy teraz. Dochodzi jedenasta. Pójdziemy na spacer albo możemy pojechać gdzieś dalej.

- W domu będzie zimno jak w psiarni - rzekł.

- Nie szkodzi. Rozpalisz w kominku. Pójdziemy coś zjeść, a przez ten czas się zagrzeje. Albo możemy zrobić zakupy i ja coś upichcę.

Pojechaliśmy.

Przez chmury nieśmiało przezierало słońce. Na szczytach gór połyskiwały niewielkie białe płyty - pozostałości po wcześniejszych opadach. Na ulicach pustki - nie ma śniegu, nie ma turystów.

- Zajmij się ogrzewaniem, ja pójdę na zakupy - powiedziałam.

Wróciłam po godzinie. Weszłam do pokoju. Od ognia buzującego w kominku szło przyjemne ciepło. Jurka nie było. Drzwi do sypialni zostawił uchylone. Cicho podeszłam. Siedział przy komputerze. Zauważył mnie i wyłączył komputer.

- Po co wyłączasz? Jeśli chcesz pracować, to proszę. - Udałam, że nie zauważyłam jego zmieszanej miny.

- Już skończyłem.

Akurat! Pewnie e-mailował z Marzeną. Czy jemu się wydaje, że nic nie widzę i nic nie słyszę? Na stole leży podręcznik duńskiego, zapomniał go schować. A może nie przewidywał dziś mojej wizyty?

- Co kupiłaś?

- Udka z kurczaka, ziemniaki i kapustę pekińską na surówkę. Nic szczególnego.

- A co z kolacją?

- To już twój problem - zaśmiałam się. - Możesz mnie zaprosić, możesz coś zrobić. W ostateczności możemy zamówić pizzę. A teraz chodź na spacer. Trzeba się dotlenić.

Jurek westchnął głęboko.

- Rusz; się, nie marudź. W naszym wieku trzeba chodzić, bo...

- W jakim naszym wieku? - Roześmiał się i klepnął mnie w pośladek.

Łaziliśmy ze dwie godziny po ulicach, bocznych drogach, polach i łąkach. Tu i ówdzie były kępy pożółkłej trawy, gdzieś kupki brudnego śniegu. I tylko świerki zachowały swój zielony kolor.

Szliśmy w milczeniu.

Po prostu nie mamy o czym rozmawiać. Wiąże nas tylko seks i kuchnia. Za miesiąc święta, a ani ja, ani on o tym nie mówimy.

Ani o sylwestrze. Co mnie powstrzymuje? Strach, jak zareaguje? Że się narzucam? A jakie plany ma on? W końcu będzie trzeba to ustalić.

Spojrzałam na niego. Stał przy nieczynnym orczyku. Wyglądał sztywnie w czerwono-czarnej kurtce z Goreteksu, czarnych sportowych spodniach i turystycznych butach. Przystojny mężczyzna.

Co on kombinuje? Co myśli? Dużo dałabym, żeby wiedzieć, kim dla niego jestem.

*

Po powrocie do domu Jurek usiadł przy telewizorze, usiłując znaleźć jakiś mecz. A ja zabrałam się do szykowania obiadu. Ale nie zamierzałam się przemęczać.

Natarłam udka przyprawą i włożyłam do piekarnika. Poszatkowałam kapustę, dodałam trochę kukurydzy z puszki i majonezu. Nastawiłam ziemniaki.

- Obiad gotowy - zawołałam. Znalazło się jeszcze trochę wina.

- Pyszne. Świetnie gotujesz - powiedział mój kochanek.

To ciekawe. Podobno przez żołądek do serca. Dlaczego mnie to nie dotyczy?

Chyba musiałam nieszczęśliwie wyglądać, bo zapytał:

- Czy źle się czujesz?

- Nie, skąd. Doskonale.

Czuję się świetnie, tak świetnie, że chce mi się wyć. Ciągnie się za mną cała przeszłość, ale to Ciebie nie dotyczy. A teraz też nie jestem szczęśliwa. Chciałabym czegoś więcej niż tylko seksu. Ale nie mogę Ci tego powiedzieć, bo musiałabym podjąć decyzję:

kończę nasz krótki romans albo ciągnę go na twoich warunkach. A ja wcale nie jestem pewna, czego chcę!

Po obiedzie graliśmy w scrabble'a, trochę oglądaliśmy telewizję. Wieczorem kochaliśmy się i było mi dobrze.

182

Skąd się to we mnie bierze? Tyle lat obywałam się bez seksu i nie odczuwałam jego braku. Czy to moje ciało domaga się zadośćuczynienia za tamte lata, czy to rozpaczliwy rzut na taśmę dojrzałej kobiety, która zdaje sobie sprawę, że może już nigdy więcej...

*

Rano Jurek zawiózł mnie do hotelu, w którym odbywało się zebranie.

Usiadłam obok Aliny.

- Czym przyjechałaś? - spytałam.

- Mąż mnie przywiózł - odparła. - A ty pewno od Jurka? - Tak.

Wykłady były zdecydowanie nieciekawe. Wyszliśmy do holu. Na stołach wystawiono kawę, herbatę, minikanapki i ciasteczka. Znalazłyśmy spokojny kącik.

- Co jest ze mną nie tak? Powinnam być szczęśliwa, a nie potrafię. Ciągłe myślę, co będzie później. Chyba się nie nadaję do takich romansów - zaczęłam.

- Bo to nie o to chodzi. Chociaż się nie przyznajesz, to naprawdę chciałabyś uczucia, a nie takiego niezobowiązującego układu. Liczyłaś na to, że się zakocha, może nie? - Rumieniec oblał mnie od czubka głowy do stóp. - I mówię ci, skończ to!

- Powinnam. Ale ciągle...

Przerwała mi.

- Nadal liczysz, że się zakocha? To jesteś głupia. Zerwij z nim i kup sobie wibrator.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Alina i wibrator, też coś!

- A ty masz? - warknęłam.

Nie odpowiedziała.

- Czy twój mąż po ciebie przyjedzie?

- Tak, koło trzynastej.

- Możecie mnie zabrać do Belska?

- To nie wracasz do kochasia? - zapytała z ironią.

- Nie. Wyślę mu SMS-a, że wracam z tobą. A takie złośliwości nie są w twoim stylu.

Nic nie odpowiedziała.

*

Tego dnia spadł śnieg, właściwie pierwszy porządny. Duże, wilgotne płatki łagodnie

wirowały w powietrzu, zanim dotknęły ziemi.

Do pracy przyjechałam wcześniej niż zwykle. Właśnie robiłam sobie kawę, gdy do gabinetu wpadł uradowany Jurek.

- Niespodzianka! - zawołał i wyjął z kieszeni biały kartonik.

- Zapraszam cię na andrzejki. Kupiłem bilety. Rozerwiemy się, potańczymy - oświadczył.

Ucieszyłam się tak bardzo, że omal nie rzuciłam mu się na szyję.

- To cudownie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tańczyłam. A gdzie ta impreza?

- Nie zgadniesz. W schronisku.

- Chyba nie będziemy się wspinać? - przeraziłam się.

- Nie! Skąd! Pojedziemy autem, a do schroniska dowiozą nas saniami lub bryczką, zależnie od pogody.

- Super. Ale czy to znaczy, że obowiązują stroje turystyczne, a nie wieczorowe? - zapytałam.

- Nie wiem - zmartwił się.

Prawdziwy facet. Nie wie, co dla kobiety najważniejsze.

- Zadzwoń i zapytam - powiedział.

- Naprawdę bardzo się cieszę. - Podeszłam i pocałowałam go w policzek. Objął mnie.

- Przepraszam - chrząknęła pielęgniarka. - Przyszli pacjenci.

Cały dzień byłam w świetnym humorze. „Idę na imprezę z tańcami” - podśpiewywałam w myślach.

Nawet nie dokuczałam pielęgniarkom, które po ostatnich przedziwnych roszadach płacowych zarabiały właściwie tyle co ja (bywało, że zamykałam się w gabinecie i nie przyjmowałam pacjentów, twierdząc, że może to zrobić Małgosia, skoro płacą jej tak samo).

W chwili przerwy zadzwoniłam do Aliny.

- Jadę na andrzejki. Jurek mnie zaprosił - pochwaliłam się. - Tańce, kulig...

- To miło - powiedziała Alina. Milczenie.

- A wiesz, mam same uszy. Czy to epidemia? U ciebie też?

- Trochę.

Alina nie była skora do rozmowy.

- To na razie. Pa. Opowiem, jak było. - Rozłączyłam się.

Wszystko co miłe, niestety, szybko się kończy. Mój nastrój też. A wszystko przez telefon.

- Dzwoni jakaś pani i chce rozmawiać z lekarzem. Nie przedstawiła się. - Małgosia

podała mi słuchawkę.

- Jestem teściową pani Zdunik. Moja synowa źle opiekuje się dzieckiem: głodzi je i bije. - Zabrzmiało to groźnie.

- Skąd to przypuszczenie? Skąd mam wiedzieć, że pani jest osobą, za którą się podaje?

- Byłam ostrożna. Przez dwadzieścia lat słyszałam niejedno.

- Przecież mówię pani, kim jestem. - Pani robiła się agresywna. - To mój syn-idiota wziął sobie ją po prostu znikąd. Ona nic nie umie, nie jest wykształcona. A mój syn ma wyższe wykształcenie, jest inżynierem - powiedziała z wyższością.

Odetchnęłam głęboko. Słyszałam już takie teksty.

- Ale skąd pani przypuszcza, że synowa znęca się nad dzieckiem? - przerwałam jej.

- Od roku nie wpuszczają mnie do siebie. Syn zerwał ze mną kontakt. Wszystko przez nią. - Jej głos stał się płaczliwy. - Chcę wiedzieć, czy dziecko choruje, czy się szczepi, czy nie ma anemii. Musi mi pani powiedzieć.

- Nie mogę udzielać takich informacji osobom postronnym. A sytuację sprawdzimy. Jeśli będziemy mieć zastrzeżenia, zgłosimy odpowiednim służbom.

- Ale... - chciała jeszcze coś powiedzieć.

- Do widzenia pani. - Odłożyłam słuchawkę.

Jeszcze tego brakowało. To wariatka, stuknięta baba, której synuś ożenił się wbrew jej woli. Dokuczała im, to ją pogonili. Teraz chce się mścić. Ale trzeba sprawdzić. Takie czasy, a ja nie mam ochoty być negatywną bohaterką jednego z tych nawiedzonych programów telewizyjnych.

Wyjęłam kartę dziecka, przejrzałam. Wszystko w porządku. Przypomniałam sobie matkę - spokojna dziewczyna, żadnych problemów.

Tylko ta teściowa. Koszmar!

- Pani Małgosiu, przeprowadzi pani wywiad środowiskowy. Musi pani sprawdzić, czy dzieje się coś podejrzanego. Rozumie pani? Najlepiej, żeby matka zgłosiła się z dzieckiem do badania kontrolnego. Niech pani wymyśli jakiś pretekst - powiedziałam.

- Pójdę jutro.

Na razie z głowy.

Miałam już takie sprawy. Tylko jedna była uzasadniona. Pozostałe to efekt konfliktów sąsiedzkich lub rodzinnych. Jak niewiele teraz trzeba, żeby komuś uprzykrzyć życie. Zgroza.

*

- I co, pani Małgosiu? Była pani?

- Byłam. Rozmawiałam z sąsiadami, mieszkanie czyściutkie, dziecko zadbane,

wesołe, żadnych podejrzanych śladów na ciele.

Ale powiedziałam jej, żeby zgłosiła się na badanie okresowe. Przyjdzie w przyszłym tygodniu.

- Doskonale.

Koło południa przyszła matka z dwunastoletnią córką. Dziewczynka jest otyła, ma trądzik, rozstępy. A mama - laska, mini, szpilki. Tyle razy kierowałam dziewczynę do endokrynologa. Bez skutku.

- To moja kochana kluseczka - mówiła mama-laska.

- Nie wątpię, że kochana, ale czy musi być kluseczką? Stale przybiera na wadze.

- Nie będę dziecku odmawiać jedzenia - obruszyła się.

- Za dziesięć lat będzie miała do pani pretensje.

Oburzona. Milczy.

*

- Proszę pani. Chłopiec ma jedno jądro. Nie wiem, co z drugim, czy w ogóle jest, czy wędruje. Przecież on ma już dziesięć lat! - Tyle razy kierowałam panią do chirurga. A pani dotąd nie poszła - mówię spokojnie, choć chętnie bym jej przylała.

Pani to matka z klasą, elegancki kostium, pantofle na obcasach, modna torebka.

- Pani doktor, jestem taka zabiegana, nie mam chwili czasu. Ale pójdę, na pewno, obiecuję - kokietuje.

Ty cholerna krowo, masz pieniądze. Idź prywatnie w czasie, który ci pasuje. Zajmie ci to pięć minut. Czy własne dziecko tak mało cię obchodzi? - myślę.

Robię odpowiednią adnotację w kartotece.

*

Następna w kolejce młoda dziewczyna. Nie ma jeszcze osiemnastu lat. Urodziła przedwcześnie. Dziecko ważyło tysiąc dwieście gramów. Teraz ma dwa miesiące i waży niecałe dwa kilogramy.

Dziewczyna ubrana w spodnie z imitacji skóry, skąpy top, paznokcie co najmniej dwucentymetrowe, do tego wymyślnie pomalowane. Na twarzy centymetr tapety. Dziewczyna rozbiera dziecko dość brutalnie. Potrząsa nim i szarpie. Dziecko kwili.

- Powoli, spokojnie - wtrącam się.

Rzuca mi nieprzychylne spojrzenie.

- Jak pani karmi? - pytam.

- Mlekiem z kartonu.

- Przecież to wcześniak. Powinien pić specjalne mleko.

- Nie mam pieniędzy - burknęła.

Aha, ale na paznokcie i malowidła to masz.

- Czy była pani w poradni patologii noworodka?

- Jeszcze nie - odpowiada niechętnie.

- Ma pani chociaż termin wizyty? - drążę.

- Nie zdążyłam.

- Proszę pani, dziecko mało przybiera na wadze, jest nieprawidłowo karmione. Do tego ma zmiany w płucach, nie zauważyła pani, że kaszle? Nie była pani ani u okulisty, ani u neurologa. Nie mam też wyniku morfologii, którą miała pani zrobić. Pani nie daje sobie rady, więc kieruję dziecko do szpitala. Tam zrobią wszystkie badania, skoro pani nie potrafi.

Bierze skierowanie i mam wrażenie, że jest zadowolona. No tak, będzie miała czas dla siebie.

*

Ginekolog prosi o rozmowę.

- Mamy szesnastolatkę w ciąży. Dziewczyna nie wie kiedy ani z kim. Będzie rodzić za cztery do sześciu tygodni, tak wynika z USG, ale sama wiesz, że nie jest to badanie tak do końca miarodajne. Poza tym ona pali, może być dystrofia - informuje mnie.

- Jak rozumiem, ciąża niekontrolowana. Dziś była pierwszy raz? - upewniam się.

- Właśnie.

- Gdzie te dziewczyny mają rozum?

- One nie wiedzą, co to jest rozum - śmieje się ginekolog.

*

Przyszedł mój „ulubiony” pacjent. Nie mam pojęcia, kim jest: policjantem, ochroniarzem, antyterrorystą, a może gangsterem?

Napakowany, chodzi w cywilnym ubraniu i zawsze ma przy sobie broń, z tyłu za paskiem.

Kiedy pierwszy raz to zauważyłam, miałam ochotę mu ją zabrać. Mam trochę nierozliczonych spraw na mieście.

Przychodzi z dzieckiem i żoną. Żona stoi i milczy. On mówi. Odkąd zauważyłam tę broń, stałam się ostrożna. Kłopot w tym, że dziecko jest problematyczne. Nieco opóźnione w rozwoju, wymaga konsultacji neurologicznej. Na moje delikatne sugestie pan reaguje dość emocjonalnie. To taki macho, którego syn ma być absolutnie zdrowy. I bez dyskusji.

Ze strachem (bo przecież może użyć tej swojej broni) wręczyłam mu skierowanie do neurologa. Najpierw mnie wyśmiał, potem powiedział, że się zastanowi.

Cóż, to w końcu jego dziecko!

*

Dziecko z krztuścem czuje się dobrze. Za kilka dni wyjdzie ze szpitala. Na szczęście nie było powikłań. Rozmawiałam też z matką. Nie ma żalu. Sama jest pielęgniarką i rozumie.

*

Dostałam rozpaczliwego e-maila od Grażyny. Roberta aresztowali. Nie ma pojęcia za co. A ona miała już rewizję w domu i była przesłuchiwana. Policjanci nie byli sympatyczni. Boi się. Całe szczęście, że on w nic jej nie wtajemniczał.

A jednak Asia miała rację. To przekręty, a nie choroba.

*

Prawie codziennie e-mailujemy z Iloną. Drobne sprawy, głupotki. Co było na obiad, jaka pogoda, co w pracy. Dzięki temu coraz lepiej się poznajemy. I tak powolutku posuwamy się do przodu. Ostrożnie. Ja z dystansem, ona też. Myślę, a raczej mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Coś dobrego!

*

Dzisiaj andrzejki. Jestem podekscytowana. O piątej przyjedzie Jurek. Najpierw pojedziemy autem do parkingu, przy szlaku. Stamtąd saniami, jeśli będą warunki, albo dorożkami aż do schroniska. Potem zabawa, nocleg, a jutro powrót.

Od Bożeny pożyczyłam długą puchową kurtkę. Może być zimno i mój polar nie wystarczy, a kurtka zimowa ma sto lat i jest za krótka.

Cieszę się na ten wyjazd i tańce. Wieki nie tańczyłam. Ostatni raz chyba ze trzy lata temu, na imprezie zorganizowanej przez firmę farmaceutyczną. Co to była za impreza - śmiech na, sali. Zebranie pediatrów - same kobiety i dwóch starszych lekarzy. Jeden cały czas spędził przy barze, a drugi podrygiwał z każdą po kolei. Chyba uważał to za swój dżentelmeński obowiązek. Był tak zmęczony, biedaczysko, że obawiałam się o jego serce.

Na takich prawdziwych tańcach to byłam jeszcze za czasów małżeństwa, na zabawie sylwestrowej.

Spakowałam torbę: strój wyjściowy (czarne spodnie i srebrny gorset), przybory do makijażu, satynową koszulkę nocną i gruby sweter. Byłam gotowa.

Zastanawiam się, dlaczego Jurek zaprosił mnie na taką imprezę - to znaczy drogą i w pewnym sensie niekonwencjonalną.

W menu - dziczyzna. Nie pozwolił mi pokryć mojej części. Czy to coś znaczy? Złego czy dobrego?

Znowu szukam dziury w całym. Muszę ignorować wątpliwości i cieszyć się wyprawą.

Przyjechał punktualnie. Pojechaliśmy.

Na parkingu stały samochody i czekały sanie. Śnieg zalegał tu już nie tylko na drzewach, ale i na drodze. No i było mroźno. Popatrzyłam w niebo. Świeciły gwiazdy.

Posadzono nas w saniach, przykryto kozuchami i pojechaliśmy w noc. Pochodnie oświetlały drogę, dzwoneczki delikatnie dźwięczały. Śnieg iskrzył się na poboczach. Płynący obok drogi strumień szumiał cicho. Cudowne miejsce. Przytuliliśmy się do siebie. Przed nami ze cztery kilometry jazdy.

W schronisku przywitano nas grzańcem.

Impreza rozpoczynała się o dwudziestej. Było trochę czasu na przebranie się.

Ja - w mojej nieśmiertelnej kreacji, umalowana i uperfumowana.

Jurek - w garniturze, gładko ogolony, pachnący wodą kolońską.

Zeszliśmy do sali.

Na środku stał olbrzymi kominek, wokół niego rozstawiono drewniane stoły i ławy bez oparcia.

Skrzywiłam się nieco na ten widok. W końcu będą mnie bolały plecy.

Rozejrzałam się po sali. Światło było przytłumione. Na ścianach wisiały trofea myśliwskie: skóra z dzika, różnej wielkości rogi jelenie, zdjęcia z polowań.

Kelner wskazał nam miejsca. Powoli schodzili się inni goście.

„To będzie biesiada!” - pomyślałam.

Na stołach stały już półmiski z wędlinami. Królowały wyroby polsko-chłopsko-domowe: salcesony, kaszanki, kiełbasy, wędliny oraz swojski chleb, smalec, ogórki kiszone i kapusta.

Była też dziczyzna: szynki i polędwice z dzika i sarny, pasztet z zająca.

Vis-a-vis mieliśmy parę w naszym wieku. Szybko się okazało, że pan studiował na politechnice we Wrocławiu i dobrze wspomina tamte lata.

Towarzystwo było zdecydowanie w średnim wieku. Nie zauważyłam oszałamiających kreacji. Rozmowy toczyły się wokół tematów łowieckich.

- Czy to impreza koła łowieckiego? - spytałam Jurka.

- Dokładnie.

- Skąd wytrzasnąłeś zaproszenia? Przecież nie jesteś myśliwym!

- Szukałem czegoś i znajomy mi zaproponował. A co, nie podoba ci się? - zmartwił się.

- No co ty? Bardzo mi się podoba. Wszystko! Wspaniałe jedzenie, jazda saniami, schronisko i otoczenie. W ogóle jest cudownie!

Kilkuosobowa orkiestra grała muzykę z dawnych lat i trochę nowszych przebojów. Wytąńczyłam się jak nigdy. O północy wyszliśmy na zewnątrz, na śnieg. Ktoś miał fajerwerki. Patrzyliśmy na kolorowe światełka strzelające w niebo. Noc była czarna. Nieliczne gwiazdy słabo świeciły. Poczułam taki spokój. Nie myślałam o niczym. Liczyła się tylko tamta chwila.

„Jak niewiele potrzeba kobiecie do szczęścia!”.

*

- Ala, było wspaniale, cała oprawa, pogoda, no wszystko - referowałam przez telefon.
- A dziczyznę jadłam pierwszy raz w życiu! Właściwie to nigdy nie byłam na podobnej imprezie. No, raz byłam na balu sylwestrowym, z moim mężem. Ale to było zupełnie co innego. Miało swoisty klimat, było w pięknym miejscu, tak innym niż zwykła knajpa. Po prostu super!

- Nie uważasz, że doskonale pasowałoby na sylwestra? To już za miesiąc...

- Wiem, co chcesz powiedzieć... Nic nie mów, proszę. Trzeba cieszyć się chwilą. - Byłam w euforycznym nastroju.

- Agata, zlituj się! To płaczesz, to się cieszysz, bo coś łaskawie kapnął ci ze swego stołu. Jesteś niezrównoważona.

- Nie mów tak. - Poczułam się urażona. - Cokolwiek się stanie, to i tak w ostatnim czasie przeżyłam więcej niż przez poprzednie dwadzieścia lat. A w ogóle zawsze byłam niezrównoważona, nie zauważyłaś?

- No dobrze, nie będę się znęcać - łaskawie oświadczyła Alina. - Wczoraj dzwoniła Basia, zaprosiła na sobotę na imieniny. Do ciebie też zadzwoni.

- A właśnie, imieniny... Myślałaś, co jej kupić? A może złożymy się i kupimy prezent wspólnie? - zaproponowałam.

- Tylko co? Może komplet do herbaty, taki ekskluzywny. Widziałam...

- Ala, nic do domu. Wiesz, że nie uznaję takich prezentów. Tylko coś do osobistego użytku - przerwałam.

- Ja nie mam pomysłu. Może ty masz. Przecież nie kupimy jej kiecki. - Alina była nieco urażona, że odrzuciłam jej propozycję.

- Przez telefon nic nie wymyślimy. Musimy pójść do miasta, może coś wypatrzymy. To w piątek? Umowa stoi?

- Niech ci będzie - łaskawie się zgodziła.

*

Włączyłam telewizję. Akurat trafiłam na program o rozwodach. Siedziały panie

dziennikarki i prawniczki. Oczywiście same truizmy - walka na noże o dzieci, o majątek. Mówiły o przeróżnych chwytach stosowanych przez strony dla zdyskredytowania partnerów. Już chciałam przełączyć, gdy jedna z prawniczek zaczęła zachwycać się panem (mężem?, tatusiem?), który przy rozwodzie o nic nie walczył, chciał płacić alimenty na dzieci i żonę, „bo przecież prowadziła dom i chowała dzieci”. Wszystkie panie rozplęwały się w zachwytach, ja myślałam, że mnie trafi. Jak to możliwe, że w programie o nieco feministycznym charakterze takie zachowanie faceta jest traktowane jako niezwykle i godne szczególnej pochwały? To powinno być normą, a nie przedmiotem zachwytów. Przecież on nie robi jej łaski. Tej kobiecie się to zwyczajnie należy.

Wyłączyłam telewizor, włączyłam komputer. Od pewnego czasu e-mailujemy z Iloną codziennie. Stale dowiaduję się czegoś nowego. Ilona ma brata i siostrę. Brat od lat mieszka w Kanadzie. Siostra jest dentystką i też mieszka we Wrocławiu, jest kilka lat młodsza, ma męża i dwoje dzieci. Matka Ilony zmarła dwa lata temu. Była rodzoną siostrą mojej matki. Druga siostra żyje, ale choruje na chorobę Alzheimera i przebywa w zakładzie. Ilona mieszka w Śródmieściu w jednej ze starych kamienic, w których są stumetrowe mieszkania. Po trochu opisujemy swoje życie, pracę, znajomych. Na razie żadna z nas nie zdobyła się na bezpośredni telefon. Dlaczego? Czy kontakt e-mailowy jest łatwiejszy?

Bardzo mi zależy, żeby coś z tego wyszło, coś miłego. Nie chciałabym nic zepsuć.

W każdym razie dowiedziałam się, że nie należę do rodziny długowiecznej. I niestety, niewiele się dowiem o przeszłości, bo osoby, które mogłyby coś wiedzieć, nie żyją.

*

Opowiedziałam Jurkowi o moich rodzinnych poszukiwaniach. Wydawał się zainteresowany.

- To dobrze, że się zdecydowałaś - powiedział. Dlaczego „dobrze”???

W piątek po pracy pognałam do galerii. Alina już siedziała w kafeterii i piła kawę. Miała na sobie czarną spódnicę z grubej wełny do pół łydki i czarne kozaki na obcasach. Jasne włosy upięła w luźny kok, na twarzy lekki makijaż. Krótkie czarne futerko leżało niedbale przerzucone przez oparcie krzesła. Do tego długi czerwony szalik i miękka czerwona torebka.

Alina przyciągała męskie spojrzenia, ale na krótko. Czegoś jej brakowało. Humoru? Energii życiowej?

- Jestem - powiedziałam zdyszana. - Świetnie wyglądasz! Zimno, muszę się napić gorącej herbaty.

Zdjęłam kozuszek i powiesiłam na krześle. Pod spodem miałam czarne spodnie i

niebieski golf. Nie wyglądałam źle, ale nie mogłam równać się z Aliną.

- Słuchaj, a co z twoją pracą? Miałaś przejść na cały etat - przypomniałam sobie.

- Ha, ha - zaśmiała się. - Nie ma całego etatu. Za mało dzieci.

- U mnie to samo. Też pytałam. Więc co zamierzasz?

- Nie wiem, zastanawiam się. Może po świętach zdecyduję. A tak a propos świąt: czy twój przyjaciel nawiązał do tematu?

- Nie - powiedziałam smutno.

- Jeszcze tylko trzy tygodnie. Co on sobie myśli? Czekaj, a może on nie obchodzi świąt, może jest świadkiem Jehowy?

- Nie, niemożliwe. Nic na to nie wskazuje. A poza tym chyba nie grzeszył - zachichotałam.

- No, nie wiem. A co z sylwestrem?

Milczałam. Co miałam powiedzieć? Że okłamuję siebie, licząc, że to facet, więc nawet nie wie, że są święta, bo zawsze przychodził na gotowe?!

- No, chodźmy już. - Alina wstała.

Łaziłyśmy od butiku do butiku. Wszystko było złe: za drogie, za tanie, nie pasowało. Zrezygnowane przystanęłyśmy obok sklepu jubilerskiego.

- Patrz - powiedziała Alina. - Jaki ładny naszyjnik!

Rzeczywiście. Na wystawie leżał komplet z bursztynu - naszyjnik i kolczyki oprawione w srebro. Prosty, ładny, elegancki.

- To może to - szepnęłam. - Ponad dwieście złotych...

*

Wcale nie chce mi się iść na te imieniny Basi. Poza tym nie mam się w co ubrać. Czarne spodnie i gorset już się opatrzyły. Przeglądam szafę w poszukiwaniu czegokolwiek. A może ta niebieska kreacja, którą kupiłam na spotkanie we Wrocławiu?

Nie, nie nadaje się. A poza tym mam do niej negatywny stosunek.

Mężczyźni mają dobrze. Zawsze garnitur i koszula. Mogą tylko zmieniać krawaty.

W głębi szafy mignęło mi coś czerwonego - stara falbaniasta bluzka, niemodna i do tego zbyt przejrzysta. Trudno, nic innego nie wymyślę. Włożę czarny koronkowy stanik, to nawet będzie sexy.

Bizuteria. Nie mam jej zbyt wiele. Wyjęłam drewniane pudełeczko, ozdobione góralskimi motywami. Kupiłam je, jak byłam na wycieczce w Zakopanem.

Co ja tam mam? Cieniutki złoty łańcuszek z wisiorkiem z moim znakiem zodiaku (prezent od męża); naszyjnik z bursztynu, który kupiłam jeszcze na studiach, będąc na obozie

nad morzem; cieniutki łańcuszek na rękę ozdobiony małą perełką; naszyjnik z pereł, który kupiłam sobie na ostatnią Gwiazdkę; bransoletka od Jurka; no i obrączka ślubna.

Zdecydowałam się na łańcuszek ze znakiem zodiaku i łańcuszek na rękę.

Byłam gotowa, kiedy przyjechał Jurek.

- Zamierzasz w tym iść? Kobieto, spójrz w lustro! - zaśmiał się w głos.

- A co ci nie pasuje? - Obraziłam się.

- Ta bluzka jest okropna. Prześwituje ci stanik. Nie wygląda to elegancko. Nie możesz włożyć tego gorsetu? Ładnie w nim wyglądasz - powiedział.

- Byłam w nim na imieninach, na andrzejkach. Nie pójde trzeci raz - upierałam się.

- Tak nie pójdziesz - powiedział stanowczo. - Wyglądasz jak z kiepskiej agencji towarzyskiej.

Zamurowało mnie.

Aha. Mój pan się boi, żebym nie przyniosła wstydu. Ale jak śmie tak do mnie mówić? Nigdzie nie idę! Usiadłam na kanapie. Milczałam. Chyba dotarło do niego, że przesadził.

- Przepraszam cię. Nie chciałem tak powiedzieć. Wcale tak nie myślę. Nie gniewaj się.

Podszedł do mnie.

- To nawet jest seksowne, czarny stanik pod przezroczystą, czerwoną bluzką. - Uśmiechnął się znacząco i złapał mnie za pierś.

Odsunęłam się.

- Zostaw!

Ja wcale nie znam tego faceta, pomyślałam. Czasem zachowuje się... obleśnie. Przecież go nie prowokuję. To prawda, że nasz seks był dość urozmaicony. Ciekawe, jak wyglądało jego życie z Marzeną? Czy ja jestem dla niego obiektem doświadczalnym?

Wróciłam do szafy. Mój wzrok padł na sukienkę, której nigdy nie nosiłam. Była za gruba na lato. Odcinana w pasie i przy-marszczona, do kolan, krótki rękaw, dekolt w karo. Uszyta z materiału w kolorze złamanej wiśni, w delikatnie połyskujące prążki. Włożyłam.

- Świetna sukienka - powiedział wesolutko, jakby chciał zatrzeć swoje poprzednie zachowanie.

Miałam jednak wrażenie, że w moim sercu pojawił się mały, lodowy sopelek.

Pod domem Basi stało kilka samochodów. Było mroźno i biało, bo śnieg przykrył już ziemię. Mały świerk rosnący koło bramy świecił kolorowymi lampkami.

W salonie siedzieli już wszyscy goście. Przedstawiłam Jurka jako przyjaciela. Przyglądali mu się z nieukrywaną ciekawością.

Zaraz mnie trafi. Już go ustawiają w moim życiu.

Basia przyjmowała życzenia - zdrowia, szczęścia, pieniędzy...

Bursztynowy komplet, który kupiliśmy z Aliną, spodobał jej się.

Siedzieliśmy przy dużym stole. Basia rozdzieliła pary, żeby rozmowy nabrały rumieńców. Po mojej lewej stronie siedziała Beata, wielka baba o tubalnym głosie, ginekolog z oddziału Basi. Beata miała świetną rękę do zabiegów operacyjnych i jako lekarz cieszyła się wielkim powodzeniem. Jej mąż, drobny, suchy facecik w okularach, siedział naprzeciwko. Był radiologiem i doskonale znał mojego eksmęża. Zazdrosny i złośliwy, chyba dlatego, że Beata przerosła go zawodowo. Mieli trójkę dzieci, które chodziły jak w zegarku pod surowym okiem matki.

Po prawej miałam Tadeusza, też ginekologa. Jego żona Ewelina, anestezjolog, siedziała koło Jurka. Ewelina, drobna i małowówna, miała nieobecne spojrzenie. Dużo paliła. Chodziły plotki, że coś bierze, że jest uzależniona. Ona sama twierdziła, że cierpi na depresję, stąd tak często bywa na zwolnieniach chorobowych. Teraz też trzymała papierosa. Oj, Jurek będzie niezadowolony. Nie znosi dymu tytoniowego.

- Tadeusz, czy twoja żona musi tyle palić?

- Sama ją spytaj - beczelnie mnie splawił.

Chciałam odpowiedzieć, żeby mu w pięty poszło, ale wstał. Janusz, uśmiechając się szeroko, zagadał:

- Chcielibyśmy coś ogłosić. - Spojrzał na Baškę, która po prostu promieniała. - Zaręczyliśmy się - skończył triumfalnie.

Baška z dumą prezentowała pierścionek z niewielkim brylancikiem.

Achom i ochom nie było końca. Życzenia, gratulacje, toasty.

- Kiedy ślub? - wybił się głos Bożeny.

- Ach, jeszcze nie postanowiliśmy. - Basia krygowała się niczym dziewicza panna młoda. - Ale prawdopodobnie odbędzie się w Anglii, w ambasadzie w Londynie. Chcemy, żeby Ola mogła być na ceremonii.

- To wspaniały pomysł - ktoś zauważył. - Janusz, a twój syn?

Janusz nie odpowiedział.

Rzeczywiście, wspaniały pomysł. Odpadnie kłopot z weselem - pomyślałam. Basia wychodzi za mąż, a ja... Czułam, jak mały sopelek w moim sercu rozrasta się do ogromnej bryły lodu. Alina ma rację. Powinnam zakończyć ten romans, który prowadzi donikąd. On tu, żona tam, i najwyraźniej to im nie przeszkadza. On ją zdradza, może ona jego też?

- A gdzie Julka? - zapytałam.

- Jak to gdzie? W Krakowie. Ma ważne zaliczenie.

Szkoda, lubię tę dziewczynę. Ciekawe, co ona myśli o zamążpójściu swojej matki.

Popijamy zdrowie narzeczonych szampanem. Basia zrobiła wystawne przyjęcie, pewnie na konto zaręczyn. Były różne sałatki, galarety, wędliny i nawet faszerowany szczupak.

- Sama zrobiłam - pochwaliła się. - Janusz go złowił.

- Świetny. Postawiłaś się, Baśka - rzekła Bożena.

Dłuższą chwilę wszyscy byli pochłonięci jedzeniem. Janusz nalewał alkohol.

- Agata, słyszałam, że waszą przychodnię likwidują. - Beata trąciła mnie w ramię.

- Mówi się o tym od dawna. Ale to tylko plotki.

Wypowiedź Beaty wytrąciła mnie z równowagi. Co innego rozmawiać o tym w pracy, a co innego usłyszeć od obcej osoby. To uwiarygodniało plotki.

- No nie wiem. Moja bratowa zna waszego kierownika i... - ciągnęła Beata.

- Błagam, nie mówmy teraz o tym - poprosiłam.

- Uważam, że powinnaś już się za czymś rozglądać, a nie czekać na ostatnią chwilę. - Nie dawała spokoju. - A nie myślałaś o pracy na oddziale, może na noworodkach? - ciągnęła.

- Po tylu latach w przychodni? Nie ma mowy. Nie nadaję się.

- Bzdury. Szybko się poduczysz - upierała się.

- Ty nie wiesz, co mówisz - zdenerwowałam się. - Przecież potrzebowałabym co najmniej pół roku na naukę. A przez ten czas nie mogłabym dyżurować, podejmować samodzielnych decyzji. Kto by mnie zatrudnił na takich warunkach?

Wreszcie zamilkła.

- Widzę, że nareszcie sobie kogoś upolowałaś. - Mąż Beaty, Andrzej, uśmiechał się oblesnie przez stół.

- Chyba za dużo wypiełeś - powiedziałam sucho. - Zignoruję więc twoją uwagę.

- Andrzej! - ostro rzuciła Beata.

Ucichł. Jej nie podskoczy. Mały, niespełniony człowieczek. Chciał być chirurgiem, ale nie dawał sobie rady, przesunęli go więc na radiologię. Nie lubił mnie. Znał dobrze Krzysztofa i na pewno niejedną raz słyszał, jaka to ze mnie wredna suka.

Ty głupi trollu, zazdrosny i złośliwy. Twoja żona przerosła ciebie, a ty próbujesz się odgrywać na innych.

Jurek albo nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy, tak był pochłonięty rozmową z Ewelina, która wyraźnie się ożywiła.

Nie bardzo mam z kim ani o czym rozmawiać. Alina siedzi daleko, Jurek też.

Wyszłam do łazienki.

Po sekundzie do łazienki wsunęła się Alina.

- Nudzę się - powiedziała.

- Ja też.

- Fajną masz kieckę. Nigdy jej nie widziałam.

- Bo nigdy w niej nie chodziłam - wyjaśniłam. - To stara sukienka. Chciałam przyjść w spodniach i czerwonej bluzce, ale Jurek mnie wyśmiał. Powiedział, że jest nieprzyzwoita, bo stanik prześwituje. - Roześmiałam się w głos.

- Poważnie? Pozwoliłaś mu na to?

- Właściwie miał rację, wyglądałam okropnie.

- Ale nas Baśka zastrzeliła. Zaczyna nowe życie. Zazdroszczę jej - stwierdziła Alina.

- A my tkwimy w miejscu. Wyobraź sobie, Beata słyszała, że likwidują moją przychodnię. Jeśli do tego dojdzie... to nie mam żadnego pomysłu.

- Nie uważasz, że to dziwne? Wszędzie brakuje lekarzy, a u nas... nie. - Zamyśliła się.

- U nas też brakuje, tylko nie pediatrów. To anachroniczna specjalność - odparłam.

- Powinnyśmy już wyjść. Blokujemy toaletę.

Przy stole omawiano najnowsze skandale i skandaliki. Znany chirurg porzucił rodzinę dla dwudziestoletniej siksy, komuś ubyło włosów, komuś przybyło, ktoś ma problem z rozliczeniem się z recept, pacjent złożył skargę na lekarkę, bo podobno zapisała mu czopki i kazała przyjmować doustnie, przez co ten ostatni dostał biegunki. Normalka. Codzienne sprawy.

Żona znanego chirurga walczy jak lew w sądzie o pieniądze.

- Bo pieniądze są ważne, najważniejsze. - Głos Bożeny podniósł się wysoko. - Wszyscy tylko udajemy, że nie, że są inne rzeczy, miłość itp. A to pieniądze dają wolność, niezależność, a nawet miłość - nakręcała się Bożena.

No, no. Nie spodziewałam się, że akurat Bożena ma takie poglądy. I do tego przyznaje się publicznie. Boże! Co ja wymyślam?! To spuścizna po poprzednim ustroju. Przecież w zdobywaniu pieniędzy nie ma nic złego.

- No powiedzcie: nie zakochacie się w mężczyźnie, który zabiera na egzotyczne wycieczki, obrzuca prezentami, organizuje weekendy? Czy ma znaczenie uroda? Byle był ładniejszy od diabła - gorączkowała się Bożena. - Jeśli dzięki niemu macie duży dom, superauto, chodzicie na VIP-owskie imprezy? No co? Nie zakochacie się, Alina? Agata? Jeśli mówicie nie, to kłamiecie. Pieniądze to nie tylko luksus, ale i władza, a to imponuje - nadawała już zachrypnięta Bożena.

Boże wielki, współczuję Irkowi. Musi się czuć nieprzyjemnie. Ale siedzi i milczy.

Słyszałam, że gabinet Bożeny ostatnio niezbyt dobrze prosperuje, a Irek mało zarabia. Może dlatego Bożena tak myśli o pieniądzach?

- Bożena ma sporo racji - odezwałam się. - Pieniądze dają niezależność, nie obawiasz się bezrobocia, nie obawiasz się o przyszłość. To głupie, ale czasem marzę, że jak w tej reklamie LOTTO, wygrałam, przychodzę do pracy, jest poniedziałek, środek epidemii grypy, pełna poczekalnia, przyjmuję dwóch pacjentów, po czym ubieram się i wychodzę, mówiąc: „Właśnie w tej chwili rzucam pracę”.

- No powiedz, Agata - rzuciła się na mnie Bożena. - Wykrztuś to wreszcie. Twój ojciec był fiszą. Powiedz coś o tym, przyznaj w końcu!

- Akurat o pieniądzach to nie wiem nic. Trafiłaś kulą w płot, moja droga. To prawda, mój ojciec był kimś. Miał władzę, niewielką. Tak, władza jest ekscytująca, nawet ta niewielka i ja to widziałam. Te uśmiechy, ukłony, czołobitności, służalczość. To dobre, lepsze niż... udany seks - powiedziałam gładko, nie patrząc w stronę mojego kochanka.

Coś w nas wstąpiło. Nawet Ewelina się ożywiła. Gadałyśmy jak głupie, prowokując facetów. Po prostu nam odbiło!

Tylko Basia była zła. Zepsułyśmy jej przyjęcie.

- Jeśli ja - dodała Alina - dbam o figurę, o ubiór, jestem wykształcona, to dlaczego mam się zadowolić randką pod księżycem i hamburgerem z kiosku? Nawet jeśli facet jest miły i przystojny. Czy mnie się nie należy pięciogwiazdkowa knajpa, owoce morza, wakacje na Karaibach? - rozmarzyła się.

Panowie patrzyli po sobie z niedowierzaniem.

- Wygłupiacie się! W końcu o co wam chodzi? O bogatego faceta, o władzę, faceta przy władzy czy o pieniądze? - wybuchnął Irek.

- O wszystko, kochanie! - odezwała się słodko Bożena.

Usłyszałam cichy głos Eweliny.

- Jest takie powiedzenie, włosy i zęby z wiekiem przechodzą. Dodam, radykalizm też. Kiedyś bardzo chciałam zrobić karierę zawodową, zarobić własne pieniądze. Teraz po tylu latach harówki myślę, że miło byłoby mieć bogatego pana, który by rozpieszczał, dbał, opiekował się. Czy kobiety sto lat temu nie miały lepiej? Moja babcia nie pracowała, dziadek nie był bogaty, ale w domu była służąca. Choć mięso jadało się dwa razy w tygodniu, służąca musiała być.

- One się upiły i odbiło im. - Tadeusz, mąż Eweliny, był wstrząśnięty.

Ewelina umilkła.

- Ale wy pierdoły opowiadacie - nie wytrzymała Beata. - Bogaty facet może przestać

być bogaty, może umrzeć, wreszcie może znaleźć sobie lepszą, młodszą dupę. Skończcie wasze beznadziejne filozofowanie.

Zrobiło mi się głupio. Rzeczywiście za dużo wypiałam. Czy to jednak wszystko? Kiedyś mówiono mi „ucz się, reszta przyjdzie sama”. Nie przyszła. Dużo pracuję, jak większość z nas. I czasem myślę, że chciałabym mieć miłego pana, który zdjąłby mi z głowy wszelkie kłopoty, zaspokajał kaprysy. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby chodzić regularnie do fryzjera, kosmetyczki, jechać na zakupy do Paryża czy choćby Warszawy, iść na premierę w wieczorowej sukni i futrze czy odnawiać się biologicznie w SPA.

Mogę tylko pomarzyć.

Podszedł do mnie Jurek.

- Ta babka koło mnie kopci jednego za drugim. Mam dość. Czy nie możemy wyjść wcześniej?

- Dobrze, powiem Basi.

Basia była w kuchni, kroїła tort.

- Basieczko, bardzo przepraszam, ale musimy już iść. Jurek o świcie wyjeżdża. Musi się przespać i wytrzeźwieć.

- Naprawdę musicie?

- Niestety. I jeszcze raz gratuluję. - Pocałował ją w policzek. Pojechaliśmy do domu, Jurek został na noc.

Ani słowem nie skomentował naszej niezbyt mądrej, ale ekscytującej dyskusji.

*

Na mieście panuje świąteczny nastrój. W sklepowych witrynach światelka, gwiazdki, choinki. Ludzie kupują prezenty. Chodzą całymi rodzinami. Czy powinnam coś kupić dla Jurka?

Ostatnio mam wrażenie, że zrobił się inny. Niby mnie nie unika, ale też nie nalega na spotkania. Nie był u mnie od przyjęcia u Basi. A na ten weekend wyjeżdża do Opola - sprawy rodzinne.

Podejrzewam, że to tylko wymówka.

Właściwie wiem, co będzie. Czekam tylko, żeby mi to powiedział. Czasu jest mało. To okrutne tak mnie zwodzić. Już wiem, że nie spędzimy razem świąt ani sylwestra. Tylko kiedy mi o tym powie? Ja na pewno nie zapytam pierwsza.

Święta to był zawsze problem, wyjąwszy okres mojego małżeństwa. Kiedy pracowałam w szpitalu, po prostu brałam dyżury. Kilkakrotnie Wigilię spędziłam samotnie.

Alina zawsze wyjeżdżała do Kielc. Bożena miała dużą rodzinę. Kilka razy zaprosiła

mnie Basia, jeszcze kiedy żył jej mąż. Po jego śmierci urządziłyśmy święta wspólnie, raz u niej, raz u mnie.

Co będzie w tym roku? Nie wiem. Basia ma narzeczonego. A mój romans?

Finito.

*

Siedziałam u Jurka w gabinecie. Plotłam trzy po trzy, głównie o Ilonie. Za wszelką cenę chciałam się zachowywać, jakby wszystko było w porządku. Kilka dni temu powiedziałam mu, że udało mi się nawiązać kontakt z kuzynką z Wrocławia. Wyraźnie był z tego zadowolony. Więc gadałam o tym, czego się spodziewam, że może będę miała w końcu rodzinę. I takie tam bzdety. Słuchał cierpliwie.

Weszła przełożona pielęgniarek.

- Panie doktorze, tu jest to zaświadczenie, o które pan prosił. A wypowiedzenie wysłałam wczoraj faksem. Życzę powodzenia i wesołych świąt. - Uśmiechnęła się i wyszła.

Chwilę siedziałam bez ruchu, usiłując zrozumieć, co się stało przed chwilą. Czułam, jak gorąco oblewa mnie od stóp do głów. On milczał.

- Czy możesz mi coś wyjaśnić? - odezwał się. - O jakim wypowiedzeniu ona mówiła?

- Przepraszam, nie chciałem, żebyś dowiedziała się w taki sposób.

Był zły. Nawet nie zawstydzony, ale wyraźnie zły. Patrzyłam mu prosto w oczy.

- Czego się miałam dowiedzieć?

- Od Nowego Roku zaczynam pracę na oddziale kardiologicznym. - Starł się na mnie nie patrząc.

- Tak... A te życzenia? Wziął głęboki oddech.

- Dwudziestego grudnia wyjeżdżam na święta, do Danii.

Zrobiło mi się słabo.

- To za dwa dni. Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? - mówiłam powoli i cicho.

Wiercił się niespokojnie na fotelu. Nie chciałam mu niczego ułatwiać.

Weszła pielęgniarka.

- Ma pan pacjenta. - Podala kartę.

- Musi chwilę poczekać - powiedziałam. - Może po prostu chciałeś zniknąć bez słowa?

- To nie tak - mruknął.

- Nie przerywaj mi. Nie jestem idiotką, nie ubliżaj mojej inteligencji. Wiedziałam, że to związek bez zobowiązań, niczego mi nie obiecywałeś. Nie mam pretensji, choć jest mi

trudno. Ale, na miłość boską, dlaczego dowiaduję się o tym w taki sposób, niemal publicznie! Przecież wszyscy w przychodni wiedzieli, że mamy, a właściwie - poprawiłam się - mieliśmy romans. Zresztą czy to w ogóle był romans? Raczej układ: seks i kuchnia. Przecież prawie nie rozmawialiśmy ze sobą, chyba że o przeszłości czy medycynie.

- Daj mi powiedzieć. - Próbował przerwać.

- O nie, słuchaj! Czy miałaś mnie za kretynkę, która nie widziała, że unikałeś jakiegokolwiek czulszego słowa, że nigdy nie mówiłeś o przyszłości, nawet najbliższej. Wiedziałam, że to się skończy. Ale dlaczego tak? Jesteś zwykłym facetem, a ja cię miałam za człowieka... Od kiedy wiedziałeś, od kiedy? - zaatakowałam.

Poruszył ustami, chciał coś powiedzieć.

- Nie, nic nie mów. Niech pomyślę... Andrzejki, fantastyczne andrzejki! To miało być pożegnanie, czyż nie? Tylko dlaczego, do cholery, mi nie powiedziałeś? Jesteś tchórzem!

Tylko kiwnął głową.

- Czy można? - Pacjent zajrzał do gabinetu.

- Proszę czekać, doktor zawoła! - krzyknęłam.

Czułam się okropnie. Nie dość, że cierpię, to wychodzę na idiotkę. Wszyscy w przychodni pewnie wiedzieli, tylko nie ja.

- Pytam, kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

Jurek stukał długopisem o blat biurka i milczał. Zaczęłam nerwowo chodzić po gabinecie. Muszę mu dopiec, zemścić się.

- A nie obawiasz się, że zostaniesz tatusiem? - powiedziałam jadowicie.

Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, które sprawiło mi sporo satysfakcji.

- Zdarza się, że kobieta w moim wieku zachodzi w ciążę, rzadko, ale się zdarza. A ja jestem zdrowa.

- Nie zabezpieczałaś się? - wyjąkał.

- A kiedykolwiek mnie o to zapytałeś? Nigdy! Wcale o tym nie rozmawialiśmy. A czemu ty się nie zabezpieczałeś? To ty jesteś żonaty! Może za jakiś miesiąc się dowiesz, że będziesz miał potomka - ciągnęłam.

Był zdruzgotany. Każda sekunda jego strachu sprawiała mi rozkosz.

- Nie bój się - powiedziałam w końcu. - Nie zamierzam być czterdziestopięcioletnią samotną matką. Nie zwariowałam!

Znowu pukanie do drzwi. Otworzyłam je i wrzasnęłam.

- Proszę czekać, doktor zawoła!

Popatrzyłam na mojego ekskochanka. Odprężył się i nadal milczał.

- Powiedz mi, dlaczego ja? Co to było? Byłam pod ręką, chętna?

A może litość nad samotną? Dlaczego ja?! Jest tyle młodszych... - Głos mi się załamał.

- Zawsze bardzo cię lubiłem. Podobałaś mi się, jeszcze na studiach - nieśmiało wtrącił.

- Matko święta, daruj sobie te żalosne tłumaczenia. Nie wciskaj mi kitu! Mam tylko jedną prośbę. Weź wolne na te dwa dni i nie pokazuj się w pracy. Mnie i tak będzie ciężko, a nie mam urlopu. Choć na tyle bądź przyzwoity. I nigdy, przenigdy nie dzwoń do mnie, nie kontaktuj się, choćby nie wiem co!

Pacjent wbiegł do gabinetu.

- Prywatne sprawy załatwia się po pracy. To jest skandal. Czekam już tyle czasu. Romansów im się zachciało! - krzyczał.

- To, do cholery, złóż pan skargę - odparłam i wyszłam.

Schodziłam w dół. Jak ja będę pracować? Serce waliło chyba dwieście na minutę, kręciło mi się w głowie.

Mijałam gabinet Urszulki. Może ona mi pomoże? Weszłam.

- Nie zastąpiłabyś mnie dzisiaj? To tylko trzy godziny. Źle się czuję. Poszłabym do domu. Błagam cię - jęknęłam.

- Dobrze. - Schyliła głowę.

Na pewno wszystko słyszała. Wszyscy już wiedzą. Ale wstyd! Udałam, że nie widzę współczującego spojrzenia Małgosi. Ubrałam się i wyszłam.

Na ulicy wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Aliny.

- Jesteś w domu?

- Tak. Sama.

- Przyjadę za pół godziny.

*

Padłam na kanapę w salonie Aliny i zaniósłam się płaczem. Stała nade mną bezradnie. W końcu wyjęła butelkę koniaku i nalała mi.

- Podaj mi torebkę - poprosiłam.

Patrzyła, jak wyjmuję tabletki.

- Tabletki i alkohol - powiedziała z dezaprobatą.

Machnęłam lekceważąco ręką.

- Mało alkoholu, mało tabletek. Nic mi nie będzie.

- Co się stało?

Opowiedziałam jej całą historię, suto pokropioną łzami.

- To sukinsyn - stwierdziła Alina.

- Właśnie. Zwyczajny, tchórzliwy, wygodny, egoistyczny facet. Jak każdy - powiedziałam.

- Ale co on sobie myślał? Nie rozumiem? Jak chciał to zakończyć? - zastanawiała się Alina.

- Nie wiem. Pewnie dostałabym SMS-a albo e-maila: „Było miło. Żegnaj” - stwierdziłam gorzko. - Masz jeszcze koniak? To dolej mi.

Alina niechętnie dołała. Zaczęłam trochę odpływać. Mówiłam powoli i spokojnie.

- Czego on się bał? Że zrobię scenę? Jesteśmy dorośli. Przecież wiedziałam, że układ jest tymczasowy. Zgodziłam się na to. Nie narzucałabym się facetowi, to nie w moim stylu. Przyznaję, że zaangażowałam się bardziej, niż zamierzałam, ale mam swój honor! - kontynuowałam.

Alina chrząknęła.

- Muszę ci to powiedzieć. Sprawiałaś wrażenie zakochanej. Może się przestraszył?

- Czego? Że się go uczipię i nie puszczę? Gadasz głupoty! - warknęłam.

- Wcale nie! Pomyśl. Facet żonaty, przyjechał na trochę, zabawił się...

- I to ja miałabym być tą zabawką? Alina rozłożyła ręce.

- Na to wygląda.

Mogłabym ją zabić za te słowa.

- Faceci są wygodni - ciągnęła. - Żona daleko, zarabia prawdziwe pieniądze. Dlaczego miałby ją rzucać? Wygodny układ. Małżeństwo zabezpiecza go przed roszczeniami zaborczych kochanek. Mają dzieci. Zresztą, czy wiadomo, co ona tam robi? Takich małżeństw jest coraz więcej.

Zwiesiłam głowę. Coś w tym jest.

- Macie jakieś wspólne zdjęcia? - spytała.

- Czemu pytasz?

- Ostatecznie mogłabyś się zemścić, posyłając żonie fotki - roześmiała się.

- Oszalałaś. Nawet gdybym miała, na pewno bym tego nie zrobiła. Zresztą po co? Najwyraźniej nie był zainteresowany związkiem ze mną.

- Ale „związek” - przedrzeźniła mnie. - Dwa miesiące zaledwie i wielki mi związek.

- Rzeczywiście. Wydaje mi się, że trwało to dłużej. Wiesz, to był jedyny facet, z którym było mi naprawdę dobrze.

- Mówisz o seksie?

- Dokładnie. Mam swoje lata i nie byłam nastawiona na jakieś przeżycia w tej

dziedzinie. Chciałam... Świadomie chciałam, a skoro nadarzyła się okazja. Nie żałuję. Chodzi mi tylko o to jak...

- Akurat! Marzyłaś, żeby się zakochał. Staralaś się. To było widać. - Alina znęcała się nade mną. - Słuchaj, chcesz faceta? To pojedziemy do największego burdellandu na naszych ziemiach - zaśmiała się.

- Co masz na myśli?

- Jak to co? Sanatorium. Tam pełno facetów gotowych na wszystko.

- Masz pomysły! - Pokiwałam głową.

Uspokołam się.

Alina zrobiła kanapki.

- A tak nawiązując do twojego romansu. Powiedz mi, czy rzeczywiście seks jest tyle wart? - Alina przymknęła oczy. - Przepraszam, że pytam o tak intymne...

- W porządku. Powiem ci. Jest dużo wart. Ale jest wiele innych rzeczy, które są dla mnie wiele warte, może nawet więcej.

- Co na przykład?

- Na przykład... Pomijając sprawy niemożliwe, jak zmiana mojej przeszłości, bycie archeologiem, podróżnikiem, naukowcem, to jest jedna rzecz niby prosta, ale nie dla mnie - wolałabym umieć prowadzić auto, tak! Wolałabym od seksu! - powiedziałam pewnie. I dodałam: - Zaskoczona?

- Trochę. Ale coś w tym jest.

Po spotkaniu z Aliną spokój nie trwa długo. Jestem znowu potwornie zdenerwowana. Trzęsą mi się ręce, mam dreszcze, chce mi się wymiotować, a muszę iść do pracy. Będą gadać i patrzeć. Nie zniosę tego.

Uspokój się. W oczy nikt nic ci nie powie. A to, o czym szepczą - to ich problem.

Wieczorem posłaniec przyniósł olbrzymi bukiet kwiatów, prawdziwy wiecheć pełen liści, gipsówki i innych dodatków, otaczających storczyki, anturium i gerbery. Do czerwonego anturium przypięty był bilecik. W nim jedno słowo: „Wybacz...”.

Nie znoszę takich bukietów. Lubię małe pachnące kwiatki - konwalie, fiołki. I różyczki.

Mój bukiet świadczy o mnie. Ten mówił: jestem prawdziwym snobem. I wcale nie czuję się winny.

Bezczelny! Chciałam wyrzucić bukiet przez okno, ale co kwiaty winne?

Było mi tak smutno.

*

Dziś Małgosia ubrała choinkę i postawiła na bokarcie. Do świąt kilka dni. Pacjenci składają życzenia. Dostają też drobne-prezenty (zakazane pod groźbą akcji odpowiednich służb) - słodycze, kawę, stroiki świąteczne. Nikt się nie złości, każdy stara się być uprzejmy. Świąteczny nastrój udziela się wszystkim.

Podśluchałam rozmowę: Małgosia, Halina z dołu i nasza położna debatowały o przygotowaniach świątecznych. Bardzo narzekały.

- Już od tygodnia skupuję produkty. Zrobiłam pierogi z kapustą i zamroziłam - referowała Małgosia. - W niedzielę będę piekła ciasteczka. Nikt mi nie pomaga - skarżyła się.

- Co roku obiecuję sobie, że to ostatni raz. W zeszłą Wigilię synowie kłócili się, kto ma ubrać choinkę. Nikomu się nie chciało. Aż się pobeczałam - dodała Halina.

- Wszystko na naszej głowie - westchnęła położna. - Czy to w ogóle warto?

- To może zamieniłybyście się ze mną? - zapytałam z goryczą. Umilkły.

Po smutnym końcu historii z Jurkiem (oczywiście wszyscy wiedzą) każdy traktuje mnie, jakbym była ze szkła.

*

W drugiej pracy pielęgniarka przyniosła kruche ciasteczka. Pijemy kawę i podjadamy. Ruch jest minimalny. Ludzie, zajęci przygotowaniami, nie mają czasu chorować.

Wygląda na to, że tę Wigilię spędzę sama. Oprócz Aliny żadna nie wie, że mój romans należy do przeszłości. Nie zdobyłam się, żeby powiedzieć Basi i Bożenie. Nie chcę współczucia ani żadnych pytań.

Wieczorem, pod wpływem nie do końca zrozumiałych emocji, wysłałam e-maila do Ilony:

„Mój facet mnie rzucił”.

*

Idzie halny. Potwornie boli mnie głowa. Nie mogę myśleć ani spać. Ale czy to tylko wina halnego? Ciągłe sobie powtarzam, jak moja ukochana Scarlett: „Pomyślę o tym jutro”. To na razie zbyt boli i wkurza. Tak, wstyd mi, że zostałam porzucona. Może się ze mnie śmieją? „Zachciało się starej babie”. A przecież nie jestem stara. Ile kobiet w moim wieku zaczyna nowe życie?! Nie powinnam się przejmować tym, co mówią inni. Ale to tak się tylko łatwo mówi.

Wiatr uderza o szyby, huczy i świszczy. Nienawidzę halnego. Jest w nim coś jakby „nie z tego świata”. Ale dzisiaj wyjątkowo odpowiada mojemu nastrojowi. Wyglądam przez okno. Drzewa mocno się pochylają. W powietrzu unoszą się liście, śmieci, gałązki. Po śniegu ani śladu, stopił się całkowicie.

Wzdycham. Czekam na bezsenne noce.

Sprawdzam pocztę. Dostałam e-maila od Ilony. „Agata, przyjedź do nas na święta. Serdecznie cię zapraszam. Musimy się wreszcie poznać, Ilona”.

To odpowiedź na wczorajszy rozpaczliwy list ode mnie. Tylko czemu nie zadzwoniła? Ma wątpliwości?

Nie pojedę. Podziękuję, ale nie pojedę. Nie mam nastroju. Jestem emocjonalnym wrakiem. Popsułamby im święta. Zaraz. A może wyjazd pomógłby mi odciąć się od ostatnich wydarzeń?

Oszalałam! Przecież po to zaczynałam poszukiwania!

Biorę komórkę. Czas najwyższy usłyszeć jej głos:

- Ilona? To ja, Agata. Bardzo dziękuję za zaproszenie. Chętnie przyjadę.

*

Wigilia. Szósta rano. Wsiadam do pociągu do Wrocławia. Za kilka godzin poznam swoją kuzynkę. To moja rodzina.

*

Kilka dni po Nowym Roku umówiłam się z Aliną w kafeterii na kawę i ploty.

Kiedy przyszłam, Alina już była. Siedziała przy stoliku i przeglądała „Twój Styl”. Miała na sobie białą bluzkę z angielskiego haftu, z dużym kołnierzem, włożoną w czarne spodnie za kolana i wysokie kozaczki. Jeszcze brakuje jej kapelusza z piórem i szpady, wtedy mogłaby dołączyć do muszkietierów - pomyślałam złośliwie. Ale spojrzenie miała żywsze niż zwykle, ostrzejszy makijaż. No i zauważyłam, że zmieniła fryzurę. Nosiła teraz proste włosy do ramion.

Usiadłam obok. Zdjęłam płaszcz, zamówiłam kawę i szarlotkę. Alina spojrzała krytycznie.

- Mam niski poziom cukru - tłumaczyłam się.

- No mów! Jakie wrażenia? - zapytała, zakładając nogę na nogę.

- Hm. Właściwie mieszane - odparłam. - Wiesz, ja byłam tam tylko trzy dni. Do tego święta, rozgardiasz. Nie było czasu na pogaduszki. To nie był najlepszy moment na pierwszą wizytę. - Potrząsnęłam głową.

- E, tobie zawsze coś nie pasuje. Czego się spodziewałaś? Fajerwerków?

Popatrzyłam na nią zdumiona. Alina nigdy mnie nie krytykowała. A tu nagle...

- Coś ty. Mnie zawsze wszystko pasuje. Zawsze! - Starłam się, aby sarkazm w moim głosie był wyraźny. - Ilona czekała na mnie na dworcu. To bardzo miła i zupełnie zwyczajna babka. Zabrała mnie do domu. Mieszka w takiej starej kamienicy w Śródmieściu we

Wrocławiu. Mieszkanie ma ponad sto metrów. Zaniedbane. Żeby coś w nim znaleźć, trzeba by przeprowadzić prace wykopaliskowe. Choinka wysoka na trzy metry. Pełno ludzi, dzieci. Gapili się na mnie jak na jakiegoś... ufoludka. Do tej pory nie mam pojęcia, kim byli. Nie czułam się dobrze...

- A nie mówiłam, że tobie nic nie pasuje - przerwała z satysfakcją Alina.

- To nie tak. Wszyscy byli skrepowani moją obecnością. Uprzejmi, ale rozmowa się nie kleiła. Wigilia jak wigilia: barszcz, karp, życzenia, kolędy. Poznałam siostrę Ilony. To Iwona. Dentystka. Kilka lat młodsza. Prawdziwa laska. Widziałam, że cała historia jej się nie podobała. Prawie mnie ignorowała. W pierwszy dzień świąt był u niej rodzinny obiad. Amerykański - zaznaczyłam ironicznie. - Indyk w sosie żurawinowym.

Rozmarzyłam się na chwilę. Przed oczami stanęło mi wypasione mieszkanie Iwony.

- Żebyś ty widziała, jak ona mieszka - westchnęłam. - Poniemiecka willa na obrzeżach miasta. Z zewnątrz zupełnie zwyczajna, ale w środku... Pełen wypas. Meble z Desy, dywany, zegary, obrazy, porcelana. Ach. No i ma bardzo przystojnego męża. Ale on też nie zwracał na mnie uwagi - dokończyłam ze smutkiem. - Tylko Ilonie zależało, bym się dobrze czuła. I nawet nie wiem dlaczego. Na razie zaprosiłam jej syna na ferie. Ona też przyjedzie. Co dalej? Życie pokaże. A ty co robiłaś? Byłaś gdzieś na sylwestra?

- Tak. Na białej sali - prychnęła Alina. - I chcę ci powiedzieć, że podjęłam pewne decyzje. Wracam do Kielc. Moja koleżanka została ordynatorem na pediatrii. Mają ogromne braki kadrowe i przyjmą mnie na moich warunkach. Ale to nie wszystko. Zdecydowałam się na rozwód. To małżeństwo nie ma sensu. Praktycznie się nie widzimy. Z rzadka telefon, SMS. Wyobraź sobie, że nie pokazał się w święta. Na pewno kogoś ma. Chciałabym więc rozwód z orzeczeniem winy. A na razie wyczyściłam mu konto. Zastanawiam się nad wynajęciem detektywa, choć to drogi interes. - Alina popatrzyła na mnie wyzywająco.

- Nie żartuj. Opuściłaś mu konto? Rozwódzisz się? Wyjeżdżasz do Kielc? Nie mogę uwierzyć. - Byłam totalnie zaskoczona.

- Lepiej uwierz. Już złożyłam wypowiedzenie.

- A co ze mną? Z naszymi wakacjami?

- Och, Agata, przecież Kielce nie są na końcu świata. A na wakacje dalej będziemy razem jeździć.

Akurat. Nie wierzę. Wszystko się zmieni. Na początku telefony, SMS-y, potem coraz rzadziej, a w końcu nastanie cisza... Z wakacji też nici. Jestem na ciebie wściekła i nic na to nie mogę poradzić.

Milczałyśmy przez chwilę.

- Mam nową pielęgniarkę - zaczęłam. - Strasznie mnie wkurza. Słabo orientuje się w szczepieniach. Trzeba jej pilnować. A mnie się nie chce. W końcu nikt mi za to nie płaci. Taka gówniana praca. I przyjęli nowego lekarza. To staruszek. Ledwo chodzi. Jak on będzie przyjmował? Nie mam pojęcia. Jesteśmy na czarnej liście i to są skutki.

- To niewesoło. - Alina pokiwała głową. Ale widziałam, że myśli ma zaprzątnięte czymś innym. Popatrzyła na zegarek i zerwała się z miejsca.

- Już późno. Muszę lecieć. Mam coś do załatwienia. - I wyszła.

*

To było do przewidzenia. Nastroje były napięte od miesięcy. Całą niedzielę przesiedziałam przed telewizorem. Niestety, wieści były przygnębiające. Rozmowy ze służbą zdrowia zostały zerwane. Zatem od jutra strajk w przychodniach.

No to jestem ugotowana - myślałam z goryczą. Moja przychodnia nie strajkuje. Nie wolno. Firma nie pozwala, choć nie rozumiem dlaczego. A jeśli ktoś się wychyli, to firma ma sposoby...

Rano, w poniedziałek okazało się, że kierownik zniknął, po prostu się zmył. Podobno jest na zwolnieniu lekarskim. To takie strategiczne zwolnienie. Urszulka siedziała w kącie rejestracji z przerażeniem w oczach. Podeszłam do niej.

- Słuchaj, ja ci dam opiekę na dziecko, a ty mi zwolnienie chorobowe. Zgoda? - zaproponowałam.

- Ale to byłoby nieuczciwe - wyjąkała.

- Nie masz większych zmartwień? Inni strajkują, a my mamy cierpieć. Może i nieuczciwe, ale dlaczego mamy pracować za innych? - zezłościłam się.

- Ja nie mogę - oświadczyła i powlokła się na górę.

Wkurzyła mnie maksymalnie, jest taka zasadnicza. Głupia!

Nowy lekarz siedział w socjalnym i kłął ile wlezie.

- Czy ci nasi pacjenci nie mogą napić się mleka z miodem, zamiast zawracać nam głowę? - Kiwał się na krzesle.

Pomyślałam o sobie. Błyskawicznie popędziłam na górę.

- Pani Olu, proszę natychmiast zamknąć przewiązkę i stronę zdrową. Nikt nie może tędy wejść. Tylko dzieci. Żadnych dorosłych - krzyczałam jak oszalała.

Boże, strajk w samym środku grypy. Sięgnęliśmy dna - pomyślałam.

- Trudno, niech pani otwiera przychodnię. Co ma być, to będzie - zarządziłam.

O piętnastej zamknęłyśmy. Byłam wykończona. Na szczęście moja druga praca strajkuje, więc to koniec na dziś.

- Poleżę trochę. A pani może iść - powiedziałam do Oli.

Położyłam się na leżance. Odetchnęłam głęboko. Podobno w całym mieście działały tylko dwie przychodnie. Nasza i jakaś nowo otwarta. Szpital obleżony. Tak wynikało z komunikatów miejscowego radia.

To nie praca, to izba segregacji medycznej. Przyjmowałam dzieci „nasze” i „cudze”.

Około południa nie wiedziałam już, jak się nazywam. Zrobiłam sobie przerwę śniadaniową.

Wychodząc z gabinetu, pomyślałam: Niech tylko ktoś mruknie albo krzywo spojrzy, wychodzę, rzucam to w diabły. Ale nic, cisza. Grzecznie czekali. Tylko co będzie dalej? Nie myślę się tak mordować.

Tak, tatuśku. Czy o to ci chodziło? W końcu noszę twoje nazwisko! Nie wstyd ci?

Nic mi się w życiu nie udaje!

A ty, Jureczku, czy myślisz czasem o mnie? Czy stałam się jednym z wielu nieistotnych wspomnień?

Strajk trwał trzy dni. Dogadali się jakoś, choć firmy to nie dotyczy. I wszystko wróciło do normy.

*

Kilka dni później zadzwoniłam do Aliny i od razu się zorientowałam, że jest w dołku.

- Jak twoje sprawy?

- A wiesz, Agatko, nieszczególnie. Mam wątpliwości, czy dobrze robię - jęknęła do słuchawki. - Boję się. Nigdy dotąd nie musiałam podejmować takich decyzji. Nie wiem, jak mój mąż zareaguje. Może powinnam się wycofać?

- Zwariowałaś. Dobrze robisz. Przypominam ci, że od dawna jesteś dorosła i sama odpowiadasz za swoje życie.

- Przyganiał kociół garnkowi - mruknęła.

Oj, coś mi się wydaje, że wszystko zostanie po staremu. Zresztą dla mnie to lepiej.

- Wiesz, ferie już za dwa tygodnie. Będę miała Bartka, syna Ilony, przez tydzień - zmieniłam temat.

- Poradzisz sobie? Z młodymi to teraz różnie.

- Przecież nie będzie siedział w domu. Chce jeździć na nartach.

Ja będę cały dzień w pracy. Muszę tylko dopilnować jedzenia i tyle, mam nadzieję.

- Pewnie tak - przytaknęła Alina.

*

Dziś stwierdziłam, że jestem uzależniona od komórki. Niewielkiego srebrnoszarego

gadżetu, bez którego nie potrafię funkcjonować.

Komórka padła, a ja przeżyłam prawdziwy koszmar. Próby uruchomienia jej były bezowocne. Tak samo bezowocne jak zaklęcia i przekleństwa. Ogarnęło mnie przerażenie, w gardle zaczęło dławić, ręce miałam spocone. W głowie pustka. Wpadłam w panikę. Typowe objawy odstawienia - jak u alkoholika czy narkomana. W końcu po dwóch godzinach zaklęć zaskoczyła.

Odetchnęłam z ulgą.

*

W przychodni pojawiła się nowa pielęgniarka, Ola. Przeniosła się do nas ze szpitala.

- Pani Olu, a dlaczego pani do nas przyszła, jeśli to nie tajemnica? - zapytałam.

- Żadna tajemnica. Po prostu rozwiodłam się z mężem. Mam syna, który choruje, więc nie mogę pracować świątki, piątki, nocki...

- Ale straciła pani finansowo?

- Niewiele. Tu dość dobrze płacą. Nawet byłam zaskoczona.

- Tak. Pielęgniarki zarabiają tu całkiem nieźle, prawie tyle co lekarze. Stąd, jak się pani wkrótce przekona, nie ma kto przyjmować. A za to wy obrywacie w rejestracji. Ha, ha - zaśmiałam się nieprzyjemnie.

- Chyba nie będzie tak źle - zawahała się.

Starła się być miła, a ja wcale nie.

- Niech pani uważa, bo ja mam humory. I zupełnie nie mam ochoty na szkolenie kogokolwiek - oświadczyłam i zamknęłam się w gabinecie.

Niech sobie myśli, co chce. Ola, na oko, miała pod czterdziestkę. Wyróżniała się wyglądem, bo nosiła szpitalny mundurek. Sprawiała wrażenie osoby spokojnej i zorganizowanej. Ale czy sobie poradzi? Nie ma doświadczenia w szczepieniach. A ja nie zamierzam jej pomagać.

Małgosiu, wróć!!

*

Grypa na całego! To znaczy ja mówię, że to grypa. Ale co to naprawdę jest, to nie mam pojęcia. I jest to nieważne. Ważne, że jest dużo pacjentów, że są kolejki i że nie nadążam. To moja dwudziesta grypa w karierze!

Dziś był interesujący „przypadek”. Rano wszedł tatuś z kilkuletnią córką.

Sakramentalne: „Co dziecku dolega?”

- Coś się zrobiło na nóżce - mówi tatuś.

- Proszę pokazać.

Tatus zdejmuje dziecku spodnie i rajtuzki, po czym pokazuje piętę. Gapię się w tę piętę, ale nic szczególnego nie dostrzegam. Jest mały pęcherzyk od otarcia, poza tym nic! Zgłupiałam. Może jestem przemęczona i oczy odmawiają mi posłuszeństwa?

- Ja tu nic nie widzę - mówię nieśmiało.

- Jak to pani nic nie widzi? A to?! - Zbulwersowany ojciec wskazuje na pęcherzyk.

- To? - Dotykam pęcherza, żeby się upewnić.

- No tak! To! Przecież mówię.

- To jest pęcherz. - Patrzą ze zdziwieniem na tatusia.

- No właśnie! - Tatus jest usatysfakcjonowany. - Co z tym zrobić?

Zaciskam ręce w kieszeni, liczę do dziesięciu, po czym spokojnie oświadczam:

- Przykleić plaster. Następny, proszę.

Za dwa, trzy dni to dziecko wróci tu z infekcją.

*

Przez cały weekend padał śnieg. Na dachach domów jest go co najmniej trzydzieści centymetrów. Konary drzew uginają się pod ciężarem białych czap. W ciemności nocy biel iskrzy się jak okiem sięgnąć. Co prawda komunikacja leży, ale może do poniedziałku opanują sytuację.

Rozmawiałam z Iloną. Bartek bardzo się cieszy na przyjazd do Belska.

- Na pewno nie będziesz miała z nim żadnych problemów, Agatko - zapewnia mnie.

Też mam taką nadzieję.

W tym tygodniu jest tłusty czwartek. Może usmażyć chrust? Kaloryczny i pyszny. Spojrzałam na swoje biodra. Cóż, w zimie zawsze trochę się przybiera na wadze.

Alina obiecała, że przyjdzie. Bożena też zapowiedziała, że wpadnie na godzinkę. Basia się wymówiła, miała dyżur w szpitalu. Kupiłam butelkę wina, w sam raz, żeby się nie ululać. W końcu to normalny dzień tygodnia.

Chrust udał się wspaniale. Alina przyszła z pączkami.

- O Boże, będziemy musiały od jutra głodować - jęknęłam.

- Jak trzeba, to będziemy - zgodziła się.

Zrobiłam herbatę i usiadłyśmy w pokoju.

- Co z twoim rozwodem? Złożyłaś pozew?

- Jeszcze nie. Czekam na wyniki śledztwa. Wynajęłam detektywa. Na razie żadnych konkretów.

Zamyśliłam się.

- Jednego nie mogę pojąć. Dlaczego on się z tobą do tej pory nie rozwiódł?

- Może mu z tym wygodnie. Podrywa lalunię, ale od razu zaznacza: „Jestem żonaty, na nic nie licz” - powiedziała Alina, chrupiąc kolejnego faworka.

- Ale ciebie też nie rozumiem, dlaczego to przeciągasz? Angażujesz detektywa? Szkoda pieniędzy.

- Chcę mieć rozwód z orzeczeniem winy. Jestem od niego zależna finansowo. Zarabiam grosze śmiechu warte. A sporo czasu poświęciłam, żeby on mógł robić karierę. Coś mi się chyba należy - rzekła.

Wpadła Bożena.

- Fatalnie się jeździ. Ślisko, zasy, nie ma gdzie zaparkować - narzekała.

- Rozbieraj się i siadaj. Alina tak się przykleiła do tego chrustu, że za chwilę zabraknie. Co ci zrobić: kawę, herbatę?

- Zrób herbatę. - Bożena zacierała dłonie. - Robi się mroźno. Przysunęła sobie tacę z chrustem.

- Pyszny! Smażyłaś na smalcu czy na oleju?

- Zawsze na smalcu - stwierdziłam autorytatywnie. Nalałam wina.

- Nie mogę pić, jestem autem - uprzedziła Bożena. - Padam, nie spałam prawie całą noc. Wyobraźcie sobie, musieliśmy zawieźć do szpitala moją synową. Pojawiły się skurcze. Leży na patologii, pod kroplówką.

- Ojej, niedobrze. A który to miesiąc? - zmartwiła się Alina.

- Ósmy. Poleży pewnie do porodu, choć na razie sytuacja jest opanowana. - Bożena chrupała jednego faworka za drugim. - Wczoraj dyżur miała Baśka...

- A to kłamczucha. Mnie powiedziała, że dyżur ma dzisiaj - wtrąciłam.

Zrobiło mi się przykro. Nie musiała kłamać. Mogła przecież powiedzieć, że ma inne plany. A tak, to się czuję, jakbym się narzucała.

- Nie przerywaj. Baśka mi wspomniała, że widziała twojego byłego i on pytał o ciebie. - Bożena spojrzała na mnie triumfalnie.

No to prawdziwa sensacja! Mój były pytał o mnie! Czy ona oczekuje, że się ucieszę? A co on mnie obchodzi. Nie rozmawialiśmy ze sobą właściwie od rozwodu.

- Nie zwracaj mi głowy - odparłam.

Zapadła cisza. Ale nie na długo.

- No, a o co pytał? - spytałam niemrawo.

- Pytał, co u ciebie, gdzie pracujesz. I wyobraź sobie, że pytał o... Jurka. Słyszał, że kogoś masz.

- To już szczyt bezczelności. A co go to obchodzi? - zezłościłam się.

- Powtarzam tylko, co mówiła Basia - obruszyła się Bożena. - A w ogóle przepraszam, muszę lecieć do szpitala. Wszystkim się wydaje, że skoro jestem lekarzem, to powinnam coś zrobić. Znacie ten ból, prawda?

Prawda!

*

Grażyna przysłała e-maila. Robert nadal w areszcie. Policja dała jej spokój, kiedy ostatecznie się okazało, że jej kontakty z nim miały wyłącznie erotyczny charakter. Niestety, przy okazji wyszło na jaw, że nie była jedyną flamą Roberta. I to dopiero był prawdziwy szok, po którym nie może dojść do siebie.

*

Dziś miało miejsce bardzo smutne wydarzenie. Pacjent upadł pod rejestracją Zdażył tylko powiedzieć, że od trzeciej rano bolało go serce, ale bał się wezwać pogotowie. Wezwana „erka” niewiele pomogła. Po długiej reanimacji stwierdzono zgon.

Dlaczego bał się wezwać pogotowie? Czy łódką historia ciągle odbija się czkawką?

*

Poprosiłam Ilonę, żeby trochę pogrzebała w papierach. Może znajdzie jakieś zdjęcia mojej matki z młodości, może jakieś listy? Jęczała trochę, ale obiecała, że spróbuje.

- Wiem, że to szukanie igły w stogu siana, ale bardzo mi zależy - prosiłam.

- Zdajesz sobie sprawę, że znalezienie czegokolwiek po tylu latach graniczy z cudem?

- uprzedzała.

- Oczywiście, że wiem. Jak niczego nie znajdziesz, trudno. A w ogóle to bardzo się cieszę, że przyjedziesz - powiedziałam szczerze.

*

To dopiero bezczelność. Na samo wspomnienie cała się trzęsę.

Rano przyszła matka z dzieckiem w wieku przedszkolnym. Nachyliła się ku mnie i konfidencjonalnie szepnęła:

- Pani doktor, jemu nic nie jest. Ale ja potrzebuję kilku dni zwolnienia. Nie mam co z nim zrobić. Ja się odwdzięczę. - I położyła na biurku dwudziestozłotowy banknot.

Pomięty banknot leżał na biurku niczym kawałek śmierdzącej kupy, pomiędzy nami, równo w połowie odległości. A ona się uśmiechała jakby nigdy nic.

Zamurowało mnie. Baba oszalała. Czy ona nie ogląda telewizji? Czy ona nie wie, co się daje lekarzowi? Nie widziała złotych piór, kopert pełnych stu złotych banknotów czy wreszcie drogich koniaków? Chce lewe zwolnienie za dwadzieścia złotych! Pogięło ją chyba. Mnie się to nie opłaca!

- Proszę to zabrać - powiedziałam sztywno. - Nie daję lewych zwolnień ani za darmo, ani za pieniądze.

- Ależ pani doktor, jesteśmy ludźmi. Musimy sobie pomagać. - Nadal się uśmiechała.

- A w czym pani może mi pomóc? - zapytałam.

Zmieszała się. Chwilę stała w milczeniu i wyszła, ciągnąc za sobą dziecko. Pieniądze zostały na biurku. Przecież nie będę za nią biegać, wymachując banknotem, bo wszyscy w poczekalni się dowiedzą.

Wzięłam feralną gotówkę przez chusteczkę higieniczną (odciski palców), podarłam na bardzo drobne kawałeczki i wyrzuciłam przez okno.

*

Otrzymałam zaproszenie na dwudziestolecie dyplomu. Bogaty program: od mszy, poprzez ognisko, aż po bankiet i wycieczkę po okolicy. „Opłatę w wysokości... należy uiścić do...”.

Trzymałam kartonik w ręku. To tylko dwa tygodnie. Mało czasu. Dlaczego dopiero teraz to dostałam?

A zresztą, wszystko jedno! I tak nie pojedę! Za nic! Nie chcę nikogo oglądać! Nie chcę pytać, nie chcę słuchać, co inni zrobili, zdobyli, załatwili!

W zeszłym roku pojechałam na spotkanie koleżeńskie i wróciłam zdołowana. Nie będę tego powtarzać.

Do Grażyny napisałam e-maila z pytaniem, czy dostała zaproszenie. Oraz co zamierza zrobić.

Grażyna odpisała mi, że owszem, dostała zaproszenie już dawno. Przeprasza, że o mnie nie pomyślała, ale nie miała głowy do tego z przyczyn osobistych. Zapłaciła już, choć nie wie, czy pojedzie. No comments!

*

- Mam, mam! - krzychała do telefonu Alina.

- Co masz? - burknęłam. Spojrzałam na zegarek. Była północ. Wyrwała mnie z pierwszego snu. - Ty wiesz, która godzina? Ja wcześniej wstaję.

- Mam zdjęcia! Jutro do ciebie wpadnę. - Wyłączyła się.

Opadłam na łóżko. Nie zasnę już!

Przybiegła wieczorem, obładowana reklamówkami.

- Robiłaś zakupy?

- A tak! Trzeba kupować, póki jeszcze się jest na tyle młodym, że chce się wyglądać.

Bo potem to...

Spojrzałam na nią. Promieniała. Jasne, puszyste włosy opadały jej na ramiona. Miała wyjątkowo świeżą cerę i przede wszystkim uśmiech - jasny, radosny.

- Alina, ja ciebie nie poznaję. Gdzie podziała się ta wiecznie zmartwiona, chora i jęcząca kobieta?

- Na razie zniknęła. - Przez twarz Aliny przemknął dawny cień. - I popatrz. - Wyjęła pudełeczko od jubilera: kolczyki, eleganckie, perły w białym złocie. - Co mam sobie żałować. I to nie wszystko! Złożyłam wniosek o rozwód. - Patrzyła na mnie podniecona.

- To widzę, że ostro się wzięłaś do działania - bąknęłam.

- Tak. Jutro mąż przyjedzie, wtedy wszystko mu powiem - zachichotała.

- Pokaż te zdjęcia - przypomniałam sobie.

- A... - Wyjęła kilka fotek.

Zaczęłam oglądać: facet z kobietą w restauracji; facet z kobietą pod motelem; facet z kobietą w samochodzie...

- Wiesz co, ja nie wiem, czy to takie jasne. Niewiele tu masz. Czy to wystarczy?

- Mam nadzieję, że tak. - Alina była pewna swego.

Nie mogłam wytrzymać z ciekawości. Następnego dnia zadzwoniłam do Aliny do pracy.

- No i co? Jak zareagował?

- Wiesz co, powiedział, że dziwi się, że dopiero teraz. I właściwie nic więcej.

- Nie wściekał się, że chcesz rozwodu z jego winy? Pokazałaś mu zdjęcia?

- Nie. A z tych zdjęć się śmiał. - W słowach Aliny wyczułam wyraźny zawód.

- Nie tłumaczył?

- Wcale! Śmiał się do rozpuku. Powiedział, że jestem głupia, bo te zdjęcia o niczym nie świadczą. I jeszcze powiedział, żebym nie liczyła na pieniądze od niego, bo on bankrutuje. Zachowywał się tak, jakby go to bawiło. - Alina była zdegustowana.

- I co dalej?

- Agata, sprawa ruszyła. Od pierwszego maja zaczynam pracę w Kielcach, na oddziale dziecięcym. Wyjeżdżam na święta do domu i już nie wracam.

- Czyli z wakacji nici - stwierdziłam smutno.

- No sama rozumiesz. Nie wiem, jak tam się ułoży. Teraz nie mogę planować - przeprasza ją Alina.

- Będziesz robić pożegnanie?

- Zastanawiałam się i chyba nie. Nie mam dla kogo.

- A ja? - oburzyła się.

- O Boże! Ty to co innego. W pracy postawię tort i kawę. A Basia i Bożena to były twoje koleżanki. Zawsze byłam na doczekkę. Zresztą to jeszcze trzy miesiące.

Co to trzy miesiące wobec wieczności. Ale było mi tak smutno, że prawie płakałam. Doskonale wiedziałam, że już nigdy nie będzie żadnych wakacji, że to koniec naszej przyjaźni. Zostanie mi tylko internet i tableteczki.

*

Był zimowy ponury dzień. Na ulicach chlapa, choć był dopiero początek lutego.

Alina namówiła mnie na wyjście na zebranie naukowe.

- Chodź. To w hotelu, niedaleko. Co prawda, tylko trzy punkty, ale zawsze coś.

- Nie chce mi się - marudziłam.

Ostatnio nic mi się nie chciało. Miałam permanentny dół. Tableteczki nie bardzo się sprawiały.

- Co ci zależy, chodź - namawiała.

- A o czym będzie?

- Grypa i powikłania. O osiemnastej. Potem jakaś kolacja. No chodź.

- A niech ci będzie. Tylko idź wcześniej i zajmij miejsca. Ja się spóźnię. I pamiętaj, miejsca niedaleko wyjścia, jak zawsze.

- Ach, te twoje nawyki.

- Moja droga, czasem jest tak nudno, że chcesz wcześniej wyjść. Dzięki moim, jak to określiłaś, „nawykom” można to zrobić dyskretnie.

Spóźniłam się kwadrans, mimo że pędziłam na zbity pysk z drugiej pracy.

Alina siedziała koło wyjścia i trzymała dla mnie krzesło. Zdyszana usiadłam. Parę osób odwróciło się. Wymieniłam uśmiechy i powitania. Zebranie jeszcze się nie zaczęło.

Alina była odstawiona, wymalowana, jakby chodziło co najmniej o wieczór w pubie. Miała świetną sukienkę, granatową, doskonale uszytą.

- Masz świetną kieckę - zauważyłam.

- Kosztowała cztery stówy.

Ja wyglądałam okropnie. Włosy prosiły się o fryzjera, cera szara, bez makijażu. Czarne spodnie i beżowy sweter nie były szczególnie atrakcyjne. Po tygodniu pracy byłam zmęczona.

Nie zaszkodziłby kieliszeczek czegoś mocniejszego, ale nie mogłam na to liczyć. Po ostatnich medialnych awanturach firmy organizujące okroiły przyjemności. Kolacje były skromne, a o alkoholu można było zapomnieć.

Prowadzący otworzył zebranie. Zapowiedział dwa wykłady: „Epidemiologia grypy” -

doktor Włodzimierz Nowak oraz „Zapalenie mięśnia sercowego jako powikłanie grypy” - doktor Jerzy Adamski.

Zatkało mnie. Żona Lota to przy mnie był pikuś. Nie mogłam oddychać. Spojrzałam na pierwszy rząd siedzących. I był! Siedział tam! Gorąco oblało mnie od stóp do głów.

- Alina - syknęłam. - Coś ty zrobiła?

Zaczęłam gorączkowo się pakować. Torebka spadła na podłogę i narobiła hałasu. Niektórzy z dezaprobatą zerkali w moją stronę.

O Boże, spraw, żeby mnie nie zauważył!

Daremny trud. Rzeczy pospadały na podłogę. Nerwowo zaczęłam je zbierać, robiąc przy tym dużo szumu. Strategiczne miejsce przy wyjściu nie zdało się na nic.

Jurek patrzył na mnie. O Boże!

Wreszcie udało mi się wyjść. Zatrzasnęłam drzwi o wiele za głośno. W holu rzuciłam się na ławkę. Serce waliło mocno. Chciało mi się wymiotować.

Alina wypadła za mną.

- Coś ty narobiła, idiotko? - Chciałam ją zabić.

- Boże drogi, przepraszam. Naprawdę nie miałam pojęcia, że on tu będzie. Uwierz mi. Nawet nie widziałam zaproszenia. Agata, przysięgam! - kajała się.

- Co to pomoże? Nie rozumiesz! On może pomyśleć, że specjalnie tu przyszedłam. W jakiej sytuacji mnie postawiłaś?!

- Przysięgam. - Była przerażona. - Naprawdę, nie miałam pojęcia. Przecież nigdy bym tego nie zrobiła!

Łyknęłam tabletkę.

- Chodźmy stąd - powiedziałam.

Na dworze padał śnieg z deszczem. Chciało mi się płakać. Czy mi się podobało czy nie, widok Jurka przywołał wspomnienia, i te dobre, i te upokarzające. Poczułam się taka beznadziejnie smutna. Życie nie ma sensu!

- Tu niedaleko jest pub. Chodźmy na drinka - powiedziałam. Alina była tak zdesperowana, że zgodziłaby się na wszystko.

Po dwóch drinkach obraz rzeczywistości nie był już tak przygnębiający. Alina też odtajała, widząc, że mój nastrój nieco zwyżkuje. Co prawda wprost proporcjonalnie do ilości wypitego alkoholu, ale dobre i to.

- Lepiej się czujesz? - spytała, chcąc wykazać się troską.

- Może - odparłam enigmatycznie.

- Ja naprawdę nie...

- Och, daj już spokój. Nie chcę o tym słyszeć - przerwałam jej. Zamówiłam kolejnego drinka. Alina nie zareagowała. Zapewne obawiała się sprzeczeki.

W milczeniu pogryzałam orzeszki solone i chipsy, które stały w miseczkach na ladzie.

Zemdli mnie - pomyślałam.

A niech tam!

Zupełnie nie czułam się „pod wpływem”. Myśli miałam jasne i ostre. Koniec z mazgajeniem się, ze wspomnieniami. Minęły prawie dwa miesiące od zerwania. Już prawie o nim nie myślałam. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Odwróciłam się do Aliny.

- Pieprzyć to wszystko! Te wszystkie romanse, miłości i facetów!

- Ich przede wszystkim! - Alina weszła mi w słowo.

- Właśnie! - potwierdziłam. - Ty się rozwodzisz, przeprowadzasz, zaczynasz nowe życie. I karierę w Kielcach. Bez faceta - dodałam. - A ja? Mam w końcu kawałek rodziny i zależy mi na tym, żeby to się szczęśliwie rozwinęło. To mój priorytet, moja mała stabilizacja. A faceci... - Zawiesiłam głos. - Faceci z Jureczkiem na czele niech spadają! Na bambus!

- No to za przyszłość! - Alina podniosła kieliszek.

- Za dobrą przyszłość!

* * *

Co, u diabła, mnie podkusiło? - złościłam się, marznąc na dworcu w ciemną lutową noc, w oczekiwaniu na pociąg, którym miał przyjechać Bartek. Samotnie dreptałam po ośnieżonym peronie, przytupując od czasu do czasu, żeby pobudzić krążenie. Pośpieszyłam się z tym zaproszeniem. Chciałam się wykazać, przypodobać nowej rodzinie i wpadłam po uszy.

Bartek, szesnastoletni syn Ilony, przyjeżdża do mnie na ferie. Będę robić za opiekunkę nastolatka! Tymczasem nie dostałam wolnego (Ferie, pani rozumie, koleżanko...), czyli będę w pracy do wieczora, a on będzie chodził samopas. Podobno, tak przynajmniej twierdzi Ilona, zamierza spędzić całe ferie na stoku. Mam nadzieję, że się nie myli. Z młodymi bywa różnie, są nieprzewidywalni. Nie chciałabym jakichś problemów, za które potem byłabym odpowiedzialna.

Niestety, za późno na takie dywagacje. Za chwilę tu będzie.

Przed jego przyjazdem przede wszystkim zapełniłam lodówkę. Zapasów wystarczy dla kompanii wojska, na wypadek działań wojennych - pomyślałam, z trudem domykając drzwi zamrażalnika.

Pociąg ciężko wtoczył się na stację. Wysiadła z niego grupka młodzieży z plecakami i

sprzętem narciarskim. No tak, ferie...

- Cześć, ciotka - usłyszałam za plecami.

Odwrociłam się i... zdębiałam. Widziałam go co prawda w czasie świąt, ale jakoś złał mi się z innymi w szarą plamę.

On ma szesnaście lat? Niemożliwe!

Przede mną stał wysoki (jakieś 180 cm), potężnie zbudowany młody człowiek. Do tego ubrany jak poborowy - wojskowy komplet „moro”, wysokie buty, plecak i... ani śladu sprzętu narciarskiego.

- Witaj. - Ucałowałam go w policzki. - Bierz rzeczy. Idziemy do taksówki.

- Ciotka, do taksówki? Jesteś lekarzem i nie masz auta? - Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Nie mam. To cię tak dziwi?

- Ciotka Iwona ma dwa samochody, a jest dentystką - oświadczył.

- Czego się spodziewałeś? Prywatnego helikoptera? Limuzyny z kierowcą? Chyba oglądasz za dużo telewizji - powiedziałam, pakując go do taryfy. - A gdzie masz narty? - indagowałam.

- Tu wypożyczę.

- Człowieku, zapomnij - jęknęłam. - Tu niczego nie wypożyczysz. Są ferie. Na jakim świecie ty żyjesz? - Załamałam rękę.

- Spoko, ciotka. Wyluzuj.

Skoro tak? Wyluzowałam.

Na kolację przygotowałam łazanki z kapustą. Z przerażeniem patrzyłam teraz, jak je pożera. W garnku było widać już dno. A ja, naiwna, sądziłam, że starczą na dwa dni!

- Tu będziesz spał. - Wskazałam na pościeloną kanapę. -

W łazience masz duży ręcznik. Aha. Na stole leży plan miasta i rozkład jazdy autobusów. Do przystanku dwa kroki. Za blokiem, w dół ulicy jakieś sto metrów. Może uda ci się wypożyczyć narty w Szczyrku - powiedziałam. - Kumasz? Popatrzyl na mnie kpiąco.

- Kumam.

- W lodówce jest bigos i mnóstwo jedzenia. Częstuj się. Wrócę wieczorem - powiedziałam.

Przyszedł do kuchni, kiedy zmywałam naczynia po kolacji.

- Ciotka, widziałem w pokoju komputer. Masz jakieś gry?

- Nie mam. Komputer służy mi do innych celów.

- Eeee.

*

Następnego dnia wróciłam z pracy około siódmej. Bartek siedział przy komputerze i grał. Na ekranie monitora trup ściełił się gęsto. Strzelanina i krew. Bartek z obłądem w oczach pkrzykiwał na ludziki biegające w kółko, z karabinami. Najwyraźniej mieli go gdzieś.

Rzuciło mu się na mózg - pomyślałam.

W powietrzu unosił się lekki, ale wyraźny zapach papierosów. Jedzenie nieruszone.

Dotknęłam komputera, był gorący.

- Natychmiast go wyłącz - krzyknęłam. - Zepsuje się!

Czułam, że ręka zaczyna mnie świerzbic. Za chwilę mu przyleję... Nie, nie mogę. Jeszcze zgłosi na policję i mnie zamkną za znęcanie się nad dzieckiem?!

Trzeba zachować spokój. Wzięłam głęboki oddech i policzyłam do dziesięciu.

- Czy ty w ogóle gdzieś wychodziłeś? Dlaczego nic nie zjadłeś?

- Nie byłem głodny - mruknął nieprzytomnie. - Wychodziłem. Kupiłem grę.

Załamalam rękę.

- Pewnie piracką. Nie wprowadzaj mi takich rzeczy do komputera.

- Nie pękaj, ciotka. Spoko.

Można powiedzieć, totalny luz!

- I jeszcze jedno. Palileś papierosy.

Rzucił mi spojrzenie skrzywdzonego niewiniątka.

- Nie zgrywaj się. Wiem, że palileś, i oświadczam ci, że w tym domu się nie pali. Zrozumiano? Mam węch jak pies myśliwski, więc nie licz na to, że nie poczuję.

- Ciotka, tylko jednego. Naprawdę.

- Nie zamierzam cię ani umoralniać, ani pilnować. To zmartwienie twojej matki.

- Ona nic nie wie. Nie mów jej - prosił.

- Sam jej to powiesz. Koniec dyskusji.

Siedzieliśmy przy stole, jedząc odgrzewany bigos.

- Co zamierzasz tu robić? Przecież nie będziesz całymi dniami siedział przy komputerze. Zadzwońię do mojej koleżanki. Ona ma córkę w twoim wieku. Jeździ na nartach i na desce. Może coś ci pożyczy, a może nawet moglibyście pojeździć razem.

Nie wyglądał na zachwyconego. Nie powiedział ani tak, ani nie. Alina miała rację! Nie poradzę sobie.

- To mam dzwonić czy nie? - Zaczynałam się wkurzać.

- Dzwon. - Ciężko westchnął.

Miałam szczęście. Okazało się, że następnego dnia Lena z chłopakiem wybierają się

do Szczyrku pojeździć na desce i mogą go zabrać. Uprosiłam Irka, żeby pożyczył Bartkowi swój sprzęt. Będę teraz umierać ze strachu, że może go zniszczyć. Miałam złe przeczucia. Bartek zupełnie nie sprawiał wrażenia zainteresowanego czymkolwiek poza grami komputerowymi. Liczyłam dni do przyjazdu Ilony.

*

Grypa nadal w natarciu. Codziennie przyjmuję za dużo dzieci i jeszcze robię wizyty domowe. Jestem przemęczona. Do tego czuję, że zaczyna łamać mnie w kościach. Czyżbym łąpała infekcję? Przecież się szczepiłam.

Około południa telefon od Bożeny.

- Dzwoniła Lena. Podobno Bartek odłączył się od nich pod wyciągiem. Pokłócili się. Nic mu nie pasowało. Dzwonię, żebyś wiedziała. - W głosie Bożeny wyczułam niezadowolenie.

A to cholerny gówniarz. Nogi z dupy powyrywam - wściekłam się.

Nie mogę się skupić na pacjentach. Po kilka razy pytam o to samo. Nie rozumiem, co do mnie mówią. Wreszcie trzecia. Chwila przerwy między jedną pracą a drugą. Biorę taksówkę i jadę do domu (będę dopłacać do tego interesu).

Bartka nie ma. Gdzie jest, do jasnej cholery?!

Wyjmuję z zamrażalnika mielone na kolację i tą samą taksówką wracam do pracy.

Dzwonię do Bożeny. Ona nic nie wie. Zaczynam się martwić. Może jakiś wypadek?

Zabiję go, zabiję, jak wróci cały i zdrowy - miotam się bezsilnie.

W domu byłam po szóstej. Po Bartku ani śladu. Co robić? Gdzie on się podziewa? Dzwonić do szpitala czy na policję? Zaczynam wpadać w panikę, tym bardziej że Lena od dwóch godzin jest w domu. Rany boskie! Przecież on nie zna tych okolic. Mógł zabłądzić, wpaść w zaspę, zginąć. Takie wypadki się zdarzają, a zwłoki znajduje się dopiero wiosną, jak śnieg się roztopi. Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

Wreszcie się zjawił. W strasznym stanie. Ręka na temblaku, twarz poraniona, rękaw kurtki podarty. I do tego... jedna narta! A gdzie druga, pożyczona?

- Matko święta! Co się stało? - Aż przysiadłam z wrażenia.

- Ciociu - jęknął zbolalym głosem - jakiś palant na desce wrębał we mnie z całej siły. Przewróciłem się. Jedna narta gdzieś odjechała. Szukałem, ale nie znalazłem. I do tego, ciociu, chyba mam złamaną rękę. W ogóle nie mogę ruszać palcami i bardzo boli.

Miałam wrażenie, że w jego oczach błysnęły łzy. W końcu to dzieciak. Wielki, ale dzieciak. Mnie też chciało się płakać.

- Jak dostałeś się do miasta? I kto cię opatrzył? - Wskazałam obandażowaną rękę na

temblaku.

- Goprowcy. A przyjechałem autobusem.

Obejrzałam urażoną kończynę.

- Złamanie. Nie ma dwóch zdań. Jedziemy do szpitala.

Znowu taksówka.

W ambulatorium chirurgicznym prawdziwy horror. Tak jest, odkąd zlikwidowano pogotowie. To był naprawdę „genialny” pomysł i pozostanie we wdzięcznej pamięci zarówno pacjentów, jak i pracowników służby zdrowia. Tłumy połamańców, ranni z wypadków, ofiary bójek, napadów i zwykli pijacy. Mogę tylko współczuć lekarzom, którzy tu pracują.

Zanosi się na długie oczekiwanie. Nerwowo rozglądam się, czy nie zobaczę znajomej twarzy. Kogoś, kto pomógłby mi skrócić męki oczekiwania na wizytę u chirurga. Nic z tego. Nie znam tu nikogo. Kolejka posuwa się niemrawo. Przed chwilą policja przywiozła dwóch krewkich pijaczków. Są poranieni, obrzygani, wykrzykują przekleństwa, no i mają... pierwszeństwo w kolejce do lekarza i drogich badań.

Mijają dwie godziny, a my nie posunęliśmy się ani centymetr do przodu. Zaczyna mnie roznosić.

I wtedy nieoczekiwanie nadeszła pomoc w osobie mojego byłego męża.

- Agata? Co ty tu robisz? Coś ci się stało? - usłyszałam.

- Nie mnie. To mój... siostrzeniec. Złamał rękę na nartach. No i czekamy.

Mój były jest radiologiem w szpitalu.

- Mam dziś dyżur. Szkoda, że nie zgłosiłaś się od razu do mnie. Przecież wiesz, gdzie pracuję. Zabieram was. Najpierw prześwietlenie.

- To nic wielkiego. Złamanie w typowym miejscu. Trzy tygodnie w gipsie i będziesz zdrowy - zwrócił się do Bartka.

Ten uśmiechnął się blade.

Po kwadransie Bartek miał już założony bielutki, świeżutki gips. Mogliśmy wracać.

- Dziękuję ci, Krzysztof, za pomoc - powiedziałam nieco sztywno, starając się nie patrzeć na niego. - Inaczej siedziałabym tu chyba przez całą noc. Jeszcze raz dziękuję - powtórzyłam.

- Nie ma za co. - Krzysztof uśmiechnął się zagadkowo. - Siostrzeniec, mówisz? Przecież byłaś jedynaczką! - powiedział, zamykając za sobą drzwi pracowni rentgenowskiej.

No nie! O co mu chodzi? Nie mam siły o tym myśleć. Czyżby uznał Bartka za mojego... hm... chłopaka?? To wcale nie jest zabawne. Ja chcę do domu. A on... niech myśli, co chce. - Wzruszyłam ramionami.

Do domu wróciliśmy taksówką.

*

No i całą przyjemność szlag trafił. Tak się cieszyłam na przyjazd Ilony. Nie pisałam jej o wypadku, bo nie chciałam, żeby się martwiła. Za to teraz ja się martwię, jak ona zareaguje. Może będzie miała do mnie pretensje, że nie upilnowałam młodego? Pozostaje jeszcze problem zagubionej narty. Bożena i Irek stanowczo odzegnują się od jakichkolwiek roszczeń. Twierdzą, że narty były zużyte i stare, i w ogóle to nic się nie stało. Ale to się tak czasem mówi. Nienawidzę takich sytuacji!

Ilona przyjechała w piątek wieczorem. Ze zdziwieniem oglądała moje małe mieszkanie. W tym czasie Bartek siedział ukryty w łazience.

- Tak się cieszę! Nareszcie pogadamy - przywitałam ją. - Niestety, jest coś, co muszę ci powiedzieć - westchnęłam zrezygnowana. - Bartek, pokaż się.

Na widok syna z ręką w gipsie Ilona zaniemówiła z wrażenia.

- Nie martw się. Miał wypadek na stoku. Ręka jest złamana, na szczęście bez przemieszczeń. Chirurg twierdzi, że za trzy tygodnie będzie można zdjąć gips - wyjaśniłam. - Szkoda tylko, że mu się ferie nie udały. - Postanowiłam nic nie mówić o utraconym sprzęcie. Trudno.

Zjedliśmy kolację, na którą przygotowałam rybę po grecku. Potem Bartek siadł przy komputerze pomimo złamanej ręki i przeniósł się w wirtualny świat.

- To narobiliśmy ci kłopotu - zaczęła Ilona.

- Nie przesadzaj. Zwykle rodzinne sprawy - odparłam, smakując te słowa.

- Szkoda, że miał ten wypadek. Myślałam, że trochę się wy-szumi, wyhasa na tych nartach. Ostatnio mam z nim kłopoty. Nie słucha mnie, pali papierosy... wszystko odkąd mąż wyjechał - żaliła się.

- Nie przyjechałaś tu się zamartwiać. Wyrośnie - usiłowałam ją pocieszyć. - Ilona, pamiętasz, obiecałaś poszperać - przypomniałam o swoich sprawach.

- Pamiętam - zapewniła.

Niepewnie kręciła się po mieszkaniu. Przez chwilę przyglądała się akwariom. Obejrzała fotki stojące na regale, będące pamiątkami z moich nielicznych wojaży. Unikała mojego wzroku. Czulałam, że jest spięta, że coś ją dręczy. Co się dzieje, u diabła? Boże! A może czegoś się dowiedziała? Coś znalazła? Coś strasznego! I nie chce o tym mówić. Serce zaczęło mi bić jak zwariowane.

O, nie, kuzyneczko. Nic z tego. Wyśpiewasz wszystko jak na spowiedzi. To dla mnie zbyt ważne - powiedziałam sobie. - A zresztą, zniosłam już tyle. Byle co mnie nie zabije.

Udawałam, że nie zauważyłam niczego dziwnego w zachowaniu Ilony. Wyjęłam z barku butelkę wina i krakersy. Przysunęłam stojącą lampę. Umościłam się wygodnie na kanapie. Nalałam wina do kieliszków.

- Proszę, siadaj i opowiadaj. Znalazłaś jakieś ślady z przeszłości?

Podowała mi małą kopertę.

- Tylko tyle, kilka zdjęć. Przekopałam stary kufer w graciarni i wygrzebałam wśród papierów, które tam trzymam od śmierci mamy.

Odetchnęłam głęboko i wyjęłam zdjęcia. Były czarno-białe, nieostre. Nic dziwnego, miały prawie pół wieku. Na pierwszym trzy młode dziewczyny.

- Twoja matka z prawej, moja z lewej, a ciotka pośrodku - opisywała Ilona.

- Ile mogły mieć wtedy lat? - szepnęłam do siebie.

Na zdjęciu brakowało daty.

Patrzyłam na dziewczyny o jasnych włosach związanych w końskie ogony, w kwiecistych, letnich sukienkach. Uśmiechały się do aparatu. Były do siebie podobne! Siostry!

A ja? Za cholerę, nie byłam podobna do żadnej z nich. Uświadomiłam sobie, że ani w dzieciństwie, ani w młodości nie zastanawiałam się nad podobieństwem do rodziców. Taki problem w ogóle nie istniał. Dopiero po pamiętnym spotkaniu na cmentarzu zaczęłam o tym myśleć. Wcześniej zawsze słyszałam, że przypominam ojca - wysoka, ciemnowłosa, o szerokich kościach policzkowych. Co za ironia!

Matka miała jasne włosy i oczy, drobne rysy twarzy. Całkowicie odmienny typ urody.

Druga fotografia przedstawiała młodego mężczyznę obejmującego jasnowłosą, szczupłą kobietę.

- To twoi rodzice - szepnęła Ilona.

Ojciec wysoki i dobrze zbudowany, uśmiechał się szeroko. Ona patrzyła na niego z miłością w oczach.

Nie, ja nie mogę na to patrzeć. To zbyt boli. Nigdy ich takich nie widziałam. Nie chcę!! Dlaczego mam się katować? Z oczu popłynęły mi łzy.

- Co ci jest? - przestraszyła się Ilona.

- To nic, tylko alergia.

Grunt to odpowiednie wytłumaczenie.

Ostatnie zdjęcie - portret mojej matki. Skupiona i poważna, patrzyła w obiektyw, ale w kącikach ust tlił się uśmieszek. Z tyłu data - kwiecień 1961 roku, dwa lata przed moim urodzeniem.

To okropne! Wspomniałam koszmary senne. Nie wytrzymam. Powiem jej.

Nie, po co? - opamiętałam się. - To tajemnica. I niech tak zostanie.

- Czy ty ich kiedyś widziałaś? Czy ich znałaś? - naciskałam.

Ilona mówiła powoli, z namysłem, nie patrząc na mnie.

- Widziałam ich raz, może dwa. Nie lubiłam ich. Zawsze tacy... surowi, sztywni. Ale co chcesz, byłam dzieckiem. Nie przypominam sobie, żeby bywali na imieninach czy na świętach. Ciebie w ogóle nie pamiętam. Nie znałyśmy się - podsumowała.

Około jedenastej zrobiłam kilka kanapek, herbatę i postawiłam na stoliku. Ilona wyjęła kolejne zdjęcia.

- A to już moja rodzina: brat Antek, Iwona i ja. Zdjęcie z wakacji nad morzem. Mówiłam ci, że Antek od lat mieszka w Kanadzie. Wyjechał, właściwie uciekł na Zachód, w latach osiemdziesiątych. Poniewierał się jakiś czas - to tu, to tam. W końcu wylądował w Toronto. Dorobił się firmy transportowej. Dobrze mu się wiedzie. Założył rodzinę. A Iwonę poznałaś...

- Byłaś tam kiedyś? - przerwałam.

- Tak. Kilka razy. Był nawet okres, kiedy zastanawialiśmy się, czy też nie emigrować... Jakoś to się rozmyło. Ta Kanada... nie czułam się tam dobrze - opowiadała Ilona. - Właściwie mam tu dobrą pracę, nieźle zarabiam. Tylko z tym moim mężem kłopot... - wyrwało jej się.

- Kłopot? Co przez to rozumiesz?

- To trudny człowiek, uparty jak osioł i konfliktowy. Pracował w bankach i nigdzie nie zagrzał miejsca. Najgorzej było w jego ostatniej pracy. Dyrektorem mianowano kobietę. Nie mógł tego znieść. Nie tylko stale z nią zadzierał, ale buntował innych. I co gorsze - Ilona ściszyła głos - rozpowszechniał plotki, że jest niekompetentna, że dostała stołek przez łóżko. To było obrzydliwe. I ona musiała się go pozbyć. A miał tam dobrą pracę, w kredytach, ładnie zarabiał...

- To on jest takim męskim szowinistą? Jak się poznaliście? - zaciekawiałam się.

- Zwyczajnie. Na studiach. Byliśmy na jednym roku. Pochodzi ze wsi, z takiej patriarchalnej rodziny. O nie, nie myśl sobie. Na początku naszej znajomości zachowywał się bez zarzutu. Nabrałam się. Problemy pojawiły się po ślubie. On nie rozumie emancypacji kobiet. Z tego powodu różnie bywało w naszym małżeństwie. Kiedyś wręcz żądał, żebym rzuciła pracę, niby dla dobra dziecka. Potrafił odprowadzać i przyprowadzać mnie do domu. Grzebał w torebce. Śledził. Wszędzie wietrzył zdradę. Był nie do zniesienia. Dlatego też nigdy nie zdecydowałam się na drugie dziecko. Myślałam o rozwodzie, ale tak jakoś... A teraz cieszę się, że siedzi w Anglii. Przynajmniej mam trochę spokoju.

- Cóż chcesz, to tylko facet - wyrwało mi się. - Nie miałaś lekko. A powiedz mi, jak trafiłaś na moje ogłoszenie? - zmieniałam temat.

- Zawsze kupuję „Wieczór”. I tam znalazłam, po prostu.

- Ale dlaczego zdecydowałaś się odpowiedzieć? - drażylałam.

- Chyba czysta ciekawość. Sama dokładnie nie wiem. To trochę jak na czacie w Internecie albo randka w ciemno - tłumaczyła.

Zamyśliłam się.

- Rozmawiałaś o tym z Iwoną, prawda? Ona była przeciwna?

- Dlaczego tak myślisz? - Chciała się wykręcić.

- Hm. Odniosłam takie wrażenie w czasie świąt - wyjaśniłam.

- Racja. Nie będę kłamać. Uważała, że to niepotrzebne, niejasne, dziwne po tylu latach...

- Rozumiem ją. Ja sama dość nagle uświadomiłam sobie, że nie mam żadnej rodziny i że to niemożliwe. Wtedy dałam ogłoszenie...

Ilonie zamykały się oczy. Było dobrze po północy, a ona miała za sobą męczący dzień.

- O Boże. Przepraszam. Przecież ty ledwo żyjesz, a ja cię trzymam. Idziemy spać, a jutro wyciągnę cię w góry.

Leżąc w łóżku, pomyślałam, że rozumiem, dlaczego odpowiedziała na moje ogłoszenie. Czula się samotna, mimo męża i dziecka. Znajomych pewnie też miała niewielu. Jej mąż o to już zadbał - cholerny męski szowinista, zazdrosny o wszystko.

Nurtowała mnie jeszcze jedna sprawa. Miałam wrażenie, że Ilona mi o czymś nie powiedziała. Ale może tylko tak mi się wydawało.

*

Dzień był słoneczny i mroźny - minus dziesięć stopni. Powietrze przejrzyste. Widoczność wspaniała. Stałyśmy na szczycie góry i kontemplowałyśmy widoki.

- Przecudnie. Powinnaś być szczęśliwa, że mieszkasz w takim miejscu - rzekła Ilona.

Popatrzyłam na nią z wyrzutem. Ona też? Jak wszyscy! Nikt nic nie rozumie!

- Widok nie jest najważniejszy. Miałam inne plany na życie - powiedziałam sucho. - A skoro się napatrzyłaś, to idziemy do schroniska na herbatę.

Schodziłyśmy powoli wzdłuż lasu, zapadając się w śnieg. Dookoła nas śmigali narciarze.

W schronisku tłok i gwar. Wszyscy z trudem przepychali się pomiędzy stolikami. Ledwo udało się nam znaleźć dwa wolne miejsca. Zamówiłyśmy grzane piwo i sernik. Ilona

była podekscytowana.

- Czuję się jak w dzieciństwie na zimowisku - rozglądała się dookoła. - Podoba mi się. Patrz, prawdziwy kominek.

Rozejrzałam się po sali. Rzeczywiście, prezentowała się dość atrakcyjnie. Mogła kojarzyć się z zimowymi wakacjami czy świętami w górach. Tym bardziej że na ścianach wisiały resztki dekoracji z zabawy sylwestrowej (świerkowe warkocze ozdobione wstążkami i kolorowymi bombkami), a z sufitu zwisały obfite kule jemioli.

- Tak, ładnie tu. Niestety, każde wakacje się kończą i pozostaje szara codzienność. - Nie chciałam kontynuować tej rozmowy. - Opowiedz mi o swojej siostrze - poprosiłam.

- Nie jesteśmy zbyt blisko - westchnęła. - Ona jest dentystką, a jej mąż ma świetnie prosperującą firmę. Mają pieniądze. Przez to jest trochę... zrozumiła. Córki chodzą do prywatnych szkół. Wakacje w ciepłych krajach, zimowiska w Alpach. Dba o siebie - fryzjer, kosmetyczka, prywatny masażysta. Dobrze jej... - W głosie Ilony usłyszałam nutę zazdrości.

- Przecież mówiłaś, że ty i mąż... - zaryzykowałam.

- Gdyby był normalnym człowiekiem - wybuchła - to też moglibyśmy nieźle żyć... lecz ta jego zazdrość, problemy z pracą... Wyobraź sobie, że on nawet nie pozwala mi prowadzić auta. Macho - psiakrew. - Ilona podniosła głos.

- Ty jeździsz? - przerwałam jej. - To ci zazdroszczę. Nigdy się nie nauczyłam. Ten twój mąż to palant. I godzisz się na to? - Skrupulatnie wybierałam okruchy ciastka.

- Co mam robić? - Wzruszyła ramionami.

- A nie mogłabyś kupić małego, używanego? Wziąć kredyt, masz stałą pracę...

- Mogłabym. Ale byłoby piekło - oświadczyła.

- Zdaje się, że w naszej rodzinie są kłopoty z facetami - stwierdziłam ponuro.

Ilona uśmiechnęła się blado.

- Iwona ma dobrego męża, naprawdę.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu.

- Agata, przypomniałam sobie coś. Ty szukałaś też rodziny ojca. On nie był z Wrocławia, tylko z tych stron - wyskoczyła niespodziewanie Ilona.

Zatkało mnie! Ale numer!

- Jesteś pewna? - spytałam z niedowierzaniem. To dopiero niespodzianka!

- Tak. Pamiętam jak przez mgłę, jak matka o tym wspomniała w jakiejś rozmowie - zapewniła Ilona.

- To pewnie dlatego mnie tu wysłał. Załatwił pracę i mieszkanie. Jakiś czas mieszkałam w służbowym mieszkaniu. Miałam taką maleńką kawalerkę.

Zamyśliłam się. Wysłał mnie w swoje rodzinne strony, lecz nic o tym nie powiedział. Nie dał namiarów na żadnych krewnych. Czyli to nie był przypadek, że właśnie Belsk. Tu miał możliwości. Przypomniałam sobie zdarzenie sprzed lat, ze stażu.

Poproszono mnie do gabinetu ordynatora. Tam był KTOŚ WAŻNY. Szukał protekcji. Tak! Protekcji u mojego ojca. Wyglądałam wtedy rozpaczliwie niechlujnie. Zupełnie nie rozumiałam, czego ważniak chce ode mnie. Przyjrzał mi się i zrezygnował z rozmowy, tłumacząc, że zaszło nieporozumienie. Szybko zapomniałam o całej sprawie. A to mógł być istotny sygnał. Gdybym wtedy chciała to drażnić...

- Wracajmy - szepnęłam - dzień jest krótki. Za chwilę będzie się ściemniać.

Szłyśmy przez zimowy las, biały i cichy. Śnieg chrzęścił nam pod nogami. Z gałęzi drzew osypywał się lekki śnieżek. Kilka saren bezszelestnie przemknęło przez drogę.

- Mów, co chcesz, ale tu jest naprawdę pięknie - zaczęła Ilona.

Spojrzałam na nią groźnie.

- Chodźmy szybciej, bo będziemy tu nocować. Było zupełnie ciemno, kiedy dotarliśmy do domu.

*

Następnego dnia wyjeżdżali. Zamówiłam taksówkę. Ilona była podminowana. Sądziłam, że to podróż na nią tak wpływa.

- Agatko, to początek, mam nadzieję. Może przyjechałabyś do nas na Wielkanoc? - Ilonie głos się łamał.

- Chętnie przyjechałabym w maju, gdy kwitną azalie - odpowiedziałam uprzejmie.

- Oczywiście, zapraszam. Bartek - zwróciła się do syna - znieś bagaż do taksówki.

Zostałyśmy same.

- Mam jeszcze coś dla ciebie. - Ilona wyraźnie była zmieszana i zdenerwowana. - Nie dałam ci tego wcześniej, bo myślę, że chciałabyś to przejrzeć w samotności.

Podawała mi niewielki notatnik w spłowiałej oprawie. Wytłoczony na okładce wyraz „pamiętnik” zdawał się mówić wszystko. Zdumiona obracałam go w dłoniach.

- Skąd go wzięłaś? Co to jest?

- Znalazłam w kufrze, w gradami, razem ze zdjęciami, na samym spodzie. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Czy moja matka dostała go od twojej, czy sama wzięła z domu po jej śmierci? Nie wiem. Na pierwszy rzut oka wyglądał na zwykły pamiętnik. Są tu wpisy koleżanek. Ale kilka ostatnich stron... Przyznaję, że trochę przejrzałam - tłumaczyła się Ilona.

Akurat, przeczytałaś wszystko. Umierałaś z ciekawości. Popatrzyłam na nią badawczo. Spuściła wzrok.

- Pamiętaj, wszystko było, minęło, skończyło się dawno. To - wskazała pamiętnik - niczego w twoim życiu nie zmieni. Przepraszam. - Zrobiła taki ruch, jakby chciała mnie objąć. Odsunęłam się.

Pobiegła do taksówki.

*

Usiadłam na kanapie. Serce biło mi szybko. Obracałam w dłoniach niewielką brązową książeczkę. Jaka cieniutka - pomyślałam. Cokolwiek w niej jest, muszę się z tym zmierzyć. To niczego nie zmieni w moim życiu. Jak powiedziała Ilona. Powoli odwróciłam okładkę. Na pierwszej stronie ozdobne esy-floresy i podpis „Pamiętnik Anny Zawady klasa 7b”.

Zawada - to nazwisko panieńskie mojej matki. Kilka pierwszych stron to typowe wpisy koleżanek: „na pamiątkę... ku pamięci... na górze róże...” i rysunczki: słoneczka, kwiatki, całujące się gołąbki. Potem ślady po wyrwanych kartkach, jedna przybrudzona i nagle od nowej strony równe, czytelne pismo mojej matki.

Serce zabiło mi mocniej. Nie obejdzie się bez wspomagania. Nalałam kieliszek metaxy. Czas na lekturę.

23.09.63.

Wczoraj Janek przywiózł nas do Wrocławia. Kilka dni temu ogłoszono koniec epidemii czarnej ospy. Nie chciałam wracać. Na wsi miałam spokój. Dzieckiem zajmowała się matka Janka. Czasem do pomocy przychodziła położna z izby porodowej Obserwowały mnie. Udawałam, że tego nie widzę. Całymi dniami siedziałam na ławeczce przed domem, patrzyłam na pola i sady. W oddali były góry. Mogłam nie myśleć.

26.09.63.

W mieście jest gorąco. Duszę się. Dziecko skończyło już 6 miesięcy. Choruje. Ciągłe ma wysypkę. To dlatego, że nie karmię. Nie mogę. Na samą myśl o tym wymiotuję.

1.10.63.

Janek się do mnie prawie nie odzywa. Do dziecka też się nie zbliża. Nie może mi wybaczyć, że nie usunęłam ciąży. Wraz z powrotem do domu powróciły nocne koszmary, wspomnienia. Wciąż śni mi się mała uliczka, kiosk z kwiatami i zepsuty neon migający białozielonym światłem.

Nade mną on. Ma czarne, diabelskie oczy. Czuję chłód noża przy szyi, widzę błysk. Nie mam siły się bronić.

Dziecko ma JEGO oczy!!!

12.10.63.

Wczoraj przysła Marysia, moja przyjaciółka ze studiów. Chciała się ze mną

zobaczyć. Janek jej nie wpuścił. Powiedział, że jestem chora.

W moich oczach nie ma już łez, a w sercu uczuć. Jestem jak ameba, tylko plazma i błona komórkowa.

20.01.64.

*Dziecko skończyło 10 miesięcy. Stoi w łóżeczku. Ma ciemne włosy i usta jak Janek i...
Dziś stała w łóżeczku i śmiała się.*

Wyciągnęła do mnie rączki. W pierwszej chwili chciałam ją podnieść i przy tulić. Nie zrobiłam tego, tylko odwróciłam się i odeszłam. Zaczęła płakać. Sprawilo mi to przyjemność.

22.03.64.

Agata skończyła rok. Chodzi.

Janek się do mnie nie zbliża. Białe małżeństwo. Może to dobrze, bo nie wiem, czy po tym wszystkim potrafiłabym. On się chyba mnie brzydzi. Nigdy o tym nie rozmawiamy.

1.04.64.

Agata płakała w nocy. Nie potrafiłam jej uciszyć. Uderzyłam ją. Ucichła na chwilę, po czym rozplakała się na dobre. Chciałam ją bić, aż zamilkłaby na zawsze. Czasem boję się siebie.

7.05.64.

Źle sypiam. Nie pomaga waleriana ani luminal. Śni mi się znowu. On. JEGO oczy. Popsuty neon nad głową. Kiosk z kwiatami w ciemnej uliczce. Błysk noża.

To się nigdy nie skończy.

18.06.64.

Była moja siostra. Chyba się czegoś domyśla. Ja jej nic nie powiem, nigdy. Bawiła się z Agatą. Mała śmiała się wesoło. Patrzyłam i pomyślałam sobie, że to tylko dziecko. Nic nie wie, nic nie rozumie. Nic nie jest winne. A jednak jest jego częścią. I ja na to nic nie poradzę.

Nie daję sobie rady.

Myślałam, że będzie inaczej.

26.07.64.

Dziś moje imieniny.

W nocy podobno krzyczałam. Janek nie reagował. Nie mogę tak żyć. On zabrał mi życie i rodzinę. Byłoby lepiej, gdyby wtedy mnie zabił.

21.09.64.

Agata ma 18 miesięcy.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek przypomina mi JEGO. Nie mogę na nią patrzeć. Boję się, że mogłabym zrobić jej coś złego. Co robić? Nie wytrzymam tak dłużej. Chyba skończę ze

sobą...

Trzeba było usunąć tę ciężę.

W ostatnim wpisie niechlujne, rozmazane litery zachodziły na siebie, kolejne ślady po wyrwanych kartkach. I na tym koniec. To wszystko...

Tak, matko, gdybyś usunęła tę ciężę, może miałabyś inne dzieci, prawdziwego męża i rodzinę. I żylibyście długo i szczęśliwie. Twoje poświęcenie nic nie dało. Nie potrafię ci współczuć ani odczuwać wdzięczności. Przykro mi. Przeżyłam piekło. Ty byłaś ofiarą i katem. Ja byłam tylko ofiarą.

Nalałam drugi kieliszek.

Ilona miała rację. Nic się dla mnie nie zmieniło. Właściwie wszystko wcześniej wiedziałam. Taka przysłowiowa kropka nad „i”. Pamiętnik nie zdziwił mnie ani nie zaskoczył. Właśnie coś takiego sobie wyobrażałam!

*

Jestem dziwnie spokojna. Widocznie moje możliwości emocjonalne się wyczerpały. Tylko w gardle siedzi coś jak duża kostka lodu, a chłód od niej spływa na całe moje ciało.

Ilona przysłała rozpaczliwe e-maile. Nawet nie chce mi się odpisywać.

Przetrwiałam kolejny tydzień. Czulałam się trochę dziwnie, jakbym funkcjonowała na zwolnionych obrotach i wszystko przepływało obok. Rysy twarzy, kontury przedmiotów były zamazane, a od rzeczywistości oddzielała mnie przejrzysta zasłona. Znów podpierałam się tabletkami. Czas mijał, a rzeczy i ludzie powoli nabierali kształtów i kolorów, a ja ostrości spojrzenia. Przeształam snuć się po świecie jak senna mara.

*

Synowa Bożeny urodziła córeczkę. Dwa tygodnie przed terminem. Bożena zawiadomiła mnie tydzień po fakcie. Poczulałam się nieco urażona, że nie poprosiła mnie, żebym zajęła się dzieckiem.

Czyżby za wysokie progi...

Czy ja oszalałam? Przecież to nie jest dziecko Bożeny.

*

Od rana jestem podminowana.

Nastoletnie bliźniaki - chłopiec ma wysypkę i gorączkę, a dziewczynka anginę bez gorączki. W sumie mają jedną szkarlatynę.

Jak podzielę na dwa, to co mi wyjdzie?

Psiakrew. Żadna choroba nie przebiega tak jak należy. Czyja to wina?

*

A wyrostki? Robaczkowe, oczywiście!

Przypadek z wczoraj - bez gorączki, wymiotów. Mogłam też zapomnieć o punkcie McBurneya, twardym brzuchu oraz śmiesznych ćwiczeniach, które zwyczajowo wykonuje się w celu rozpoznania zapalenia wyrostka robaczkowego. Nic z tego!

Mój pacjent miał mięciutki, lekko wzdęty brzuszek, 36,6. I tylko wyglądał niewyraźnie. Dziś jest już po operacji.

A mogłam być bohaterką tabloidu: na przykład taki tekścik - „Zbrodniczy brak profesjonalizmu. Lekarka nie rozpoznała zapalenia wyrostka. Dziecko walczy o życie w szpitalu. Gdyby nie wierny pies...”. W tle - zdjęcie wiernego psa ciągnącego dziecko za rękaw koszulki do szpitala.

I pomyśleć. Tyle straciłam. Taką reklamę.

*

Z samego rana zgłosił się młody chłopak. Wyglądał marnie: chudy, szary. Chciał zwolnienie ze szkoły, bo źle się czuł. Uznałam, że chce mnie naciągnąć, że pewnie zabalował poprzedniego dnia, jest nieprzygotowany do lekcji i szuka rozwiązania. Ale naprawdę kiepsko wyglądał.

- Dam ci to zwolnienie, jeśli teraz pójdziesz do laboratorium i zrobisz badania. Wrócisz z wynikami, wtedy ci wypiszę. Umowa stoi? - zapytałam. Nie był zachwycony.

Myślałam, że to oleje. A tu po dwunastej telefon z laboratorium:

- Pani doktor, ma pani cukrzycę, ponad pięćset! - powiedziała laborantka.

- Rany boskie. Kto?

Matko święta, to ten młody, niedoszły symulant. Czułam, że mu coś jest! Przecież on może paść gdzieś na drodze. Telefonuję do domu. Na szczęście zastaję matkę. Tłumaczę, co się stało. Jest zdezorientowana.

- Przecież on jest w szkole - mówi bez sensu.

- Nie ma go w szkole. Jest poważnie chory. Musi natychmiast iść do szpitala - denerwuję się.

W końcu matka zrozumiała, że sprawa jest poważna.

Jak dowiedziałam się później, zaangażowała kolegów i ci znaleźli go po dwóch godzinach w małej knajpce, koło szkoły. Siedział tam nad kufelkiem piwa. Był w zupełnie dobrej formie!

Ale co przeżyłam, to moje!

*

Wczoraj były moje urodziny. Nieważne które. I tak nie obchodzę. Do emerytury

jeszcze czternaście lat. Niestety!

Umówiłam się w szpitalu z Baską, na badania. Od pewnego czasu mam drobne dolegliwości. Nie, nic dramatycznego. Niemniej nasuwają mi się nieprzyjemne skojarzenia z...

- W twoim wieku może należałoby pomyśleć o HTZ? - zasugerowała Basia.

- No co ty - szepnęłam. - W jakim wieku? Jestem młoda. To na pewno tylko drobne zaburzenia.

- Jako lekarz - burczała - sama powinnaś wiedzieć.

I co z tego, że lekarz? Pediatria ma się znać na ginekologii? W moim wieku niektóre kobiety rodzą dzieci, co oczywiście nie oznacza, że też bym chciała - tłumaczyłam sobie w myślach. - Ale klima? Niemożliwe.

- Daj mi coś. Jeśli przez trzy miesiące nie pomoże, wrócę.

Niezadowolona Basia mruczała pod nosem:

- Tak się leczy lekarza.

W końcu zgodziła się łaskawie:

- Niech ci będzie.

Wyfrunęłam ze szpitala.

- To przejdzie. Wiem na pewno.

*

Powoli pojawiają się oznaki wiosny. W powietrzu czuć ten specyficzny zapach, pochodzący z wilgotnej ziemi i topniejącego śniegu. Ptaki rano coraz głośniejsze świergają. Na magnoliach już pierwsze pączki. Przebiśniegi w ogródkach kwitną na całego. Gdzieniedzie rozkwitają pomarańczowe i niebieskie krokusy.

*

Byłam na patronażu. Młoda kobieta urodziła trzecią córkę. Dziecko duże, zdrowe i ładne. A mama przygnębiona. Czyżby poporodowa depresja? Przez pokój przebiegł mąż, właściciel dużego warsztatu samochodowego.

- Zobaczysz pani, pani doktor, jeszcze się doczekam syna - mówi i już go nie ma.

Smutek na twarzy kobiety zamienia się w rozpacz. Patrzę na nią pytająco. Kobieta zaczyna płakać.

- On mi nie da spokoju, pani doktor, dopóki nie urodzę syna. On chce mieć następcę, który przejmie po nim biznes.

Nie wiem, co powiedzieć. Że kolejne dzieci też mogą być dziewczynkami? A czy córka nie może prowadzić rodzinnego biznesu? Czy my jesteśmy w jakichś cholernych

Indiach, gdzie dziewczynki się zabija? A może poradzić jej, żeby założyła spiralę?

Nie, to nie moja sprawa. Ona musi sama podjąć decyzję, czy chce być z człowiekiem, który traktuje ją jak... krowę rozplodową. Koszmar!

*

Po tej wizycie wróciłam wściekła. Gdzie ja żyję? Dlaczego w tym kraju o kobietach decydują faceci, a często faceci w czarnych kcieckach! Z drugiej strony, to kobiety wychowują synów, więc są za to w jakimś stopniu odpowiedzialne. Byłam wściekła i żądna krwi!

I wtedy nawinął się tatuś. Przyszedł z synem, który wbił sobie drzazgę w pośladek. Popatrzyłam.

- Ja tego nie usunę, nie dam rady - stwierdziłam. - Dam skierowanie do chirurga.

- Jak to pani nie usunie?

- Zwyczajnie. Mówię przecież, że nie potrafię. Nie jestem lekarzem zabiegowym.

- Myślałem, że taki drobiazg to każdy lekarz... - Głos tatusia zaczął się podnosić.

O nie, nie myślę niczego wysłuchiwać!

- Niech pan posłucha - powiedziałam ostro. - Skoro to taki drobiazg, to dlaczego pan sam nie usunie? A jeśli o mnie chodzi, to mam dwie lewe ręce. Gdyby nie to, nie byłabym pediatrą, tylko ginekologiem, robiłabym skrobanki i żyła jak królowa. - Odwróciłam się i wyszłam.

Niech sobie myśli, co chce!

A swoją drogą to jak zaczynałam pracę dwadzieścia lat temu, nigdy nie miewałam takich „przypadków”. Ludzie byli o wiele bardziej samodzielni. Teraz, kiedy przychodnie można znaleźć na każdym rogu ulicy, to przychodzą z duperelami.

Jeśli chodzi o mnie, to rzeczywiście brakuje mi talentów manualnych. Nie ma mowy o manipulacjach z igłą.

*

Początek kwietnia był wilgotny i ciepły. Na drzewach pojawiły się liście. W ogrodach kwitły magnolie. Właśnie skończyłam pracę i postanowiłam przejść się przez miasto, zamiast jechać autobusem. Dla zdrowia!

Dla zdrowia? Śmiech na sali. Dla zdrowia to należy chodzić na basen, jeździć na rowerze, biegać. A nie po dziesięciu godzinach pracy wlec się przez śmierdzące, zapyziałe miasto.

Szłam bocznymi uliczkami, unikając zapachu spalin i obłądnego ruchu samochodowego na pobliskiej przelotówce. Mijałam właśnie kamienicę, w której Basia miała swój gabinet. Wstąpię do niej - pomyślałam.

Basia siedziała przy biurku i czytała gazetę.

- Cześć. Przechodziłam i postanowiłam zajrzeć. Co słychać?

- W porządku. A jak twoje sprawy? - Spytała znacząco.

- Nie minęły jeszcze trzy miesiące. Ale nie jest źle. Wiesz, że Alina się rozwodzi i wyjeżdża z Belska. Wraca do Kielc. Ma już pracę - oznajmiłam.

- O... - zdziwiła się Basia

Tylko tyle? Byłam zawiedziona.

Drzwi do gabinetu się otworzyły. Przyszła pacjentka. Basia uśmiechnęła się miło.

- Czekałam na panią - powiedziała. - Zapraszam.

Zebrałam się do wyjścia.

- Poczekaj! - zawołała Basia, przytrzymując drzwi. - Chcę ci coś powiedzieć. To okropna historia! Córka Beaty, najstarsza, uciekła z domu! Zostawiła kartkę: „nie szukajcie mnie”. Beata jest w szoku, nie pracuje. Podobno jeździ po mieście i okolicy, szuka jej po dworcach, melinach. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. - Basia potrząsnęła głową.

Z wrażenia opadłam na krzesło w poczekalni.

- O Boże!

- To się stało jakieś trzy tygodnie temu. Nikt nic nie wie - ciągnęła Basia. - Ani jej szkolni koledzy, ani nauczyciele. Policja jej szuka. Zgłosili też w Itace. Na razie kamień w wodę.

- Biedna Beata. Zawsze podejrzewałam, że dzieci to kiepska inwestycja - stwierdziłam ponuro. - Kłopoty i kłopoty. I tak całe życie. Zwyczajna niewola. Starasz się, dbasz, karmisz, kochasz, a zostaje ci kartka „nie szukajcie mnie”.

Basia patrzyła lekko zaskoczona.

- Nie uważasz, że zbyt czarno to widzisz?

- Bynajmniej. Ty swoje też przeżyłaś - powiedziałam z naciskiem. - A ja się cieszę, że takie problemy mnie nie dotyczą - dokończyłam.

- Och, Agata! Wieczna pesymistka - westchnęła Basia. - A teraz przepraszam, muszę zająć się pacjentką.

*

Alina jest praktycznie nieuchwytna, zajęta przeprowadzką. Działa jak nakręcona. Poziom adrenaliny podskoczył u niej do granic możliwości.

Tylko raz udało mi się z nią porozmawiać, oczywiście przez telefon. Nasze spotkania w kafeterii odeszły w przeszłość. Podniecona planowanymi zmianami - nową pracą, nowym życiem - na nic nie ma czasu. Przewyciężyłam zahamowania i zapytałam ją o warunki

finansowe, jakie jej oferują. Kiedy odpowiedziała, opadła mi szczęka. Może i dla mnie znalazłoby się tam miejsce?

W ferworze przygotowań zdążyła mnie jeszcze zaprosić na pożegnalne spotkanie, tuż przed świętami.

*

Naszego kierownika nadal nie ma. To już trzy miesiące. Po prostu zniknął. Może się ukrywa? Podobno był... jest na zwolnieniu chorobowym. Dobrze poinformowani twierdzą, że porzucił przychodnię i już pracuje w szpitalu w sąsiednim mieście. Dobrze poinformowani twierdzą też, że w przychodni są duże nieścisłości w dokumentacji i nierozliczone pieniądze.

Szczury uciekają z tonącego statku.

Muszę coś ze sobą zrobić - natychmiast!

*

Wieczorem idę do Aliny. To już ostatni raz. Za kilka dni zniknie z Belska i zapewne z mojego życia. Smutno mi. Jednak zamartwianie się sprawami, na które nie mamy wpływu, jest bez sensu.

Alina przyjęła mnie w niemodnej, różowej, wieczorowej sukni, mocno przezroczystej, z szerokimi długimi rękawami i szeroką spódnicą do ziemi.

Patrzyłam na nią zdumiona.

- Nie zabieram jej ze sobą, więc trochę jeszcze w niej pochodzę - oświadczyła.

W salonie brakowało większości roślin, kilku obrazów i starej komody.

- Pusto tu - zauważyłam.

- Już wszystko spakowane. Na jutro mam transport. - Machnęła ręką.

Alina zapalała świece poustawiane dosłownie wszędzie. Trochę mi ta dekoracja działała na nerwy.

- Trzeba było kupić gromnice, pasowałyby do nastroju - powiedziałam z przekąsem.

Nie zareagowała na moją uwagę.

- A komputer? Komputer zabierasz? - przypomniałam sobie.

- Niestety. Komputer należy do męża.

- To jak będziemy się kontaktować?

- Witek ma komputer. Nie martw się. Nie będzie problemu. Siadaj.

Na stoliku stały tace z przekąskami, orzeszki i słone paluszki. W dużym dzbanku był sok pomarańczowy, w którym pływały kostki lodu. Alina przyniosła czystą wódkę.

- Nalewaj - powiedziała.

- To co? Za nowe życie, za dobry początek... może za nową miłość?

Nie jadłam dziś prawie nic, więc alkohol uderzył mi do głowy. Rozkleiłam się.

- Tak, ty w tych swoich Kielcach zaczniesz robić karierę. Jesteś młoda, może jeszcze wyjdiesz za męża. A mnie tu zostawiasz - chlupałam - w tym bagnie.

- Odbiło ci. Nie zostawiam cię. Przysięgam. Zobaczysz, w przyszłym roku znowu pojedziemy na wakacje - zapewniała Alina. - I na pewno nie wyjdę za męża. Jedno małżeństwo mi wystarczy na całe życie. Mowy nie ma! - Zaczęła popłakiwać.

Wypiłyśmy już kilka drinków i język nam się płacze. Bredzę bez sensu.

- A kobiecie potrzebna jest druga kobieta (gdzieś to słyszałam). Faceci są do niczego. Egoiści - myślą tylko o sobie i o seksie.

- Nie chcę żadnego faceta - bełkotała Alina.

- Tak się tylko mówi. Jesteś młoda i ładna. Nie to co ja. Jestem już po drugiej stronie - szlochałam.

- Po jakiej drugiej stronie? Co ty gadasz?

- Wiem, co mówię. HTZ...

Urwał mi się film.

Obudziłam się z okropnym bólem głowy i suchością w ustach. Słońce ostro świeciło w okna pozbawione zasłon. Zasłony też zabrała? - zdziwiłam się.

Cisza!

- Alina, żyjesz?

Cisza!

Zwlokłam się z kanapy i poszłam do kuchni. Zrobiłam kawę. Potem weszłam pod zimny prysznic, który przywrócił mi nieco do życia. Zegar wybił jedenastą. Ruszyłam na poszukiwania. Alinę znalazłam w sypialni. Była lepsza ode mnie, skoro się tu dowlokła.

- Budź się. Jest późno. Mówiłaś, że masz jakiś transport. - Potrząsałam nią.

- O Boże, rzeczywiście, o dwunastej. - Zerwała się. Wyglądała okropnie: czerwone oczy, opuchnięte powieki.

- Moja głowa - zajęczała.

- Idź pod prysznic, pomoże.

W ciągu godziny doprowadziłyśmy się do stanu używalności. Samochód rzeczywiście przyjechał o dwunastej. Zaczęli wynosić rzeczy. Czas się zmywać. Zamówiłam taksówkę.

- Ja już jadę. Alina, żegnaj - powiedziałam melodramatycznie.

- Ty znowu swoje. Wszystko się ułoży, zobaczysz! Pa! Siedziałam w taksówce z nosem przy szybie, patrząc na Alinę.

Stała w tej idiotycznej, różowej sukience do ziemi w oślepiającym świetle dnia,

machając na pożegnanie. W końcu znikła z pola widzenia.

To koniec, pomyślałam.

*

Oficjalnie już wiadomo, że kierownik istotnie porzucił pracę. Teraz ma lepszą. Okazuje się, że nie wszyscy muszą przestrzegać kodeksu pracy. No tak, zawsze są równi i równiejsi. Zdumiewające, tym bardziej że pracował w firmie, która nie da sobie w kaszę dmuchać...

Niemniej sytuacja się skomplikowała. Nie ma kto przyjmować. Postawiłam się ostro. Żadnych dorosłych. Za te pieniądze?

Urszulka chodzi wykończona.

Trudno. Ja jej nie pomogę. Jak świat światem, jest tylko jeden sposób motywacji - pieniądze!

*

Od wyjazdu Alina bombarduje mnie płaczącymi e-mailami i SMS-ami: „nie poradzę sobie”, „po co mi to było” itp. Mam dość. Nawet nie chce mi się jej odpisywać. Przed nią nowe życie, a ona marudzi. Co ja mam powiedzieć? - pracuję u bankruta. Niedługo pewnie będę wachać zieloną trawkę.

Muszę w końcu podjąć działania!

*

Zaliczyłam przesłuchanie na policji. Jakiś czas temu miałam przypadek „śmierci łóączkowej”. Zmarło sześciomiesięczne zupełnie zdrowe niemowlę, piąte dziecko w rodzinie. Sekcja nic nie wykazała.

Policjant w cywilu, który ze mną rozmawiał, nawet miły. Tak bardzo chciał usłyszeć, że coś nie w porządku działo się w tej rodzinie, że po kilka razy zadawał mi te same pytania. Potem musiałam podpisać zeznanie, w którym zauważyłam kilka błędów ortograficznych. Popatrzyłam na niego. Powiedzieć czy nie? Przypomniałam sobie, jak bardzo jestem skorumpowana - te kawy, te czekoladki. Zrezygnowałam. Zamknęłam oczy i podpisałam.

A nieszczęsna kobieta ma przechlapane. Osiedlowe baby już ogłosiły ją zabójczynią. Starsze dzieci są prześladowane w szkole i na podwórku.

*

Wreszcie się zdecydowałam. Ruszyłam tyłek i pojechałam do Izby Lekarskiej. W końcu kto jak kto, ale oni powinni się tym zajmować: prowadzić jakąś giełdę ofert, mieć informacje o wolnych miejscach.

A guzik!

Pani w sekretariacie nieprzyjemnym tonem powiedziała:

- W holu jest tablica, może się pani tam powiesić!

Wieszać to ja się będę później. Kurna, to moje składki idą na taką lafiryndę?! - oburzyłam się.

- To nikt w Izbie nie prowadzi czegoś w rodzaju pośrednictwa pracy? - spytałam ostrym tonem.

- Nikt. - Lafirynda wzruszyła ramionami.

Popatrzyłam na nią z nienawiścią.

- To po co wy tu w ogóle jesteście? Żeby pierdzieć w stołki?! - krzyknęłam i wyszłam, trzaskając drzwiami.

Pieprzone izby! Towarzystwo wzajemnej adoracji! Płacę składki, bo mi nie wolno nie płacić. A na co płacę? Żeby urządzali zawody narciarskie czy tenisowe albo rozbijali się po świecie w ramach kontaktów z Polonią? A takie przyziemne sprawy jak praca na rzecz lekarzy mają gdzieś!

„Tylko bomba atomowa...” - huczało mi w głowie, kiedy zbiegałam po schodach.

Jakby tego było mało, przy wyjściu zderzyłam się z Jurkiem. No nie! Zatrzymał się, chciał coś powiedzieć. Nie miałam najmniejszego zamiaru słuchać. Chciałam go ominąć, ale złapał mnie i mocno trzymał.

- Co się dzieje? - zapytał. - Dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

- Przez te pieprzone izby! - krzyknęłam. - Nie zajmują się tym, czym powinny. Tylko działalnością rozrywkową. A ja na to płacę. - Puściły mi nerwy i rozplakałam się.

Jurek objął mnie i przytulił. Przez chwilę poczułam się taka bezpieczna... Odepchnęłam go.

- Praca mi się sypie, nie wiem, co robić, a oni...

Jurek znowu mnie objął.

- Chodź, odwiozę cię do domu. Na pewno nie będzie tak źle.

- Będzie, będzie. Wiem to. Mam przecucie, instynkt - prawie krzyczałam.

Wściekałam się i płakałam. Usiłował mnie uspokoić. Nawet nie zauważyłam, że idzie za mną i wchodzi do mieszkania. Zaczęliśmy się całować i po chwili wylądowaliśmy w łóżku...

Siedziałam na łóżku oparta o poduszkę. Jurek spał spokojnie, lekko pochrapując. Patrzyłam na niego. Jak to się stało? Co ja najlepszego zrobiłam? Jestem dziwką, gorzej... idiotką!

Wstałam, zrobiłam sobie herbatę. Na zegarku była ósma. Późno. Muszę go obudzić i

niech idzie w diabły.

Potrząsnęłam nim lekko. Otworzył oczy i uśmiechnął się przymilnie. Objął mnie i przyciągnął do siebie.

- Może to powtórzymy?

No nie! Ten facet jest stuknięty.

- Nie wygłupiaj się. Późno, wstawaj i idź sobie.

- Ależ, kochanie... - protestował.

Jakie kochanie, jakie? - pomyślałam, wyplątując się z jego objęć.

- Nie chcesz, żebym został na noc? Mogłoby być jeszcze miło. - Mrugnął porozumiewawczo.

On jest nienormalny.

- Jurek, nasz romans skończył się dawno temu. Nie chcę do tego wracać. Nie będę twoją pluszową przytulanką, którą można w każdej chwili porzucić. A tak a propos. Co u Marzeny? Nadal w Danii? - usiłowałam ustalić priorytety.

Popatrzył na mnie ze złością, ale odpowiedział:

- Za kilka miesięcy wróci na stałe do kraju. Dzieci tam zostaną, może na zawsze.

- Czyli jesteś nadal żonaty, prawda?

Widziałam, że jest zły.

- Nie miałeś orgazmu? - rzucił.

Proszę, proszę, macho się odezwał. Biedaczek. Odrzucony. Jego ego upomina się o daninę...

- Czy do ciebie nic nie dociera? To nie chodzi o orgazm, tylko o całe życie - zdenerwowałam się. - Wracaj do domu. Czekaj na żonę. A mnie daj spokój. Już raz cię o to prosiłam, prawda?

- Wy, kobiety, wszystko komplikujecie - burknął. - Kilka godzin temu nie byłaś taka niechętna - zauważył, złośliwie się uśmiechając.

- Spadaj. Wynoś się! - krzyknęłam.

Wybiegł z mieszkania, nie patrząc na mnie. Trzasnął drzwiami. Byłam trochę oszołomiona całym zdarzeniem. No, ale przynajmniej jedno do mnie dotarło - nic do niego nie czuję.

*

Bożena jak zwykle zaprosiła mnie na inaugurację sezonu grillowego, pierwszego maja. Rano padał niewielki deszczyk i było chłodno. Nici z tego grilla - pomyślałam. Na szczęście, około południa chmury się rozeszły, pokazało się słońce i zrobiło się cieplej.

Włożyłam polar i o czwartej stałam przed furtką.

Powitał mnie, radośnie machając ogonem, młody golden retriever.

- Widzę, że już macie psa. Słodki. Jak się wabi? - spytałam, głaszcząc go po łbie.

- Kama. To suczka. Uważaj, bo cię pobrudzi - powiedziała Bożena, patrząc, jak pies łąsi się i podskakuje.

Ziemia była mokra i Kama zostawiła ślady swoich łap na moich spodniach. Trudno.

- Jest cudowna. - Potarosiłam ją trochę.

- Chodźmy do altany. Tam wszystko przygotowałam - zawołała Bożena. Schodziła po schodach, niosąc miskę pełną przyprawionego mięsa i kielbasy. - Uważajcie, żeby Kama się do tego nie dobrała - powiedziała, stawiając ją obok grilla, przy którym już krzątał się Irek.

Pies krążył, wietrząc smakowite zapachy, a miał taką śmieszoną minę... Ułamałam kawałek kielbasy i jakby nigdy nic rzuciłam w jego kierunku.

- Agata, nie rób tego, bo ona się przyzwyczai. - Nic nie uszło uwadze Bożeny.

Nalała piwa, przysunęła słone paluszki.

- Pamiętasz, że prawie rok temu też zaprosiłaś mnie na grilla. Zaraz po moim powrocie z Wrocławia. Ile się zmieniło przez ten czas - westchnęłam nostalgicznie. - Ty zostałaś babcią, Basia wyszła za męża, Alina rozwiodła się i wyjechała, ja zaliczyłam romans... No i znalazłam kuzynkę.

263I dowiedziałam się, że jestem dzieckiem z gwałtu. Ale to tajemnica.

Piliśmy piwo i pogryzałyśmy w milczeniu paluszki. Mięsko skwierczało przyjemnie, zapach unosił się dookoła.

- Gotowe - zawołał Irek.

Wzięłam skrzydełko i kaszanke, jak zwykle. Irek podrzucił psu kawałek mięsa, ale tak, żeby Bożena nie widziała. A za chwilę i ona też coś rzuciła. Roześmiałam się w głos.

- Już go rozpuściliście.

Zrobiło się wesoło. Irek opowiadał dowcipy. Przyszła Lena, posiedziała chwilę. Wyglądała milutko. W niczym nie przypominała wampa z poprzednich lat.

- Matura za rok, prawda? - zagaiłam.

- Tak. - Lena tarosiła psa.

- A myślałaś, co dalej? - ciągnęłam.

- Jeszcze nie wiem - splawiła mnie. - Mamuś, wychodzę z Kubą. Będę koło jedenastej.

- A co u niej? - zapytałam. - Dalej się wspina? A ten chłopak, taternik...

- No cóż. Miłość na odległość... - roześmiała się Bożena. - Teraz jest nowy.

- Z branży?

- Nie ze szkoły. Koszykarz. Całkiem, całkiem...

- Słyszałaś o córce Beaty? - spytałam.

- Okropna historia - westchnęła. - Dalej nic nie wiadomo.

Kończyliśmy jedzenie. Było cicho i spokojnie. Tylko słowiki śpiewały. Siedzieliśmy w milczeniu. Nikomu nie chciało się nic robić.

Uświadomiłam sobie, że to nie pora i miejsce na załatwienie mojej sprawy. Będzie niezręcznie. Z drugiej strony to nie jest temat na telefon, a obie mamy tak mało czasu w tygodniu, więc nie mam wyjścia.

Bożena przyniosła szarlotkę i herbatę. Irek wziął smycz i powiedział, że idzie z psem na spacer, żeby mógł się wyhasać. Zostałyśmy same. Trudno. Zaczynam.

- Wiesz, jest mi głupio, ale jesteś właściwie moją ostatnią deską ratunku. Słyszałaś, że nasz kierownik zniknął?

- Słyszałam. Porzucił pracę i odnalazł się niedaleko stąd, w szpitalu.

- No właśnie. Kończymy się. Myślę, że do końca roku będzie po wszystkim. I chciałam cię prosić... Masz tylu znajomych, może gdzieś jest lub będzie miejsce, choćby na pół etatu, dla pediatry. Mogłabyś się zorientować? - Głos mi drżał.

Okropna sytuacja. Nienawidziłam siebie. Popatrzyłam na Bożenę. Zmieszła się. Starła się unikać mojego wzroku.

- To będzie trudne. Spróbuję popytać, ale niczego nie obiecuję. Nawet jak coś się zwolni, to sama rozumiesz... - powiedziała przeproszającym tonem.

- Oczywiście, będę ci wdzięczna. - Czułam się strasznie. Serce waliło, pot mnie oblewał. Byłam upokorzona.

Rozumiem, pewnie, że rozumiem. Nie jestem stąd, nie chciałam być stąd. Ale nie ja o tym zdecydowałam. I co, tatuśku, gdzieś tam w zaświatach, możesz być dumny. Możesz się cieszyć. Nie wyszło mi w życiu. Tego chciałeś, prawda?

Nie dało się ukryć, że ta sprawa popsowała nam nastrój. Dokończyłam herbatę i pożegnałam się.

Wracając do domu, czułam, że palą mnie policzki. Za stara jestem na takie przeżycia. I znowu moje poczucie własnej wartości gwałtownie opadło.

Analizowałam rozmowę z Bożeną. Właściwie, czego się spodziewałam? Że wpadnie w zachwyty? Wiadomo, jak jest. A ja nie powinnam być taką księżniczką na ziarnku grochu, bo do niczego nie dojdę. Muszę myśleć pozytywnie. Mam drugą pracę. Co prawda to grosze. Zostało też trochę pieniędzy ze spadku. I w końcu na pewno coś znajdę.

Hura! Wszystko w porządku. Nie ma mowy o HTZ. Bardzo się cieszę! Wiedziałam,

że jestem za młoda!!

Za tydzień jadę na kilka dni do Wrocławia na zaproszenie Ilony. Mam też w planie coroczne spotkanie z Grażyną.

Za dwa miesiące zaczynają się wakacje. Brakuje mi pomysłu. Nie mam z kim jechać, nie wiem gdzie. Poza tym, w związku z kłopotami w pracy, nie mogę wydać za dużo pieniędzy.

Pracujemy na wariackich papierach. Chyba siłą rozpędu. Przyjechał jakiś ważniak z firmy. Robił głupie miny i nic konkretnego nie powiedział. Urszulka została mianowana kierownikiem p.o. Nie chciała, ale to była propozycja z tych nie do odrzucenia. Urszulka jest w ciąży, w drugim miesiącu. Na razie nikt o tym nie wie.

Zabawna historia się dziś zdarzyła. Wpadła matka i oskarżyła pielęgniarkę Olę o to, że zaszczepiła siłą, tak, siłą, jej trzynastoletnią córkę. Na początku nie rozumiałyśmy wcale, o co może jej chodzić. A chodziło o to, że dziewczyna podobno została niemal gwałtem (!) zabrana do punktu szczepień i zaszczepiona. Bez zgody rodziców, dokumentacji, słowem bez niczego.

Rozbawiona, przysłuchiwałam się tej wymianie zdań, lecz Oli nie było do śmiechu, więc się wtrąciłam.

- Niech pani przyprowadzi córkę, to ustalimy, o co chodzi - powiedziałam.

Po godzinie przyszły obie. Dziewczyna miała niewyraźną minę. I co się okazało. Tak bardzo bała się szczepienia, że wymyśliła taką historię, licząc, że się wymiga. A najdziwniejsze było to, że matka jej uwierzyła bez zastrzeżeń, mimo że brzmiało to tak niewiarygodnie.

Pielęgniarka Ola nie usłyszała żadnego „przepraszam”. Normalka.

Niedługo powiedzą, że łapiemy dzieci na ulicy, żeby pobrać narządy do przeszczepów!

*

W mojej poczcie elektronicznej sporo wiadomości.

Od Ilony - cieszy się na mój przyjazd.

Od Aliny - zaczęła pracować. Dobrze ją przyjęli, jest miło, uczy się. Mąż nie robi trudności przy rozwodzie. Sprzedali mieszkanie i podzielili pieniądze. Słowem, OK.

Od Grażyny - spotkanie jak zwykle w Ogrodzie Botanicznym. Jeśli nie będzie pogody, to się dzwoniemy.

Od Basi - jest w Anglii. Dwa tygodnie temu wzięła ślub z Januszem w ambasadzie. (Och!). Byli w Irlandii i Szkocji. Zwiedzili Londyn, Dublin i Edynburg. Widzieli też

Stonehenge. W Szkocji Janusz łowił łososie. Nocowali w zamku - bardzo drogo i bardzo zimno. Wszystko w ramach podróży poślubnej. Teraz są w Londynie. Dwa dni temu Ola urodziła zdrową dziewczynkę. Będzie się nazywała Catherine-Cathy, jak bohaterka „Wichrowych wzgórz”.

*

Późnym wieczorem wysiadłam na dworcu we Wrocławiu. Głęboko wciągnęłam powietrze do płuc, powietrze pełne miejskich zapachów, smrodu, spalin i panoszącej się wiosny. To moje miasto. Jestem u siebie!

Wieczorny chłód sprawił, że trzęsłam się jak osika, mimo że na podróż ubrałam dzinsy, białą, sportową koszulkę z długimi rękawami i zieloną kurteczkę z grubej bawełny, którą kupiłam na „szmatach”, a która była na topie w tym sezonie.

Zeszłam do holu, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Tam czekała Ilona.

Jechałyśmy taksówką przez miasto. Pełna iluminacja - jasno jak w dzień. Migocące światła odbijały się w wodach Odry. Z mostu widziałam oświetlone kościoły Ostrowa. Wyglądały przepięknie.

Szybko dotarliśmy na miejsce. Ilona mieszka w centrum, w starej secesyjnej kamienicy. Kamienicę czuć starością. Mieszkanie ogromne, wysokie na ponad trzy metry, ciemne i zimne, olbrzymi przedpokój, wielka kuchnia i trzy duże przechodnie pokoje, i małe pomieszczenie zwane graciarnią.

- W twoim mieszkaniu zmieściłyby się trzy moje - zauważyłam.

- Och, aż się prosi o remont - stwierdziła Ilona. - Ale to straszne pieniądze. Do wymiany jest dosłownie wszystko. Może jak mąż wróci... Pamiętasz, pisałam ci, że przedłużył sobie kontrakt.

- To chyba dobrze. - Spojrzałam na nią niepewnie.

- I tak, i nie. Po pierwsze - zarobki nie są już tak atrakcyjne jak dawniej. Po drugie - on odchodzi od zawodu, a przecież kiedyś wróci - denerwowała się Ilona. - Czy uważasz, że praca kierowcy autobusu w Londynie będzie dobrze wyglądać w CV ekonomisty?

- A biuro rachunkowe? Przecież mógłby pracować na swoim. - Zaczęłam głośno myśleć.

- Nie wyobrażasz sobie, jaka panuje konkurencja - westchnęła Ilona.

- Nie martw się na zapas - powiedziałam z przekonaniem. - A pomysł jest dobry.

*

W sobotę od rana biegałam z Iloną po wielkiej galerii handlowej. W końcu, zmęczone, przysiadłyśmy w kawiarence, na kawę i lody.

- Co ty właściwie chcesz kupić? - Nie wytrzymała lekko zniecierpliwiona Ilona. - Tyle rzeczy już przymierzyłaś.

- To powinno być coś takiego - mówiłam z namysłem - że od pierwszego wejrzenia wiem, że to jest właśnie to!

Ilona ciężko westchnęła i wzniosła oczy ku niebu.

- W takim razie to chyba nie jest ten szczęśliwy dzień - stwierdziła ironicznie. - Musimy wracać, jest późno.

- A guzik. To jest ten dzień - powiedziałam i weszłam do butiku, w którym na wystawie wisiała letnia sukienka z granatowej bawełny, lekko dopasowana, do kolan, a wycięcia przy dekolcie i ramionach były obszyte białą lamówką.

Leżała idealnie.

*

Na czwartą umówiłam się z Grażyną w ogrodzie. Trzeba było zadośćuczynić corocznemu rytuałowi - spotkaniu, na którym mogliśmy poplotkować, pozwierzać się, policzyć zmarszczki i pocieszyć się, że moja cera lepsza i figura też, a te maleńkie naczynka i żyłaczki się nie liczą.

Naprawdę lubiłam Grażynę i te spotkania. Stanowiły jedyny łącznik z lepszą stroną dawnego życia.

Stałam przy kasie i rozejrzałam się. Grażyna siedziała na ławce tuż za bramą i paliła papierosa! Zdziwiłam się. Czyżby wróciła do palenia?

Wzięłam bilet i podeszłam do niej.

- Witaj, Grażynko. Co ty? Nie paliłaś od tylu lat. Po co ci to?

- Witaj, Agatko. Ostatnie miesiące dały mi się we znaki - powiedziała, gasząc papierosa. Uściskałyśmy się serdecznie.

- Nie gadaj. Wyglądasz świetnie - stwierdziłam.

- Przecież wiesz, o czym mówię - odparła.

Niby wiem, ale wcale po niej tego nie widać. Jak zwykle olśniewająca. Ubrana w jasne spodnie i bawełnianą bluzkę. Na ramiona niedbale narzuciła wściekle zieloną kurtkę z miękkiej skórki. Uśmiechała się, rzucając wokół zalotne spojrzenia. Nikt nie potrafił przejść obok niej obojętnie.

Ogród rewelacyjny - kwitnący i pachnący. Spacerowałyśmy drózkami, pomiędzy azaliami i rododendronami. Od stawu płynęło chłodne, wilgotne powietrze, niosące zapach drzew i kamieni porośniętych glonami i mchem.

- Dlaczego nie jedziesz na jubileusz? - naskoczyła na mnie.

- Bo nie chcę. Nie mam zamiaru się dołować, nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę słuchać kto, gdzie, kiedy. Rozumiesz?

- Agata, jak zwykle przesadzasz - rzekła Grażyna.

- O nie, na pewno nie przesadzam. Zbyt wiele wspomnień. Nie będę masochistką. Nie chcę jechać i już!

Odwróciłam głowę, udając, że patrzę w stronę stawu, po którym uwijały się małe kacuszki.

Milczałam. Nikt nigdy mnie nie rozumiał. Trudno. Ja wiem swoje.

Przeszliśmy przez drewniany mostek, potem zielonym tunelem, który utworzyły gałęzie tamaryszku. Usiadłyśmy na ławeczce, koło popiersia Linneusza.

- No, pochwal się. Jesteś babcią. Masz zdjęcia wnuczki?

- Kiepski ze mnie materiał na babcię - skrzywiła się. - Może jak będzie starsza... Uważam, że jestem na tyle młoda, że chciałabym jeszcze czegoś dla siebie... - Zawahała się. - Właściwie, to poznałam kogoś. To brat koleżanki. Wrócił ze Stanów, na stałe, do Polski. Chce założyć tu firmę. Spotkaliśmy się kilka razy. Może coś z tego wyniknie. - Uśmiechnęła się lekko.

Hm... Wygląda na to, że Robert odpłynął w niebyt. Szybko.

- A u ciebie? Jakies nowiny? - zapytała tonem, w którym wyczułam lekką złośliwość.

Cóż, mój romans, romansik awansował do rangi trofeum, którym mogłam się pochwalić. Nie budził już żadnych emocji, a poprawiał samopoczucie.

- Pamiętasz Jurka Adamskiego? Wyobraź sobie, że pracował w mojej przychodni kilka miesięcy... - zaczęłam.

- Jurek w Belsku? Nie do wiary! Słyszałam, że wyjechał do Danii - przerwała Grażyna.

- Dobrze słyszałaś. Marzena tam została, a on wrócił, ale myślę, że nie na długo...

- To gadaj, co z tym Jurkiem. Jak wygląda? Zmienił się? - dopytywała się.

- Zmienił się, zmienił. Ma krótkie włosy, przytył, ale ciągle jest atrakcyjny - powiedziałam lekko.

Usilnie starałam się wyrzucić z pamięci nasze ostatnie spotkanie. Grażyna przyglądała mi się podejrzliwie. Do cholery, czy ja mam wszystko wypisane na twarzy? Odwróciłam się.

- Coś było między wami? Tak, na pewno! Masz taki wyraz twarzy... - zachichotała. - A co?

Spuściłam głowę, udając, że wpatruję się w czubki pantofli.

- No nie! Romans? Nie wierzę. - Grażyna popatrzyła na mnie z niedowierzającym

uśmiechem. Szturchnęła mnie. - Mów!

- Spotykaliśmy się. Trwało to około dwóch miesięcy i koniec. Finito!

- Zerwałeś?

- On wyjechał i tyle.

Troszkę mijałam się z prawdą, ale co to szkodzi. Grażyna patrzyła wprost przed siebie.

- Wiesz, Jurek zawsze kręcił z kobietami. Przecież on już na studiach związał się z Marzeną, a flirtował z innymi. I ze mną, i Joanną, i Małgosią...

Zaskoczyła mnie. Ona z nim...

- Był dobry w łóżku - stwierdziła.

- I to mu zostało - przytaknęłam.

Popatrzyłyśmy na siebie porozumiewawczo i obie parsknęłyśmy śmiechem.

Chwilę milczaliśmy.

Obok na ławce młoda kobieta karmiła piersią. Fuj!

- Chodźmy! - Trąciłam Grażynę. - Popatrzmy na irysy, a potem pójdziemy na drinka.

Zajęłyśmy miejsca na tarasie restauracji koło ogrodu. Zamówiłyśmy sałatki.

- Ciekawa historia z tą kuzynką - zaczęła. - Że też wpadłeś na taki pomysł. - Pokręciła głową.

- Było ogłoszenie w „Wieczorze”. Może czytałeś?

- Prawdę mówiąc, nie czytam gazet. Wszystko czego potrzebuję, mam w Internecie - oświadczyła.

- To miałam szczęście, że Ilona czytuje „Wieczór”, bo nic by z tego nie wyszło - powiedziałam z pretensją w głosie.

Fakt, ja też nie czytam gazet. Tylko w jakiś dziwny sposób poczułam się urażona stwierdzeniem Grażyny. Powiedziała to tak lekceważąco.

Znowu się czepiam.

Dziobałyśmy nasze sałatki w milczeniu.

- Masz jakieś plany na wakacje? - spytałam, nadziejąc na widelec kawałek pomidora.

- A tak - ożywiła się. - Już zarezerwowałam. Do Turcji. Na objazdówkę.

- Nie będziesz żałować. Turcja jest piękna - rozmarzyłam się. - Kapadocja, Pammukale, Efez. A ja jeszcze nic nie wiem. Koleżanka, z którą jeździłam, wyprowadziła się z Belska. Pewnie pojedę gdzieś sama. Poza tym muszę oszczędzać - zmarnotniałam. - Moja praca...

- Na pewno zbyt czarno oceniasz sytuację. Nie powiesz mi, że wykwalifikowany pediatra nie znajdzie nowej pracy - przerwała mi Grażyna.

- Moja droga, to nie Wrocław. Są pewne trudności. - Nie chciałam wdawać się w szczegóły.

- Och! - krzyknęła nagle Grażyna, tak że aż podskoczyłam. - Nigdy nie zgadłabyś... - Zawiesiła głos dla spotęgowania napięcia. - Odezwała się Lilka!

- Jak to, odezwała się? Do ciebie? Nie wierzę! - Poczułam, jak mi serce zamarło. - Nie wierzę - powtórzyłam nieswoim głosem.

- Napisała na adres internetowy gabinetu. Widocznie znalazła ogłoszenie. - Grażyna nie była specjalnie tym przejęta w przeciwieństwie do mnie.

- Nic nie rozumiem - wymamrotałam. - Dlaczego nie skontaktowała się ze mną? Przecież byliśmy przyjaciółkami. - Ogarnęła mnie złość i smutek zarazem. Znowu to samo. Dlaczego? Przyjaciółka, psiakrew! - Piszecie ze sobą?

- Tylko raz się odezwała. Tyle wiem, że jest sama, mieszka w Holandii od dziesięciu lat. Pracuje w laboratorium...

- A co z mężem, z dziećmi? Zostały w Polsce?

- Chyba tak. - Grażyna chrupała bułeczkę czosnkową.

- Nic więcej nie wiesz? A pytała chociaż o mnie?

- Naprawdę nic nie wiem. Ona zawsze była skryta.

Ścisnęło mi się serce. Pytała, nie pytała. Nieważne! Nieprawda - ważne. Dla mnie. Czy nasza przyjaźń była iluzją, fałszem?

Och, Lilka, musiałaś być nieszczęśliwa. Co takiego się zdarzyło, że porzuciłaś dzieci? Co strasznego się stało? Odezwij się, błagam...

Wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Filharmonia, teatr - to ona mnie tam ciągnęła. Namawiała do czytania ambitnej literatury. Intelktualistka - psiakrew! A ja? Całymi godzinami przesiadywałam u niej w domu. Bywałam na obiadach i kolacjach. Podobało mi się. Mieli stare meble i piękną porcelanę. Jej rodzina była taka... lepsza, z tradycjami. I to oni, jej rodzice, mnie lubili! A ja się podlizywałam, słuchając długich opowieści o dawnych, dobrych, przedwojennych czasach. O majątkach, polowaniach i ważnych ludziach, o powstaniu. Namiętnie zajmowali się polityką. Słuchałam i prawie się nie odzywałam, żeby się nie połapali, że to mnie wcale nie interesuje. Uważałam, że są nadęci, ale byli prawdziwą rodziną i traktowali mnie jak swoją. To oni mnie zapraszali, nie Lilka! Jak mogłam tego nie zauważyć?

Ona trzymała się bliżej Niny i Ewci. Po śmierci Niny załamała się. Nie mogła znaleźć

sobie miejsca... A może też rodzina - wielkie ambicje i cały ten historyczny zgiełk?

Nie wytrzymała. I została taką małą, polską, zagubioną hipi-ską. Gdy studenci zakładali NZS, ona wiała wianki, chodziła na bosaka po łąkach i wzdychała do wolnej miłości.

Ostatni raz widziałam ją tuż po maturze, w sukience w stylu country, do ziemi. Włosy zaplecione w kilka warkoczyków, z mnóstwem koralików, rzemyków, w indiańskim stylu. To wtedy wymyśliła, że nie pójdzie na politechnikę, tylko na rolnictwo, żeby być bliżej natury.

Wyśmiałam ją. Powiedziałam, że zgłupiała. Nawet się nie obraziła. Następnego dnia pojechałam na wakacje i już nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Zamknęłam oczy. Dawne czasy, jeszcze w szkole. Lilka w białej sukience w grochy rzuca piłkę w moim kierunku, śmiejąc się beztrudnie. Jej długi czarny warkocz miga mi przed oczami.

- Taką cię zapamiętam na zawsze - szepnęłam.

Grażyna dotknęła mojej dłoni.

- Co ci jest?

Wzdrygnęłam się. Dość wspomnień. Trzeba wracać do rzeczywistości.

- Nic, tylko wspomnienia. Zawsze gdy jestem we Wrocławiu, mnie dopadają - zaśmiałam się nieszczerze. - I mam prośbę. Podaj Lilce, przy okazji, mój e-mail. Zechce, to się odezwie. A nie... to trudno. Nie myślę się napraszać.

Spojrzałam na zegarek, minęła ósma.

- Muszę wracać. Ilona pewnie czeka z kolacją.

Poszłyśmy w stronę placu. Było jeszcze całkiem jasno.

- A wiesz, że Mirek, pamiętasz Mirka, został mianowany profesorem - zaczęła Grażyna.

- O... - Nie pamiętałam żadnego Mirka.

- Pracował na biochemii - podpowiadała.

- Nie kojarzę.

- To może jego żonę, Jowitę? Taka ładna blondynka, ona też tam pracowała. Jest po habilitacji.

- Oczywiście, o krok za mężem. Ale ją pamiętam - skwitowałam.

- A Sławka z klasy? On nie żyje. Miał zawał. Wyobrażasz sobie, zawał w wieku czterdziestu pięciu lat!

- O Boże!

Sławka pamiętałam doskonale. Nie znosiliśmy się serdecznie. Rywalizowaliśmy o status najlepszego ucznia w klasie. Ja - zadeklarowana humanistka, ale matematyka nie

stanowiła najmniejszego problemu. On - nauki ścisłe, ale z humanistycznymi też sobie świetnie radził. W końcu po długiej i wyczerpującej walce wyprzedziłam go dosłownie o włos. Nie mógł mi tego darować.

A teraz nie żyje.

- Wiesz, co on robił? - spytałam Grażynę.

- Skończył polibudę, ale kariery nie zrobił. Pracował na średnim szczeblu w przemyśle, nadzór jakości czy coś takiego. Podobno był konfliktowy.

- To akurat mnie nie dziwi.

Ależ ironia losu. Najlepsza uczennica jest rejonowym lekarzem, a najlepszy uczeń skończył w jakiejś tam kontroli jakości, w podrzędnym zakładzie.

A w ogóle takie analizowanie w obliczu śmierci jest bez sensu. Gzy to ważne, co kto robił? I tak wszyscy umrzemy... kiedyś.

- Jedzie mój tramwaj. To Grażynko, pa. Do następnego razu. - Pomachałam.

Drzwi tramwaju automatycznie się zamknęły.

*

- I jak udało się spotkanie? - zapytała Ilona, stawiając przede mną talerz spaghetti po bolońsku.

- W porządku.

- Słuchaj, Agata - zaczęła. - Jutro na obiedzie będzie mój szwagier - brat mojego męża. To stary kawaler...

Spojrzałam groźnie. Czy ona chce mnie swatać? Nic z tego. Ilona machnęła ręką.

- Nic z tych rzeczy. On stale przychodzi na niedzielne obiady. Mój mąż tego sobie życzy - powiedziała z przekąsem. - Lituje się. Mówi: „Miecio biedny, samotny”. A to taki sam dupiek, a może gorszy. On gardzi kobietami.

- Może jest gejem - powiedziałam bez troski.

- Kto wie. Ale plątały się różne panie. W każdym razie uważaj. Potrafi być nieprzyjemny.

*

Niedzielny obiad rzeczywiście był koszmar.

Rzeczony szwagier - Mietek - wyglądał przeciętnie: niewysoki, krępy. Miał krzywy uśmiech i coś takiego w twarzy, co przywodziło na myśl satyra. A zachowanie!! Horror!

- Witam naszą drogą, cudownie odnaniezoną kuzyneczkę - powitał mnie. Jego głos obracał się zdecydowanie w wysokich tonach. Wziął moje dłonie i zaczął całować (nie znoszę tego). Całował stanowczo za długo, zostawiając wilgotne ślady i cmokając przy tym głośno. -

Droga, kochana Agatka - kontynuował - podobno jesteś lekarzem?

Z trudem się wyrwałam. Niezrażony wziął mnie pod ramię i zaprowadził do stołu. Usiadł obok. Spojrzałam na Ilonę błagalnie. Ale ona bezradnie wzruszyła ramionami.

Do cholery, czy ona się go boi? Byłam wściekła.

Ilona postawiła na stole wazę z parującą zupą pomidorową. Mietek rzucił się, aby mnie obsłużyć. Nalewając zupę, cały czas nawijał:

- Czy znasz ten kawał: przyszła baba do lekarza...

- Znam - burknęłam.

Bez szans. Opowiedział i ten, i kilka innych. Przy drugim daniu (zrazy z kaszą i mizerią) oznajmił, że ma co najmniej dwa wspaniałe projekty uzdrowienia sytuacji w służbie zdrowia.

Jeszcze chwila, a po prostu wyjdę. Popatrzyłam groźnie na Ilonę. Ta patrzyła na mnie przeprasząco.

O matko. Ktoś przydeptuje mi stopę. To na pewno on, ten niedopieczony idiota. Odsunęłam się. Jeśli powtórzy, dostanie w japę - postanowiłam.

Przy deserze zmienił front.

- Wiecie, od dawna boli mnie kolano. Byłem u wielu lekarzy. Nikt nie wie, co to jest. Robiłem badania i też nic. A bo to nasi lekarze są niedouczeni, nie chce im się. Tylko podwyżki i podwyżki im w głowie. A ja płacę składki i należy mi się...

Uparcie milczałam. Nie dam się sprowokować. Ilona zerkała na mnie z widocznym przerażeniem. No, jeśli jej mąż jest podobny, to powinna wiać gdzie pieprz rośnie.

Uratowała mnie telewizja. Nadawali jakiś wyścig czy też mecz. Nieważne. Szwagier Mietek odczepił się ode mnie. Razem z Bartkiem usiedli przed telewizorem.

Nastał spokój.

Kawę i ciasto zjadłyśmy w drugim pokoju.

- Nie wiem, jak cię przeproszać - korzyła się Ilona.

- Ty się mną nie przejmuj. Ty się martw o siebie. Masz go na co dzień. A jego brat jest twoim mężem - stwierdziłam sarkastycznie.

- Właściwie mam go gdzieś. Nie zwracam uwagi, nawet wychodzę. Ale dziś... sama rozumiesz. W sumie to biedny człowiek...

- Ty się nad nim litujesz? - Nie wytrzymałam. - Znamy takich typków. Są wszędzie. To frustraci. Nie potrafią się przystosować. Nie rozumieją, że posiadanie penisa to nie mandat do rządzenia światem. A kobieta - lekarz, inżynier, szef? Nie do przyjęcia. To tak jakby pozbawieni zostali tej swojej zabaweczki. Pamiętam, jak kilka lat temu wpadł do przychodni

tatuś. Szukał pediatry dla dziecka, ale koniecznie mężczyzny. Pomyślałam: szukaj sobie na zdrowie. Pediatra mężczyzna w przychodni jest rzadkością jak jednorożec. Może na wyższych szczeblach - ordynator, kliniki, te rzeczy. Jeśli nawet jakiś facet zabłąkał się na pediatrię, to szybko robił drugą specjalizację, najlepiej zabiegową - laryngologię czy chirurgię dziecięcą. Trzeba przecież z czegoś żyć! A takich jak ten twój Miecio pieprzyć. Niech spadają na bambus - mówiłam podniecona.

Ilona, cokolwiek przestraszona moim wybuchem, śmiała się ze mną. Przyniosła kolejną porcję szarlotki.

- Agatko, ja cię przepraszam, ale nie dali mi na jutro urlopu. Poradzisz sobie?

- Ależ oczywiście. Nie ma sprawy.

- A co zamierzasz robić? Pojedziesz na cmentarz?

O nie, na pewno nie!

- Jeszcze zobaczę, może - wykręciłam się.

*

Poniedziałek rano. Bartek w szkole, Ilona w pracy. Jestem sama! Jak dobrze. Mogę odetchnąć, odprężyć się.

Wyskoczyłam z łóżka. Spojrzałam w okno. Słońce i niebieskie niebo.

Pojadę w okolice mojej szkoły i uczelni. Dawno to sobie postanowiłam. Taka mała podróż sentymentalna. A wracając, wstąpię do delikatesów i kupię coś dobrego na kolację.

Wyjęłam z walizki komplet „safari”- spódnicę do kolan i żakiet z krótkim rękawem. Jeszcze okulary przeciwsłoneczne, wygodne sandały i w drogę.

Tramwajem dotarłam w okolice mojego byłego liceum. Ostatni raz byłam tu... - liczyłam w myślach - jakieś pięć lat temu. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło. Budynek stał na granicy parku, do którego można było umknąć na wagary. Za nim płynęła Odra i całymi kilometrami ciągnęły się wały przeciwpowodziowe, porośnięte starymi drzewami. Też świetne miejsce na chwilę oddechu od nauki.

Wędrowałam wąską uliczką o obecnie nieznanym mi nazwie (stara była niepoprawna politycznie). Od parku powiewał lekki wiaterek, niosąc intensywny zapach akacji. Uliczka zmieniła się w aleję kasztanową. Drzewa już przekwitały. Na chodniku leżały opadłe białoróżowe kwiaty. Jezdnią przemknął samochód, hałasując niemilosiernie na kocich łbach.

Zupełnie jak dawniej - uśmiechnęłam się do swoich myśli.

Przeszłam przez most i znalazłam się po drugiej stronie rzeki. Tam, gdzie mieściła się Akademia Medyczna. Stare, ponemieckie budynki z ciemnoczerwonej cegły wiązały się z tyloma wspomnieniami, planami i nadziejami! Pod Collegium Anatomicum usiadłam na

małej ławeczce. Oddałam się marzeniom: Jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby wszystko potoczyło się tak, jak chciałam.

Przed oczami przesuwały się obrazy:

Ja - odbierająca nominację profesorską.

Ja - w programie telewizyjnym poświęconym nowym odkryciom archeologicznym.

Ja - w filmie dokumentalnym, eksplorująca dziewicze tereny Ameryki Południowej...

Wtem olbrzymi szerszeń przeleciał mi koło głowy. Wróciłam do rzeczywistości.

Idiotka! Co jeszcze wymyślę? Może medal olimpijski w jeździe figurowej na łyżwach?

Z budynku wysypała się spora gromadka studentów. Byli ładni, hałaśliwi i modnie ubrani.

Ciekawe, o czym oni marzą? O prywatnych klinikach? O wyjeździe za granicę? Bo na pewno nikt z nich nie widzi siebie jako lekarza w rejonowej przychodni.

Ja też siebie nie widziałam.

I co z tego?

Wracałam zatłoczonym autobusem. Rozboleła mnie głowa. Tłoczący się ludzie, hałas i kurz wyprowadzały mnie z równowagi. Przez moment zatęskniłam za zielonymi lasami i górami, szumem strumieni i ciszą.

W delikatesach kupiłam owoce, jarzyny i fetę do sałatki greckiej oraz kalmary, które upanieruję i usmażę. W monopolowym ekspedientka poradziła mi wino chilijskie, półwytrawne. Podobno świetne.

Pożegnalna kolacja była udana. Właśnie kończyłyśmy, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

W progu stała Iwona z niepewną miną. Spojrzałam na Ilonę pytająco, ta przecząco pokręciła głową.

- Dobry wieczór. - Iwona uśmiechała się niepewnie.

No pewnie. Ilona udaje niewiniątko, a wszystko jej powiedziała. Poruszyła ją melodramatyczna historia. Ciekawość, litość - co ją tu przygnało?

Ilona zakrzętnęła się koło siostry.

- Kawa, herbata?

- Ach, Ilonko, nie rób sobie kłopotu. - zagruchała Iwona.

Przyglądałam się jej. Wspaniale utrzymana: gładka cera, świetne włosy, dyskretny makijaż. No i ciuchy - elegancka sukienka z dzianiny w piaskowym kolorze, złote łańcuszki na szyi i bransoletki na przegubach. Włoskie pantofle na obcasach. Wytworna w każdym

calu. Trzeba przyznać, że Ilona, która miała dość pospolity (ale sympatyczny) wygląd, ginęła przy swojej efektownej siostrze.

- Jesteś lekarzem, prawda? - rzuciła uprzejmie.

- Tak, pediatrą. Rejonowym pediatrą - odparłam z naciskiem na „rejonowy”. - A ty dent... stomatologiem? - Słowo dentysta dla niektórych brzmi deprecjonująco. - Piękny masz dom, wspaniale urządzone.

- Och, cieszę się, że ci się podobał. Kocham antyki. Całe lata zbierałam...

Ja też lubię, ale to mało. Trzeba kasy.

- Nie uwierzysz, ale niektóre cacka przeschmuglowałam - zachichotała nerwowo. - Umierałam ze strachu, ale udało się.

- Daj spokój - wtrąciła się Ilona - nie chcemy znać szczegółów. A wiesz, że tę kolację przygotowała Agata? To grecka kuchnia.

Iwona załapała się jeszcze na resztki sałatki i kalmarów.

- Lubię Grecję, ale wolę Włochy albo Hiszpanię. Ostatnio byliśmy tam na wczasach. Ale marzy mi się Mauritius albo coś na Pacyfiku, może Hawaje...

- Hawaje to Ameryka - inteligentnie wtrąciła Ilona.

Iwona zignorowała Ilonę i nawijała dalej:

- Misiek, mój mąż, ostatnio wspomniał, że czas poszerzyć horyzonty, pojechać gdzieś dalej.

- Przepraszam, a co robi Misiek? Poszerzanie horyzontów bywa kosztowne - zauważyłam ironicznie. I wcale nie próbowałam tego ukryć. Czy ona przyszła tu się chwalić?

Iwona się ożywiła.

- Misieczek ma firmę. Produkują elementy do samochodów. Wszystko na eksport - oświadczyła z dumą. - A ty jesteś pediatrą, prawda? To takie miłe pracować z dziećmi. Mieliśmy świetnego pediatrę dla bliźniaczek, ale niestety wyjechał za granicę.

Iwona była jak przesłodzony cukierek. Zaraz zacznę wyć. Albo powiem jej, że to takie miłe dłubać w zębach.

Zapadło niezręczne milczenie.

Iwona sprawiała wrażenie niezdecydowanej. Podniosła się, jakby zamierzała wyjść, po czym znowu usiadła. Nerwowo przesuwiała bransoletki na przegubie. W końcu szepnęła:

- Skoro zdecydowałam się tu przyjść, powiem. Ja wszystko wiem - zwróciła się do mnie.

- Co znaczy: wszystko? - zdumiałam się.

- No, o twojej matce, o tobie. To był gwałt - rzuciła bez owijania w bawełnę.

Pięknie. Tyle czasu nikt nic nie wiedział. Teraz okazuje się, że wiedzą wszyscy, oprócz mnie, naturalnie.

- Jakim cudem się dowiedziałas? - spokojnie spytałam.

- No właśnie. Jakim cudem? - dodała Ilona.

Iwona upiła wina z kieliszka, głęboko odetchnęła i zaczęła opowieść.

- Kiedy twoja matka zachorowała, wymagała pomocy. Nasza mama chodziła do niej. W końcu to były siostry. Robiła zakupy, gotowała, sprzątała, rozmawiała z lekarzami. Ja wtedy studiowałam. Czasem mama prosiła mnie o pomoc. A więc, chcąc, nie chcąc, coś niecoś słyszałam. One bardzo często się kłóciły, głównie chodziło o ciebie. - Iwona wzięła głęboki wdech. - Moja mama zarzucała twojej, że źle cię traktowali, mówiła, że teraz miałaby córkę i nie byłaby sama. Twoja matka płakała, mówiąc, że żałuje, że cię odepchnęła, ale miłość do ciebie była ponad jej siły. Twierdziła, że nie mogła na ciebie patrzeć, bo przypominałaś jej tego... no... gwałciciela. - Zmieszła się. - Czułam się niezręcznie. Nie chciałam tego słuchać...

Rewelacje Iwony nie spowodowały u mnie żadnych łez, żadnych palpacji czy nudności. Czyżbym się uodporniła na takie wiadomości? Tylko ta lodowa kostka w gardle jakby się powiększyła.

- Któregoś dnia, jakieś dwa tygodnie przed śmiercią twojej matki, mama przyniosła do domu coś, co wyglądało na notatnik lub pamiętnik i zaniosiła go do graciarni. Co z nim zrobiła? Nie wiem.

- Nie do wiary - sapnęła Ilona. - Nie byłaś ciekawa, co to było?

- Niespecjalnie. Byłam młoda i co innego miałam w głowie. Zresztą, jak powiedziałam wcześniej, nie chciałam o tym słuchać.

- Czyli wiedziałas więcej ode mnie. I nic nie powiedziałaś - podsumowała Ilona. - Do tego nie chciałaś, żeby nawiązać kontakt z Agatą, choć wiedziałas o jej istnieniu. Nie rozumiem!

- Ale ja tak - wtrąciłam drwiąco. - Jestem dzieckiem z gwałtu, niepełnowartościowym człowiekiem. Czyż nie?

Iwona zarumieniła się.

- Nie będę kłamać. Przyszło mi coś takiego do głowy. Przepraszam, to było głupie.

Nic nie odpowiedziałam.

Po chwili niezręcznego milczenia Iwona wyszła.

- Nie wiem, co powiedzieć - bezradnie wyszeptła Ilona.

Przez resztę wieczoru krążyła koło mnie jak koło osoby śmiertelnie chorej. Nie

odzywałam się. Wypiłam resztkę wina. Trochę zakręciło mi się w głowie. Jutro wyjeżdżam. Klucze mam zostawić u sąsiadki.

Przed snem podparłam się tableteczką. Za dużo wrażeń - pomyślałam. Po czym zasnęłam kamiennym snem.

*

Już w Belsku.

Ilona bombarduje mnie e-mailami i SMS-ami. Próbuje pocieszać, podnieść na duchu. Niepotrzebnie. Nic nie czuję!

*

Urszulka jako p.o. kierownika zupełnie nie daje sobie rady. Wszyscy wchodzą jej na głowę. A z ludźmi trzeba ostro!

Dobrze wiedziałam, co robię, kiedy definitywnie odmówiłam pełnienia tej „zaszczytnej” funkcji. Wszystkiego brakuje: waty, igieł, strzykawek, środków czystości, nawet papieru toaletowego. Firma rozkłada ręce. Niektóre rzeczy Urszulka kupuje za swoje pieniądze.

Wczoraj przyszła do mnie z płaczem. Miała pacjenta z zawałem i poświęciła mu dużo czasu. Za dużo? Przynajmniej inni pacjenci tak uważali i zrobili jej awanturę, że tyle czekają.

Ma nerwy w strzępach!

- Czym ty się przejmujesz? - spytałam. - Na przyszłość napuść ich na siebie. Niech pacjenci się kłócą o kolejkę, niech się żrą i nawet pozabijają. Niech walczą, a zwycięzca wchodzi do gabinetu. Rozumiesz?

- Ty nie rozumiesz, nie masz takich problemów.

- Ale miałam i to przez wiele lat, gdy jeszcze brakowało pediatrów. Też się awanturowali. Zamykałam się w gabinecie i mówiłam, że mają między sobą uzgodnić kolejność. Kiedyś nawet się poszturchali.

Biedna Urszulka. Czy ona nie wie, że w przychodni obowiązuje teoria doboru naturalnego? Przetrwają najlepiej przystosowani. Dotyczy to zarówno pacjentów, jak i personelu medycznego.

*

Dziś rano zadzwonili do mnie z laboratorium.

- Pani doktor, czy instruuje pani pacjentów, w czym przynosić materiał do badania? - zapytała laborantka z pretensją w głosie.

Odetchnęłam głęboko.

- Oczywiście. A co znowu się stało?

- Znowu przynieśli cały słoik gówna. Litrowy - wrzasnęła laborantka.

Z trudem się powstrzymałam, żeby nie ryknąć śmiechem wprost do telefonu. Normalka. Miłe urozmaicenie monotonnego dnia.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mam na to wpływu. Każdy jest prawidłowo informowany - zapewniłam dostojnie.

*

Alina nie daje znaku życia. No, prawie.

Rzadkie i krótkie e-maile informują mnie, że żyje, pracuje i na razie jest OK.

Na razie do Belska się nie wybiera, ale na pewno... kiedyś... w bliżej nieokreślonym terminie...

Obiecanki-cacanki.

Dziś na ulicy spotkałam Beatę. Nie poznała mnie. Zawołałam, nie zareagowała! Wyglądała okropnie: szara, zaniedbana, z nieprzytomnym spojrzeniem. Padał deszcz, a ona nie miała parasolki. Woda spływała jej po włosach, twarzy i ubraniu. Ludzie się za nią oglądali, a ona sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała o bożym świecie.

Chciałam jej pomóc, zawołać taksówkę, ale tylko machnęła ręką i powlokła się dalej.

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Basi.

- Słuchaj, co się dzieje z Beatą? Widziałam ją na ulicy... To okropne...

- Z tą córką nadal nic nie wiadomo - przerwała mi Basia. - Beata nie pracuje. Może zauważyłaś, że jest prawie siwa? A jak schudła! - dodała ze zgrozą. - Do tego jej mąż twierdzi, że to jej wina - pogardliwie prychnęła Basia. - Jak każdy facet. On uważa, że gdyby nie pracowała, to byłaby lepszą matką. Rozumiesz, rzuca takimi tekstami.

- Dzieci miały również ojca. Gdzie on był?

- O ile wiem, nie zajmował się nimi jakoś szczególnie. A teraz zachowuje się jak Katon, zupełnie jakby miał z tego satysfakcję. - Prawie słyszałam, jak Basia wzrusza ramionami.

- To możliwe. Zazdrościł Beacie kariery.

- Ciekawe, jak by sobie poradził, sam utrzymując rodzinę. Przecież to Beata zarabiała, nie on - ironicznie wtrąciła Basia. - Normalnie nóż się w kieszeni otwiera.

- A co u ciebie? Jesteś młodą mężatką - zażartowałam.

- A, wszystko w porządku, dziękuję.

*

W sobotę była kiepska pogoda, więc pojechałam do galerii. Trochę pochodziłam po butikach, pooglądałam, przymierzyłam spodnie i bluzkę. Z nudów. Nie zamierzałam niczego

kupować.

W końcu usiadłam w kafeterii.

Zamówiłam świeżo wyciskany sok z grejpfruta i popijałam go, gapiąc się na przechodzących ludzi.

Siedziałam wygodnie w klubowym fotelu, zakiet kostiumu i torebkę położyłam obok.

Nagle z tyłu usłyszałam:

- Witaj, Agato, co za niespodzianka.

Zdębiałam. To był głos Krzyśka - mojego eksmęża.

Zaskoczona, odwróciłam się gwałtownie, zahaczając o nogi stolika, które nieprzyjemnie zgrzytnęły.

- Witaj - odpowiedziałam automatycznie.

Nie widziałam go od czasu wizyty w szpitalu w związku ze złamaną ręką Bartka. Wtedy nie przyjrzałam mu się za dobrze, bo byłam zła i zdenerwowana. Dziś wyglądał dobrze, młodo. Włosy miał krótko ścięte, twarz opaloną i ani śladu brzuszka. Ubrany na sportowo, mógł się podobać.

- Pozwolisz? - zapytał.

Bezwiednie wskazałam mu miejsce.

Po co?

Usiadł, zamówił kawę.

- Jak się czuje twój, hm... siostrzeniec?

- Chyba dobrze. To syn mojej kuzynki z Wrocławia. Ma szesnaście lat - powiedziałam kpiąco. - Mówię to, bo miałam dziwne wrażenie, że coś głupiego chodzi ci po głowie.

Muszę przyznać, że Krzysztof zrobił niewyraźną minę. Omal się nie roześmiałam. Chwilę milczeliśmy.

- Pewnie już słyszałaś? - zaczął.

- O czym? - Domyślałam się, o co mu chodzi, ale wołałam postawić kropkę nad i.

- Jestem po rozwodzie.

- Obiło mi się o uszy. To już twój drugi rozwód. Niezłe tempo.

- Nie wytrzymałam i roześmiałam się. - Też okazała się żoną?

Mój ironiczny ton chyba go zaskoczył.

- Teściowa - rzekł teściwie.

- Aha, rozwiodłeś się przez teściową?

- Mniej więcej. Ona nie dawała nam żyć. Do wszystkiego się wtrącała. Miała ogromny wpływ na moją żonę.

Trzeba było nie rozwodzić się ze mną! Nie byłoby żadnych teściowych. Frajer!

- Daj spokój, tak się zawsze mówi. A w ogóle nie interesuje mnie to.

- Przepraszam. Masz rację.

Zmienił temat.

- Jakiś czas temu chodziły plotki, że wychodzisz za męża za kolegę ze studiów. - Zerkał na mnie niepewnie.

- Hm... nie uważasz, że jesteś wścibski? - Krzysiek miał nieszczęśliwą minę. Spuścił głowę, a ja patrzyłam na niego nieco z góry. - I mam dobrą radę. Nie słuchaj plotek. Wyjdzie ci na zdrowie. Nie zamierzam się nad tobą znęcać. Spotkałam kolegę ze studiów i kilka razy spotkaliśmy się po przyjacielsku, powspominać stare, dobre czasy. I od razu takie plotki. Belsk to wiocha - starałam się rozładować atmosferę.

To pewnie Baśka. Dopadnę, wydrapię oczy i zabiję. A swoją drogą, czyżby go to obeszło?

- Powiedz lepiej, co u ciebie, co w pracy? - rzuciłam się na neutralny temat.

- A nieźle - ożywił się. - Mam godziny w prywatnej klinice i wykłady dla techników dentystycznych.

- O... to świetnie. Ale przepraszam cię. Muszę już iść. Jestem umówiona. Cześć.

Wstałam od stolika i ruszyłam do wyjścia.

- Agata! - zawołał - świetnie wyglądasz. I miło było cię spotkać.

Odpowiedziałam bladym uśmiechem.

Zdenerwowałam się tym spotkaniem i rozmową. Nie tęskniłam za nim, był mi obojętny. Nie chciałam wracać do przeszłości! Nie chciałam żadnych zmian!

*

Zdecydowałam. Na wakacje pojedę do Zakopanego. Sama. Jest blisko i mają doskonałą komunikację. Nic lepszego nie wymyślę.

Kwaterę zamówię przez Internet.

*

Nieźle się uśmiełam. Usłyszałam w radiu, że marzeniem każdego pediatry jest wprowadzenie szczepienia przeciw ospie wietrznej do stałego kalendarza - „bo to taka nieprzyjemna choroba”.

O, przepraszam! Nie każdego. Nie moim. I proszę nie zabierać głosu w moim imieniu.

Niekomfortowa choroba!

I co z tego?

Ktoś nam chce wcisnąć kit - świat bez chorób zakaźnych. Mrzonki! Dziś wytępiamy

jedną, jutro na to miejsce przyjdzie inna, gorsza. Przyroda nie zna próżni. Jak będziemy tak w niej grzebać, to któregoś dnia obudzimy się z ręką w nocniku.

*

Połowa czerwca. Nadszedł kolejny samotny weekend. Tym razem postanowiłam, że pojedę na wycieczkę. Dosyć objania się w czterech ścianach i gapienia w telewizję.

Autobus odjeżdżał o świcie. Tłukłam się nim ze dwie godziny po krętych, wiejskich drogach. Oprócz mnie tylko jedna młoda para z plecakami wybierała się w góry.

Na szlaku pusto. Czuję się niepewnie. Każdy szelest, poruszenie krzaczka wywołuje szybsze bicie serca. Może to dzik? Albo żmija? Albo niedźwiedź? A może człowiek, zły człowiek? Nigdy nic nie wiadomo. Góry nie są już tak bezpieczne jak kiedyś.

Zaczynam bać się własnego cienia. Do tego pojawiły się chmury. A jak będzie burza?

Przeklinam swój głupi pomysł samotnych wędrówek.

Nigdy więcej.

Trzeba jeździć w znane miejsca, gdzie tłok i najwyżej jakiś kieszonkowiec może obrabować.

Do schroniska z godzinę. Iść czy wracać?

Z góry schodzi turysta - starszy pan. Zwyczajowo mówi mi „dzień dobry”, uśmiechając się.

Humor mi się poprawił. Nie tylko ja łązę sama! Rażno idę przed siebie. Rozglądam się dookoła - świeża zieleń, ptaszki śpiewają. Na krzaczkach pojawiły się pierwsze jagody. Oddycham głęboko, chłonąc świeże (mam nadzieję) górskie powietrze. Cichutko nucę „Jak dobrze nam zdobywać góry”. Nic złego się nie dzieje!

Do schroniska dochodzę pewnym krokiem. Ludzi niewielu. W bufecie kupuję obiad. (Gdzie te czasy, kiedy chodziło się z własnym prowiantem, a w schronisku brało się wrzątek). Jem, siedząc przy drewnianym stole na zewnątrz schroniska. Podziwiam widoki - góry, lasy i hale. Gdzieniedzie czerwone dachy domów. Tak wysoko! Co tych ludzi tu przygnało?

Schodzę poniżej, na łąkę. Kładę się na grubej, miękkiej trawie. Poopalam się chwilę. Leżąc wygodnie, spoglądam na niebo, po którym przepływają białe obłoczki. Bosko.

*

Wróciłam z wycieczki zadowolona i odprężona. Planowałam kolejne wyprawy.

Wtedy spadł grom z jasnego nieba. Chciałam tylko zerknąć na pocztę, jak co wieczór. I znalazłam e-mail od Lilki. Pożegnanie na zawsze.

„Droga, kochana Agatko - pisała. - Wybacz. Tylko o to mogę cię prosić. Życie nie obeszło się ze mną łaskawie. Wiem, że znikłam nagle i bez słowa, lecz wtedy nie potrafiłam

inaczej. Nie chciałam się z nikim kontaktować, przywoływać wspomnień. Za bardzo bolało. Minęło trochę czasu. Przypadkiem trafiłam na reklamę gabinetu Grażyny i napisałam do niej. Ona ma rację. To ty byłaś moją przyjaciółką i należą ci się jakieś wyjaśnienia. Właściwie łatwiej mi o tym napisać, niż gdybym miała to powiedzieć wprost.

Jestem lesbijką.

Zawsze czułam, że jestem inna, ale nie wiedziałam, nie rozumiałam, na czym to polegało. Pamiętasz Ninę, naszą przyjaźń? Myślę, że ją kochałam. Jej śmierć mnie załamała. Nie, nie myśl sobie. Między nami do niczego nie doszło. Zwykła dziewczęca przyjaźń. Byli chłopcy, zawsze byli. Podobno urody mi nie brakowało. Miałam powodzenie. Ale coś mnie od nich odpychało, nie wiedziałam co. Miotalam się, próbowałam zajmować się różnymi sprawami. Nie pomogło.

Znałaś moją rodzinę. Wiesz, jakie mieli poglądy na życie. Więc wyszłam za męża, urodziłam dzieci. Mój mąż był artystą malarzem. Prowadziliśmy bardzo ożywione życie towarzyskie. I kiedyś poznałam kogoś, kobietę: malarkę, piękną i mądrą. I zakochałam się. Wtedy zrozumiałam. Mąż się domyślił. Zrobiło się piekło.

Odeszłam. Chciałam zatrzymać dzieci. Nie udało mi się. Straszyl, groził. Moja rodzina (córka lesbijka to hańba) stanęła po jego stronie.

Uciekłam. Holandia to przypadek, tak się ułożyło.

Jestem sama, pracuję. Nie mam kontaktu z dziećmi, rodziną. Nie czekam na nic, na nikogo. Będę tak żyła, jak długo dam radę.

Agata, wybacz i żegnaj. Lilka”

Oszołomiona, wspomniałam jej rodzinę. Znaczącą, dostojną, doskonałą w każdym calu. Córka lesbijka? Nie do pomyślenia.

Widziałam, że Lilka jest inna. Wydawało się, że bardziej bujała w obłokach niż reszta z nas. Wówczas nie zwracałam na to uwagi, ale ona zawsze szukała bliskiego kontaktu: objęcie, przytulenie, trzymanie za rękę - to było takie niewinne. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że może to być coś więcej.

Pamiętam, że lubiła czesać Ninę, która miała piękne długie włosy. Lilka stale zmieniała jej uczesanie, wplatała wstążki, kokardki, koraliki.

Wtedy się z tego śmiałyśmy. Mówiłyśmy, że powinna zostać fryzjerką.

A potem Nina się zabiła. A może... Nie, co za bzdury przychodzą mi do głowy. Nina cierpiała na depresję. To nie była pierwsza próba samobójcza. Zostawiła list, że „nie chce dłużej żyć z tą chorobą”.

Biedna Lileczko. Też przeszłaś piekło. Zawsze będę cię pamiętać roześmianą z długim

czarnym warkoczem wirującym wokół głowy, w białej sukience w grochy. Żegnaj.

Przez kilka dni chodziłam jak struta. W nocy wypłakiwałam się w poduszkę, aż brakło łez. Dopadły mnie moje własne koszmary. Karuzela nastrojów, czarne dziury - wszystko zdawało się mówić, że życie nie ma sensu i jest okrutne.

Samotność dawała się ostro we znaki.

To przeszłość - usiłowałam przekonać samą siebie. To mnie nie dotyczy.

W końcu życie wraca na swoje tory. Spowiedź Lilki traciła powoli na znaczeniu.

*

Ilona nie przyjedzie do mnie w wakacje. Pojedzie do Anglii, do męża. Tak sobie zażyczył. Obiecał, że pokaże jej Londyn i pojedą nad morze. Tak mi napisała w e-mailu.

Jestem rozczarowana. A co ze mną?

*

W pracy sytuacja kryzysowa. Nie ma kto pracować. Lekarze na zwolnieniach chorobowych. Urszulka ubłagała mnie, żebym trochę pomogła.

Moja pomoc polega na tym, że przyjmuję młodych dorosłych i piszę recepty przewlekłe chorym.

Boże drogi, ja nie miałam pojęcia, że ludzie zjadają tyle psychotropowi. Każdy o coś prosi - o relanium, signopam, lorafen czy inne. Nie sądziłam, że to taki problem.

Wszyscy tak samo tłumaczą: ciężkie życie, kłopoty domowe, zawodowe.

I pomyśleć, że miałam poczucie winy.

Ale nie jest tak źle. Czasem zdarzy się coś zabawnego.

Przyszedł tatuś, sam, bez dziecka. Chciał porady - diagnozy i leczenia. Dziecko miało wysypkę, a tatuś komórkę ze zdjęciem tejże wysypki. Na nic nie zdały się moje tłumaczenia, że zdjęcie niewyraźne, że powinnam zobaczyć dziecko na żywo. Odszedł nieprzekonany.

*

To była niesamowita historia.

Miły, letni wieczór. Siedziałam na kanapie w koszuli nocnej i oglądałam „Ostry dyżur” po raz nie wiem który.

W serialowej izbie przyjęć - szaleństwo. Ranni w wypadkach, postrzeleni, podtopieni. Akcja zmienia się z sekundy na sekundę. Doktor Green intubuje, Carter zakłada dojsście centralne, a

Benton grzebie w klatce piersiowej kandydata na nieboszczyka.

Oblęd!

W to wszystko wdziera się natarczywy dźwięk dzwonka. W pierwszej chwili nie mogę

się połapać, czy to w filmie, czy u mnie. Kolejny dzwonek. Biegnę do drzwi, wściekła, kto to mi przeszkadza? Za drzwiami stoi mały chłopiec.

- Niech pani idzie, przed blokiem leży kobieta.

Patrzę na niego i zupełnie nie rozumiem, czego on chce. Za sobą słyszę głosy serialowych lekarzy. Ośłupiałam. Czy to się dzieje naprawdę? Czy zostałam w jakiś dziwny sposób teleportowana do filmu? Patrzę to na dzieciaka, to na telewizor.

- Niech pani idzie - ponagła.

Przytomnieję. Lecę do okna. Istotnie pod blokiem, na chodniku leży kobieta. Wpadam w panikę. Ja w domu nic nie mam, tylko słuchawki i długopis. Ja nie jestem Carol, która w sklepie zrobiła tracheotomię, używając długopisu.

Nie ma rady, narzucam zimowy płaszcz (nic innego nie było pod ręką) na nocną koszulę i gonię do windy. Ostatecznie mogę spróbować zrobić sztuczne oddychanie i masaż serca, choć w życiu tego nie robiłam.

Pytam chłopaka:

- Pogotowie wezwane?

Kiwa głową, że tak.

Kobieta leży nieprzytomna, ale oddycha i ma puls. Dzięki Bogu. Źrenice ma nierówne, pewnie wylew.

W oddali słychać syrenę karetki.

Szybciej, szybciej.

Podjeżdża R-ka. Ratownicy zajmują się nią, a ja mogę wracać na górę. Film jeszcze trwa, ale odechciało mi się oglądać.

*

Na sobotę umówiłam się z Bożeną w pubie. Właśnie wróciła z wakacji w Chorwacji. Obiecała przynieść zdjęcia.

W drodze na spotkanie wstąpiłam do Rossmanna po maseczkę regenerującą i krem pod oczy. W sklepie zaczęła mnie młoda, miło uśmiechnięta kobieta.

- Ach, pani doktor, dziecko pije to mleko, które pani zapisała. Kolki się uspokoiły, mniej ulewa i skóra jest lepsza.

Od razu się zdenerwowałam. Co to za zwyczaj, żeby zaczęła w publicznym miejscu. Co z tego, że babka sprawia miłe wrażenie. Tak się nie robi! Ja nie mam najmniejszego pojęcia, z kim rozmawiam, o jakie dziecko chodzi. Podejrzewam, że nawet nazwisko nic by nie pomogło. Nie mam w głowie zawartości naszych bokartów.

W sklepie jest ciasno. Ludzie przysłuchują się i przyglądają.

Niech to szlag!

Cała sytuacja mnie krępuje i złości. Staram się miło uśmiechać, kiwam potakująco głową i milczę. Dochodzę do kasy, płacę i szybko spływam.

W pubie Bożena siedzi przy stoliku i przegląda „Twój Styl”. Jest bosko opalona i ma na sobie komplet, który oglądałam niedawno w sklepie, ale był horrendalnie drogi. Lniane spodnie w naturalnym kolorze i do tego tunika, długa prawie do kolan, zabawnie wiązana z tyłu na sznureczki.

Patrzę na nią z zazdrością. Cały komplet kosztował ponad pięć stów.

- Cześć. - Siadam obok i zamawiam sok pomarańczowy. - Jak po urlopie? Chyba dobrze? Bez dodatkowych atrakcji? - Nawiązuję do zeszłorocznej przygody we Włoszech.

- Było cudownie. Świetny hotel, jedzenie. Wiesz, ja bardzo lubię Chorwację. Nigdzie nie ma takiego cudnego, niebieskiego morza jak tam. Tylko z jeżowcami problem. Dosłownie zatrzęsienie.

- Znalazłoby się jeszcze kilka miejsc z błękitnym morzem - mruknęłam. - Przyniosłaś zdjęcia?

- Tak. Popatrz.

Przeglądałam fotki, a Bożena objaśniała: pałac Dioklecjana w Splicie, warownia w Dubrowniku, mury w Zadarze, widoki z autostrady nadmorskiej...

- A te wodospady to gdzie były? - przerwałam.

- W Parku Narodowym Krka. Cudnie i chłodno - zaśmiała się Bożena.

- Pozazdrościć - powiedziałam smutno. - Ja w tym roku do Zakopanego.

Zamówiłam drinka.

- A co robi Alina? Utrzymujecie kontakt? - podjęła Bożena uprzejmie.

- Tak. Ale niezbyt często. Ona się tam aklimatyzuje i uczy. Zaczęła już dyżurować. Przysięgła na wszystko, że w przyszłym roku gdzieś znowu pojedziemy. Pożyjemy, zobaczymy. - Westchnęłam ciężko. - A tak a propos pracy. Czy dowiadywałaś się... - Każde słowo stawało mi w gardle.

Bożena spojrzała smutno.

- Na razie na nic się nie zanosi. Wszędzie pełna obsada.

Milczałam. Posiedziałyśmy jeszcze chwilę, rozmawiając o duperelach.

Czuję, jak ziemia powoli usuwa mi się spod nóg.

*

Jutro wyjeżdżam do Zakopanego. Jestem już spakowana. Pojadę pociągiem o siódmej rano.

Muszę przetrwać jeszcze dzisiejszy dzień.

Wczoraj, dosłownie w ostatniej chwili udało mi się kupić w sklepiku koło przychodni dzinsy w kolorze zgniłej zieleni i dwa topy.

Jest wpół do szóstej. Przeszczęję z nogi na nogę. Nikt już nie przyjdzie. To się nie zdarza. Najchętniej bym wyszła.

Ha! Niespodzianka!

Drzwi się otwierają i wchodzi młoda, elegancka kobieta z dzieckiem - synem, tak na oko dziesięcioletnim. Wzdycham. Rejestracja właściwie zamknięta, lecz nie chcę sobie psuć nastroju przed urlopem.

Kobieta rejestruje dziecko. Pielęgniarka Ola przekopuje kartoteki. Nie ma!

- Może zmieniła pani adres lub nazwisko? - pyta.

- Nie, nic nie zmieniałam.

- Nie ma. - Ola patrzy na mnie bezradnie.

- Niech pani sprawdzi kartę szczepień. To pewny dokument. Bywa, że kartotekę źle się włoży.

W kartach szczepień też nie ma.

- A może pani należy do innej przychodni? - Usiłuję dojść prawdy.

- Nie, na pewno. Tu się zapisywałam - upiera się kobieta. Ostatni sprawdzian. Ola schodzi do komputera.

- Pani tu nie należy i nigdy nie należała - oświadcza po powrocie.

Twarz kobiety zmienia się w okamgnieniu. Mierzy mnie wściekłym spojrzeniem.

- Ja mam chore dziecko z gorączką. A pani ma psi obowiązek mnie przyjąć! - krzyczy.

- Ale dlaczego pani nie poszła do swojej przychodni? - próbuję się dowiedzieć.

Kobieta nie odpowiada, krzyczy dalej swoje, oczywiście powołuje się na przysięgę Hipokratesa itp.

Serce mi wali. Marzę, żeby ją zabić. Spinam się wewnętrznie.

- Tak, ma pani rację. W razie zagrożenia zdrowia i życia muszę przyjąć. Pani Olu, proszę założyć kartę interwencyjną.

Oczywiście pani nie ma żadnych dokumentów. Normalka. I tak szósta minęła.

W milczeniu pakuję rozwrzeszczaną babę i jej dzieciaka, który z nieukrywanym zaciekawieniem obserwował zajście, do gabinetu. Badam.

- To tylko zapalenie gardła, nie ma zagrożenia zdrowia i życia. Może pani bez obaw dotrzeć do swojej przychodni - mówię i patrzę jej prosto w oczy.

Teraz jej ruch. Czekam spokojnie.

- Jak to... nie rozumiem - jąka się. - To nie wypisze pani recepty? - Jest zdezorientowana.

- Dokładnie. Zbadałam dziecko. To zapalenie gardła. Nie ma żadnych zagrożeń. Może pani iść do swojego lekarza - powtarzam.

Widzę, że bije się z myślami, czy wziąć mnie krzykiem, czy inaczej?

Nagle zmienia wyraz twarzy na proszący. Głos jej łagodnieje i cichnie.

- Pani doktor, ja proszę, bardzo proszę. Przecież o tej porze przychodnie są już zamknięte. Ja przepraszam za moje zachowanie, ale byłam taka zdenerwowana.

- A nie można było od razu powiedzieć: „nie jestem z tej przychodni, nie zdążę do swojej, a dziecko ma temperaturę”! Wystarczyłoby tylko trochę dobrej woli. - Spoglądam na nią.

Kobieta spuszcza głowę. Nie, nie mam nadziei, że ze wstydu. Ona jest wściekła, że musiała mnie prosić.

- Jeszcze raz przepraszam. - Patrzy na mnie pytająco.

Wypisuję receptę.

- Naprawdę bardzo dziękuję.

Nic nie mówię, ale nadal chętnie bym ją zabiła. Wychodzę przed siódmą. Przede mną trzy tygodnie spokoju, bez pracy, pacjentów i przychodni.

To mało!

Dlaczego nie mamy takiego urlopu dla poratowania zdrowia jak nauczyciele?

Ha, ha. Bo nauczyciele są solidarni, naprawdę. Dlatego mają różne przywileje.

A my... szkoda gadać.

*

Wakacje! Zakopane!

Drewniany domek w góralskim stylu stał na niewielkim wzniesieniu, otoczony sporym ogrodem z miejscem na grilla i ognisko. Miał świetne położenie w centrum, trochę z dala od głośniejszych ulic, za to blisko do przystanku busików.

Dostałam niewielki pokoik na poddaszu. Przede mną rozpościerał się piękny widok na Giewont i Tatry Zachodnie. Otworzyłam szeroko okno. Wciągnęłam powietrze głęboko do płuc. Poczułam się wspaniale. Odprężona. Bełsko, praca i pacjenci odplynęli hen, aż na odległą galaktykę.

Opracowałam plany na najbliższe dni.

Jutro wybiorę się na Halę Kondratową, po czym przejdę Ścieżką nad Regłami do Doliny Białego.

*

Siedziałam sobie na Hali Kondratowej, pod schroniskiem. Popijałam herbatkę i pogryzałam prince polo XXL. Z zalem patrzyłam na Kopę Kondracką. Za późno, nie zdążyłabym tam wejść.

Na ławce przede mną siedział mężczyzna i przez lornetkę obserwował okolicę. Jego sylwetka wydała mi się znajoma.

Matko święta, przecież to Krzysiek!

Pośpiesznie zbierałam swoje rzeczy, chcąc jak najszybciej umknąć.

Niestety, Krzysztof odwrócił się w moją stronę. Udawałam, że go nie widzę zajęta pakowaniem. Nic z tego.

- Agata? - zawołał zaskoczony. - Agata, jaki ten świat mały. - Uśmiechnął się szeroko.

- Cześć - odpowiedziałam bez entuzjazmu.

- Ty nie na Południu? - zapytał.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała kpina.

- Daruj sobie. Niestety, Alina wyprowadziła się z Belska i na razie...

- A co chcesz od Zakopanego? Przecież to świetne miejsce.

- Brakuje ciepłego morza - mruknęłam.

Nie pytając o zgodę, przeskoczył ławkę i usiadł koło mnie.

- Kiedy przyjechałaś?

- Wczoraj - wymamrotałam.

- Ja jestem od tygodnia.

W niebieskich dzinsach i flanelowej koszuli w kratę, z plecakiem i lornetką na piersiach, ogorzały od słońca, prezentował się lepiej niż dobrze. Rozglądałam się za osobą towarzyszącą, lecz nikt taki nie krążył w pobliżu.

Chyba wyczuł moje myśli, bo powiedział:

- Przyjechałem sam. Mieszkam na Cyrhli. Cisza, spokój.

Zrobiło mi się głupio. Jeszcze pomyśli, że mnie to obchodzi. Czułam się źle, bo źle wyglądałam. Miałam na sobie spodnie od dresu i starego T-shirta. Flanelową koszulą przewiązałam się w pasie. Błada twarz i potargane włosy. Omal się nie rozplakałam. Chciałam spokoju, odpoczynku, żadnych znajomych, pacjentów, a tym bardziej eksmęża.

Natomiast Krzysztof był w świetnym humorze i miał już plany.

- Słuchaj, skoro jesteśmy tu sami... W towarzystwie przyjemniej się wędruje - rzucił bez ceregieli.

Niby przyjemniej, ale czy koniecznie z eksmężem? Co prawda na trasie wiele się nie

rozmawia, więc może... Do tego ma auto...

- Może masz rację - poddałam się.

Przecież to mnie do niczego nie zobowiązuje.

I ruszyliśmy razem na szlak. Byłam spięta. Po raz pierwszy od rozvodu miałam spędzić kawał czasu z byłym mężem z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie bardzo wiedziałam, o czym rozmawiać. Od czasu do czasu rzucałam jakieś zdanie na temat otaczającej nas przyrody. Krzysiek zachowywał się podobnie.

Było po szóstej, kiedy zeszliśmy Doliną Białego do miasta.

- Mam auto na parkingu, pod Kuźnicami - poinformował mnie Krzysiek.

- Daleko. A ja do centrum - powiedziałam zadowolona, że nam nie po drodze.

- Poczekaj, Agata. Tu masz numer mojej komórki. - Podał mi wizytówkę. - Gdybyś chciała gdzieś się wybrać albo czegoś potrzebowała, jestem do dyspozycji. - Był nieco zmieszany.

- Miło z twojej strony, ale nie sądzę... - Chciałam już iść.

- Nigdy nic nie wiadomo. Podaj mi twój numer, na wszelki wypadek - stwierdził enigmatycznie.

Jaki wypadek? A niech mu będzie.

Nabazgrałam pospiesznie numer na chusteczce higienicznej i podałam mu.

- Nigdy nic nie wiadomo - powtórzył i schował do kieszeni.

- Tak. Dzięki. To cześć. - Poszłam powoli w stronę centrum. Czułam, że za mną patrzy, ale się nie odwróciłam.

W nocy przetoczyła się ogromna burza. Umierałam ze strachu, że drewniany domek może się zapalić od pioruna. Przecież stał na wzniesieniu, a nigdzie nie zauważyłam piorunochronów.

Następnego dnia byłam nieprzytomna po nieprzespanej nocy. Ciężkie, ołowiane chmury wisiały nad miastem, zapowiadając kolejne burze. Parne powietrze utrudniało swobodny oddech. Co jakiś czas niebo przecinała błyskawica.

Lada moment będzie burza. Mając to na uwadze, postanowiłam nie oddalać się zbyt od domu.

Poszłam na Krupówki. W małym lokaliku kupiłam ogromną pajdę wiejskiego chleba ze smalcem i ogórkiem kiszonym (w domu nie miałam nic do jedzenia). I kiedy w spokoju się posiłałam, zadzwonił telefon. Krzysiek! Czego on chce?

- Cześć. Pomyślałam sobie, czy nie wybrałabyś się do Doliny Pięciu Stawów. Jutro.

- Nie ma mowy. Ledwie żyję po wczorajszym. I do tego pogoda burzowa -

oświadczyłam stanowczo.

- A... - ucieszył się. - Zapomniałem już, jak ty się boisz burzy.

- To nie jest powód do śmiechu - obruszyłam się. - Burze bywają niebezpieczne. Na całym świecie tysiące ludzi...

- No dobra, dobra. Nie denerwuj się. Jutro ma być lepiej, chłodniej. A masz inne plany? - naciskał.

Hm... On ma auto, dojechalibyśmy do Palenicy... - zastanawiałam się.

- No dobrze. Niech będzie - zgodziłam się łaskawie.

- Miło z twojej strony - nieco ironicznie stwierdził mój były. - A w takim razie zapraszam cię dziś na pstrąga. O czwartej koło hotelu. - I wyłączył telefon.

No to się wpakowałam. Wakacje z byłym. W sumie co to przeszkadza?

Nie byliśmy w stanie wojny. Możemy się zaprzyjaźnić... może to za mocno powiedziane. Możemy zostać kumplami.

Jutro wyprawa. Muszę się przygotować. I wtedy zapaliła się ostrzegawcza, czerwona lampka w mojej głowie. Wspólna wyprawa oznacza, że muszę przygotować jedzenie! O Boże! Wzięłabym dwa batoniki, wodę i po krzyku!

Nie mówiliśmy o tym, ale zawsze tak było i pewnie będzie do końca świata. Kobieta przygotowuje zarcie. Muszę iść na zakupy. Mam to chyba zakodowane w genach.

Pognałam do sklepu - bułki czy chleb na kanapki, masło, ser, szynka. No i pomidory, ogórki, papryka i tabliczka czekolady mlecznej. Kawa w termosie, woda, miętówki. Kto to będzie niósł? Ja?

Po zakupach padłam. Do czwartej było jeszcze trochę czasu. Położyłam się na leżaku w ogrodzie i czytałam książkę. Chmury przysłoniły góry. Nadal parno. Pogoda dla zawałowców - pomyślałam.

Miałam pół godziny do spotkania. I dylemat. Jak się ubrać na tego pstrąga?

Chyba mnie zaćmiło przez tę pogodę. Przecież to Zakopane - na sportowo! Włożyłam brązowe, bawełniane spodnie, zielonkawy top z małym wyhaftowanym kwiatkiem.

Poszliśmy do knajpy, w której podawali pstrągi na milion sposobów. Zamówiłam pstrąga w oszczyпку, a Krzysztof w ziołach. Do tego piwo.

Potem połamaliśmy po Krupówkach, pozagląaliśmy do sklepików i kramów z pamiątkami.

Było całkiem miło. Odprowadził mnie do domu i powiedział:

- Przyjadę po ciebie o szóstej. Cześć.

*

Wieczorem niebo się przetarło, powietrze stało się rześkie. Klnąc na czym świat stoi, przygotowałam prowiant na wycieczkę. Postarałam się. Wyglądał bardzo... profesjonalnie.

Zapakowałam cały plecak. Ważył chyba z dziesięć kilo.

Kto to będzie niósł? Ja nie dam rady. Ot, płac babo za swoją głupotę.

Krzysztof przyjechał po szóstej. Wziął mój plecak i jęknął.

- Agata, co ty tam masz, kamienie?

- Tylko jedzenie i sweter.

Jego plecak był leciutki, czyli - jak przypuszczałam - nie wziął jedzenia.

- Musimy przepakować - zdecydował.

Wyrzucił wszystko z mojego plecaka. Na widok pięknie popakowanych kanapek, jarzynek zagwizdał.

- No, no, proszę. Kiedyś nie byłaś taka zapobiegliwa.

Nic nie odpowiedziałam. On sam miał trzy batoniki i wodę.

- Przecież tam są schroniska, można kupić.

- Trzeba być gotowym na różne sytuacje - mruknęłam.

- Na jakie? Idziemy znanym szlakiem. Nie zabłądzimy, nie ma zimy. Wszystko pod kontrolą.

Szybko przepakował nasze plecaki i pojechaliśmy.

W samochodzie siedziałam w milczeniu. Krzysztof sprawnie pokonywał górskie serpentyny. Zmienił się. Stał się pewny siebie, stanowczy - skonstatowałam. Gdzie się podziały te ciepłe kluchy? A może zawsze był taki, tylko ja nie zauważyłam, pochłonięta swoimi sprawami.

Dojechaliśmy do Palenicy, na parking. Powitał nas rześki i mglisty poranek.

Na parkingu zaproponowałam mu kawę, którą miałam w termosie. Podniósł brwi, rozbawiony.

- To może i kanapeczkę? Proszę bardzo.

Pokiwał głową, ale nie pogardził. Zjadł. Wycieczka się udała.

*

Następnego dnia obudziłam się o dziesiątej rano. Dzień był słoneczny, piękny, a ja umierałam. Wszystko mnie bolało, a najbardziej nogi nieprzyzwyczajone do długich wędrówek.

Wzięłam książkę i położyłam się w ogrodzie. Około południa poczułam głód i zwlokłam się z wygodnego leżaczka stojącego pod jabłunką.

Na Krupówkach, naprzeciwko kościoła, z okien restauracji sprzedawano placki

ziemniaczane. Musiałam odstać swoje, bo chętnych było od cholery.

Wzięłam dwa ze śmietaną. Usiadłam na schodach kościoła i konsumowałam je nieelegancko, bo palcami, kiedy zadzwonił telefon.

Do jasnej cholery! Teraz?

- Słucham - warknęłam.

- Agata, to ja. Jak się czujesz? - Oczywiście Krzysztof.

- Dobrze - skłamałam.

- Agata, ja jutro wyjeżdżam i chciałbym cię dzisiaj zaprosić na kolację.

- Co takiego? - Zakrztusiłam się plackiem.

Powtórzył.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zaskoczył mnie. W pierwszym odruchu chciałam odmówić.

Ale potem... I tak nie mam nic do roboty.

*

Poszliśmy do eleganckiej restauracji, w centrum.

Krzysztof - w garniturze. Ja (na szczęście wieczór był ciepły) - w niebieskiej spódnicy w trójkąty (choć raz się przydała) i białej bluzeczce ozdobionej maleńkimi cekinami.

Krzysztof zamówił wino.

Dziubałam sałatkę, nie bardzo wiedząc, o czym z nim rozmawiać.

Tymczasem Krzysiek wznosił toast.

- Za nieoczekiwane spotkania i nasze piękne Tatry, i piękną pogodę, i w ogóle za wakacje. - Trzeba przyznać, że tym toastem rozładował nieco napięcie. Bo w końcu to idiotyczny pomysł, spędzać wakacje z byłym mężem.

- Za wakacje - przyłączyłam się. - Często tu zaglądasz?

- Nie. Z uwagi na dzieci jeździliśmy nad morze.

- Poświęcasz im sporo czasu.

- Nie tyle, ile bym chciał. W czerwcu byliśmy dwa tygodnie w Ustce.

- Jak widzę, rola ojca ci pasuje - zaśmiałam się krótko i nerwowo. Od razu przypomniałam sobie, jak zależało mu na dzieciach w przeciwieństwie do mnie. Ale miałam swoje powody.

Piłam kolejny kieliszek. Lekko kręciło mi się w głowie. Krzysiek opowiadał:

- Wiesz, one są w trudnym wieku - Patrycja ma piętnaście lat, a Kajtek trzynaście.

Muszą wiedzieć, że mają ojca. Czasem zabieram je na weekend.

Kelner przyniósł zamówione dania.

- A co u ciebie? - spytał.

Wzruszyłam ramionami. Przecież nie będę mu mówić, że być może niedługo przeprowadzę się pod most.

- Normalnie.

- Hm, nie jest to wyczerpująca odpowiedź.

- A co się może dziać u lekarki takiej jak ja? - zdenerwowałam się.

- Obiło mi się o uszy, że wasza przychodnia...

Przerwałam mu.

- To tylko plotki - powiedziałam szybko. - Żałuję, że nie zrobiłam „rodzinnego” - wymknęło mi się.

- A dlaczego nie zrobiłaś? - dopytywał się.

Boże wielki, dlaczego, dlaczego? Jakbyś mnie nie znał. Nie chciało mi się i już. A żałuję dopiero teraz, jak mi się grunt pali pod nogami.

- Tak jakoś... zeszło.

Krzysztof pochylił się ku mnie, miałam wrażenie, że chce mnie wziąć za rękę, ale nie zrobił tego.

- Agatko, może to trochę niezręcznie - zawahał się. - Ale jak ty się czujesz? No wiesz, chodzi mi o te sprawy z przeszłości. Ułożyło się to jakoś? - drążył. Widać było, że czuje się nieswojo. - Wspomniałaś o kuzynce...

- A kuzynka... istotnie poznałam. A inne sprawy - o tyle, o ile - usiłowałam go spławić.

Za późno! Już popsuł mi humor. Myśli, jak kostki domina, już się nie zatrzymają.

Akurat, nic się nie ułożyło, ale nie myślę się tobie spowiadać. Chociaż to ty ucierpiełaś. Nie byłam dobrą żoną. Boże, po co ja się zgodziłam na tę kolację?

Kolejny kieliszek wypiałam jednym haustem. Zrobiło mi się gorąco. Twarz paliła. Poszłam do toalety. Umyłam twarz zimną wodą. Oparłam się o ścianę. Ogarnęła mnie przemożna chęć opowiedzenia mu wszystkiego. Kręciło mi się w głowie. Alkohol zrobił swoje.

Wróciłam do stolika i złapałam go za rękę.

- Słuchaj, komu jak komu, ale tobie należy się prawda. Nic się nie ułożyło, nie uładziło. Mam doły i koszmary. A do tego dowiedziałam się, że jestem dzieckiem z gwałtu - wyrzuciłam z siebie.

Milczał, spuścił głowę.

- O Boże, nie wiem, co powiedzieć - wykrztusił wreszcie. Był zdziwiony, lecz nie tak

bardzo, jak się spodziewałam.

- Nie jesteś zaskoczony?! Dlaczego?!

- Jestem. Choć czułem, że to coś więcej niż zwykły konflikt rodzinny. - Krzysztof zawahał się. - Nie przyznałem ci się, ale rozmawiałem z twoimi rodzicami, o ile można to nazwać rozmową.

Ogarnął mnie pusty śmiech. Następny poinformowany!

- Jak to rozmawiałeś? Kiedy? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Położył swoją dłoń na mojej.

- Posłuchaj. Nie mówiłem ci, bo nie było o czym. Pojechałem do Wrocławia. Poszedłem do twojego domu... kochałem cię - dodał cicho.

Twarz mnie paliła, drżałam.

- Mów dalej - szepnęłam.

- Nie mogłem patrzeć, jak się zamęczasz, jak nie potrafisz oderwać się od przeszłości. Byłaś taka nie do życia, a ja chciałem ci pomóc. - Wziął głęboki wdech. - Przyjęli mnie w przedpokoju i patrzyli bez słowa. Poczuję się głupio, ale powiedziałem im, jaka jesteś nieszczęśliwa, jak się męczysz. Że chciałbym ci pomóc, ale nic nie wiem. I że chciałbym zrozumieć. - Krzysztof westchnął i mówił dalej: - Twój ojciec wyglądał, jakby go piorun strzelił. Powiedział tylko, że nie ma nic do powiedzenia, i wyszedł. Twoja matka zbladła, wydawało się, że za chwilę zemdleje. Cichym głosem stwierdziła, że miałaś wszystko, czego potrzebowałaś. Że oni nie mają sobie nic do zarzucenia, i że przykro jej, że nie potrafisz się odnaleźć w życiu. Widziałem, że jest bardzo zdenerwowana. Chciałem wyjść. Zatrzymała mnie i powiedziała: „Proszę powiedzieć Agacie, żeby nie zajmowała się przeszłością. To nie ma sensu. Jest młoda, ma czas i możliwości. Różnie się w życiu układa. Nie zawsze mamy wpływ na wydarzenia”. Chciała jeszcze coś dodać, lecz tylko pokręciła głową.

Przerwałam mu.

- Zamów coś zimnego do picia. Gorąco. - Paliły mnie policzki, serce waliło. - I zamów jeszcze drinka. I mów!

- Agata, czy ty pamiętasz, jak się starałem, wymyślałem rozrywki, wyciągałem cię do kina, na wycieczki, do znajomych? A ty nie sypiałaś po nocach. Twierdziłaś, że twoje życie się skończyło. Czy ty to pamiętasz? - rzucił niemal z rozpaczą. - Chodziłaś jak błędna. W końcu straciłem wiarę, że coś się zmieni. Chciałem normalnie żyć. I odszedłem.

Ścisnęłam mu dłoń.

- Krzysiu, ja nic nie widziałam. Byłam ślepa i głucha. To tylko moja wina. Ale, błagam, skończmy już ten temat.

Wypiliśmy jeszcze po drinku. Bolesne myśli powoli odpływały, a ja stawałam się lekka i beztroska. Zaczęłam się śmiać. Patrzył na mnie z widocznym przerażeniem.

- Nie patrz tak na mnie - zachichotałam. - Było, stało się. Nikt nic na to nie poradzi.

Wypiłam jeszcze jeden kieliszek i zrobiło mi się bardzo wesoło.

- Może już dosyć - stwierdził Krzysztof. - Późno. Chodźmy do domu.

Wyszliśmy. Niebo było rozgwieżdżone. Góry wisiały grafitową czernią nad miastem. Tylko na szczycie Giewontu migotało światełko, na krzyżu. Solidnie kręciło mi się w głowie. Wszystko wokół wirowało wraz ze mną. Straciłam wycucie przestrzeni. Głupio zachichotałam.

- Zaraz góry zwałą się na nas. Jak fajnie. - Lekko się zatoczyłam. Złapał mnie pod rękę i poszliśmy w kierunku mojej kwatery.

- A wiesz, co mi wczoraj powiedziała gaździna? Że sobie ładnego chłopca znalazłam. Śmiałam się do rozpuku.

Przed domem przystanęliśmy na chwilę, by się pożegnać. Nagle zupełnie nie wiem, jak do tego doszło, a znalazłam się w jego objęciach. Krzysztof pocałował mnie mocno, namiętnie. W ułamku sekundy zobaczyłam twarz Jurka. Odsunęłam się gwałtownie. Powinnam być zła, a tymczasem poczułam ucisk w dole brzucha i chciałam, żeby to trwało... Chciałam nawet czegoś więcej!! Może to wina alkoholu? Dlaczego moje ciało jest przeciwko mnie?

A Krzysztof? Co go napadło? Zawsze zachowywał się z dystansem. A może to nie on, tylko ja trzymałam dystans? Nie pamiętam. To było tak dawno!

Odwrociłam się, otworzyłam furtkę.

- No to cześć - powiedziałam niemrawo i z trudem zaczęłam wchodzić po schodkach.

- I spokojnego powrotu - dodałam.

Krzysztof zaskoczony moim zachowaniem stał nadal jak wmurowany.

*

Kolejne dni upływały zbyt szybko, jak to na wakacjach.

Chodziłam po dolinkach, wjechałam na Gubałówkę, dotarłam na Halę Gąsienicową. Łaziłam po mieście.

Sama!

Owszem, na szlakach zamieniałam po kilka słów z turystami napotkanymi po drodze. Lecz to było wszystko. No może nie. Raz jeden udało mi się i wracałam z Gąsienicowej w towarzystwie. Pani, sporo starsza ode mnie, wędrowała sama i to ona mnie zaczęła. Gaduła niesamowita. W krótkim czasie opowiedziała mi historię swojej rodziny, swoich dzieci i

wnuków. Nawet pokazała zdjęcia.

I znowu wpadłam w dołek. Naszły mnie ponure refleksje, że ja nikomu zdjęć dzieci ani wnuków pokazywać nie będę.

Czy nie przesadzam? Przecież ta kobieta też była sama. Rodzina za granicą walczy o lepsze życie, a jej pozostały tylko zdjęcia i nadzieja, że kiedyś wróci. To mało!

Na dole, w Kuźnicach byliśmy już niemal przyjaciółkami. Ona z Krakowa. Niedaleko.

Wieczorem, pod wpływem impulsu wysłałam SMS-a do Aliny. Otrzymałam odpowiedź, że przeprasza, jest na dyżurze i za chwilę będzie robić punkcję.

Trudno. Punkcja ma pierwszeństwo przed moim narzekaniem.

*

Wakacje zbliżały się ku końcowi. Dzień przed wyjazdem postanowiłam pójść do Doliny Małej Łąki, w której nigdy nie byłam, a słyszałam, że jest piękna.

Rzeczywiście okazała się wyjątkowa!

Na końcu szlaku wchodzi się mocno pod górę i dopiero tam otwiera się widok na ogromną polanę, otoczoną z jednej strony masywem Giewontu, z drugiej Czerwonych Wierchów. Na wielkiej połaci kwitną kwiaty - różowe i niebieskie przypominające dzwonki. Kolorowy dywan ciągnie się jak okiem sięgnąć, a niezliczone ilości owadów brzęczą i huczą. Wszystko żyje.

Położyłam się na tym dywanie (choć był to czyn wołający o pomstę do nieba). Słońce świeciło i mogłoby tak być do końca świata... I wtedy zadzwoniła komórka.

- Gdzie ty się podziewasz? - krzychała Bożena.

- Jak to gdzie? Jestem w Zakopanem, na wakacjach.

- Jest praca, wracaj natychmiast.

- Co, jak... - wyjąkałam. Bożena powiedziała tylko:

- Nie przez telefon.

*

Jeszcze tego samego dnia wróciłam do Belska. Podróżną torbę porzuciłam w przedpokoju i tak jak stałam pognałam do domu Bożeny.

- Masz szczęście. Wyjątkowy zbieg okoliczności. Z dnia na dzień odeszła lekarka - referowała Bożena. - Z powodu choroby. A jest okres urlopowy i potrzebują kogoś na gwałt. Z Agnieszką (szefową tej przychodni) znamy się od przedszkola. Trochę marudziła - woleliby rodzinnego, ale w końcu się zgodziła. Będziesz miała pół etatu. Ona czeka na ciebie jutro rano.

- Dzięki - wyjąkałam, oszołomiona.

- Trzymaj się. - Uśmiechnęła się Bożena.

Wracając do domu, znowu zaczęłam dramatyzować. Za mało czasu. Nie dam rady tego załatwić u siebie. A i oni chyba za bardzo mnie nie chcą. Może się wycofać?

Nie - przywołałam się do porządku. Znowu chcę się wymigać od podjęcia decyzji. A sprawa jest jasna, tu nie mam przyszłości. A tam? Wyjdzie w praniu. Gorzej już być nie może.

*

Kiepsko spałam. Nie pomogła tableteczka.

Rano miotałam się po domu jak ogłupiała. Zupełnie nie wiedziałam, jak się przygotować do tej rozmowy, jak ubrać, umalować. Czy wyglądać jak jakieś nieszczęście, które zginie, gdy nie dostanie tej pracy? Czy wyszykować się na bóstwo (choć w moim wypadku to mało możliwe)? I tak źle, i tak niedobrze.

W końcu włożyłam to co zwykle: popielaty kostium, jasną bluzkę, trochę się umalowałam i pojechałam.

Przychodnię znałam doskonale. Bywałam w niej wielokrotnie, w przeszłości, na zastępstwach. Piętrowy budynek z lat siedemdziesiątych stał w niewielkim ogrodzie. Kiedyś na piętrze przyjmowano dorosłych, a dzieci na parterze. Teraz w ramach oszczędności całość mieściła się na dole. Pod jedyną rejestracją kłębił się tłum. Nie było podziału na dorosłych i dzieci, na chorych i zdrowych.

Pomyślałam o firmie: obszerne korytarze, duże gabinety, poczekalnie osobne dla dzieci i dorosłych. Wszędzie pełno roślin. No i co z tego...

Szefowa, doktor Agnieszka, przyjęła mnie w swoim gabinecie. Elegancka babka. Kilka lat starsza ode mnie, bardzo zadbana. Jasna, gładka cera, dyskretny makijaż, nieskazitelne paznokcie. Biały kitel bez jednej plamki, wykrochmalony i idealnie wyprasowany osłaniał prostą, beżową spódnicę i kremowy bliźniak - strój prosty i nierzucający się w oczy.

Patrzyła na mnie bez cienia sympatii. Bezwiednie bawiła się okularami.

- Bożena bardzo nalegała, żebyśmy panią zatrudnili. Podobno jest pani w trudnej sytuacji... - Zawiesiła głos.

- Istotnie. Moja firma upada...

- Słyszałam - przerwała mi. - Zależy nam na czasie. Koleżanki chcą iść na urlopy. Najdalej od pierwszego września musi pani zacząć pracę. Zdąży pani?

- Muszę.

- Podanie i dokumenty może pani zostawić u mnie. - Wstała, pokazując, że to koniec rozmowy. - Mam nadzieję, że wszyscy będziemy zadowoleni ze współpracy - dorzuciła na koniec.

Wyszłam. Napięcie opadło. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nawet nie zapytałam o stawkę. Cała ja! Niczego też nie dowiedziałam się o samej przychodni, kto pracuje, ilu jest pacjentów... Ciekawe, jak bardzo namęczyła się Bożena, żeby zechcieli mnie przyjąć? A może rzeczywiście jestem potrzebna? Tylko na jak długo?

*

Ublągałam! Nie, zaszantażowałam sekretarkę firmy i umówiła mnie z dyrektorem, oczywiście wice. W bojowym nastroju pojechałam prosić - nie, żądać natychmiastowego zwolnienia.

Wice patrzył nieprzychylnie.

- Jak pani sobie to wyobraża? Zostaniemy bez pediatry.

- Panie dyrektorze - zaczęłam. - Przecież ja nie jestem ślepa. Wam nie zależy na placówce. Wszystkiego brakuje, ściany się sypią, z kranów cieknie. To ruina, którą się nikt nie interesuje. Brakuje personelu, pacjenci odchodzą, a płace... Ile to potrwa - miesiąc, pół roku? Ja muszę myśleć o sobie!

- Pani wie, że nie musimy się zgodzić. To za krótki termin. Jak pani to sobie wyobraża?

- Wiem, ale znalazłam inną pracę.

- Nie obchodzi mnie to. - Lekceważąco zakręcił się na obrotowym biurowym fotelu.

- Zrobię to, co poprzedni kierownik - powiedziałam twardo. Milczenie.

Nie wytrzymałam.

- A... obecny kierownik będzie w styczniu rodzić - rzuciłam.

Wice stukał długopisem o blat biurka. Patrzyłam mu prosto w oczy.

- Proszę poczekać. - Wziął moje podanie i wyszedł. Wrócił po dziesięciu minutach.

Nie patrząc na mnie, podał mi podpisane podanie bez komentarza.

- Dziękuję. - Szybciutko się ulotniłam.

Byłam wolna. Ale coś za łatwo poszło. To mogło tylko dowodzić, że zamknięcie placówki jest kwestią czasu.

*

Kupiłam ciasto i kawę. Musiałam powiedzieć wszystkim, że odchodzę.

W przychodni zapanował nastrój przygnębienia, bynajmniej nie z żalu za mną. Wszyscy doskonale rozumieli, że moje odejście to niemal ostatni gwóźdź do trumny

placówki.

Urszulka się popłakała.

- Nie płacz. Nic ci nie będzie. Jesteś zabezpieczona. Ta ciąża świetnie ci się wpasowała. Pielęgniarki też znajdą pracę. A pacjenci... Ja już nie mam na nic wpływu - powiedziałam szorstko. - Spróbuj podzwonić po emerytach, może ktoś weźmie jakieś godziny.

*

Dziś pierwszy dzień w nowej pracy. Zdecydowanie brakuje mi entuzjazmu. Na wpół do ósmej doktor Agnieszka zarządziła zebranie zapoznawcze. Guzdrzę się niemiłosiernie. Jak zwykle nie wiem, w co się ubrać.

Wszystko się zmieniło, nawet autobus. Jadę przez miasto w potwornym tłoku. Przeważa młodzież szkolna. Zajęła miejsca siedzące. No, przecież są potwornie zmęczeni po wakacjach.

My stoimy i udajemy, że nie widzimy, nie słyszymy i w ogóle nas to nie dotyczy!

To nie nasze dzieci, siostrzeńcy, znajomi; to inni!

Przykleiłam nos do szyby. Nie ma na co patrzeć. Przed dwoma dniami pogorszyła się pogoda. Mgliste poranki zapowiadają nadchodzącą jesień. Żółknie trawa i liście na drzewach. W ogródkach kwitną ostatnie astry.

Wchodzę do budynku, serce podchodzi mi do gardła. Chce mi się płakać. Ostatnio mam oczy w mokrym miejscu. Dzisiaj mam zdecydowanie zły dzień!

W gabinecie jest już kilka osób. Doktor Agnieszka przedstawia mnie:

- To pani Agata Pilska - pediatra, będzie od dzisiaj pracować z nami. Przejmie obowiązki naszej chorej koleżanki.

Uśmiecham się, wykonuję coś na kształt ukłonu. Tymczasem Agnieszka poznaje mnie z lekarzami:

- Doktor Wanda - pediatra. Będziecie panie razem pracować.

Wanda - sucha, ascetyczna, wyblakła, o wąskich ustach, siwych włosach. Patrzyła na mnie niechętnie. Nie wiem dlaczego przyszła mi na myśl baśń - „O Wandzie, co nie chciała Niemca”. Tej by żaden Niemiec nie zechciał i nie tylko Niemiec. Wow! Na serdecznym palcu obrączka. Ha! Mężatka! Uśmiechnęłam się do niej miło, żeby nie było na mnie. Odwróciła głowę. Raczej się nie zaprzyjaźnimy...

Drzwi otwarły się i do gabinetu wpadła młoda osoba, niewysoka, zgrabniutka, w dżinsach i sweterku.

- Przepraszam wszystkich za spóźnienie - rzuciła.

- To nasz lekarz rodzinny, doktor Anna - poinformowała Agnieszka. - Będzie pani pomagać podczas urlopu Wandy.

Anna podała mi rękę i powiedziała:

- Proszę mówić do mnie Anula. - Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Przy oknie, oparta o framugę, stała kobieta po pięćdziesiątce, szczupła, o jasnych włosach ściętych prawie najeża. Jej szeroka twarz była mocno opalona i poorana zmarszczkami. Miała przejrzyste, niebieskie oczy.

- Pani doktor Zofia Szul. - Agnieszka uśmiechnęła się ciepło do kobiety przy oknie. - Na pewno pani o niej słyszała...

Popatrzyłam na nią z szacunkiem połączonym z lekką zazdrością. Oczywiście, że słyszałam. O lekarce, która pracowała na misjach w Afryce, podróżowała i nawet pisała książki. To ona!

Też bym tak chciała...

Agnieszka nadal mówiła.

- Naszych panów tu nie ma. Pracują w niepełnym wymiarze godzin: doktor Michał - kardiolog i doktor Jan - pulmonolog. Pozna ich pani przy okazji. Proszę, zrobiłam grafik. - Rozdała plik kartek.

Grafik? Nawet mnie nie zapytano. Pięknie się zaczyna. Zanim zerknęłam, już wiedziałam - piątki po południu! Niech to szlag! To specjalnie. Wie, że nie zaprotestuję. Grafik był bardzo niekorzystny dla mnie. Okienka! Ani wrócić do domu, ani łączyć po mieście. Zresztą ile można chodzić po sklepach? Jeśli nie uda mi się go choć trochę zmienić, to nadal będę spędzać dziesięć godzin poza domem!

*

Mogę śmiało powiedzieć, że ostatnie dwa tygodnie dały mi w kość. Mnóstwo pacjentów i to nie tylko dzieci, a i tych było stanowczo za dużo. Z nostalgią wspominałam te godziny laby, to szwendanie się z kąta w kąt i czas na ploteczki w mojej byłej firmie.

Za to mam świetną pielęgniarkę - Kasię. Około trzydziestki. Macierzyńska i życzliwa. Stały wyraz zatroskania na twarzy sprawiał, że budziła powszechną sympatię. Wie o wszystkim, co się dzieje w przychodni. To Kasia opowiedziała mi, że doktor Wanda pojechała na pielgrzymkę do Medjugorie, a doktor Zofia z plecakiem przemierza Wietnam i Laos z grupą podobnych do niej podróżników.

No i znowu to ukłucie zazdrości. Bądź rozsądna, nie pojechałabyś z plecakiem, spanie na matach na ziemi czy w chatkach na palach to już nie dla ciebie - przekonywałam samą siebie.

Kasia powiedziała mi również, że starszy syn Wandy jest w seminarium, a młodszy to czarna owca w rodzinie. - Wanda w ogóle o nim nie wspomina. Nie uczy się, nie pracuje. I podobno kiedyś był w sekcie... - Ściszyła głos.

Zofia - to nie żadna tajemnica - była na misjach. Przeżyła zawód miłosny, zerwała z narzeczonym. Chciała iść do klasztoru.

- To wszystko opisała w książce - paplała Kasia. - Jest miła, ma najwięcej pacjentów. A z kolei szefowa trzyma dystans. Uważa się za kogoś lepszego. Jej mąż jest w Belsku wziętym adwokatem. Mają wielką chałupę w dzielnicy willowej.

Dzięki gadatliwości Kasi sporo się dowiedziałam.

*

Jestem zmęczona. W ogóle praca w nowej przychodni mi się nie podoba. Dużo pacjentów i do tego stosunki międzyludzkie nie są najciekawsze. Bardzo wyraźnie rysuje się podział na właścicieli (udziałowców) przychodni i resztę. Ja oczywiście należę do tej reszty. Chciałabym ponarzekać, wypłakać się, niestety, nie mam komu. Przecież nie mogę marudzić Bożenie, która musiała się nieźle nagimnastykować, żeby mnie przyjęli.

Alina daleko - kontakty prawie żadne. Z Basią też stosunki się rozluźniły, odkąd wyszła za mąż...

Wczoraj miałam koszmary dyżur. Zgłosił się młody człowiek z bólem w okolicy zamostkowej. EKG. Zawał! Nie wiem, jakim cudem w ogóle to rozpoznałam. Chyba dlatego, że na wydruku był „książkowy” obraz zawału. Facet miał 25 lat i właśnie wrócił z Afganistanu. Po cholere tam pojechał? Zapewne dla kasy. Choć może to była jedna z tych propozycji nie do odrzucenia, o których mówi się na mieście.

Wezwałam R-kę. Nie miałam odwagi powiedzieć mu prawdy, tym bardziej że zachowywał się agresywnie. Nie chciał zażyć polopiryny. Krzyczał, że wmawiam mu jakieś choroby, a jego tylko trochę boli. To na pewno neuralgia. I wystarczyłby zastrzyk. Że jestem niekompetentna...

Przyjechała R-ka. Lekarz się nie patyczkował. Od razu powiedział, co jest grane, i zabrał go na OIOM. Po pracy ledwo dowlokłam się do domu. Włączyłam komputer i wysmażyłam płaczliwego e-maila do Ilony.

Na próżno czekałam na odpowiedź. Nikogo nie obchodzę, nic a nic!

*

W poniedziałek zostałam wezwana na dywanik. Szefowa upomniała mnie, że zlecam za dużo badań. Zapytała też, czy wezwanie karetki było konieczne, bo to kosztuje.

- A jak inaczej można przetransportować do szpitala chorego z zawałem? - spytałam.

Brak odpowiedzi.

To może miałam zamówić taksówkę albo dać bilet na autobus? - piekliłam się w myślach. Nie podoba mi się tu, zdecydowanie.

Ilona odpisała wreszcie na mojego e-maila. Usiłowała mnie pocieszyć, że to początek, że na pewno wszystko się ułoży i takie tam bzdety.

*

Wieczorem zadzwoniła Basia. Była zbulwersowana.

- Wyobraź sobie, znalazła się córka Beaty. Policja zwinęła ją w jakiejś melinie, w Warszawie. Jest narkomanką.

- Boże drogi, to okropne! - krzyknęłam.

- Będzie miała sprawę w sądzie za posiadanie narkotyków. Podobno okropnie wygląda: brudna, chuda.

- No a co Beata?

- Och, w Beatę jakby nowe życie wstąpiło. Powiedziała, że teraz kiedy córka się znalazła, może być już tylko lepiej. Pojechała do Warszawy. Wynajęła adwokata. Będzie o nią walczyć, „nie pozwoli córki zmarnować”.

Przypomniałam sobie spotkanie z Beatą na ulicy. Zaniedbana, szklisty wzrok, sama wyglądała na narkomankę.

- Baśka, a czy Beata coś ze sobą zrobiła? - zapytałam ostrożnie. - Bo wiesz, w takim stanie, jak była, to mogliby ją różnie potraktować.

- Oczywiście. Odstawiła się i pojechała w bojowym nastroju.

- To dobrze, że się znalazła. Ale co dalej będzie? Przecież ta dziewczyna uciekła z domu. Może nie zechce wrócić.

- Ty zawsze myślisz pesymistycznie - obruszyła się Basia. Ano taką mam naturę.

*

Grażyna przypomniała sobie o mnie. Przysłała długiego e-maila. Jakiś czas temu wróciła z wakacji w Turcji. Zafascynowana. „Wszystko tam jest cudowne - pisała - przyroda i zabytki. W ogóle super”.

Nie to okazało się najważniejsze. Poznała kogoś! On był z kolegą, ona z koleżanką. I tak się złożyło, że niemal od pierwszego dnia chodzili razem, na początku jako kwartet, potem w duecie.

„Jaki to wspaniały człowiek - rozpisywała się - jaki inteligentny. Jak cudownie z nim się rozmawiało na każdy temat. Jaką miał wiedzę!”. Grażyna wprost piała z zachwytu nad facetem. I tylko jeden malutki mankament! Był żonaty!

„Czy ja jestem przeklęta? - biadoliła. - Czy wisi nade mną fatum? Ilekroć kogoś interesującego poznam, zawsze okazuje się, że jest żonaty. Dlaczego??”

Nie wiem. Może ma coś w sobie, co przyciąga żonatych, tak jak niektóre góry przyciągają pioruny. No, ale z górami sprawa jest jasna - zawierają dużo związków żelaza. A ona?

Ojej - przypomniałam sobie - a co z tymi absztyfikantami, o których pisała wcześniej?

No i ani jednego pytania, co słyhać u mnie. Cała Grażyna!

*

Na weekend zapowiedziano piękną pogodę. Prawdziwe babie lato - słoneczne i ciepłe. Miałam wielką ochotę na wycieczkę do lasu, więc zadzwoniłam do Bożeny. Zapytałam, czy przypadkiem nie wybierają się na grzyby. Przepadkiem się wybierali, więc się wprosiłam. Mimo że padałam na twarz, upiekłam murzynka jako mój wkład w wyprawę.

*

Wyjechaliśmy o świcie. Prognoza pogody się sprawdziła. Zanosilo się na piękny słoneczny dzień.

Irek oznajmił, że zna świetne miejsce, gdzie rosną rydze, bo kolega był tam kilka dni temu i dużo nazbierał. Niestety, we wskazanym miejscu znaleźliśmy już tylko stare robaczywe „kapcie”.

Rozczarowany Irek zrzędził:

- A taką miałem ochotę na rydzyki na maselku. - Aż się oblizał.

- Nie przejmuj się, jeszcze będą - pocieszała go Bożena.

320

Pojechaliśmy dalej. Na zboczu góry, wśród wysokich świerków, gęstych krzaczków jagód i mchu rosły podgrzybki. Młode i świeże, bez robaczków, za to z odrobiną promieniotwórczego cezu.

Nazbierałam cały koszyk i jeszcze reklamówkę. Irek znalazł kilka prawdziwków, co go pocieszyło po niespełnionych nadziejach na rydze smażone na maśle. Bożena znalazła kanie.

Wróciliśmy pod wieczór.

Będę miała robotę na całą niedzielę.

Posegregowałam grzybki - część do octu, część do suszenia, a część po prostu zamrozę. Tylko nie wiem po co. Moja wątroba nie lubi grzybów.

Późnym wieczorem dostałam e-maila od Aliny. W przyszły weekend przyjedzie do Belska. Korzysta z okazji, że Witek ma tu sprawy. Będzie tylko kilka godzin, ale dobre i to.

*

Wróciła Wanda. Sądziłam, że po takiej duchowej odnowie będzie sympatyczniejsza.

A gdzie tam!

Już pierwszego dnia wpadła do mojego gabinetu, przejrzała karty zarejestrowanych pacjentów i zabrała dwie.

- To są moi pacjenci - oświadczyła i wyszła.

Byłam tak zaskoczona, że nie zareagowałam. A potem pomyślałam sobie, że to nie moje zmartwienie, że ruch należy do pacjenta. Niech on się wyklóca w rejestracji, do kogo chce iść. Ja się nie myślę użerać z Wandą.

Olewałam ją, ona mnie. Ledwo mówiliśmy sobie „dzień dobry”. Właściwie to rzadko się widywaaliśmy i całe szczęście.

Z urlopów wrócili też panowie. A to oznacza, że nie będę sama w piątkowe popołudnia. Odetchnęłam. Ten zawał kosztował mnie sporo nerwów.

*

Jutro przyjeżdża Alina. Bardzo się cieszę. Muszę przygotować coś fajnego do jedzenia. Zrobię sałatkę, tarte z grzybami, barszcz i kanapki na krakersach. Wino i koniecznie lody, Alina uwielbiała lody.

Wracałam z zakupów. Uginałam się pod ciężarem reklamówek i wtedy po drugiej stronie ulicy zobaczyłam Krzysztofa z jakąś kobietą. Kobieta wyglądała szycownie. Chyba. Bo z tej odległości trudno było się jej dobrze przyjrzeć. Niby nic, przecież to mój eks, a jednak poczułam ukłucie w sercu. Jak on śmiał mnie całować, skoro chodzi z inną!

Wspomnienie pocałunku tkwi we mnie. Stanowczo za mocno!

Aliny spodziewałam się między jedenastą a dwunastą. Po czwartej będzie już wracać z powrotem do Kielc. Witek ma spotkanie biznesowe.

Rano posprzątałam mieszkanie (po raz pierwszy od tygodni), po czym zabrałam się do przygotowania jedzenia. Udusiłam grzybki (tarte upiekłam wcześniej). Pokroiłam warzywa na sałatkę. Przygotowałam małe eleganckie kanapeczki na krakersach, z pomidorkiem, jajeczkiem, ogórkiem i odrobiną anchois. Klęłam przy tym ile wlezie, bo te cholerne krakersy się kruszyły.

O jedenastej wszystko było gotowe. Alina przyjechała po dwunastej.

- Potworne korki - wyjaśniła.

Wyglądała świetnie. Świeżutka cera, przycięte włosy, krótkie loczki okalały jej twarz.

- Nie dałabym ci więcej jak trzydzieści - droczyłam się.

- Jak zwykle przesadzasz - uśmiechnęła się, zadowolona.

Zauważyłam, że zyskała małą, pionową zmarszczkę na czole. Czyżby moja Alinka nabrała stanowczości?

- No, opowiadaj. Widzę, że się zmieniłaś. Podbiłaś już Kielce? - Postawiłam na ławie filiżanki z herbatą, tacę z kanapkami i sałatkę. - Pewnie jesteś głodna.

- Chciało ci się? - skomentowała moje artystycznie wykonane kanapeczki.

- Chciało, chciało. A co mam do roboty? Jedz... i opowiadaj w końcu. Jak ci się wiedzie?

- No więc rozpoczęłam specjalizację - powoli zaczęła Alina. - Nefrologię. Szpital chce otworzyć stanowiska do dializowania dzieci. To potrwa. Myślę też o doktoracie...

- O... - szepnęłam z podziwem pomieszanym z zazdrością.

- Tak ogólnie to jest dobrze, nawet więcej niż dobrze. Normalnie pracuję, dyżuruję. Jeżdżę na szkolenia do Warszawy i Krakowa. Mam godziny w przychodni nefrologicznej, przy szpitalu. Cały czas się uczę. Właściwie dopiero teraz rozpoczynam prawdziwą karierę.

- A twoje życie osobiste? - drążyłam.

- Nie mam życia osobistego. Faceci mnie nie interesują. Teraz chcę się zająć karierą - powiedziała stanowczo.

Podaliśmy barszcz i tarte z podgrzybkami.

- Ty zawsze tak koło kuchni. Nie szkoda ci czasu?

Zrobiło mi się przykro. To prawda, że zawsze starałam się zrobić coś specjalnego do jedzenia. Dlaczego? Nie wiem. Może w ten sposób rekompensuję sobie inne braki?

Ale ona nie powinna tak mówić. To dla niej się starałam.

- Czasu? Tego akurat mam w weekendy pod dostatkiem. Napijesz się? - Wyjęłam wino z lodówki i nalałam do kieliszków.

- Ociupinkę. A co z tobą? Ostatnio przysyłasz takie pesymistyczne e-maile.

Machnęłam ręką.

- To ta nowa praca. Nie jest sympatycznie. Szkoda gadać.

- Ułoży się wszystko, zobaczysz.

- Czuję się taka stłamszona - westchnęłam. - A wiesz o córce Beaty? Znalazła się. Jest narkomanką. Beata już się wszystkim zajęła. Wysłała ją do ośrodka terapeutycznego.

- Wiesz dobrze, że to dopiero początek. A dlaczego uciekła?

- Nie wiadomo. - Rozłożyłam ręce.

- Opowiedz mi lepiej o wakacjach w Zakopcu z twoim byłym. W liście ledwo wspomniałaś. - Alina dziubała widelcem resztki tarty.

- Nie ma o czym gadać. - Skrzywiłam się. - Byliśmy na wycieczce i w knajpie.

Ale nie wytrzymałam.

- Całowaliśmy się - przyznałam.

Alina pokręciła głową.

- Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Pamiętaj! Przed Jurkiem też cię przestrzegałam.

Przyszedł Witek. Pocałował mnie w policzek.

- Miło cię widzieć. Alina, musimy się zbierać...

- O, nie - zaprotestowałam. - Siadaj. Zrobić ci kawę czy herbatę? Mam jeszcze lody, twoje ulubione - zwróciłam się do Aliny.

Pojechali!

I znowu powtórka z przeszłości. Jej wizyta mnie zdołowała. Ona robi karierę, ja stoję w miejscu i do tego z łaski przyjęli mnie do pracy.

Czy ja zawsze będę zazdrościć? Czy zawsze będę uważać, że inni mają lepiej? To chore.

Alina zmieniła się, zdecydowanie na lepsze. Ale wolałam ją tamtą - marudną, pełną żalu do świata, wiecznie chorą. Była mi o wiele bliższa.

*

Do mojej nowej pracy zgłaszają się dzieci z poprzedniej przychodni. Przyszły za mną. Szefowa jest zadowolona. Nawet wspomniała, że jeśli będzie ich więcej, to zwiększy mi etat. A ja się dziwię, że im się chce jechać na drugą stronę miasta. Choć swoją drogą to miłe.

Wróciła doktor Zofia. Jestem ciekawa wrażeń z podróży, ale ma tylu pacjentów, że w ogóle nie wychodzi z gabinetu.

Kolejne starcie z Wandą. Przyniosłam sobie kawałek kurczaka na obiad. W socjalnym jest kuchenka mikrofalowa, można podgrzać jedzenie. To wygoda, zwłaszcza na popołudniowych dyżurach.

Podgrzałam kurczaka w mikrofalówce i właśnie zabierałam się do jedzenia, kiedy weszła Wanda. Spojrzała na mój posiłek i na jej twarzy pojawił się wyraz potępienia. Wzruszyłam ramionami. Dawno przestałam się przejmować jej minami, dziwnymi aluzjami. Przyjęłam do wiadomości, że ona taka po prostu jest. I to jest jej problem.

- Dziś piątek - zakomunikowała.

A... piątek. A ja bezczelnie wsuwam mięso. A co ciebie, cholerna babo, obchodzi, co ja jem?

- Pani zagląda mi do jedzenia?

Nie było mi do śmiechu. Czułam narastającą złość. Zaraz wybuchnę.

- To jest bezczelne. A co to panią obchodzi, co ja jem. Jakim prawem w ogóle pani to komentuje. Niech pani pilnuje swojego nosa. Miałam rację, kiedy mówiłam, że nie cierpię tego miasta, bo ludzie tu są wścibscy i zakłamani! - krzyczałam, nie mogąc się opanować.

Doktor Jan, który zajrzał do socjalnego, szybko umknął. Wanda zbladła, zatrzęsała się i wyszła bez słowa.

Ja też się trzęsłam, a przede mną był kilkugodzinny dyżur popołudniowy. Popędziłam do gabinetu, sięgnęłam do torebki po to co zawsze. Musiałam szybko ochłonać. Pacjenci już czekali.

*

W poniedziałek szefowa wezwała mnie na dywanik.

- Pani koleżanko, ja rozumiem, że doktor Wanda bywa nieco dziwna. Ale takie awantury? To niedopuszczalne. Poza tym proszę pamiętać, że to jest spółka, a ona jest udziałowcem.

Hm. To pierwsze poważne ostrzeżenie (?).

Cała historia szybko rozeszła się po przychodni.

Kasia w zaufaniu powiedziała mi, że Wanda jest w separacji z mężem. Podobno on ma żal, że przez nią starszy syn poszedł do seminarium, a młodszy nie może znaleźć sobie miejsca w życiu.

Ignorujemy się z Wandą całkowicie. Rozmawiamy tylko wtedy, gdy sprawa dotyczy pacjenta lub przychodni.

Natomiast pojawił się ktoś interesujący. Wygląda jak George Clooney. Może nie z „Ostrego dyżuru”, tylko z późniejszych filmów. Wysoki, lekko szpakowaty. A jakie ma oczy! I głos!

Niecierpliwie wyczekuję piątkowych, wspólnych dyżurów. Gdy patrzę na niego, serce zaczyna mi bić szybciej.

Nie pożądam męża... itd.

Patrzyłam. Ani śladu obrączki na palcu.

Kasia, która wie wszystko, doniosła, że doktor Michał jest po rozwodzie! O... Niestety, Michał nie sprawia wrażenia zainteresowanego moją osobą. Szkoda.

O Boże! Powinna mocno stuknąć się w głupi łeb. Po co mi nowy romans? Czy nauczka, którą otrzymałam od Jurka, to za mało? Czy też Jurek otworzył zamknięte przez lata na klucz, głęboko skrywane potrzeby emocjonalne i nie tylko?

Niemożliwe. Ja nie mam żadnych potrzeb!

*

Czas biegnie jak oszalały. Dni coraz krótsze. Mimo że to jeszcze październik, pada śnieg z deszczem. Liście z drzew dawno opadły. Ponuro i mokro.

Wspomniałam wydarzenia ubiegłego roku: Jurka, moje imieniny, i zrobiło mi się strasznie smutno. Jestem taka samotna. W listopadzie moje imieniny. Ale w tym roku przyjęcia nie zrobię. Nie mam dla kogo.

*

Jestem wzruszona i podekscytowana. Uratowałam komuś życie. Tak zwyczajnie. Nie dlatego, że skierowałam na czas do szpitala czy podałam odpowiedni lek.

W barze pierożkowym wcinałam naleśniki z serem. Obok, przy stoliku siedziały dwie kobiety i raczyły się ruskimi. Naraz jedna z nich się zakrztusiła. Nie mogła złapać oddechu. Dusila się. Inni goście patrzyli z przerażeniem. Nerwowo usiłowali uruchomić komórki i wezwać pogotowie.

Zupełnie odruchowo podeszłam do kobiety i wykonałam manewr „ratujący”. Pomogło. Wszystko razem nie trwało więcej niż dziesięć sekund.

Tylko teraz mam problem. Gapili się na mnie. Goście i obsługa.

Nieprędko tu wrócę.

O ironio losu! Przecież chciałam być sławna!

Wracając do domu, myślałam o moim zawodzie, mojej pracy. Bóg strzegł. Nigdy nie byłam zmuszona robić sztucznego oddychania ani masażu serca. Nigdy nie dyżurowałam w pogotowiu i omijały mnie tzw. stany naglące. Owszem, zdarzały się napady padaczkowe, astma i zapalenia krtani. Ale zawsze pod ręką miałam stosowne leki.

To był pierwszy przypadek (miałam fart w ciągu tych dwudziestu lat), w którym musiałam sama bezpośrednio interweniować.

Choć, jednak nie pierwszy! Przypomniałam sobie pewne wydarzenie ze szkoły. Bodaj w szóstej klasie na pracach ręcznych kolega wbił sobie nożyczki w udo. Uszkodził tętnicę. Krew tryskała na parę centymetrów w górę. Wszyscy potracili głowy. Ktoś zemdłał. Miałam wtedy trzynaście lat. I tylko ja jedna zachowałam się przytomnie. Zacisnęłam nogę paskiem od spodni. Przyjechało pogotowie.

Pamiętam, że lekarz z pogotowia pogłaskał mnie po głowie i powiedział:

- Dzielna dziewczynka. Pewnie zostaniesz lekarzem.

Zostałam! No i co?

*

W dzień imienin siedziałam markotnie w domu. Sama. Po raz pierwszy od dawna nie zrobiłam przyjęcia. Moje niewielkie grono znajomych w zasadzie się rozsypało. Poza tym

wspomnienie zeszłorocznych wydarzeń jest zbyt przygnębiające i kłopotliwe.

Od Aliny przysłała tradycyjna kartka z życzeniami. Trudno o coś bardziej bezosobowego. Basia i Bożena telefonowały.

Czułam, że znowu wpadnę w czarny nastrój. Będę siedzieć i płakać, wylewać wszystkie żale.

Nie!

Ubrałam się i pojechałam do miasta. Sama sobie zrobię prezent. Zakupy! Idealny lek na chandrę.

Po trzech godzinach biegania, mierzenia, oglądania przysiadłam w kafeterii z naręczem reklamówek. Zamówiłam kawę i zabrałam się do kontemplowania swoich zdobyczy: elegancki, szary bezrękawnik, lekko marszczony w pasie, zapinany na patki z dużymi czarnymi guzikami, komplet eleganckiej bielizny (po co?), apaszka, czarne pantofle na obcasach (przecież nie noszę obcasów!), gruba spódnica z wełny w kolorze czerwonego wina - moje marzenie od dawna.

Wydanych pieniędzy nie liczyłam. Będę się tym martwić później. Debet na koncie? Nie tylko mnie się zdarza.

Byłam w doskonałym nastroju. W drodze powrotnej wstąpiłam do pubu, na drinka.

Ale wszystko co miłe szybko się kończy. Alkohol wyparował, chandra wróciła jak nieproszony gość.

W domu rzuciłam zakupy w przedpokoju. Siedziałam na kanapie, gapiąc się na akwarium. Kupione rzeczy już tak nie cieszyły.

Dla kogo mam się stroić? Dla siebie?

Już chciałam wziąć podwójną porcję tabletek i położyć się spać, kiedy zadzwonił telefon. Niechętnie odebrałam.

- Cześć, Agata. Poznajesz?

Milczałam.

- To ja, Krzysztof. Chciałem ci złożyć życzenia imieninowe. Spełnienia marzeń... - zaczął uroczyście.

Matko święta, co za banał. Nie stać cię na nic więcej?

- Dziękuję - odpowiedziałam automatycznie.

- Jesteś sama?

Nie twoja sprawa.

- A jak myślisz? Nie słyszysz odgłosów szampańskiej zabawy? - odparłam zgryźliwie.

- Mogę wpaść do ciebie - zaproponował.

No proszę, były mąż lituje się nad ekszoną.

- Nie, naprawdę nie musisz się poświęcać - westchnęłam tonem ofiary.

- Nie poświęcam się. Wpadnę, przyniosę zdjęcia z Zakopca.

- No dobrze, niech tak będzie - zgodziłam się łaskawie. - Ale ja nie jestem przygotowana - zastrzegłam.

- Przestań bredzić. Będę za godzinę.

Rzuciłam się, żeby trochę poskładać rzeczy. Zajrzałam do lodówki. Tylko jajka, pomidory, trochę wędliny, resztki anchois. W barku jakieś delicje i orzeszki. Trudno.

On twierdzi, żebym sobie dała spokój! A ja to mam w genach! To nieuleczalna choroba genetycznie uwarunkowana i do tego gen jest dominujący!

Zrobiłam jajka faszerowane w sosie tatarskim, sałatkę z pomidorów. Wyjęłam delicje i orzeszki. Ale alkoholu, niestety, niet.

Krzysztof przyszedł z bukietem małych różyczek. Pamiętał, że takie kwiaty lubię. Przyniósł wino.

W sumie spędziliśmy całkiem przyjemny wieczór. Obejrzelśmy zdjęcia, opłotkowaliśmy znajomych. Opowiedziałam mu trochę o nowej pracy, o awanturze z Wandą. Korciło mnie, żeby wysondować, co to za baba, z którą go widziałam, ale jakoś nie miałam odwagi. A zresztą może to była tylko znajoma, przypadkowo spotkana.

Za to rozwiązałam problem, który mnie nurtował od jakiegoś czasu.

- Powiedz mi, czy ty jeszcze - trochę się jąkałam - latasz na lotniach?

- Nie. Od dawna.

- Czy to przeze mnie? - przeraziłam się. - Przecież po rozwodzie...

- To nie ma związku z tobą. Po rozwodzie uprawiałem paralotniarstwo przez pewien czas. Potem przyszły dzieci, nowe obowiązki. Żona też krzywo patrzyła, choć nie postawiła ultimatum jak ty. - Dogryzł mi lekko. - Zatem możesz nie czuć się winna.

Milczałam. Może i nie czułam się winna, ale na pewno przyłożyłam rękę do rezygnacji Krzyśka z uprawiania ulubionego sportu. Z drugiej strony gdyby tak strasznie mu zależało, to potrafiłby przełamać babski opór...

Usiłuję się usprawiedliwić, zupełnie jakbym zapomniała, jak ostro postawiłam sprawę przed laty. Lepiej do tego nie wracać.

Później włączyłam telewizję. Leciał film katastroficzny! To zły znak!

Krzysztof wcale nie próbował się do mnie zalecać. Czy to normalne?

Zgłupiałam chyba. Przecież interesuje mnie ktoś inny! Czy ja mam coś z głową, że wymyślam takie głupoty?

*

Wreszcie udało mi się dorwać Zofię w socjalnym. Chciałam wypytać ją o podróż do Wietnamu. Uśmiechnęła się miło i powiedziała:

- Wpadnij do mnie koło piątej, w sobotę. Pooglądamy zdjęcia. Mam też film. Zapraszam.

- Bardzo chętnie - wyjąkałam.

Byłam oszołomiona. I zachwycona. Może zostaniemy przyjaciółkami? Bardzo bym tego chciała.

*

Zofia mieszkała na sąsiednim osiedlu, dwadzieścia minut piechotą. Przyszłam dobre pół godziny przed czasem, więc spacerowałam pod blokiem. Padał lodowaty deszcz, a wiatr zaciął tak, że nie dało się otworzyć parasola. Czułam się coraz bardziej mokra i zmarznięta, ale twardo czekałam do piątej.

Punktualnie zadzwoniłam do drzwi. Zofia zaprosiła mnie do środka.

Mieszkanie ścięło mnie z nóg!

Dosłownie - muzeum etnograficzne. I do tego przed inwentaryzacją zbiorów. Na półkach i półeczkach, i na podłodze było wszystko: egzotyczne rzeźby, makatki, maski i batik. Różne naczynia i ozdoby, muszle i kamienie. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia z Afryki i z innych zakątków świata. Na najdłuższej ścianie dużego pokoju regały sięgały pod sufit. Stały na nich wszelkie możliwe wydawnictwa - medyczne, geograficzne, podróżnicze, mapy, atlasy i literatura piękna.

Aż mi się zakręciło w głowie.

Zerknęłam przez otwarte drzwi do sypialni. Poza biurkiem, które zajmował komputer, i grubym materacem na podłodze nie było żadnych mebli. Wzdłuż ścian leżały książki i sprzęt turystyczny. Można było odnieść wrażenie, że Zofia jest tu tylko przejazdem.

- Usiądź gdzieś, gdziekolwiek znajdziesz miejsce - zawołała Zofia z kuchni. - Przygotowałam curry. Zaraz skończę.

- Masz takie piękne rzeczy - powiedziałam.

- Uzbierało się przez te lata.

- Długo tam byłaś?

- Ponad dziesięć lat... - zaczęła.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku o dość przyjemnej powierzchowności. Przywitali się czule. Udałam, że tego nie zauważyłam. Przedstawił się jako Andrzej Jakiśtam (nazwiska nie dosłyszałam), przyjaciel domu. Niech im

będzie.

Doznałam rozczarowania. Liczyłam na przyjemny babski wieczór z podróżami w tle. A tu niespodzianka!

Zofia podała curry. Pachniało bosko. Przycupnęłam na brzegu fotela i oddałam się smakowaniu egzotycznej potrawy, tymczasem Zofia puściła kasetę z filmem. Następne dwie godziny spędziłam w innym świecie - świecie fascynującej przyrody i wspaniałej przygody. Noclegi w miejscowych chatkach, miejscowe jedzenie, tamtejsza ludność. Ja nie miałabym chyba odwagi.

I pomyśleć, że całe lata marzyłam o takich właśnie podróżach. Teraz mam wymagania - łazienka, klimatyzacja, bezpieczne jedzenie.

Po skończonym pokazie Zofia zwróciła się do mnie:

- I jak ci się podobało?

- Ogromnie. Zawsze marzyłam o podróżach.

- W przyszłym roku wybieramy się do Ameryki Południowej: Peru, Boliwia, Brazylia. Jedziemy zwykle grupą do dziesięciu osób. Znalazłoby się miejsce, gdybyś chciała i czuła się na siłach... - padła propozycja.

- Taka propozycja to... - Nie mogłam znaleźć słów. - Ja się nie nadaję do takich wypraw. Nie poradziłabym sobie (wspomniałam boczną kieszeń torebki). To dla mnie za późno - powiedziałam ze smutkiem.

- Za późno? Przecież jesteś od nas młodsza. Jesteś chora? Dlaczego tak uważasz? - pytała zdziwiona Zofia.

- To bardzo kuszące, ale niemożliwe - zaczęłam się denerwować.

Dlaczego wszystko popsuli? Było tak miło. Tak, jestem chora. Chora na przeszłość. Tabletki też swoje zrobiły. Ale to nie ich sprawa. Nie zamierzam się spowiadać.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie. Film był naprawdę fascynujący. - Pośpiesznie zbierałam się do wyjścia, nerwowo szukając swoich rzeczy. - Jest późno, muszę już iść.

Patrzyli na mnie zdziwieni.

- Ja... dla mnie za późno - powtórzyłam. I uciekłam.

Szłam uliczkami osiedla i płakałam. Zimny deszcz padał mi na twarz. I dobrze, przynajmniej otrzeźwieję.

Po powrocie do domu wzięłam dwie tabletki i spałam do południa w niedzielę.

Obudziłam się z moralnym kacem. Znowu nagadałam głupot. Znowu będę musiała wyjaśniać. W moim wieku. Ośmieszam się tylko. Czy naprawdę nie mogłabym zapanować nad sobą?

*

W poniedziałek poszłam do Zofii z duszą na ramieniu, wyjaśniać coś, czego nie miałam ochoty wyjaśniać.

- Mogę? - zapytałam. I nie czekając na odpowiedź, weszłam do gabinetu. - Przepraszam za swoje zachowanie, chciałabym to wyjaśnić...

- Ależ nie musisz. Każdy ma swoje tajemnice... - ucięła rozmowę.

Stałam przy biurku jak głupia, nie mogąc się ruszyć. Zofia patrzyła na mnie pobłażliwie.

- Naprawdę nie musisz niczego wyjaśniać. Nic się nie stało - powtórzyła.

Jestem stuknięta. Czego ja właściwie chciałam? Opowiedzieć jej historię swojego życia? Po co?

- Przepraszam - wymamrotałam, wybiegając z gabinetu. W drzwiach zderzyłam się z szefową. Zrobiła zdumioną minę. Usłyszałam jej zaniepokojony głos:

- Czy coś się stało?

Ze mną zawsze coś się dzieje. Od czterdziestu kilku lat.

*

W pracy - stan stabilny, można powiedzieć. Staram się schodzić z drogi Wandzie. Z Zofią sztywne „dzień dobry”.

Właśnie robiłam sobie w socjalnym zupkę chińską, gdy usłyszałam rozmowę - pielęgniarki z położną.

- Moja córka chce jechać na ten koncert do Łodzi.

- Przecież ma dopiero czternaście lat.

- No właśnie. Powiedziałam jej, że mowy nie ma. I wiesz, co mi smarkata odpowiedziała? Że jeśli jej nie pozwolę i nie dam pieniędzy, to i tak ucieknie, i pojedzie autostopem.

- I co zrobisz?

- Nie wiem. Powinnam ją trzymać na smyczy i dołożyć kaganiec. Jest taka pyskata.

*

W połowie listopada na dobre zagościła zima. Śnieg padał często i zalegał na ulicach. Nastaly zimne, krótkie dni, które doprowadzały mnie do szału.

Wpadłam w dziwną obojętność na wszystko, wręcz apatię. W pracy układało się kiepsko. Nie zdobyłam nowych znajomych. Znowu płynę na obrzeżach życia - myślałam. Po prostu kanał!

Któregoś dnia do mojego gabinetu przyszła Zofia. Usiadła naprzeciwko i spytała:

- Słyszałaś o adopcji serca?

- Nie - potrząsnęłam głową.

- Tu masz informacje. - Położyła na biurku ulotki. - Ogólnie polega to na tym, że opłacasz konkretnemu dziecku naukę i pomoce szkolne. To jest około stu dwudziestu pięciu dolarów rocznie. Nawet takie małe pieniądze mogą w Afryce wiele zdziałać. Przemysł to sobie - rzekła szorstko.

Bezmyślnie obracałam ulotkę w rękę.

- Masz tam kontakt. Możesz raz dla odmiany pomyśleć o innych. Jeśli się zdecydujesz, to będziesz miała jakby swoje dziecko. Ono będzie do ciebie pisać listy o postępach w nauce, no i o tym, co w ogóle robi - dokończyła.

- Tak, pomyślę - obiecałam bez entuzjazmu.

Zofia wstała i wyszła. Ani słowem nie nawiązała do przeszłych zdarzeń. A tego się obawiałam. Siedziałam bez ruchu i patrzyłam na ulotki. Może to dobry pomysł. Pieniądze żadne, a miałabym kogoś gdzieś tam daleko. Wyobraziłam sobie listy i zdjęcia małego Murzynka. Humor mi się poprawił. Zrobię to - zdecydowałam. Od razu zobaczyłam siebie w innym świetle, jako szlachetną i bezinteresowną istotę.

Wybiegłam za nią na korytarz. Był pusty. Żadnego pacjenta.

- Poczekaj - zawołałam. - Jeśli to nie tajemnica. Dlaczego wróciłaś z Afryki?

Zofia oparła się o ścianę. Patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie.

- To nie tajemnica. Musiałam. Zachorowałam na malarię. Choroba nawracała. Serce zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Gdyby nie choroba... - zamyśliła się...nie wróciłabym. Byłam tam ponad dziesięć lat. - Uśmiechnęła się smutno.

Tęskni za tą swoją Afryką. Za nędznymi szpitalikami, w których wszystkiego brakuje. A nocami śni o sawannach i pustyniach, o dzikich zwierzętach i tropikalnych chorobach.

Zapewne wiele takich dzieci adoptowała.

*

Dwa tygodnie po moich imieninach Krzysztof zaprosił mnie do Krakowa na przedstawienie w Teatrze Starym. To wydarzenie było jak mały promyk słońca w ponurych listopadowych dniach. Wyjechaliśmy wystarczająco wcześnie, żeby pochodzić po Rynku, zajrzeć do kościoła Mariackiego, popatrzeć na Wawel. Kraków wyglądał bardzo europejsko - odpicowany, oświetlony. (I tak nie ma porównania z Wrocławiem).

Potem byliśmy na kolacji w znanej knajpie.

Sztuka zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Dramat angielskiej autorki Sary Kane.

Do domu wróciliśmy po północy.

Dwa dni później spadłam na ziemię. Znowu widziałam go z tą lalą. Co to znaczy? Kim ona dla niego jest? A ja?

Nie przejmowałabym się tym, gdyby nie to, że George, a właściwie Michał, mnie nie dostrzega. Nie pomagają zachęcające uśmiechy.

*

Naprawdę można się załamać. Z samego rana czekała na mnie matka z trzyletnim dzieckiem. Dzieciak miał tak zapuchnięte oczy, że świata bożego nie widział. Po policzkach spływała cieniutką strużką ropa. Kobieta patrzyła na mnie złym wzrokiem. Była dwa dni wcześniej. Dziecko miało zapalenie spojówek. Zapisałam krople i maść.

Przestraszyłam się.

- Co się stało? Krople nie pomogły?

- Ja chcę skierowanie do okulisty! - krzyknęła.

- Do okulisty nie potrzeba skierowania. Ale co się stało? - powtórzyłam.

- On nie da sobie zakropić oczu - wybuchła.

- I pani sądzi, że okulista na to poradzi? Że będzie przychodził co trzy godziny i zakrapiał oczy?

Popatrzyła na mnie ze złością, szarpnęła dzieckiem i wyszła.

Świetne są te dzisiejsze mamuśki. Ta nie zakropi oczu, inna nie potrafi zakropić nosa, a kolejna podać syropu i na katar domaga się zastrzyków.

Tuż przed zamknięciem przychodziła zapłakana kobieta. Po poradę. Ma pięcioletniego syna z ADHD. Jest bardzo agresywny: bije, gryzie, dusi. Czasem używa do tego niebezpiecznych narzędzi (w terminologii kryminalnej). Ostatnio dźgnął młodszą siostrę nożyczkami. Trzeba stale mieć go na oku. A ona nie daje rady. Terapia, na którą chodzi, nie zdaje egzaminu. Do tego rodzice z grupy przedszkolnej, do której chodzi dziecko, właśnie wystąpili o usunięcie go z przedszkola, gdyż stanowi zagrożenie.

Sytuacja patowa.

- Może pani doktor coś pomoże. - Patrzyła z nadzieją.

A cóż ja mogę? To sprawa dla psychologa i psychiatry, nie dla zwykłej rejonowej lekarki.

Matki mi żal, lecz rozumiem innych rodziców, którzy się boją o swoje dzieci.

*

W piątkowe popołudnia dyżurowałam z doktorem Michałem. Czasem spotykaliśmy się w socjalnym w czasie krótkich przerw na herbatę. Zauważyłam, że jego stosunek do mnie uległ pewnej zmianie. Kiedy przeszliśmy na „ty”, zauważył, że taki bruderszaft nieważny, bo

potrzebny kieliszek czegoś mocniejszego, no i jeszcze coś - powiedział, robiąc do mnie oko. Było to tak zwyczajnie zabawne. A może to już molestowanie?

Jeśli tak, to zgadzam się, niech mnie molestuje dalej.

Ostatniego, piątkowego wieczoru do mojego gabinetu wpadła pielęgniarka.

- Szybko, pani doktor. Potrzebna pomoc w zabiegowym.

Pobiegłam. Na podłodze, w zabiegowym leżał starszy mężczyzna. Był nieprzytomny. Klęcząca przy nim pielęgniarka usiłowała założyć wenflon. Ręce jej się trzęsły i nie mogła włożyć się do żyły. Michał robił sztuczne oddychanie i masaż serca.

Gdy weszłam, tylko rzucił:

- Zawał. Maszambu i dmuchaj.

Sam odsunął pielęgniarkę i sprawnie włożył się do żyły. Wkrótce nadjechała R-ka i zabrała pacjenta do szpitala. Michał odrzucił w kąt rękawiczki.

- Nie ma szans. Ale nikt nie zarzuci nam, że nic nie zrobiliśmy. Chodźmy do socjalnego. Asieńko - zwrócił się do pielęgniarki - zrób nam herbatki, proszę.

Pielęgniarka Asia zarumieniła się z wrażenia.

- Zaraz zrobię, doktorze.

- Ja dziękuję. Jeśli o mnie chodzi, to wolałabym kieliszek koniaczku - powiedziałam lekko prowokującym tonem.

Lekkie zdziwienie przemknęło po twarzy Michała, lecz podjął grę. Roześmiał się.

- Nie ma sprawy. Zapraszam cię na drinka. Jest po szóstej. Możemy już iść.

Czy potraktował moją wypowiedź jako propozycję? Wcale nie wiem, czy taki miałam zamiar. Ale... czemu nie.

*

Pojechaliśmy do pubu. Przez całą drogę zastanawiałam się, czy jestem odpowiednio ubrana na piątkowy wieczór. Wnioski... hm... nie były zachęcające. Miałam na sobie czarną spódnicę i czerwono-czarną bluzkę z dzianiny. W pubie popędziłam do toalety. Poprawiłam makijaż i mocno uperfumowałam się słodkimi, ciężkimi perfumami, licząc na to, że ich woń zniweluje medyczne zapachy towarzyszące mi od tylu lat.

Usiedliśmy przy barze. Zamówiliśmy drinki. Na początku rozmowa się nie kleiła. Chyba oboje byliśmy spięci. Po kilku drinkach nabrała tempa. Usłyszałam, że jest po rozwodzie (to już wiedziałam), ma dwoje dorosłych dzieci na studiach, pochodzi stąd, pracuje w szpitalu i dorabia gdzie się da. Bo taki popieprzony system i już!

Ostrożnie przyznałam, że w Belsku znalazłam się z powodów rodzinnych, no i też jestem rozwódką.

Mam mocną głowę i kiedy się pilnuję, nie gadam głupot.

Pogadaliśmy trochę na tematy ogólne. O jedenastej Michał odwoził mnie do domu i wtedy nagle zapragnęłam zaprosić go do domu i zwyczajnie pójść z nim do łóżka. Podobał mi się. (On czy George?). To byłoby zupełnie nowe doświadczenie. Czy w ogóle warto? Nigdy dotąd tak się nie zachowałam. Element ryzyka i wielka niewiadoma tylko wzmagają podniecenie.

- Może wstąpisz na kawę? - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy, i uśmiechnęłam się kusząco.

Bez chwili wahania powiedział:

- Bardzo chętnie.

Cóż, kości zostały rzucone.

Otwierając drzwi, cieszyłam się, że w piątek zaczynam pracę o dwunastej i zawsze rano sprzątam mieszkanie.

- Ładne akwarium - powiedział.

- Chcesz herbatę czy kawę?

- Czy po to mnie zaprosiłaś? - spytał miękko.

Nie, nie po to. Podeszłam do niego. Serce biło mi szybko, pojawił się znajomy ucisk w dole brzucha. Objął mnie...

Po raz pierwszy poszłam do łóżka z mężczyzną, którego właściwie nie znałam. Tak bez zahamowań, dla przyjemności.

I było to ekscytujące doświadczenie. Pomyślałam ciepło o Jurku. Sporo mnie nauczył.

*

Następnego dnia czułam się odprężona i wyluzowana. Zadowolona z siebie pomyślałam, że było warto.

A co będzie w pracy? Nie zamierzam się tym martwić. I na pewno nie będę się narzucać. Natomiast postaram się ładnie wyglądać, szczególnie w piątki.

Po południu napisałam e-maila do Grażyny.

„Co u ciebie słychać? Odezwij się!”

Odpowiedź przyszła po godzinie.

„Właściwie wszystko OK. Ale mam dylemat. Od pewnego czasu jestem z bratem koleżanki. Mówiłam ci o nim. Jakiś miesiąc temu na przyjęciu poznałam fantastycznego faceta. Do tego to VIP, świetna partia. Byłam z nim na randce i nie wiem co dalej. Nie potrafię się zdecydować”.

Odpisałam:

„Ha, ha. No to masz problem. Ustal kryteria: pieniądze, łóżko, uroda. I wybierz”. A co z facetem z Turcji?

*

Początek grudnia. Za kilka dni imieniny Basi. Co z przyjęciem?

Wstrętny dzień. Przyszła odwilż. Na ulicach szarobura ciapa. Wieje wiatr. Brr. Jechałam rano autobusem do pracy, oczywiście na stojąco, i myślałam sobie, że wyglądam okropnie. Zawsze tak dzieje się zimą. Twarz staje się szarobura. A może to mimetyzm - upodobnienie do otoczenia? Powinnam kupić lepsze kosmetyki, pójść do kosmetyczki. Nigdy dotąd nie byłam. Nie widziałam takiej potrzeby. Ale teraz, gdy na horyzoncie pojawił się przystojny facet...

Kuzynka Bożeny ma wzięty salon. Poproszę Bożenę, żeby mnie zapisała.

*

W środę wychodziłam już z pracy, kiedy zatrzymał mnie Michał. Bez żadnych wstępów powiedział:

- W weekend jest sympozjum kardiologiczne, dwudniowe. Pojedziesz ze mną? Będę miał osobny pokój. W programie bankiet i impreza. I co, zgadzasz się?

Zdębiałam. Sygnał był jednoznaczny. Osoba towarzysząca. A czemu nie.

- Dobrze. Pojadę. Dawno nigdzie nie byłam. - Odpowiedziałam pewnym głosem.

Michał szepnął:

- To jesteśmy umówieni. Przyjadę po ciebie o dwunastej. - Ścisnął mi ramię i odszedł.

Kiedy trochę otrząsnęłam się z wrażenia, zadzwoniłam do Bożeny.

- Załatw mi wizytę u twojej kuzynki, błagam. Najlepiej jutro po czwartej. Na sobotę muszę wyglądać jak bogini.

- A co tak nagle? - zacięła się Bożena.

- Na razie nie mogę powiedzieć - zaczęłam się denerwować. - Może kiedyś.

- Agata, błagam. Nie pakuj się w kłopoty.

- Jakie kłopoty? Wszystko pod kontrolą. Ale przecież raz się żyje. Trzeba korzystać, póki można. Trzeba się zabawić. Nie myśleć ciągle o przeszłości czy przyszłości. To żaden grzech - bredziłam gorączkowo.

- Nie podoba mi się to, co mówisz. Co ty zamierzasz? - surowo zapytała Bożena.

- Marudzisz. Nie bądź taka zasadnicza, tylko załatw - nie ustępowałam.

- Nie podoba mi się to - powtórzyła.

Załatwiła mi wizytę na piątą.

Młoda dziewczyna o gładko upiętych włosach, aksamitnej cerze, regularnych rysach

(jak modelki w reklamach) położyła mnie na leżance takiej jak do EKG. Z radia płynęła relaksująca muzyczka. Odprężyłam się. Dziewczyna pracowała nade mną dobrą godzinę. Po wszystkim poczułam się jak nowo narodzona. Jak to się stało, że nigdy dotąd nie korzystałam z takich zabiegów? Nie rozumiem.

Spojrzałam w lustro. Wyglądałam nieźle. Szczególnie oczy - wydawały się większe i nabrały głębi. Linia brwi była bez zarzutu. Na wymanikiurowanych paznokciach połyskiwała czerwona emalia. Mam nadzieję, że to wszystko nie zniknie do soboty.

Jak szaleć, to szaleć. Pojechałam do galerii. Przecież muszę dobrze się prezentować. Tam zaopatrzyłam się w dwie odlotowe sukienki - jedną z tafty w kolorze starego złota, prostą w kroju, i drugą w kolorze wiśni, na ramiączkach. Do tego bolerko z czarnej satyny. Wyglądam całkiem, całkiem - podziwiałam swoje odbicie, stojąc przed lustrem w przymierzalni. Ale nie obejdzie się bez solarium.

Kupiłam też małą czarną torebkę i sandałki na obcasach.

Ostatnio stałam się rozrzutna.

*

Hotel był bardzo elegancki - basen, masaże, sauna, bary, kawiarnie i kilka sal konferencyjnych.

Zainstalowaliśmy się w pokoju - widok na góry, łazienka, telewizor i podwójne łóżko.

Michał spojrzał na zegarek.

- Teraz możemy pójść na obiad. Potem wykłady, ale - spojrzał na mnie - nie musisz iść. Jest basen...

O nie, woda zrujnuje mi włosy.

- Może innym razem. Pójdę na spacer - szybko powiedziałam.

Przebrałam się w łazience. Włożyłam nowy bezrękawnik i biały golf. Poprawiłam włosy i makijaż. Nie mogę przesadzić, to tylko obiad - pomyślałam, pociągając usta błyszczkiem.

- Świetnie wyglądasz - powiedział i chciał mnie objąć.

- Dzięki - zręcznie wysunęłam się, rzucając jednak obiecujące spojrzenie.

Obiad był w formie bufetu: kilka rodzajów mięsa, sałatki, ryż i ziemniaki.

Po obiedzie Michał poszedł się doszkałać, a ja ruszyłam w plener.

Zapadał zmrok. Na pobliskim stoku zjeżdżali narciarze. Wdychałam głęboko zimne powietrze. Na drodze było pusto, żadnych ludzi, żadnych aut. Nagle irracjonalny lęk chwycił mnie za gardło. Co ja tu robię? To niemożliwe. To nie ja. Mnie nie zdarzają się takie rzeczy!

Chciałam wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu. Na próżno. Poczułam, jak zapadam

się w ogromną czarną dziurę. Przeraziłam się - nie tej ciemności na drodze, tylko siebie i wielkiej niewiadomej. Chciałam wrócić do domu. Natychmiast!

Dwieście metrów dalej był hotel. Odwróciłam się. Wszystkie piętra jarzyły się ostrym światłem. Słychać było muzykę. Pobiełam tam. Chciałam się poczuć bezpiecznie.

W holu panował ruch i gwar. Odbывała się zapewne niejedna konferencja. Ludzie tłoczyli się przy recepcji, grupki elegancko ubranych kobiet i mężczyzn przepychały się z grupkami narciarzy, turystów i klientów basenu.

Usiadłam w kawiarni nad sztucznym strumykiem, w którym pływały ryby. Zamówiłam kawę po irlandzku. Może postawi mnie na nogi.

Przy sąsiednim stoliku siedziała samotnie kobieta - typ bizneswoman. Popatrzyłyśmy na siebie z uśmiechem.

- Pani na konferencję lekarską? - zwróciła się do mnie.

- Tak, ale ten wykład mnie... Machnęła ręką.

- Niech się pani nie tłumaczy. Mnie też znudził. - Popijała białe wino. - Mogę się przysiąść?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już była przy moim stoliku.

- Jestem z Katowic. Barbara. - Podała mi rękę. - Pracuję w centrum zdrowia dziecka. Potrzebuję punktów. Robię doktorat.

- Pediatria? - zdumiałam się. - To konferencja dla internistów.

- Właściwie tak. Ale chciałam przyjechać. Pracuję w przychodni kardiologicznej dla dzieci.

- Ja też jestem pediatrą, a pracuję w... zwykłej przychodni. Roześmiałyśmy się.

A jednak poczułam ukłucie w sercu - podwójne. Nie robię doktoratu. Nic właściwie nie robię. Kilka dni temu Basia miała imieniny. Zadzwoiłam z życzeniami. Basia miło podziękowała i... ciągu dalszego nie było. Nie wytrzymałam. Za telefon i do Bożeny. Ta kręciła, mieszała, lecz w końcu przyznała, że jest zaproszona na przyjęcie.

No cóż. Samotna kobieta jest eliminowana z towarzystwa. Może stanowić zagrożenie dla statecznych mężatek. Ale nie zapomnę i nie daruję. I tak straciłam koleżankę. Muszę przyznać, że mam ogromne i długoletnie doświadczenie w traceniu znajomych. Smutne!

- Przepraszam, muszę wracać na wykład. - Kobieta podniosła się i poszła w kierunku windy.

Patrzyłam z zazdrością. Szczupła, młoda, w eleganckim garniturze w delikatne prążki. Ciemne włosy luźno opadały jej na ramiona. No i robi doktorat!

Zamówiłam kieliszek wina i słone ciasteczko. Co mam robić? Nudzę się. Może wrócić

do pokoju, pooglądać telewizję? A może masaż?

Poszłam za strzałką... O masażu mogę zapomnieć. Zapisy!

Nie miałam wyjścia. Wróciłam do pokoju. W telewizji leciał amerykański tasiemiec.

O siódmej koniec wykładów, o ósmej bankiet. Mam sporo czasu.

Komórka obudziła mnie o szóstej. O Boże, jak ja wyglądam - zerknęłam do lustra i wpadłam w panikę - włosy w nieładzie, makijaż do poprawki. Mam godzinę na doprowadzenie się do porządku.

Kiedy kilka minut po siódmej wpadł Michał, byłam gotowa: uczesana, umalowana, uperfumowana.

W lodówce znalazłam minibarek. Małe buteleczki z wódką i czekoladki.

W sukience z tafty, w pełnym makijażu, z perłami na szyi, siedziałam w fotelu.

Popatrzył na mnie z uznaniem.

- Ładnie wyglądasz.

No myślę, włożyłam w to sporo wysiłku.

- Nalać ci wódki? - zapytałam uprzejmie.

- Może mały kieliszek.

Michał poszedł do łazienki. Wrócił wypachniony, w świeżej koszuli i usiadł koło mnie.

Podalam mu kieliszek. Chciał mnie pocałować. Odsunęłam się.

- Nie teraz. Zmażesz mi szminkę.

- Wiesz co, na pewno nikt się nie będzie tym interesował, ale jakby ktoś pytał, to mów, że pracujesz na kardiologii dziecięcej.

- Dobrze, mogę mówić. Jednak jeśli ktoś mnie przycisnie, to dam plamę na całej linii - uprzedziłam.

- Nie ma takiej możliwości. Wiesz, jak wyglądają takie zjazdy. Wypiją i padną przed północą.

Ha. Ja akurat nie wiem, nie szwendam się po zjazdach. Szkoda mi kasy. A jeśli gdzieś byłam, to z pediatrami. Oni nie piją i nie padają. Idą grzecznie spać przed północą.

Poszliśmy na ten bankiet. Przed wejściem na salę stały kelnerki ubrane w ludowe stroje i trzymały na tacach kieliszki szampana, na dobry wieczór.

Usiedliśmy przy stoliku. Wszyscy dookoła się znali, były powitania, uściski, klepnięcia i komplementy. Ja tylko się uśmiechałam, aż w końcu zdrętwiała mi twarz. Złapałam taksujące spojrzenia. Udawałam, że nic nie zauważyłam. Ale uchwyciłam jedno czy drugie nieprzychylnie zerknięcie.

Nie mój problem.

Miałam dziwne wrażenie, że czuję na plecach czyjś wzrok. Odwróciłam się. Nic! Przy zupie-kremie ze szparagów z groszkiem ptysowym - znowu to samo. Odwróciłam się i tym razem napotkałam gniewny wzrok Jurka.

O Boże! Ale heca!

Patrzył na mnie nieprzyjemnie i chyba był nieco przestraszony.

A, Marzena siedziała obok niego. No to jestem w domu. Boi się. Chciało mi się śmiać. Wypiłam kieliszek wina jednym haustem. Uśmiechnęłam się milutko do towarzystwa i wstałam.

- Przepraszam na chwilę, muszę się z kimś przywitać.

Bezczelnie podeszłam do ich stolika.

- Ach, Marzenko, takie spotkanie, tyle lat. Słyszałam, że jesteś w Danii. Skąd ty tutaj?

- plotłam bez opamiętania, uśmiechając się szeroko. Na Jurka w ogóle nie zwracałam uwagi.

Marzena uścisnęła mnie.

- Tak się cieszę. Wieki się nie widziałyśmy. Jestem z Jurkiem. No co, Agaty nie poznajesz? - szturchnęła go.

- Oczywiście poznaję. Witaj - wyjąkał.

- Cześć, kolego. - Mocno trzepnęłam go po ramieniu.

Marzena przysunęła krzesło.

- Siadaj i opowiadaj. Co u ciebie?

- Och, mieszkam i pracuję w Belsku od lat. A tutaj? Firma mnie przysłała - skłamałam.

Jurek milczał jak zakłęty.

- A co u ciebie? - Uśmiechnęłam się serdecznie do niego. Nie czekałam na odpowiedź i zwróciłam się do Marzeny: - Później koniecznie musimy pogadać. A teraz muszę wracać. Jestem w towarzystwie.

Wróciłam do stolika.

- Z kim rozmawiałaś? - zainteresował się Michał.

- Z koleżanką z roku. Jest tu z mężem.

- Z Jurkiem?

Teraz ja się zdumiałam.

- Znasz go?

- Doskonale. Często się spotykamy na różnych konferencjach - szepnął mi do ucha.

O... wcale się tym nie zmartwiłam. Wręcz przeciwnie. Nawet wydało mi się to

zabawne. Byłam pewna, że Jurek nie opowiadał wszystkim dookoła o swoich podbojach. Przecież miał żonę.

Na stole pojawiły się dodatkowe butelki alkoholu, już bez udziału organizatora.

Wypiłam kolejnego drinka.

Michał chwycił mnie za rękę.

- Przystopuj nieco. Upijesz się, a ja mam plany na wieczór. - Spojrzał znacząco.

- O jakich planach mówisz? - zachichotałam głupio.

Po kolacji część uczestników znikła - pewnie poszli odsypiać dyżury. Reszta przeniosła się do mniejszego lokalu piętro wyżej. Było ciemno, tylko błyskały kolorowe, dyskotekowe światła, w barze serwowano egzotyczne drinki. Nie darmo lokal nazwano: Hawana Club. Gorące latynoskie rytmy na przemian z lirycznymi przebojami z różnych epok wytwarzały nastrój pełen zmysłowości i erotyzmu. Powietrze było gęste jak słodkie i ciężkie perfumy - takie najbardziej lubiłam.

Michał tańczył bosko. Przyciskał mnie do siebie bardzo mocno, szeptał do ucha gorące i namiętne słowa, a jego dłonie błądziły po moim ciele. Czułam, że jest podniecony. Ja zresztą też.

Wydawało się, że nie istnieje nic poza tą chwilą, tu i teraz. To nie był taniec, tylko jakiś pierwotny rytuał, w którym zatraciłam się bez reszty. Świadomość, że na nas patrzą, zwłaszcza Jurek, nie przeszkadzała, wręcz przeciwnie, była podniecająca.

W końcu i on poprosił mnie do tańca. Tańczyliśmy przyzwoicie.

- Jesteś teraz z nim?

- A co myślałeś, że do śmierci będę po tobie płakać?

Usiłował ugryźć mnie w ucho.

- Daj spokój, patrzą.

- Dotąd ci to nie przeszkadzało.

- Twoja żona - rzekłam z naciskiem.

- Ach - jęknął. - Brakuje mi ciebie.

- Brakuje? A czego konkretnie? Seksu? Marzenia się nie sprawdza? - syczałam mu do ucha. - Jesteś zwykłym palantem. A teraz wybacz, jestem zmęczona. Odprowadź mnie.

Impreza trwała do trzeciej nad ranem.

W pokoju padłam na łóżko, zrzucając pantofle. Michał położył się koło mnie.

- Świetna impreza - powiedziałam.

- Teraz będzie jeszcze lepsza - powiedział. Jego usta przywarły do moich, a dłonie zagarnęły moje ciało tak, jakby brał mnie na własność.

Wracaliśmy do domu w milczeniu. Nie przeszkadzało mi to. Michał skupiony prowadził, a ja skoncentrowałam się na własnych myślach.

Tak jak jest, jest dobrze. Bez zaangażowania emocjonalnego. Trochę rozrywki i przyjemności. Co prawda jeszcze kilka lat temu nie podejrzewałam, że jestem zdolna do takiego postępowania. Lecz cóż... wszystko się zmieniają też.

*

Kilka dni później zadzwonił Krzysztof. I nie do wiary, ni mniej, ni więcej, zaproponował wspólnego sylwestra. Zatkąło mnie, a on mówił:

- W domu kultury będzie koncert, a potem bal.

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Robię się popularna na stare lata, nie ma co.

- No nie wiem - wahałam się.

- Zgódź się. Potańczymy. Chyba że masz inne propozycje - błysnął złośliwością.

- Może - obruszyłam się.

Ciekawe, czy on wie o Michale? Nieważne! Pójdę! Wieki nie byłam na zabawie sylwestrowej. Jest połowa grudnia. Dziwne, że są jeszcze bilety. Imprezy w domu kultury miały dobrą markę.

- OK. Bardzo chętnie. I dzięki za propozycję.

- To się cieszę. A bilety już mam - zaśmiał się.

- O... widzę, że jesteś przewidujący.

- Zadzwonię do ciebie po świętach - powiedział.

Miałam wielką ochotę na zabawę. A może Michał mnie zaprosi? Nie, jakoś dziwnie w to nie wierzyłam. Jest późno. Gdyby zamierzał, dawno by to zrobił.

Na święta zaprosiła mnie Ilona. Nie chciało mi się jechać do Wrocławia na dwa dni. Ogólnie byłam w całkiem dobrej formie. Miałam rozrywkę. W pracy dawało się wytrzymać. Codziennie wymieniałam SMS-y z Michałem. Ogromnie erotyczne, nawet nieco perwersyjne, ale całkowicie bezpieczne, bo niemożliwe do zrealizowania. Można powiedzieć, że funkcjonowałam na podniesionym poziomie adrenaliny.

Perspektywa sylwestra z byłym mężem też była przyjemna. Nurtowało mnie tylko pytanie: Dlaczego tak nagle mnie zaprosił? I co z tamtą lalą?

Marne szanse, żebym poznała odpowiedź.

Zdecydowałam, że pójdę w czerwonej sukience. Jest prosta, a zarazem seksowna. Uprosiłam Bożenę, żeby znowu załatwiła mi wizytę u swojej kuzynki kosmetyczki. Nieznośnie marudziła, ale załatwiła wizytę w salonie dzień przed sylwestrem. I profesjonalny makijaż. Ha! Z włosami poradzę sobie sama.

*

W pracy urządzono spotkanie opłatkowe. Ba, dostaliśmy premie świąteczne. Nie byłam przyzwyczajona do takich ekstrawagancji.

Honory domu (przychodni) pełniła Wanda. Wygłosiła uroczyste życzenia.

Każda z nas coś przyniosła. Na mnie przypadły śledzie. Zrobiłam dwa rodzaje: w oleju i w śmietanie. Kasia przyniosła karpia w galarecie, Zofia sałatkę, a szefowa ciasto z makiem. Stała pacjentka sprezentowała ciasteczka orzechowe i pierniki. I byłoby całkiem przyjemnie. Jednak Wanda nie wytrzymała.

- Te śledzie w śmietanie to się pani, koleżanko, nie bardzo udały.

- Sądząc po tym, jak znikają, nie jest tak źle - odparowałam.

Szefowa obrzuciła nas spojrzeniem z gatunku: zamknijcie się, wiedźmy.

Ach, znowu wyjdzie na to, że moja wina. Zamilkłam. Po opłatku podeszła do mnie Zofia.

- Jutro organizujemy wigilię dla bezdomnych. Każde ręce się przydadzą. Jeśli chcesz, to przyjdź. Na dziewiątą, na ulicę Brzozową, koło MOPS-u.

Czy ja mam napisane na czole, że Wigilię spędzę samotnie? Trochę zaskoczona, zgodziłam się.

- Czy mam coś przynieść?

- Wystarczą dwie ręce, no i strój roboczy. - Uśmiechnęła się.

*

Wigilia. Wróciłam do domu po piątej. Ledwie żywa. Bolał mnie plecy, nogi i głowa. Tyle godzin pracy!

Kiedy rano, po dziewiątej zgłosiłam się w ośrodku, na miejscu pracowało już kilka osób. W kuchni gotowała się zupa grzybowa i barszcz. W piekarniku dochodziło ciasto drożdżowe.

Zofia bystro rozejrzała się po kuchni.

- Możesz lepić pierogi albo obierać ziemniaki.

W kącie, przy niewielkim stole dwie młode dziewczyny były zajęte pierogami. Zaśmiewały się, coś tam opowiadały. Nie chciałam im przeszkadzać.

- Niech będą te ziemniaki - powiedziałam.

Włożyłam stare dzinsy i bluzę kangurkę. Zofia dała mi ceratowy fartuch i wzięłam się do roboty. Obierałam i obierałam, a ziemniaków wcale nie ubywało.

Stopniowo dochodzili nowi pracownicy. Sprzątali stołówkę, przygotowywali talerze. Kucharki dokończyły gotowanie, usmażyły rybę i poszły do swoich domów. Zostali

wolontariusze. W południe Zofia otworzyła stołówkę i zaczął się napływ ludzi - starych i młodych, wynędzniałych kobiet z dziećmi, narkomanów o bladych twarzach i błędnym spojrzeniu, alkoholików.

Wydawałyśmy posiłki. Około trzeciej jedzenie skończyło się i sala opustoszała. Wzięliśmy się za sprzątanie, a w tym czasie Zofia zrobiła małe przyjęcie dla nas. Życzenia, opłatek. Po czym młodzi pojechali do swoich rodzin świętować, a my dokończyłyśmy porządkowanie.

- Tak chyba lepiej, niż siedzieć samemu w domu - zauważyła Zofia.
- Rzeczywiście, choć muszę przyznać, że jestem zmachana. A w ogóle to dołujące...
- Odwraca uwagę od swoich problemów. Chodź, podwiozę cię do domu.

Na ulicy było już całkiem ciemno i pusto. W oknach domów świeciły się światła choinek. Popadywał niewielki śnieg. Wsiadłam do auta Zofii.

- Idziesz gdzieś? - Nie wytrzymałam.
- Nie, od lat tak spędzam Wigilię.
- No a ten pan... - wydukałam.
- Chodzi ci o tego, którego spotkałaś u mnie?
- Tak.
- On ma starych rodziców pod Warszawą. Jeździ do nich na każde święta.
- A czemu nie z tobą? - Byłam wścibska.
- Nie zaakceptowałyby mnie. Są ortodoksyjnymi katolikami z tradycjami. Ja jestem ewangeliczką. Na razie musi tak być. - Wzruszyła ramionami. - Może kiedyś...

Zdębiałam. Ona zgłupiała chyba? Czy uważają, że mają dużo czasu? „Nie znasz dnia...” Facet powinien postawić się rodzicom. Zresztą wszyscy są już w takim wieku, że... To Polska właśnie! Obłuda i zakłamanie! - dosłownie gotowałam się w myślach.

Po chwili opamiętałam się trochę. Krytykuję ją, a sama wcale nie byłabym lepsza. Nigdy nie umiałam o nic walczyć.

Zofia wysadziła mnie przed blokiem. W domu zrobiłam sobie gorącą kąpiel. W telewizji leciał koncert kolęd, a potem kolejna wersja „Opowieści wigilijnej”. Oglądałam, pogryzając pierniki (ze sklepu) i kruche ciasteczka, które sama upieklam.

Następnego dnia wstałam dopiero około dziesiątej. Zrobiłam świąteczne śniadanie - szynka z chrzanem i sałatka jarzynowa.

Zapaliłam lampki na choince. Od razu zrobiło się przytulniej. Włączyłam kasetę z „Przeminęło z wiatrem”. Oglądałam film, po raz nie wiem który i właśnie zbliżała się scena, przy której zawsze płacze: Scarlett stoi na tle zachodzącego słońca w zrujnowanej Tarze, leci

muzyczny motyw przewodni. Z oczu popłynęły mi łzy...

I wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Cholera, kto mi przeszkadza właśnie teraz?

Otworzyłam. Michał! Szybko usiłowałam sobie przypomnieć, czy go zaprosiłam. Nie, na pewno nie.

- Ty płaczesz? - zdumiony zapytał, zamiast składać życzenia świąteczne.

Już chciałam powiedzieć, że mam katar, kiedy z pokoju dobiegło „I przysięgam, choćbym miała kraść i zabijać...”. Michał wbiegł do pokoju i zaczął się śmiać.

- Płaczesz przy tym?

- Płacę przy wielu filmach - odparłam z godnością. - Nawet przy „Czterech pancernych”...

- Przyszedłem złożyć ci życzenia świąteczne. - Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i podał mi.

- Dziękuję. A ja nie mam nic dla ciebie - powiedziałam zawstydzona.

- No otwórz. A tamten problem rozwiążemy inaczej.

W pudełeczku był słoik z kryształu górskiego i obowiązkowo podniesioną trąbą. Odetchnęłam, nic kosztownego, nic zobowiązującego.

- A co mówiłeś? Co chcesz rozwiązać? - zapytałam.

Nie odpowiedział. Objął mnie i zaczęliśmy się całować. Skończyło się w łóżku...

Kiedy powróciłam na ziemię, było po czwartej.

- O Boże, miałam być u Bożeny i Irka. - Wyskoczyłam z łóżka. - Wstawaj, ubieraj się.

- Trąciłam Michała.

- Wyrzucasz mnie? - wymamrotał.

- Tak, mam zobowiązania towarzyskie.

Szybki prysznic, krem na twarz, puder, błyszczyk na usta i gotowa. Michał był niepocieszony, ale nie wiem, na co liczył. Nie chciałam, żeby zostawał na noc, nie chciałam żadnego romansu, żadnych uczuć. Nic. Czysta chemia.

*

Do Bożeny pojechałam taksówką. Drzwi otworzył Irek.

- Sorry, spóźniłam się - przeproszałam. - Wszystkiego dobrego z okazji świąt. - Pocałowałam go w policzek.

- I wzajemnie. Świetnie wyglądasz. Te oczy... gdybym cię nie znał, to powiedziałbym, że ktoś się za tym kryje - zażartował.

- Ireczku, to na pewno nie był komplement. - Trochę się obraziłam.

- Nie w tym sensie, ale wyglądasz - zachichotał - jakbyś dopiero co wyszła z...

- Irek, przestań - wtrąciła się Bożena. - Twoje dowcipy są nie na poziomie. A ty rozbieraj się i wchodź.

W głębi pokoju stała duża naturalna choinka oświetlona kolorowymi lampkami i modnie przybrana ozdobami ze słomy i sztucznymi owocami. Pachniało prawdziwym świerkiem i domowym makowcem.

Usiadłyśmy z Bożeną przy małym stoliku, a Irek poszedł do kuchni, aby zrobić kawę.

- Pogoniłam Irka, bo to nie jego sprawa. No i te jego dowcipy... Agata, ty się zastanów, co robisz. Od tej historii z kosmetyczką... - Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Nikogo nie ma. Sam seks. Czysta chemia. A tak przy okazji: idę z Krzysztofem na sylwestra - pochwaliłam się.

Bożena chwyciła się za brzuch i rechotała radośnie.

- To ty z Krzysztofem?... Sam seks? Nie wierzę.

- Oczywiście, że nie - obraziłam się. - Z Krzysztofem jestem na przyjacielskiej stopie.

A tamto to... to są przygody.

- I tak spokojnie to mówisz? Już na jednej się przejechałaś. - Przestała się śmiać.

- Trujesz. Nie martw się. Panuję nad sytuacją.

- Przy Jurku też tak mówiłaś. I jak to się skończyło? - gderała Bożena.

- Wcale nie żałuję...

Przypomniałam sobie złe spojrzenie Jurka na bankiecie.

- Wcale - powtórzyłam, usiłując przekonać samą siebie.

Irek przyniósł kawę i ciasto. Wzięłam kawałek makowca.

- Świetny.

- Można wiedzieć, o czym tak rozmawiacie? - zapytał Irek.

- Wyobraź sobie, że Agata idzie na sylwestra z Krzysztofem...

- Do domu kultury - wtrąciłam z pełnymi ustami.

- A dlaczego my nigdzie nie idziemy? - Bożena zwróciła się do Irka z pretensją w głosie.

- Nic nie mówiłaś, że chciałabyś. - Wzruszył bezradnie ramionami.

- Z facetami to tak zawsze. Sami o niczym nie pomyślą - poskarżyła się.

- Tylko się nie kłóćcie - poprosiłam.

- To w przyszłym roku pójdziemy. - Irek starał się udobruchać żonę.

Podszedł do niej, przytulił.

- No już dobrze, stara. Pójdziemy na pewno.

I znowu ukłucie zazdrości. Żeby przerwać im tę sielankę, powiedziałam:

- W Wigilię pracowałam w ośrodku pomocy!

- Proszę, proszę. Nie podejrzewalibyśmy. Ty? Nie masz natury samarytanki - stwierdziła Bożena.

- Właśnie ja. Zrobiłam dobry uczynek - powiedziałam z dumą, jakby oczekując, że ktoś powie: „patrzcie, jaka ona szlachetna”.

I oczywiście nic takiego się nie stało. Ku memu rozczarowaniu Irek i Bożena szybko przeszli nad tym zdarzeniem do porządku.

Posiedzieliśmy, pogadaliśmy. Irek wyjął z barku domową nalewkę z wiśni. Zjadłam Bożenie połowę makowca. Z odtwarzacza płynęły kolędy. Kama pętała się między nami.

I było naprawdę świątecznie.

*

Pierwszego dnia po świętach wyczytałam z grafiku, że Michał wziął urlop. Nie poczułam się ani zaskoczona, ani zbulwersowana, że mi o tym nie powiedział. Nic nas nie łączyło poza okazyjnym seksem. I tak było dobrze. Nic też nie wskazywało na to, żeby w pracy ktoś wiedział. Też dobrze.

Pacjentów niewielu, personel na urloпах. Wanda też.

Dzień przed sylwestrem zadzwoniła do mnie Urszulka, z płaczem, że właśnie dostali wypowiedzenia. Placówka idzie do likwidacji.

- Czego beczysz? Przecież za kilka tygodni rodzisz. Potem znajdziesz sobie lepszą pracę - powiedziałam. - Pielęgniarki nie będą mały żadnych problemów. Wyłapią je jak świeże bułeczki. To ja miałam szczęście, że znalazłam pracę, zanim przychodzi się zawałiła.

*

W sylwestra miałam wolne. Pierwszy raz od lat wybierałam się na imprezę. Chciałam zrobić się na bóstwo. Byłam u fryzjera, u kosmetyczki.

- No, no, mogę śmiało powiedzieć, że ze mnie prawdziwa laska - powiedziałam głośno, stojąc przed lustrem.

Profesjonalny makijaż, włosy dobrze podcięte i uczesane. Skóra lekko opalona (samoopalacz oczywiście!). Szczupła sylwetka. No i sukienka - ciemnoczerwona, na ramiączkach, ładnie podkreślała talię. Czarne sandaalki na obcasach, perły, mała czarna torebka. Nałożyłam bolerko.

- Super. Wyglądam na dobre kilka lat mniej - stwierdziłam z zadowoleniem, po raz ostatni spoglądając w lustro.

Krzysztof przyjechał punktualnie. Popatrzył na mnie z niekłamanym podziwem, ale

nic nie powiedział, nawet najmniejszego komplementu. Pojechaliśmy taksówką. Patrzyłam w okno.

Dlaczego, do cholery, nic nie czuję na jego widok? Nic, najmniejszego piknięcia w sercu, najłżejszego ucisku w dole brzucha? Po prostu nic - myślałam z rozpaczą.

Koncert tradycyjny - to właściwe określenie - Vivaldi, Mozart, Schumann i oczywiście Strauss.

O północy - szampan, życzenia. Krzysztof pocałował mnie w policzki. Trochę się zdziwiłam. Wspomniałam pocałunek z Zakopanego...

Bal był nobliwy. Koncert zrobił swoje.

Przy stoliku siedzieliśmy z parą znajomych Krzysztofa, jak się później okazało. Przedstawił mnie jako swoją przyjaciółkę. Nie oponowałam. Czy nikt nie pamięta mnie jako jego żony?

Zaczęłam analizować. Zaprosił mnie ze dwa tygodnie temu. Późno. Dlaczego? Przecież musiał to zaplanować wcześniej i zdobyć bilety. Czy to oznacza, że ktoś inny miał mu towarzyszyć? Może tamta lala, z którą widziałam go jakiś czas temu?

Nie będę teraz o tym myśleć. Będę pić i tańczyć, i dobrze się bawić.

Wypiłam drinka, jednego, potem drugiego. Od razu zrobiło się weselej. Tańczyłam z Krzysztofem i jego kolegami. Bawiłam się dobrze, ale... No właśnie. Nie mogłam oprzeć się wspomnieniom tańca z Michałem, pełnego zmysłowości i erotyzmu. Brakowało mi tego... tego napięcia, rozkosznego niepokoju, tego ucisku w piersiach i oczekiwania na coś, co miało przyjść i dać poczucie spełnienia.

*

W połowie stycznia, biorąc pod uwagę napływ pacjentów z mojej dawnej przychodni, zwiększono mi liczbę godzin do trzech czwartych etatu. Wandzie się to nie spodobało, lecz z drugiej strony nie chciała być przeciążona.

Więcej godzin oznaczało więcej pieniędzy, więc się ucieszyłam.

Pewnego dnia szefowa Agnieszka wezwała mnie do siebie. Była u niej Wanda. Siedziała na krześle tyłem do mnie. Widziałam tylko jej plecy wstrząsane od czasu do czasu czymś, jakby szlochem. Płakała?

- Pani koleżanko, doktor Wanda skarży się, że pani zawłaszcza jej pacjentów - rzekła z niewyraźną miną Agnieszka.

- Coś takiego! - Omal się nie roześmiałam. - Zawłaszczam! Świetne określenie - powiedziałam impulsywnie. - Ja nikogo nie zawłaszczam. Sami chcą leczyć się u mnie. Proszę spytać w rejestracji - zwróciłam się do Agnieszki. - Ja nikogo nie ciągnę na siłę. I... nie

mam nic więcej do powiedzenia - zakończyłam.

Agnieszka ciężko westchnęła, zwracając się do Wandy, która siedziała na krześle czerwona jak burak.

- I co pani na to, koleżanko?

Wanda miętosiła chusteczkę higieniczną, co jakiś czas podnosząc ją do oczu.

Obłudne, wredne babsko!

- Postępuje pani nieetycznie - zwróciła się do mnie, ciężko oddychając. Przyłożyła chusteczkę do oczu i wybiegła z gabinetu, unikając mojego spojrzenia.

No i pomyślałby kto - prawdziwa uciśniona niewinność. Popatrzyłam na Agnieszkę.

- Proszę postarać się ją zrozumieć, ma trudny okres w życiu.

- Oczywiście - powiedziałam sztywno i wyszłam.

Trudny okres, trudny okres - przedrzeźniałam. - Ja mam trudny okres... permanentnie. Dlaczego mam być wyrozumiała? Czego ona chce ode mnie? A dlaczego ona mnie nie cierpi? Nie znałyśmy się wcześniej. Chyba że nie cierpi wszystkiego i wszystkich. I tylko udaje świętą. Właśnie!

*

Po tym incydencie Wanda się trochę uspokoiła. Staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę. W połowie lutego poszła na dłuższe zwolnienie chorobowe.

W tym czasie częściej dyżurowałam z Anulką - naszym lekarzem rodzinnym. Anulka była ładna, sympatyczna i wesoła. Musiała mieć około trzydziestki.

Któregoś popołudnia siedziałyśmy w socjalnym i ona zaczęła:

- Przystojny ten doktor Michał.

- Owszem - potwierdziłam.

Poczułam niepokój. Czy ona coś wie? Do czego zmierza? Ale ona westchnęła.

- Kiedy przyszłam tu do pracy dwa lata temu, próbowałam go poderwać - przyznała. - Zupełnie bez efektu. Podobno po rozwodzie. Może gej?

Ledwo powstrzymałam się od śmiechu. Gej. Na pewno nie. A jednak nie mogłam oprzeć się podejrzeniom. Jest młoda i ładna. Dlaczego nie dał się poderwać? Rozwodnik... może zacząć nowe życie. Czy to oznacza, że jest jakaś tajemnica?

- A jesteś z kimś? - zapytałam, narażając się na zarzut wścibstwa.

- Nie, teraz nie. Ja dużo pracuję: tu i w szpitalu, i na pogotowiu. Spłacam kredyt za auto i wpłacałam zaliczkę na mieszkanie. Nie mam czasu na facetów. - Anula smętnie patrzyła w okno, za którym panowała całkowita ciemność.

Było mi jej żal. Najlepsze lata przeleciało nie wiadomo kiedy. Trzeba pracować na kilku

etatach, żeby związać koniec z końcem, spłacić zaciągnięte kredyty na ekstraluksusy: mały samochódzik, małe mieszkanie i może małe wakacje. Bajkowe życie, nie ma co.

*

Z Michałem w pracy praktycznie nie rozmawiam. Wyłącznie służbowo i bardzo oficjalnie. Czasem spotykamy się w socjalnym i zwykle jest ktoś jeszcze. A więc tematy standardowe - pogoda, pacjenci. A swoją drogą nie zauważyłam, żeby jemu to przeszkadzało. Więcej - jemu to zdecydowanie pasowało! Dyskrecja? Jak najbardziej. Przecież sama tak chciałam. To nie jest romans. Sam seks - czysta chemia. Ale nici z ukradkowych pocałunków i pieszczot, jak było z Jurkiem. Tylko te SMS-y. Zastanawiające. Czy o to mi chodziło??

Pod koniec marca odwiedziłam Warszawę, naszą „stolicę”. Kolejne sympozjum z Michałem. Mieszkaliśmy w hotelu, w centrum. Michał tkwił na wykładach, a ja wyruszyłam na podbój Warszawy. To moja pierwsza wizyta na tak wysokim szczeblu od wieków.

Dzień był chłodny i wietrzny. Nad miastem przewalały się stalowe chmury. Z rzadka, nieśmiało, przebijały się promienie słoneczne.

Miałam na sobie spódnicę z grubej wełny w kolorze czerwonego wina i czarne krótkie futerko, które niedawno kupiłam sobie na urodziny. Patrzyłam pewnie wokoło, starając się wyglądać na mieszkankę stolicy. Tłum i ruch nie onieśmiały mnie wcale. Bez problemu dotarłam na Starówkę i Krakowskie Przedmieście.

Obejrzałam Zamek Królewski, kolumnę Zygmunta, kamieniczki na Starówce. Powoli przechadzałam się po tej reprezentacyjnej części Warszawy. W końcu przystanęłam przy wystawie ekskluzywnego sklepu i gapiłam się bezmyślnie na sprzęt sportowy. I wtedy usłyszałam:

- Przepraszam panią - odwróciłam się i zobaczyłam młodą kobietę, zapewne studentkę
- jak najlepiej dostać się stąd w stronę Alei Ujazdowskich?

Ups. Nie mam pojęcia. Nie ma rady. Trzeba się przyznać.

- Musi pani spytać kogoś innego. Ja nietutejsza - uśmiechnęłam się przepraszająco.

Wieczorem szykowaliśmy się na bankiet. Wyszłam z łazienki w samej bieliźnie. Na wieszaku wisiała prosta sukienka: czarna przetykana srebrną nitką. Skromna i bynajmniej nie seksowna. Prawdę mówiąc, kupiłam ją w second-handzie. Chciałam się ubrać, ale Michał przyciągnął mnie i posadził na kolanach. Zaczął całować. Odsunęłam się.

- Daj spokój. Spóźnimy się - rzekłam.

- No to co? - odrzekł, całując mnie natarczywie po szyi. Odsunęłam się.

- Wiesz, jak nienawidzę się spóźniać. Poza tym może być problem z miejscem. Nie chcę siedzieć gdzieś w kącie - tłumaczyłam.

- No dobrze. Już idziemy - zgodził się. - A jak podobała ci się Warszawa?

- Nie rzuciła mnie na kolana. Sądziłam, że jest bardziej imponująca - powiedziałam, wkładając sukienkę.

- Ha, stolica jej się nie podobała - zażartował.

- To nie tak. Myślałam, że jest, jak by to ująć, bardziej efektowna i monumentalna. Jak porównam Rynek we Wrocławiu i Ostrów, to... nie ma podskoku.

Michał się roześmiał.

- A co ty ciągle o tym Wrocławiu? Słuchaj, jutro mam wykłady do dwunastej. Potem może pójdziemy do Łazienek? Zjemy obiad i koło trzeciej wyjedziemy.

- Dobrze. Ty decydujesz - zamknęłam sprawę.

Okolo południa poszliśmy do Łazienek. Było chłodno. Zajęliśmy ławkę naprzeciwko pomnika Chopina. Michał objął mnie. Zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że słyszę muzykę. Mój ulubiony koncert e-moll.

Przez chwilę czułam się prawie szczęśliwa.

Dwie godziny później siedzieliśmy w jednej z licznych przytulnych knajpek na Starym Mieście. Kończyliśmy obiad.

Właśnie kelner przyniósł deser: gruszki w sosie waniliowym z płatkami migdałów, kiedy do lokalu weszła grupa osób. Zerknęłam automatycznie i zamurowało mnie. Krzysztof? Ta baba? To niemożliwe! On powinien być czterysta kilometrów stąd, w Belsku. Co on tu robi, w Warszawie, w tej knajpie? Z dziesiątków możliwych lokali wybrał ten sam? Co na to rachunek prawdopodobieństwa?

Oczywiście Krzysztof od razu nas spostrzegł. Ukłonił mi się. Miałam wrażenie, że w jego oczach była dezaprobata. A może tylko mi się tak zdawało?

Na szczęście Michał niczego nie zauważył. Na pewno zapytałby, kim jest ten pan, który się uklonił. A ja nie życzyłam sobie żadnych pytań.

*

Dziś badałam dziecko, które miało identyczne nazwisko jak moje. Przypadek czy nie? Przecież nie zacznę śledztwa. Rodzice to młodzi ludzie. Mój ojciec mógłby być... jakimś prawujkiem... a diabli wiedzą kim.

Mała miała sześć lat i była bystra.

- A pani nazywa się tak jak ja - uśmiechnęła się, demonstrując braki w uzębieniu.

- No widzisz, jakie dziwne rzeczy się zdarzają - uśmiechnęłam się do niej.

- A może jest pani moją ciocią? - Nie dawała za wygraną.

- Chyba nie. - Popatrzyłam na jej matkę, jakbym u niej szukała ratunku.

- Czy mogę mówić do pani „ciociu”?

- Oczywiście, kochanie.

- No to pa, pa. Przyjdę niedługo - zapowiedziała.

Matka uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie.

Wychodziły. Mała cały czas oglądała się za siebie, powtarzając „pa, pa”.

Byłam poruszona. To nie jest częste nazwisko w tych stronach. Ale przecież nie będę wypytywać. A nawet gdyby byli moimi krewnymi, to co z tego? Czy to by coś zmieniło?

To są obcy ludzie.

Oczywiście sprawa nie dawała mi spokoju. W pamiętniku matka napisała o położnej z izby porodowej. Zatem to mogło być tylko w Kuźni.

Wykorzystałam możliwości, jakie daje praca w przychodni. Zatelefonowałam do tamtejszej placówki. Przedstawiłam się i zapytałam pielęgniarkę, czy mają pacjentów o nazwisku „Pilski”. Roześmiała się.

- Pani doktor, wielu. To popularne nazwisko u nas. A o kogo pani konkretnie chodzi?

- Konkretnie? Ja właściwie nie wiem. Może zadzwonię kiedy indziej - tłumaczyłam się mętnie.

Niczego się nie dowiedziałam. Mimo to w niedzielę wsiadłam do autobusu i pojechałam do Kuźni. To duża wieś. Włączyłam się po drogach i uliczkach, pomiędzy domami. Bez planu, bez sensu. Mijałam eleganckie domy i zwykłe gospodarstwa. Czego chciałam? Dokładnie nie wiedziałam. Czego szukałam? Wspomnień? Lecz przecież nie moich. Informacji? Co by mi dały?

W końcu zapytałam starszą kobietę, gdzie tu mieszkają państwo Pilscy. Popatrzyła na mnie dziwnie.

- Pani, ale którzy? I tu - pokazała dom na zakręcie - i tam - wskazała jakieś zabudowania otoczone drzewami. - Tu ich dużo.

Wyjąkałam przeprosiny i uciekłam.

Ocknęłam się na przystanku autobusowym. Ja zwariowałam, wpadłam w paranoję. Co ja tu robię, na środku wsi, w niedzielne popołudnie. Totalna idiotka. Masochistka.

Muszę z tym skończyć raz na zawsze!

*

Zupełnie niezauważenie minęła zima. Wiosna czaiła się dość długo, aż nagle wybuchła całą pełnią na początku kwietnia. Na drzewach pojawiły się liście, a w ogrodach i na łąkach zakwitły równocześnie różne wiosenne kwiaty: zawilce, pierwiosnki, później

żonkile, tulipany, fiołki i kaczeńce. Dni stawały się coraz dłuższe i gdyby mój nastrój był wprost proporcjonalny do ich długości, byłoby naprawdę dobrze. Niestety. Snułam się po pracy niezbyt przytomnie. Nawet Wanda to zauważyła.

- Czy pani źle się czuje? Może jest pani przemęczona? Będzie majowy weekend. Ja nic nie planuję, może by wzięła pani kilka dni urlopu?

Zaskoczyła mnie taką troską. Popatrzyłam na nią podejrzliwie, lecz niczego nie wyczytałam z jej twarzy.

- Nie, nie. Nic mi nie jest. Ale dziękuję - odparłam.

*

Tegoroczne święta wielkanocne uraczyły nas chłodem i deszczem. Praktycznie spędziłam je w łóżku. Michał dyżurował. Krzysztof od dawna się nie odzywał. Widocznie z tą babą to coś poważniejszego. Od Aliny dostałam SMS-a z życzeniami. Grażyna przysłała e-maila. Cała w skowronkach. Wybierała się na Maderę z facetem. Z którym? Straciłam rachubę. A może to był ktoś zupełnie nowy. W każdym razie wydawała się szczęśliwa.

Ja nie.

Tydzień później Michał zaproponował mi wspólny wyjazd. Inny. Do tej pory byłam z nim kilka razy na spotkaniach medycznych. Układ bez zobowiązań, za to mocno nasycony. Jakkolwiek na to patrzeć, czasem czułam się trochę jak... call girl. Niezbyt sympatyczne.

- Chciałbym pojechać w czerwcowy weekend na Thassos. Pojechałabyś ze mną? Podobno jest tam pięknie - zaproponował.

Zaskoczył mnie. Pewnie, że bym chciała. Ale takie wakacje to zupełnie coś innego niż weekendowe wyjazdy na konferencje. Mogłoby się to dla mnie źle skończyć. Mogłabym się zakochać! I co wtedy?

- Muszę się zastanowić. Jutro ci powiem, dobrze? - Odsunęłam sprawę w czasie.

Noc miałam z głowy. Nie miałam planów wakacyjnych i chętnie pojechałabym z Michałem. A jednak... Być przez tydzień razem, jako para? Czy to możliwe? A dlaczego nie? Oboje po rozwodach. Lecz... właśnie. Otrzymałam nauczkę przy Jurku. Powinnam być ostrożna. A coś mi mówi, że jest jakiś problem. Tyle że nie mam pojęcia jaki. Nasz układ jest jasny, choć nigdy nie został określony słowami.

Nie umawiamy się, nie dzwoniemy. Od czasu do czasu erotyczny SMS. Czy on się bawi? W pracy wcale nie rozmawiamy. Najważniejsza dyskrecja...

A może ten wyjazd to właśnie próba zmiany układu?

No oczywiście. Jestem pewna. Że też od razu o tym nie pomyślałam. Michał chce nadać nowe znaczenie naszej znajomości. Uśmiechnęłam się do swoich myśli. A ja

zglupiałam, kombinuję, zamiast się cieszyć. Idiotka! Nie ma dyskusji - jadę!

Następnego dnia przyszedł do gabinetu, oparł się o drzwi i spojrzał na mnie wielkimi oczami George'a (a tego dnia był wyjątkowo do niego podobny) i zapytał:

- I co postanowiłaś?

- Pojadę bardzo chętnie. - Uśmiechnęłam się milutko.

Wyraźnie się ucieszył.

- Cudownie. Będzie wspaniale. - I wyszedł.

Poczułam się rozczarowana. To prawda, że się ucieszył. Ale tak jakoś zwyczajnie. Oczekiwałam większego entuzjazmu.

Michał był u mnie nie dłużej niż pół minuty. Dyskrecja za wszelką cenę?

I znowu dopadły mnie wątpliwości. Muszę koniecznie zebrać myśli i przeanalizować sytuację.

*

Do wyjazdu na Thassos było jeszcze kilka tygodni, a Michał zachowywał się jak zawsze: poprawnie i służbowo.

W co on gra, do cholery? Zaczęłam wątpić, czy dobrze zrobiłam, zgadzając się na ten wyjazd. Czy nie myślę naiwnie? Czy nie wmawiam sobie, że to początek nowego? Czy nie myślę życzenio-wo? Z euforii wpadałam w czarną chandrę. Te huśtawki nastrojów mnie dobijały. I tak w kółko. W końcu doszłam do wniosku: jestem przewrażliwiona. Mam za duże skłonności do szukania dziury w całym. Proponując mi wspólne wakacje, Michał na pewno zdaje sobie sprawę, że to wiele zmieni. Przecież nie jest bezdusznym facetem. Nie może być!

Chcę pojechać i pojadę. To moje ostatnie słowo.

*

Zakomunikowałam Wandzie, że biorę urlop w czerwcowy weekend. I mam już zaplanowany wyjazd.

Wanda się zdenerwowała. Brzydkie czerwone plamy wystąpiły jej na twarzy i szyi.

- Dlaczego pani dopiero teraz mi o tym mówi? Ja zupełnie nie wiem, czy będę mogła panią zastąpić... Tak w ostatniej chwili... Tak się nie robi... - rzuciła się.

Wredne babsko. Chciała mi dokuczyć, a miała ku temu doskonałą okazję.

- To nie jest ostatnia chwila, a poza tym sama pani mówiła, że planuje cały urlop we wrześniu i długie weekendy panią nie interesują. - Ręce trzymałam zaciśnięte w kieszeni i mówiłam, nie!, syczałam: - W takim razie uzgodnię to z szefową.

Odwróciłam się i poszłam prosto do Agnieszki. Uznała moje racje. Zresztą plany urlopów spoczywały u niej w szufladzie.

Napięcie na linii Wanda - ja przybierało na sile. Jak to się skończy? Jej pozycja w przychodni jako udziałowca była o niebo lepsza. Z drugiej strony to ja leczyłam większość dzieci. Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

*

Pierwszego maja Bożena jak zwykle zainaugurowała sezon grillowy. Zmaterializował się też Krzysztof. Wyciągnął mnie na wycieczkę do Małej Fatry. Weszliśmy na niewielką górę, na której stało schronisko. Wszędzie zalegali Polacy. Nawet dziewczyna z obsługi zapytała:

- A czy w Polsce jeszcze ktoś pozostał?

Wszyscy raczyli się tradycyjnym posiłkiem - smażonym serem z ziemniakami i piwem.

W wyższych partiach gór panowała jeszcze zima. Najwyższe szczyty były zupełnie białe. Niżej w wielu miejscach leżały płaty śniegu. Pojedyncze kwiatki nieśmiało wychylały łepki.

Wróciliśmy wieczorem.

Prawdę mówiąc, z Krzysztofem czułam się dobrze. Świetny kumpel i tyle. Może szkoda? Ale nie czułam przy nim najmniejszej iskierki, cienia słodkiego niepokoju czy bicia serca, jak przy Jurku czy Michale. Z mojej strony była to zwyczajna zażyłość. Nie wiem, jak on to traktował... No i co z tą jego lalą?

*

Czas nieubłaganie pędził w stronę lata. Za tydzień wyjeżdżam na Thassos. Kupiłam śliczny top w niebieskie paseczki z marszczonym dekoltem i rękawkami, białą bluzkę haftowaną białą nitką i powiewną spódnicę w czarno-białe wzory. Ciuchy będę miała fajne, zresztą to tylko tydzień. Natomiast nastrój... szkoda gadać, pod psem (rottweilerem).

Michał ma przyjechać po mnie o piątej rano. Auto pozostanie na parkingu przy lotnisku. Los mu sprzyjał. Ciekawe, co by zrobił, gdyby wyjazd był w środku dnia? Robię się coraz bardziej upierdliwa. Jeśli to ma tak wyglądać... to może powinnam zrezygnować? Tylko jak? Pieniądze zapłacone, urlop zaklepany. O Boże!

*

Tydzień na Thassos upłynął jak z bicza trzasnął. Wyspa piękna, zielona, pustawa przed sezonem. Małe zatoczki, piaszczyste plaże. Bez trudu znajdowaliśmy kameralne miejsca, w których można było swobodnie nie tylko pływać, ale i nago się opalać...

Michał wypożyczył skuter, którym objechaliśmy tę niewielką wysepkę, zwiedzając niemal każdy zakątek, oglądając zabytki.

Wieczorami kolacje w tawernach przy muzyce, spacerzy po plaży za rączkę, długie wieczory przy winie i wtórze cykad. Gorące, namiętne noce.

Lecz była też i druga strona medalu.

Ze zdumieniem poznawałam Michała jako typowego, upierdliwego polskiego turystę, z gatunku, którego unikałam jak ognia. Ja, która zawsze byłam zadowolona, a na drobne niedociągnięcia nie zwracałam uwagi, byłam rozpoznawana jako żona (towarzyszka) tego faceta... no wiecie którego. Wyobrażałam sobie, że tak o nas mówią. Każdego dnia Michał miał jakieś sprawy, uwagi i pretensje. A to nie było pomidorów na śniadanie, a to wędliny mało urozmaicone, mrówki w pokoju, w nocy zimna woda (jakby nie widział na dachu baterii słonecznych) itp. Telefony do rezydentki się urywały. Moje prośby, żeby się nie kompromitował, kończyły się niczym.

Taki wstyd - wściekałam się. Przez recepcję przemykałam chyłkiem, nie chcąc być zauważoną. A przy tym wszystkim Michał świetnie się bawił. On po prostu nie umiał inaczej.

Któregoś dnia, podczas śniadania, na którym też coś było nie tak, tym razem z kawą, Michał trącił mnie w ramię.

- Popatrz na tego palanta przy sąsiednim stoliku. Jak on jest ubrany! - syknął.

Musiałam się odwrócić. Facet, znaczy palant, wyglądał zwyczajnie, to jest wakacyjnie: krótkie spodenki, T-shirt. Wzruszyłam ramionami.

- Nie widzę nic szczególnego.

- No nie. Popatrz. - Michał był bardzo wzburzony. - On ma skarpetki do sandałów.

No nie, zaraz oszaleję i zacznę krzyczeć.

- Michał, czy ty nie masz innych problemów? Musisz oceniać innych? To wolny człowiek, chce mieć skarpetki, to jego sprawa. Nie sądzisz? - szepnęłam, przerażona, że ktoś może usłyszeć naszą kretyńską dyskusję.

- Czy ty nie rozumiesz? On nas kompromituje. To tak jakby do fraka włożyć adidas.

- Bywały dziwniejsze mody w historii. A kompromitujemy się sami. - Popatrzyłam na niego znacząco. - Daj już spokój. Psujesz wakacje - zezłościłam się.

Tymczasem posiadacz kompromitującego stroju skończył posiłek i swobodną angielszczyzną rozmawiał z właścicielem hotelu.

My też wstaliśmy. Idąc do pokoju, Michał rzucił skarpetkom pogardliwe spojrzenie.

Czy to możliwe, że jest takim snobem i dupkiem?

Ale poza tym zachowywał się bez zarzutu. Emablował mnie, komplementował, był na każde skinienie, przynosił kawę i owoce. Zaglądał mi w oczy, zupełnie jak zakochany. Pełna nadziei i niemal szczęśliwa, z trudem utrzymywałam serce na smyczy. Słowem - byłoby

cudownie, tylko... Nic nie wskazywało na jakąkolwiek zmianę naszych relacji. Zero planów i rozmów o tym, co dalej. Zaczynałam się denerwować. Przecież jest wolny. Dlaczego milczy??

Co innego jakiś pojedynczy wypad, a co innego... wakacje! Nie rozumiem!!??

Stawałam się coraz bardziej zestresowana. Od czasu do czasu wspomagałam się farmakologicznie. Nie pomagało.

Ostatniego dnia naszego pobytu wydarzyło się coś, co całkiem wytrąciło mnie z równowagi. I nie miało najmniejszego związku z Michałem.

Rano, po śniadaniu Michał jak co dzień okupował recepcję. Ja tymczasem stanęłam w kąpieli, obok donicy z dużą palmą. Tak na wszelki wypadek, żeby nie rzucać się w oczy. Za palmą stała para. Nie widziałam ich. Słyszałam tylko głosy. Klócili się po polsku. Ten głos...

Nie wytrzymałam. Zajrzałam... Iwona! Nie do wiary! Stała w kostiumie bikini, osłoniętym barwną chustą. Klóciła się z młodym, potężnie zbudowanym brunetem. Na jego widok od razu pomyślałam o „Słonecznym patrolu”. Usłyszałam tylko:

- Daj spokój, Iwa. To nie ma znaczenia. - Przytulił ją do siebie. Oczy Iwony spoczęły na mnie. Odskoczyła jak oparzona.

- Agata? Co ty tutaj robisz? - wyjąkała.

- Ja? Jestem na wakacjach. A ty? - Patrzyłam jej prosto w oczy. Niech się wije, niech kłamie. W dalekiej Polsce Misieček chciał poszerzać z nią horyzonty, a ona tymczasem hula po Grecji z jakimś byczkiem.

Parsknęłam śmiechem.

- To nie Hawaje, zdaje się. A może przedstawiś mnie swojemu... przyjacielowi?

- To nie tak jak myślisz. Przyjechałam odpocząć. A Przemka poznałam tu - kluczyła. -

Ty zresztą też nie jesteś sama.

Od recepcji w naszą stronę kierował się Michał.

- Tyle że ja nie jestem mężatką. A ty owszem - stwierdziłam z satysfakcją.

- Błagam, Agata, nic nie mów. Wyjaśnię ci później. - Iwona niemal płakała.

Brunet ze złotym łańcuchem na szyi patrzył na mnie niespokojnie.

- Co jest, Iwa?

- Później ci powiem. - Iwona desperacko próbowała zaciągnąć Przemka do windy.

Podszedł Michał.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał.

- To moja kuzynka. Jest w towarzystwie.

- Twoja kuzynka? - Wyraźnie się zaniepokoił.

- Ona jest tu z facetem, nie z mężem - powiedziałam z naciskiem.

- O... - ucieszył się.

Czego, dupku, się cieszysz? Nadal dyskrecja za wszelką cenę?

Szykowaliśmy się do wyjazdu. Michał pakował swoje rzeczy. Poszłam na basen (swój bagaż zapakowałam wcześniej), żeby jeszcze chwilę posiedzieć na leżaku, złapać ostatnie promienie słońca. Tam dopadła mnie Iwona. Zaczęła płakać.

- Nie wiesz, jak to jest. Mam prawie czterdziestkę. Od piętnastu lat z jednym mężczyzną. Do tego mąż jest pracoholikiem. Nie ma czasu dla mnie. Nie zwraca na mnie uwagi. Przemka poznałam na siłowni. Trenuje zapasy. To nie żaden romans. Kocham męża - płakała. - Chciałam chociaż raz coś przeżyć, sprawdzić...

- Przestań płakać. Ode mnie nikt się nie dowie, nie bój się. A swoją drogą to zorganizuj romantyczny weekend, gdzieś w Polsce.

Może jakiś zameczek, łóżko z baldachimem, jacuzzi w wannie, kolacja i tańce... Rusz głową.

- Misiek się nie zgodzi. Ma za dużo pracy.

- Nie gadaj. Kobiety mają swoje sposoby.

- Iwa, gdzie jesteś? Nie mogę znaleźć nożyczek - wydierał się Przemek z balkonu. Stał nagi (przynajmniej do pasa, dalej nie było widać) w otoczeniu kwitnących na różowo bugenwilli. Prezentował się całkiem milutko. Rozglądał się bezradnie za Iwoną.

- Błagam, nikomu nie mów - powtórzyła Iwona i pobiegła do swojego zapaśnika.

*

W środku nocy siedziałam w swoim mieszkaniu nad nierozpakowanym bagażem. Czulałam się okropnie. Michał odwiózł mnie pod dom, pocałował w rękę i odjechał.

Nakręcałam się. Przez cały pobyt nie padło ani jedno słowo dotyczące nas, nie mówiąc o uczuciach. Zero planów. Zero czułości. Wszystkie miłe gesty były zaplanowane zapewne na użytek publiczności. Wiem, to moja wina, pozwoliłam na to. Nie musiałam jechać. Czuję się jak dziwka. Zaraz zwariuję! Czyżby miała się powtórzyć historia z Jurkiem? Tyle że on był żonaty, przynajmniej na papierze. Wiem, wiem, sama założyłam sobie, że to miał być tylko seks, czysta chemia. I była. Do Thassos.

Głupia i naiwna wierzyłam, że wspólne wakacje to jakiś znak, zwłaszcza że wyszło to od niego. Coś tu, do cholery, nie gra! On coś ukrywał!

Dosyć tego! Koniec! Od dziś żadnych wyjazdów, koniec z pieprzonymi SMS-ami. Przestały być zabawne. Właściwie to nawet nie muszę z nim rozmawiać. Na szczęście nie jestem zakochana. Ale rozczarowanie i wstyd pozostają. Trudno. Nie będę o tym myśleć!

I do tego jeszcze ta historia z Iwoną!

Jutro idę do pracy. Oni nic nie wiedzą. I dobrze. Muszę się przygotować. Na pewno zapytają, jak było na urlopie. O Boże, zapomniałam, co mówiłam (jako wersję oficjalną), gdzie ja właściwie się wybierałam? Do Egiptu czy do Turcji? Skleroza! W razie czego wmówię, że to oni pokręcili.

Stałam przed lustrem. Wyglądałam dobrze, opalona, szczupła. Tylko ten wyraz twarzy, taki jakiś niepewny.

O nie! Nie zrobię z siebie ofiary. Przygotowałam ciuchy - powiewną spódnicę w czerwono-czarne kwiaty na białym tle i białą bluzkę. Będzie ładnie odbijać od opalenizny. Sandaalki na obcasach. Nawet nie muszę się malować, tylko błyszczyk na usta.

Jestem silna - powtarzałam. - Wytrzymam.

Tylko nie wiedzieć czemu, z oczu popłynęły mi łzy.

*

Rano w pełnym rynsztunku ruszyłam do boju. Na twarzy szeroki uśmiech. Nie wiedziałam, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Może z niczym, ale lepiej być przygotowanym. Na rękę włożyłam bransoletkę, którą w innych czasach dostałam od Jurka.

W pracy spokój. Na korytarzu spotkałam Zofię. Uśmiechnęła się i rzuciła:

- Świetnie wyglądasz. Urlop się udał? Jak podobała się rafa? - zarzuciła mnie pytaniami.

A więc Egipt - pomyślałam.

- O bardzo. Naprawdę piękna. - Szybko zmierzałam do gabinetu, chcąc uniknąć dalszych pytań.

Z zabiegowego wypadła Anula.

- Świetnie wyglądasz. Widziałaś Kapadocję?

Boże, co ja nagałam. Gdzie właściwie byłam?

Zamknęłam się w gabinecie. Co mam mówić? Szczęśliwie byłam kiedyś z Aliną i w Turcji, i w Egipcie. Mogę więc opowiadać. Ale co się stanie, gdy obie wersje się zderzą?

Michał przysłał SMS-a, którego skasowałam, nie czytając. Pewno się zastanawia, dlaczego nie odpisałam. Dziwne zachowanie po spędzeniu upojnego tygodnia na Południu - ironizowałam w duchu.

I wtedy do gabinetu weszła Wanda. Patrzyła na mnie z pogardą. Coś się święci - przeszły mnie ciarki.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. I pani, i doktor Michał byliście w tym samym czasie na urlopie. Nie uważa pani? - uśmiechnęła się szyderczo.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Serce waliło jak opętane.

- Czy pani coś sugeruje? - zaatakowałam.

Jestem idiotką. Nie powinnam z nią w ogóle rozmawiać. To nie jej sprawa. Straciłam resztkę zdrowego rozsądku.

- O nie, ja niczego nie sugeruję. Ja wiem! Moi znajomi byli na Thassos. W tym samym hotelu. Chyba pani rozumie? Prawda? - Spojrzała na mnie triumfalnie.

Skurczyłam się w fotelu. Boże, dlaczego właśnie ona?

- A jeśli nawet, to nie pani sprawa - powiedziałam z godnością. - Jesteśmy wolni, więc czemu nie...

- Ha, ha - roześmiała się Wanda. - Wolni! Pani tak, ale on nie! Jest żonaty. Jego żona od lat choruje na SM. A on się zadaje z takimi dziwkami jak pani! - Oparta się rękami o biurko i wisiała nade mną jak kat, a raczej czarownica z Łysej Góry, z wielkim spiczastym nosem. Wstrzymałam oddech. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Wanda udała, że splota, po czym odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami. Wiedziałam, że nie kłamie. Wszystko pasowało, każdy element układanki był na swoim miejscu.

Wysłałam SMS-a do Michała: „Przyjdź do mnie o ósmej. Sprawa pilna”.

Michał dzwonił bez przerwy. Wyłączyłam komórkę. Spokojnie przesiadywałam cały dzień w pracy, starając maksymalnie się nad nią skupić.

Do domu wracałam na piechotę. Nie spieszyło mi się. Był gorący dzień, jak na Południu. To, co usłyszałam od Wandy, sprawiło, że czułam się jak na haju. Ostre promienie słoneczne wbijały mi się w czaszkę, rozdzierając ją na kawałeczki, pozbawiając siły, pamięci i woli.

Szłam przez park. Przysiadłam na chwilę na ławce. Nie miałam ochoty na rozmowę z Michałem. Po co? Co mu mogę zarzucić? Że nie powiedział mi o żonie? A czy musiał? Mieliśmy jasny układ. Niczego nie obiecywał. Przecież właściwie ja to zaczęłam. On po prostu skorzystał. Jestem głupia. Historia z Jurkiem niczego mnie nie nauczyła. Ale od dziś - koniec. Żadnych facetów z chemią czy bez chemii. Nie będę się więcej ośmieszać.

Nie, co ja bredzę. Przecież podawał się za rozwodnika. Kłamał. Nie tylko ja mogłam się nabrać. Układ układem, a takie kłamstwo jest wstrętne.

Wstałam i powlokłam się do domu. W domu stwierdziłam, że wyglądam jak stara, zmęczona kobieta. Między oczami pojawiła się pionowa zmarszczka. Oczy straciły blask. No tak - naiwny entuzjizm poranka się ulotnił.

Michał przyszedł punktualnie z bukietem róż. Idiota. Jak każdy facet, który nie wie, o

co chodzi, schował się za wiechociem. Bez żadnego wstępu oświadczyłam:

- Jesteś żonaty i do tego masz chorą żonę.

- Skąd o tym wiesz? - Przygarbił się, skulił. Już nie przypominał George'a, tylko zmęczonego faceta w średnim wieku.

- To chyba nieważne. Tyle ci powiem, że widziano nas na Thassos. Zdumiewające, jaki ten świat mały, prawda? - Roześmiałam się gorzko i ironicznie. - Powiedziałeś, że jesteś po rozwodzie. Czekam na wyjaśnienie.

- To wszystko prawda. - Mówił z kamienną twarzą, głosem wyprutym z wszelkich emocji. Siedział w fotelu i nie patrzył na mnie. Czułam, jak dłonie zaciskają mi się w pięści. - Jestem żonaty. Mam dwoje dorosłych dzieci na studiach. Moja żona ma zaawansowane SM. Haruję po szesnaście godzin na dobę, aby utrzymać rodzinę. Nigdy bym ich nie opuścił - ciągnął. - Jednak ja jeszcze żyję. Mam swoje potrzeby i chcę czasem uciec od tych wszystkich problemów. Uważasz, że nie mam prawa?

- Zmieniasz temat. Oszukałeś mnie, twierdząc, że jesteś po rozwodzie. Nie pytałeś mnie, czy chcę być twoją ucieczką od codzienności.

- Czy to miało aż takie znaczenie? Niczego ci nie obiecywałem. Można też powiedzieć, że pierwsza wykonałaś ruch.

Fakt. Spuściłam głowę. Czułam, że pali mnie twarz. Tymczasem Michał kontynuował:

- W sumie to nie był nawet romans. Kilka razy poszliśmy do łóżka i tyle. Nie odniosłem wrażenia, że oczekujesz czegoś więcej.

Z trudem powstrzymywałam łzy.

- A Thassos? - wyszeptalam.

- Spędziliśmy uroczy tydzień. To mało? Czego ty chcesz? Dzwonów weselnych?

Czułam, jak gorąco oblewa mnie od stóp do głów. Skuliłam się, jakbym otrzymała cios w brzuch.

- Jesteś obrzydliwy. - Głos mi drżał, serce waliło, w gardle klucha. - Chcę dzwonów weselnych? - powtórzyłam. - A czemu nie? Nie zasługuję? Ty pewnie uważasz, że kobieta w moim wieku nie ma prawa już niczego oczekiwać. Jesteś zerem. Jeśli tego nie rozumiesz, to trudno. A teraz wynoś się. Nie chcę cię znać. - Patrzyłam na niego z nienawiścią. Już w niczym nie przypominał ulubionego aktora. Uszy miał odstające, oczy małe bez śladu magii w spojrzeniu, wąskie usta, szara cera. Po prostu nikt!

Michał wyszedł bez słowa. Wyrzuciłam za nim te róże, które przyniósł. Bukiet rozpadł się na schodach.

Usiadłam na kanapie i tuląc do siebie poduszkę, zanosłam się płaczem. Tak, spał ze

mną, bo gwarantowałam brak komplikacji, byłam już na tyle stara (?), a on niczego nie obiecywał. Bydłę. Drań, łajdak, męski szowinista. Przepełniała mnie wściekłość, nienawiść i chęć zemsty. Ja ci jeszcze pokażę. Popamiętasz mnie. Niewiele myśląc, złapałam komórkę i wysłałam SMS-a: „Byłeś marnym kochankiem. Jurek był o niebo lepszy”. I wyłączyłam telefon.

Napięcie nieco opadło. Znowu się wyglupiłam. Chciałam, żeby cierpiał, chciałam uderzyć we wrażliwe dla każdego mężczyzny miejsce. Znowu ogarnęła mnie wściekłość. Tym razem na siebie. Patrzyłam na własny pokój jak zahipnotyzowana, jakbym widziała go po raz pierwszy. Panowała ogłuszająca cisza, nie do zniesienia. Wzięłam małą miseczkę, która stała na ławie, i z całej siły rzuciłam nią o ścianę. Stłukła się na milion kawałeczków. A mnie to i tak nie pomogło.

- Niech to szlag trafi! - krzyknęłam.

*

W nocy doszłam do wniosku, że po pierwsze, jestem niekonsekwentna. Sama chciałam układu bez zobowiązań. Sama wpakowałam mu się do łóżka. Skorzystał z okazji. Oszukał! W końcu to tylko facet.

Po drugie, seks dla sportu nie jest dla mnie, o czym właśnie się przekonałam. Uczucie poniżenia wciąż paliło żywym ogniem. Nie spodziewałam się takiego zakończenia.

Jak mógł mnie tak potraktować? Mam nadzieję, że w końcu wpadniesz w kłopoty, panie Michale. Któraś z „rozrywek” zajdzie w ciążę albo zechce o ciebie walczyć i doniesie rodzinie - prowadziłam monolog. Czego ci serdecznie życzę. A najlepiej to kup sobie gumową lalę w seks-shopie. Sto procent gwarancji braku kłopotów.

Kolejna gorzka nauczka.

*

Rano pojechałam do Bożeny, do gabinetu.

- Popatrz, co mi się zrobiło z oczami: czerwone, spuchnięte i swędzą. Pewnie alergia. Widzę jak przez mgłę. Nie mogę pracować - bajerowałam.

- Rzeczywiście są czerwone. Myślę, że to chyba za dużo łez, a nie alergia. Mów, co się stało.

Opowiedziałam jej o Michale.

- No i widzisz, „sam seks, czysta chemia” - przedrzeźniała mnie. - Nie ma czegoś takiego. Podświadomie dążysz do związku. Nie chcesz być sama. To normalne. A swoją drogą ten Michał to palant. - Pokręciła głową. - Proszę. - Podała mi druczek zwolnienia. - I masz receptę. Oczy rzeczywiście są przekrwione. Noś okulary przeciwsłoneczne.

- Dzięki - wykrztusiłam.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Basia. Wieki jej nie widziałam.

Wyglądała świetnie. Brązowe włosy obcięła na pazia, a prosta lniana sukienka tuszowała niewielką nadwagę. Naszyjnik z bursztynów, który dostała od nas na imieniny, doskonale pasował do całości. To były ostatnie imieniny, na które mnie zaprosiła. Posmutniałam na to wspomnienie.

A Basia, uśmiechnięta i wypoczęta, trąkotała jak nakręcona.

- Właśnie wróciliśmy z Sycylii. Było cudownie. Jeszcze nie ma takich upałów jak w sezonie (pomyśleć, że niedawno nienawidziła słońca). Wiecie, że teraz pracuję tylko w szpitalu. Dałam sobie spokój z gabinetem na jakiś czas - zwróciła się do mnie.

- Tak? Nie wiedziałam - bąknęłam.

- Januszek nie chce, żebym się przemęczała. A w szpitalu teraz całkiem przywoicie płacą.

To nowina. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o przychodni.

Basia nadawała o Januszu, o planach i przyszłości. Czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Dlaczego mnie się nie wiedzie?

- A co u twoich córek? - wtrąciła Bożena.

- A, dziękuję. W porządku. Julka też jest w Londynie. Zaczęła tam studiować. Dziecko Oli dobrze się chowa. Za dwa, trzy lata Ola wróci na studia. Ten James to naprawdę dobry chłopak.

Basia krążyła po gabinecie, uśmiechnięta, pewna siebie. I szczęśliwa!

- A słyszałyście? - Zatrzymała się i popatrzyła na nas pytająco.

- O czym? - zapytałyśmy chórem.

- Córka Beaty uciekła z ośrodka. Zarzuciła leczenie. Nikt nie wie, gdzie jest.

- Biedna Beata. - Przypomniałam sobie, jak wyglądała po pierwszej ucieczce córki. -

Co z nią?

- Na razie się trzyma. Człowiek może wiele znieść. W każdym razie, zrobiła, co mogła.

- Smutne to wszystko - posumowałam.

Basia zerknęła na zegarek.

- Ojej, jak późno. Muszę lecieć. Mam wizytę u kosmetyczki. Januszek ma dyżur.

Januszek ma dyżur. A żoneczka będzie upiększać się u kosmetyczki - zazdrośnie przedrzeźniałam ją w myślach. I nie myśl sobie, że zapomniałam i wybaczyłam. Udajesz teraz milutką, a nie zaprosiłaś mnie na imieniny. I trzymaj Januszka na łańcuchu, bo ci się wyrwie i

za kilka lat znajdzie sobie młodziutką pielęgniarczkę!

- Poczekaj - zawołała Bożena. - Słyszałaś o tej czternastolatce w ciąży z gwałtu (poczułam, jak cała drętwieję), u której nikt nie chce wykonać aborcji? Do tego nęka ją tacy różni... no wiesz.

- Pewnie, że słyszałam. A ty co się dziwisz? Jeszcze nie wiesz, w jakim kraju żyjesz? - odparła Basia.

- Ale prawo na to zezwala - upierała się Bożena.

- I co z tego - prychnęła Basia. - Gdyby to dotyczyło mojej córki, to wywiozłabym ją po prostu z kraju, a nie użerała się z polskim prawem. A w ogóle to Janusz opowiadał mi, że był kiedyś na zebraniu naukowym. Przyjechał z metropolii jakiś mądrała z tytułem i mówił o antykoncepcji, o genetyce, wadach wrodzonych. Bardzo się mądrzył. Po zebraniu ginekologów z „pipidówek” wypożyczyli go sobie i pokazali, jak wygląda antykoncepcja na prowincji, gdzie jest jedna apteka, w której nie ma tabletek, bo... bo nie ma. Rozumiecie. - Popatrzyła znacząco. - Kobiety jeżdżą po tabletki do dużych miast.

Zaczęłam się śmiać.

- I z czego się śmiejesz? - rozłościła się Bożena. - To straszne. Żal mi ich.

- A mnie wcale. O swoje trzeba walczyć. A kobiety w Polsce... szkoda gadać. Basiu, sama kiedyś opowiadałaś, jak to przychodzą w okolicach „komunii” wyjmować spirale, a miesiąc później zakładają z powrotem. Jak to nazwać? - Machnęłam ręką.

- To prawda - potwierdziła Basia.

- Agata, i ty się z tego śmiejesz? Ty! Byłaś taką feministką - powiedziała ze zgrozą Bożena.

- Tak, ale dorosłam - przyznałam. - I nie zamierzam przejmować się całym światem. Mam dość swoich kłopotów. A ludzie mają to, na co zasługują. Z władzą włącznie!

Zamilkłam. Bożena patrzyła na mnie z dezaprobatą.

- A o tę małą się nie martw - dodałam. - Urodzi, odda dziecko i wystąpi do Strasburga z pozwem. Otrzyma duże odszkodowanie, na które my, jako podatnicy, się złożymy.

- Jesteś cyniczna - rzekła Bożena.

- O nie. Jestem realistką - odparłam.

- Z tobą ostatnio w ogóle nie da się rozmawiać. Odbija ci - stwierdziła.

- Bo ja nietutejsza.

- I pokręcona - dodała Bożena.

Dlaczego Bożena tak przejęła się tą sprawą? Przecież jej to nie dotyczy. A ja nie chcę o tym słuchać. Może jeszcze mam się przyznać, że jestem takim właśnie dzieckiem z gwałtu.

Nigdy w życiu!

Zapadło milczenie, które przerwała Basia.

- O rany, spóźnię się! - krzyknęła, patrząc kolejny raz na zegarek, i wybiegła.

- I ja też już pójdę. Dzięki. - Wzięłam zwolnienie, receptę i podeszłam do drzwi.

- Ty! Nietutejsza! - zawołała Bożena. - Jeśli nie masz planów na sobotę, to wpadnij.

Robimy grilla.

- Chętnie przyjdę - obiecałam, uśmiechając się lekko.

*

W sobotę znowu widziałam Krzysztofa z tą jego laską. Elegancka. Wyglądali na zżytych.

Przyznaję, lekko mną zatrzęsło, tym bardziej że kilka dni wcześniej wprosił się do mnie na kolację. Zjadł gulasz z pieczarkami i papryką i przesiedział dobre trzy godziny. Byłam bardzo zmęczona. Marzyłam, żeby sobie poszedł. Ale głupio mi było go wypraszać. Tym bardziej że to w końcu jego mieszkanie!

Nie zapytałam o tę babkę, choć miałam wielką ochotę. Ale póki ma dla mnie czas, to nie moja sprawa, z kim sypia.

A może to miłość?

*

Do Bożeny pojechałam w nie najlepszym nastroju (Thassos z Michałem, moje nadzieje, tak łatwo nie zapomnę) i ululałam się na smutno. Wypiłam kilka drinków. Pożerałam kolejne skrzydełka (mojej ulubionej kaszanki nie było) i marudziłam płaczliwie.

- Wszystko jest do dupy. Tylko wy jesteście dobrzy. Tylko was lubię. I twojego męża. On jest inny. A wszyscy faceci to dranie.

- Ja też ciebie lubię - dobrodusznie zapewnił Irek.

Objęłam go za szyję i pocałowałam w policzek.

Bożena przyniosła ciasto i postawiła na stole.

- Ja też lubię mojego męża, więc bądź tak grzeczna i spadaj. - Powiedziała żartobliwie, odsuwając mnie od Irka.

- Zrobię ci kawy. A może położysz się w pokoju?

Zawlokła mnie do domu i położyła na kanapie.

Kiedy się obudziłam, bolała mnie głowa i miałam mdłości. Wstałam i powlokłam się do ogrodu. Grill był wygaszony. Bożena i Irek rozmawiali, stojąc tyłem do mnie.

- Agata nie ma szczęścia do facetów. Ona w ogóle nie miała wiele szczęścia w życiu. Dlatego bywa nieco dziwna - tłumaczyła Bożena.

Irek milcząco potakiwał.

Muszę to przerwać - pomyślałam. Zanim zrobią ze mnie wariatkę.

- Hej, hej - zawołałam.

- I co, lepiej?

- Zupełnie dobrze - zapewniłam. - Przepraszam, ale nie jestem ostatnio w najlepszej formie. Pójdę do domu.

- Irek cię odwiedzi. Nie pił - oznajmiła Bożena.

*

W niedzielę chmury przysłoniły niebo. Świetny dzień na porządki. Zaczęłam od fotografii. Zniszczyłam zdjęcia z Thassos, na których był Michał i to jedno jedyne, na którym byliśmy oboje. Zrobił je przypadkowy turysta. Na plaży. Staliśmy nad brzegiem morza: uśmiechnięci, objęci, twarz przy twarzy. Można powiedzieć - zakochana para. Podarłam w drobne kawałeczki.

Nagle uświadomiłam sobie, że Michał nie miał aparatu fotograficznego. Zrobił kilka zdjęć komórką - same widoczki. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, a szkoda. Teraz rozumiem, że wolał nie ryzykować. Zdjęcia to świetny dowód zdrady. Ciekawe, czy ta żona ma pieniądze? Bo czyż w innym przypadku tak bardzo by się bał zdemaskowania? Nie sądzę, że kryje się ze swoimi przygodami, żeby nie zranić jej uczuć. To nie jest człowiek tego typu. Boże, po co ja o tym myślę? To bez sensu. Stało się i już. Ale gdzieś tam tkwi ostra drzazga, i to cholernie bolesna.

Wzięłam się do czyszczenia akwarium. Mycie, czyszczenie z osadu, gotowanie kamieni zajęło mi trzy godziny.

Było dobrze pod wieczór, kiedy dostałam e-maila od Grażyny. Wróciła ze zjazdu niezadowolona i wściekła.

Ha, ha. Wiedziałam!

„Same baby, nie było z kim tańczyć. Do tego większość przyjechała, żeby coś sobie załatwić albo żeby się pochwalić. Po prostu dno! A jakby tego było mało, to spotkałam Olka, pamiętasz, chodziliśmy ze sobą na pierwszym roku. Przyjechał ze Stanów. I wyobraź sobie, ten cham udawał, że mnie nie pamięta. Ledwo się przywitał”.

Przewidziałam, że tak będzie. Dobrze zrobiłam, że nie pojechałam. Zaoszczędziłam sporo kasy i nerwów. Ha!

Były i smutne wieści. Nasza koleżanka ze szkoły, Jola, zmarła na marskość wątroby. Podobno wada genetyczna. Szkoda dziewczyny. Ironia losu - wydawało się, że zabijają prochy, alkohol. A tu - wada genetyczna.

A może to znak dla mnie? Nie pilnuję diety, piję alkohol, no i tabletki. Czy podkarmianie się Essentiale wystarczy? Tak dawno nie robiłam badań. Muszę tego dopilnować.

*

Lipiec tego roku był wyjątkowo brzydki. Zimny, pochmurny, nawet mglisty. Często padało. Dzieci się przeziębiały i zamiast na placach zabaw siedziały w przychodni, a ja miałam dużo pracy.

Ilona obiecała, że wpadnie na tydzień w połowie miesiąca. Mamy zamiar pojechać po górach. Ale jeśli pogoda się nie poprawi, to nie wiem, co będziemy robić.

Bożena jest w Chorwacji. I Krzysztof też. Pojechał z dziećmi.

Wygląda na to, że z moich wakacji w tym roku nici. No, poza tymi, które spędziłam na Thassos. Jeśli to w ogóle były wakacje. Pojechałabym gdzieś daleko... na Karaiby albo na Tahiti, ale niestety kasy niet.

Grażyna wybiera się do Norwegii oglądać fiordy. Chyba zwariowała. Nie wystarczy jej naszego zimna? Alina się nie odzywa. Nie odpowiada na SMS-y ani e-maile. Cóż, nie to nie! Łaski bez! A może coś się stało???

Za to świętek medyczny żyje bulwersującą historią. Dwie przychodnie walczą o pacjentów, czytaj - pieniądze. Metody, które dotąd stosowały, nie były eleganckie, ale to i tak pikuś wobec tego, co zdarzyło się ostatnio. Właściciel jednej z owych placówek wpadł na szatański pomysł. Poleciał podrzucenie śmieci (odpadów medycznych) pod drzwi konkurencji. Owe śmieci w podartych workach, nieprzepisowo posegregowane sfotografowano, a zdjęcia wysłano do sanepidu. A z sanepidem walczyć się nie da. Wydaje się więc, że mamy zwycięzcę. Jednak pokonany nie składa broni.

Sprawa w toku.

*

Dwa tygodnie później. Pogoda nadal kiepska i prognozy nie są optymistyczne. Jutro przyjeżdża Ilona.

Zrobiłam zakupy. Wieczorem upiekłam pasztet.

Następnego dnia wstałam wcześniej. Miałam sporo pracy. Odkurzyłam, przyszykowałam pościel. Przygotowałam obiad: barszcz z fasolką i kotlety z indyka. Umyłam zieloną sałatę. I czekałam. Przynajmniej nie musiałam się robić na bóstwo.

Około trzeciej - telefon. Ilona.

- Zejdź na dół! - krzyknęła.

- Gdzie jesteś? Co się stało?

- Jestem pod blokiem. Twoim blokiem. No zjeżdż wreszcie - poganiała mnie.

Wzruszyłam ramionami. Wzięłam portmonetkę, bo pomyślałam, że zabrakło jej na taksówkę.

A tu niespodzianka! Ilona z dumnym uśmiechem stała obok małego seicento.

Aż przystanąłam ze zdumienia.

- Nie mów. Masz auto. Przyjechałaś nim? - patrzyłam z niedowierzaniem.

- No właśnie. Kupiłam używane. Nazywa się Antonio - od Banderasa. - Ilona pieszczotliwie pogłaskała maskę.

- A co na to twój mąż?

- Nie pytałam - oświadczyła pewnym głosem. - A Bartek też pojechał do Anglii. Pracuje. I nie ma zamiaru wracać i kończyć szkoły. Ma jedną klasę technikum. Tłumaczyłam, prosiłam. Jak groch o ścianę. W końcu machnęłam ręką. Jest prawie pełnoletni. Jeśli całe życie chce pracować jako robotnik, to trudno. Jego wybór. Ja próbowałam. To autko kupiłam dwa tygodnie temu. Nie pisałam, bo chciałam ci zrobić niespodziankę - wyjaśniła.

- I zrobiłaś.

- A ty? Nie zamierzasz?

- Nie. Nigdy - odrzekłam smutno, myśląc o maleńkich table-teczkach w torebce.

- Pomóż. - Ilona rzuciła mi torbę.

- Wiesz co, jesteś jakaś inna. Schudłaś - powiedziałam.

- Już myślałam, że nie zauważysz. - Ilona potrząsnęła krótkimi blond włosami, w których prześwitywały rude pasemka. Miała mocny makijaż. Nie przypominała skromnej urzędniczki, jaką była dotychczas.

- Skąd taka metamorfoza? - zaciekałam się.

- Nadszedł czas na zmiany - oznajmiła tajemniczo.

No, no. Ciekawe, czy nie kryje się za tym jakiś Przemus, jak w przypadku Iwony.

*

Następnego dnia pojechaliśmy na grzyby. W lesie było potwornie mokro. Krople wody spadały z drzew prosto na nasze głowy. Znalazłyśmy trochę kozaków i prawdziwków. Ale ubrania i buty przemoczyłyśmy do suchej nitki. Musiałam włączyć kaloryfer olejowy, żeby je wysuszyć. A grzybki udusiłyśmy w śmietanie i były pyszne.

Przez kolejne dni lało tak, że nie dało się nigdzie wyjść. Mimo to było fajnie, naprawdę fajnie. Spałyśmy do oporu. Po domu szwendałyśmy się w dresach. Żadnych makijaży, fryzur i ciuchów. Telewizor grał długo w noc (wtedy są najlepsze filmy). No i ploty, bez opamiętania, całymi godzinami. Gotowaniem się nie przejmowałyśmy.

Raz Ilona zrobiła fantastyczną roladę z sera nadziewaną pieczarkami. To bardzo proste: duży kawałek żółtego sera, najlepiej goudy, ogrzewa się w gorącej wodzie albo w piekarniku. Potem wałkuje, układa farsz z pieczarek, zawija, do lodówki i gotowe. Je się na zimno.

Innego dnia upiekliśmy ciasto czekoladowe z orzechami. Do tego wypiliśmy butelkę wina.

Było cudownie. Pełny luz. Tylko biegałam do sklepu po chipsy, paluszki, orzeszki.

Oj, będzie trzeba unikać wagi przez jakiś czas.

To świetnie mieć taką kuzynkę. Dopiero teraz poczułam, jak dobrze mieć rodzinę. Opowiedziałam jej o Michale. Też stwierdziła, że to palant. Rozmawialiśmy także o niej.

- Nie czujesz się trochę samotna? - próbowałam ją podpytać, bo wizja kolejnego Przemusia nie dawała mi spokoju.

- Właściwie nie. Dużo pracuję. Biorę nadgodziny i mam więcej pieniędzy. Kupiłam sobie to i owo. Czasem chodzę na wystawy, koncerty czy do teatru. Zwykle sama. Raz się umówiłam. - Zachichotała. - Przez internet. Taka randka w ciemno. Byliśmy na koncercie. Ale to nie dla mnie. - Pokręciła głową. - Nie mieliśmy o czym rozmawiać.

Miałam na końcu języka: powinnaś się zabawić, nie wiesz, co twój mężulek w Anglii wyczynia po pracy. Szczęśliwie się powstrzymałam, bo marny ze mnie ekspert od „zabawiania się”.

W piątek pogoda poprawiła się na tyle, że pojechałyśmy do Krakowa i Wieliczki. W Krakowie zaszalałyśmy. Ilona stawiała. Byłyśmy na obiedzie w „Wierzynku”. W sobotę Ilona niestety wróciła do domu.

*

Jest mi źle. Jestem nieszczęśliwa. Samotna. Pogoda mnie dobija. Wanda patrzy na mnie pogardliwie. Poza tym Michał gdzieś wsiąkł. Nie, żeby mnie to martwiło, niemniej lubię wiedzieć, co się dzieje. W piątkowe popołudnia od pewnego czasu dyżuruje doktor Jan. Spokojny, małomówny starszy pan. Przesiaduje w gabinecie. W ogóle nie zagląda do socjalnego. Gdyby nie lista obecności, nie wiedziałabym, że ktoś taki tu pracuje. Nie mam odwagi zapytać, co się dzieje z Michałem, ani poszukiwać grafiku. Mogłoby to się wydać podejrzanym.

Miałam dwa zgony w tym tygodniu. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłam.

W poniedziałek z samego rana zgłosiła się matka z rocznym dzieckiem z wysoką gorączką. Niestety, miało już wybroczyny. Sepsa. Zmarło po kilku godzinach. Może gdyby nie czekała do rana, tylko pojechała w nocy do szpitala albo wezwała pogotowie. Ale na

gdybanie za późno...

W środę badałam dwumiesięczne dziecko do szczepienia. Było blade, mało żywotne. Serce pracowało głucho i zbyt cicho. Matka przekonywała mnie, że jest zdrowe - dobrze, uśmiecha się, tylko teraz jest śpiące. Nie przekonała mnie. Nie zaszczepiłam, skierowałam do szpitala.

Kobieta oburzyła się, że wymyślam choroby. Trudno, może wymyślam. Mam złe przeczucia. Dziecko leży jak Łazarz i nikt mnie nie przekona, że jest zdrowe.

Po kilku dniach dowiedziałam się, że zmarło w szpitalu - fibroelastoza.

No to by było, gdybym je zaszczepiła. Pewnie powiedziano by, że dziecko zmarło po szczepieniu. Były takie przypadki.

Jeszcze jeden taki tydzień, a wyląduję w wariatkowie.

*

Krzysztof wrócił z Chorwacji. Wprosił się na sobotni wieczór. Pokaże mi zdjęcia z wakacji.

Wzruszyłam się. To porządny facet. Pamięta o mnie. Jest w porządku. Jako mąż też był całkiem dobry. Nie umiałam go docenić. Wzruszyłam się tak mocno, że postanowiłam zrobić gołąbki z młodej kapusty.

Robiłam te gołąbki i przeklinałam swoją nadwrażliwą psychikę.

*

Za to w pracy - sama radość.

Pięciomiesięczny niemowlaczek urodzony z jednym punktem Apgar świetnie się rozwija. Żadnych zastrzeżeń. A wyglądało groźnie: reanimacja, sztuczny oddech, inkubator, antybiotyki. Dziś zaczyna szczepienia.

Mama (po czterdziestce) cała w skowronkach. Ja też.

*

Gołąbki się opłaciły. W sobotę spędziliśmy przyjemny wieczór, oglądając zdjęcia. A w niedzielę Krzysztof zabrał mnie na wycieczkę do Ojcowca.

*

Pogodynka zapowiedziała poprawę pogody. Sierpień ma być ciepły i słoneczny. Oby. I rzeczywiście. Dokładnie pierwszego sierpnia znikły chmury, a temperatura poszybowała w kierunku trzydziestu stopni. Na ulicy pojawiły się letnie sukienki, krótkie spodnie i okulary przeciwsłoneczne.

*

Piątkowe popołudnie spędzałam w pracy. Było cudownie ciepło. Taki leniwy (jak dla

kogo) dzień. Stałam przy oknie i patrzyłam. Spacerowały całe rodziny. Nikt się nie spieszył. W ogródkach rozłożono stoły. Ludzie siedzieli, pili piwo, pogryzali kielbaski. Pacjentów nie było. Lato.

Zajrzałam do socjalnego. Siedziała tam Anula z kwaśną miną.

- Co jest? - zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

- Taka piękna pogoda, a my w pracy. Ty pójdziesz do domu, a ja muszę do pogotowia.

- Takie życie. Nie myślałaś o wyjeździe?

- Trochę. Ale teraz spłacam kredyt. Niedługo dostanę mieszkanie. Nie mogę.

Zamówiliśmy pizzę.

- Jedziesz na wakacje?

- Tak. Do Grecji, za tydzień.

- Z kimś?

- A i owszem. Z trzynastoletnią siostrzenicą - odpowiedziała Anula.

- E... - Byłam rozczarowana.

Przywieźli pizzę. Przez chwilę jadłyśmy w milczeniu.

Nie mogłam się oprzeć. Pewna sprawa nie dawała mi spokoju.

- Od kiedy w piątki jest Jan, a nie Michał?

Anula zamyśliła się.

- Jakoś tak... od czerwca. - Szukała w pamięci. - Podobno powiedział, że od dwóch lat ciągnie piątki po południu i ma dość, i zamienił się z Janem.

Przyszła Kasia - pielęgniarka, źródło wszelkich wiadomości: i tych dobrych, i tych złych.

- Podobno - ściszyła głos - mąż doktor Wandy odszedł do innej. Słyszałam, jak płakała u szefowej.

Wcale mnie to nie dziwi - pomyślałam.

- Ona jest taka niesympatyczna - skrzywiła się Anula. - Nie lubię jej. Dziwne, że w ogóle znalazł się amator.

Kasia zachichotała. Anula złapała ją wpół i zaczęła łaskotać.

- A ty kiedy wyjdiesz za mąż? Czekaemy.

- Jak pani doktor też znajdzie męża - odgryzła się Kasia.

- Czy wam tylko to jedno w głowie? Czy małżeństwo to szczyt szczęścia? Jest przereklamowane - wtrąciłam.

Robię za żołą - pomyślałam.

One zamilkły. Popatrzyły na mnie niepewnie.

- My się tak tylko wygłupiamy. A ty wyluzuj - zezłościła się Anula.

No to wyluzowałam.

*

Wieczorem zadzwonił Krzysztof. Zaproponował wyjazd nad jezioro, w sobotę.

- Ma być ponad trzydzieści stopni - oznajmił.

W pierwszej chwili chciałam krzyknąć: „Oczywiście, bardzo chętnie. Tak dawno tam nie byłam!”.

I jak na złość uświadomiłam sobie, że to wyjazd na plażę, co oznacza kostium kąpielowy, i poczułam się dziwnie skrępowana. Mam tylko dość skąpe bikini. A Krzysiek od lat nie widział mnie rozebranej. Na pewno ma w pamięci tamten obraz... wiele lat i kilka kilogramów temu. Nie wiem...

Wyczuł moje wahanie.

- Co, nie chcesz? Wolisz grzać się w bloku jak na patelni? - zdziwił się.

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyłam.

- No to co jest? Masz inne plany? - zapytał z lekką ironią w głosie.

Czy on coś sugeruje? Może słyszał o Michale? Plotki szybko się rozchodzą. To małe miasto. Nie, mam nadzieję, że nie. Gdyby wiedział, na pewno nie chciałby mieć ze mną do czynienia.

- Nie, nie mam. Bardzo chętnie pojedę - zgodziłam się.

- Śluszna decyzja. Tylko niczego nie szykuj. Tam jest wszystko - napoje i grill. Przyjadę po ciebie o dziewiątej.

Dzień był piękny, gorący. Niebo niebieskie bez jednej chmurki. Woda ciepłutka, zachęcała do kąpieli. Szaleliśmy (od biedy można tak to ująć) na rowerku wodnym, krążąc pomiędzy kępami trzciny, strasząc kaczuszki i łabędzie. Nad nami bezszelestnie krążyły szybowce. Na tle nieba kolorowo odbijały się paralotnie.

Gapiałam się w niebo.

- Nie żałujesz? - spytałam Krzyśka, wskazując kolorowe czasy.

- Ale jesteś upierdliwa - zezłościł się.

Zamilkłam i położyłam się na leżaku z książką, a Krzysztof stanął nad wodą z wędką, mając nadzieję na złapanie ryby. Od wody płynął rześki wiaterek. Czulałam taki spokój. Aż chciało się powiedzieć: „trwaj, chwilo...”. Zamknęłam oczy.

Ja i Krzysztof. Ekszona i eksmaż. Razem! Takie przypadki się zdarzają. Ale nie, to niemożliwe. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Dlaczego? Jest przystojny, dobry, świetny

kumpel. A tymczasem cichy głos w mojej głowie przypomniat: „ty, głupia, on wcale do tego nie dąży, i być może ma kogoś”.

Krzysiek powrócił bez zdobyczy. Nad wodą panował taki hałas i ruch, że wszystkie ryby z pewnością dawno uciekły. Położył się na kocu. Trochę rozmawialiśmy, trochę milczeliśmy. Zupełnie jak stare małżeństwo.

Tuż koło nas rozłożyły się trzy dziewczyny, na oko siedemnastki. Opalały się, chichotały. W pewnej chwili usłyszałam:

- A wiecie, że Daria jest w ciąży? Ta idiotka wracała z dyskoteki i zachciało jej się seksu. I zrobiła to na przystanku z jakimś pijanym kolesiem.

Popatrzyłam na Krzysztofa.

- Słyszałeś?

Kiwnął głową.

Zgroza!

W pobliskim barku zjedliśmy hamburgera z frytkami. Do tego piwo. Wróciliśmy wieczorem.

*

Dziś mija rok, odkąd tu pracuję - pomyślałam, wchodząc do budynku przychodni. Nie będzie fanfar ani fajerwerków. Na pewno nie jest to praca marzeń (ani płaca), ale mogło być gorzej. I tak miałam szczęście.

Zofia pojechała do Ameryki Południowej na miesięczną wyprawę. Żegnałam ją z zazdrością. Choć przecież miałam propozycję... Lada dzień Anula wraca z Grecji.

Michała nie widziałam blisko dwa miesiące. To zdumiewające, że można pracować na tak małej przestrzeni i się nie spotkać. Widocznie obie strony naprawdę się starają...

Wanda chodzi przybita. Wszyscy wiedzą dlaczego, lecz udają, że nie mają pojęcia. Już nie słycać ostrego, drażniącego tonu jej głosu rozchodzącego się po całej przychodni. Moje współczucie dla niej jest umiarkowane, zwłaszcza że wczoraj widziałam, jak podjechała do pracy autem!

Nienawidzę bilansów!

Prawie zawsze są jakieś problemy. Dwulatki płaczą, czterolatki wstydzą się i nie wykonują poleceń. Tylko z sześcio - i dziesięciolatkami da się normalnie pracować. Bo już tak zwana młodzież też ma swoje za uszami. Obrażeni na cały świat, mają tysiące zastrzeżeń.

„A dlaczego mama”. „A po co się rozbierać”. „Nie chcę skierowania”. „Nie będę nosić okularów”.

Naprawdę można mieć dość.

Jednak to, co zdarzyło się dzisiaj, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Czternastolatka zgłosiła się z matką. Od progu oświadczyła, że nie będzie się badać, że w innych przychodniach lekarze podpisują karty bez badania. Położyła kartę na biurku i patrzyła na mnie wyzywająco.

- Nie interesuje mnie, co robią w innych przychodniach - oświadczyłam spokojnie. - Ja nie mam zwyczaju tak postępować. Chcesz mieć bilans, to rozbierz się do badania.

- Nie rozbiorę się...

Wtrąciła się matka.

- Pani doktor, czy w drodze wyjątku nie mogłaby pani...

- Przykro mi, to niemożliwe - przerwałam jej. - Nie wystawiam lewych zaświadczeń. A to by takie właśnie było - usiłowałam wytłumaczyć.

- Zamknij się, mamgo! - krzyknęła córka. - Czyli nic nie da się załatwić?

- Nie w taki sposób.

- To ja chcę do innej przychodni - zwróciła się do matki.

- Chyba tak będzie najlepiej - skwitowałam.

Poszły. Jeszcze było słycać gniewne okrzyki nastolatki. Matka, sterroryzowana, milczała.

Dobre sobie. Bezczelność! Bilans bez badania. A za kilka lat powie: „tak często chodziłam do lekarza i żaden nie zauważył, że mam krzywy kręgosłup”, albo: „zaledwie trzy miesiące temu miałam bilans, a lekarz nic nie powiedział, że mam podejrzaną znamię na plecach”.

Słyszałam już takie gadki.

Psiakrew - lać i patrzeć, czy równo puchnie!

*

Kasia ma kłopoty. Od pewnego czasu chodzi za nią pacjent, mężczyzna po pięćdziesiątce. Zaczepia, zagaduje, przynosi kwiaty, czekoladki - osacza ją. Stoi pod przychodnią całymi godzinami. Kasia zaczyna się bać. Szefowa zna tego typu z przeszłości. Przed laty zrujnował małżeństwo pewnej lekarki. Łaził za nią do pracy, nachodził w domu, pisał listy. Mąż lekarki nie wierzył, że to tylko natrętny adorator, i odszedł. Nieszczęsna kobieta wyniosła się z miasta.

Kasia zgłosiła to na policji, ale oni mają pilniejsze sprawy - on nie stanowi zagrożenia, przynajmniej na razie. Innymi słowy, dopóki jej nie zabije albo nie zgwałci, nie ma problemu.

Jak go widzę, to dostaję gęsiej skórki. Ma takie wyblakłe, niemal przezroczyste oczy. A spojrzenie... nie z tego świata. Biedna Kasia.

*

Zaczęło skakać mi ciśnienie, nie czułam się najlepiej. No i stało się - zemdlałam w pracy.

Taki wstyd!

Ocknęłam się na leżance, w zabiegowym. Na piersiach miałam przyklejone elektrody EKG. Pielęgniarka włączała aparat. Obok stał Michał. Odwróciłam głowę do ściany. Co za pech, że właśnie on. Szlag by trafił!

- Panie doktorze, ciśnienie 140/90. EKG za chwilę - oznajmiła pielęgniarka.

Aparat miarowo szumiał, wypuszczając z siebie długą, kolorową taśmę.

- Wynik badania w normie - powiedział Michał, nie patrząc na mnie. - Radziłbym zrobić morfologię i cukier - dodał bezosobowo i wyszedł.

Usiadłam na leżance i zaczęłam się ubierać. I pomyśleć, że ja z tym człowiekiem uprawiałam seks na plaży. Nie do wiary! Ciekawe, czy teraz się z kimś, jak to określiła Wanda, „szlaja”. Pewnie tak. Przecież jest mężczyzną i ma swoje potrzeby. Analizowałam, szarpiąc się z niesfornymi rajstopami.

*

Wczoraj spotkałam Krzysztofa w galerii. Był z tą swoją... Ukłonił się, ale nie zatrzymał ani nas nie przedstawił. Nie rozumiem dlaczego. A przecież dzień wcześniej był u mnie na kolacji. Specjalnie dla niego zrobiłam naleśniki z serem. Potem graliśmy w scrabble.

Czy on też prowadzi jakąś grę? Jeśli tak, to ja pasuję.

*

Dziś rano wpadła Magda, moja ulubiona przedstawicielka firmy farmaceutycznej. Fajna, miła dziewczyna po trzydziestce. Przywiozła naklejki dla dzieci „dzielny pacjent”. Chwilę pogadałyśmy o duperelach. Biedaczka. Reklamuje lek, który jest dobry, lecz sporo droższy niż konkurencyjne preparaty. W związku z tym przegrywa wyścig. A ja nie mam sumienia jej o tym powiedzieć.

Ach! W ubiegłym tygodniu pogoniłam przedstawiciela firmy kanadyjskiej. Nieważne której. Ostрым tonem oświadczyłam, że nie zadaję się z mordercami małych, bezbronnych foczek (widziałam film w „National Geographic”). Facet próbował coś tłumaczyć. Nie słuchałam.

*

Znowu zaszczycili nas urzędnicy funduszu. Kontrola. Coś często ostatnio. Dzięki Bogu, jestem zwykłym, szeregowym pracownikiem i nie muszę z nimi gadać. To dużo, bo są wyjątkowo „mili”.

Zawsze po ich wizycie znikają pacjenci. Bynajmniej nie cielesnie, tylko z bazy danych. Zadziwiająco. To brakuje przecinka, to litera niezbyt wyraźna, tam skreślenie. I już pacjent znika, a z nim pieniądze. Sporo czasu trwa przywracanie stanu sprzed kontroli. Ciekawe, ile fundusz na tym oszczędza?

Po jakimś czasie ponownie kontrola... i karuzela się kręci.

Niestety, tym razem ja oberwałam. Osobiście. Za prowadzenie dokumentacji.

Spokojnie przyjmowałam pacjentów, a tu przyszła Kasia i powiedziała, że szefowa prosi mnie do gabinetu. Poszłam.

Przy biurku siedziała kobieta w cywilnym ubraniu, na oko młodsza ode mnie o parę lat. Elegancka. Trzymała w rękach kartotekę dziecka. Szefowa zwróciła się do mnie:

- Pani ma zastrzeżenia do sposobu prowadzenia dokumentacji przez panią, koleżanko.

- Westchnęła zrezygnowana.

- A czy pani ma prawo zaglądać do kart pacjenta? Tajemnica lekarska...

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

- Jestem lekarzem i mam prawo...

Lekarzem? Ty babo wredna, ty nie widziałaś pacjenta od lat. Jesteś urzędasem. Nie leczysz, przerzucasz tylko papierki i zgarniasz kasę dziesięć razy taką jak moja!

- Może mi pani doktor łaskawie wyjaśni, co to jest? - Wskazała mój wpis w karcie. - Nie mogę odczytać. Czy pani stenografuje? - spytała drwiąco.

No cóż. Wpis był istotnie mało wyraźny dla niewtajemniczonych.

3.03.

T 38, b.g, b.b

Pł-bz, g-z~, b-bz

Dgn - phar~

Dla mnie jasne: gorączka 38 stopni, ból gardła i brzucha. Płuca i brzuch w badaniu bez zmian. Gardło zaczerwienione. Diagnoza - zapalenie gardła.

Fakt. Tylko pierwsze litery czytelne, dalej niezidentyfikowane znaki graficzne.

To prawda. Tak pisać nie wolno.

Od dwudziestu lat piszę jedno i to samo. Mam dość. Inaczej nie będę, co oznacza całkowitą niezdolność do pracy.

Należy mi się renta!

- Istotnie, mało czytelne - przyznałam.

- Nie muszę chyba mówić, że zaznaczę to w protokole. A pani obowiązana jest do przestrzegania przepisów, które, mam nadzieję, są pani znane.

Żeby nie pogarszać sytuacji, biłam się w piersi, obiecując poprawę.

„Tak jest... oczywiście... to zrozumiałe... dla własnego dobra...”.

Cóż. Spróbuję. Nie po raz pierwszy zresztą. Na ile starczy mi cierpliwości? Na dzień, dwa, może mniej?

Urzędniczka wyszła.

- To pech, że trafiła na tę kartotekę - martwiła się Agnieszka. - Wszyscy bazgrolimy. W tej przychodni chyba tylko Wanda pisze w miarę czytelnie. Ja sama... - Westchnęła. - Tyle problemów z tym funduszem. Wszyscy na tym cierpimy. Proszę się postarać.

Żal mi było Agnieszki. Ciągłe użeranie się z urzędnikami musi być stresujące. Ja chciałabym ładniej i wyraźniej pisać, tyle że już nie potrafię. Ot co.

Wróciłam do gabinetu wściekła i od razu ścięłam się z utytułowaną doktor z oddziału noworodków. Nie chciała przyjąć pięciodniowego dziecka z silną żółtaczką. Podobno normy się zmieniły.

Akurat!

Spytałam, co powie rodzicom, gdy się okaże, że dziecko ma porażenie mózgowe.

Rzuciła słuchawkę.

Wysłałam dzieciaka do innego szpitala. Bez problemu przyjęli go i od razu posłali na lampy.

*

Potem przyszła zapłakana babcia. Opiekuje się wnukiem. Chłopiec jest niepełnosprawny. Brakuje im pieniędzy na podstawowe sprawy. Babcia nie daje sobie rady. Nie ma siły jeździć na rehabilitację ani biegać po specjalistach.

Jakiś czas temu matka pojechała na „saksy” i nie daje znaku życia. Podobno odpowiednie służby namierzyły ją we Włoszech. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że mamusia wybrała nowe życie bez balastu z przeszłości. Zdziwiło mnie to, gdyż pamiętałam ją jako zaangażowaną matkę. A tu taki klops.

Jeśli to zgłoszę, dziecko wyląduje w domu dziecka albo innej szacownej instytucji, a babcia na cmentarzu.

A więc nie! Nigdy w życiu!

*

Kasia przekazała nam najnowsze ploteczki. Podobno Anula, nasz lekarz rodzinny, spotyka się z sanitariuszem z pogotowia. Widziano ich w lasku. Spacerowali, trzymając się za ręce.

Smutne, ale się zdarza. Widocznie Anula jest mocno zdesperowana. Może powinnam

z nią porozmawiać?

*

Piątek, 13 października. Taka wredna data. Dostałam SMS-a od Grażyny: „Jestem w szpitalu. Mam białaczkę”.

Ścięło mnie z nóg. Białaczka? Grażyna? Niemożliwe!

Próbowałam zadzwonić.

„Abonent niedostępny” - zapewne komórka wyłączona. No tak, tłumaczyłam sobie. Przecież to szpital: badania, wizyty, konsultacje. Może później. Później było tak samo. Nie odbierała. A przecież musiałam z nią porozmawiać. Może to nie białaczka. Może nie ma jeszcze pewnej diagnozy.

Późnym wieczorem zadzwoniłam do Danusi, jej córki. Płakała do telefonu.

- Mama czuła się źle od pewnego czasu. Osłabła, schudła. Potem miała anginę, której nie można było wyleczyć. Zrobiła badania.

Okazało się że wyniki są złe. Poszła do szpitala. Zrobili punkcję szpiku i postawili diagnozę. Białaczka.

Byłam zdruzgotana. Nie chciałam uwierzyć. To pomyłka. Zdarzają się pomyłki. Może trzeba powtórzyć badania. Może coś pomylili w laboratorium. Albo lekarz hematolog...

- Chciałam z nią porozmawiać. Nie odbiera telefonów - powiedziałam słabym głosem.

- Mama całkiem się załamała. Nie chce z nikim rozmawiać, nikogo widzieć. Jutro zaczyna chemię. Niech pani próbuje.

- Po chemii będzie się źle czuła. Ale spróbuję - obiecałam.

Usiadłam na kanapie i jak zwykle przytuliłam poduszkę. Grażyna! To niemożliwe. Zawsze taka wesoła, pełna życia i planów. Optymistka. Nie to co ja. I właśnie ona?

Boże, jacy my jesteśmy słabi, ulotni. Ale co się dziwić - 70 procent wody, reszta to jakieś pierwiastki, białko, które koaguluje w niespełna 50 stopniach. Wystarczy trochę ciepła, zimna, większy uraz, choroba i już nas nie ma.

Straszliwe wizje rozrywały mi czaszkę. Tableteczka, drink - nie pomogły. Życie jest krótkie. Nigdy nie wiadomo, co nas dopadnie. Ile jeszcze przed nami: dzień, miesiąc, rok czy sto lat. Chce mi się krzyżeć na całe gardło. Czuję się taka bezradna. Powinnam z kimś porozmawiać, bo zwariuję, lecz nie mam z kim!

Próbowałam telefonować. Bez efektu. W komórce Grażyny odzywała się poczta. Po kilku dniach zadzwoniłam do Danusi.

- Co z mamą? Jak się czuje?

- Mama źle znosi chemię. Wyniki też są niedobre - płakała. - Poza tym jest w fatalnym

stanie psychicznym. Nie je. Lekarze się denerwują, bo będzie osłabiona, a czekają ciężka kuracja.

Kolejne dni upłynęły mi na oczekiwaniu na wiadomości od Danusi. Były przygnębiające. Grażyna poddała się chorobie. Spadały płytki i leukocyty, groziło to krwotokami i infekcjami.

Po jakichś trzech tygodniach stan Grażyny uległ niewielkiej poprawie. Wyniki pozwalały na ostrożny optymizm, ale niestety Grażyna nadal tkwiła w depresji.

Postanowiłam zadzwonić. Tym razem odebrała. Czekając na połączenie, zorientowałam się, że zupełnie nie wiem, co chciałabym jej powiedzieć. Jakies banalne „trzymaj się”?

- To ty, Agato? - zapytała słabym głosem.

Omam się nie rozplakałam.

- Tak, ja. Grażynko, jak się czujesz? (Co za bzdurna odzywka)

- Słabo. Jestem zmęczona. Ta chemia jest okropna. Nie mam siły... nie chcę - mówiła z trudem.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz. Walcz. Zawsze byłaś waleczna i silna.

- Nie pieprz głupot.

Głos umilkł.

Co kilka dni Danusia relacjonowała mi, co się dzieje z Grażyną. Zdecydowałam, że pojedę do niej, do Wrocławia, jak wyjdzie ze szpitala. Na razie pozostawało czekanie.

Snułam się po pracy osowiała. Nic mi się nie chciało robić. Życie jest krótkie i niewiele warte. A najgorsze było to, że nie miałam nikogo, kto by mnie pocieszył, rozbawił czy tylko porozmawiał.

Ostra białaczka szpikowa - nie ma co się łudzić. Nie rokuje optymistycznie. Może przeszczep szpiku? Ale tak trudno o dawcę. Może córka? Jest pełnoletnia. Szanse na zgodność są...

Na początku grudnia stan Grażyny poprawił się na tyle, że wyszła do domu na przepustkę. Postanowiłam pojechać do Wrocławia przed świętami. Odwiedzić ją. Ponieważ wydawało się, że idzie ku lepszemu, wybrałam się do miasta - trochę odreagować.

Chciałam pochodzić po sklepach, pójść na ciastko. Po prostu wyjść z domu. Ubrałam się starannie i umalowałam.

W galerii już odczuwało się święta. Tłok. Choinki, bombki, prezenty. Pomyślałam o Grażynie i coś złapało mnie za gardło.

Obeszłam butiki. Przymierzyłam sukienkę za tysiąc złotych. Leżała idealnie. Ekspedientka nie szczędziła pochwał.

- Nie, nie podoba mi się. - Oddałam sukienkę.

Sukienka za tysiąc złotych? Nigdy w życiu bym jej nie kupiła. Chciałam tylko przymierzyć.

Weszłam do jubilera, gdzie obejrzałam pierścionek z brylantem za jedyne siedem tysięcy. Roześmiałam się, oddając go ekspedientce. Popatrzyła na mnie z uwagą. Może pomyślała, że zwariowałam.

- Wie pani. Nawet gdybym miała takie pieniądze, to wolałabym je wydać na inne przyjemności niż na pierścionek - wyjaśniłam.

Dotarłam do kafeterii. Zamówiłam szarlotkę z lodami i bitą śmietaną. Nie smakowało mi! Siedziałam smętnie nad talerzem. Lody się rozpuszczały. W końcu zostawiłam wszystko i wyszłam.

Na dworze panował silny mróz i świeciło mocno słońce. Dzień był piękny i zupełnie nie pasował do mojego nastroju. Każda myśl bezwiednie kierowała się ku Grażynie i powodowała ucisk w gardle, a z oczu płynęły łzy.

Wokół mnie przechodzili ludzie, uśmiechnięci, zajęci świątecznymi zakupami. I wtedy napatoczyłam się na Janusza, bez Basi ucepionej jego ramienia. Zamierzałam ominąć go szerokim łukiem. Nic z tego. Zauważył mnie i zawołał radośnie:

- Cześć, Agata. Co za niespodzianka. Wieki cię nie widziałem.

Zamurowało mnie. Co za hipokryzja! Przecież wcale nie chcesz mnie widzieć. Nie bywam u was. Dopiero co były imieniny Basi. Nie zostałam zaproszona. Najwyraźniej nie jestem odpowiednim gościem. A ty chcesz udawać przyjaciela? Spadaj. Tymczasem Janusz jakby nigdy nic nawijał:

- Moja kochana. Błagam, pomóż. Muszę kupić koszulę, a Basia jest zajęta. - Wziął mnie pod ramię.

Nie pomogła moja niechętna mina. Nim zdążyłam porządnie zaprotestować, zaciągnął mnie do jednego, a potem drugiego sklepu. On oglądał koszule, ja milczałam. Szczęśliwie zdecydował się szybko. Wyszliśmy ze sklepu z popielatą koszulą zapakowaną w firmową torbę.

Janusz cały czas gadał. O Basi, o pracy, o podróży na Teneryfę, w którą się wybierają po Nowym Roku. Gaduła! Nie znałam go od tej strony. Właściwie w ogóle go nie znałam. Byłam wykończona. Chciałam do domu.

Dosyć tego.

- Posłuchaj, Janusz. Chyba widzisz, że ze mnie marna towarzyszka. Nie mam nastroju.
- Postanowiłam powiedzieć mu o Grażynie. - Moja przyjaciółka ma białaczkę. Rokowania są złe... - Głos mi się załamał.

Janusz zamilkł, wyraźnie przejęty.

- O Boże, przepraszam cię bardzo. Mogę sobie wyobrazić, co przeżywasz. A ja cię ciągnę po sklepach. Naprawdę mi przykro. Jeśli mógłbym jakoś ci pomóc, to dzwoń.

Zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się po nim empatii. Czy to na potrzebę chwili?

Mam wrodzony brak zaufania do ludzi. Do tej pory nie traktowałam Janusza nawet jako kolegi. To tylko nowy mąż mojej prawie byłej koleżanki. Wspomniałam te chwile, po śmierci męża Basi, kiedy starałam się być dla niej podporą, święta, które razem organizowałyśmy. Ona chyba już o tym zapomniała.

I znowu z oczu popłynęły mi łzy.

Janusz odwiózł mnie pod blok.

- Pamiętaj, jakbyś czegoś potrzebowała... I... spokojnych świąt. - Uśmiechnął się blade.

Tego samego dnia pod wieczór wpadł Krzysztof. Bez zapowiedzi. Powiedział po prostu:

- Byłem niedaleko i postanowiłem wstąpić do ciebie.

Ucieszyłam się. Nie będę sama. On jest inny. Mogę z nim swobodnie rozmawiać.

Opowiedziałam mu o chorobie Grażyny. Poznał ją przed wieloma laty, jeszcze za czasów naszego małżeństwa, kiedy byliśmy przejazdem we Wrocławiu. Przejął się bardzo.

Zrobiłam herbatę, nalałam po kieliszku koniaku. Wyjęłam orzeszki solone.

I wtedy przyszedł SMS: „Mam złe wyniki. Chemia przesunięta”.

Rozplakałam się.

- Ona ma pecha. Tak źle znosi chemię. To zmniejsza jej szanse.

Krzysztof przytulił mnie do piersi. Poczułam się taka bezpieczna. Zaczął mnie kołysać jak małe dziecko. Delikatnie całował mnie po włosach. Poddalam się temu.

O tak, zrób coś, żebym nie myślała o niczym innym poza tą chwilą. Rozpal mnie. Spraw, żebym cię zapragnęła. Niestety, moje myśli i pragnienia trafiły w próżnię. Krzysztof trzymał mnie w objęciach i szeptał:

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze, ułoży się.

Odsunęłam się od niego. Poczułam złość. Takie bzdety to ty opowiadaj swojej babci.

*

Tuż przed świętami pojechałam do Wrocławia. Grażyna była w domu. Wyniki

ostatnio się poprawiły i wznowiono chemię. Danusia uznała, że mogę przyjechać.

Grażyna leżała w łóżku. Gdy ją zobaczyłam, łzy same napłynęły mi do oczu. Błada, chuda. Nawet nie spojrzała na mnie, apatyczna i obojętna.

Danusia popatrzyła na mnie z rozpaczą.

- Mama od rana nic nie jadła. Nie chce pić. Nie daję rady - szepnęła.

- Idź do domu, odpocznij - powiedziałam cicho. - Ja posiedzę.

Usiadłam na łóżku, wzięłam Grażynę za rękę i pogłaskałam. Wychudłą dłoń miała w sińcach, zapewne od kroplówek.

- Grażynko, to ja, Agata, przyjechałam.

Milczała, po wychudłych policzkach stoczyły się łzy. Rozplakałam się. Wzięłam ją w ramiona i mocno przytuliłam.

- Agata, dlaczego ja? - usłyszałam rozpaczliwy szept.

- Nie wiem. Nikt nie wie takich rzeczy. Ale walcz, potrafisz. Wiesz, że ludzie wychodzą z tej choroby. Można przeszczepić szpik...

- Nic z tego. Nie wierzę. Chemia mnie zabija. A przeszczep... sama wiesz, jak trudno o dawcę.

- Może Danusia? Jest twoją córką...

- Jest w ciąży. Agata, ja się kończę. Ja to wiem, czuję.

- Nie mów tak. Nie możesz tego wiedzieć...

- Boję się. Nie chcę umierać. Mój Boże, miałam tyle planów. W lutym miałam jechać na narty w Dolomity. A tymczasem nie zobaczę nawet swojego wnuka.

Zaczęła kaszleć.

- Podaj mi sok. Stoi na stole. Nie mogę jeść, pić. Stale wymiotuję.

Podalam szklankę soku pomarańczowego. Wypiła kilka łyków.

Odezwała się raźniejszym głosem:

- Jestem sama. Moi przyjaciele - zaśmiała się sucho - jak widzisz, wyparowali. Przysyłają kwiaty przez posłańców. Czasem SMS. I to wszystko. Została tylko Danusia. Jest wspaniała.

Zamilkła na chwilę.

- Znajdź sobie kogoś. Wyjdź za mąż...

Zaniosła się suchym kaszlem. Chciałam podać jej sok, ale odtrąciła moją rękę.

- Najgorsze są wieczory i noce. Samotność. Ciemność. Przedmioty rosną do gigantycznych rozmiarów. Zaczynasz bać się własnej szafy. - Zakrztusiła się. - Może gdybym miała męża... - dodała po chwili.

- Grażynko, posiadanie męża niczego nie gwarantuje...

- Podaj mi to żółte pudełeczko. Mam tam tabletki na sen - powiedziała niecierpliwie. -

I idź już. Jestem zmęczona.

Zrobiłam, co powiedziała. Pocałowałam ją w czoło.

- Dobranoc i do widzenia.

- Chyba żegnaj. - Uśmiechnęła się z trudem. - Zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodziła.

Kiedy odchodziłam, usłyszałam, jak Grażyna zanosi się kaszlem.

Nie podobał mi się ten kaszel.

Następnego dnia Grażynę przewieziono do szpitala na OIOM. Miała zapalenie płuc. Lekarze długo walczyli o jej życie. Po trzech tygodniach opanowano sytuację. Niestety, kolejna chemia znowu się przesunęła. Organizm był zbyt osłabiony, a liczba płytek i leukocytów zbyt niska.

Co kilka dni kontaktowałam się z Danusią, bo Grażyna znowu nie odbierała telefonów.

- Ciągła huśtawka. To lepiej, to znowu gorzej. Nie wytrzymuję tego. A mama... to apatyczna, to znów agresywna...

Zdawałam sobie sprawę, że wielkiej nadziei nie ma. Zbyt dużo komplikacji. Pojadę znowu na początku lutego.

W pracy niechętnie patrzono na moje częste urlopy. Miałam to gdzieś. Zresztą znali sytuację. Oczywiście Wanda była wściekła, lecz i ona nie odważyła się głośno komentować. Czasem mruzczała coś pod nosem, udawałam, że nic nie słyszę. Co prawda przygotowałam się na atak z jej strony. Miałam ułożony w głowie tekst nawiązujący do chrześcijańskich zasad, przykazań „miłości bliźniego” itp. Na szczęście obyło się.

Muszę przyznać, że w tym czasie otrzymywałam duże wsparcie od Krzyśka. Interesował się, cierpliwie wysłuchiwał moich przydługich monologów, pocieszał.

A jednak czułam niedosyt. Oczekiwałam czegoś więcej. Pragnęłam, żeby mnie chronił, odciął od dramatycznych wydarzeń, od ciągłego myślenia o śmierci.

Chyba miałam za duże wymagania. On przecież miał kogoś!

W kiepskim nastroju pojechałam do Wrocławia. Od Danusi wiedziałam, że leczenie postępuje niemrawo i połowicznie. Chemie są przesuwane z uwagi na ogólny stan chorej i złe wyniki. Zagrożenie infekcjami i krwotokiem nie malało pomimo leków, przetaczanej krwi i płytek. Co więcej, lekarze podejrzewali, że komórki nowotworowe zaatakowały centralny układ nerwowy, a w płucach pojawiła się grzybica.

Grażyna leżała w domu, na przepustce. Jej wygląd mnie przeraził. Niewiarygodnie wychudzona. Sińce na całym ciele. Tylko oczy pałały ogniem w wyniszczonej twarzy.

- Po co przyjechałaś - zaatakowała - chcesz popatrzeć, jak umieram?

Patrzyłam na nią bezradnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie ma takich słów, które mogłyby przynieść jej pocieszenie. Żadna z nas nie była religijna, więc bredzenie o szczęściu po śmierci miało się z celem.

- Skoro już tu jesteś, to zrób mi zastrzyk. Tam wszystko stoi, na stoliku.

Popatrzyłam na ampułkę. Tramal (musi mieć bóle). Zrobiłam zastrzyk.

- Nie rozumiem, po co Danka cię ściągnęła. Nie chcę nikogo widzieć, nie chcę wiedzieć, co się dzieje na świecie, nie chcę wiedzieć, jaki to dzień ani godzina. - Rozplakała się.

Jedynie, co mogłam zrobić, to unieść jej wątłe ciało i przytulić. Kołysałam ją w milczeniu. Po chwili odepchnęła mnie.

- Idź już, jestem zmęczona. Chcę spać. - Patrzyła na mnie. W jej oczach oprócz bólu zobaczyłam niechęć i złość. Mogłam to zrozumieć. Ja żyłam i byłam zdrowa.

Wtedy widziałam ją ostatni raz.

Dwa tygodnie później zmarła. Nie zwalczyła kolejnej infekcji, która rozwinęła się w zupełnie bezbronnym organizmie. Nie pomogły leki, krew ani intensywna terapia.

Danusia płakała, relacjonując ostatnie chwile Grażyny.

- Pogrzeb odbędzie się we środę. Przyjedzie pani?

- Postaram się. A ty trzymaj się i myśl o dziecku.

Życie nie jest sprawiedliwe. Była młoda, pełna życia. Mogła jeszcze wiele przeżyć. A tu jedna choroba i...

Nie będzie corocznych spotkań w ogrodzie. Nie będzie e-maili i ploteczek. Rozplakałam się. Wyjęłam album ze zdjęciami. Oglądałam i płakałam. Popijałam i płakałam. Jedna z ostatnich nici łączących mnie z ukochanym miastem została zerwana.

Zadzwoiłam do Krzyśka. Był poruszony wiadomością. Chciał przyjechać, aby mnie pocieszyć. Spławiłam go.

*

W pracy oświadczyłam, że biorę dwa dni urlopu. Oczywiście Wanda zareagowała natychmiast.

- Znowu? Dopiero co pani brała. Ja się nie zgadzam. Jest dużo pacjentów, grypa - wyklócała się.

- Jadę na pogrzeb. Jeśli pani nie podpisze, to wezmę zwolnienie chorobowe i to na

dłużej niż dwa dni - spróbowałam szantażu.

- Na pani miejscu byłabym ostrożna - syknęła. - Nie ma pani stałej umowy, prawda? -
Uśmiechnęła się drwiąco. - I ja tu mam coś do powiedzenia.

Fakt.

*

Z pogrzebu wróciłam z paskudną grypą. Przeleżałam cały tydzień. Wanda mi tego nie daruje.

Czułam się okropnie. Męczył mnie kaszel, katar i gorączka. Psychicznie też byłam do niczego. Nie mogłam jeść. Nie mogłam czytać. Nie chciało mi się oglądać telewizji ani posiedzieć przy komputerze. Czarna dziura miała wielkość kuli ziemskiej. Śmierć Grażyny stała się niewiarygodnym, nieprawdopodobnym zdarzeniem. Nie mogłam i nie chciałam się z tym pogodzić.

Na ratunek w chorobie przyszła Bożena. Zrobiła zakupy. Przyniosła z apteki lekarstwa.

Po jej wyjściu popłakałam się. Tylko na nią mogę liczyć. To ostatnia przyjaciółka, która mi pozostała. Jak mogłam tak głupio rozegrać swoje życie, że po dwudziestu latach mieszkania i pracy w Belsku mam tylko jedną pomocną i życzliwą duszę? Jak mogło dojść do takiej sytuacji? Czy jestem aż tak wredna? Czy trzymam wszystkich na dystans? Czy zamęczam ludzi swoją przeszłością? Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania!

Grażyna miała rację. Powinnam znaleźć kogoś i wyjść za mąż. To nie musi być ekstramilość. Wystarczyłaby przyjaźń (więcej warta od kruchej miłości), lojalność i coś wspólnego - może hobby? Samotność dobija. Jeśli dostanę zawału i znajdą mnie po miesiącu, to będą zdrapywać z podłogi.

Pod koniec tygodnia poczułam się lepiej. Pewnie dlatego, że wzięłam antybiotyk. W zasadzie nie działa na wirusy, tylko że ja jestem wyjątkiem.

Miałam sporo czasu na myślenie. Tak dalej być nie może.

Chcę mieć kogoś!!!

Ale kogo?

Chętni nie stali w kolejce.

W sobotę zjawił się Krzysztof.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Bo nie. - Wzruszyłam ramionami.

- Czy ty kiedyś dorośniesz? A jakby to było coś poważnego?

Tak naprawdę to nie mam twojego prywatnego numeru telefonu. Nie zauważyłeś, że

nigdy do ciebie nie dzwonię? Dałeś mi wizytówkę, lecz się zapodziała. A co z twoją panią? Co ona by na to powiedziała?

Obruszyłam się.

- Nie przesadzaj. Bożena przyszła z pomocą.

- A jak pogrzeb?...

- Okropny. Cmentarz komunalny jest ogromny. Tysiące grobów. Ksiądz gadał jak zwykle bez sensu, że cierpienie uszlachetnia. Jak to słyszę, to zbiera mi się na wymioty. Potem jakaś babka śpiewała arię operową. Grażyna lubiła operę. Przyszło dużo ludzi: rodzina, koledzy, sąsiedzi, może pacjenci, no i pewnie ci adoratorzy, którzy znikają wtedy, kiedy są potrzebni. Potem kondolencje. Nie znoszę kondolencji. Nigdy nie wiem, co powiedzieć. Wszystko jest takie banalne. Okropność. Ten cmentarz - zero intymności. Ja chciałabym leżeć na takim kameralnym, wiejskim cmentarzu, gdzie rosną drzewa i polne róże... - Rozkaszałam się, przerywając słowotok „złoty myśli”.

- Co ty bredzisz? - jęknął Krzysztof. - Cmentarze są dla żywych. Umarłemu jest wszystko jedno, gdzie leży. Czy tobie gorzej?

Zamilkłam. Rzeczywiście bredzę. Nie, ja nie chcę żadnych ceremonii. Chcę, żeby mnie spalili, a prochy rozsypali najlepiej na Południu albo w górach.

- Przepraszam. Głupoty gadam - przyznałam.

Krzysztof nadal patrzył na mnie podejrzliwie. Zrobiłam głupią minę, wzruszyłam ramionami i zamilkłam.

Na pogrzebie zdarzyło się jeszcze coś. Ale o tym nie zamierzam nikomu mówić. Zwykły przypadek (?) sprawił, że w kościele koło mnie usiadła Dorota. Trochę zaskoczone wymieniliśmy smutne powitanie stosownie do okoliczności. Przez chwilę trwałyśmy w milczeniu, patrząc na siebie. Miałam nieodparte wrażenie, że Dorota chciała coś powiedzieć. Ja także - o tym, że nie czuję już żalu ani pretensji. Że tyle lat byłyśmy blisko związane. Że minęło tyle czasu i to bezsensowne boczyć się na siebie, zwłaszcza że życie szybko umyka i...

Nic się nie zdarzyło. Nie było sentymentalnego pojednania nad grobem koleżanki. Żadna z nas nie wykrztusiła słowa. Może upłynęło zbyt wiele czasu? Od dawna nic nas nie łączyło. Szkolna przyjaźń definitywnie odeszła w przeszłość.

Po mszy wyszłyśmy z kościoła osobno i potem jej już nie widziałam.

*

Myśli o śmierci Grażyny nie dają mi żyć. Ciągłe nie mogę się z tym pogodzić. Dopadają mnie różne egzystencjalne lęki. Piersi przygniata ciężar, który nie pozwala swobodnie oddychać. Oczy momentalnie wypełniają się łzami, a jedzenie nie chce przejść

przez gardło. Gdy tylko zamknę oczy, pojawia się jej obraz na łożu śmierci - oczy pełne bólu i lęku... Nie chciała umierać.

A mój żal i ból powoli zamienia się w strach o siebie. To niskie uczucie, ale cóż...

Jej ostatnie słowa: „Nie bądź sama, znajdź sobie kogoś, szkoda czasu”, trwają we mnie.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Jestem sama i prawdę mówiąc, mocno mi to doskwiera.

Grażyna miała chociaż córkę. A ja?

Na horyzoncie jest tylko jeden mężczyzna - Krzysztof. Jednak nie odnoszę wrażenia, żeby interesował się mną jako kobietą.

*

Któregoś wieczoru tak ze zwykłej ciekawości zerknęłam na portale randkowe dla samotnych. Stwierdziłam ponad wszelką wątpliwość, że to nie dla mnie. Owszem, niektóre zdjęcia były całkiem, całkiem... Za to teksty... Na przykład takie: „Sześćdziesięcioletni pan pozna panią do lat trzydziestu (konieczne foto), najchętniej z własnym mieszkaniem (w Warszawie) i autem”. Trafiły się i teksty ordynarne, niemal obsceniczne. To mogły być żarty lub prowokacje. Z internetem nigdy nic na pewno nie wiadomo.

Jeden z portali sprawiał wrażenie profesjonalnego. Przejrzałam oferty i doszłam do wniosku, że nie chce mi się pisać tekstów zabawnych i intrygujących, żeby zainteresować nieznanego faceta. Nie mam nastroju.

*

Mijały tygodnie. Moje życie stało się bardzo monotonne: praca, dom i tak w kółko. Weekendy były jeszcze gorsze. Pojawiły się przedziwne lęki. Nie byłam pewna niczego. Po sto tysięcy razy liczyłam dawki leków w pracy, potem w domu od nowa. Każdy telefon przyprawiał mnie o atak serca, że to apteka albo rozjuszony pacjent. Tak się nie da żyć ani pracować!

Moją depresją najbardziej przejmowała się Kasia. Wpadła nawet na pomysł, od którego omal nie zesłam na zawał, choć w tym czasie było mi prawie wszystko jedno.

Otóż Kasia próbowała namówić mnie na wizytę u... wróżki.

Już na samo słowo „wróżka” reaguję alergicznie, wpadam niemal we wstrząs anafilaktyczny. Dlaczego? Nie wiem. Nie wierzę w żadne wróżby. Nie wierzę w nic, czego nie da się zmierzyć, policzyć, zobaczyć pod mikroskopem. Dlaczego więc tak ostro reaguję na wszelkie horoskopy, przepowiednie? Czy podświadomie obawiam się tego, co mogłabym usłyszeć? Czy boję się manipulacji, dopasowywania zdarzeń do słów przepowiedni czy

wróżby?

- Pani się boi, po prostu - stwierdziła Kasia.

Nie! Jestem realistką i stoję twardo na ziemi. I nie pójdę do żadnej wróżki. Nigdy!

Od czasu do czasu odzywała się Bożena, wpadał Krzysztof, a w poczcie internetowej znajdowałam e-maila od Ilony. Złapałam się na tym, że ciągle zupełnie bezwiednie czekam na e-maile od Grażyny.

Któregoś dnia, na początku marca wpadła do mnie do przychodni Bożena. Właściwie to wpadła do szefowej z jakimś problemem zdrowotnym, ale zajrzała i do mnie.

- Podobno Beacie całkiem odbiło - mówiła. - Rzuciła pracę, pije, włóczy się po lokalach. Nawet zaczepia mężczyzn. Z tą jej córunią nadal nic nie wiadomo, gdzie jest, czy żyje. Takie oczekiwanie na wiadomość jest torturą dla matki - dodała Bożena. - Ciesz się, że nie masz dzieci.

Kiwnęłam potakująco głową.

Tego samego dnia do mojego gabinetu zajrzała Zofia.

- Masz już na pewno jakieś wieści od swojego dziecka, prawda?

Boże, o czym ona mówi?

Musiałam wyglądać niepewnie, więc Zofia zapytała:

- Wiesz, o czym mówię? To już ponad rok. Pamiętasz? Adopcja serca.

Złapałam się za głowę. Oczywiście przypominałam sobie wszystko. Matko święta, przecież chciałam! Jak to się stało, że tego nie załatwiłam? Idiotka, kompletna idiotka.

- Ach, przepraszam. Przecież to nie obowiązek - rzekła sarkastycznie Zofia.

- To ja przepraszam. Ja...

- Przecież powiedziałam, że to nie obowiązek - powtórzyła Zofia, zamykając za sobą drzwi.

Jasny gwint, jak to się stało?? Zapomniałam! Ale dlaczego? Wróciłam pamięcią do tamtych dni. No pewnie! No przecież! Wtedy zaczęła się moja przygoda z Michałem.

*

Proszę, proszę. Zadzwoiła Basia. Chciała mi powiedzieć, że w szpitalu huczy od plotek. Podobno Krzysztof ma nową babę. Nie wiedzą, kto to jest, i obstawiają. I Baśka obstawiła mnie. Mówi się o jakiejś nauczycielce, dyrektorce liceum.

- Wiem od Bożeny, że się czasem spotykacie - wyjaśniła Basia.

- Trafiałś kulą w płot, moja droga. To prawda, czasem się spotykamy, ale po przyjacielsku - bagatelizowałam, choć wcale nie było mi do śmiechu. - A on jest wolny i ma prawo ułożyć sobie życie - plotłam beznamiętnie, jednak koło serca czułam chłód. - I powiem

ci, że widziałam ją raz w galerii. Szykowna babka.

Jeszcze chwilę pogadałyśmy o niczym i Basia się rozłączyła.

A więc to trwa. I to mnie boli - stwierdziłam. Dlaczego? Nie jestem zakochana. Jestem zazdrosna? O Krzyśka? Czy o to, że ludzie układają sobie życie? Beze mnie.

Od pewnego czasu Krzysztof rzadziej dzwoni i wpada. Jest zajęty tamtą. I to boli najbardziej. Dla mnie nie ma już miejsca.

W marcu spotkałam Beatę. Ale w jakich okolicznościach, matko święta!? Fakt, słyszało się różne plotki. Jednak gdybym nie zobaczyła na własne oczy, nie uwierzyłabym. Za żadne skarby!

Wracałam z pracy w piątek wieczorem. Na ulicach breja. Poprzedniego dnia spadł śnieg, w ciągu doby się stopił i teraz tonęłam w błocie niemal po kolana. Moje kozaki szlag trafi. Zupełnie nie chciało mi się wracać do pustego mieszkania. Przechodziłam koło pubu. Usłyszałam dźwięki muzyki. Ktoś grał na trąbce - jazz. Szerokie drewniane drzwi były lekko uchylone.

Wejść, wypiję drinka, posiedzę, posłucham muzyki - pomyślałam.

Lokal nieduży, w podziemiach, kameralny i prawie pusty. Przy długim barze stało kilka wysokich stołków. O kamienne ściany opierały się małe stoliki. Usiadłam przy jednym z nich. W szklanym dzbanuszkach paliła się mizerna świeczka. Zamówiłam drinka i orzeszki.

Przy barze siedziała kobieta - niemłoda. Czarna minispódniczka odsłaniała grube uda. Obcisła czerwona bluzka na ramiączkach podkreślała obfite piersi. Nastroszone czarne włosy podtrzymywała srebrna opaska. Kobieta wyglądała jak podstarzała prostytutka.

Zwracała na siebie uwagę. Mówiła stanowczo zbyt głośno, w drżących palcach z trudem utrzymywała papierosa. Barman z niechęcią w oczach podawał jej ogień.

Kobieta wydała mi się znajoma. Mój Boże, to Beata! Co ona z siebie zrobiła?

Zerwałam się z krzesła i podeszłam do niej.

- Beata - szepnęłam - poznajesz mnie?

Popatrzyła na mnie niezbyt przytomnie.

- To ja, Agata, koleżanka Basi.

- Jaka Agata? - Czknęła i zakolysała się na wysokim barowym stołku.

Barman zadowolony, że ktoś się zainteresował pijaną kobietą, powiedział:

- Pani koleżanka przeholowała. Niech ją pani zabierze do domu.

Spojrzałam na niego złym wzrokiem.

- To jest pub. Na pewno nierzadko macie takie sytuacje. Co pan wtedy robi: wyrzuca na zaplecze, na ulicę, wzywa policję?

- Jaka Basia, jaka Agata? - bełkotała Beata, kiedy ciągnęłam ją przez lokal.

Cholera, podrapała mnie. Na przegubie pojawiły się krople krwi. Beata miała długie paznokcie polakierowane na złoto.

Złapałam taksówkę i wtedy zorientowałam się, że nie mam pojęcia, gdzie ona mieszka.

- Beata, podaj adres. Gdzie ty mieszkasz? - Szarpałam jej ramię.

Nic z tego. Bełkotała coś bezsensownie.

Nie miałam wyjścia, zabrałam ją do siebie. Podałam jej alka-prim. Padła na kanapę i po chwili chrapała jak pijany dorożkarz. Żeby tylko nie zwymiotowała.

Ocknęła się koło południa.

- Głowa mi pęka, mam zawroty - jęknęła - a w ogóle gdzie ja jestem? - Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Nie poznajesz? Jestem Agata, koleżanka Basi. Znamy się słabo. Przywiozłam cię z pubu. Byłaś pijana, nie pamiętałaś adresu - tłumaczyłam.

Beata wstała chwiejnie z kanapy i nerwowo rozglądała się dookoła.

- Nie masz czegoś... muszę się napić.

- Nie mam. Nie jestem też Matką Teresą ani izbą wytrzeźwień. Zrobię ci kawę, śniadanie i potem wezwę taksówkę którą pojedziesz do domu, swojego domu. A teraz idź do łazienki, weź prysznic. To ci dobrze zrobi.

Przygotowałam mocną kawę, kilka kanapek i sok pomidorowy, żeby uzupełnić potas.

Długo siedziała w łazience. Nadśluuchiwałam pod drzwiami jakichś dźwięków, znaków, że żyje. Kiedy wyszła, stwierdziłam, że bez makijażu wygląda jeszcze gorzej. Opuchnięta, worki pod oczami, plamy na twarzy i wzrok taki jakiś martwy.

Milcząco usiadła przy stole. Ja też milczałam. No bo co jej mogłam powiedzieć? - weź się w garść... wszystko się ułoży? Bzdury. Tyle razy sama słyszałam te słowa. Nigdy nie pomagały. Zaczynałam czuć się nieswojo. Ona nic nie mówiła. Wyjęła papierosa i spojrzała pytająco. Skinęłam głową. Zaciągnęła się.

- Dobrze zrobiłaś, że nie chciałaś mieć dzieci - rzekła chrapliwie. - Nie warto. Przez dziewięć miesięcy twoje ciało zmienia się, traci sprężystość, rośnie ci brzuch. Czasem myślisz, że pasożytuje w tobie robak, gryzie, okrada cię z urody, włosów i zębów. Rezygnujesz dla niego z siebie, swojego życia i pracy. Jesteś do nieustającej dyspozycji. Umierasz ze strachu, kiedy kichnie. A potem stoi przed tobą, patrzy wyzywająco i żąda. Patrzysz na nastolatkę, a widzisz urocze maleństwo sprzed lat. Nienawidzę jej. Tak, nienawidzę swojej córki - powiedziała sucho Beata. - Zniszczyła moje życie, rodzinę,

małżeństwo i moją pracę. I dlaczego, dlaczego? - Schowała twarz w dłoniach. - Chciałabym - jej oczy zabłyśły - żeby przyszła policja. - „Przykro nam. Córka nie żyje”. Dla mnie sprawa byłaby skończona. Popłakałabym, powspominała dobre chwile... A potem, może udałoby się odbudować to, co z mojego życia zostało.

- Nie wiem, co powiedzieć - bąknęłam (nie lubię takich zwierzeń, swoje już przeżyłam).

Machnęła ręką.

- Nic nie mów. Po co. I tak wszystko wiadomo. Powinam ci podziękować. Nie musiałaś się mną zajmować. Najlepiej... - Nie dokończyła.

Ubrała się. W dziennym świetle jej strój wydawał się jeszcze bardziej groteskowy niż wieczorem.

- Nie zamawiaj taksówki. Pójdę pieszo. Dobrze mi to zrobi.

Narzuciła płaszcz, długi, ciemny, z dawnych czasów. I wyszła.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy rzeczywiście poszła do domu, czy szukać szczęścia gdzie indziej. W każdym sklepie może kupić alkohol i wypić go na ławce w parku albo pójść do meliny. Ale na to ja już nic nie poradzę.

*

Jest zimno, zdarzają się przymrozki. Paskudna ta wiosna-nie wiosna. Dokuczają mi korzonki. Starość nie radość. No nie, nie jestem stara. Niemniej korzonki dokuczają. Leczyłam się sama. Rezultat niezadowolający. Poszłam więc do specjalisty, to znaczy postanowiłam pójść.

W rejestracji do neurologa zapisali mnie na sierpień. Pięć miesięcy! Na mój przymilny uśmiech: - A nie można trochę wcześniej, jestem lekarzem - pani zza szyby omiotła mnie nieprzychylnym wzrokiem i powiedziała:

- Fundusz płaci tyle samo za każdego pacjenta.

I pomyśleć, że dziesięć lat temu ta sama pani uśmiechnęłaby się milutko:

- Oczywiście, pani doktor. Proszę przyjść w przyszłym tygodniu.

W dostępności do służby zdrowia najlepiej ma tak zwany personel średni - pielęgniarki. Trzymają sztamę. Prawie wszystkie się znają. Wystarczy telefon i już załatwione. Lekarz nie odmówi, bo z nią pracuje. Ona zna jego małe tajemnice. Ona chroni go przed upierdliwym pacjentem, gdy on wymyka się do innej pracy lub spóźnia się z poprzedniej. Ja nie jestem w układzie. Albo poczekam, albo pójdę prywatnie!

*

Skreśliłam nogę w kostce. Tak zwyczajnie, wręcz banalnie. Na ulicy. Chodnik był

pokryty cienką warstwą lodu (bo temperatura rano spada poniżej zera), no i oczywiście nieposypany piachem. Gips na trzy tygodnie.

Leżę w domu zupełnie bezradna. Nie ma kto zrobić zakupów ani herbaty. Rozklejam się. Mogłabym umrzeć i nikt by nie zauważył.

Wróciły wspomnienia o Grażynie, o jej lęku i samotnym umieraniu.

Włączyłam telewizor i trafiłam na „Cienistą dolinę”. Nie mogło być gorzej.

Wzięłam podwójną porcję tabletek i zasnęłam.

Rano zadzwoniłam do Bożeny.

- Nie ma sprawy, przyjadę - obiecała. - Po drodze zrobię zakupy, tylko powiedz co.

Po godzinie już była, wnosząc powiew świeżego, zimnego powietrza.

- Masz zapasy na parę dni. Wszystko włożyłam do lodówki. Przywiozłam ci słoik pomidorowej. Agata, ja jutro wyjeżdżam na narty do Włoch na dziesięć dni. - Spojrzała na mnie.

Aż się skuliłam. To co ze mną będzie?

- Zadzwoń do Krzyska, przecież się przyjaźnicie - poradziła.

Łatwo jej powiedzieć. Krzysiek ma nową laskę. Nie chcę wpakować się w głupią sytuację. Do tego gdzieś zapodziałam jego numer telefonu.

- Bożena, ja nie mam jego numeru telefonu - rzekłam.

Zdziwiła się.

- Jak to nie masz?

- Nie wiem. To on dzwoni. Dał mi kiedyś wizytówkę, ale gdzieś ją wrzuciłam. Nie pamiętam.

- Pomyśl, przypomnij sobie - niecierpliwiła się.

- Nie wiem. Może zajrzyj do tej chińskiej miseczki. - Pokazałam na półkę. - Tam wrzucam wizytówki.

Bożena przeglądała wizytówki. Było ich trochę - kwatery prywatne w różnych miejscach, nauka jazdy, serwisy naprawcze...

- No, masz szczęście, jest. - Podała mi kartonik. - Dzwoń do niego. Na pewno bez problemu zrobi ci zakupy. Ja muszę lecieć, pakować się.

- Dzięki. I tylko jedna prośba. Podrzucić zwolnienie do przychodni, masz po drodze.

Po kilku dniach lodówka była pusta.

Nie mam wyjścia - pomyślałam - trzymając w ręce wizytówkę.

- Krzysztof, przepraszam, że ci przeszkadzam - zaczęłam oficjalnie - jestem w gipsie...

- Co ci się stało?

- Skręciłam nogę. I chciałam cię prosić o pomoc. Bożena jest na nartach. - Mówiłam sztywno. W ogóle miałam wrażenie, że moje usta są z drewna, a każde słowo staje w gardle.

- Oczywiście. Za godzinę będę.

Wszystko załatwił - zakupy, odebrał pranie z pralni. Nawet załatwił mi kule.

Przez te kule korciło mnie, żeby wyjść chociaż na chwilę z domu, lecz ulice nadal były śliskie, więc zrezygnowałam.

Dwa dni później przywiózł mi potrawkę z kurczaka na obiad.

- Sam to ugotowałeś? Nie wierzę.

- Tak - potwierdził, choć minę miał niewyraźną.

Nie wierzę. Tego żaden facet na świecie nie ugotuje. Ciekawe, czy zrobiła to ona. Czy wiedziała dla kogo?

*

Zdjęli mi gips, a Krzysztof nadal pojawiał się, załatwiał co trzeba, woził na rehabilitację.

Troskliwy, zapobiegliwy, miły. Wspaniały materiał na męża. Jego zachowanie wzruszało mnie. Czasem chciałam powiedzieć coś miłego poza „dziękuję”, pogłaskać po twarzy, przytulić. Nie potrafiłam. On ma inną.

Ale dlaczego przychodzi, dlaczego zabiera mnie na wycieczki czy do kina? Nie wiem.

Nie próbuj sobie wmawiać, że jeszcze coś do ciebie czuje - strofowałam się w myślach.

*

W sobotę Krzysiek zaproponował kino. Czemu nie? Poszłam. Na seansie siedziałam jak na szpilkach. W ogóle nie wiem, co to był za film.

A wszystko przez to, że dzień wcześniej spotkałam przypadkowo Basię. Była na bieżąco.

- Tak, twój Krzysiek ma nową babę. To pewne. Jest dyrektorką liceum. Widziano ich razem. Podobno elegancka babka - nieco złośliwie oświadczyła Basia. - To kochliwy facet. Czy wy się nadal widujecie?

Myślałam tylko o jednym. W co on gra? Czy działa na dwa fronty? Co prawda nasza znajomość jest czysto platoniczna. Gdybym jednak była jego kobietą, nigdy nie zgodziłabym się na taki układ. Szlag by mnie trafiał, gdyby mój facet tracił czas na byłą żonę. Chyba że ona o niczym nie wie. Krzysiek zachowuje się jak niewiniątko. Ja też o niczym nie wiem, przynajmniej oficjalnie.

- Podobał ci się film? - zapytał, gdy wychodziliśmy z kina.

- Film? A tak, bardzo.

- Nie zauważyłem. Wcale się nie śmiałaś.

To była komedia?

- Boli mnie głowa. Idzie halny. Pewnie dlatego.

- To odwieźć cię do domu?

- Tak będzie najlepiej - westchnęłam zrezygnowana.

Cóż, czasem trzeba coś poświęcić dla dobrej sprawy. Liczyłam na obiad w knajpie i spacer. Trudno.

*

Wpadłam na szalony pomysł. Muszę uwieść, ba, nie tylko uwieść. Muszę zmusić do małżeństwa eksmęża.

Od dłuższego czasu często się widzimy, tak po przyjacielsku. Ale pomijając tamten incydent z Zakopanego (ile to już czasu minęło), nigdy nie próbował się do mnie zbliżyć.

Zgoda! Jest inna. Wiem o tym. Zatem muszę rozpoznać teren (wyśledzić to babsko), znaleźć coś na nią i wykopać! To nie wszystko. Muszę sprawić, żeby Krzysztof zainteresował się mną jako kobietą. To też mało. Muszę zmusić go do małżeństwa!

Brzmi prosto. Bardzo prosto.

Do diabła! Musi się udać. Nie wiem jak, ale musi.

Och, Scarlett, tobie było łatwiej. Wystarczyło nie wrócić na czas ze spaceru i facet nie miał wyjścia. Oświadczyły lub pojedynek z wkurzonym bratem lub ojcem dziewczyny.

A ja??

Muszę coś wymyślić, wykazać się inicjatywą.

Dotąd on proponował, zapraszał, organizował. Teraz moja kolej. Ale od czego zacząć? Muszę też pamiętać, że ma dzieci i poświęca im sporo czasu. To nie ułatwi mi sprawy. Ale na początek - jego pani! Tylko co, jeśli to jest miłość?

Myślałam intensywnie, szybkimi krokami przemierzając pokój.

Za kilka dni Wielkanoc. Może zaproszę go na kolację w drugi dzień świąt? A jeśli ma dyżur? Albo, co gorsze, zechce święta spędzić z nią?

Dosyć tych dywagacji. Nie dowiem się, jeśli nie zadzwonię. Wzięłam komórkę.

- Cześć, Krzysztof. To ja, Agata.

- A cześć. Co słychać?

- Masz plany na święta? - brnęłam odważnie. - Bo jeśli jesteś wolny w drugi dzień świąt, to zapraszam cię na kolację - dokończyłam lekko.

W słuchawce cisza. O cholera. Po chwili:

- Wiesz, Agatko, to bardzo miło. Przepraszam cię, ale jeszcze naprawdę nie wiem, niczego nie planowałem. Może będę miał dyżur.

Mogłam się tego spodziewać. Spławiona na samym początku.

- Oczywiście, rozumiem. Niemniej, pamiętaj, moja propozycja jest aktualna. Daj znać. Ze złości obgryzałam paznokcie. Pięknie się zaczyna. Jestem pewna, że zaplanował święta z nią!

*

A jednak zadzwonił! Powiedział, że chętnie przyjdzie na kolację w święta.

Jedzenie to pikuś. Tylko jak mam się zachować? Przecież chcę go uwieść! Tyle że powinno to tak wyglądać, jakby to on chciał. Odpada więc paradowanie w bieliźnie.

Gwałt też nie wchodzi w rachubę.

Boże, co mi przychodzi do głowy? W moim wieku?

Nie powinnam się spieszyć. Zobaczę.

Mam czas - postanowiłam. Niczego nie przyspieszać. Najpierw rozpoznanie!

*

Kolacja przebiegła w miłej atmosferze. Tak brzmią zwykle komunikaty ze spotkań politycznych.

Podano pasztet z oliwkami, szynkę z chrzanem, sałatkę z pieczarek, galaretkę z kurczaka. Na deser - mazurek z kajmakiem, własnoręcznie upieczony przez panią domu. Do tego białe wino, półwytrawne.

Pięknie przygotowałam stół. Kupiłam nawet w supermarkecie nowy obrus z nadrukiem świątecznym. Postawiłam świece. Z szafy wyjęłam srebrny gorset (nie widział mnie w nim). Wyglądałam dobrze, ale nie wyzywająco. Nie chciałam, żeby pomyślał, że coś się zmieniło.

Przyszedł punktualnie. Przyniósł białe frezje. Skomplementował mój strój. Usiedliśmy przy stole. Byłam tak spięta, że nie mogłam się skupić na rozmowie. Zachowywałam się jak pomyłona. Marzyłam, żeby sobie poszedł.

Patrzył na mnie zdziwiony. Coś przekąsił, chwilę posiedział i poszedł. Odetchnęłam z ulgą.

Nic z tego nie będzie. Nie potrafię. Jak to możliwe, że miałam dwa romanse, a nie potrafię uwieść byłego męża? Jestem nienormalna. Zostanę sama.

Nie! Ja to źle rozegrałam. Nic na siłę. Powolutku.

Trzeba zacząć od niej.

*

Upadłam na głowę. Moja godność i honor są na poziomie zero, albo nawet poniżej. Śledzę tę babę. Totalny upadek. Wzięłam nawet urlop.

Do sprawy zabrałam się fachowo. Dyrektorka liceum. Założyłam, że chodzi o szkołę, do której uczęszcza córka Krzysztofa, Patrycja. Założenie okazało się słuszne.

Liceum o dobrej renomie, w samym centrum miasta.

Podeszłam do drzwi gabinetu. Tabliczka: Dyrektor Matylda Białek. Ciekawe imię - Matylda. Tylko jak je zdrabniać? Tyldzia!?

Przyjęła mnie bez problemu. Poznałam ją od razu. To ona! To ją widywałam z Krzysztofem. Wymyśliłam historyjkę, że niby to chciałabym przenieść córkę do tej szkoły. Potraktowała mnie niezbyt sympatycznie. Dość ostrym tonem oświadczyła, że w szkole nie ma wolnych miejsc, no i w ogóle takie przenosiny w trakcie roku szkolnego nie są praktykowane. Odesłała do kuratorium.

Powiedziałam „przepraszam” i wyszłam.

Podsumowałam: znam nazwisko i imię, miejsce pracy. Co dalej? Gdzie mieszka? Jak się tego dowiedzieć?

Na pewno jeździ autem, nie autobusem. Mogę wziąć taksówkę i pojechać za nią. To w ostateczności.

Następny krok - książka telefoniczna. Nie było Matyldy Białek w spisie. Może ma zastrzeżony numer albo tylko komórkę?

Znalazłam jednak dwa numery na nazwisko „Białek”. Może mieszka z rodziną i telefon jest na ojca lub brata. Zawahałam się. Zadzwoić?

Jak śledztwo, to śledztwo. Trzeba wyjaśnić do końca. Zadzwoiłam. Odebrał mężczyzna o niskim, przyjemnym głosie.

- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Matyldą? - rzuciłam lekko.

- Tak. Zaraz poproszę.

Nie czekałam. Wyłączyłam się. Przez kwadrans modliłam się, żeby nie mieli funkcji wykazującej numer telefonującego. Chyba nie mieli.

Znam już adres. Ulica Wierzbowa 7. Czyli mieszka w domu. Może jest starą panną (singlem) i mieszka z rodziną. Ojciec to chyba nie był. Głos zbyt młody. Brat? A może przyjaciel?

*

Roznosiło mnie od nadmiaru adrenaliny. Musiałam się komuś zwierzyć. Namówiłam Bożenę na spacer po lesie.

Koniec kwietnia. Wiosna. Zaczynała się moja ulubiona część roku. Potrwa do

września, może do października.

Resztę roku chętnie spędziłabym jak niedźwiedź brunatny, zapadając w sen zimowy.

Opowiedziałam Bożenie o moich zamiarach wobec Krzysztofa. O śledztwie nie wspomniałam. Było mi wstyd.

Załamala ręce.

- Zwariowałaś. Przecież go nie kochasz. A on ma kogoś. Wszyscy o tym mówią.

- Kocham, nie kocham. Nie wiem. Lubię go. Mamy podobne zainteresowania. Ja chcę, żebyś mi poradziła, jak się do tego zabrać. A ta kobieta... uczciwie ci powiem. Spróbuję go jej odbić.

- Ty zwariowałaś. Daj spokój. Nie poradzę ci, co powinnaś zrobić, bo nie wiem. Uważaj, mało miałaś kłopotów przez chłopów? - gderiała.

Stanęłam jak wryta.

- Masz rację. Ale to może ostatnia okazja. Czas leci. Chcę wyjść za mąż, za Krzyśka.

- On cię nie kocha - jęknęła.

- Lubi mnie, to może być początek. Pamiętaj, że takie małżeństwa jak twoje na palcach można policzyć. A inni? Trwają w związkach. O miłości dawno zapomnieli. Zresztą co to jest miłość? Powiedz. Jesteś doświadczona - dodałam złośliwie.

- Miłość to... - jąkała się zdenerwowana Bożena. - No po prostu chcesz być z tym kimś...

- Ble, ble. Widzisz, sama nie umiesz powiedzieć. Być z kimś można bez miłości. Wystarczy przyjaźń, lojalność, wspólne cele.

Seks i namiętność - przerabiałam to - może być bardzo udany bez miłości - dodałam przekornie. Bożena machnęła ręką.

- Nie potrafię tak z tobą rozmawiać. Czy ty w ogóle byłaś kiedyś zakochana?

Szłyśmy wąską ścieżką pod górę. Pod stopami szeleściły zeszłoroczne liście. Milczałam.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Chyba nie. Czasem myślę, że jest we mnie jakiś brak, że nie potrafię kochać. Może to wiąże się z moim dzieciństwem?

- O Boże! - wysapała Bożena. - Znowu wszystko zwalasz na dzieciństwo. Daj wreszcie spokój przeszłości.

- Właśnie próbuję. Jest takie francuskie powiedzenie „miłość przychodzi po ślubie”. I ja wierzę, że to jest możliwe.

- To było aktualne w dziewiętnastym wieku - upierała się Bożena.

Okręciłam się na pięcie. Spojrzałam w górę, w korony drzew. Zieleń nieśmiało

przykrywała szare konary. Niedaleko wydzierał się jakiś ptak. Obok stukał dzięcioł. Wiatr cichutko szumiał. Las żył.

- Wiesz, ja kocham. Tak naprawdę to kocham przyrodę - widoki, zapachy, barwy. Dla tego warto żyć.

- I ty wybierasz się za męża? - ironicznie zapytała Bożena.

- Tak, żeby ktoś podziwiał to ze mną.

*

Moje małe śledztwo się kisi. Nie mam czasu sterczeć pod szkołą. Nie mam pomysłu. Nawet myślałam, żeby dać sobie spokój, gdyby nie Basia. Zadzwoiła do mnie do pracy i niemal wrzasnęła w słuchawkę:

- Krzysztof się żeni!

O nie. Skończę, co zaczęłam. Przynajmniej raz w życiu.

Znowu wzięłam urlop. Do torebki włożyłam aparat fotograficzny. Zastanawiałam się, czy nie użyć jakiegoś kamuflażu w stylu dżinsy i bluza z kapturem. Jednak szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Zbyt ryzykowny. Patrole krążące koło szkoły mogłyby mnie wziąć za dilerkę narkotyków i zwinąć, zanimbym się obejrzała.

Dzień wcześniej upewniłam się telefonicznie, że pani dyrektor będzie w pracy do trzynastej.

Spacerowałam nerwowo pod szkołą już od godziny. Minęło wpół do drugiej, kiedy ukazała się w ciężkich, drewnianych drzwiach. Szybko zbiegła schodami na ulicę. Stałam za zaparkowanym samochodem i zrobiłam kilka fotek.

Zatrzymała się przy krawężniku i popatrzyła na zegarek. Podjechało auto... Matko święta, to Krzysiek. Wysiadł, otworzył jej drzwi. Dżentelmen, cholera! Rzucił wzrokiem w kierunku mojej kryjówki. Odskoczyłam, chcąc wsunąć się głębiej za samochód. Prawa stopa wylądowała w dziurze w jezdni, pełnej wody. Przemoczyłam buty i spodnie. Z żalem pomyślałam o skórzanych pantoflach. A tymczasem oni zniknęli mi z oczu.

Do dupy takie śledztwo!

Po południu zdecydowanym krokiem weszłam do biura detektywistycznego, które mieściło się na końcu osiedla. Detektyw był szybki. Już po trzech dniach miałam potrzebne wiadomości.

„Matylda Białek. 42 lata, od trzech lat dyrektor liceum, zamężna, dwoje dzieci. Mieszka Wierzbowa 7. Mąż - właściciel hurtowni leków, syn w klasie maturalnej, córka w gimnazjum. Pani ma kochanka. To pan Krzysztof...”.

- Dziękuję, więcej nie chcę wiedzieć.

Obejrzałam zrobione zdjęcia, wybrałam kilka.

Mam już wszystko - pomyślałam.

*

Zostałam szantażystką!

Wczoraj zadzwoniłam do pani dyrektor Matyldy i poprosiłam ją o spotkanie. Nie chciała, lecz po niewielkim nacisku (delikatnie powiedziane) z mojej strony zgodziła się.

Zabawne. Najpierw święte oburzenie: „jakim prawem... co pani insynuuje”, potem zrezygnowane „dobrze, przyjdę”.

Umówiliśmy się w maleńkiej kawiarence z dala od centrum. O dwunastej. O tej porze nikt tam nie zagląda.

O jedenastej byłam na miejscu. Zdenerwowana jak diabli, siedziałam nad kolejną kawą. Miałam na sobie najlepszy kostium i jedwabną bluzkę, żeby sobie nie myślała.

Matylda przyszła punktualnie. Jasny prochowiec powiesiła na wieszaku. Rozejrzała się po sali oczami krótkowidza. Miała granatową sukienkę, prostą i elegancką, mały sznureczek pereł na szyi, a włosy gładko upięła w kok. Wyglądała lepiej ode mnie. Cała jej postać tchnęła spokojem i pewnością. Podeszła do stolika.

- Czy pani...

- Tak, proszę, niech pani usiądzie.

Nie było po niej widać cienia zdenerwowania. Podeszła kelnerka. Matylda zamówiła kawę. Nie wiedziałam, jak zacząć. Tysiąc słów cisnęło mi się na usta, w końcu w milczeniu pokazałam jej zdjęcia. Jej usta lekko zadrżały.

- Czego pani chce?

- To chyba jasne. Od dłuższego czasu spotykam się z Krzysztofem. Ostatnio byłam chora, serdecznie się mną opiekował. Mam wrażenie, że chciałby wrócić i zacząć od początku. - Kłamstwa gładko przechodziły mi przez gardło. - Pani jest mężatką, ma pani dzieci, stanowisko...

Straciła swój kamienny spokój.

- Ja go kocham - łkała cicho.

- A męża?

- Kocham ich obu. - Zasłoniła twarz rękami. - Pani nie wie, jak to jest. Tyle lat z jednym mężczyzną. Chciałam coś jeszcze przeżyć...

Gdzieś już to słyszałam.

- Cóż to za powód! Żartuje pani. Takie bzdury... Zresztą to mnie nie interesuje. Proszę powiedzieć, czy planuje pani wspólną przyszłość z Krzysztofem?

- Nie muszę się pani spowiadać - obruszyła się.

- To prawda, nie musi pani. Ale wtedy te zdjęcia - wskazałam wymownie - zobaczą i pani mąż, i Krzysztof. Ma pani tydzień. Potem... sama pani rozumie. Mnie zależy na Krzyśku, a pani go oszukuje. Nie tylko jego zresztą.

Siedziała z opuszczoną głową. Ramiona lekko jej drżały.

- Jestem uczciwą kobietą - dodałam - daję pani czas na wybór. Jeśli wybierze pani Krzysztofa, usunę się. I co oczywiste, zachowam dyskrecję.

Wstałam, chciałam wyjść. Złapała mnie za rękę.

- Czy pani z nim spała, przez ten rok? Proszę powiedzieć, czy pani z nim spała? - krzyknęła z rozpaczą.

Szarpnęłam się.

Nie, to pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

*

Kilka dni później Krzysztof wpadł bez zapowiedzi. Właśnie kończyłam robić leniwe pierożki.

Wyglądał kiepsko, bez humoru, bez życia. Poszarzały na twarzy. Patrząc na niego, poczułam niepokój. Rzucił się w milczeniu na fotel. Postawiłam przed nim talerz leniwych. Zjadł wszystkie co do ostatniego.

Dusza cierpi, ale ciało domaga się swego.

- Co się dzieje, Krzysiu? - zapytałam współczującym tonem. - Źle się czujesz?

- A jakoś tak... - Nie dokończył.

- Jesteś chory?

- Nie, właściwie nie.

- To co? Kłopoty w pracy, coś z dziećmi? - podpytywałam. - Widzę, że jesteś przybity. Może powinieneś się zwierzyć. To przynosi ulgę. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Jesteśmy przyjaciółmi. Ty tyle dla mnie zrobiłeś - łagodnie naciskałam.

Milczał. Widziałam, że bije się z myślami, ale chęć zwierzenia zwyciężyła.

- Dziękuję ci. To bardzo cenne... Wiesz, że spotykałem się z kimś od roku. Widziałas nas kiedyś razem, pamiętasz?

Jak bym mogła zapomnieć. Nawet się nie przywitałeś.

- Mówiła, że mnie kocha... I wyobraź sobie - ciągnął Krzysiek - kilka dni temu zerwała ze mną. Oświadczyła, że mnie nie kocha, że ma kogoś i że... - głos mu się załamał - to była taka odskocznia. Niby ja byłem tą odskocznia. - W głosie Krzysztofa wyczułam, oprócz żalu, urażoną dumę.

Muszę przyznać, że Matylda zerwała definitywnie, bez możliwości odwrotu.

- Kochałeś ją - odważyłam się.

Oczy Krzyśka jakby zwilgotniały.

- Chyba tak... nie wiem... czasem miałem wrażenie, że nie jest do końca szczerą, ale miała tyle klasy...

To może zwykłe zauroczenie. Muszę mieć nadzieję, że tak. Że to nie była prawdziwa miłość.

Krzysiek wyglądał jak zbity pies. Chciałam go objąć i przytulić, lecz brakowało mi odwagi.

Oj, czy ja nie przeceniłam swoich możliwości?

A ona? Oszukiwała go, chciała jeszcze coś przeżyć. Nie powinnam mieć żadnych wyrzutów sumienia. Jednak nie czułam się z tym najlepiej.

- Krzysieńku, przykro mi. Nie wiem, co powiedzieć. Pamiętaj, czas goi wszystkie rany (ale plotę!).

- Nie wszystkie, Agatko, nie wszystkie. Sama wiesz o tym najlepiej.

Nawet nie zauważył, że powiedziałam do niego „Krzysieńku”.

*

Krzysiek snuł się bez życia, bez humoru. Teraz ja wymyślałam rozrywki, wyjazdy. Zgadzał się na wszystko. Niestety, robił za „balast”.

Ogarniała mnie rozpacz. Może ją kochał? Do tego urażona duma. Nie poradzę sobie, o ile nie zdarzy się cud.

Nie mogłam powiedzieć mu prawdy, bo wtedy wyszłaby na jaw rola, jaką odegrałam w całej sprawie.

Któregoś pięknego czerwcowego dnia pojechaliśmy nad jezioro. Pływaliśmy na rowerze wodnym. Krzysztof zawzięcie pedałował. Nad nami niebieskie niebo, wokół śmigły żaglówki. Woda cichutko chlupotała. Spojrzałam na Krzysztofa, znowu ten smutny wyraz twarzy.

- Krzysiu - powiedziałam miękko - popatrz, jaka piękna pogoda. Nie smuć się. Jesteś w towarzystwie wyjątkowo atrakcyjnej kobiety - zażartowałam. - Uśmiechnij się.

Uśmiechnął się z przymusem.

- O nie - zaprotestowałam. - Nie o to mi chodziło. Wystawiłam twarz do słońca i zamknęłam oczy.

- Powiedz, czy ty ciągle o niej myślisz? - zaryzykowałam. Przez chwilę milczał.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie. W końcu byliśmy ze sobą blisko rok. A z

drugiej strony tak mnie potraktowała... nie spodziewałem się.

Usiadłam prosto i spojrzałam mu prosto w oczy. Zaczynałam tracić cierpliwość. Poza tym uznałam, że muszę nim potrząsnąć, bo inaczej będzie pielęgnował w sobie żal i wspomnienia.

- Teraz jesteś tu ze mną, to się mną zajmuj! Co w niej było takiego wyjątkowego? - pytałam gorączkowo. - Była dobra w łóżku?

- Agata, co ty? Agata - powiedział zdumiony. - Jak możesz?

- Wiesz, mam dość na dzisiaj. Wracajmy.

Wróciliśmy do domu w milczeniu. Krzys odwiózł mnie, pożegnał się zdawkowo.

Byłam załamana. Co mnie podkusiło? Co teraz będzie? A jeśli nie będzie chciał mnie znać? Matko święta!

Popędziłam do Bożeny. Opowiedziałam jej wszystko - o śledztwie, szantażu i moim głupim zachowaniu.

Była zdruzgotana.

- I ty pakujesz się w takie intrygi? Nie spodziewałam się!

- Musiałam. To było jak obsesja. Coś mnie opętało. Ale nie żałuję. Ona mogła wybrać. Wybrała małżeństwo i rodzinę. I słusznie. A ja spieprzyłam sprawę.

- Nie mogę uwierzyć. - Bożena załamała ręce.

- Ja też. Może to hormony wariują, a może mam guza w płacie czołowym - oświadczyłam.

Dwa dni później wprosił się na kolację. Przyniósł kwiaty i przeprosił za swoje zachowanie. Byłam zdziwiona, ale przeprosiny przyjąłam. Skoro uważa, że to jego wina. Niech i tak będzie. Za facetem nie nadążysz.

I wszystko wróciło do normy.

*

Na przełomie czerwca i lipca Krzysztof jak zwykle pojechał z dziećmi do Chorwacji.

Wrócił w dobrym nastroju. Uśmiechnięty, opowiadał wrażenia z wakacji.

Patrzyłam na niego i myślałam: Teraz jesteś wolny. Chcę cię mieć. Dla siebie. Chcę, żebyś mnie pokochał albo przynajmniej polubił na tyle, żeby się ze mną związać. Będę próbować. Jeśli mnie odepchniesz, to nie wiem, co będzie. Nie przeżyję takiego upokorzenia.

Może trzeba było iść do tej wróżki?

*

Zrobiłam ruskie pierogi. Krzysiek je uwielbiał. Zadzwoiłam do niego i zaprosiłam. Zgodził się chętnie. Siedział nad talerzem pełnym parujących pierogów, kiedy w telewizji

nadawano film o Bieszczadach. Spiker monotonnym głosem zachwalał okolicę - drewniane kościółki, połoniny, zalew w Solinie.

- Pyszne pierogi - powiedział z pełnymi ustami. - Byłaś kiedyś w Bieszczadach?

- Nie, nigdy. - Usiadłam koło niego z pełnym talerzem.

- Jak to możliwe? - zdziwił się.

- Nie złożyło się.

- To jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce - dziwił się dalej.

- W takim razie mam pomysł. - Staralam się, aby mój głos brzmiał pewnie. -

Pojedźmy tam. Weźmiemy kilka dni urlopu, co ty na to?

- Właściwie czemu nie. - Odstawił pusty talerz.

Serce biło mi szybko. Kilka dni - kilka noclegów. Cały czas razem. Musi coś z tego wyniknąć!

- Doskonale. Znajdę kwatery w internecie. Wszystko załatwię - zapaliłam się.

*

Zamówiłam dwa pokoje w pensjonacie w Polańczyku. Przyznaję, że przemknęła mi myśl, czy nie zamówić jednego pokoju, lecz odrzuciłam ją natychmiast. To byłoby zbyt nachalne, zbyt jednoznaczne.

Niemniej jest to niepowtarzalna okazja, aby nasza znajomość nabrała bardziej intymnego charakteru. Jeśli nadarzy się okazja, muszę być przygotowana. Może to głupie, ale w końcu to tylko facet.

Postanowiłam kupić erotyczną bieliznę, bo mimo że seks nie jest najważniejszy, to jest ważny, zwłaszcza dla mężczyzn, choć nie tylko (uśmiechnęłam się do wspomnień).

Mogłam to załatwić przez internet. Byłoby dyskretnie. Jednak nie mam przekonania do takich zakupów. Słowem, musiałam pójść do seks-shopu, tym bardziej że zależało mi na czymś bardziej... wyszukanym.

Sklep mieścił się na małej uliczce, na peryferiach miasta. Nie było na niej żywego ducha, a i tak długo spacerowałam, rozglądając się ostrożnie. Żeby, broń Boże, nie natknąć się na kogoś znajomego albo na przykład pacjenta.

Przez dobre pół godziny nikt nie pojawił się w pobliżu sklepu, więc weszłam. Pociemniało mi w oczach. Z trudem dotarłam do lady. Siedziała tam młoda, najwyżej dwudziestokilkuletnia dziewczyna.

Nie patrzyłam na boki, żeby nie posądziła mnie o zainteresowanie asortymentem.

- Chciałam kupić komplet bielizny - wychryślałam niemal szeptem.

Dziewczyna wyjęła kilka pudełek i rozłożyła na ladzie. Była to normalna koronkowa

bielizna, jaką można dostać w każdym sklepie. Może tylko trochę bardziej wycięta.

- Ta - podała mi biały komplet z koronki - doskonała na noc poślubną.

Dziewcino. Na noc poślubną to ja mogę mieć barchany. Tu chodzi o noc przedślubną!

- Wie pani, chodziłoby mi o coś bardziej...

- Rozumiem.

Podała mi komplet - gorset plus mikroskopijne majteczki. Wszystko z niemal przezroczystej czarnej koronki, obszyte imitacją futerka. Odkrywało więcej, niż zasłaniało.

Kupiłam.

Wracalam do domu na piechotę. Kompromitujący pakunek spoczywał głęboko w torebce, a mimo to miałam wrażenie, że wszyscy ludzie wiedzą i przyglądają mi się z pogardą.

Miałam jednak poważniejsze problemy.

A co, jeśli w zakamarkach serca Krzysia tkwi głęboko Matylda!? Co będzie, jeśli mnie nie zechce?

*

Bieszczady. Polańczyk.

Pierwszy dzień spędziliśmy wybitnie ulgowo. Popływaliśmy stateczkiem po Zalewie Solińskim. Posiedzieliśmy na plaży. Krzysiek udawał, że łowi ryby, ja leżałam na kocyku. Po południu zachmurzyło się. Ciemne, burzowe chmury wisiały nad okolicą. Powietrze było tak ciężkie, że wydawało się lepkie.

Po kolacji w knajpie wracaliśmy do hotelu. Byłam potwornie spięta, mimo że sporo wypiałam. Chciałam się wyluzować. Widziałam, że Krzysiewi nie podobało się, że tak dużo piję. Powiedział nawet:

- Spasuj. Jutro idziemy na Tarnicę.

Biedak, nie miał pojęcia, co się roi w mojej głowie.

- Zobaczymy. Patrz, jak się błyska. Jutro może lać.

Niebo rozświetlały błyskawice, w oddali słyhać było ciche grzmoty.

- Wiesz, jak się boję burzy - powiedziałam i wzięłam go za rękę. - Nie zamykaj drzwi na klucz. Jak się burza rozszałeje, to będziesz musiał mnie ratować - zażartowałam.

- Możesz na mnie liczyć - utrzymał żartobliwy ton.

Około północy rozpętało się prawdziwe piekło. Dziesiątki błyskawic ostrym światłem przecinały niebo. Huk grzmotów rozchodził się po górach. Deszcz dudnił o ściany i okna budynku.

Ja się naprawdę boję - wyskoczyłam z łóżka i na bosaka wybiegłam z pokoju. Dwa

kroki i byłam pod jego drzwiami. Otwarte - jak obiecał. Weszłam cicho do środka. Miałam na sobie seksowną, nocną koszulkę.

Wsunęłam się do łóżka.

- Krzyś, boję się burzy. Śpisz?

Oddychał miarowo. Spał.

W świetle błyskawic zobaczyłam jego nagi tors, pokryty niewielką ilością włosów. Jedno ramię przerzucił nad głową. Wyglądał tak bezbronnie.

Zaczęłam całować go delikatnie po twarzy, szyi i piersiach. Powoli zsuwałam się niżej...

Krzyś obudził się. Dotknął moich włosów.

- Agata, Agata - szepnął zdumiony.

- Cii... - szepnęłam.

Ale on przejął inicjatywę. Przyciągnął mnie do siebie. Moja seksowna koszulka odfrunęła gdzieś w kąt. Zaczęliśmy się namiętnie całować i pieścić. Pragnęłam go...

Obudziłam się rano. Krzyś już nie spał. Przypatrywał mi się. Trochę się zawstydziałam.

- Nie znałem cię takiej - powiedział, gładząc mnie miękko po policzku - nie spodziewałem się...

Uśmiechnął się. Jego dłoń spoczęła na moim udzie i rozpoczęła powolną wędrówkę ku górze. Jego palce zataczały delikatnie kręgi. Zamknęłam oczy w oczekiwaniu...

Oczywiście tego dnia nie poszliśmy na Tarnicę. Zresztą pogoda była niepewna. Niebo zakrywały ciężkie chmury. Od czasu do czasu kropiło.

Za to zmusił mnie, ubraną w wojskową pelerynę i kalosze, na wyprawę po straszliwych chaszczach nad rzeką, w której rzekomo miały bytować szczególnie rzadkie ryby. Ryb nie złowiliśmy. Za to przemokłam do suchej nitki i pokłułam się do krwi kolcami jakichś wyjątkowo rzadkich krzewów.

Nic to. Nieważne. Czułam się szczęśliwa. Prawie.

Udało się - myślałam. Zaciągnęłam go do łóżka. Czy to wystarczy? Satysfakcja seksualna to jeszcze nie miłość. A ja? Czy się zakochałam? A może stało się to już wcześniej? Usłyszałam wreszcie te czule słowa, których skąpili mi i Jurek, i Michał.

„Moje kochanie” - powiedział czule Krzyś, tuląc mnie do siebie w środku nocy.

Omali się nie rozplakałam.

*

Po powrocie nastąpiła idylla, raj.

Spotykaliśmy się, kochaliśmy. Wieczorami prowadziliśmy długie rozmowy,

oglądaliśmy telewizję, a czasem milczeliśmy we dwoje. Czułam się dobrze i bezpiecznie.

Prawie.

Nie byłabym sobą, gdybym nie szukała dziury w całym. Co on do mnie czuje? Czy mnie kocha? Kim dla niego jestem?

Myślałam o Matyldzie (wyrzuty sumienia?). Czy nie pojawi się ona albo jakaś inna - Ula czy Marta?

On chyba nie miał wątpliwości. Praktycznie u mnie zamieszkał. Staralam się, jak mogłam - gotowałam obiady, przygotowywałam śniadania i kolacje. O siebie też dbałam - codziennie makijaż, fryzura i ciuchy. Słowem - padałam na twarz ze zmęczenia. Życie z facetem na co dzień jest bardzo męczące. Już zapomniałam jak bardzo. Do tego zapowiedział, że zimą zacznie uczyć mnie jazdy na nartach. I tym razem się nie wymigam, bo to grzech mieć w zasięgu ręki takie tereny i z nich nie korzystać. To nie wszystko. Mam wykupić kilka lekcji jazdy samochodem i wreszcie prowadzić jak każda współczesna kobieta. Z tej opresji ratowałam się stanem zdrowia, który na razie nie pozwala mi na kierowanie autem. Zmiany zwyrodnieniowe w kręgosłupie szyjnym wywołują zawroty głowy i nawet zdarzyły mi się omdlenia, tak więc teraz to niemożliwe, może w przyszłości...

Krzyś bardzo się przejął. Obiecał załatwić rehabilitację. Z doświadczenia wiem, że to z pewnością potrwa. Odetchnęłam, odwlokłam w czasie. Może zapomni?

Odpoczywałam, kiedy szedł na dyżur, co nie zdarzało się często. Wtedy wałęsałam się po domu w dresie, nie gotowałam. Siedziałam przed telewizorem lub przy komputerze.

Którejś nocy rozpadło się zasłużone łóżko. Miało swoje lata i nie było ostatnio oszczędzane.

Pojechaliśmy do sklepu. Kupiliśmy całą sypialnię, piękną - duże łóżko małżeńskie, do tego toaletkę i wygodną komodę z szufladami. Z trudem upchnęliśmy wszystko do pokoju. Biedny komputer wylądował pod oknem. W trakcie przestawiania mebli zahaczyliśmy o szafkę z moimi ciuszkami. Na podłogę poleciało wszystko - bielizna, rajstopy, kostiumy kąpielowe, topy. Pracowicie zbierałam rzeczy z podłogi i wtedy usłyszałam:

- A co to jest?

Matko święta! Krzyś trzymał w rękach nieprzyzwoity, seksowny gorset, który zakupiłam przed wyjazdem w Bieszczady. Musiałam doznać wtedy zaćmienia umysłu. Patrzył na mnie. Widziałam, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Położył kompromitującą bieliznę na łóżku.

- Hm... całkiem szykowne... no i w ogóle... - Starał się być poważny, ale kąciki ust drgały w tłumionym śmiechu. - Hm... to co z tym zrobimy? Szkoda, żeby się marnowało...

nieużywane. Jak myślisz, kochanie?

Najchętniej schowałabym się pod łóżko. Ale nic z tego. Musiałam stawić temu czoło.

- Może schowamy z powrotem? - powiedziałam z nadzieją w głosie.

- Ależ skąd, kochanie. Grzechem byłoby nie wprowadzić drobnego urozmaicenia, skoro nadarzyła się okazja. - Wyraźnie wyśmiewał się ze mnie.

Zezłościłam się.

- To może zamontujemy jeszcze rurę do tańca?

- Niezły pomysł.

Siedziałam obrażona na łóżku.

- Kochanie, mamy nową sypialnię, taki ciuszek będzie idealny na pierwszą noc. Jesteś taka piękna. W tym gorseciku będziesz wyglądać cudownie, seksownie. Będę cię całował całą...

Przysunął się do mnie, objął, zaczął całować. W jego ramionach miękłam jak wosk. Jego dłonie sięgnęły moich piersi... i zgodziłam się.

Na początku czułam się trochę nieswojo w takiej bieliźnie. Piersi miałam praktycznie na wierzchu. Skąpe majteczki z trudem zakrywały wzgórek łonowy i do tego były przezroczyste.

Krzyś całował mnie i pieścił. Szeptał czule słówka. To była niezapomniana noc.

*

Nie ma róży bez kolców. A te kolce są potężne - dzieci Krzysztofa. Nastolatki. Nie przypuszczam, żeby pały do mnie sympatią. Czułam, że będą kłopoty.

W ramach zacieśniania kontaktów Krzysztof zabrał nas wszystkich na wycieczkę w góry.

W góry! Śmiechu warte!

Patrycja - szesnastoletnia pannica z miną świadczącą o tym, że robi nam wielką łaskę.

Kajtek - czternastolatek, naburmuszony i milczący.

Siedzieli w milczeniu na tylnym siedzeniu. Ja nadskakiwałam:

- Może galaretkę, a może kawałek ciasta kokosowego? Sama piekłam.

- Nie jadam ciastek - burknęła Patrycja.

- Nie lubię kokosu - zawtórował Kajtek.

- To może chipsy? - zaproponowałam.

Patrycja spojrzała pogardliwie.

- Jesteś lekarką, a proponujesz nam takie jedzenie?

Opadły mi ręce. Krzysztof nie reagował mimo moich jednoznacznych spojrzeń.

Zamilkłam.

Na trasie nie było lepiej. Snuli się za nami ponuro.

Przyjrzałam się Patrycji - włosy ufarbowane na czerwono, pełny makijaż, paznokcie na czarno. Słowem prosto na dyskotekę. Miała na sobie szorty tak krótkie, że z biedą zakrywały pośladki, i top na ramiączkach. Nie wytrzymałam.

- Tu są kleszcze. Powinnaś była wziąć dłuższe spodnie i bluzkę z rękawami.

- To, że się pieprzysz z moim starym, nie znaczy, że możesz mnie pouczać - burknęła.

Zamurowało mnie.

- Patrycja, jak ty się odzywasz. Przepróż Agatę - zareagował Krzysztof.

- Ani myślę. Nie chciałam jechać, zmusiłeś mnie - odparła gniewnie.

Nie odzywałam się więcej. Nie cierpię zbuntowanych bachorów. Będę starała się unikać ich jak ognia. Trudno. Może gdyby byli młodszy?... Guzik mnie obchodzą. Niech Krzysiek się nimi zajmuje. Ja im w drogę wchodzić nie będę.

Wycieczka zakończyła się totalną katastrofą, co było do przewidzenia.

Krzysztof usiłował tłumaczyć dzieci.

- Rozumiesz, są w trudnym wieku i do tego zazdrośni.

Nic mnie to nie obchodzi. Są niewychowane i wredne.

- Ależ oczywiście. Nie przejmuj się. - Uśmiechnęłam się słodko. Niech wie, że jestem łagodna, wybacząca i w ogóle!

*

I przyszła katastrofa! Musiała nadejść! Jestem naznaczona przez los!

Sobotni wieczór spędzaliśmy w domu. Za oknem panował mrok. W domu ciepło, przytulnie. Krzyś pracował przy komputerze, ja czytałam książkę. Z radia płynęła cicho muzyka. Filtr w akwarium miarowo szumiał, rybki hasały pomiędzy roślinkami.

Zwyczajny wieczór.

Przedemną, na ławie stała miseczka solonych orzeszków i kieliszek wina.

Spokój, poczucie bezpieczeństwa, mężczyzna. Wszystko, czego pragnęłam.

Ostatnio zauważyłam, że zmniejszyło się nawet zużycie tabletek. Dobry znak! Krzyś nic nie wie o tym moim drobnym nawyku. I niech tak zostanie. To moja tajemnica!

Zastanawiałam się, co ugotować jutro na obiad. Tymczasem Krzyś wyłączył komputer i usiadł przy mnie. Objął mocno i pocałował w szyję.

- Kochanie, co będziemy jutro robić? Masz jakiś pomysł?

- To zależy. Jeśli będzie pogoda, to może pojechalibyśmy do Wiselki?

Siedzieliśmy przytuleni, oparłam głowę na jego ramieniu. Ale nie mogłam wytrzymać,

pchało mnie coś, nie dawało spokoju. Muszę to usłyszeć. Muszę.

- Krzyś, ja się tak czasem zastanawiam, jak to możliwe. Miałaś kochankę i równocześnie spotykałaś się ze mną. Czy ona o tym wiedziała?

- Nie wiedziała. A z tobą spotykałem się, bo cię lubię. - Pocałował mnie w czoło. - Zresztą nasze spotkania miały inną naturę.

Widziałam, że nie chce kontynuować tej rozmowy. Ale ja nie mogłam przestać.

- Nie rozumiem. Ona ci nie wystarczała? Dlaczego...

Chwycił mnie za ramiona.

- To bardziej skomplikowane. Wiesz, jak wyglądało nasze małżeństwo. Ja ciebie kochałem. To się tak łatwo nie kończy. I pozostał jakiś niedosyt, może poczucie winy, że nie potrafiłem odciąć cię od przeszłości, sprawić, żebyś chciała żyć, żebyś mnie pokochała. Ale z drugiej strony chciałem mieć normalną rodzinę. Nie dałem rady... Odszedłem w nie najlepszym stylu. - Potarł dłonią czoło. - I czułem się odpowiedzialny...

- Czekaj - odsunęłam się od niego. - Czy dobrze rozumiem? Spotykałaś się ze mną, bo ci było mnie żal? Litość? Jakieś kretyńskie poczucie winy? - wrzasnęłam. - Dlatego? Nie chodziło o mnie, tylko o to, żebyś ty się dobrze czuł?

- Agata - jęknął - to nie tak.

- A jak? - krzyczałam. - To z powodu współczucia i wielkiego pragnienia odkupienia winy były te koronkowe gadzety i łóżkowe wygibasy. Idź sobie! Wynoś się!

Patrzył na mnie. Widziałam ból w jego oczach. Chciał coś powiedzieć.

- I w łóżku też jestem dobra, co? Lepsza od tej twojej Matyldy. Nie zależało ci na mnie. - Syczałam. - Idź i nie wracaj. Nigdy!

Krzysiek porwał z wieszaka płaszcz i wybiegł. Nawet się nie obejrzał.

Natychmiast ochłonęłam.

Oszalałam. Co ja nagadałam? On nie wróci. Po tym wszystkim, co powiedziałam? Straciłam go. Byłam niesprawiedliwa. Nie oszukiwał mnie. Był zawsze w porządku, gotowy do pomocy na każde zawołanie. Troszczył się o mnie podczas choroby. Co mnie opętało? Jak to się stało. Przecież ja tylko chciałam usłyszeć, że mu na mnie zależy, że mnie kocha! Nie ma co. Świetnie się do tego zabrałam. Mogę sobie pogratulować. Zachowałam się jak popieprzona nastolatka. W moim wieku! Przecież ja go kocham. Wszystko zepsułam.

I tak przez całą noc.

Nad ranem upłakana i zmęczona zasnąłam.

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Za drzwiami stał Krzyś. Wrócił!?

- Przeszło ci? Uspokoiliś się? - zapytał ostro. - To sobie pogadamy. Jesteś głupia, jeśli

rzeczywiście tak do tego podchodzisz. Zawsze coś do ciebie czułem. I nigdy mi nie przeszło. To nie żal ani poczucie winy. Ja ciebie kocham, idiotko.

Wymyślał mi, a ja tego słuchałam z zachwytem. Przytuliłam się do niego. Wilgotny płaszcz pachniał wełną. Poczułam tkliwość w sercu.

- Ja ciebie też.